

HENRYK SOBOLEWSKI

II/937

SOB

© ARCHIWUM SOBOLSKIE

MOJE WSPOMNIENIA

eps. po redakcy. - do drukarni  
- wspomnienia (reprint)

GDAŃSK 1986

## W S T Ę P

17 września 1939 r. Prezydent Rzeczypospolitej, profesor Ignacy Mościcki, zwrócił się do obywateli polskich z orędziem: X/

" Gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zmaga się z przemocą wroga odwiecznego od pierwszego dnia wojny aż po dzień dzisiejszy, wytrzymując napór ogromnej przewagi siły bez mała niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad wachodni najechał na nasze ziemie gwałtując umowy i odwieczne zasady moralności.

Stanęliśmy tedy nie po raz pierwszy w naszych dziejach w obliczu nawałnicy z zachodu i ze wachodu.

Polska sprzyjałniona z Francją i Anglią walczy o prawo przeciwko bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciwko bezdusznemu barbarzyństwu, o dobre przeciwko panowaniu zła na świecie.

Z walki tej, wierząc w te niezłomnie, musi wyjść i wyjdzie zwycięska".

Bezdzusne barbarzyństwo i walka przeciwko siłom, które je rozpętały na naszych ziemiach, trwały przez całą wojnę. Nie były wolne od barbarzyństwa i lata powojenne.

Podczas trwającej 2078 dni wojny ponieśliśmy ponad 6 mln ofiar. Trzeba do tego dodać 2,5 mln wywiezionych na roboty do Niemiec, 2,5 mln wysiedlonych z ziem polskich wcielonych do Rzeszy, 2,5 mln deportowanych z ziem wcielonych do ZSRR, 1,2 mln inwalidów i ogromne straty materialne.

Ginęliśmy na wszystkich frontach wojny na ziemi własnej i obcej - w więzieniach, w aresztach, w lochach i piwnicach gestap i NKWD, w hitlerowskich koncentracyjnych obozach, w sowieckich łagrach, w tajgach Syberii, w bagnistym derzeczcu Peczery, w stepach Kazachstanu, w podążających na wachód i na zachód zakratowanych towarowych wagonach kolejowych transportów; ginęliśmy rozstrzeliwani na ulicach naszych miast, miasteczek i wsi, w polach i lasach w ogniu podpalanym majątków, folwarków i wiejskich gospodarstw; ginęliśmy bici, męczeni i torturowani, z głodu, zimna, choroby i ciężkiej katorżnej pracy w czasie wojny i po wojnie.

---

X/ Orędzie opublikowane w Monitorze Polskim z 25 września

1939 r.

Polacy z Ziemi Wileńskiej nie mieli dnia wyzwolenia ani dnia zwycięstwa. Po opanowaniu jej /już po raz trzeci od początku wojny/ w lipcu 1944 r. przez wojska sowieckie, kto mógł i zdążył, uciekał od "wyzwolicielei" - uciekał tam, gdzie na nowych granicznych szlupach pisali "Polska".

Ludzie zostawiali swoje mieszkania, domy, majątki, całe gospodarstwa ... Ratowali to, co najdroższe - życie. To nie była repatriacja, lecz tragiczna ucieczka przed znanym z lat 1939-1941 bezdusznym barbarzyństwem - przed łagrami, Syberią, Kazachstanem; przed niewolniczą pracą na własnej i obcej ziemi, przed śmiercią...

Mnie i dziesiątkom tysięcy rodaków nie udało się uciec. Przeżyłem tam - w pobliżu Peczery, w Kazachstanie i na Syberii, ~~bez dnia wyzwolenia~~ <sup>na wydziale w Peczery</sup> prawie 12 lat, a wszystko zaczęło się 1 września.

## I WRZESIEŃ 1939 r. NA WILEŃSZCZYŹNIE

1 września mama obudziła nas wcześniej. Młodszy ode mnie brat i siostra wybierali się do szkoły powszechnej, a ja do gimnazjum.

Przed śniadaniem włączyłem radio, z którego dowiedzieliśmy się o wojnie. Z uwagą słuchaliśmy pierwszych komunikatów i wspominaliśmy ojca, który musiał już być wśród broniących Ojczyzny żołnierzy.

Parę dni temu żegnaliśmy go na kolejowej rampie. Jechali w stronę zachodniej granicy. Wojny z Niemcami nie bali się. Za tydzień lub dwa spodziewali się być w Berlinie.

Ojciec służył w armii od 1920 r. Był zbrojnym mistrzem. Mieszkaliśmy wtenczas w Nowej Wilejce.

Do 1936 r. służył w ~~armii~~ 3 DAK-u, potem w 19 PAL-u i w 85 p.p. Przedtem mieszkaliśmy w Wilnie i jeden rok w Podbrodziu.

Redzice z dziadów, pradziadów byli Wilnianami. Kochali rodzinne miasto i nieraz mówili, że nie zamieniliby je na żadne inne.

Ich miłość przeszła na nas. Kocham te miasto i całą Ziemię Wileńską do dzisiaj. Często przenoszę się tam myślami, wracam do pięknego, położonego wśród puszczy i borów, zamkniętego łańcuchem malowniczych wzgórz, opasanego wstęgą Wilii, obdarzonego najpiękniejszymi chyba twórcami bożej natury Wilna - miasta potężnej i sławnej dynastii, wielkich poetów, wspaniałej przemienistej, promieniującej w swoim czasie na całą Polskę młodzieży; miasta męczenników i bohaterów, którego najwymowniejszym symbolem były wzniesione na górze obok Góry Zamkowej trzy potężne białe krzyże; miasta tak wiele mówiących o jego historii starych cmentarzy, z grobem wśród mogił żołnierskich z napisem "Matka i Serce Syna"; tchnącego chrześcijańską i polską kulturą, miasta Pani Ostrebramskiej, miasta na ziemi, którą przypomina mi pobliska Kaszubska Szwajcaria.

W pierwowzrym dniu wojny nad Wilnem i Nową Wilejką dwukrotnie przeleciały wrogie samoloty. Na rodzinne miasto spadły śmiertelne bomby. Byli zabici i ranni. W obawie przed dalszymi nalotami w szkołach przerwano naukę. Wiadomości z frontu były niedobre. Gazety i radio informowały o zaciętej obronie naszych wojsk, ale front przesuwał się na wschód.



3 września przystąpiły do wojny Anglia i Francja. Ożyły nadzieje, ale oczekiwanej pomocy z Zachodu nie było. Sukcesy niemieckie uważaliśmy za tymczasowe. Życie miasta funkcjonowało normalnie. Czynne były wszystkie urzędy, fabryki i zakłady. W sklepach nie brakowało towarów, nie notowano wzrostu cen i panicznego wykupywania żywności.

Po pierwszych nalotach na Wileńskim niebie panował spokój. Uważaliśmy to za dobry znak. Ludzie mówili, że Szwabom zaczyna brakować samolotów. Krążyły pogłoski o przygotowanej przez nasze dowództwo drugiej linii obronnej i kontrofensywie. Byliśmy pewni, że lada dzień musi się coś zmienić.

17 września, gdy wojska nasze jeszcze stawiały Niemcom silny opór, wschodnie granice Polski przekroczyła Armia Czerwona. W dwa dni potem bolszewicy zajęli Wilno.

Tego dnia wybrałem się z bratem do miasta. Pociągi nie kursowały, więc pojechaliśmy rewerami. Na Zarzeczu stały jeszcze szczupłe jednostki naszej piechoty i artylerii. Wśród żołnierzy kręcili się uzbrojeni w karabiny studenci i uczniowie starszych klas gimnazjalnych. Między Zarzeczem a centrum miasta ulice były puste. Pozamykane sklepy, nieczynne urzędy pogłębiały pustkę.

Od czasu do czasu z różnych stron rozlegały się pojedyncze strzały karabinowe i krótkie serie karabinów maszynowych.

Na ulicy Wielkiej spotkaliśmy dość dużą grupę Żydów. Powiewali czerwonymi flagami i wznosili jakieś okrzyki. Niektórzy byli uzbrojeni w karabiny i na rękawach mieli czerwone opaski. Z okien żydowskich mieszkań zwisały czerwone flagi.

Przed Ostrą Bramą zauważyliśmy pierwsze sowieckie czołgi. Serie z broni maszynowej i pojedyncze strzały karabinowe powtarzały się. Słyszeliśmy kilka wybuchów rozrywających się granatów.

Niewielkie grupy polskich żołnierzy i studentów stawiały najeźdźcy zbrejny opór.

Mieszkańcy Wilna przyjęli bolszewików pustymi ulicami, milczeniem i chłodem.

Pod wieczór wróciliśmy do domu. Na Zarzeczu stały pozostawione przez żołnierzy armaty. Traktem Baterego płynęły długie kolumny sowieckiej piechoty i kawalerii.

Po niebie krążyły obce nam samoloty, z których zrzucało tysiące uletek, informujących o załamaniu się pańskiej Polski i wyzwoleniczej misji Czerwonej Armii.

Z ulotek dowiedzieliśmy się, że Moskwie chodziło przede wszystkim o wyzwolenie spod "polskiego jarzma" braci Białorusinów i Ukraińców.

Na dalszym miejscu stawiano ochronę ludności przed skutkami rozpętanej przez zachodni imperializm wojny.

Żołnierzy sowieckich dziwił brak powitania. Nie rozumieli dlaczego "uciemiężeni", jak głosiła sowiecka propaganda, mieszkańcy Ziemi Wileńskiej ich nie witają, nie cieszą się z "wyzwolenia", dlaczego na każdym kroku wieje tu chłodem i panuje złowieszcze milczenie.

W pojęciu każdego bolszewika świat kapitalistyczny, do którego należała Polska, dzielił się na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych - na bogatych i biednych. Jednych w tym świecie były tysiące, drugich miliony.

Oczy biednych mogły być zwrócone tylko w stronę jedynej na świecie sprawiedliwej, bo robotniczo-chłopskiej, państwa - w stronę ZSRR.

Tylko stamtąd mogły oczekiwać pomocy i wyzwolenia. Rzeczywistość tego przekonania nie potwierdziła. Coś tutaj się nie zgadzało, bo ludzi głodnych, gołych i bosych oraz powszechnej nędzy w kraju rządzonym przez panów i obzarników nie było widać.

Każdy z nich pragnął zobaczyć oficera z bliska, chciał przeżyć radość jaka płynie z pogardliwego spojrzenia w oczy człowieka, który stał na straży obzarniczo-kapitalistycznego reżimu w pańskiej Polsce.

Wszyscy śmiali się z naszego Rządu i dowództwa. Uważali, że ponieśliśmy klęskę, ponieważ ~~my~~ nasi panowie trwożlili pieniądze na zbytki i rozpustę.

"Myśmy - pokpiwali - produkowali armaty, samoloty i tanki, a wasi oficerowie tańczyli tanga i dlatego zabrakło wam czołgów i samolotów". Chełpili się swoją potęgą, przed którą burżuazyjne dowództwo wojskowe pańskiej Polski nie odważyło się stawić oporu.

"Rząd wasz - powiadali - uciekł. To samo zrobili wasi generałowie. Pozabierali ze sobą worki złota i niczym się nie przejmują. Nsdal się bawią i toną w rozpuście..."

To prawda, że nasza armia zorganizowanego oporu sowiecom nie stawiała, ponieważ wszystkie siły były zaangażowane w walce z Niemcami, ale nie można mówić, że Armia Czerwona nie napotkała na żaden opór.

Posiadamy cały szereg dowodów o dzielnej i bohaterskiej obronie strażniczych placówek KOP-u.<sup>x/</sup>

Około 9 km od Działna na strażnicy w Kopciowie, w pobliżu Ćwicina, samotnie bronił powierzonego posterunku sierżant Marek Pietrzak. Strażnicę atakowały dziesiątki sowieckich żołnierzy. Ten dzielny żołnierz zabił z karabinu maszynowego 26 bolszewików. Rannych było dużo więcej. Odpierał ich ataki aż skończyła się amunicja. Potem z okrzykiem "Niech żyje Polska" rzucił się na nieprzyjaciół z podniesioną do walki szablą. Zginął śmiercią bohatera, zakłuty bagnetami. Ciało sierżanta zakopali bolszewicy pod strażnicą. Po wkroczeniu Niemców ludzie przewieźli jego prochy na cmentarz w Czarnej Górze.

W podobnych okolicznościach zginął, broniąc strażnicy w Kamiennym Wozie plut. Pełczyński.

W Aleszczykach nad Dźwiną wspomagana przez osadników wojskowych miejscowa placówka KOP-u udaremniła próby przeprawy sowieckiej piechocie przez siedem godzin.

Obronę złamano dopiero po silnym ogniu weswanej na pomoc artylerii. Wiadomo, że wrogowi zadano tam ciężkie straty.

Podobne przykłady można mnożyć.

Oficerów i żołnierzy, którzy po stawieniu zbrojnego oporu decydowali się poddać, bolszewicy do niewoli nie brali. Z rozkazu komisarzy i politruków byli rozstrzelani.

19 września, w dniu w którym wojska sowieckie zajmowały Wilno, bawiący w Gdańsku Hitler oznajmił światu, że Polska w formie ustalonej przez Traktat Wersalski nigdy już nie powstanie. "Nie tylko Niemcy - powiedział - ale również i Roaja to gwarantuje".

"Wyzwoliciele" nadal pokpiwali z naszego Rządu, dowództwa i całej armii, która "rozsyła się po pierwszym niemieckim uderzeniu".

Kpiny i obelżywe epitety pod adresem polskich oficerów i żołnierzy nie ustawały do 22 czerwca 1941 r.

Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że wkroczenie na kresy wschodnie Rzeczypospolitej wojsk sowieckich nastąpiło w oparciu o niemiecko-sowieckie porozumienie z 23 sierpnia 1939 r. Porozumienie to zostało uznane przez Polaków jako 4-ty rozbiór Polski.



## II OKUPACJA SOWIECKA

Wkroczenie na kresy wschodnie wojsk sowieckich było dla nas ogromnym zaskoczeniem. Krążyły pogłoski, że bolszewicy idą nam z pomocą. Wkrótce wszystko się wyśniło.

Już w pierwszym dniu ustał cały handel. Stały fabryki, warsztaty, zakłady usługowe i urzędy. Pełniący służbę na tyłach oficerowie, podoficerowie, żołnierze i policjanci masowo uciekali na Litwę.

Normalnie funkcjonowały tylko kościoły, ośrodki zdrowia i szpitale. Zapanowała atmosfera strachu.

Mama miała pieniądze, ale nie mogliśmy za nie nic kupić. Po kilku dniach uruchomiono piekarnie i sklepy piekarnicze, przed którymi po raz pierwszy ujrzelśmy długie kolejki po chleb. To wtenczas, również po raz pierwszy, usłyszeliśmy słowo "dają".

Aby dostać bochenek chleba musieliśmy zajmować kolejkę z wieczora i stać / na zmianę z mamą i bratem/ całą noc. Zdarzało się że po całonocnym staniu odchodziliśmy z niczym, bo chleba zabrakło. Po paru tygodniach obcej władzy odczuwaliśmy głód.

Na przełomie września i października uruchomiono szkoły. Nie było już w nich narodowych godeł, portretów obu marszałków i prezydenta.

W gimnazjum, do którego chodziłem, usunięto dyrektora. Nowym dyrektorem została matematyczka, pani Oberlejtnerowa. Nie lubiliśmy jej, bo była Żydówką i na każdym kroku podkreślała swoje sympatie do ZSR.

We wszystkich szkołach zniesiono lekcje religii. Od dyrektorki dowiedzieliśmy się, że w Związku Radzieckim całe szkolnictwo posiada charakter świecki. Po pewnym czasie w holu nad klatką schodową pojawiło się odrażające hasło: "Religia - to opium narodu". Pod hasłem widniało słowo "Lenin". Wybrano je z wypowiedzi lub dzieł wodza rewolucji, którego stwierdzeń nikt nie śmiał negować. Ludzie, którzy to hasło kazali wywiesić, wiedzieli, że wszyscy uczniowie naszego gimnazjum byli wierzącymi.

Po tym zdarzeniu zrozumieliśmy, że szkoła, w której nas uczą po polsku, nie jest polską i dlatego nie mieliśmy chęci do nauki. Na lekcje przychodziliśmy z musu.

Rozważaliśmy czy takiej szkoły nie należałoby zbojkotować, ale nie mogliśmy narażać na trudne do przewidzenia konsekwencje swoich rodziców i nauczycieli.

Już we wrześniu ukazało się sowieckie zarządzenie o obowiązku rejestrowania się polskim oficerom i policjantom. Za niedopełnienie obowiązku grożono więzieniem. Wszystkich, którzy się zarejestrowali, chociaż ich było bardzo mało, wywożono do położonych w głębi Rosji obozów jenieckich.

W październiku dowiedzieliśmy się o utworzeniu we Francji polskiego Rządu i formowaniu tam polskiej armii. Szefem Rządu i naczelnym wodzem został gen. Władysław Sikorski.

Od tego momentu wstąpił w nas nowy duch - duch wiary i nadziei. Wieczorami słuchaliśmy wiadomości radiowych z Francji i Anglii. Wszystkie nowe wiadomości przekazywaliśmy sąsiadom, Zrozumieliśmy, że klęska wrześniowa nie oznacza końca naszego udziału w wojnie i wierzyliśmy w ostateczne zwycięstwo.

Na zachodzie mieliśmy nie tylko sojuszników, lecz własny Rząd i własne polskie wojsko.

Wiedzieliśmy, że każdego dnia zasila je potok żołnierzy z obozów dla internowanych w Rumunii i na Węgrzech, że zasilają je także przedzierający się przez wiele granic ochotnicy z kraju.

Słuchanie zagranicznych rozgłośni na ziemiach okupowanych przez Armię Czerwoną było zakazane, W ocenie władz sowieckich rozgłośnie te rozpowszechniały kontrrewolucję i godziły w sowiecko-niemiecką przyjaźń. Pojęcie kontrrewolucji było bardzo szerokie. Mieściło się w nim wszystko, co nie zgadzało się z głoszoną propagandą i co miało lub mogło mieć najmniejszy związek z przywróceniem Polsce niepodległości.

Całą sowiecką propagandę skierowano przeciw Polsce. "Sprzedana zachodnim imperialistom Polska - głosili agitatorzy - przestała istnieć i nigdy już nie powstanie".

Takie były życzenia Moskwy. Tego pragnęła i do tego dążyła, gdy Polska po zrzuceniu jarzma zaborów pojawiła się jako kraj niepodległy.

To jej armie w sierpniu 1920 r. parły na Warszawę, gdy w Białymstoku czekał przygotowany przez samego Lenina czerwony rząd przyszłej polskiej radzieckiej republiki.

To, czego nie udało się osiągnąć wtenczas, postanowiła zrealizować wspólnie i Hitlerem.

Przywódcom sowieckim wydawało się, że cel postawiony w tamtych czasach osiągnęli, ale Polska żyła.



Na Zachodzie działał legalny, cieszący się uznaniem całego poza-hitlerowskiego i stalinowskiego świata Rząd Rzeczypospolitej, tworzyła się armia polska, pod polską banderą po morzach i oceanach pływały nasze okręty...

Antypolskiej propagandzie towarzyszył nasilający się z każdym dniem terror. Mnożyły się aresztowania. Pierwszymi ofiarami byli policjanci, zawodowi wojskowi, pracownicy wymiaru sprawiedliwości, urzędnicy państwowi, działacze /nie licząc komunistów/ partii politycznych, właściciele majątków, księża i t.zw. "kułacy".

Najbardziej poszukiwano oficerów. Wszystkich aresztowanych wywożono do położonych w głębi Rosji więzień i łagrów.

We wszystkich bolszewickich urzędach roiło się od miejscowych Żydów. Z nich rekrutowała się "ludowa milicja" i oni dostarczali dla NKWD informacje o tzw. "wrogim polskim elemencie". Władzę sowiecką uważali za swoją i otwarcie cieszyli się z naszej klęski.

Często kierowali pod naszym adresem różnego rodzaju pogróżki i dotykali nas drwinami. Na każdym kroku oznajmiali, że skończyło się nasze panowanie i że stare czasy nigdy nie wrócą. Małe Żydziaki mnie i kolegów określali "wstrętnymi polskimi mordami. Za pobicie lub obrazę Żyda groziło więzienie lub Syberis.

Na początku października wrócił z wojny ojciec. Był mocno wychudzony, zarosnięty, zamiast butów miał jakieś wiejskie łapcie.. Cieszył się, że po wielu przygodach dotarł do domu, ale bał się o przyszłość.

Od Brześcia do Wilna przywędrował piaszo. Udało mu się wyrwać z łap niemieckich i sowieckich.

Najgorzej było z odnalezieniem pracy, bo byłych wojskowych sowieci nie chcieli zatrudniać.

Duże trudności mieliśmy ze zdobyciem żywności. Gdyby nie ludzie ze wsi, którzy od czasu do czasu, po znajomości, podrzucali trochę chleba i ziemniaków, cierpielibyśmy głód.

28 października Wilno z długim, biegnącym z północy na południe pasem zachodniej części województwa, Moskwa przekazała Litwie. Do miasta wkroczyły wojska litewskie.

Nie wiedzieliśmy nic o związku tego zdarzenia z przekazaniem Niemcom naszych ziem między Wisłą, Bugiem i Sanem.

Okazało się, że 29 września 1939 r. ministrowie spraw zagranicznych obu zaborców podpisali dodatkowe porozumienie. Jeden z załączonych do tego porozumienia protokółów określał zmiany w pierwotnym rozgraniczeniu stref wpływów sowieckich i niemieckich. Litwę włączono do strefy sowieckiej, a część ziem środkowej Polski do strefy niemieckiej.

W ten sposób ustalono ostateczną linię ich granicy.

Litwa otrzymała od bolszewików Wilno, ale musiała się zgodzić na udostępnienie swego terytorium dla rozmieszczenia baz wojskowych Armii Czerwonej.

10 października, po dość długich pertraktacjach, Związek Radziecki wymusił na litewskim rządzie podpisanie traktatu, w który obie strony przyrzekły udzielać sobie pomocy.

Moskwa, gwarantując Litwie pełną suwerenność, zobowiązała się do obrony jej granic i w tym celu, za zgodą litewskiego rządu wprowadziła na jej terytorium swoje wojska.

A wszystko odbyło się, jak już wspominałem, w oparciu o moskiewskie ustalenia z Niemcami.

### III. RZĄDY SMETONOWSKIEJ LITWY

O decyzji władz radzieckich w sprawie przekazania Litwie Wilna i części ziemi Wileńskiej dowiedzieliśmy się po fakcie.

Pewne domysły o opuszczeniu przez Armię Czerwoną tego terenu snuliśmy z nie notowanego do tej pory jednokierunkowego ruchu wojsk

Wszystkie formacje podążały w stronę przedwojennej granicy. Przez kilka dni obserwowaliśmy długie kolumny samochodów z żołnierzami, sprzętem wojskowym i ładunkami stanowiącymi własność społeczną i prywatną Wilnian.

Wywózono różnego rodzaju meble i urządzenia fabryczne. Widziałem nawet szkolne pulpity.

Naszą uwagę zwracał wyjątkowy pośpiech. Dość głośno mówiono, że bolszewicy uciekają.

Nasze domysły potwierdziło nagłe zjawienie się wojsk litewskich. Z ciekawości pobiegłem na dworzec kolejowy. Żołnierze litewscy prezentowali się zupełnie dobrze. W porównaniu do bolszewików byli eleganccy.

Krasnoarmiejcy wyglądali strasznie. Karabiny mieli na sznurkach, zamiast plecaków nosili zwykle związane sznurkami worki. Chodzili w brzydkich, postrzępionych szynelach <sup>x/</sup> i w wyciągniętych na spodnie rubaszkach. <sup>xx/</sup>

Żołnierze litewscy wkraczali do Wilna bez entuzjazmu. U wielu występowało zauważalne przygnębienie. Trafnie wyjaśnił je pewien litewski kapitan.

Przysłuchiwałem się jego rozmowie z kilkoma mężczyznami.

- Powinniście się cieszyć - powiedział jeden z rozmówców - bo dzięki Moskwie odzyskaliście swoje Wilno.

Kapitan, zrozumiał uszczypliwość i spokojnie odpowiedział: - Nie mamy powodów do radości, ponieważ zdajemy sprawę, że wchodząc do Wilna straciliśmy Litwę.

Sądzę, że człowiek ten musiał wiedzieć o narzuconym jego krajowi układzie o wzajemnej przyjaźni i pomocy 10 października 1939 r.

~~Wkrótce po podpisaniu układu...~~

Wkrótce pojawili się w Wilnie delegowani z Kowna przedstawiciele władz litewskich - urzędnicy, policjanci i funkcjonariusze organów bezpieczeństwa państwowego. Prawie wszyscy znali język polski, ale posługiwali się nim rzadko i niechętnie.

Nadal mieli do nas żal o "swoje", bo historycznie litewskie Wilno.

Na każdym kroku spotykaliśmy się z ich nienawiścią do wszystkiego co polskie.

W słowie "Lankas" czyli Polak wyczuwało się pogardę. Często określali Polaków mianem lankųropuže /polska ropucha/.

Włączenie Wilna do Litwy mimo wrogiego do nas stosunku większości Litwinów, wyszło nam na korzyść. Na kilka miesięcy uniknęliśmy straszego losu rodaków z ziem tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy.

Momentalnie odżył handel, ruszyły fabryki, rzemieślnicze warsztaty i zakłady.

Po kilku tygodniach w sklepach nie brakowało żadnych artykułów.

Początkowo podstawowe artykuły spożywcze sprzedawano na kartki, ale szybko je wycofano. Nie spodziewaliśmy się, że tak mały kraj /ponad 340 razy mniejszy od wschodniego sąsiada/ tak szybko upora się z pozostawioną po bolszewikach katastrofalną sytuacją rynkową.

Życie włączonych do Litwy miast i miasteczek wróciło do normy w tempie błyskawicznym. Nad żydowskimi sklepami powiewały trojkolc-  
rowe litewskie flagi i co dziwne - wywieszali je ~~zamiast~~ ci sami ludzie, którzy przed kilkoma dniami nosili czerwone opaski.



22 października na Zachodniej Białorusi i na Zachodniej Ukrainie odbyło się zarządzone przez Moskwę i kontrolowane przez nią głosowanie, na podstawie którego Rada Najwyższa ZSRR włączyła okupowane przez Armię Czerwoną ziemie wschodnie Rzeczypospolitej do Związku Radzieckiego.

Nie wiem dlaczego nie uczyniła tego wcześniej. Patrząc na te wydarzenia z perspektywy czasu, wydaje się, że ~~całkowicie~~ <sup>nie</sup> ~~zwróciła~~ <sup>nie</sup> ~~na~~ <sup>nie</sup> ~~ukazaniu~~ <sup>nie</sup> ~~się~~ <sup>nie</sup> hitlerowskiego dekretu o wcieleniu do Niemiec polskiego Pomorza, poznańskiego, Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego, prawie całego Mazowsza, powiatu suwalskiego, części ziemi łódzkiej i krakowskiej.

Hitlerowski dekret ukazał się 8 października. 30 października Himler wydał zarządzenie o akcji wysiedlania Polaków z obszarów zaanektowanych. Wiemy jak ta akcja przebiegała.

31 października na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR Mołotow wychwalał nowe dobre stosunki z Niemcami, które oparto na traktacie o przyjaźni z 28 września, wyrażał zadowolenie władz radzieckich z klęski wojennej Polski i upadku naszego państwa.

"Wystarczyło - powiedział - szybkie uderzenie na Polskę naprzód ze strony niemieckiej armii, a następnie ze strony Armii Czerwonej, aby nic nie pozostało z tego potworka - traktatu wersalskiego, który istniał przez ucisk niepolских narodowości".

Wypowiedź Mołotowa jest, co prawda niedosłownym, ale w swoim sensie jednoznacznym powtórzeniem wypowiedzi Hitlera z 19 września 1939 r. w Gdańsku.

Różni się od niej chyba tylko tym, że Hitler nie użył określenia "potworek" czy, jak to Mołotow powiedział dosłownie - "bękart".

Podobnie jak na ziemiach polskich okupowanych przez Niemców, gdzie w ślad za wojskiem posuwały się grupy operacyjne policji i służb bezpieczeństwa, na ziemiach opanowanych, a następnie włączonych do ZSRR za wojskiem posuwały się oddziały NKWD, które w tym samym czasie przystąpiły do masowych aresztowań i deportacji ludności.

Antypolskie działania Litwinów były przykre i dotkliwe, ale nie dadzą się porównać do stalinowskiego i hitlerowskiego terroru.

Pamiętam najdotkliwszy zakaz władz litewskich - śpiewania w kościołach pieśni "Boże coś Polskę...". Śpiewaliśmy ją po zakończeniu każdej Mszy św. we wszystkie niedziele i święta, ze zmienionymi w refrenie słowami na "Ojczyźnie wolność racz powrócić Panie".

Mimo nacisku policji na polskie duchowieństwo i różnego rodzaju gróźb zakaz nie przyniósł oczekiwanego skutku.

Na tym tle dochodziło do poważnych incydentów. Zdarzały się przypadki brutalnego wtargnięcia policji do kościołów i aresztowania młodych mężczyzn.

W jednym z wileńskich kościołów doszło do bójki, podczas której poleła się krew. Kilku księży aresztowano. Litwini za wszelką cenę starali się nas zlitwinizować.

Wszystkim Polakom, a szczególnie młodzieży, wmawiano, że każdy rodowity Wilnianin jest Litwinem, że na przestrzeni wieków zostaliśmy spolszczeni...

- Teraz - mówiono - macie okazję powrócić na łono prawdziwej Matki - Litwy.

Poprzekęcano nam polskie nazwiska, dodając końcówki litewskie: "as", "is", "-ys", "-ene" i "-aite". Często zmieniano przy tym nawet rdzenie, np. z Mickiewicza zrobiono "Mickiavičiūsa", z Piotrowskiego - "Piatrauskasa", a z Piotrowskiej - "Piatrauskienė".

Czyniono ogromne trudności w uzyskaniu stałej lub dorywczej pracy.

Dobre posady i wszechstronną pomoc deklarowano każdemu, kto zgodził się zmienić narodowość na litewską. Ojciec w tych czasach pracował tylko jeden miesiąc - kilka dni przy budowie nowej drogi i ~~prace przy~~ przy karczowaniu lasu.

Brat z siostrą uczyli się w szkole powszechnej, a ja kontynuowałem naukę w gimnazjum.

Do wszystkich polskich szkół Litwini wprowadzili obowiązkową naukę języka litewskiego.

Dyrektorem naszego gimnazjum został przysłany z Litwy ksiądz, który dobrze mówił po polsku.

Często przychodził do nas na prowadzone przez ks. dr Araszkiewicza lekcje religii. Był miły i sympatyczny. Nie podobał się nam tylko wtedy gdy czynił uwagi za brak postępów w nauce języka litewskiego.

Pani Gałuniaite /ona ten język wykładała/ nie dawała z nami rady. ~~Często~~ <sup>Wiele razy</sup> doprowadzaliśmy ją do płaczu. Wszyscy mieliśmy u niej dwójki. Wzywała na rozmowy naszych rodziców, a nas kierowała do księdza dyrektora, ale żadne zabiegi nie pomagały.

O ile przed bolszewikami czuliśmy strach, to Litwinów nigdy nie traktowaliśmy poważnie. Uważaliśmy ich za okupantów z konieczności, z którymi w każdym przypadku można poradzić.



Wiedzieliśmy, że Wilno uważali za swoją stolicę i że chcieli to miasto odzyskać, ale nie za wszelką cenę. Starali się to załatwić w sposób uczciwy, nie wykorzystując naszej wrześnieowej klęski.

28 października musieli spełnić wolę Kremla, wobec czego byli okupantem zupełnie innego charakteru niż Niemcy i bolszewicy.

Wiele mówiący jest fakt, że od 28 października do czerwca 1940 r. rząd litewski rezydował w Kownie i swej siedziby do Wilna nie przeniósł.

Mimo nieprzyjaznych i często wrogich poczynań litewskich szowinistów Litwie po naszej klęsce zawdzięczamy bardzo dużo.

Po 17 września 1939 r. kraj ten był azylem politycznym dla wielu tysięcy uchodźców i żołnierzy polskich. Do połowy czerwca 1940 r. przez Litwę prowadziła jedna z nielicznych dróg do polskich formacji na Zachodzie.

W kraju tym utworzono obozy dla internowanych polskich żołnierzy i oficerów z zupełnie znośnymi warunkami życia. Na liczne ucieczki z obozów Litwini patrzyli z przymrużeniem oka.

W Wilnie oraz w wielu innych miastach i miasteczkach istniały warunki do prowadzenia polskiego życia społecznego, charytatywnego i kulturalnego. Duże znaczenie posiadała docierająca do nas pomoc Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

W Kownie urzędowały wszystkie, poza polską, placówki dyplomatyczne. Ambasady krajów z nami sprzymierzonych dopomagały naszym oficerom i podoficerom w przedostaniu się do Francji i Anglii.

Z tych względów włączone do Litwy Wilno posiadało bez porównania lepsze warunki do tworzenia i rozwijania polskiego podziemia z czego na pewno zdawał sprawę Komendant SZP, <sup>x/</sup> gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, bo już w połowie listopada wysłał ~~xxx~~ z Warszawy do Wilna ppłk Nikodema Sulika<sup>xx</sup>, ppłk Janusza Gaładyka i mjr Aleksandra Krzyżanowskiego<sup>xxx</sup>.

Ppłk Gaładyka aresztowano podczas przekraczania granicy sowiecko-litewskiej.

- 
- x - SZP - Służba Zwycięstwu Polski  
XX - ppłk Nikodem Sulik - pierwszy Komendant Wileńskiego Okręgu SZP, później - gen. bryg. i d-ca Kresowej Dywizji 2 Korpusu  
xxx - mjr Aleksander Krzyżanowski - od 30.03.1940 szef sztabu Okręgu Wileńskiego Związku Walki Zbrojnej /ZWZ/, później - komendant Okręgu Wileńskiego, znany jako gen. "Wilk".

Pozostali dotarli do celu i dzięki nim 28 grudnia 1939 r. uformowała się w Wilnie Komenda Okręgu SZP, którą wczesną wiosną przemianowano na podlegający bezpośrednio Komendzie Głównej ZWZ Okręg Wileńsko-Kowieński.

W tym czasie kraj podzielono na sześć obszarów.

Do najważniejszych zadań Komendy Okręgu należały:

- tworzenie silnych struktur organizacji terenowych,
- zbieranie i magazynowanie pozostałej od września 1939 r. broni,
- szkolenie kadr,
- działalność wywiadowcza.

Motorem Wileńskiego podziemia, podobnie jak w całym okupowanym kraju, była składająca się z wspaniałych, całkowicie oddanych Polsce ludzi, kadra oficerska.

Działaniu naszego podziemia bacznie przyglądała się litewska służba bezpieczeństwa, tzw. Sauguma<sup>x</sup>.

Zastanawiający jest fakt, że nie podjęła z nim walki. Pamiętam tylko jeden zamieszczony w tamtych czasach w miejscowej prasie artykuł informujący o wykryciu niewielkiej ilości zmagazynowanej przez polską organizację broni. W artykule nie wymieniono nazwy organizacji i nie wspomniano o jakichkolwiek aresztowaniach.

12 października 1939 r. w Moskwie zaczęły się rozmowy sowiecko-fińskie. Temat był ten sam co podczas rozmów sowiecko-estońskich /28 września/, sowiecko-łotewskich /5 października/ i sowiecko-litewskich /3-10 października/.

Moskwa żądała od Finów zgody na rozmieszczenie w ich kraju baz wojskowych Armii Czerwonej, przesunięcia granicy o kilkadziesiąt kilometrów od Leningradu, włączenia do ZSRR Wyborga, północnej części jez. Łagoda i wysp Alandzkich.

Żądania te mieli Finowie spełnić, podpisując ze Związkiem Radzieckim sugerowany przez Moskwę układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy.

Na odrzucenie żądań Kreml zareagował pogrózkami. Oskarżono Finów o kłamliwą motywację zerwania rozmów i awanturnictwo. Ostrzegano, że Rząd Radziecki nie będzie go tolerować i że Armia Czerwona gotowa jest do zdecydowanej odpowiedzi.

26 listopada na Przesmyku Karelskim padło siedem strzałów artyleryjskich, od których zginęło 4 żołnierzy i 2 oficerów sowieckich, a 7 żołnierzy odniosło rany.

Moskwa zareagowała na to żądaniem cofnięcia od swej granicy wojsk fińskich o 20-25 km.

Finowie odrzucili sowieckie oskarżenia o sprowokowanie incydentu i odmówili spełnienia żądań, twierdząc, że strzały padły ze strony sowieckiej. W celu zbadania sprawy, proponowali utworzenie wspólnej komisji, na co Moskwa nie wyraziła zgody.

28 listopada Mołotow wystąpił z napastliwymi oskarżeniami i oznajmił, że Związek Radziecki został zwolniony z zobowiązań, wynikających z zawartego z Finlandią paktu o nieagresji.

W nocy z 29 na 30 listopada odwołał z Finlandii swoich przedstawicieli. W tym czasie Finów zaatakowała Armia Czerwona. Spotkał ją niespodziewanie silny opór wojsk fińskich.

Świetnie wyszkolona i świadoma celu walki armia małej Finlandii zadawała agresorowi ogromne straty. Napaść sowieckiego kolosa na niezagrażającą nikomu Finlandię wywołała oburzenie całego świata.

14 grudnia na wniosek Anglii i Francji Liga Narodów uznała ZSRR za agresora i wykluczyła ze swej organizacji.

Rządy krajów skandynawskich i państw zachodnich uruchomiły dla bohaterskiego narodu pomoc materialną. Ze Szwecji i Norwegii napływali do Finlandii ochotnicy do walki z agresorem.

Z wojną sowiecko-fińską wiązaliśmy duże nadzieje.

- Skoro Liga Narodów - mówiło się - uznała Moskwę za agresora, to należące do niej kraje powinny pomóc Finlandii go poskromić.  
- Krążyły pogłoski o przygotowywanym na Sowiety ataku sił francuskich i angielskich od strony Kaukazu i półwyspu Bałkańskiego. Wobec braku dostatecznej pomocy w lutym 1940 r. Finowie zgłosili w Moskwie propozycję zakończenia wojny, a 12 maja podpisali umowę pokojową, w której zgodzili się na żądane ustępstwa terytorialne.

Przerwanie działań wojennych nastąpiło 13 marca.

W kwietniu 1940 r. w ZSRR utworzono nową Karelo-Fińską Republikę Radziecką.

Ludzie w starszym wieku twierdzili, że wcześniej czy później dojdzie do wojny bolszewików z Niemcami. Między innymi takiego zdania był nasz ojciec.

Wszystkich denerwowała trudna do zrozumienia cisza na froncie francusko-niemieckim. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy działań, które zadecydują o wyniku wojny i losie Polski.



Rodzice byli bez pracy. Żyliśmy ze sprzedaży zgromadzonych w ciągu wielu lat wartościowych przedmiotów. Na rynku w Kownie ojciec sprzedał ~~dwie~~ kilimy. Dostał za nie aż 500 litów. Był to duży pieniądź, bo jeden lit posiadał wartość przedwojennej złotówki.

Ale potrzeby były również duże. Za samo gimnazjum trzeba było zapłacić 150 litów.

Sytuacja materialna była trudna dla wszystkich. Najważniejsze było to, żeśmy się pozbyli niewoli sowieckiej.

W Nowej Wilejce, w oparciu o wspomnianą już umowę z rządem litewskim stacjonowały wojska sowieckie. Żołnierze nigdy do miasta nie wychodzili - byli zamknięci w koszarach. Oficerowie mieszkali w blokach wojskowych w pobliżu koszar i poruszali się między blokami a koszarami. Dlatego obecności wojsk sowieckich nie odczuwaliśmy.

W czerwcu rozpoczęły się szkolne wakacje, które nikogo nie cieszyły.

Wieczorami słuchaliśmy wiadomości radiowych z Paryża i z Londynu. Tam kierowaliśmy nasze myśli i stamtąd czekaliśmy dobrych wieści.

W połowie czerwca denerwującą ciszę przerwało wysypanie się z koszar sowieckich żołnierzy, którzy błyskawicznie obsadzili najważniejsze punkty miasta.

Na skrzyżowaniach ulic, na mostach i pagórkach ustawili gotowe do strzału karabiny maszynowe. Całe miasto kontrolowały sowieckie patrole. Widziałem jak zatrzymywały litewskich żołnierzy i policjantów.

Granicę litewską przekroczyły oddziały Armii Czerwonej. Na niebie pojawiły się samoloty z czerwonymi gwiazdami. Leciwały w kierunku Forubanku<sup>x</sup> i dalej - na zachód.

W tym samym dniu wojska sowieckie opanowały Łotwę i Estonię. Podpisując z przedstawicielami rządów tych państw układy o przyjaźni i wzajemnej pomocy i rozmieszczając na ich terytoriach bazy wojskowe Armii Czerwonej - Mołotow zaprzeczał krążącym w świecie pogłoskom o ich sowietyzacji. Pogłoski te określił jako prowokacyjne i antyradzieckie. Z całą odpowiedzialnością twierdził, że wszystkie trzy kraje pozostaną w pełni suwerenne.

---

X Forubanek - miejscowość, w której przed wojną było wojskowe lotnisko.

W połowie czerwca przekonaliśmy się o wartości jego zapewnień. Wkrótce Moskwa poinformowała świat, że w Litwie, Łotwie i Estonii powstały nowe rządy, które rozpięły wybory do parlamentów i że nowe parlamenty proklamowały władzę radziecką oraz skierowały do Rady Najwyższej ZSRR prośby o włączenie ich krajów w skład Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Rada Najwyższa wszystkie trzy prośby załatwiła przychylnie i w ten sposób 3. sierpnia 1940 r. Litwa, 5 sierpnia Łotwa i 6 sierpnia Estonia weszły w skład Związku Radzieckiego.

Moskwa głosi do dzisiaj, że włączenie do Kraju Rad Litwy, Łotwy i Estonii odbyło się zgodnie z prawem i w oparciu o wolę narodów.

Mieszkańcy Ziemi Wileńskiej wiedzą jak wygląda prawda. Wiemy w jaki sposób powstały tam nowe parlamenty, kto je powołał i kto w nich zasiadał. Pamiętamy również o woli trzech bliskich nam narodów...

Oprzeć się sowieckiej przemocy udało się tylko bohaterkiej Finlandii. Jej heroiczna obrona w zimie z 1939 na 1940 r. sprawiła że dzisiaj jest krajem wolnym i niepodległym.

Lata 1930-1940 wzbogaciły sowiecką historię o dwa "sławne" wydarzenia - wspaniałe zwycięstwo nad "potworkiem traktatu wersalskiego" /nad Polską/ i "narzuconą przez reakcjonistów sprawiedliwą wojnę z groźącą Związkowi Radzieckiemu Finlandią".

#### IV. ROK WŁADZY RADZIECKIEJ

Wcielone do ZSRR trzy kraje bałtyckie do czasu okupacji niemieckiej były wyraźnie uprzywilejowane. Moskwa nie stosowała w nich przymusowej kolektywizacji wsi. Dobrze zorganizowane i zasobne prywatne gospodarstwa rolne stanowiły podstawę wysokiej w stosunku do innych sowieckich republik stopy życiowej.

Sklepy wszystkich branż, a szczególnie sklepy spożywcze były dobrze zaopatrzone i nie było przed nimi kolejek. Ceny towarów w porównaniu do poziomu w niepodległej Litwie wielokrotnie wzrosły, ale w stosunku do cen w pozostałych republikach były dużo niższe.

Dobre zaopatrzenie rynku, wysoki jak na sowieckie warunki standard życia i względy bezpieczeństwa państwowego zdecydowały, że mieszkańcom Związku Radzieckiego do nowych radzieckich republik wjazd był wzbroniony.



Zakaz nie dotyczył osób kierowanych służbowo. W naszym mieście było dużo wojska, ale nigdy nie widzieliśmy spacerujących ulicami żołnierzy. Spotykaliśmy ich tylko obok komisarzy i politruków, załatwiających sprawy służbowe i oglądaliśmy w kolumnach marszowych .

Dowództwo sowieckie bało się szkodliwych kontaktów żołnierskiej masy z miejscową ludnością.

Uważało, że nowe ziemie przesiąknięte są gorszą niż zaraza, ogromnie niebezpieczną dla ludzi radzieckich i socjalistycznego państwa, kontrrewolucją.

. Niebezpieczne w ~~ję~~ oczach było wszystko. Wystarczy wymienić wspomniane już indywidualne rolnictwo, pełne wiernych kościoły, dprze zaopatrzone sklepy, warunki życia przeciętnego mieszkańca, a przede wszystkim stosunek ludności do sowieckiego komunizmu.

Komisarze i politrucy widzieli niebezpieczeństwo we wszystkim, co zwykły żołnierz mógł ogarnąć wzrokiem i słuchem. Tylko oni i wyżsi dowódcy wojskowi korzystali z ograniczonej swobody.

Po pewnym czasie mogli sprowadzić w głąbi ZSRR żony i dzieci. Byli to bardzo biedni ludzie. Kobiety ubrane w szare wojskowe szynele i żołnierskie rubaszki... Dzieci chodziły w szytych na wyrost ubrankach przerobionych z ojcowskich płaszczy. Przez dłuższy czas robiły wrażenie zdziwionych, wystraszonych... Podobnie zachowywały się mamy. Przypominały biedaków, którzy pierwszy raz w życiu, trafiając do przyzwoicie urządzonego mieszkania, nie wiedzą jak się w nim zachować.

Do miasta nigdy nie wychodziły pojedynczo. Towarzyszyli im mężowie albo wybierały się gromadnie. W sklepach wyglądały na skrępowane. Na pełne półki towarów spoglądały z niedowierzaniem. Nie mogły zrozumieć, że sprzedaje się bez żadnych ograniczeń. Byłem świadkiem, jak pytały czy można kupić "cały kilogram" kiełbasy.

To prawda, że żony oficerów jako suknie na bal kupowały nocne koszule.

Wiele towarów nie umiały określić, ponieważ nigdy ich nie widziały. Nie orientowały się do czego służą, a mimo to kupowały.

Dla sowieckich dzieci zorganizowano nowe szkoły. Obawiano się, że w naszych szkołach mogłyby zgorszyć się.

Kontaktów z Polakami obawiano się wszędzie.

Książki i zeszyty mieli bolszewicy nosili w ojcowskich polowych torbach. Widocznie w ich kraju o tornister lub uczniowską teczkę nie było łatwo.

Mimo ostrych zakazów nasze kontakty z przybyszami stopniowo zacieśniały się. Najszybciej poznawały się ze sobą dzieci, a przede nich mamusie.

Radzieccy tatusie udawali, że nic o tym nie wiedzą.

Po kilku miesiącach sąsiedzkie znajomości zacieśniły się do tego stopnia, że żony sowieckich oficerów prosiły nasze mamy o kupno święconych krzyżyków i medalików. Często zwracały się do nich o pomoc w ochrzczeniu dzieci. Same bały się pójść w tych sprawach do księdza. Robiły to w tajemnicy przed mężami lub ją pozorowały.

We wrześniu rozpoczął się nowy rok szkolny. Nasze gimnazjum przekształcono na dziesięciolatkę. Drugą klasę, do której uczęszczałem, przekształcono na szóstą.

W 23 rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej całą szkolną młodzież zapędzono na wiec, który odbył się w poczekalni dworca kolejowego. Czuliśmy się tam bardzo obco. Z ich komunistyczną rewolucją nie mieliśmy nic wspólnego.

Dziwna to była uroczystość. Nie przypominała w niczym obchodów naszych świąt narodowych.

Od udziału w wiecu nie było odwołania, ponieważ odbywał się w godzinach lekcyjnych.

W poczekalni stała pokryta czerwienią trybuna, na której zajęli miejsca jacyś osobnicy. Na ścianach wisiały portrety obcych nam wodzów.

Osobnicy z trybuny ni stąd ni zowąd zaczęli klaskać w dłonie, na co zareagowaliśmy głośnym śmiechem, co wcale ich nie peszyło. Potem sami odśpiewali "Międzynarodówkę" i zaczęli wygłaszać jakieś przemówienia. Wszystkie kończyli oklaskami, na które sala reagowała milczeniem.

Każdy mówca wznosił okrzyki na cześć genialnego wodza całej postępowej ludzkości, najmądrzejszego i najukochańszego Stalina.

Wznosząc okrzyki podnosili do góry mocno zaciśnięte pięści prawe ręki. Patrzyliśmy na nich jak na dzikusów.

Po wiecu zastanawialiśmy się co te pięści znaczą. Mogły znaczyć siłę, groźbę, gniew. W naszym odczuciu stanowiły groźbę.

W 22 rocznicę niepodległości Polski uczniowie starszych klas gimnazjalnych przynieśli do szkoły kolorowe nalepki z białymi orłami i biało-czerwone wstążeczki. Każda klasa otrzymała swój przydział. Nalepki rozlepiliśmy na oknach, a wstążeczki poprzypinaliśmy pod klapkami szkolnych mundurków.

Uczeń, który jej nie posiadał mógł być uznany za tchórza lub zdrajcę. Na szczęście w naszej klasie takich uczniów nie było.

Tego dnia w szkole czuliśmy się wspaniale. Działo się coś, co przypominało znane z historii czasy carskiego zaboru - walka z reprezentującymi zaborców szkolnymi dyrektorami, protesty, represje, policja....

Nalepki nie uszły uwadze władz szkolnych. Pamiętam, jak do klasy wpadł partyjny dyrektor. Mówiono, że za rządów prezydenta Smetony z oświatą nie miał nic wspólnego. Pochodził z Kowna i był działaczem komunistycznej partii.

Zawsze widywaliśmy go w długiej komisarzkiej kurtce i dlatego przezwaliliśmy szoferem.

Któregoś dnia zastępował chorą polonistkę, panią <sup>1</sup>Misturową. Zamiast uczyć polskiego, przez całą lekcję uprawiał bredliwą propagandę o panującej w Niemczech biedzie. Opowiadał, że Niemcy nie mają masła i jedzą tylko margarynę, że zamiast cukru używają sacharyny i że ubrania szyją z włókien używanych do produkcji papieru. Twierdził, że w czasie deszczu ich ubrania rozłożą się jak papier.

Teraz stał przed nami i wrzeszczał. Groził wszystkim Syberią i aresztowaniem rodziców. Domagał się ujawnienia kolegów, którzy dostarczyli nalepki i kazali je ponaklejać. W klasie panowało milczenie. Mimo krzykliwych i groźnych poleceń, by oczyścić z nalepek okna, nikt nie ruszył się z miejsca. Gdy zadzwonił dzwonek na przerwę, bez jego zgody opuściliśmy klasę. Po paru minutach wyszedł i on. W klasie nalepek już nie było. Tym razem skończyło się na pogrózkach.

Jedyne, co z tamtych czasów można było zapisać bolszewikom na plus, to szybkie uporanie się z bezrobociem. Ojciec dostał stałą posadę w fabryce drożdży. Pracował w niej w charakterze ślusarza. Mama otrzymała pracę w zakładach mięsnych.



Zarobki rodziców były słabe, ale na życie starczało.

Wobec szerzącego się terroru ten plus nikogo nie cieszył.

Wkrótce po opanowaniu Litwy władze sowieckie powtórnie zarządziły rejestrację wszystkich polskich oficerów i policjantów. Za uchylanie się od obowiązku rejestracji groziło więzienie i katorżna praca w sowieckich łagrach. Zarejestrowanych wywożono w głąb Rosji.

Nasze życie upodobniło się do <sup>życia</sup> przodków z czasów Nowosilcowa i Murawjowa: Tamci wtrącali do więzień, wywozili za Ural i skazywali na śmierć za opór i niepokorność władzy carskiej. Bolszewicy nie czekali na opór. Przy pomocy żydowskich szpiclów i donosicieli oraz w oparciu o składane w zakładach pracy życiorysy ustalali kto jest wrogiem sowieckiej władzy lub może być dla niej niebezpieczny.

Już jesienią 1940 r. miały miejsce liczne aresztowania, które najmocniej dotknęły oficerów i policjantów. Osadzono w więzieniach działaczy politycznych i społecznych, uczestników wojny w 1919 i 1920 roku z bolszewicką Rosją, byłych sędziów, prokuratorów, urzędników państwowych, działaczy organizacji młodzieżowych, księży, właścicieli majątków, bogatszych chłopów, zawodowych wojskowych ...

Byłym wojskowym zarzucano służbę dla umacniania "reżimu" marszałka Piłsudskiego. Pozostałych więźniów oskarżano o kontrrewolucję.

Najgorzej traktowano członków polskiego podziemia. Każde zbiorowe i indywidualne działanie, zmierzające do przywrócenia Polsce niepodległości uważano za najcięższe przestępstwo.

Chęć dotarcia do tworzonych na Zachodzie armii polskiej traktowano na równi z chęcią walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu

Miałem dwóch wujków, którzy postanowili przedostać się do Francji. Obaj mieszkali w Wilnie. Zostali aresztowani podczas próby przejścia sowieckiej granicy. Skazano ich na 10 lat łagrów. Jednego zwolniono w 1941 r. po ogłoszonej dla Polaków amnestii. Był w armii gen. Andersa i po wojnie urządził życie w Ameryce.

Drugiego nie zwolniono, bo w łagrze zachorował na schizofrenię. Wrócił do Polski w 1956 r. jako stuprocentowy inwalida. Widziałem się z nim we Wrocławiu. Biedak nie zdawał sprawy, że jest na wolności. Po roku zmarł.

Pojęcia braku winy bolszewicy nie znali. Wystarczyło podejrzenie.

Oskarżeni o działalność kontrrewolucyjną i antyradziecką byli pozbawieni obrony. Nikt z oskarżonych nie śmiał powoływać się na świadków, bo naraziłby ich na wzięcie. Każde wystąpienie w obronie oskarżonego w sprawach politycznych w ZSRR było równoznaczne z samobójstwem. W pojęciu funkcjonariuszy NKWD bronić wroga władzy radzieckiej mógł tylko wróg, wobec czego należało go nstychmiast aresztować. Do podejrzanych o wrogą działalność zaliczano każdego, kto nie popierał radzieckiej władzy. Pozbawiano wolności wszystkich, którzy dla funkcjonariuszy NKWD wydawali się niebezpieczni lub niepewni.

Wiosną 1941 r. na Wileńszczyznę przybyły transporty żołnierzy w niebieskich czapkach, których użyto do przeprowadzenia masowej deportacji ludności. W stronę zachodniej granicy przerzucano ogromne ilości wojska i wojskowego sprzętu. W dzień i w nocy mknęły w tamtym kierunku długie transporty czołgów, ciężkich dział i wojskowych samochodów.

Obok wojsk jechały transporty mężczyzn w ubraniach cywilnych. Na zadawane pytania odpowiadali, że jadą do pracy.

Żołnierze i cywile często prosili krążących w pobliżu chłopaków, by kupili coś do zjedzenia. Wielokrotnie spełniałem ich prośby.

Biegałem z kolegami do najbliższych sklepów po wędliny, słoninę, wędzony boczek, masło, chleb, zeszyty i koperty.

Żołnierze i cywile wyrażali ogromne zdziwienie, że artykuły te można kupić bez kolejek i w dowolnej ilości. Za tego rodzaju usługi bardzo dobrze płacili. Jeden kilogram słoniny kosztował w tym czasie około 8 rubli, a oni dawali 15 i 20, resztę kazali wziąć za fatygę.

Później dowiedzieliśmy się, że cywile jechali do prac przy budowie i rozbudowie obiektów wojskowych. Miejscowej ludności, ze względu na brak zaufania, tego rodzaju prac nie powierzano.

Był początek czerwca. Od klęski wrześniowej upłynęło ponad 20 miesięcy. Niemcy mieli już w swoim posiadaniu Danię, Norwegię, Belgię, Luksemburg i znaczną część Francji, z jej stolicą. Pod okupacją niemiecką była także Grecja i Jugosławia.



Po zaciętych walkach o grecką wyspę, Kretę, na frontach panował względny spokój. Inicjatywa w działaniach wojennych nadal spoczywała w rękach Hitlera. Chwilowy spokój określano "ciszą przed burzą". Świat oczekiwał nowego, potężnego uderzenia wojsk niemieckich, ale nikt nie potrafił określić jego kierunku. Najczęściej wymieniano Gibraltar i Wyspy Brytyjskie. Tego rodzaju prognozy snuła również prasa sowiecka. Od wiosny 1941 r. Moskwa wyraźnie szykowała się do wojny. Wskazywały na to kierowane w stronę granicy transporty żołnierzy, broni i pośpieszne budowanie wojskowych obiektów. Na murach budynków i płotach pojawiły się plakaty potępiające imperialistyczną ~~walkę~~ wojnę. Przedstawiano na nich dwa światy: jeden pełen słońca, zieleni, i kwiatów, z rozbawionymi tchnącymi radością dziećmi; drugi - pogrążony w wojnie, z ruinami płonącego miasta, z trupami kobiet, mężczyzn i dzieci. Każdy wiedział, że plakatowym światem słońca był ZSRR, a światem wojny - kraje kapitalistyczne.

Naszym sąsiadem był sowiecki oficer. Od czasu do czasu przychodził do ojca na pogaduszki.

Pewnego dnia ojciec spytał go o polityczną wymowę plakatów. Chciał wiedzieć dlaczego nie było ich wcześniej.

- Kola /tak miał na imię oficer/ oświadczył, że Związek Radziecki nie może być biernym, gdy w interesie kapitalistów i imperialistów giną niewinni ludzie.

Długo tłumaczył o ciężącym na ZSRR proletariackim obowiązku.

- Z tego obowiązku - powiedział - nikt nas nie zwolnił. Wkrótce Niemcy rzucą się na Anglię, dojdzie do walki rozstrzygającej, w której obie strony wyczerpią siły. Wyczerpanych wojną przeciwników pogodzą nasi. Gdy uderzymy, za kilka dni staniemy nad Atlantykiem. Wyzwolimy od faszystów nie tylko Polskę, ale całą Europę, nad którą powieje czerwony sztandar Wielkiej Październikowej Rewolucji. Plakaty są po to, by ludzi do tego przygotować.

- Masowe aresztowania i deportacje poważnie osłabiły wileńskie podziemie. Między innymi aresztowano Komendanta Okręgu ZWZ ppłk. Nikodema Sulika, Komendanta Obwodu N. Jantysa, mjr. Władysława Kamińskiego i ks. Kazimierza Kucharskiego<sup>x</sup>.

---

x - ksiądz Kazimierz Kucharski - wielki patriota i wybitny działacz konspiracyjny. Występował pod pseudonimem "Szymon". Na przełomie kwietnia 1941 r. został aresztowany przez NKWD. Zwolniony w wyniku ogłoszonej w ZSRR dla Polaków amnestii był kapłanem w polskiej ambasadzie w Kujbyszewie.

Na skutek aresztów z czołowej kadry ubyło ponad 100 osób.

Po ppłk Suliku dowództwo nad okręgiem przejął mjr Aleksander Krzyżanowski, późniejszy gen. "Wilk". Jemu w największym stopniu zawdzięczamy przetrwanie wileńskiego podziemia w najtrudniejszym okresie, którym bezspornie była okupacja sowiecka.

Każdy dzień przynosił smutne wiadomości o aresztowaniach sąsiadów i znajomych. Każdego dnia spotykaliśmy w mieście zapłakane matki, żony i dzieci, którym zabrano najbliższych.

Wileńskie więzienia nie były tak zapełnione nawet za czasów carskich. Na wszystkich stacjach kolejowych stały długie towarowe pociągi, do których ładowano przywożonych z domów ludzi.

Zabierano ich przeważnie w nocy. Zerwani ze snu musieli przygotować się do drogi w ciągu 15-20 minut. Ze sobą mogli wziąć tylko tyle, ile byli w stanie unieść.

Bolszewicy nie rdzuczulali się nad płaczem dzieci i kobiet. Ich kamienne serca nie znały litości nawet nad starcami, kalekami, brzemiennymi matkami i niemowlętami. Na listach skazanych figurowały całe rodziny.

Codziennie przez Nową Wilejkę przejeżdżało kilka załadowanych skazańcami towarowych pociągów. Część formowano w głębi Litwy, ale większość odchodziła z Ziemi Wileńskiej. Wszystkie pod silną eskortą żołnierzy w niebieskich czapkach.

Deportowanych w drodze na zesłanie traktowano na równi z więźniami.

Często zabierano ludzi z zakładów pracy, a uczniów starszych klas - prosto ze szkół.

Jechali do "stalinowskiego rajku" bez pożegnania z matkami, ojcami, bez ostatniego rodzicielskiego pocałunku i błogosławieństwa.

Wiele osób ukrywało się po wsiach, nocowało w lasach i w stogach siana. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. Wszędzie głośno mówiono, że na listach do wywózki na Sybir są wszyscy Polacy.

Raz udało mi się zbliżyć do otoczonych żołnierzami z resortu Berii pociągów z ludźmi. Miałem wówczas czternaście lat. Widziałem jak dusili się z braku powietrza. W upalne czerwcowe dni nie dawano im wody. Słyszałem kołatanie w ściany wagonów i wołanie o litość.

- Dajcie wody! - wołały zrozpaczone kobiety.

--- chociaż zwilżyć usta ...  
- Wtórował im płacz niewinnych dzieci  
- Ratunku, umieram ...  
- Na stacji stały dwa pociągi. W pewnej chwili pojawili się wyżsi funkcjonariusze NKWD. Towarzyszący im podoficer trzymał pod pachą kilka teczek z ankietami, które podawał stojącemu przy otwartym wagonie oficerowi. Słyszałem głośnie wywoływanie nazwisk mężczyzn. Wywoływani wychodzili z wagonu i ustawiali się dwójkami. Tworzono z nich 20-30 osobowe grupy i odprowadzano do drugiego pociągu.

Do dzisiaj widzę tragiczne sceny pożegnania z odrywaniem od żon, dzieci i matek mężczyznami. Słyszę lament kobiet, żalony płacz biednych dzieci... Nigdy nie zapomnę ściskających ~~gardła~~ serce ostatnich pocałunków, głądzenia miłych dziecięcych główek, ostatnich znaków krzyża świętego i ostatnich spojrzeń zezławionych oczu.

- Skorej, pobystej! x - poganiały głosy najeżonych bagnietami żołnierzy.

- Tragiczne sceny pożegnania powtarzały się przy każdym wagonie. Prózne wołania o litość mieszały się z płaczem, przekleństwami, błagalnymi wezwaniami o pomoc do Boga, Matki Boskiej i wszystkich świętych. Przy każdym wagonie - ostatnie pocałunki, szorstkie głosy NKWD-istów, ostatnie spojrzenia i głuchy łoskot zasuwanych drzwi...

Było to straszne, nieludzkie, okropne...

Pan Bóg tylko wie ile drogich i najbliższych sobie osób rozstało się wówczas na zawsze.

Wszyscy nienawidziliśmy Niemców, ale nienawiść do bolszewików była o wiele większa.

Niemcy przed nami nie maskowali się. Ich zbrodnicze plany wobec Polski i polskiego narodu były powszechnie znane. Znali je również przywódcy sowieccy, ale do dnia napaści Niemiec na ZSRR żaden z nich tych spraw nie poruszał. Temat ten zbywała milczeniem sowiecka prasa - milczało radio...

W tamtych czasach nie interesowały ich hitlerowskie zbrodnie.

Niszczenie poczucia naszej narodowej tożsamości stanowiło wspólny cel Berlina i Moskwy.

---

x - skorej, pobystej! - prędzej, szybciej!



Obie stolice realizowały go konsekwentnie, lecz po swojemu. Jedni i drudzy używali do tego niehumanitarnych, zbrodniczych sposobów.

Dziesiątki, a nawet setki polskich oficerów, którzy po 17 września złożyli broń Armii Czerwonej, osadzono w więzieniach. Z głodu, chorób i niehumanitarnych metod prowadzonego śledztwa znaczna część tam umarła. W obozach jenieckich Starobielska, Ostaszkowa i Kozielska jeńców traktowano jak więźniów. Dniami i nocami męczono ich na przesłuchaniach.

Niemcy wziętych do niewoli oficerów nie wtrącali do więzień. Wszyscy przebywali w "oflagach", gdzie panowały zupełnie znośne warunki.

Na przestrzeni 21 miesięcy sowieckiej władzy na kresach wschodnich uwięziono i deportowano w głąb Rosji więcej Polaków niż przez cały okres carskiego zaboru.

Teraz wiemy, że zesłańcom, nie mówiąc o więźniach, nie stworzono warunków, które są niezbędne nawet w niewolniczym i półniewolniczym życiu.

Każdego dnia kosiła ich śmierć. Umierali z głodu, chorób, z zimna i z ciężkiej pracy. Był to świadomy sposób na zniszczenie przewodniej siły narodu - inteligencji.

Oderwaną od niej ludową masę wystarczyło zastraszyć.

- Głód - mówili beriojscy oprawcy - szybko ją upokorzy, oczyści z wyznawanych ideałów, pozbawi ludzi godności...
- Załamać człowieka moralnie, poniżyć i podporządkować własnym celom - to zasada, którą kierowało się NKWD.

Jeden Bóg zna cierpienia zesłanych i skazanych w tamtych czasach rodaków. Tylko On wie ilu ich zginęło.

Wszyscy wiedzieliśmy, że zapadł na nas wyrok, od którego nie było odwołania.

Zapadł wyrok tylko za to, że kochaliśmy Ojczyznę inaczej niż uczył tego Stalin, że inaczej pojmowaliśmy znaczenie wolności, dobra, prawdy i sprawiedliwości.

Zbrodniczą akcją masowej deportacji, aresztowania i skazywania niewinnych ludzi na wieloletnie więzienie i łagry przerwała wojna.

Przed Syberią, bolszewickimi więzieniami i łagrami w czerwcu 1941 r. uratowali nas Niemcy.

Taka jest prawda. Nie im dziękowaliśmy za to, lecz Bogu i tej, co w Ostrej świeci Bramie.



Tę wiadomość przyjęliśmy z ulgą. - Będą musieli przerwać deportację. Tabor kolejowy - mówił pan Rajs - będzie teraz potrzebny dla wojska.

- Ojciec był tego samego zdania. Obaj uważali, że atak Hitlera na Sowiety przyspieszy koniec wojny.

Po południu niemieccy piloci na Wilno i okoliczne miasta rzucili dziesiątki śmiercionośnych bomb. Wybuchły pożary. W Nowej Wilejce paliła się fabryka drożdży, lniarnia i papiernia. Poważnie uszkodzono linię kolejową. Kilkanaście osób poniosło śmierć. Tym razem sowiecka artyleria milczała. Nie dawało o sobie znaku życia również sowieckie lotnictwo. Niemieccy piloci latali sobie zupełnie bezkarnie. Krążąc nad płonącymi obiektami, ostrzeliwali je z pokładowej broni maszynowej. Starym zwyczajem polowali na wydostających się z płomieni i gruzów robotników.

Ataki powietrznych piratów trwały do północy. Poniedziałek minął spokojnie. Niebo ciągle było pełne hitlerowskich samolotów. Wszystkie leciały na wschód. Wilna i okolice nie bombardowały.

Sowieckie lotnictwo nie odzywało się.

Po południu bolszewicy wysadzili w powietrze koszary. Znałem je bardzo dobrze. Przed wojną często odwiedzałem tam ojca. Były piękne - pełne zieleni przypominały duży zabudowany park.

We wtorek z rana, 24 czerwca, do Wilna wkroczyły wojska niemieckie.

Nie spodziewaliśmy się, że dotrą do nas tak szybko.

Śmiali się bolszewicy z wojaczki naszych ojców, a sami wypadli o wiele gorzej. Uciekali dużo szybciej. Ponad dwieście kilometrów w ciągu dwóch dni - to chyba rekord... Gdyby to tempo nie uległo zmianie, za 4 lub 5 dni Niemcy byłiby w Moskwie.

Przed południem wybrałem się z kolegą do miasta. Ulicą Wileńską przejeżdżały długie kolumny niemieckich żołnierzy. Prezentowali się świetnie - uśmiechnięci, pewni siebie, zadowoleni z błyskawicznych sukcesów...

- Stalin kaput ! - wołali do przyglądających się gapiów. Podziwialiśmy ich wygład, ogoleni, czyści, w wyglansowanych do połysku butach. W niczym nie przypominali żołnierzy z frontu.



Szli naprzód po kolejne zwycięstwo.

W rozmowach z Wilnianami twierdzili, że najdalej za dwa tygodnie będą w Moskwie. W upadku sowieckiej stolicy widzieli koniec "czerwonego kolosa".

Po kilku dniach w naszym mieszkaniu zakwaterowano dwóch niemieckich pilotów. Byli bardzo młodzi. Do rodziców i do nas odnosili się zupełnie poprawnie. Nigdy nie pozwolili by mama po nich sprzątała. Sami przynosili ze studni wodę, rąbali i nosili drewno... Wojnę przyjmowali na wesoło.

Chwalili się, że latają nad Moskwą. Dowcipkując zapewniali, że podczas najbliższego lotu muszą rozwalić Kreml i ukatrupić Stalina.

W pierwszych dniach niemieckiej okupacji całą Wileńszczyznę obiegła wiadomość o wspaniałym wyczynie polskich kolejarzy, którzy uratowali przed Syberią cały transport rodaków. Mimo nalegań i pogróżek funkcjonariuszy NKWD, kolejarze nie dali parowozów. Gdy NKWD-iści opuścili dworzec, pootwierali wagony i uwolnili ponad dwa tysiące osób.

Z innych stron dochodziły wiadomości tragiczne. W wielu wileńskich miastach i miasteczkach, między innymi w Berezweczu i Starej Wilejce przed wycofaniem się bolszewicy wymordowali setki więźniów. Parę tysięcy pieszko pognali na wschód. Upadających z sił, nie zdolnych do dalszego marszu, rozstrzeliwali. Znajomi opowiadali o potwornych morderstwach w więzieniu w Starej Wilejce. W połowie lipca ekshumowano zwłoki ofiar sowieckich zbrodni koło wsi Kasuta.

Rozmawiałem ze świadkiem ekshumacji, Aldoną R /nazwiska z wiadomych powodów nie ujawniam/. Oto jej relacja:

" Gdy Niemcy pognali Ruskich na wschód, przez dwa tygodnie było u nas bez władzy. Mieszkałam wtenczas u swoich rodziców koło Miadzioka. W połowie lipca ktoś ~~wix~~ zawiadomił nas, że koło Kasuty, przy drodze prowadzącej na wschód ze Starej Wilejki, w dołach po ziemiakach są pomordowani ludzie. Słyszałam, że niektórzy odnaleźli tam swoich bliskich.

Miejscowi chłopci utworzyli coś w rodzaju komisji. Nazwaliśmy ją "Komisją Czerwonego Krzyża". Jako "Komisja" wybraliśmy się do Kasuty. Było nas kilka furmanek. Jechałam furmanką z kuzynem.

Obok Kasutybiegła szosa i był sosnowy las, przy którym wykopano doły na kartofle. Ludzie ze wsi opowiadali, że po 22 czerwca sowieci gnali więźniów ze Starej Wilejki i wtedy od strony sosnowego lasu usłyszeli strzały. Bali się wypatrywać. Po pewnym czasie poczuli dochodzącą stamtąd woń. Gdy poszli zobaczyć, spod cienkiej warstwy piachu wystawały ręce i nogi. Przy pierwszych odgrzebanych zwłokach znaleziono adres i zawiadomili rodzinę. W ten sposób wiadomość o sowieckim morderstwie rozeszła się po całej okolicy i dotarła do Miadzioła.

W dołach odnaleźliśmy około stu ciał. Staraliśmy się ustalić ich tożsamość. Ustaliliśmy, że wszystkich aresztowano przed 1 maja. Byli to młodzi ludzie. Podejrzewano ich o działalność antysowiecką, bo pochodzili z bogatych rodzin albo przed wojną należeli do młodzieżowych organizacji.

Między innymi wydobyliśmy z dołów zwłoki pochodzącego z Rosoch ppor. Franciszka Pisarczyka. Po kampanii wrześniowej powrócił do rodziny w Rosochach i tam go aresztowali. Do aresztowania pracował w Miadziole jako mierniczy.

Wszystkie zwłoki miały powiązane drutem ręce. Był to gładki cienki drut. Strzały oddawano w tył głowy.

Później dowiedzieliśmy się, że ktoś z pobliskich krzaków egzekucję obaerwował.

Sowieci prowadzili do dołów po 10 osób, ustawiali rzędem i rozstrzelali.

Kuzyn po złotych koronkach rozpoznał swego szwagra. Ludzi wrzucano do dołów, jak popadło. Jedni byli skuleni, inni w postawie zbliżonej do siedzącej, a jeszcze inni w leżącej. W kieszeniach mieli zawinięte w szmatki porcje cukru - może dwa a może trzy deko - i karteczki wielkości pudełka zapalek z wypisanymi nazwiskami, imionami i adresami.

Może wypisali je na wypadek nieszczęścia ...

Mężczyźni wyciągali z dołów trupy, a ja przeszukiwałam kieszenie. Szukałam dowodów, które pozwoliłyby ustalić ich tożsamość.

Pamiętam wspomnianego już ppor. Pisarczyka i Wincentego Reginię. Reginia mieszkał dwa kilometry od swego ojca. Przed wojną należał do Strzelców. Przez jakiś czas pracował u niego na gospodarstwie. Pamiętam również Protasa z Horbów koło Miadzioła.

Wszystkich zabrali z domów przed 1 maja. W naszym rejonie aresztowali wtenczas całą polską młodzież, między innymi mego kuzyna.

Sowieci tę akcję nazywali "czystką" Spośród aresztowanych w czasie "czystki" ocaleni moi dwaj wujowie.

Po napaści niemieckiej na Sowiety gnali ich z więzienia w Starej Wilejce na wschód. Kolumna składała się z kilku tysięcy osób. Pozostających w tyle bolszewicy rozstrzeliwali. NKWD-iści jechali konno, a ludzie szli pieszo. Wuj wyskoczył z kolumny za przydrożny krzak. Udawał, że załatwia fizjologiczne potrzeby. NKWD-iści nie zwrócili na niego uwagi i udało mu się zbiec do lasu.

Drugi wuj usiłował zrobić to samo, ale Sowiet go zauważyli i zaczęli strzelać. Ranili w piętę. Gdy zbliżył się do niego żołnierz udał nieżywego. Poczuli parokrotne kopnięcie, po czym usłyszał oddalające się kroki - był uratowany.

Liczni znajomi jeździli oglądać pomordowanych w więzieniu w Starej Wilejce.

Po tym, co widziałam w Kasucie, nie pojechałam z nimi. Ludzie, którzy tam byli, mówili że wrócili z katowni. W więzieniu widzieli pełno trupów. Walały się po korytarzach, w celach i na więziennym dziedzińcu. Ciała pomordowanych odnajdywano nawet w Kiblach. Zakrwawione posadzki i ściany, poprzyklepiane do ścian włosy i kawałki mózgu robiły potworne wrażenie.

Z Kasuty zabraliśmy osiem czy dziewięć ciał. Chłopi zrobili trumny i powieźliśmy je do Miadzioła. Rodziny pochowały ofiary sowieckich zbrodniarzy na wiejskich cmentarzach. Ppor. Pisarczyka pochowano w Rosochach".

" Między Łużkami a Dzisną w parafii Jazno, bolszewicy w dniu odwrotu dopadli księdza Franciszkanina, który przed nimi ukrywał się. Oprawcy przywiązali go za nogi lejcami do konia i po wyboiszej kamiennej drodze wlekli galopem przez 13 km. Po księdzu pozostały tylko przywiązane lejcami nogi." x

Sowieckich mordów z tamtych czasów nikt nie spisywał. ~~Do tej pory nie powołano instytucji, która zajęłaby się ich badaniem. Nikt zbrodniarzy nie sądził i nie osądzi.~~ Ludzie, którzy ich zbrodnie pamiętają są już na wymarciu. Dla historii pozostaną tylko rzadko spotykane opisy, które nie mogą stanowić pełnego obrazu straszego ludobójstwa.

---

x - relację o zamordowanym księdzu posiadam od Stanisława K. Nazwiska nie ujawniam.



O morderstwach w Berezweću, Starej Wilejce i w innych miastach województwa wileńskiego rozpisywała się okupacyjna niemiecka i proniemiecka prasa. Zamieszczono w niej zdjęcia pomordowanych i nazwiska. Treści publikowanych na ten temat artykułów już nie pamiętam i nie chcę na nie powoływać się. Dla mnie ważne są relacje godnych zaufania świadków.

Po odejściu wojsk sowieckich poczuliśmy ulgę. Nie groziła już nikomu Syberia. Cały kraj znalazł się pod okupacją jednego wroga, co ułatwiało mobilizację wszystkich sił do trwającej od 1 września walki.

Okupant niemiecki mało różnił się od okupanta sowieckiego. Był tak samo okrutny, ale niepodstępny.

Bolszewicy występowali w roli obrońców ludzi pracy, głosili hasła równości, wolności i sprawiedliwości, a w więzieniach i łagrach trzymali miliony niewinnych, z których większość stanowili robotnicy i chłopci.

Pierwsze niemieckie zarządzenia, w których ostrzegano ludność przed skutkami oporu wobec władzy i grożono rozstrzelaniem 100 Żydów i 60 Polaków za każdego zabitego niemieckiego żołnierza, nie wywarły na nas oczekiwanego wrażenia. Byliśmy na to przygotowani.

W Wilnie i zachodniej Wileńszczyźnie władzę administracyjną od początku niemieckiej okupacji sprawowali Litwini. Litewska służba bezpieczeństwa, tzw. "sauguma" została podporządkowana niemieckiemu gestapo.

Nowe władze zarządziły rejestrację polskich oficerów i obywateli radzieckich /osób, które przybyły do nas z ZSRR po 17 września/.

W gazetach i komunikatach radiowych ostrzegano ludność przed udzielaniem pomocy ukrywającym się żołnierzom Czerwonej Armii, zbiegłym z transportów i obozów, jeńcom wojennym i funkcjonariuszom ~~niemieckiej~~ sowieckiej władzy.

Za udzielanie pomocy grożono karą śmierci.

Żydom na piersiach i plecach kazano nosić duże żółte gwiazdy i zabroniono chodzić po chodnikach. Znęcanie się nad Żydami żołnierze niemieccy uważali za rozrywkę. Sam widziałem jak z rozkazu niemieckich żołnierzy Żydzi maszerowali i śpiewali pieśń o Stalynie. Bywało, że zabijano Żydów dla zabawy.

W końcu czerwca po raz pierwszy pojawiły się nad Wilnem samoloty sowieckie. Leciały w stronę mieszczącego się na Porubanku wojskowego lotniska. Na skrzydłach i kadłubach widniały czerwone gwiazdy.

Stałem z podniesioną do góry głową i liczyłem zbliżające się do celu maszyny. Naliczyłem ponad trzydzieści.

Byliśmy zdziwieni, że Niemcy nie reagują. Nawet nie ogłosili lotniczego alarmu.

Baliśmy się, że za chwilę wileńskie lotnisko przestanie istnieć. Znałem je sprzed wojny. Bywałem na fascynujących pokazach lotniczych.

Nagle usłyszałem huraganowy grzmot przeciwlotniczej artylerii. Na niebie pojawiła się jedna wielka chmura dymu. Z przerażeniem obserwowałem spadające na ziemię maszyny. Ciągnęły za sobą długie warkocze ciemnego dymu i strzelające wiązki płomieni.

W chwili upadku następowały potężne eksplozje i wyrastały wysokie słupy dymu i ognia. Ocalałe z zaporowego ognia samoloty pośpiesznie wracały na wschód. Na ratujących się ucieczką pilotów rzucały się zaczajone wysoko Messerschmidy. Niemcy strzelali do Rosjan jak do kaczek. Wobec szybkości i zwinności niemieckich maszyn bolszewicy byli bezradni.

Żadna sowiecka maszyna z tej akcji nie powróciła do bazy.

Każdy dzień wojny przynosił Niemcom nowe terytorialne zdobycze. Komunikaty radiowe informowały o zwycięstwach niemieckiej armii, wymieniały zdobyte miasta, ilości zniszczonego i zdobytego sprzętu wojskowego i wziętych do niewoli żołnierzy.

Wszystkim wydawało się, że na bolszewików przyszedł koniec. Wiarygodność niemieckich komunikatów potwierdzały przejeżdżające przez Wilno długie transporty sowieckich jeńców.

W zniszczonych w drugim dniu wojny koszarach urządzono olbrzymi obóz jeniecki.

Klęskę sowieckiej armii potwierdzali zbiegli z transportów i obozów jeńcy.

Uciekali nie z patriotycznych pobudek, lecz po to, by ratować życie.

W obozach jenieckich panował głód i szerzyły się epidemie zakaźnych chorób. Na zwalczanie epidemii Niemcy mieli tylko jeden sposób - chorych jeńców rozstrzeliwano.

Głód doprowadzał ludzi do ludożerstwa. "Ludożerców" Niemcy karali śmiercią.

W obozach dla jeńców sowieckich nie było Żydów, których rozstrzeliwano zaraz po wzięciu do niewoli.

Niemiecka propaganda przedstawiała Związek Radziecki jako państwo niewolnicze, w którym władzę sprawują Żydzi.

Radio nawoływało Rosjan do zaprzestania beznadziejnej walki. Sowieckich pilotów wzywano, by nie wsiadali do przestarzałych samolotów, które określano "latającymi trumnami".

W odezwach do żołnierzy Czerwonej Armii twierdzono, że Niemcy niosą Rosji wolność.

- Pragniemy Was, Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy - wołały niemieckie rozgłośnie - wyzwolić spod komunistyczno-żydowskiego jarzma. Przechodźcie na naszą stronę! Żołnierze niemieccy otoczą was opieką, nakarmią i napoją...

- Po pierwszych miesiącach wojny klęska bolszewików nie ulegała wątpliwości.

Przed całkowitym pogromem mogła ich uratować tylko pomoc z zewnątrz.

Musiąco więc dojść do zawarcia przez Kreml odpowiednich układów ze sprzymierzeńcami Polski. Rosja potrzebowała żywności i nowoczesnej broni, a szczególnie czołgów i samolotów. Wojna z Niemcami zmusiła Moskwę do zasadniczych zmian w polityce zagranicznej.

Byliśmy pewni, że zmiany te wpłyną na nowy, życzliwy stosunek do walczącej Polski.



## VI. OKUPACJA NIEMIECKA

Nie pamiętam dokładnie kiedy dowiedzieliśmy się o podpisaniu ważnego dla wszystkich Polaków układu polskiego Rządu z Moskwą.

Z różnych źródeł docierały wiadomości o radykalnych zmianach w sowieckiej polityce, którą z wyraźnie proniemieckiej zmieniono na prozachodnią.

Najważniejszą wiadomością była zarządzona przez samego Stalina amnestia dla wszystkich więzionych w ZSRR obywateli polskich.

Ze zwolnionych jeńców wojennych, więźniów i zesłańców Stalin zgodził się utworzyć podporządkowaną Rządowi polskiemu polską armię. Pakt Ribbentrop - Mołotow, na podstawie którego Niemcy i bolszewicy podzielili się Polską, uznał za nieważny. Wyglądało na to, że wszystko, co się z nim wiązało, runęło w przepaść.

"Genialny wódz" starał się, byśmy jego znowę z Hitlerem i zadany 17 września 1939.r. walczącej w osamotnieniu Polsce cios w plecy puścili w niepamięć. Czynił ~~razami~~ wrażenie, że szczerze pragnie naprawić wyrządzone Polakom krzywdy.

W wymuszonych katastrofalną sytuacją na froncie zmianach w polityce Kremla ludzie wiązali duże nadzieje.

Niektórzy oczekiwali nawet zmian ustrojowych. Krążyły pogłoski o rzekomej dekoloktywizacji wsi i przyznaniu większych swobód prawosławnej cerkwi. <sup>Polole</sup> Pochodziły przeważnie od sowieckich jeńców.

Armie niemieckie stanęły pod Moskwą. Z zachodu na wschód bez przerwy podążały pociągi z wojskiem i sprzętem wojennym.

W odwrotnym kierunku płynęły pełne transporty jeńców. Nikt ich nie karmił, nie poił. Z głodu, chero**ć** i zimna umierali w transportach i w obozach.

Odważniejsi ratowali się przed śmiercią ucieczką. Ze zbiegami pierwszy raz spotkałem się w listopadzie.

Wieczorem, było już ciemno, odprowadzałem do domu babcię. Mieszkała mniej więcej 1 km od nas. Na rogu ulicy Krakowskiej i Przechodniej spostrzegliśmy trzech ubranych w sowieckie szynele mężczyzn. Gdy zbliżali się do nas usłyszałem słowo "mamasza".<sup>x</sup>

x - mamasza - mamusiu

Rosjanie błagali o ratunek. Mówili, że uciekli z kolejowego transportu. - Niemcy strzelali... kilku naszych leży na kolejowej skarpie. Nam się udało, ale nie wiemy co robić, nie znamy drogi, kolega ma odmrożone nogi...

- Ludziom trzeba było pomóc, więc zawróciliśmy do domu.

Rodzice dali biedakom jeść i postarali się o cywilne ubrania.

Zostali u nas na noc. Transportowali ich w otwartych węglarkach i dlatego byli strasznie zmarznięci. Po kilku godzinach zaczęli dochodzić do normy. Mówili, że chcą dostać się do Mińska. Tam mieli swoje rodziny.

Z rana, po śniadaniu, odprowadziłem ich kilka kilometrów za miasto

Ojciec radził, by poruszali się tylko bocznymi drogami.

Na pożegnanie zapewniali, że będą się za nas modlić. Ze łzami w oczach dziękowali za okazaną pomoc.

Wszyscy trzej potwierdzali krążące wśród sowieckich żołnierzy pogłoski o zapowiadanych zmianach w polityce wewnętrznej. Dużą nadzieję pokładali w dekollektywizacji wsi. Z utęsknieniem wspominali okres NEP-u.<sup>x</sup>

- Gdyby nie kołchozy, w Rosji byłoby inne życie. Stalin - mówili - doprowadził kraj do ruiny.

- Zbliżała się zima. Zapowiadany przez Niemców szybki upadek sowieckiej stolicy odwlekał się. Przez Nową Wilejkę coraz częściej przejeżdżały sanitarne pociągi z rannymi żołnierzami niemieckimi, co mówiło o skuteczności sowieckiej obrony.

Oczekiwaliśmy powstrzymania niemieckiej ofensywy i generalnego kontrnatarcia, wzmocnionych bronią sojuszników sowieckich wojsk. Liczyliśmy, że do tego czasu do działań na froncie zostanie przygotowana tworzona w ZSRR armia polska, która zastąpi Rosjan, gdy zbliżą się do polskiej granicy.

Byliśmy przekonani, że do wyzwolenia Polski armia sowiecka nie będzie potrzebna.

- Sprzymierzeńcy zaatakują Niemców z zachodu, armia gen. Andersa - od wschodu, w kraju wybuchnie powstanie, które wesprzą desanty wojsk polskich z Anglii i Bliskiego Wschodu i kraj będzie wolny.

---

x - NEP - Zarządzana przez Lenina po Rewolucji Październikowej tzw. "Nowa Polityka Ekonomiczna". Chłopi dostali ziemię, dominowały w niej zasady gospodarki wolnorynkowej.

- Wszędzie mówiło się wówczas "aby do wiosny". Powiedzenie to zrodziło się wkrótce po klęsce wrześniowej. W nim wyrażaliśmy naszą wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Do szkoły w czasie okupacji niemieckiej nie chodziłem, bo wszystkie polskie ~~szkoły~~ gimnazja były zamknięte.

Ojciec urządził się do pracy na kolei w charakterze ślusarza, przez co cała rodzina była uprawniona do kartek żywnościowych, które nie zaspokajały potrzeb nawet w 50 %, ale stanowiły znaczną pomoc. Wolnorynkowe ceny artykułów żywnościowych były astronomiczne i dlatego na wolnym rynku dominował handel wymienny. Ludność miejska wyzbywała się swego majątku, wymieniając na chleb, nabiał, tłuszcze, ziemniaki i inne produkowane przez wieś artykuły. Na wsi wymieniano na żywność odzież, obuwie, dywany, meble, maszyny do szycia, mydło, sól, tytoń, złoto ... Często wieloletni dorobek zbywano pośrednikom i spekulantom.

Wielokrotnie chodziłem z mamą na wieś po żywność po 60 i 80 km od Nowej Wilejki. Im dalej od miasta, tym wymiana była korzystniejsza.

Wymienioną żywność targaliśmy na plecach. Chłopi okazywali nam dużo serca. Za posiłki i noclegi nigdy nie brali zapłaty. Przyjmowali nas tak, jak przyjmuje się gości. Po zawarciu znajomości odwozili do domu końmi.

- Policzmy się - mówili - gdy wrócą dobre czasy. Narazie wystarczy "Bóg zapłać".

Wiele osób i całych rodzin przeniosło się z miasta na wieś. Wyjeżdżali do krewnych i znajomych. Jedni wyjeżdżali, by zarobić trochę żywności, inni - by spokojnie przesiedzieć do końca wojny lub ochronić się przed prześladowaniami okupanta. Byli i tacy, którzy jechali do innej pracy, ale ze względów konspiracyjnych wiedzieliśmy o nich niewiele.

W tamtych trudnych i niebezpiecznych czasach wileńska wieś zdała egzamin na piątkę z plusem. Wystarczyło jedno polskie słowo, a zaraz świadczyła pomoc. Udzielała jej każdemu. Obcej władzy wileńscy chłopcy mieli powyżej uszu. Mocno odczuli na swej skórze bolszewików i dobrze poznali Niemców.

I jednych i drugich wieszali na tej samej gałęzi. Pragnęli powrotu do Polski. Ta była dla nich najlepsza. Na każdym kroku podkreślali, że są "polskiej wiary" i mówili, że wiary tej nigdy się nie wyrzekną.



- Zdradzić Polskę, zdradzić wiarę - to zostać Judaszem, to - sprzedać duszę diabłu.

- Tak rozumowali ci prości, nieuczni, często niepiśmienni ludzie.

Na wszystkich okupowanych terenach Niemcy zaprowadzi*li* oparte na terrorze swoje porządki.

W celu zabezpieczenia spokoju brali zakładników, których wybi*e*tali spośród znanych w kraju i w świecie naukowców, lekarzy, księży, adwokatów, pedagogów ... W przypadku naruszenia "spokoju" zakładników rozstrzeliwali, informując o tym ludność w miejscowej prasie.

W lesie przy kolei wiodącej z Wilna do Grodna jest miejscowość Ponary. Przed wojną Wilnianie wybierali się tam na niedzielne i świąteczne spacer*y*.

W miejscowości tej, w czasie okupacji sowieckiej wykopano duże doły, które miały służyć do magazynowania paliwa. Niemcy wykorzystali je w innym celu - zagrzebali w nich 100 tysięcy rozstrzelanych w ponarskim lesie niewinnych ludzi. Większość ofiar stanowili Żydzi.

W ostatnim dniu sierpnia 1941 r. niemieckie oddziały SS przy współudziale litewskiej policji okrążyły kilka ulic starego miasta. Z krzykiem wpadali do żydowskich mieszkań i wyganiali ludzi na ulicę. Część wygonionych osadzono w więzieniu na Łukiszkach, a część przeniesiono do getta.

Wileńskie getto składało się z dwóch odizolowanych od siebie części miasta - tzw. dużego i małego getta. Większość przekwaterowanych tam Żydów pracowała w mieście i poza miastem. Wychodzili z getta na podstawie wydawanych przepustek. Co pewien czas większe i mniejsze grupy ludzi wywożono z getta do Ponar, i rozstrzeliwano.

Jesienią 1943 r. wileńskie getto uległo likwidacji. Większość zamieszkałych w nim Żydów stracono w Ponarach. Część wywieziono do obozów śmierci na terenie Łotwy i Estonii.

Mniej więcej w tym samym czasie egzekucje na ludności żydowskiej przeprowadzano we wszystkich wileńskich miastach i miasteczkach.

Żydów z Nowej Wilejki rozstrzelano w pobliżu majątku Wieluciany. Wykonawcami egzekucji byli przeważnie Litwini.

Pierwsze zbrodnie na niewinnej ludności żydowskiej przyjęliśmy z trwogą i oburzeniem. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Nikomu nie mieściło się w głowie, by ktoś mógł strzelać do bezbronnych ludzi - do starców, kobiet i dzieci; by przed egzekucją ustawiał maluchów czwórkami, prosił, by dzieci wzięły się za rączki i prowadząc je w kierunku dołów zwracał uwagę, by szły równo. Nie mieściło się w głowie, by ten ktoś po dokonaniu potwornych zbrodni mógł spokojnie wrócić do domu czy koszar i czuć się jak wszyscy po normalnej, codziennej pracy.

Często od litewskich szowinistów słyszeliśmy pogrozki, z których wynikało, że po załatwieniu Żydów zabiorą się do nas.

Wiosną 1943 r. zaangażowałem się do pracy na kolei. Pracowałem przy wyładunku węgla. Czasami obok  pracowali radzieccy jeńcy. Wyglądali strasznie - brudni, oberwani, zarośnięci, wychudzeni, z bladymi jak papier twarzami. Prosilili nas tylko o jedno - o kawałek chleba. W miarę naszych możliwości /pracowałem tam z kolegą Władkiem/ staraliśmy się im pomóc. Przynosiliśmy żywność. braliśmy adresy i wysyłaliśmy listy do ich rodzin i znajomych, zamieszkałych na terenach okupowanych przez Niemców. Ludzie ci z głodu jedli surową trawę. Do pracy zgłaszali się ochotniczo, licząc na nawiązanie kontaktów z miejscową ludnością i upragniony kawałek chleba.

W obozie umierali z głodu i chorób. Za drobne naruszenia obozowej dyscypliny Niemcy stosowali karę śmierci.

Po wojnie ustalono, że w obozie jenieckim w Nowej Wilejce zmarło z głodu i chorób /wraz z rozstrzelanymi/ 50 tysięcy osób.

Terror i zbrodnie okupanta potęgował opór ludności, który przyjmował różne formy. Ludzie masowo uchylali się od pracy i pracowali na zwolnionych obrotach. Zjawiskiem powszechnym stało się niszczenie niemieckiego mienia. W podporządkowanych okupantowi zakładach i instytucjach masowo występowały kradzieże. Kraść u Niemców - to osłabiać wroga i ratować się przed niezabezpieczającymi minimum warunkami życia.

Codziennie z Władkiem<sup>x</sup> kradłem im węgiel. Napełnialiśmy duże torby i nosiliśmy do domu. W kradziony węgiel zaopatrywaliśmy jedną z naszych sąsiadek, panią kapitanową Witkowską.

---

x - Władek - Władysław Bujko - kolega ze szkoły i bliski sąsiad

Mąż sąsiadki nie wrócił z wojny, a na utrzymaniu miała dwie córki. Wiedzieliśmy, że była w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Torby z węglem wysypywaliśmy jej pod drzwiami mieszkania. Sąsiadka nie wiedziała kto ten węgiel przynosi. Kilkakrotnie opowiadała o tym mamie.

▼ To chyba jakieś anioły, bo nigdy nie udało się mi ich zobaczyć. Nie mogę nawet podziękować, ale zawsze dziękuję w modlitwach.

-Pracę traktowaliśmy jako złą konieczność. Staraliśmy się, by wróg nie miał z niej pożytku. Czyniliśmy mu różnego rodzaju drobne szkody. Podczas przerw śniadaniowych wykrecaliśmy z obrabiarek najrozmaitsze części. Potem wrzucaliśmy je do palenisk parowozów. W paleniskach lokowaliśmy znalezione pojemniki z naftą i benzyną i narzędzia pracy. Zatrudnieni u nas Warszawiacy twierdzili, że na Wileńszczyźnie na Niemców nie powinno się narzekać.

- Pojechalibyście - mówili - do Warszawy ... Tam pełno gestapowców i esesmanów. Kto trafi w ich ręce, z życiem może się pożegnać. Na murach stolicy codziennie rozlepiają obwieszczenia z wykazami rozstrzelanych rodaków. Polskie podziemie również działa. Na łapanki i egzekucje odpowiada zamachami na niemieckich dygnitarzy. Od kul chłopców z podziemia giną funkcjonariusze gestapo i szpicle. Tutaj jest spokojnie i cicho. Tam każdego dnia leje się krew. Warszawa walczy ...

- Słuchając ich opowieści czuliśmy wyrzuty sumienia. Pociaszaliśmy się tym, że na Wileńszczyźna nie pozostanę w tyle. Pozorna cisza była ciszą przed burzą.



## VII. PIERWSI PARTYZANCI

Pierwsze pogłoski o partyzantach dotarły do Wilna wiosną 1942 r.

Nie wszyscy dawali wiarę. Powiadano, że w terenie operują grupy uzbrojonych ludzi z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Słyszałem, że wszyscy posiadają maszynowe pistolety. Jedni mówili, że chodzą w mundurach, inni - że ubrani są różnie.

Bajeczne wiadomości z biegiem czasu rozpowszechniały się.

W maju 1942 r. całą Wileńszczyznę obiegła wieść o udanym zamachu na wysokiego niemieckiego dygnitarza. Zastrzelono go na szosie między Starymi Święcianami a Łyntupami. O zamachu pisała polska - niemiecka prasa. Wydawany w Wilnie "Goniec Codzienny" w numerze z 24 maja informował, że zbrodniczego napadu na przedstawiciela władzy niemieckiej dokonali polscy bandyci. Dygnitarz odbywał podróż samochodem, który obrzucono granatami i ostrzelano z maszynowych pistoletów. Z zamachu uratowała się tylko tłumaczka - Polka

Faszystowskie gazety podawały, że w odwecie, w okolicy Święcian rozstrzelano 400 Polaków. Według informacji pochodzących z polskiego podziemia rozstrzelano 1350 Polaków - 1200 w okolicy Święcian i 150 więźniów z więzienia łukiskiego.

Akcję odwetową powierzyli Niemcy Litwinom, którzy strzelali do każdego spotkanego na drodze lub w polu chłopca. Umundurowani mordercy zabijali ludzi w mieszkaniach. Nie szczędzili kobiet, starców i dzieci.

Faktycznie sprawcami zamachu byli partyzanci sowieccy. Litwini celowo zrzucili winę na Polaków. Chodziło im o uzasadnienie zbrodniczej akcji na polskiej ludności, a przede wszystkim o zasianie wśród Polaków atmosfery strachu.

Pierwsi partyzanci sowieccy rekrutowali się z byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy nie zdążyli wycofać się na wschód ze swoimi jednostkami i ze zbiegłych z transportów i obozów jeńców.

Przez jakiś czas ludzie ci ukrywali się po wsiach i zaściankach. Mieszkali i pracowali u chłopów. Wielu wyglądało na zadowolonych, że udało się ująć z kleszczy komunizmu i otwarcie cieszyli się z sowieckich klęsk.

Gdy Niemcy przystąpili do rejestrowania byłych żołnierzy, porzucali chłopskie gospodarstwa i życie osiadłe zamienili na wędrownie.

Kawałek chleba zdobywali wyciągając ręce do dobrych ludzi, albo grożąc pistoletem. Grupy "wędrowców" przekształcały się w grupy rabunkowe.

Niemcy bezwzględnie ściągali od chłopów kontyngenty, a bandy grabieżców ogołacały z dobytku. Najbardziej ucierpiały wsie położone dalej od głównych szlaków, większych miast i miasteczek. Po pierwszych sukcesach armii sowieckiej, na Wileńszczyźnie pojawił się spadochroniarze, którym polecono zorganizowanie luzem chodzących band w oddziały partyzanckie. Dołączali do nich liczeni na palcach, poszukiwani przez władze okupacyjne komuniści i Żydzi.

Zrzutkowie z samolotów rekrutowali się z przeszkolonych do walk na tyłach frontu oficerów politycznych i funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. W tym samym czasie na wschodnie ziemie Polski przemieszczały się oddziały sowieckich partyzantów, z obszarów, które przed wojną należały do ZSRR. Część tych oddziałów po zaopatrzeniu się w żywność wracała na ziemie sowieckie, a część pozostała u nas na stałe.

Miejscowa ludność do partyzantki sowieckiej nie garnęła się, ponieważ duchowo związana była z Polską. Okupacja sowiecka dała się we znaki wszystkim. Nieznane poza obszarem bolszewickiego panowania zakłamanie sowieckiego najeźdźcy w latach 1939/41 poznała ludność miejska i wiejska. Do tego dochodził terror i burzenie wszystkiego, czego mieszkańcy ziemi wileńskiej dokonali w ciągu wieków.

Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej stanowił dla nich moment oddechu i nadziei. Do domów wróciło sporo uwięzionych, których okupant sowiecki nie zdążył wywieźć na poniewierkę, tułaczkę i śmierć, na daleką północ i za Ural.

Po raz pierwszy partyzantów sowieckich spotkałem latem 1942 r. w rejonie Niestaniszek.<sup>x</sup> Byłem wtenczas z mamą. Szliśmy do sąsiedniej wsi - Sięcieniet. W połowie drogi spotkaliśmy czterech uzbrojonych mężczyzn, wszyscy byli wyposażeni w maszynowe pistolety, granaty i nagany.

---

x - Niestaniszki - wieś ok. 70 km na północno-wschód od Wilna

Na czapkach mieli pięcioramiennie gwiazdy.

Pytali o Niemców. Gdy zorientowali się, że jesteśmy Polakami, jeden z nich oznajmił, że w Rosji jest polskie wojsko.

Pamiętam, że prosił mamę o tytoń, a mnie pytał kiedy przyjdę do nich. Mama odpowiedziała, że muszę jeszcze podrosnąć. Gdybyśmy spotkali naszych - z orzełkami - nie musiałbym podrosnąć.

W kilka miesięcy później sowieccy partyzanci zaczęli palić majątki i folwarki. Późnym wieczorem lub w nocy otaczali zabudowania. Z mieszkań zabierali właścicieli i zarządców. Potem padały strzały i wybuchały płomienie. Ofiary zbrodni pozostawiali na podwórku.

Często tego rodzaju akcje połączone były z grabieżą. Partyzanci przeszukiwali szafy, kufry, komody i zabierali wszystko, co wartościowe.

Przed odejściem kobiety, dzieci i starców wyganiałi na podwórze. Potem podpalali budynek.

Zdarzało się, że obok pana majątku, od kuli partyzantów ginęła jego żona.

W Nowej Wilejce miałem koleżankę, Halinę Huszczówną, której starsza siostra wyszła za mąż i wyjechała do posiadłości męża w pobliżu Królewsczyzny.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że sowieccy partyzanci zastrzelili jej męża.

Opowiadała, że wpadli do majątku jak dzikusy. Małżonkowi kazali wyjść z mieszkania. Nie pozwolili pożegnać się. Zaczęła płakać. Chciała pójść za nim, ale nie pozwolili. Gdy wyjrzała przez okno, padł strzał. Z przerażenia zamknęła oczy. Potem usłyszała kroki i dwa strzały. Po otwarciu <sup>oczu</sup> widziała jak od bezwładnego małżonka oddalał się partyzant. Domyśliła się, że ostatnie strzały pochodziły od niego. Widocznie pierwszy był niezbyt celny.

Przed odejściem podpalili zabudowania.

Hanka - tak miała na imię - uciekła do sąsiadów, a po paru dniach wróciła do rodziców.

Państwo Huszczowie rozpaczali. Mieli dobrego zięcia. Zamordowano go w cztery miesiące po ślubie bez żadnego powodu.

Później dowiedzieli się, że powody były, bo zięć był oficerem rezerwy i sowieci zaliczyli go do warstwy obszarników. Inaczej mówiąc był wrzgiem klasowym sowieckiej władzy.



Przywódcy radzieckiego podziemia tłumaczyli chłopom, że obszar-  
nicy pomagają Niemcom - dostarczają im dużo zboża i mięsa.

Po zniszczeniu majątków partyzanci dobrali się do  
gospodarstw chłopskich. Najbardziej narażone na rabunki były  
gospodarstwa położone w oddali od wsi - tzw. zaścianki.

Chłopi bali się czerwonych gorzej niż Niemców, którzy  
rzadko zapuszczali się w teren i nigdy nie urządzali swych  
operacji w nocy. Łatwiej mogli ukryć przez nimi swój dobytek  
i ostrzec osoby zagrożone.

Sowieci docierali do najgłuchszych zakątków. Rzadko  
w tym czasie noce były spokojne.

Tak było w rejonach położonych w pobliżu ich baz. Niekiedy  
organizowali dalsze wypady. Czasem zapuszczali się aż pod przed-  
wojenną granicę z Litwą. Wyraźnie bali się licznych placówek  
niemieckich i posterunków policji, unikali terenów, położonych  
w pobliżu miast i miasteczek.

W czasie okupacji niemieckiej walki z oddziałami niemieckimi  
prowadzili bardzo rzadko. Działania bojowe ograniczyli do minowa-  
nia torów kolejowych, palenia majątków, młynów i likwidowania  
wrogów sowieckiej władzy.

### VIII. ZBRODNIĄ KATYŃSKĄ

W kwietniu 1943 r. Wileńszczyznę obiegła wstrząsająca wiadomość o potwornej zbrodni katyńskiej. Temat ten przez długi czas nie schodził ze szpalt miejscowych gazet, w których zamieszczano zdjęcia otwartych mogił, długie rzędy ekshumowanych zwłok oraz wykazy nazwisk pomordowanych z wyszczególnieniem stopni wojskowych, numerów pułków, rodzaju broni... Przy niektórych nazwiskach podawano stopnie naukowe. O katyńskiej zbrodni informowała również misyjowa rozgłośnia radiowa. W mieście rozlepiono mnóstwo plakatów z zaimprovizowanymi scenami egzekucji.

Twórca plakatu <sup>stworzył</sup> obraz zbrodni w oparciu o ustalenia komisji, powołanej do <sup>tego</sup> zbadania. ...

Na plakacie rzucała się w oczy krocząca ku zboczzonej krwią zbiorowej mogile, postać generała. Miał lekko pochyloną głowę, twarz spokojną, smutną, zamyśloną... Dobrze pamiętam rozpięty długi oficerski płaszcz, wyczyszczone do połysku buty, czapkę - rogatywkę z białym orłem i generalskie zygzaki. Parę kroków za generałem podążali umundurowani bandyci z NKWD. Skierowane w stronę bezbronnej ofiary nagany nie wymagały komentarza. Przy mogile odbywały się egzekucje kilku oficerów. Piękne, wysokie sosny mówiły, że zbrodni dokonano w lesie.

Według niemieckich informacji mordercy zabijali oficerów pojedynczo. Każdą ofiarę prowadzono do mogiły i do każdej strzalamo z bliska w tył głowy.

W takich warunkach żaden oficer nie mógł uniknąć śmierci.

Otwieranie zbiorowych mogił odbywało się przy współudziale międzynarodowej komisji, która składała się ze znanych w świecie naukowców w dziedzinie medycyny i innych nauk.

Komisja orzekła, że zbrodni dokonano w pierwszej połowie 1940 r.

Katyń odświeżył nie zagojone z lat 1939-1941 rany.

Wilnianie do niemieckich informacji odnieśli się z rezerwą. Ludzie zastanawiali się czy zbrodni nie dokonali Niemcy. Mogli przecież tego dokonać w celu odwrócenia uwagi świata od własnych zbrodni, a także w celu odwrócenia nienawiści niepokornych Polaków w innym kierunku. Powstawały więc wątpliwości. Moskwa obarczała zbrodnią Niemców. Ludzie, którzy przeżyli rewolucję, nie mieli żadnych wątpliwości.

- W pojęciu każdego bolszewika - mówili - oficer polski ~~należy~~ nie różnił się od oficera carskiego.

Głównym celem sowieckiej Rosji jest opanowanie świata. Na drodze do Europy bolszewicy mają Polskę, która tę drogę raz im zamknęła.

Większość carskich oficerów zlikwidowali w czasach rewolucji. Dlaczego mieliby oszczędzać polskich? Takich okazji bolszewicy nie marnują....

Wszystkie zebrane w sprawie Katynia dowody obciążają Moskwę. Międzynarodowy trybunał w Norymberdze wniosek strony radzieckiej, obciążający zbrodnią Katyńską hitlerowskie Niemcy, nie bez powodów, odrzucił.

"Władza ludowa" w Polsce w sprawie Katynia woli nie wypowiadać się.

W kraju wydano setki książek o Oświęcimiu, Majdanku i wszystkich miejscach zbrodni hitlerowskich. Wyświetla się na ten temat mnóstwo filmów w kinach i w telewizji. Milczeniem zbywany jest tylko Katyń.

Najwidoczniej władza ta pragnie, by zbrodnia katyńska poszła w niepamięć. Zapomina, że od prawdy nie można uciec. Prawdę o Katyniu znają wszyscy Polacy. Zna ją nawet urodzona i wychowana w PRL młodzież. Wszyscy wiemy, że zamordowali ich bolszewicy tylko dlatego, że byli filarem niepodległej Polski.

Od lipca 1941 r. do odkrycia zbrodni katyńskiej Związek Radziecki był naszym sojusznikiem. Polacy z kresów wschodnich nie darzyli go zaufaniem nigdy - nawet w okresie tzw. sojuszu, któremu od początku do końca towarzyszyły niemożliwe do pokonania problemy. Jeśli po umowie "Sikorski-Majski" pojawiły się pewne nikłe nadzieje na ich rozwiązanie, to Katyń je przekreślił.

Ufaliśmy jedynie faktycznym sojusznikom.

Wyzwolenie Polski widzieliśmy bez udziału Moskwy. Liczyliśmy na nasze zbrojne podziemie i wspieraną przez sojuszników armię na Zachodzie.



## IX. PARTYZANTKA POLSKA

Latem 1943 r. zostałem wezwany do kancelarii naczelnika warsztatów kolejowych, pana Bartkusa, który oświadczył, że przenosi mnie do pracy w położonym na granicy Litwy z Prusami Wschodnimi Wierzbąłowie.

Na pytanie "dlaczego?" odpowiedział, że sprawiamy mu zbyt dużo kłopotów. Z rozmowy wynikało, że miał na myśli również mojego najbliższego kolegę - Władka.

- Robię to - powiedział - dla waszego i mojego dobra. Gdybyście na wyjazd nie wyrazili zgody, w najbliższym czasie zajmą się wami Niemcy. Niemieccy zwierzchnicy mają was na oku...

- Taką samą rozmowę Bartkus przeprowadził w Władkiem.

Naczelnik warsztatów był Litwinem. Zawsze chodził w kolejar-  
skim mundurze. Srebrne paski na mankietach wskazywały, że należał do wyższych urzędników.

Z naszych obserwacji wynikało, że dla okupantów pracował rzetelnie. Czy rzeczywiście myślał o swoim i naszym "dobrze", nie wiem.

Następnego dnia po skonsultowaniu się z rodzicami mieliśmy dać odpowiedź. Konsultacje wypadły na korzyść Bartkusa. Rodzice uznali, że czasy są niebezpieczne. W mieście często organizowano na młodzież łapanki. Schwytanych po krótkim ~~rozprawieniu~~ przesłuchaniu wywożono do Niemiec. Łatwo można było trafić do więzienia, a tam skończyć się mogło różnie.

W Wierzbąłowie pracowaliśmy na kolei. Wykonywaliśmy różnego rodzaju prace fizyczne. Zakwaterowano nas w baraku, w którym mieszkało około dwudziestu Polaków. Wszyscy pochodzili z Wileńszczyzny.

W listopadzie otrzymałem od rodziców wiadomości o aresztowaniu brata. Zabrali go z pracy. Ponad dwa tygodnie przesiedział w celi wileńskiego gestapo i tyle samo - w więzieniu na Łukiszkach. Skąd z grupą więźniów trafił do Niemiec. Przed aresztowaniem pracował w Wilnie w tartaku, w którym wyrabiano kolby do karabinów. W rocznicę odzyskania niepodległości /11 listopada/ młodzi chłopcy pocięli pasy transmisyjne do maszyn i w ten sposób unieruchomili tartak.

Dyrektor zawiadomił policję i chłopców zabrano na gestapo, gdzie byli bici i torturowani. Funkcjonariusze litewskiej saugumy i ich niemieccy zwierzchnicy żądali wydania organizatorów i sprawców sabotażu. Chłopcy trzymali się dzielnie. Twierdzili, że pasy były poprzecinane przed rozpoczęciem pracy i że musiało to nastąpić w nocy.

W Wierzbałowie uczciliśmy rocznicę odzyskania niepodległości, demolując wagony Urlaubszugów<sup>x</sup>. Władek usunął ze ściany wagonowni duży portret Hitlera, połamał go i wrzucił do ubikacji. Wagony demolowaliśmy późnym wieczorem.

Z rana zorientowaliśmy się, że nasz barak jest zamknięty. Przed drzwiami stał uzbrojony niemiecki kolejarz. Później wszystkich pojedynczo wzywano do kancelarii na przesłuchanie. Grożono koncentracyjnymi obozami. Główny inspektor kolei domagał się byśmy wydali kolegę, który usunął i zhańbił portret Hitlera. - Jeśli go wydacie - mówił - to resztę wczorajszych wybryków puszczę w niepamięć.

- Udawaliśmy, że nic na ten temat nie wiemy. Sprawa zakończyła się tym, że z głównym inspektorem do baraku przybyła grupa Niemców z gestapowcem, który wybrał spośród nas jedną osobę - kolegę ze Święcian. Fo koledze wszelki ślad zaginął.

Na początku lutego porzuciłem pracę w Wierzbałowie i wróciłem do rodziców. Władek uciekł z Wierzbałowa o tydzień wcześniej.

Na Wileńszczyźnie operowały dość silne oddziały partyzanckie Armii Krajowej. Szybko nawiązałem kontakt z przebywającym w Nowej Wilejce partyzantem 5 Brygady AK, panem Feliksem Marynowskim /ps. "Blok"/. Znałem go dobrze, bo był naszym sąsiadem. W pierwszej dekadzie lutego dotarłem do oddziału.

Z Nowej Wilejki wyszliśmy wczesnym rankiem. Pan Marynowski był uzbrojony w dwa pistolety i granaty. Do spodziewanego miejsca postoju brygady mieliśmy około 50 km.

Szliśmy polnymi i leśnymi drogami w kierunku północno-wschodnim. Wieczorem dotarliśmy do Prużan. Tam spotkaliśmy pierwszy partyzancki patrol. Chłopcy jechali sałmi. Wszyscy uzbrojeni, z orzełkami na czapkach... Nastąpiło serdeczne powitanie. Poznałem wśród nich Kostka Szuszkiewicza. Teraz nosił pseudonim "Niemen". Po krótkiej wymianie słów pojechali dalej. Powiedzieli, że brygada kwateruje w Czeranach. Na noc zostaliśmy w Prużanach.

"Blok" zaszedł do znajomych, którzy urządzili nam bogate i serdeczne przyjęcie.

Z rana wyruszyliśmy do Czeran.<sup>x</sup>

Przed wsią trafiliśmy na placówkę ochronną partyzantów. Zauważyłem, że wszyscy "Bloka" dobrze znali. Zamienili z nim kilka słów i poszliśmy dalej. Podobnie minęliśmy ustawiony przed wsią posterunek ochronny.

Wieś była pełna wojska. Wszyscy w wojskowych mundurach - jedni w polskich, inni w niemieckich, litewskich, białoruskich, ale każdy z orzełkiem na czapce.

"Blok" zaprowadził mnie do chałupy, w której kwaterował dowódca plutonu, podchorąży "Zyga"<sup>xx</sup>. W plutonie tym był już od tygodnia mój najbliższy kolega Władek Bujko. Dowiedziałem się, że ma pseudonim "Lotnik".

Partyzanci zgotowali mi miłe i serdeczne przyjęcie. "Blok" udał się do sztabu brygady. "Zyga" prosił bym został u niego. Wszyscy rozpytywali o nowości z miasta. Partyzantom z Nowej Wilejki opowiadałem o ich znajomych i bliskich. Po paru godzinach otrzymałem wezwanie do sztabu. Poszedłem z "Zygą". Sztab mieścił się w środku wsi. W dość dużej izbie za stołem siedzieli oficerowie. "Zyga" przedstawił mnie jako ochotnika. Kazali usiąść.

Rozmowa przebiegała w miłej i przyjemnej atmosferze. Padały różnego rodzaju pytania. Oficerowie ciekawili się całą moją rodziną, pytali czym zajmowałem się w domu, jakie mam wykształcenie...

- Życie partyzanckie - powiedział jeden z nich - nie jest łatwe. Nasze życie to walka, a w walce wszystko może się zdarzyć. Czy jesteś tego świadom?

- Odpowiedziałem twierdząco. Kazali wybrać pseudonim. Koledzy, w szkole i po sąsiedzku, często nazywali mnie Sobolem, więc nie zastanawiając się, wybrałem ten pseudonim.

Od "Zygi" dowiedziałem się, że oficer, który mówił o niełatwym życiu partyzantów - to por. "Ronin".<sup>xxx</sup>

---

x - Czerany - duża wieś na brzegu Wilii

xx - "Zyga" - podchorąży Zygmunt Głantmajer

xxx - "Ronin" - por. Longin Wojciechowski, z-ca Komendanta 5 Brygady, którym był por. "Łupaszko" - Zygmunt Szendzielarz.



Na kwaterze dostałem sowiecki karabin i amunicję. Od tej pory czułem się partyzantem.

Do późnego wieczoru słuchałem świeżych wspomnień kolegów ze stoczonych bitew pod Worzianami i Radziuszkami.

31 stycznia pod wsią Worziany Brygada "Łupaszkki" rozbiła niemieckie oddziały SS. Część szwadronów brygady ze sztabem kwaterywała w Worzianach, a część w sąsiednich wioskach.

Niemcy zaatakowali szwadrony znajdujące się w Worzianach. Zjawili się zupełnie niespodziewanie z Podbrodzia. O miejscu postoju brygady musiał ich ktoś poinformować.

Zaskoczenie sprawiło, że w pierwszej fazie walki padli zabici.

Z rozkazu "Łupaszkki" partyzanci przystąpili do kontrnatarcia.

Po pewnym czasie przyszły z pomocą zaalarmowane gęstymi strzałami szwadrony z sąsiednich wiosek. Bitwa trwała kilka godzin.

Zakończyła się całkowitym pogromem wroga.

Zwycięstwo opłacono 19 poległymi. Niemcy stracili ponad 80 żołnierzy.

2 lutego, w święto Matki Boskiej Gromnicznej, wykrwawioną i wyczerpaną po worzianńskiej bitwie brygadę zaatakowali partyzanci sowieccy. Odpierając bezładne ataki wielokrotnie liczniejszych nieprzyjaciół, akowcy wycofali się za rzekę Streczankę. Napastnikom zadano tak ciężkie straty, że z dalszych ataków musieli zrezygnować. Z relacji miejscowych chłopów wiemy, że z pola walki zabitych i rannych wieźli czerwoni na kilkudziesięciu zarekwirowanych furmankach.

Sowiecki atak miał miejsce pod wsią Radziusze.

Obie zwycięskie bitwy przeszły do historii brygady jako najcięższe.

Upamiętniono je w śpiewanej na melodię "Pierwszej Brygady"

piosence, którą byli żołnierze 4 i 5 Brygady śpiewają na okazyjnych spotkaniach do dzisiaj.

Oto jej słowa"

" Nie formowano nas w koszarach,  
Nie zdołał nas żołnierski strój,  
Nie spaliśmy na ciepłych narach,  
Ale od razu poszli w bój.

My- to kresowiaci, chłopcy - Wileniacy,

Idziemy śmiało w bój

Za Polski cześć, za honor swój.

Walczyliśmy cały czas,  
Choć mało nas, choć mało nas.

Lejemy krew, cierpiemy rany,  
Lecz zawsze jest rozbity wróg,  
Radziusze, Bibki i Worziany,  
I więcej zwycięstw dał nam Bóg.

My - to kresowiaci ...

I w każdym trudzie, w każdej biedzie,  
Gdzie trzeba było walczyć nam,  
Nasz wódz - "Łupaszko" był na przedzie,  
A przed nim wiał czerwony cham.

My - to kresowiaci ...

Sowiety zgnieść i zgnębić Niemca -  
To święty obowiązek nasz,  
Spełnimy go z całego serca,  
Pełnimy tu - na kresach straż.

My - to kresowiaci...

Pierwsze chwile, godziny i dni spędzone w oddziale partyzanckim wywarły na mnie ogromne wrażenie. Będąc w domu życie partyzantów wyobrażałem sobie zupełnie inaczej. Uważałem, że gnieźdzą się po lasach, że mieszkają w leśnych bunkrach, że są zawsze z dala od ludzi, w ukryciu, że przed wszystkimi muszą się chować, że do akcji bojowych wyruszają ukradkiem pod osłoną nocnych ciemności...

Rzeczywistość była zupełnie inna. Trafiłem do partyzanckiej braci, która otwarcie kwaterowała w dużej wsi, strzeżonej przez posterunki ochronne.

Partyzanci szwadronami, plutonami i drużynami zajmowali całe chałupy.

Ujrzałem wieś wypełnioną uzbrojonymi żołnierzami. Jedni odpoczywali w domach, inni przechadzali się po wiosce, ~~z~~ rozmawiali z mieszkańcami, żartowali z dziewczętami.

Co kilkanaście metrów stały posterunki alarmowe... Robili wrażenie prawdziwego wojska. Żałowałem, że przyszedłem do nich tak późno.

Przed wstąpieniem do partyzantki nie słyszałem, by między sowieckimi i polskimi oddziałami dochodziło do starć zbrojnych. Bitwa pod Radziuszami była dla mnie nowością. Już w pierwszym dniu dowiedziałem się, że starcia z radzieckimi partyzantami zaczęły się późnym latem 1943 r. i zorientowałem się, że sprawcami

wzajemnych starć byli sowioci, którzy 26 sierpnia 1943 r. podstępnie zlikwidowali<sup>publika</sup> na Wileńszczyźnie oddział partyzancki Armii Krajowej.

Dowódcą zlikwidowanego oddziału był ppur. Antoni Burzyński, ps. "Kmicic". Od pseudonimu dowódcy oddział znany był w okolicy jako oddział "Kmicica". Został powołany do działań bojowych na rozkaz Komendanta Okręgu Wileńskiego AK ppłk. "Wilka" /Aleksandra Krzyżanowskiego/ w pierwszej dekadzie marca 1943 r. na terenie inspektoratu mjr. Stefana Święchowskiego, ps. "Sulima".

Oddział utworzono na bazie kadrowej dobrze zorganizowanej świrskiej sieci konspiracyjnej.<sup>x</sup>

W sierpniu 1943 r. w jego szeregach było już około 300 dobrze uzbrojonych i zaprawionych w walce partyzantów.

Przez pięć miesięcy oddział był chlubą mieszkańców okolicznych wsi i miasteczek. Dzięki wielu udanym, dobrze przygotowanym akcjom bojowym, poznali go również zniechęceni okupanci. Największy rozgłos przyniosły oddziałowi akcje zakończone rozbięciem niemieckich garnizonów w Duniłowiczach i Żodziszkach. Partyzanci polscy od czerwca posiadali własną stałą bazę. Założyli ją w lesie nad jez. Narocz, po sąsiedzku z bazą partyzantów sowieckich. Uwzględniając zalecenia Komendanta Okręgu "Kmicic" zawarł z sąsiadami porozumienie o ograniczonym współdziałaniu w walce przeciwko wspólnemu / od czerwca 22.06, 1941 r. / wrogowi.

Zgodnie z porozumieniem dowódcy obu oddziałów organizowali wspólne narady, na których wymieniano informacje o siłach i ruchach rozmieszczonych w terenie jednostek policyjnych i wojskowych okupanta, informowano o wynikach przeprowadzonych przez obie strony akcji, ustalono rozpoznawcze hasła... Dla zapewnienia bezpieczeństwa obu baz wprowadzono wspólny system ubezpieczenia.

W najbliższym czasie zamierzano dokonać wspólnego uderzenia na obsadzone policją i wojskiem pobliskie miasteczko Mjadzioł. Radziecki dowódca Markow<sup>xx</sup> wyrażał pogląd, że wspólna akcja posiada więcej szans na powodzenie. Twierdził, że akowcy mają zatrudnionych u Niemców ludzi, i przez to posiadają lepsze rozeznanie o policyjno-wojskowej obsadzie miasteczka.

---

x - Świrska sieć konspiracyjna - od nazwy położonego 70 km na północno-wschód od Wilna miasteczka - Swir.

xx - Markow.- Fiodor Markow - komendant Brygady partyzanckiej Do 17 września 1939 r. obywatel polski, z zawodu nauczyciel. Przed wojną mieszkał w Starych Święcianach i znany był jako działacz komunistyczny.



26 sierpnia 1943 r. na zaproszenie Markowa, "Kmicic" ze swymi oficerami udał się na bazę sowiecką. W czasie nieobecności dowódców, podczas popołudniowego czyszczenia broni na teren głównej bazy polskiej /w niedużej odległości od niej była baza gospodarcza/ wjechała bryczka z czterema sowieckimi oficerami i cywilem, który mówił po polsku i podawał się za Polaka. Partyzanci radzieccy oznajmili, że w pilnej sprawie muszą natychmiast zobaczyć się z oficerem inspekcyjnym. Robili wrażenie, że się mocno śpieszą. Oczekując oficera zdradzali wyraźnie niepokój. Ponieważ oficer nie zjawiał się, zarządzili zbiórkę wszystkich polskich żołnierzy.

Na bazie powstało zamieszanie. Rozkazdawczy ton obcych oficerów wywarł zdziwienie. Rozeszły się głosy sprzeciwu: "Co oni mają do gadania? Kto upoważnił ich do wydawania rozkazów? Dlaczego są bez Kmicica?"

Najbardziej podejrzane było to, że na zbiórkę kazano stawić się bez broni.

Ktoś krzyknął: "Idziemy z bronią!"

Podjętą sprawę wyjaśniło wyłaniające się z ukryć mrowie gotowych do oddania strzałów, sowieckich partyzantów, którzy błyskawicznie wtargnęli na teren polskiej bazy.

Padły pojedyncze strzały. Jeden z akowców, śp. Franciszek Szurpicki, ps. "Brzózka", nie wytrzymał nerwowo i rozerwał się własnym granatem. Wszystko nastąpiło tak nagle, że nikt nie mógł zorientować się o co "sąsiadom" chodzi. Żołnierzy "Kmicica" zmuszono do poddania się. Baza znalazła się w rękach sowieckich. W następnym dniu, od wczesnego rana, na bazie urzędowali oficerowie sowieckiej bezpieki. Zaczęło się przesłuchiwanie żołnierzy. Wszystkich przesłuchiowano oddzielnie.

W czasie przesłuchań wyselekcjonowano ponad 80 osób. Grupę tę pod silną eskortą odprowadzono w nieznanym kierunku. Od tamtej pory wszelki ślad po nich zaginął.

Z pozostałych żołnierzy "Kmicica" Markow utworzył podporządkowany mu oddział polski im. Bartosza Głowackiego.

Dowódcą polskiego oddziału został wyrzucony przed wojną z wojska zawodowy podoficer 19 PAL-u Wincenty Mroczkowski.

Markow przedstawił go polskim żołnierzom jako kpt. "Zaporę".

Dzisiaj wiemy, że Mroczkowski z partyzantką sowiecką współpracował od dłuższego czasu. Był nawet dowódcą niedużego polskiego oddziału im. Tadeusza Kościuszki, który podlegał sowieckiemu dowództwu. Oddział ten operował kilkadziesiąt kilometrów na północ od jez. Narocz. Po utworzeniu oddziału im. Bartosza Głowackiego oddział im. Tadeusza Kościuszki został rozwiązany.<sup>x</sup> Do żołnierzy im. Bartosza Głowackiego na pierwszej zbiórce przemówił Fiodor Markow. Mówił po polsku. Tłumaczył, że do akcji zbrojnej na polską bazę zmusiło go wrogie do ZSRR nastawienie polskiego dowództwa.

Podporządkowany Markowowi oddział "Zapory" istniał około trzech tygodni.

We wrześniu 1943 r. oddani pod komendę "Zapory" żołnierze "Kmicica" wzięli udział we wspólnej z sowieckimi partyzantami akcji bojowej na Mładziok.

Do dzisiaj te akcje wspominają z odrazą. Raziło ich niełiczenie się sowieckich dowódców z ludzkim życiem i zachowanie się Rosjan w zdobytym miasteczku. Na zasiekach z drutów kolczastych zginęło około 50 partyzantów. Czerwoni spalili połowę budynków, w tym szkołę i kościół. Nie obeszło się bez grabieży.

Polacy stracili jednego żołnierza. Z odniesionych ran zmarł Edward Bieszcz, ps. "Hrabia".

Wkrótce po utworzeniu oddziału im. Bartosza Głowackiego do żołnierzy dotarła wiadomość o pojawieniu się w ich rejonie oddziału Armii Krajowej, którym dowodził oficer zawodowy 4 pułku ułanów zaniemskich por. Zygmunt Szendzielarz, ps. "Łupaszko".

Jego oddział powstał z byłych żołnierzy oddziału "Kmicica", którym udało się uniknąć rozbrojenia, ponieważ w czasie likwidacji polskiej bazy wykonywali zadania w terenie.

Po tej wiadomości zaczęły się ucieczki. "Zapora" z biegiem czasu tracił żołnierzy, którzy przy różnego rodzaju okazjach uciekali do por. "Łupaszki".

Fewnego dnia grupa partyzantów z byłym podoficerem wojsk pancernych "Kitkiem" zmusiła do ucieczki samego "Zaporę", który bojąc się zasłużonej kary, zapewniał ich, że jest Polakiem, i że pragnie kontynuować walkę pod komendą skierowanego na te tereny przez dowódcę Okr. Wileńskiego AK porucznika 4 pułku ułanów.

---

x - informację tę posiadam od byłego partyzanta z oddz. im. Tadeusza Kościuszki, Macława Bejnara, ps. "Orszak", który od września 1943 do wiosny 1947 był żołnierzem AK w 5 Bryg. "Łupaszki"

"Zupaszko" otrzymał z Okręgu rozkaz dotarcia do bazy "Kmicica". Jako doświadczony oficer zawodowy miał pomagać "Kmicicowi" w dowodzeniu największym w tym czasie oddziałem partyzanckim Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Niektórzy twierdzą, że w przyszłości był przewidziany na jego dowódcę.

W utworzonej z kadry "Kmicicowców" 5 Wileńskiej Brygadzie, "Zapora" został dowódcą plutonu. Z wiadomych powodów "Zupaszko" nie darzył go zaufaniem i poddawał ciągłej obserwacji. Obserwowano również podejrzaną o powiązania z sowiecką partyzantką lekarkę, która była Rosjanką. Zgłosiła się do "Zupaszki", twierdząc że uciekła z niemieckiego obozu. Na podstawie obserwacji ustalono, że "Zapora" utrzymuje z lekarką częste i bliskie kontakty.

Na przełomie grudnia i stycznia koło wsi Syrowatki - "Zapora" z lekarką próbowali uciec do znajdującego się w pobliżu oddziału sowieckiego. "Zapora" zginął od strzału por. "Bohuna". Lekarce ucieczka udała się. Ze źródeł nieoficjalnych wiemy, że powodzenie w ucieczce zawdzięcza "Bohunowi", któremu na oddanie strzału do kobiety nie pozwoliło sumienie. Poza tym uważał, że jako obywatelka radziecka do ucieczki miała prawo.

O "Kmicicu", zaproszonych z nim na sowiecką bazę oficerach i uprowadzonych pod eskortą ponad 80 żołnierzach, nie było wiadomości. Do ich losu nikt nie miał wątpliwości - zginęli podobnie jak 15 tysięcy polskich oficerów, których część odkryto w mogiłach katyńskich.

1 grudnia w taki sam podstępny sposób, partyzanci sowieccy zlikwidowali część oddziałów Armii Krajowej w Puszczy Nalibockiej.<sup>x</sup>

Oddziały te podobnie jak oddział "Kmicica" współpracowały z partyzantką radziecką. Stracono tam kilku oficerów, podoficerów i żołnierzy.

Będąc w partyzantce przekonałem się, że stosunek Moskwy do niepodległej Polski zawsze był jednakowy. Niepodległa Polska nie miała się w myślach panujących w Rosji od połowy XVIII w. carów i bolszewików.

---

x - Puszcza Nalibocka znajdowała się na terenie Okręgu Nowogródzkiego AK.



Świadczy o tym dobitnie marsz Czerwonej Armii na Warszawę w roku 1920, uderzenie w plecy podczas kampanii wrześniowej w roku 1939, i kwiecień roku 1943, kiedy to pod pretekstem "znieważenia" Związku Radzieckiego Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z naszym Rządem.

"Znieważenie" ZSRR, jak pamiętamy, polegało na tym, że Rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie ujawnionego przez hitlerowskie Niemcy zbrodni katyńskiej. Prośbę tę Kreml uznał za krok wobec ZSRR wrogi i oskarżył Rząd polski o sicha współpracę z Niemcami.

W parę miesięcy później Moskwa postanowiła zlikwidować operujące na kresach wschodnich Rzeczypospolitej oddziały Armii Krajowej. Sowiecki plan zakładał zniszczenie kadry dowódczej, przede wszystkim oficerskiej.

Żołnierzy postanowiono wcielić do szeregów partyzantki sowieckiej lub utworzyć z nich na wzór berlingowskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki oddziały polskie, podporządkowane sowieckiemu dowództwu.

Oddział im. Bartosza Głowackiego, po ucieczce większości żołnierzy i samego "Zapory"<sup>Sowici</sup> musieli rozwiązać. W miejsce oddziału "Kmicica" z jego żołnierzy i napływających każdego dnia ochotników powstała nowa silna jednostka - 5 Brygada "Lupaszki", z której na przełomie lutego i marca 1944 r. wykoniono 4 Brygadę "Narocz".

Dowództwo nad "Naroczą" powierzono mjr. Stefanowi Świąchowskiemu - "Sulimie". Na skutek odniesionych ran w walce pod Malatami, po majorze dowództwo przejął por. Longin Wojciechowski, ps. "Ronin".

Obie brygady operowały w rejonach położonych na północ i północno-wschód od Wilna i obie wchodziły w skład Inspektoratu "B" mjr. dyplomowanego Mieczysława Potockiego, ps. "Węgielny".

5 Brygada przez całą jesień i zimę walczyła na dwóch frontach, z których jeden był skierowany przeciwko siłom zbrojnym okupanta niemieckiego, drugi zaś na ciągłej obronie i odpieraniu ataków tropiących ją oddziałów partyzantki sowieckiej.

Zo bitwie pod Radziuszami próby likwidacji polskich jednostek ze strony sowieckiej ustały. Najwidoczniej dowództwo sowieckie doszło do wniosku, że Armii Krajowej na Wileńszczyźnie siłami partyzantów zlikwidować się nie da.

4 Brygada również miała potyczki z partyntami radzieckimi, ale nie stoczyła z nimi żadnej poważniejszej walki. Podobnie było z innymi oddziałami AK.

Na początku 1944 r. Armia Krajowa panowała nad większością obszaru województwa wileńskiego i miała za sobą całą tutejszą ludność.<sup>x</sup>

W tym czasie wileńskie podziemie należało do najsilniejszych w kraju, a na kresach wschodnich tak silnego podziemia nie miało żadne województwo.

Warunki działania wileńskiego podziemia ze względu na konflikty i starcia zbrojne z partyzantką sowiecką nie były łatwe.

Prowadzono tam ciężką walkę aż do największej po Powstaniu Warszawskim operacji bojowej pod kryptonimem "Ostra Brama".

Celem operacji było wyzwolenie Wilna przed dotarciem do miasta wojsk radzieckich.

Żołnierz Armii Krajowej miał w niej zadokumentować polskość i nienaruszalność ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej.

I chociaż operacja ta, podobnie jak Powstanie Warszawskie, nie uratowała Polski przed zależnością od Moskwy, to na pewno wydała owoce, z których korzystamy do dzisiaj. Jestem przekonany, że bez tamtej walki, tamtej krwi i ofiar polski Poznań, Grudzień 1970 i sierpień 1980 byłyby niemożliwe.

Polskie podziemie na Ziemi Wileńskiej zaczęło działać zaraz po klęsce wrześniowej. Władze sowieckie od początku zwalczały je z całą bezwzględnością. Prowadzenie jawnej i tajnej działalności w celu przywrócenia Polsce niepodległości traktowały jako działalność przestępczą.

Każdy krok i każda myśl - skierowane przeciwko układowi Ribbentrop-Mołotow uważały za działania wrogie. Na ziemiach opanowanych przez Armię Czerwoną nie mogli prowadzić jawnej pracy nawet polscy komuniści. Wyjątek stanowili ci, którzy podobnie jak Wanda Wasilewska, przyjęli obywatelstwo radzieckie lub poszli na współpracę z NKWD.

---

x - mówiąc o całej ludności nie biorę pod uwagę miejscowych komunistów, Żydów i napływowego elementu litewskiego.

Trzeba pamiętać, że polski ruch oporu w stosunku do ruchu sowieckiego był dużo starszy.

Przeżył on okupację i terror sowiecki, a na części Ziemi Wileńskiej - również rządu smetnowskiej Litwy.

Z tych i wielu innych względów był bez porównania lepiej zorganizowany i lepiej przygotowany do walki w warunkach okupacji niemieckiej.

Na wyższość naszego ruchu oporu nad sowieckim składał się przede wszystkim gorący patriotyzm, którego do dzisiaj nie pojmują ludzie na Zachodzie i który po cichu /co prawda nie wszyscy/ podziwiają na Wschodzie.

W czasie okupacji mieliśmy wspaniałą, wychowaną w miłości do Boga i Ojczyzny, ofiarną młodzież i przewodnią siłę narodu w postaci świętej, patriotycznej kadry oficerskiej <sup>oraz</sup> oddanego bez reszty świętej sprawie katolickiego duchowieństwa i rekrutującej się z różnych środowisk inteligencji.

Mieliśmy też własny Rząd i Siły Zbrojne na Zachodzie. Nie można pominąć ogromnych zasług polskich matek, które od wczesnego dzieciństwa wszczepiały nam miłość do Ojczyzny i uczyły wszystkiego, co szlachetne.

O naszej wyższości decydowało także to, że walczyliśmy na własnej ziemi i korzystaliśmy z materialnego i duchowego poparcia całej ludności.

Szerszą działalność partyzanci sowieccy rozwinęli na naszej ziemi w roku 1942. Oddziały Armii Krajowej pojawiły się później - dopiero wiosną 1943 r.

Na początku stosunki między partyzantami sowieckimi i AK układały się poprawnie. Znamy sporo przykładów wzajemnego współdziałania. Dowódcy oddziałów utrzymywali ze sobą regularne kontakty, wymieniali informacje, składali gościnne wizyty... Obie strony były względem siebie ostrożne, co wynikało stąd, że jedni i drudzy występowali w roli gospodarzy Ziemi Wileńskiej.

Wpływy partyzantów sowieckich na miejscową ludność były znikome. Około 2/3 powierzchni województwa z ponad 80% ludności kontrolowały oddziały AK. Oddziały sowieckie koncentrowały się głównie w Puszczy Rudnickiej oraz w rejonie Miadzioła i Naroczy. Mieszkańcy północno-wschodnich kresów Rzeczypospolitej o żadnych zmianach granicy wschodniej nie chcieli słyszeć. Takie myśli nikomu nie mieściły się w głowie.



Administrację sowiecką między 19 września 1939 r. a 24 czerwca 1941 r. traktowaliśmy jako zjawisko przejściowe. Byliśmy pewni, że po zakończeniu wojny Polska będzie większa - nigdy mniejsza. Nie wyobrażaliśmy sobie, by ktoś odważył się uszczuplić terytorium państwa, które jako pierwsze przeciwstawiło się zbrojnie hitlerowskiemu barbarzyństwu, i które w wojnie poniosło największe straty i ofiary.

Na Wileńszczyźnie polskie podziemie stanowiło nie spotykany w innych regionach kraju monolit. Nie było tam AL-u, GL-u, Batalionów Chłopskich i żadnych innych zbrojnych organizacji polskich.

Miejscową ludność reprezentowała tylko Armia Krajowa.

Działalność partyzantów sowieckich, ze względu na sojusznicze układy, tolerowano nawet po zlikwidowaniu Oddziału "Kmicica" i po próbach zniszczenia 5 Brygady. Unikano z nimi starć zbrojnych, ale z różnych przyczyn do starć dochodziło.

Po podstępnym zlikwidowaniu Oddziału "Kmicica" dowództwo akowwskich oddziałów zmobilizowało się do maksymalnej czujności.

Spółeczeństwo uważało AK za swoje wojsko - za wojsko walczącej Polski. Cieszyliśmy się nie tylko jego uznaniem i sympatią, lecz prawdziwą, serdeczną miłością.

Bez ofiarnej pomocy ludności bylibyśmy tak samo biedni jak partyzanci sowieccy.

Chłopi bali się czerwonych jak diabeł krzyża i odnosili się do nich wrogo. Na widok sowieckich partyzantów młodzież uciekała do lasu. Dzieci z płaczem ostrzegali rodziców o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Chowano żywność, odzież, obuwie i wszystko co wartościowe.

W pierwszej połowie marca oddziały AK urządziły wyprawę na opanowany przez sowieckich partyzantów Wiszniew.

Zasadniczą siłę stanowiła 5 Brygada "Łupaszki".

Wyruszyliśmy z Czeran. Miło było oglądać wijące się wśród lasów i pagórków kilkusetmetrowe kolumny. Szliśmy, kompania za kompanią, pluton za plutonem, żołnierz za żołnierzem... Równe odstępki, równy krok, każdy z przewieszonym przez ramię karabinem - z myślą tylko o Niej, że póki my żyjemy na pewno nie zginie.

Kolumny ubezpieczały patrole kawalerii, szperacze, ubezpieczenia boczne i tylne.

Pierwszy postój mieliśmy w Żukojniach.

W nocy stałem na posterunku ochronnym. Wiedziałem, że <sup>dużo</sup> często nawiedzają partyzanci sowieccy, którzy w odróżnieniu od unikających polnych i leśnych dróg Niemców, poruszają się nawet ścieżkami. Musiałem ~~przez~~ obserwować każdy metr powierzonego terenu, reagować na najmniejszy szmer. Czuwałem w dużym napięciu, by inni mogli spokojnie odpocząć.

Nazajutrz pogrzebaliśmy zamordowanego przed kilkoma dniami partyzanta 5 Brygady "Pirata", który w Żukojniach natknął się na sowiecki patrol. Próbował zbiec, ale trafili go serią z pistoletu maszynowego.

Ciężko rannego kopali i bili kolbami. Gdy przestał oddychać kazali chłopom zakopać pod płotem.

"Pirata" pochowaliśmy na tamtejszym wiejskim cmentarzu z wojskowymi honorami.

W tym samym dniu opuściliśmy Żukojnie.

Za Michałiszkami pola były pokryte śniegiem. Krok za krokiem zbliżaliśmy się do rejonu partyzantów sowieckich. Świadczyły o tym ruiny i zgliszcza po spalonych majątkach i folwarkach. Im dalej na wschód, ruin było więcej.

Chłopi z przydrożnych wsi witali nas ze łzami radości. Wyciągali ze schówków ukrytą przed czerwonymi żywność. Skarżyli się, że mają jej niewiele, że komory świecą pustką.  
- Puste - mówili - mamy też szafy, kufry i komody. Bez przerwy przychodzą i każą dawać. Gdy tłumaczymy, że nie mamy, zabierają ostatki: obuwie, pościel, garnki, miski, miednice, noże, łyżki, lustra, balie, ostatnie kawałki tłuszczu i chleba. Ładują na furmanki zboże, mąkę, maszynę do szycia... Potrafią zabrać ostatnią krowę i ostatniego prosiaka. Bywało, że brali nawet szafy, stoły i krzesła. Pod groźbą pistoletów naszych synów wcielają do swoich oddziałów. Większość młodzieży poszła do was. Część ukrywa się...

- Zrozpaczeni i załamani nieustannymi "bambioszkami"<sup>x</sup> nalegali na dowódców, by nie pozostawiali ich bez ochrony.

---

x - "bambioszki" - wyprawy sowieckich oddziałów w celu zdobycia żywności i innych dóbr, po których chłopskie gospodarstwa wyglądały jak po bombardowaniu.

- My, panoczki - żalili się - takiej samej polskiej wiary. Żyjemy na jednej, polskiej ziemi i nie możemy być gorsze od tych, co bliżej Wilna.

Traktujecie nas, nie gniewajcie się za szczerłość, jakby to my byli od macochy. Przychodźcie tylko na kilka godzin... Miejcie Boga w sercu! Poratujcie, brońcie przed tą szarańczą!...

- Po południu wkroczyliśmy do Wiszniewa. W miasteczku od kilku miesięcy rządzili partyzanci sowieccy. Za jeziorem o tej samej nazwie, we wsi Borowe mieli swoją bazę. Część budynków leżała w gruzach. Jezioro pokrywała tafla lodu.

Jak zawsze zostaliśmy zakwaterowani w mieszkaniach prywatnych. Dookoła miasteczka rozstawiono wzmocnione posterunki, czujki i placówki.

Przez całą noc trwaliśmy z stanie ostrego pogotowia. Spaliśmy w mundurach z bronią pod pachą. Nawet na chwilę nie mogliśmy opuścić kwater. Co pewien czas w okolicy rozlegały się strzały z broni ręcznej i maszynowej.

Pod miasteczko podkładały się rozpoznawcze oddziały sowieckie. Za każdym razem koledzy witali ich ogniem. Na odgłos strażaków zarządzono alarm. "Łupaszko" spodziewał się frontalnego ataku "sąsiadów" wczesnym rankiem.

Miał rację - o świcie czerwoni uderzyli. Przywitał ich gęsty ogień kolegów z placówek obronnych. Wkrótce do akcji włączyły się jednostki z kwater. Dowództwo nad siłami 4 i 5 Brygady objął por. "Łupaszko".

Pamiętam jak stał, na wystającym z ruin spalonego budynku kominie i obserwował pole walki. Od czasu do czasu odrywał od oczu lornetkę i wydawał rozkazy. Mówił wolno, spokojnie i wyraźnie. Tuż obok znajdował się por. "Ronin" i dowódcy niższego szczebla.

Obserwując rozwiniętych w tyralierę żołnierzy, uśmiechał się. Chwalił, że dobrze idą...

Odprawiając na linię ognia nowe pododdziały, zęgnął charakterystycznym "szczęść Boże!".

Pole walki zasłaniała porośnięta rzadkim lasem wybrzuszona terenowa pochyłość. W odległości kilkuset metrów gwizdały kule i pękały granaty. Po godzinie strzały zaczęły rzednąć i nastąpiła cisza. Nieprzyjaciel wycofał się. Stracił kilku zabitych i rannych. Po naszej stronie strat nie było.



Nazajutrz opuściliśmy miasteczko. W Wiszniewie nadal rządzą sowieci.

Wyprawa na Wiszniew miała dać partyzantom sowieckim do zrozumienia, że gospodarzem tej ziemi jest wyłoniona z jej mieszkańców Armia Krajowa, którą, w przypadku powtarzania wrogich, takich jak pod Radziuszkami akcji, stać na udzielenie miążdżącej odpowiedzi.

W styczniu 1944 r., a więc przed bitwą pod Radziuszkami, nasze dowództwo prowadziło rozmowy z dowództwem sowieckim. Jedno spotkanie odbyło się we wsi Sałguciewo, a drugie - w Syrowatkach.

W Sałguciewie stronę polską reprezentował por. "Łupaszko", a sowiecką - Wołosnoj i Manachow.

W Syrowatkach - płk. Aleksander Krzyżanowski z kpt. dypl. Teodorem Cetysem i "Łupaszka" oraz Manochin i Wołosnoj.

Strona polska poruszała sprawę likwidacji Oddziału "Kmicica". Żądała zwolnienia dowódcy oddziału, jego oficerów i żołnierzy, oraz zwrotu zagarniętej broni. Sowieci twierdzili, że żołnierzy nie mają, bo część uciekła do "Łupaszki", a część rozpraszyla się. Świadek rozmów, d-ca szwadronu z 5 Brygady, Antoni Rymsza, ps. "Maks", opowiadał, że przyciśnięty pytaniami Manochin oświadczył, iż "Kmicica" musiano zlikwidować, bo był bardzo "oporny".

Bratowa zamordowanego dowódcy, Helena Burzyńska, w 1945 r. spotkała w Świrze znajomego Żyda - byłego partyzanta z Brygady Markowa. Ów Żyd powiedział jej w zaufaniu, że na bazie sowieckiej "Kmicica" przez wiele dni torturowano. Oprawcy związanymi do tyłu rękami zawieszali go na konarze drzewa. By przysporzyć cierpień podpiekali ogniem stopy i zdzierali skórę. Po śmierci ciało zakopali pod drzewem, na którym skonał.

Żyd nie miał powodów do kłamstwa.

Informacji tej nikt nie potwierdził, ale znając cały szereg popełnionych przez partyzantów sowieckich zbrodni - można uznać ją za wiarygodną.

W Syrowatkach radzieccy oficerowie zarzucali Armii Krajowej ostrzeliwanie operujących w terenie patroli i oddziałów sowieckich. Dużo mówili o wspólnym wrogu i o konieczności zespolenia wysiłku do rozgromienia faszyzmu.

Oba spotkania zakończyły się obietnicami nieutrudniania realizacji zadań bojowych drugiej stronie.

Partyzanci sowieccy obietnic nie dotrzymani, wobec czego nadal dochodziło do wzajemnych potyczek. Po bitwie pod Radziuszami i po wyprawie Wiszniewskiej było ich znacznie mniej niż na przełomie 1943 - 1944 r.

W końcu marca w Wilnie ~~zatrzymano~~ aresztowano "Łupaszkę". Więziono go w gmachu gestapo przy ul. Ofiarnej. Niemcy wiedzieli kogo pojмали. "Łupaszkę" i jego brygadę znali z kilku walk, w których ponieśli dotkliwe straty. Wiedzieli też o jego walkach z partyzantką sowiecką i z tych względów podczas śledztwa traktowali go poprawnie, a nawet byli gotowi ~~XXV~~ wybaczyć wszystkie popełnione wobec "Wielkich Niemiec" "grzechy." Wystarczyło, by zgodził się na zaniechanie prowadzonych z nimi walk i wykorzystał swoją brygadę do likwidacji partyzantów sowieckich. W razie przyjęcia warunków obiecali wyposażyć brygadę w broń i amunicję.

Dla wykluczenia podejrzeń o współpracę z wrogiem gotowi byli upozorować ucieczkę.

Komendant 5 Brygady na żadne układy nie poszedł.

Na wiadomość o aresztowaniu "Łupaszki" w sztabie "Ronina", który objął dowództwo również nad 5 Brygadą, postanowiono wziąć zakładników spośród wyższych oficerów niemieckich. W tym celu urządzono cały szereg zasadzek na szosach.

Na początku kwietnia na Trakcie Batorego 1 kompania 4 Brygady pod dowództwem "Korsarza" /Jana Lisowskiego/ zatrzymała ponad 10 niemieckich samochodów. Cztery samochody, które zatrzymaliśmy w pobliżu Osinówki, wiozły wielkanocne zaopatrzenie dla niemieckolitewskiej załogi w Michaliskach. Posiadały złożoną z ponad 20 policjantów i żołnierzy niemieckich, dobrze uzbrojoną eskortę. Odcinek szosy na długości jednego kilometra ubezpieczali nasi żołnierze. Część kompanii zajęła stanowiska w przydrożnym rowie. Sygnał o zbliżaniu się samochodów otrzymaliśmy od przebranego w wiejskiego chłopca kolegi. Do zatrzymania samochodów por. "Korsarz" wyznaczył mnie i kpr. "Flipa". Wyszliśmy na szosę, dając znać kierowcy pierwszego samochodu, że ma się zatrzymać. Udało się. Za nim zatrzymały się następne. Na widok przygotowanych do otwarcia ognia kolegów z przydrożnego rowu, cała eskorta, po krótkim wahaniu się, złożyła broń.

---

Samochody odstawił do położonej niedaleko szosy wsi. Całe świąteczne zaopatrzenie załogi w Michaliskach, wpadło w nasze ręce.

Zdobyliśmy dużo cennej broni i amunicji. Wśród jeńców wyższych oficerów nie było. Po przesłuchaniu zostali zwolnieni. Samochody spaliliśmy.

Drugiego dnia operowaliśmy na szosie Wilno-Niemczyn. Zatrzymaliśmy tam samochód osobowy z wyższymi oficerami niemieckimi - ale szwabi szybko zorientowali się w pułapce i kazali kierowcy nacisnąć gaz. Samochód uciekł nam sprzed nosa. Zamaskowani w lesie koledzy otworzyli ogień. Kilka serii z pistoletów maszynowych posłała ~~ich~~ do nich z kpr. "Flipem". Byłem z nim wówczas na szosie tak samo jak w Osinówce. Początkowo jechali serpentyną. Wydawało się, że kierowca traci panowanie nad kierownicą i lada moment samochód wpadnie do rowu. Kule gradem waliły po karoserii, ale w pewnym momencie zwiększył szybkość i umknął. Wyjście Niemców z tej pułapki można wytłumaczyć tylko cudem.

W celu zwolnienia lub odbicia "Zupaszki" w sztabie Okręgu postawiono na nogi całą służbę wywiadu. Do sztabu "Ronina" przybył d-ca 2 Zgrupowania AK mjr. dypl. Mieczysław Potocki, ps. "Węgielny", z którym uzgadniano akcje bojowe obu brygad.

Pod koniec kwietnia po raz drugi maszerowaliśmy na Wiszniew. Tym razem nie dotarliśmy do celu, bo na opuszczonym terenie pojawił się silny zmotoryzowany oddział niemieckiej piechoty. Według informacji łączników z sieci konspiracyjnej Niemcy przyjechali po dostawy obowiązkowe płodów rolnych i żywca, których chłopcy od dawna nie dostarczali. Łącznicy mówili, że szwabi zabierają chłopom wszystko: krowy, świnie, konie, zboże, mąkę, drób, masło i inne artykuły, i że swoją akcję rozpoczęli od wsi Bołosza, położonej kilka kilometrów od Podbrodzia. W tej sytuacji mjr. "Węgielny" postanowił zmienić zadanie. Obie brygady zawróciły w kierunku Bołoszy.

Po kilkugodzinnym forsownym marszu dotarliśmy na miejsce. W sąsiedniej wsi spożyliśmy przygotowane przez chłopów posiłki i przystąpiliśmy do akcji. Obie brygady rozwinęły się w długą, ponad kilometrową tyralierę. Z Bołoszy Niemcy zasypali nas gęstym ogniem z broni maszynowej.



Nasze <sup>nasze</sup> ~~Wierchow~~ strzelali niecelnie. Gdy zbliżaliśmy się do wsi, buchnęły kłęby dymu i ognia. Ktoś krzyczał, że dranie palą wieś. Paliło się parę chałup. Po linii podano, że zabili "Rekina", co wywołało chęć zemsty. Nie zważając na gwizd kul parliśmy naprzód, by dopaść sukinsynów.

Widziałem jak uciekają do położonego za wsią niedużego lasu, gdzie próbowali utworzyć drugą linię obrony.

Po kilku minutach musieli stamtąd wiać w stronę pozostawionych na szosie samochodów. Brawurowy atak kilkuset żołnierzy musiał na Niemcach sprawić wrażenie i napędzić strachu.

Gdy wybiegliśmy z lasu, szwabi zbliżali się do samochodów. Cofając się osłaniali się ogniem z broni maszynowej.

Z kilkoma kolegami wpadłem do piaszczystego dołu, gdzie zastałem "Bloka", "Flipa" i "Żabę". - Ładować zapalające! Walić w zbiorniki paliwa! - poznałem głos sierżanta "Bloka". Nacisnąłem spust...

Koleczy robili to samo. Jeden z samochodów zapalił się. Po nim zapaliły się następne. Niemców ogarnęła panika, bo byli na otwartej przestrzeni. Miotali się na wszystkie strony. Erkaemista "Żaba" posłał kilka serii. Padali na szosie i w jej pobliżu.

Nagle na niebie pojawiły się kolorowe rakiety. Wiedzieliśmy, że są sygnałem do zbiórki. Zadanie wykonaliśmy. Nieprzyjaciel stracił około 30 żołnierzy, kilka samochodów i znaczną ilość broni.

Na zbiórkę szliśmy z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Nie mniej od nas cieszyli się nasi karmiciele, którym zwróciliśmy wszystkie zrabowane dobra.

Nasze straty - to jeden zabity i jeden ranny.

W tym samym miesiącu obie brygady wzięły udział w akcji na pociąg z powracającymi z urlopów na front żołnierzami Wehrmachtu. Akcję przeprowadzono na linii kolejowej Wilno-Dźwińsk koło znanej z poligonów wojskowych miejscowości Pohulanka.

Obie brygady zajęły stanowiska wzdłuż torów na skraju lasu. Na kolei panował duży ruch pociągów w jedną i drugą stronę. Czekaliśmy na pociąg osobowy z wojskiem.

Plan akcji zakładał zatrzymanie pociągu, opanowanie go, rozbrojenie niemieckich żołnierzy i szybkie wycofanie się. W razie stawiania oporu mieliśmy pociąg ostrzelać i do poddania się zmusić Niemców siłą.

Do zatrzymania pociągu wyznaczono sierżanta "Bloka", dobrze władającego językiem niemieckim, strzelca "Alfonsa" i paru żołnierzy, których pseudonimów już nie pamiętam.

"Alfons" pochodził z Gdańska, gdzie powołano go do wojska. Miał pozorować dowódcę strzegącego linii kolejowej patrolu. Do zatrzymania pociągu służyła mu kieszonkows bateryjna latarka z zielonym i czerwonym światłem.

Po zatrzymaniu pociągu do akcji miały wkroczyć dwuosobowe grupy żołnierzy. Do wszystkich drzwi wagonów wyznaczono po jednej dwójce.

Zadanie dwójek polegało na opanowaniu wagonów i zmuszeniu Niemców do złożenia broni.

W przypadku stawiania oporu dwójki miały niezwłocznie opuścić wagony i schronić się w rowie przy kolejowym nasypie.

O nadejściu oczekiwanego pociągu mieliśmy dostać raketowy sygnał od członków konspiracji z Podbrodzia.

Na zajętych wzdłuż torów stanowiskach ogniowych czekaliśmy ponad godzinę. W jedną i drugą stronę przejechało kilka pociągów. Zaczął zapadać zmrok. Wszystkich ogarniał niepokój. Baliśmy się, że akcja zostanie odwołana.

W pewnej chwili ujrzeliśmy wystrzeloną od strony południowej rakietę. Po kilku minutach słyszeliśmy zbliżanie się pociągu.

Na tory wyszli przebrani w niemieckie mundury żołnierze. Błysnęło czerwone światło latarki. Pociąg wyraźnie zwalniał szybkość. Gdy zatrzymał się, zaświeciło światło zielone. Maszynista wolno ruszył do przodu. Na drugi czerwony sygnał zatrzymał się. W ten sposób "Blok" podciągnął pociąg dokładnie pod linię ognia obu brygad. Potem wszedł z "Alfonsem" do parowozu, by poinformować niemieckiego maszynistę o rozkręconych 200 m przed pociągiem szynach. W rzeczywistości szyny były całe. Niemiec podziękował za informację i sięgnął do kieszeni by wyciągnąć papierośnicę. W tym momencie został obezwładniony. "Blok" zabrał mu pistolet i kazał opuścić parowóz. Jego pomocnik - Polak, wyszedł bez przymusu.

Na rozkaz dowództwa do akcji przystąpiły "dwójki". Rozdały się wezwania do złożenia broni. Ze stanowisk ogniowych wołano: "Hände hoch!" i oznajmiano, że "Wir sind polnische Partisanen". Po chwili byliśmy w wagonach.





Rozkaz wykonaliśmy. Teraz strzały ucichły. Udaliśmy się do połączonego z bunkrem podziemnym przejściem posterunku policji. Zastaliśmy tam "Korsarza", który wyprowadzał pokrwawionych policjantów.

Był wśród nich młody oficer. Zwróciłem uwagę na zwisającą rękę, która trzymała się chyba tylko na ścięgnach. Rannym pośpieszyła z pomocą służba sanitarna. Oficerem zajął się por. "Rakoczy". Odgonił od niego sanitariuszkę oświadczając, że przystąpi do opatrunku później, gdy ranny powie gdzie ukryto ckm. Oficer milczał. Na okrawionej bladej twarzy błyszczały mu pełne nianawisci i pogardy oczy. Porucznik odbezpieczył maszynowy pistolet, spojrział na zegarek i oznajmił, że czeka tylko dziesięć sekund. Sekundy upływały - Litwin milczał. Odezwał się gdy "Rakoczy" doliczył do dziesięciu.

Okazało się, że ckm znajdował się na wieży kościoła.

W Janiszkach zdobyliśmy dużo broni, amunicji, żywności i poszukiwanych przez wieś towarów. Zabraliśmy je ze sklepów i magazynów. Wszystkie towary oddaliśmy chłopom.

Na początku maja /jeśli nie mylę się, to 3-go/ powrócił do brygady "Łupaszko". Gdy przewozili go z ~~Koźna~~ do ~~Wolna~~, ~~udało mu się uciec. Na temat jego powrotu do brygady krąży różne pogłoski. On sam mówi, że wrócił w Wilnie na dworzec.~~  
Uroczyste powitanie "Łupaszki" i przekazanie brygady odbyło się w Żukojniach.

W maju mieliśmy akcję na obsadzone przez kompanię wojsk łotewskich Kluszczany. Łotysze kwaterowali w przyległej do miasteczka szkole, wczesnym rankiem podeszła pod nią kompania ppor. "Korsarza". Przez młodą dziewczynę "Korsarz" dostarczył im ultimatum, w którym pisał, że są otoczeni i żądał niezwłocznego złożenia broni, gwarantując wszystkim oficerom i żołnierzom nietykalność.

Łotysze zorientowali się, że nie są otoczeni - otworzyli silny ogień z broni maszynowej i przez pola uciekli w stronę lasu.

Ze szkoły zabraliśmy znaczne ilości pozostawionej amunicji, płaszcze i inne drobiazgi.

Pod koniec maja natknęliśmy się na Łotyszów po zasadzce na oddział litewskiej policji. Litwiń wracali do Łyntup z pobliskiej wsi. Jechali kilkoma furmankami.

Zasadzkę przygotowaliśmy na przydrożnym cmentarzu.

Gdy furmanki podjechały pod cmentarz, wezwaliśmy nieprzyjaciół do poddania się. Litwini nie usłuchali wezwania i przyspieszyli jazdę. Strzelać do nich nie mogliśmy, bo woźnicami byli miejscowi chłopci.

Zanim wyszliśmy z ukrycia furmanki oddaliły się. Otworzyliśmy ogień ponad głowami policjantów. Skutek był natychmiastowy - wszyscy zeskoczyli z furmanek i zaczęli uciekać przez pole. Natychmiast wszczęliśmy pościg. Dwóch policjantów raniliśmy i zabraliśmy broń. W czasie pościgu zapędziliśmy się pod same łyntupy, gdzie Łotysze ostrzelali nas z ckm-ów i moździerzy.

Wobec przewagi wroga musieliśmy wycofać się. Rannych policjantów pozostawiliśmy na polu.

Więcej potyczek z Łotyszami nie mieliśmy.

Dowództwo łotewskie na początku było przekonane, że na objętym przez nich terenie operują partyzanci sowieccy, ale od ludności dowiedzieli się, że mają przed sobą regularne oddziały Armii Krajowej. Łotwa i Polska przed wojną utrzymywały przyjazne stosunki. Łotysze wyrażali pogląd, że napad Hitlera i Stalina na Polskę w niczym tych stosunków nie zmienił.

Swoją współpracę z Niemcami tłumaczyli okazją do porachunku ze wschodnim sąsiadem, który w połowie czerwca 1940 r. przemocą opanował Łotwę. Nie mogli mu wybaczyć pełnych więzień, licznych morderstw i: masowej deportacji ludności. Rosję uważali za największego wroga i dlatego chętnie angażowali się do zwalczania partyzantki radzieckiej. Walczyć z Armią Krajową nie chcieli.

W maju nasi dowódcy zewarli z Łotyszami niepisane porozumienie, które zezwalało wojskom łotewskim na swobodne poruszanie się na kontrolowanym przez oddziały AK terenie.

Pamiętam kilka przemarszów jednostek łotewskich w pobliżu zajmowanych przez nas wsi.

Raz przepuściliśmy łotewski batalion przez zajętą przez nas dużą wieś Łokciany.

W tym samym miesiącu na drodze wiodącej z Kluszczen do Łokcian miało miejsce spotkanie "Ronina" i "Korsarza" z dowódcą łotewskiego batalionu. Byłem w drużynie, która towarzyszyła dowódcom. Na umówione spotkanie na skrzyżowaniu polnych dróg przybyliśmy pierwsi. Po kilku minutach przyjechali furmanką Łotysze.

Drużyna ustawiła się w szeregu, by dokonać ceremonii powitalnej. Padły komendy: baczność!, na ramię broń! prezentuj broń! na prawo patrz! Potem usiedliśmy na trawie i przysłuchiwaliśmy się rozmowom, które prowadzono w przyjaznej atmosferze.

Łotysze żałowali, że nie możemy wyprawić się z nimi na bazy partyzantów sowieckich. Naszą walkę przeciwko okupantowi niemieckiemu rozumieli i popierali. Nasi dowódcy żałowali że nie mogą w nich mieć sojusznika do walki z hitlerowcami.

Przed zakończeniem spotkania dowódca łotewskiego batalionu wręczył "Roninowi" własny pistolet maszynowy. Towarzyszący mu dwaj oficerowie i podoficer uczynili to samo.

W trzeciej dekadzie czerwca w Kluszczech byliśmy ostatni raz. Przed opuszczeniem miasteczka do "Ronina" dotarła wiadomość o wykolejonym w pobliżu Łokcian pociągu, który wpadł na założoną przez sowieckich partyzantów minę. Sowietci minowali tory kolejowe na wszystkich liniach.

Ich oddziały w zasadzie niczym innym nie zajmowały się. Na przestrzeni 1943 i 1944 roku na naszym terenie przeprowadziły tylko dwa ataki - na miasteczko Miadzioł i na Kiemieliszki. Kiemieliszki zaatakowali w marcu. Miasteczka broniła załoga litewska. Walka trwała przez całą noc. Nad ranem czerwoni wycofali się.

Tego samego dnia miasteczko otoczyły 5 i 4 brygada AK. Litwinom doręczono żądanie, by niezwłocznie opuścili miasteczko. W piśmie określono drogę, którą mogli swobodnie dotrzeć do Podbrodzia.

Dowództwo litewskie żądanie przyjęło. Drogę przemarszu litewskiej jednostki kontrolował szwadron "Kitka". Z litewskiej kolumny w stronę szwadronu padło kilka strzałów. "Kitek" natychmiast odpowiedział ogniem. Na pomoc pospieszyły inne szwadrony. Po krótkiej strzelaninie Litwini poddali się. Zdobyliśmy dużo broni, amunicji, mundurów, obuwia, papierosów i różnego rodzaju artykułów, które pochodziły z opróżnionych sklepów.

Wykolejony pod Łokcianami przez partyzantów sowieckich pociąg był załadowany bydłem. Ochraniła go nieliczna grupa żołnierzy z Wehrmachtu.



Do akcji skierowano 1 kompanię "Korsarza" i jedną kompanię z 23 Brygady Brzesławskiej. Pociąg otaczały posterunki niemieckie. Staraliśmy się podejść do celu jak najbliżej. Atak z bliska powoduje zaskoczenie i zawsze przynosi dobre wyniki. Zналиśmy tę zasadę i staraliśmy się w miarę możliwości z niej korzystać.

Tym razem całkowitego zaskoczenia nie osiągnęliśmy. Naszą obecność w lesie zdradziły trzaskające pod stopami suche gałęzie. Zauważono nas, gdy byliśmy około 50 m przed skrajem lasu.

Niemcy podnieśli alarm. Na komendę "padnij!" zająłem stanowisko za grubą sosną. Obok mnie leżał "Hans".

Po chwili szwabi zasypali nas ogniem z broni maszynowej. Z drzew sypały się suche gałęzie. Wrogie kule wywracały leśne poszycie. Wiedzieliśmy, że ogień ten nie jest groźny i dlatego spokojnie czekaliśmy na rozkazy.

- Niech szwabi postrzelają - mówiłem do "Hansa".

- Zobaczymy na ile czasu starczy im amunicji. - Po jakimś czasie usłyszałem rozkaz: "Lewe skrzydło skokami, pojedynczo, naprzód!"

Po kilku minutach pociąg należał do nas. Wzdłuż torów leżały trupy nieprzyjaciół. Jeden miał roztrzaskaną głowę. Leżał przy kole wagonu. Celowałem do niego przed ruszeniem do ataku, gdy walił do nas ze swego mp.<sup>x</sup> Widziałem dokładnie wysuniętą zza koła twarz. Gdy oddałem strzał, głowa opadła. W akcji na pociąg od ostatniej zabłąkanej wrogiej kuli zginął komendant 23 Brygady Brzesławskiej.<sup>xx</sup>

Ze zwycięstwa nie cieszyliśmy się. Nie mogła bowiem zastąpić komendanta zdobyta broń i cały pociąg krów, które rozdaliśmy miejscowym chłopom.

Od początku 1944 r. wszystkie wileńskie brygady AK przejawiały ogromną aktywność bojową.

W zarządzonej przez komendanta Okręgu akcji oczyszczenia terenu z jednostek wojskowych i policyjnych okupanta nie próżnował żaden pluton. Od Brzesławszczyzny - na północy, po Nowogródczynę - na południu, trwały nieprzerwane walki. Każdego dnia rugowano wroga z gminnych miasteczek, a od czasu do czasu przeprowadzano poważniejsze akcje.

---

x - mp - pistolet maszynowy

xx - komendant 23 brygady Brzesławskiej - por Marian Kisielowski  
ps. "Dziwko"

W walce od początku zaznaczyła się wyraźna przewaga Armii Krajowej. Przewagę tę utrzymaliśmy aż do operacji Wileńskiej pod krypronimem "Ostra Brama".

Nad większością Ziemi Wileńskiej wiosną 1944 r. rzeczywistą władzę sprawowała Armia Krajowa. Nie pomogły Niemcom sprowadzone z Litwy Kowieńskiej bataliony gen. Plechavičiusa i bataliony wojsk żotewskich.

Brygady partyzanckie 1 Zgrupowania AK stoczyły z Litwinami kilka zwycięskich walk. Między innymi 4 maja 3 Brygada kpt. "Szczerbca" /Gracjana Froga/ rozbiła litewski oddział w rejonie Turgiel.

Na początku maja Niemcy szykowali się do operacji bojowej w celu zlikwidowania oszmiańskiego zgrupowania polskich brygad. Do operacji postanowili użyć oddziały Litewskiego Korpusu Posiłkowego.

Dowództwo AK uprzedziło Niemców. 6 maja akowcy rozbili doszczętnie zgrupowane jednostki litewskie na przedpolu Granzyszek. Nieprzyjaciel poniósł poważne straty w zabitych, w broni i amunicji. Wzięto sporo jeńców.

Największe zwycięstwo nad oddziałami Litewskiego Korpusu Posiłkowego wpisano do historii pod Murowaną Oszmianką.

Akcję przeprowadzono w nocy z 13 na 14 maja. Obserwował ją sam komendant Okręgu.

Po krótkim brawurowym natarciu 3 i 8 brygady broniący Murowanej Oszmianki Litwini musieli poddać się. Owocem wspaniałego zwycięstwa było ponad 300 jeńców oraz duże ilości zdobytej broni i amunicji.

Jeńców rozebrano z mundurów i pod eskortą żołnierzy AK w bieliźnie wprowadzono na przedmieścia Wilna.

Wojacy gen. Plechavičiusa /w bieliźnie i w hełmach/ stali się pośmiewiskiem Wilnian.

17 maja, w wyniku tej kompromitacji, Niemcy korpus litewski rozwiązali.

Część żołnierzy skierowali do obozów pracy. Większość rozproszyła się po całej Litwie. Na tereny przedwojennej Litwy uciekali także policjanci z rozbitych gminnych posterunków, oraz pracownicy prowincjonalnych urzędów i ich rodziny.

Poważny odpływ administracji litewskiej notowano również w samym Wilnie.

Jednocześnie notowano duży odpływ ze wszystkich wileńskich miast polskiej młodzieży, która masowo zasilała Armię Krajową.

Bataliony litewskie nie posiadały broni ciężkiej i zmotoryzowanej, ale były lepiej wyposażone w broń od partyzantów. Mimo to nie sprostały oddziałom polskim.

Czasy partyzanckie zaliczam do najpiękniejszych z całego życia. Tak samo oceniają je wszyscy koledzy z Armii Krajowej. Jestem przekonany, że nie może być nic piękniejszego od walki z zła wem najpotworniejszego w historii ludzkości barbarzyństwa - od walki o niepodległość, wolność i życie Narodu. Nie może być nic piękniejszego od towarzyszącej jej solidarności i zrodzonej z gorącej miłości do Ojczyzny ofiarności wszystkich Polaków.

Żołnierz Armii Krajowej, w pogrążonym w mrokach okupacji kraju, czuł się wolnym.

Od granicy z Łotwą po ziemię nowogródzką, nieśliśmy tę wolność ukochanej rodzinnej Wileńszczyźnie i całej Polsce.

Na każdym kroku spotykaliśmy się z serdecznością, wiernej Polsce ludności.

Siły Armii Krajowej na Wileńszczyźnie doceniali zarówno okupanci niemieccy jak i partyzanci sowieccy.

Po bitwie pod Radziuszami jedni i drudzy usiłowali doprowadzić do porozumień z naszym dowództwem.

Na wniosek strony niemieckiej w dniach 10 i 12 lutego doszło do spotkań niemieckiego dowództwa z komendantem Okręgu Wileńskiego AK.

Ich przebieg opisał uczestnik rozmów, dr Jerzy Dobrzański:

O wadze, jaką Niemcy przypisywali do osiągnięcia porozumienia świadczy fakt, że gotowi byli zastąpić na Wileńszczyźnie administrację litewską, administracją polską.

Na odmowę zawarcia jakiegokolwiek porozumienia Niemcy zareagowali błyskawicznie. Już 14 lutego przystąpiono do formowania "Litewskiego Korpusu Posiłkowego", który przerzucono na Wileńszczyznę w celu likwidowania Armii Krajowej.

Dr Jerzy Dobrzański wspominał o wystosowanym przez Komendanta Okręgu liście do gen. Plechavičiusa, w którym uprzedzono go aby nie dał się użyć do zaplanowanej przez Niemców nikczemnej roboty i ostrzegano, że każda akcja LKP spotka się ze zdecydowaną i bezwzględną odpowiedzią polskich sił zbrojnych.



Litewskiemu generałowi doradzano, by ze swoim korpusem pozostał na terenie Litwy Kowieńskiej. Na Ziemi Wileńskiej LKP może się zjawić tylko w przypadku - pisano - gdy zmieni front i zadeklaruje walkę przeciwko hitlerowcom jako sprzymierzeniec Armii Krajowej". List ten pozostał bez odpowiedzi.

Trudno dzisiaj wyliczyć wszystkie stoczone przez 5 i 4 brygadę akcje bojowe.

Drobne potyczki i zasadzki miały miejsce prawie codziennie. Wspomnę tylko o wysyłanych do miast, nie wyłączając Wilna, bojowych patrolach, w celu zdobycia broni i zasiania atmosfery zagrożenia nawet w miejscach, które okupant uważał za zupełnie bezpieczne. Akcje wysyłanych do miast partyzanckich patroli podnosiły na duchu ludność cywilną.

W tego rodzaju akcjach brałem udział trzykrotnie. Rozbrajaliśmy Niemców w liczącym ponad dziesięć tysięcy mieszkańców mieście Nowej Wilejce. W dwóch wyprawach towarzyszyli mi koledzy "Hans" i "Świt",<sup>x</sup> a w trzeciej oprócz nich kolega "Foker". Przy okazji odwiedzaliśmy swoje domy, gdzie mieliśmy zapewnione noclegi.

Raz, będąc w Nowej Wilejce, wpadłem na pomysł, by pójść do kościoła na niedzielną młodzieżową mszę św. Szczerze mówiąc, bardziej niż na mszy zależało mi na pokazaniu się kolegom i koleżankom, którzy wiedzieli że jestem w partyzantce. Chciałem sprawić na nich wrażenie.

W kościele zauważyli mnie. Z dumą obserwowałem jak kierowali w moją stronę wzrok i coś szeptali. Po mszy św. otoczyli mnie całą gromadą. Dziewczeta pytały czy nie boję się chodzić po pełnym Niemców mieście. Miałem im opowiadać o partyzantce. Ciekawili się, po co przyszedłem. Odpowiedziałem, że dowiedzą się, gdy będę w drodze do oddziału.

Gdy staliśmy przed kościołem, mijali nas niemieccy żołnierze. Widząc wrogie mundury czułem się byle jak. Nie mogłem dopasować się do okupacyjnych warunków. Wydawało mi się, że na mnie patrzą, że wiedzą kim jestem...

Wieczorem rozbroiliśmy niemieckich żołnierzy w budynku przy ul. Kojrańskiej. Zdobyliśmy 5 karabinów, 2 pistolety i trochę amunicji.

Innym razem rozbroiliśmy Niemców na kwaterze przy ul. Wileńskiej.

---

x "Świt" - Rudolf Wyszomirski - kolega ze szkoły

Z 6 na 7 lipca Oddziały Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego AK uczestniczyły w największej po Powstaniu Warszawskim operacji bojowej Armii Krajowej pod kryptonimem "Ostra Brama". Celem operacji było zdobycie Wilna przed pojawieniem się na jego przedpolach wojsk sowieckich, oraz zadokumentowanie polskości i nienaruszalności ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej.

W operacji tej nie brałem udziału, ponieważ 5 lipca, podczas marszu do pozycji wyjściowych do natarcia na Wilno byłem dwukrotnie ranny i trafiłem do polowego szpitala.

Na szosie Wilno - Podbrodzie, koło Santoki zagroziły 4 Brygadzie drogę pancerno-zmotoryzowane oddziały Wehrmachtu. W walce, podczas przebijania się przez szosę, ranili mnie w ~~ramię~~ głowę, a potem w nogę.

Zginął wówczas kolega "Kolt" i z odniesionych ran po dwóch godzinach zmarł "Świt". Do szpitala skierowano również rannego "Tarczę" i "Korsarza", któremu wroga kula przeszła szyję 4 lipca.

Niemcy stracili kilkunastu zabitych i musieli z szosy ustąpić.

Czasów partyzanckich nie można zapomnieć. Miałem wówczas 17 lat. Tak jak wszyscy koledzy, poszedłem walczyć z miłości do gnębionej przez wrogów Ojczyzny. Tę miłość - miłość czystą i gorącą - mieliśmy w sercach, w myślach i we krwi... Byliśmy nią przesiąknięci do szpiku kości.

Ojczyznę ceniliśmy wówczas ponad życie. Była dla nas droższą od sióstr, braci, ojców i matek.

Do dzisiaj pamiętam partyzancką przysięgę. Składałem ją z kolegami w Kiemieliszkach.

Staliśmy w długim dwuszeregu na placu w centrum miasteczka. Przed sobą mieliśmy dowódców 4 i 5 brygady i księdza kapelana.

Z przyległych do placu domów powiewały biało-czerwone flagi. Nikt nie kazał ich wywieszać. Pojawiły się z woli mieszkańców.

Wysoko nad nami przelatowały niemieckie samoloty. Część placu wypełnili mieszkańcy Kiemieliszek. Zebrali się tam chyba wszyscy. Kobiety ocierały łzy radości i wzruszenia, bo w tym czasie miasteczko było polskie.

Pamiętam, jak na komendę "Do przysięgi!" poderwaliśmy się na baczność, jak ujęliśmy czapki w dłonie lewej ręki, podnosząc

do góry prawą ze złożonymi dwoma palcami.

Ksiądz kapelan uniósł wysoko krzyż z rozpiętym na nim Chrystusem i powoli cytował słowa przysięgi. Nie przypominam już jej tekstu, ale wiem, że przysięgaliśmy Bogu i Ojczyźnie, Prezydentowi Rzeczypospolitej, Naczelnemu Wodzowi i Narodowi, że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, aż ostatni zaborca opuści świętą polską ziemię.

Powtarzając słowa przysięgi czułem jak spływają mi po policzkach krople łez. Słowa przysięgi poruszyły najtwardszych żołnierzy, chociaż nie zawierały wszystkiego, co czuły nasze serca i czym wypełnione były nasze ~~myśli~~ myśli, w których przewijały się miliony ofiar, od tragicznego września 1939 r., wszystkie barbarzyństwa i zbrodnie okupantów i wyklaniała się wizja wolnej, niepodległej Ojczyzny.

Gdy powracam do tamtych czasów, a powracam do nich dość często, ogarnia mnie wzruszenie. Zaczynam wszystko przeżywać na nowo.

Im głębiej przenoszę się w przeszłość, tym bardziej tonę we wrażeniach, które mimo upływu tylu lat nie tracą na sile.

Tonę w ich pięknie, które w pewnym stopniu można porównać tylko z Gdańskim Sierpniem. Uczestnicząc w odprawianych w Stoczni Gdańskiej mszach, przypomniałem sobie msze partyzanckie na leśnych polanach. Widziałem maszty z łopoczącymi biało-czerwonymi flagami, białe orły i partyzanckie wojsko, przy pokrytych biało-czerwonym płótnem ołtarzach.

Gdy z setek żołnierskich piersi płynęło potężne echo śpiewanej także w Sierpniu pieśni "Boże coś Polskę..." ludzie płakali.

Płakali również słuchając pogrzipiających słów z kazań partyzanckiego księdza.

Ołtarze zdobiły kwiaty i narodowe godło. Ustawieni brygadami żołnierze tworzyli duże czworoboki.

Wypełnione wojskiem polany tworzyły atmosferę przypominającą wolną Ojczyznę.

Po pieśni "Boże coś Polskę" śpiewaliśmy zrodzoną na Zachodzie modlitwę:



" O Panie, któryś jest na niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!  
Wołamy ze wszech stron do Ciebie  
O Polski dach i polską broń.  
O Boże, skrusz ten miecz,  
Co siekł nasz kraj,  
Do wolnej Polski nam powrócić daj!  
By stał się twierdzą nowej siły  
Nasz dom, nasz kraj.  
O usłysz Panie, skargi nasze,  
O usłysz nasz tułaczy śpiew!  
Znad Warty, Wisły, Wilii, Bugu  
Męczeńska do Ciebie woła krew.  
O Boże, skrusz ten miecz ... "

Któż nie przeżył tych pięknych chwil, nie potrafi wyobrazić, jak słowa te brały za serca.

Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że Bóg tę modlitwę wysłucha, że dopomoże skruszyć zaborcze, barbarzyńskie miecze i uczyni nasz kraj twierdzą nowej siły.

Raz po Mszy św. mieliśmy defiladę. Marszerując przed wyższym dowództwem marzyliśmy o przyszłej defiladzie w wolnym Wilnie.

Nikt nie przypuszczał, że te marzenia są nierealne. W naszej świadomości droga do wolnej Polski prowadziła tylko przez wolne polskie Wilno.

Marzyliśmy o spotkaniach z rodzicami, z przyjaciółmi, krewnymi, sąsiadami oraz o nauce i pracy, dla droższej nade wszystko Ojczyzny.

W służbie partyzanckiej obowiązywała wszystkich ~~żołnierzy~~ żołnierska dyscyplina. Nikt nie miał prawa oddalić się poza kwaterę swojej drużyny. W wyjątkowych wypadkach, gdy brygada, kompania czy pluton stacjonowały w pobliżu miejsca zamieszkania żołnierza, mógł on otrzymać zezwolenie na odwiedzenie rodziców.

W trosce o bezpieczeństwo żołnierza dowódca dawał mu kilku kolegów z tej samej drużyny.

Dużo uwagi poświęcano nienagannemu zachowaniu się żołnierzy, a przede wszystkim stronie moralnej. Partyzant z Armii Krajowej musiał świecić przykładem. Każdy z nas zdawał z tego sprawę i starał się, by dowództwo i miejscowa ludność nie mieli pod tym względem najmniejszych uwag.

Za picie alkoholu groziło wydalenie z oddziału, a w drastycznych przypadkach - kara śmierci. Ogromną uwagę zwracano na poprawny stosunek do jeńców. Za samowolne zabieranie jeńcom ich rzeczy osobistych groziła kara śmierci. Rannym nieprzyjaciołom należało оказywać pomoc na równi z pomocą udzielaną rannym żołnierzom AK. Za kradzieże i zniewalanie dziewcząt również groziła kara śmierci. Za cały czas mojego pobytu w partyzantce zdarzył się tylko jeden przypadek gwałtu. Sprawcy haniebnego czynu nie ukarano śmiercią ze względu na zasługi w walce z wrogiem, ale Armię Krajową musiał opuścić.

Przypadków okradania jeńców i chłopów nie znam.

Wiele czasu poświęcaliśmy nauce o broni, ćwiczeniom bojowym i żołnierskiej musztrze.

W czasie wolnym od zadań bojowych każdy dzień zaczynaliśmy od gimnastyki i wspólnej modlitwy.

Żołnierskie życie urozmaicały częste próbne alarmy. Ogłaszano je w różnej porze dnia i nocy. Dzięki temu byliśmy dobrze wyszkoleni i przygotowani do walki nawet z najlepszymi, elitarnymi oddziałami wroga.

Nasze wyszkolenie niejednokrotnie podziwiali Niemcy i partyzanci sowieccy.

Obok dobrego wyszkolenia na wartość żołnierzy Armii Krajowej składał się gorący patriotyzm oraz świadomość celu i słuszności walki. Ogromne znaczenie posiadała głęboka wiara w zwycięstwo, oraz pełne poparcie i pomoc związanej duchowo z AK cywilnej ludności.

" Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami

Każdego z nas sumienia wezwał głos..."

Tak śpiewaliśmy w jednej z partyzanckich piosenek.

W innej - "... Aby widzieć padając w ataku

Polskę wolną i czystą jak łąka..."

Słowa tych piosenek nie powstały w Komendzie Okręgu, nie stworzono ich na zamówienie instytucji politycznych czy wyższego dowództwa. Autorami piosenek byli żołnierze.

23 czerwca 1944 r. na środkowym froncie wschodnim rozpoczęła się ofensywa sowiecka, której postępy zaskoczyły nie tylko Niemców.

Oddziały Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego w nocy z 6 na 7 lipca musiały rozpocząć samodzielne natarcie na Wilno. Operację, której nadano kryptonim "Ostra Brama" kierował

gen. "Wilka".

Główne natarcie skierowano na linie bunkrów niemieckich po wschodniej stronie miasta. Żołnierze AK przystąpili do ataku z uciążliwego marszu, bez chwili odpoczynku.

Oddziały garnizonu miejskiego opanowały dzielnicę Kalwaryjską, a Szare Szeregi pod dowództwem kpt. Józefa Grzesiaka Czarnego ps. "Kmita" - dzielnicę Zarzecze, skąd przeszły do centrum i na murach zamku księcia Gedymina, na górze Zamkowej zawiesiły biało-czerwoną flagę.

W pierwszym dniu natarcia na Wilno dotarły wojska sowieckie. Dalsze walki o wyzwolenie miasta odbywały się we współdziałaniu z dowództwem radzieckim.

Atak polskich zgrupowań od wschodu i południowego wschodu Niemcy odparli. Walkę w mieście kontynuowały tylko pododdziały 3 Brygady "Szczerbca".

Propozycje gen. "Wilka" odnośnie wspólnego kontynuowania walk o wyzwolenie polskiego Wilna, z włączeniem całości sił Armii Krajowej, dowództwo sowieckie odrzuciło.

W tych warunkach współdziałanie z jednostkami wojsk sowieckich ograniczyło się tylko do konspiracyjnych oddziałów garnizonu miejskiego i pododdziałów 3 Brygady.

2 Zgrupowanie AK mjr. "Węgielnego", któremu podporządkowała się należąca do 5 Zgrupowania 4 Brygada, w operacji "Ostra Brama" nie wzięło udziału, ponieważ mjr "Węgielny" podporządkował je dowódcy 277 dywizji piechoty gen. Gładyszewa.

Zgrupowanie to miało uderzyć na miasto od strony północnej, ale z rozkazu gen. Gładyszewa skierowano je w okolice Mejszagoły, gdzie uwikłało się w lokalne potyczki z wojskami niemieckimi.

Dowództwo sowieckie ze względów politycznych nie było zainteresowane zasileniem walczącego w Wilnie garnizonu miejskiego AK brygadami 2 Zgrupowania i szerokim współdziałaniem w walkach o Wilno z Armią Krajową, w stosunku do której mieli z góry założone plany.

Brygady mjr. "Węgielnego" zdobyły kilka miejscowości, między innymi Mejszagołę i Klamele.

13 lipca, w dniu zdobycia Wilna przez współdziałające z oddziałami AK wojska sowieckie, maszerując na zarządzoną przez gen. "Wilka" koncentrację Armii Krajowej 2 Zgrupowanie natknęło



się na liczącą 3000 żołnierzy kolumnę niemiecką, co miało miejsce w okolicy wsi Krawczuny i Nowosiółki.

Kolumnie niemieckiej udało się opuścić Wilno, które otaczał pierścień wojsk sowieckich. Maszerowała ku Wilii, by połączyć się z oczekującymi na nią po drugiej stronie rzeki, w rejonie Krawczun, formacjami strzelców spadochronowych grupy bojowej Tolsdorfa.

W pierwszej fazie walk wielokrotnie liczebniejszy i lepiej uzbrojony przeciwnik rozbił 1 Brygadę "Juranda". Na polu walki zginął jej dowódca por. "Jurand" /Czesław Gromczewski/.

Wkrótce do walki włączyły się pozostałe brygady Zgrupowania. W wielogodzinnej, toczącej się ze zmiennym szczęściem bitwie, akowcy odnieśli zwycięstwo.

Nieprzyjaciel stracił około 1000 żołnierzy. Zdobyto ogromne ilości broni i amunicji. Straty 2 Zgrupowania wyniosły 73 poległych i 40 rannych.

Niemiecką kolumną dowodził znany z Powstania Warszawskiego gen. Stahel.

W walce o Wilno oraz w bitwie pod Krawczunami żołnierze AK dowiedli, że potrafią stawiać czoło i zwyciężać, mając przed sobą najlepsze jednostki jednej z najlepszych armii świata. Powiewającą nad zamkiem Gedymina polską flagę sowieci szybko usunęli.

Po kilku dniach zrozumieliśmy, że nasza walka była Moskwie tak samo potrzebna jak ta polska flaga.

Żołnierzy Armii Krajowej władze sowieckie uznały za bandytów i wrogów narodu.

Do 16 lipca gen. "Wilk" odbywał rozmowy z dowódcą 3 frontu białoruskiego i był z nich zadowolony. Mówił, że odbywały się w dobrej i przyjaznej atmosferze. Rosjanie zgodzili się na wystawienie przez Okręg dywizji piechoty i brygady kawalerii. W następnym rzucie miała być wystawiona druga dywizja piechoty. Godzili się na podporządkowanie polskich formacji radzieckiemu dowództwu tylko pod względem operacyjnym. Obiecali udzielić pomocy materialnej, a przede wszystkim w uzbrojeniu.

W związku z zawartym porozumieniem gen. "Wilk" zarządził na 16 lipca koncentrację wszystkich podległych mu oddziałów w rejonie Turgiel. Tego dnia radzieccy dowódcy dokonali przeglądu polskiego wojska.

Brygady partyzanckie przemianowano na pułki.

Od dnia wyzwolenia Wilna do oddziałów AK płynął nieprzerwany potok ochotników. Stany liczebne polskich jednostek rosły jak na drożdżach.

Broni lekkiej nie brakowało. Zdobyto jej dużo w czasie walk o wyzwolenie Wilna.

Do armii sowieckiej Polacy nie szli. Stronili przed niepopularną, bo zależną od Moskwy, armią gen. Berlinga, w której ok. 90 % oficerów stanowili Rosjanie.

Dowódcy armii Berlinga znali nastroje Wilnian i dlatego nie osmielali się im pokazać. Berling i jego bliscy zdawali sprawę, że w odczuciu Polaków polską armię stanowiły siły zbrojne na Zachodzie i Armia Krajowa.

Nic nie patrząc przeżytych przez żołnierzy AK i wileńską ludność kilku dni wolności, gdy w mieście roiło się od chłopców w mundurach z biało-czerwonymi opaskami, gdy wszystkie szpitale były pod zarządem AK, gdy w fabrykach i zakładach tworzyły się polskie komitety i całe miasto tchnęło polskością.

Po Litwinach nie pozostało śladu. Cywile witali skowców kwiatami. Gdziekolwiek pojawił się żołnierz AK, zbierali się zachwyceni, serdeczni i szczęśliwi rodacy.

Do żołnierzy sowieckich ludzie odnosili się oziębło. Nikt ich nie witał, nie wręczał kwiatów, nie spotykał miłym uśmiechem. Zbyt świeże były wspomnienia z potwornych przeżyć od 17 września 1939 r. do 22 ~~kwiatnia~~ czerwca roku 1941. Żyła pamięć o masowej zbrodni w Katyniu, masowych deportacjach, pełnych więzieniach... Uzupełniały je zbrodnie sowieckich partyzantów z lat 1942-1944. Powszechne oburzenie wywołał komunikat moskiewskiego radia, oznajmiający, że 13 lipca 1944 r. armia radziecka przy pomocy litewskich partyzantów zdobyła stolicę sowieckiej Litwy. Wszystko wskazywało na to, że do Wilna wkroczyli w niczym nie zmienieni, znani już Wilnianom zaborcy.

Ludzie bali się nowych represji, prześladowań i deportacji.

W tym samym dniu, gdy radzieccy dowódcy dokonali przeglądu polskich oddziałów, aresztowano gen. "Wilka" i zwołanych na spotkanie z dowódcą 3 frontu białoruskiego dowódców brygad i ich zastępców. W jednym i drugim przypadku użyto takiego samego podstępku, jak przy likwidacji Oddziału "Kmicica".

Generała z szefem sztabu, mjr dypl. Teodorem Cetysem poproszono do Wilna na naradę z gen. armii Iwanem Czerniachowskim w sprawie dalszych decyzji odnośnie tworzenia polskich dywizji, skąd obaj trafili już do więzienia.

Oficerów aresztowano w m. Bogusze, gdzie oczekiwali na gen. Czerniachowskiego i Komendanta Okręgu, którzy mieli ich poinformować o podjętych decyzjach.

Po aresztowaniu dowództwa, rejon koncentracji polskich oddziałów otoczyły silne jednostki wojsk sowieckich.

17 lipca żołnierzy Armii Krajowej wezwano do złożenia broni.

Walka z regularną armią sowiecką ze względów politycznych była niemożliwa. Wykorzystano ją w celach propagandowych do oczernienia Armii Krajowej wobec naszych sprzymierzeńców.

Złożenie broni obcemu wojsku należało do trudnych decyzji.

Każdy akowiec pragnął dotrzymać przysięgi i walczyć do końca.

Nad rejonem koncentracji krążyły sowieckie samoloty. Z różnych stron wyłaniały się gotowe do ataku sowieckie czołgi.

Podjęcie decyzji utrudniał brak wyższego dowództwa. Część młodszych dowódców postanowiła przebić się przez okrażenie i maszerować w kierunku Puszczy Rudnickiej. Inni starali się przebić przez linię frontu, by połączyć się z siłami AK w centrum kraju. Reszta żołnierzy z bólem w sercach złożyła broń lub po przebraniu się w cywilne ubrania wróciła do swoich rodzin.

Rozbrojonych kierowano pod eskortą do tymczasowego obozu w Łódziankach Królewskich, skąd wszystkich wywieziono do Kaługi. Wkrótce po rozbrojeniu akowców władze sowieckie ogłosiły mobilizację mężczyzn do sowieckiego lub berlingowskiego wojska. Uchyliającym się od mobilizacji grozono karą śmierci. Polacy mieli prawo wyboru - armię sowiecką lub polską.

Do armii gen. Berlinga chętnych nie było. Zgłosiły się do niej tylko osoby pojedyncze, kierując się strachem przed więzieniem, Syberią i śmiercią. Do armii sowieckiej nie wstąpił żaden Polak.

Armię Berlinga uważali Wilnianie za armię marionetkową. Co to za armia - mówili - która mieni się polską, a nie uznaje uznawanego przez naród i cały świat suwerennego polskiego Rządu? Co to za armia, w której oficerowie - to przebrani w polskie mundury polityrucy i agenci NKWD?, w której rozkazy wydawane są po rosyjsku, która nie tylko operacyjnie, lecz i politycznie podporządkowana jest Moskwie? Wstąpić do takiej armii - to wstyd, hańba, zdrada ..."



Tymczasem do Miednik przybyła grupa oficerów tej armii. Między nimi był Jerzy Putrament. Od pozostałych różnił się tylko tym, że nie kaleczył języka polskiego. Wszystkich, nie wyłączając Putramenta, akowcy zagłuszali gwizdami. Mówców wzywano do poduczenia się polskiej mowy, wzywano od zdrajców i radzono jak najszybciej opuścić obóz.

"My chcemy "Wilka"! Was nie chcemy! Zwróćcie Komendanta! Precz z obozu! Zdrajcy!..." - taka była odpowiedź akowców na agitowanie do wstępowania do armii Berlinga.

Ponieważ agitacje nie dały oczekiwanych wyników, obóz zlikwidowano, a akowców wywieziono w głąb Rosji.

W ten sposób około 4000 żołnierzy AK z Okręgu Wileńskiego trafiło do Kaługi, gdzie utworzono z nich 361 pułk sowieckiej piechoty.

Po krótkim przeszkoleniu pułk miał wyruszyć na front. Funkcje dowódcze, od dowódcy pułku do dowódcy plutonu, pełnili w nim oficerowie radzieccy. Do wysłania pułku na front nie doszło, ponieważ przeczodzieni w sowieckie mundury żołnierze AK odmówili złożenia przysięgi według tekstu obowiązującego w armii sowieckiej.

Za karę ~~przyczyniła~~ przydzielano żołnierzy w stare sowieckie ciuchy i skierowano na wyrąb lasu.

Oficerów i gen. "Wilka" przez jakiś czas trzymano w więzieniu śledczym przy ul. Ofiarnej i na Łukiszkach. Potem przywieziono do obozu w Biazaniu.

Wywiezionych do Kaługi odtransportowano do nowej polskiej granicy w roku 1946, a oficerów - w 1947 r.

Wielu, po krótkim pobycie na wolności, aresztowano. Gen. Wilka" i innych zamęczono w więzieniach na śmierć. Nie mało na podstawie sfałszowanych w UB oszczerczych oskarżeń, np. komendanta 3 Wileńskiej Brygady kpt. Gracjana Froga ps. "Szczerbiec" skazano na karę śmierci. Później tych zasłużonych dla Polski ludzi rehabilitowano.

Parę lat temu od córki generała, pani Olgi Krzyżanowskiej, dowiedziałem się, że w 1947 r, ojca oskarżono o współpracę z Niemcami i że generał ze względu na absurdalność oskarżeń odmówił składania zeznań. Przez cztery lata więzienia człowiek ten po prostu milczał - milczał aż do śmierci.

Krótkie, ale piękne dni wolności przed likwidacją Armii Krajowej przeżyłem w szpitalu polowym w Kalinie. Kierowniczką szpitala była pani Stanisława Popławska, ps. "Inka". Dzięki niej i całej obsłudze mieliśmy tam wspaniałe warunki. Siostry otaczały nas wspaniałą opieką i wszystkimi sposobami starały się sprawić przyjemność. Nie mam pojęcia kiedy one spały. Nawet przy zmianie opatrunków śpiewały partyzanckie piosenki. Na sali mieliśmy telefon. Przy każdym łóżku na szafkach zawsze były świeże bukiety kwiatów.

Okoliczni mieszkańcy przynosili różnego rodzaju smakołyki. Skąd je brali, nie wiem. Za ich pośrednictwem wysyłałiśmy do naszych rodzin listy. Ci wspaniali ludzie zanosili je, pokonując pieszo nieraz kilkadziesiąt kilometrów, na niebezpiecznym, przyfrontowym terenie. Dzięki nim, już po kilku dniach odwiedzali nas rodzice, bracia, siostry.

Bez ograniczeń piliśmy świeżą śmietankę. Codziennie mieliśmy ~~zalewaną~~ śmietankę, świeże truskawki.

13 lipca do Kalina przybył pierwszy sowiecki patrol. Siedziałem wtenczas z kolegami na przyszpitalnym trawniku.

Żołnierze sowieccy przysiedli do nas. Dowódcą patrolu był osiemnastoletni oficer z trzema gwiazdkami. Odnosił się do nas bardzo życzliwie. Odczuliśmy, że darzył nas sympatią. Twierdził, że walka na tyłach wroga jest o wiele trudniejsza. Podziwiał, że wyglądamy jak prawdziwe wojsko.

W pewnej chwili na podwórzu wjechał konno komendant 4 Brygady, por. "Ronin". Szybko zeskoczył z konia, przywitał się i pobiegł do szpitala. Oczy sowieckich żołnierzy skierowały się w jego stronę.

- Kto to taki? - spytał d-ca patrolu.

Gdy dowiedział się, że jest komendantem partyzanckiej brygady, która pod Krawczunami przed kilkoma godzinami przyjęła na siebie największy ciężar bitwy, po kilkakroć wymówił słowo "gieroj" /bohater/.

Oficer traktował nas jak przyjaciół. Mówił, że swoją walką naród polski zasłużył na wolną i silną Polskę. Nie wiedział, że za parę dni będzie musiał tych przyjaciół rozbrajać.

17 lipca do Kalina przybył łącznik, od którego dowiedzieliśmy się o aresztowaniu "Wilka" i oficerów oraz o rozbrajaniu oddziałów AK. Przyjechał z rozkazem niezwłocznego likwidowania szpitala.

Zgodnie z rozkazem, rannych którzy w pobliżu nie mieli rodzin, ulokowano na zakonspirowanych punktach sanitarnych w Wilnie. Pozostałymi zaopiekowały się rodziny. Moi rodzice przyjechali po mnie furmanką na początku trzeciej dekady lipca.

#### X. PIERWSZE ARESZTOWANIA

Rozbrojenie i internowanie około 4000 żołnierzy AK oraz aresztowanie Komendanta Okręgu i dużej grupy oficerów rozwiały wszystkie nadzieje Wilnian. Liczyliśmy jeszcze na nasz Rząd i sojuszników - na ich interwencje, ale rzeczywistość tego nie potwierdziła. Na Ziemi Wileńskiej władzę sprawowali oni i uważali ją za sowiecką.

W całym województwie zapanowało rozgoryczenie. Wytworzyła się atmosfera niepewności i strachu. Baliśmy się, że zaczną się masowe aresztowania i deportacje. Na wsi dochodził jeszcze strach przed kółchozami.

W tym czasie przebywałem w domu. Często odwiedzali mnie koledzy i koleżanki. Przychodzili w odwiedziny sąsiedzi.

"Bronka" <sup>x</sup> z "Wila" <sup>xx</sup> regularnie zmieniały opatrunki, co przyspieszało gojenie się ran. Obie siostry miały pod opieką rannych, którzy przebywali w Nowej Wilejce.

Po rozbrojeniu akowskich oddziałów nie powróciły do domów. Mieszkały kilkadziesiąt kilometrów od Wilna. Pozostały w mieście, by pomagać rannym. Obok pomocy medycznej dziewczęta dostarczały rannym podrobione w podziemiu dowody tożsamości. Obie dość często zostawały u nas na noc.

Dużo kolegów, którzy byli ~~w~~ w partyzantce nie dało się rozbroić. Wrócili do domów i czekali na bliżej nie określone zmiany. Do armii nikt nie zgłaszał się. Ciągłe liczyliśmy na naszych sojuszników. Sądziliśmy, że ich interwencje w Moskwie

---

x - "Bronka" - Bronisława Andycka, sanitariuszka z AK,

xx - "Wila" - Wilhelmina Kosicka - wtenczas Mackiewiczówna,

W również sanitariuszka z AK



doprowadzą do zwolnienia naszych oficerów i pod ich komendą będziemy kontynuować walkę.

W końcu lipca funkcjonariusze sowieckiej służby bezpieczeństwa zajęli się ludźmi, którzy współpracowali z okupantem. Więzienia zapełniono byłymi funkcjonariuszami litewskiej policji, agentami gestapo, donosicielami, funkcjonariuszami saugumy i urzęd-  
nikami okupacyjnej administracji.

Większość więźniów stanowili Litwini. Byli wśród nich również Białorusini, Rosjanie i Ukraińcy. Polacy trafiali się rzadko.

Po aresztowaniu wileńskiego dowództwa Armii Krajowej postawa ludności do ZSRR była jednoznacznie wroga.

Władze sowieckie liczyły, że pozbawiona dowództwa żołnierska masa bez sprzeciwu podporządkuje się gen. Berlingowi, ale w rachubach swych pomyliły się.

Masa ta nie tylko nie podporządkowała się polskim komunistom, lecz znaczna jej część wydała im walkę. Do nich należeli żołnierze "Kryścia", "Korsarza", mjr. "Kotwicz" i inni.

21 sierpnia 1944 r. mjr "Kotwicz" koło wsi Surkonty stoczył walkę z naciskającym na niego oddziałem sowieckim. W pierwszej fazie walki Polacy mieli przewagę. Nieprzyjaciel poniósł duże straty. Pod wieczór sprowadził posiłki z pobliskiego Radunia. Silne uderzenie okazało się tragicznym. Zginął trafiony w głowę  
bohaterski dowódca wraz z 35 żołnierzami. Wróg stracił 136 zabitych.

Opór władzy sowieckiej stawiali nie tylko akowcy. Do nasilenia oporu doszło po ogłoszeniu poboru mężczyzn do armii sowieckiej. Zorganizowana w grupy bojowe młodzież rozbijała gminne urzędy, niszczyła znajdujące się tam spisy mobilizacyjne, podpałała zajmowane przez przedstawicieli nowej władzy budynki. Zapadały wyroki śmierci na współpracujących z sowietami zdrajców. Najczęściej grupami bojowymi dowodzili byli żołnierze Armii Krajowej. Z czasem grupy bojowe przekształciły się w leśne oddziały partyzanckie. Większość oddziałów przyjmowała nazwy od pseudonimów dowódców akowskich.

I tak, w czasie gdy znany na Wileńszczyźnie kpt. "Łupaszek" był już w województwie białostockim, pod Wilnem działał oddział innego "Łupaski". Gdy słynny dowódca 3 Wileńskiej Brygady kpt. "Szczerbiec" wraz z innymi oficerami AK siedział w więzieniu, a potem był w obozie dla internowanych w Riazaniu, pod Wilnem działał oddział innego "Szczerbca".

Lasy Wileńskie zapełniały się nowymi "Konarami", "Jurandami", "Turami", "Wilhelmami", "Januszami", "Mścislawami"...

Leśne oddziały nie ograniczały się do walk w samoobronie. Realizowały różnego rodzaju akcje dywersyjne i prowadziły walki zaczepne. Frzyczyniło się to do nasilenia się sowieckich represji, które wzmagaly opór wspomaganych przez ludność oddziałów.

Po izolowaniu dowództwa AK sowieci uderzyli w sieć akowskiego podziemia i akowską młodzież.

Wiele osób z podziemia aresztowano. Pod koniec sierpnia uwięziono Delegata Rządu na Okręg Wileński dr Zygmunta Fedorowicza.

Na początku września miałem już dość sił, by wychodzić na spacer. W mieście było pełno sowieckiego wojska. Oficerowie mieli złote naramienniki. Nie wiedziałem, że określały resort MGB.<sup>x</sup>

Późnym wieczorem 5 września byłem w domu tylko z babcią i siostrą. Ojciec pracował na nocnej zmianie w kolejowych warsztatach, a mama była na Litwie. Pojechała tam po żywność. Usłyszałem silne stukanie do drzwi i rozmowę w języku rosyjskim. Mówili, że są z milicji. Schowałem się za stojące w rogu pokoju lustro. Słyszałem jak obchodzili wszystkie pokoje. Zaglądali do szaf i pod łóżka.

Na pytanie babci "czego szukają?" tłumaczyli, że wszędzie jest pełno złodziei, bandytów, że tu i tam kręcą się jeszcze uzbrojeni żołnierze niemieccy i że szukają tych ludzi.

Około szóstej nad ranem przyszła do nas zapłakana pani Bujkova i powiedziała, że w nocy zabrali Władka. Prosiła bym zaraz poszedł z nią do mieszkania i zabrał schowany tam pistolet. Prośbę spełniłem. Po paru godzinach dowiedziałem się, że w nocy aresztowano nie tylko Władka. Milicjanci zabrali z domów Heńka Tomkiewicza, Franka Raczewskiego, Edka Noniewicz, Bronka Świewickiego, Medka Kozłowskiego, Feliksa Marynowskiego, Heńka Wysockiego i Pawła Orłowskiego. Wszyscy byli żołnierzami Armii Krajowej.

Tego dnia uświadomiłem o grożącym niebezpieczeństwie.

Wyczyściłem przyniesiony z domu Władka pistolet i na wszelki wypadek włożyłem do kieszeni.

Uważałem, że skoro byli po mnie zaledwie przed kilkoma godzinami, to tak szybko nie przyjdą. Okazało się, że pomyliłem się.

---

x MGB - Ministerstwo Gosudarstwiennoj Biezopastosti - Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego

Około godz. 10<sup>00</sup>, gdy ojciec porządkował skład na opał, a siostra była na podwórku, usłyszałem trzask zamykającej się furtki i męskie kroki. Po chwili do mieszkania wszedł obcy mężczyzna. Przywitał się po rosyjsku i oznajmił, że jest funkcjonariuszem milicji. Rysy twarzy miał typowo żydowskie. Spytał do kogo należy mieszkanie. Odpowiedziałem, że do moich rodziców - Sobolewskich.

- W takim razie źle trafiłem. - Chciał już wychodzić, ale zatrzymał się.

- Poszukuję Machińskich. Mieszkają gdzieś w pobliżu. Nie mógłbyś pokazać, w którym domu? - Machińscy byli sąsiadami. Nie mogłem więc powiedzieć, że ich nie znam.

Wszedłem na podwórko, by pokazać dom, w którym mieszkali. Za chwilę chciałem wysłać do nich siostrę, by uprzedziła o wizycie funkcjonariusza milicji.

Zakładałem, że pobiegnie skrótami i będzie tam przed nim. Nagle usłyszałem głośnie wezwanie "ruki w wierch!"<sup>x</sup> Kompletne zaskoczenie nie pozwoliło na żadną reakcję.

Gdy funkcjonariusz powtórzył wezwanie, odruchowo odwróciłem się. Mężczyzna trzymał wymierzone we mnie parabellum.<sup>xx</sup>

Ręce miałem w kieszeni. Prawą ręką trzymałem rękojeść pistoletu, który ruchem palca odbezpieczyłem.

Kazał iść naprzód. Na ulicy uprzedził, że w drodze nie można z nikim rozmawiać i rozglądać się. W przypadku nieposłuszeństwa groził użyciem broni.

Przez jakiś czas miałem chęć użycia pistoletu. Ręce ciągle trzymałem w kieszeni. Mogłem z nim skończyć w ułamku sekundy, ale w tym samym ułamku mogłem zginąć.

~~le~~ nie to odwlekło<sup>nie</sup> od zamiaru. Podałem się losowi tylko ze względu na rodziców. Gdybym użył broni, rodzice poszliby do więzienia i łagrów. Nie miałem prawa skazywać ich na wieloletnie cierpienia, które mogły się skończyć śmiercią.

Za pół godziny byłem na posterunku milicji, gdzie urzędował komendant miasta i funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa. Pistolet jeszcze miałem w kieszeni. Myślałem, jak się go pozbyć.

---

x - ruki w wierch! - ręce do góry!

xx - parabellum - typ pistoletu



Wkrótce zaczęło się pierwsze przesłuchanie. Oficerowie pytali o kolegów z AK. Podałem kilka zmyślonych pseudonimów, ale oni żądali nazwisk i adresów. Podałem więc nazwiska poległych, między innymi Rudolfa Wyszomirskiego. W pewnej chwili poprosiłem o zezwolenie na wyjście do ubikacji. Komendant wyraził zgodę. Skinął na stojących przy drzwiach uzbrojonych żołnierzy, by odprowadzili.

- Nie próbuj uciekać, bo zsstrzelą jak psa - ostrzegł stanowczym tonem.

Gdy skierowałem się do drzwi, jeden z oficerów kazał zatrzymać się.

- Wyjmij wszystko z kieszeni! - wyjąłem, wszystko poza pistoletem.

- To wszystko - spytał i przystąpił do osobistej rewizji.

Zabrali mi pistolet, wydaną przez akowskie podziemie ulotkę, Wielkanocny rozkaz do żołnierzy AK gen. "Wilka", kilka partyzanekich zdjęć i inne drobiazgi.

Po kilku godzinach byłem już w Wilnie. Znalazłem się w tymczasowym areszcie, który mieścił się przy ul. Mickiewicza Nr 6.

Ponad godzinę siedziałem pod strażą w poczekalni. Potem zaprowadzili do dużej sali, gdzie spotkałem wszystkich aresztowanych w nocy kolegów. Koło drzwi przy stole siedział uzbrojony w pistolet maszynowy żołnierz.

Na korytarzach także byli uzbrojeni żołnierze. W sali nie mieliśmy prawa rozmawiać. Mimo uwag żołnierza porzumiewaliśmy się. Wiedziałem, że wszyscy przeszli przez pierwsze przesłuchania i że wszystkim grożono "dziewięcioma gramami".

Każdego kolegę pytali o mnie.

Na pierwszym przesłuchaniu przyznałem się, że byłem w AK. Mówiłem o tym z nieukrywaną dumą, przez co ułatwiłem prowadzenie śledztwa. Nie zdawałem sprawy, by z tego powodu mogło mi coś grozić. Najgorszy był pistolet, bo za nielegalne posiadanie broni groziła kara śmierci. Nie mogłem bronić się tym, że pistolet nie jest moją własnością. Wiedziałem, że to mi w niczym nie pomoże, a Władkowi może zaszkodzić. Na zarzuty o nielegalne posiadanie broni odpowiadałem, że jestem żołnierzem Armii Krajowej - armii legalnej i w związku z tym pistolet jest bronią legalną. Twierdziłem, że z armii tej nikt mnie nie zwolnił. Mówiłem, że byłem ranny, że leżałem w szpitalu, a potem leczyłem się w domu.

---

x - dziewięć gramów - w przenośni "kula w łeb"

Usiłowałem przekonać oficera, że pistolet nie jest moją własnością, lecz elementem wyposażenia żołnierza. - To że posiadam broń - mówiłem - jest rzeczą normalną. Trudno przecież w czasie wojny wyobrazić żołnierza bez broni.

- Na pytanie, czy znana mi jest treść zarządzenia władzy radzieckiej o obowiązku zdania wszelkiej broni i czy wiem co grozi tym, którzy obowiązku nie spełnili, odpowiedziałem, że jako żołnierz polski mogłem oddać broń tylko władzom polskim.

- Powiedz mi w takim razie - powiedział - jaką władzę uważasz za polską?

- Dowództwo AK.

- Ale waszego dowództwa już nie ma. Nie ma waszego "Wilka" i jego zastępców...

- Ich nieobecność - odparłem - uważam za chwilową. Myślę, że zaistniało jakieś nieporozumienie. Ta sprawa musi się wyjaśnić.

A co do władzy, to powinniście wiedzieć, że w Londynie jest nasz Rząd, że mamy tam swego Prezydenta i Naczelnego Wodza.

- Ale ta wasza władza nie ma tutaj nic do gadania. W Wilnie władzę sprawuje Związek Radziecki. Wilno - to stolica radzieckiej Litwy..

- Gdy zorientowałem się, że najbardziej obciąża mnie posiadanie nielegalnej broni, spytałem oficera na jakiej podstawie aresztowano moich kolegów, którzy broni nie posiadali. Z odpowiedzi dowiedziałem się, że nikogo z nas strąć nie zwolnią.

- O wolności, o swojej Polsce możecie zapomnieć! Bądźcie się cieszyć, jeśli ominie was "9 gram". Radzę ci - rzekł podniesionym tonem - przestać grać wariata. Wiesz dobrze co nabroiłeś. My również wiemy, ale chcemy byś wszystko zeznał sam. Jeśli nie zeznasz po dobroci, to wyciśniemy siłą. Radzę wszystko przypomnieć i wyznać jak na spowiedzi. To twoja jedyna szansa. Inaczej ~~zginiesz~~ zginiesz.

- Potem straszył, że na takich jak ja drani nie trzeba angażować sądu.

- Mamy na miejscu piwnice. Sprowadzimy na dół, jeden moment i koniec. Wiedz, że nikt o tym nie dowie się - nawet piś nie zaszczeka.

- Po przesłuchaniu wróciłem na salę. Koledzy czekali na informacje. Każdy chciał wiedzieć o co pytają, o co oskarżają i jak się odnosi.

Pan Marynowski z Frankiem Raczewskim doszli do wniosku, że którejś nocy wywiozą nas do Ponar.<sup>x</sup> Na każdy warkot motoru

---

x - Ponary - miejsce egzekucji Żydów i więźniów różnej narodowości

wjeżdżających na podwórze samochodów, podrywali się. Marynowski widział ratunek w ucieczce.

- Nie możemy pozwolić - mówił - by ukatrupili nas jak Niemcy Żydów. Najlepiej uciec w czasie jazdy. Nie możemy wykluczyć tego, że ci dranie mordują ludzi, gdzieś tutaj...
- Franek na myśl o śmierci drżał ze strachu. Po paru dniach rozchorował się. Prosił o przybycie lekarza, ale okazało się, że w tymczasowych aresztach lekarzy nie ma.

Na trzeci dzień byłem przesłuchiwany na nowo. Padały te same pytania i te same odpowiedzi.

Za trzecim razem oficer zapisał nazwiska i adresy wszystkich krewnych. Interesował się wujkami, ciotkami, kuzynami, kuzynkami, babciami i dziadkami.

Ciekawiło go czym zajmowali się przed wojną i w czasie okupacji. Kolegów także pytali o krewnych.

12 września przerwali nas do więzienia śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Litwskiej Radzieckiej Republiki przy rogu ul. Mickiewicza i Ofiarnej. W czasie okupacji niemieckiej urzędowało tam gestapo.

Cele więzienne mieściły się w piwnicach budynku. Trafiliśmy do różnych cel. Strażnicy więzienni wprowadzili mnie do celi nr 11. Działo się to późnym wieczorem. Absolutna ciemność i cisza sprawiły, że przez pewien czas nie wiedziałem co z sobą zrobić.

Po chwili milczenia ktoś odezwał się po polsku:

- Pan chyba nie widzi, nie wie gdzie się rozmieścić? Proszę tutaj, koło mnie... proszę ostrożnie, bo nas jest więcej.
- Podziękowałem i po omacku przesunąłem się w kierunku, z którego dochodził głos.
- Niech pan się położy tutaj...
- Położyłem się na zimnej cementowej posadzce. - Niech pan stara się zasnąć. Porozmawiamy z rana. Teraz nie można. Dobranoc.
- Potem nastąpiła cisza.

Miałem na sobie tylko cienkie letnie spodnie i z krótkimi rękawami koszulkę. Od twardego cementu ciągnęło chłodem i wilgocią. Ktoś mocno chrapał.

- Jak oni w tych warunkach mogą spać? Daliby chociaż trochę słomy.
- Drżałem z zimna. Przewracałem się z boku na bok, zmieniałem pozycje z leżącej na siedzącą i tak przemęczyłem się do rana.

O świcie zorientowałem się, że cela posiada kształt kwadratu. W ścianie naprzeciwko drzwi było małe zakratowane okienko.



Na tym samym poziomie ściany bocznej było drugie. Cella mieściła się w rogu budynku. By zajrzeć do okna, trzeba było korzystać z pomocy kolegów. Ktoś na ten czas musiał zasłonić "judasza" i nadśłuchiwać czy nie zbliży się strażnik. Inni podnosili chętnego do góry, bo okienko było bardzo wysoko - pod sufitem.

We wszystkich sowieckich więzieniach i łagrach funkcje strażników pełnili żołnierze MGB.

W lewym rogu celi stała beczka z przykrywą. Polacy nazywali ją kibelem, a Rosjanie paraszą. Służyła do potrzeb fizjologicznych.

Ta noc była dla mnie straszną. Nie zdrzemnąłem nawet chwilę. W pewnej chwili usłyszałem kroki strażnika i głośne stukanie do drzwi sąsiednich cel. Zastukał ~~także~~ do naszej celi - Podjom! Podjom! - wołał - Prigatowit' paraszu!<sup>x</sup> - Tuż za nim kroczył drugi, który otwierał cele i wypuszczał więźniów do ubikacji. Do ubikacji wypuszczano nas raz na dobę po pobudce. Zabieraliśmy wówczas ze sobą do opróżnienia kibele.

Po pobudce strażnicy zabraniali leżeć. Mogliśmy tylko stać, siedzieć i spacerować.

Cela 11 była dość przestronna. Na powierzchni około 20 m<sup>2</sup> mieliśmy tylko siedem osób. Pobudki robiono o godz. 6,00 z rana. Od godz. 22,00 obowiązywała cisza nocna.

Wkrótce po pobudce strażnicy przynosili pod cele śniadanie. Podawali je <sup>przez</sup> "kartmuszki" <sup>xx</sup>

Śniadanie składało się z 45dkg lichego mokrego chleba i pół litra barwionej na kawowy kolor wrzącej wody. W porze obiadowej dostawaliśmy pół litra ciepłego mętnego płynu, który najbardziej przypominał wodę po zmywaniu naczyń. Różnił się od niej tylko tym, że nie zawierał tyle tłuszczu. Strażnicy ten płyn nazywali zupą. Raz na kilka dni trafiał się w niej kawałek nieobranego z łupin ziemniaka. Na kolację mieliśmy tylko pół litra wrzącej wody.

W celi, nie licząc mnie, było czterech Polaków, Litwin i Rosjanin.

Codziennie wzywano kogoś na przesłuchania. Zdarzało się, że więźnia przesłuchiowano po dwa i po trzy razy na dobę.

---

x - Podjom! Podjom! Prigatowit' paraszu! - Pobudka, Pobudka!  
Przygotować kibele!

xx - kartmuszka - małe, zamykane na zasuwę okienko w drzwiach służące do podawania pokarmu.

W najgorszej sytuacji był Litwin. Oskarżono go o masowe ludobójstwo obywateli sowieckich. W 1942 r. kierował akcją egzekucyjną w rejonie Starych Święcian, gdzie rozstrzelano i zamordowano kilkuset Polaków.

Władze radzieckie wszystkich Polaków z kresów wschodnich w tym czasie uważali za obywateli radzieckich.

Litwin przed wojną był zawodowym oficerem armii litewskiej.

W stopniu kapitana przez kilka lat pracował w generalnym sztabie.

W ramach misji wojskowych wyjeżdżał za granicę - do Niemiec, Łotwy, Estonii, Szwecji i Finlandii.

W czasie okupacji niemieckiej koledcy z wojska namówili go do służby po stronie niemieckiej.

Zdecydowaną większość więźniów w więzieniu śledczym MGB stanowili Polacy. Dużo było Litwinów i Rosjan.

Prawie wszystkich Polaków oskarżono o przynależność do Armii Krajowej. Litwinów - o współpracę z okupantem niemieckim i przestępstwa kryminalne.

Por. "Brzoza" trafił do więzienia najpóźniej. Zabrali go z ulicy. Opowiadał o szalejącym w mieście terrorze. Twierdził, że pod tym względem w Wilnie jest o wiele gorzej niż za czasów okupacji niemieckiej.

Mówił o obławach i łapankach na ludzi:

- Otaczają wojskiem nie tylko pojedyncze kamienice, lecz całe kwartały. We wszystkich mieszkaniach robią rewizje, w nocy wyciągają ludzi na ulicę, pakują do samochodów i odwożą do więzień. W dzień na każdym kroku sprawdzają dokumenty, zatrzymują i odwożą do więzień ludzi młodych. Nie wnikają w to, czy pozbawiani wolności są winni. Często z dorosłymi zabierają dzieci.

- Wkrótce od oficera śledczego dowiedziałem się, że w ZSRR winę można przypisać każdemu. Gdy więzień twierdził, że jest niewinny, oficer śledczy oznajmiał mu, że dla nich najważniejszą rzeczą jest człowiek. - Gdy mamy człowieka, artykuł i paragraf zawsze dobierzemy.

- Znane jest również powszechnie stosowane powiedzenie funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, że w każdym tysiącu zatrzymanych na pewno jest jeden winny. Powiedzeniem tym usprawiedliwiali masowe aresztowania.

Mnożyły się rewizje również w zakładach pracy. W mieście panowała atmosfera strachu.

Przy wywoływaniu więźniów strażnicy nigdy nie używali nazwisk. Ograniczali się do wymienienia tylko pierwszej litery, np. wywołując Wiśniewskiego, pytali o więźnia na literę "W", Lewandowskiego - na literę "L" itp.

Więźniowie, których nazwiska ~~zaczynały~~ zaczynały się na daną literę, podawali je w pełnym brzmieniu i w ten sposób strażnik wybierał właściwą osobę. Padało wówczas krótkie polecenie: "Dawaj k śledowatielu!" x

Więźniów przesłuchiowano przeważnie w nocy, co było bardzo męczące, bo w porze dziennej nie zezwalano spać. Spanie w pozycji siedzącej łączyło się z dużym ryzykiem, bo cele przez "judasze" stale obserwowali strażnicy.

Jeśli strażnik stwierdził, że znajdujący się w pozycji siedzącej więzień miał zamknięte oczy, karał go pięcioma dobami karceru. Każda rozmowa z oficerem śledczym kosztowała dużo nerwów. O przebiegu śledztwa składaliśmy wzajemnie dokładne relacje.

Chcieliśmy wiedzieć, o co każdego z nas pytają, jak się odnoszą i jakich używają sposobów, by wydobyć zeznania.

Z relacji wyciągaliśmy różne wnioski, snuliśmy różnorakie przypuszczenia. W tym zakresie najlepsi byli panowie Wiśniewski i Świerczyński.

Najstarszy wiekiem pan Wiśniewski miał ponad 50 lat. Pan Świerczyński około czterdziestki. Najstarszy <sup>przeważnie</sup> ~~był~~ przed wojną w DOKP <sup>xx</sup> i był działaczem PPS.

Pan Świerczyński był wyższym urzędnikiem pocztowym. W czasie niemieckiej okupacji obaj należeli do akowskiego podziemia. W tej celi byłem najmłodszy. Po mnie siedzi Jasiński Heniek. W 1939 r. ukończył wileńskie gimnazjum Ojców Jezuitów. Do podziemia należał od 1940 r. Przez dłuższy czas obsługiwał tajną radiostację. Skazali go na 15 lat łagrów.

Czwartym Polakiem był por. Jagoda, ps. "Brzoza", d-ca kompanii z 3 Brygady "Szczerbca".

Rosjanin Sołowjow siedział za dezercję. Nie chciał wojować. - Fobiją - mówił - faszystów niemieckich, ale niczego to nie zmieni, bo w Rosji pozostaną faszyci czerwoni. Nie chcę przyczynić się do ich zwycięstwa. Wolę kilka lat odsiedzieć w łagrze.

---

x Dawaj k śledowatielu ! - Zbieraj się do oficera śledczego!

xx DOKP - Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych



W najgorszej sytuacji był Litwin. Oskarżono go o masowe ludobójstwo obywateli sowieckich. W 1942 r. kierował akcją egzekucyjną w rejonie Starych Święcian, gdzie rzesz strzelano i zamordowano kilkuset Polaków.

Władze radzieckie wszystkich Polaków z kresów wschodnich w tym czasie uważali za obywateli radzieckich.

Litwin przed wojną był zawodowym oficerem armii litewskiej.

W stopniu kapitana przez kilka lat pracował w generalnym sztabie.

W ramach misji wojskowych wyjeżdżał za granicę - do Niemiec, Łotwy, Estonii, Szwecji i Finlandii.

W czasie okupacji niemieckiej koleldzy z wojska namówili go do służby po stronie niemieckiej.

Zdecydowaną większość więźniów w więzieniu śledczym MGB stanowili Polacy. Dużo było Litwinów i Rosjan.

Prawie wszystkich Polaków oskarżono o przynależność do Armii Krajowej. Litwinów - o współpracę z okupantem niemieckim i przestępstwa kryminalne.

Por. "Brzoza" trafił do więzienia najpóźniej. Zabrali go z ulicy. Opowiadał o szalejącym w mieście terrorze. Twierdził, że pod tym względem w Wilnie jest o wiele gorzej niż za czasów okupacji niemieckiej.

Mówił o obławach i łapaniach na ludzi:

- Otaczają wojskiem nie tylko pojedyncze kamienice, lecz całe kwartały. We wszystkich mieszkaniach robią rewizje, w nocy wyciągają ludzi na ulicę, pakują do samochodów i odwożą do więzień. W dzień na każdym kroku sprawdzają dokumenty, zatrzymują i odwożą do więzień ludzi młodych. Nie wnikają w to, czy pozbawiani wolności są winni. Często z dorosłymi zabierają dzieci.
- Wkrótce od oficera śledczego dowiedziałem się, że w ZSRR winę można przypisać każdemu. Gdy więzień twierdził, że jest niewinny, oficer śledczy oznajmiał mu, że dla nich najważniejszą rzeczą jest człowiek. - Gdy mamy człowieka, artykuł i paragraf zawsze dobierzemy.
- Znane jest również powszechnie stosowane powiedzenie funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, że w każdym tysiącu zatrzymanych na pewno jest jeden winny. Powiedzeniem tym usprawiedliwiali masowe aresztowania.

Mnożyły się rewizje również w zakładach pracy. W mieście panowała atmosfera strachu.

- Jeśli ten stan potrwa dłużej - mówił por. "Brzoza" - pozamykają wszystkich.

- Bał się, że skazą go na śmierć, bo działał w podziemiu do chwili aresztowania.

Na wsi sytuacja była podobna. Organizowano obławy na uchylających się od poboru do wojska młodzież.

Ludzie dochodzili do obłędu. Przetrawanie, o którym mówiło się po rozbrojeniu oddziałów Armii Krajowej, stawało się coraz trudniejsze

Przerażała wszystkich bezsilność naszego Rządu i obojętność na sowieckie barbarzyństwa naszych sojuszników. Czuliśmy ogromną krzywdę i nikomu nie mogliśmy pożalić się.

Nowi więźniowie twierdzili, że gen. "Wilka" i naszych oficerów nie aresztowano lecz internowano.

Informacje te czyniły pewne nadzieje.

- Skoro ich nie uważają za więźniów - mówiliśmy do siebie - to tym bardziej nie powinni więzić nas. - Teraz wiem jak naiwnie rozmawialiśmy.

W czasie przesłuchania siłą fizyczną stosowano tylko do kpt. "Kurpisa" /tak nazywał się Litwin/ i do por. "Brzozy".

Kpt. Kurpisa bili na każdym przesłuchaniu. Często strażnicy przywlekali go do celi bezwładnego z utratą przytomności.

Por. "Brzozę" pobito dwa lub trzy razy. Litwin nigdy nie opowiadał o przebiegu śledztwa. Po odzyskaniu przytomności długo modlił się.

Pewnego dnia prosił nas, Polaków, o przebaczenie. Wyznał, że w 1942 r. dowodził oddziałami egzekucyjnymi w rejonie Starych Świącian. Mówił o potwornościach kierowanej przez niego akcji:

- Podlegli mi żołnierze i policjanci strzelali do pracujących w polu rolników, do kobiet, starców i dzieci - do każdego kto na ich zawołanie odzywał się po polsku. Nie byłem inicjatorem zbrodni. Otrzymałem taki rozkaz, ale nie pomniejsza to w niczym mojej winy. Wy ten więzienny koszmar przeżyjecie, ale mnie czeka śmierć. Widzę ją już przed sobą. Przedtem bałem się. Teraz nie boję się śmierci, boję się tylko sądu Bożego i wiecznego potępienia. Jestem jak wy, katolikiem. Proszę was tylko o jedno - wybaczenie! Chrystus wybaczył nawet Judaszowi...

- W celi panowało milczenie. Zdawaliśmy sprawę z jego sytuacji. Gdyby trafił do naszych rąk przed kilkoma miesiącami, zostałby skazany na śmierć. Nie uratowałaby go żadna spowiedź, żadna

prośba o wybaczenie. Zyskałby tylko na uniknięciu tortur.

Kupris mówił do nas powoli. Po każdym zdaniu robił długie pauzy, obserwując bacznie reakcję.

Ciszę przerwał pan Wiśniewski. - Nie jesteśmy sędziami - powiedział niepółczujemy pańskim katuszom, ale na nic więcej nas nie stać. Nie wiem czy to przyniesie panu ulgę.

- W celi znowu zapanowała cisza.

- Widzicie do czego doszedłem. A kiedyś byłem porządnym człowiekiem.

Kupris wspominał przeszłość. Mówił o wyjazdach za granicę. Najdłuższą zatrzymał się na Finlandii.

- Nie wiecie jaki to piękny kraj. Kraj tysiąca jezior i wspaniałych ludzi. Najgorszym wrogiem każdego Fina jest bolszewizm. Na ćwiczeniach armii fińskiej widziałem wspaniałych żołnierzy.

Pięcioramienna czerwona gwiazda w kraju tym jest znakiem śmiertelnego niebezpieczeństwa. Wyobraźcie sobie, że na ćwiczeniach tarczach mają tam postacie żołnierzy z czerwonymi gwiazdami.

Gdyby nie wojna i ten przeklęty Hitler, byłbym nadal człowiekiem.

Jeszcze kilka lat i poszedłbym na emeryturę. W czerwcu 1941r.

bolszewicy opuścili Litwę. Wtenczas wszystko się zaczęło. Mógłbym

nie stawić się do wojska, ale pchała mnie nienawiść do bolszewików i strach przed pomówieniami, że nie chcę przysłużyć się ojczyźnie. Nie spodziewałem się, że wszystko skończy się tak paskudnie.

Początki nie zapowiadały się źle. Zwalczaaliśmy wrogów Litwy. Do was - Polaków - miałem żal za Wilno. Byliście dla nas niebezpieczni.

Baliśmy się, że z czasem nas spolonizujecie. Potem trafiłem do

Saugumy. Obok wrogów Litwy zwalczaaliśmy wrogów Niemiec. W Saugumie

zauważyłem, że wpadłem w bagno. Coś mi mówiło, że trzeba się z tego

jak najszybciej wydostać. Zdawałem sprawę, że moja służba

w tej instytucji sławy Litwie nie przyniesie. Nie miałem odwagi

zdożyć się na krok, który dyktowało mi sumienie. Już nie jestem

człowiekiem - jestem żywym trupem...

- Zwierzenia kapitana stworzyły ciężką atmosferę. Mieliśmy przed sobą proszącego o przebaczenie zbrodniarza. Nikt nie śmiał powiedzieć mu coś przykrego. Patrzyliśmy na niego z obrzydzeniem i politowaniem.

Czułem ogromny żal do tych, którzy nas tak strasznie poniżyli.

Wszak w oczach więziennych strażników byliśmy takimi samymi

przestępcami jak on. On - kapitan, zbrodniarz - i ja byliśmy

jednakowymi wrogami narodu.



Zarzucał mi zdradę Ojczyzny. Pod groźbą śmierci żądali przyznania się do czynów, których nie popełniłem i które nie miały nic wspólnego ze zdradą.

Wszystko to było okropne, przerażające, nie mieściło się w pękającej od przeróżnych myśli głowie.

W więzieniu śledczym przesiedziałem ponad cztery miesiące. Ani razu nie wyprowadzono nas z celi na spacer i ani razu nie byliśmy w łaźni. Istną plagą były wszy. Coraz dotkliwiej dokuczał głód, ale najgorsze były nocne przesłuchania.

Moją sprawę prowadziło dwóch oficerów śledczych. Nazwiska pierwszego ~~ni~~ - starszego lejtnanta - nie pamiętam. Drugim był kpt. Kudykin. Wzywali na przesłuchania około godz. 10,00 i trzymali do 15,00 a nawet do 17,00. Robili to celowo, by pozbawić więźnia podawanego na obiad ciepłego płynu. Gdy wracałem do celi tzw. zupa była zupełnie zimna i jako posiłek nie przedstawiała żadnej wartości. Po kilku godzinach wracałem do gabinetu śledczego. Niejednokrotnie przebywałem tam aż do rana.

Rzadko zdarzał się dzień bez przesłuchań. Prowadzący śledztwo oficerowie nalegali bym przyznał się do walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Żądali przyznania się do udziału w walkach z oddziałami partyzantów sowieckich. Twierdzili, że należałem do bandyckiej organizacji wojskowej, którą Związek Radziecki uważał za wroga Polski.

Na początku listopada, późnym wieczorem strażnicy doprowadzili mnie do pokoju kpt. Kudykina. Byłem tam już kilkadziesiąt razy. Kapitan siedział za biurkiem i cmił skręcony z gazetowego papieru papieros. Jak zwykle kazał usiąść na ustawionym w odległości trzech metrów od biurka /taki był przepis/ taborecie. Usiadłem i zgodnie z przepisem położyłem dłonie na kolanach. Kudykin nie zwracał na mnie uwagi. Przeglądał znajdujące się w papierowej teczce kartki protokołu i od czasu do czasu coś notował. Siedziałem tak ponad godzinę, zastanawiając się co ten diabeł knuje.

W pewnym momencie wstał z krzesła i wrzasnął:

- Czego milczysz! Nie po to wezwałem cię, parszywy draniu, by słuchać twego milczenia. Mów sukinsynie! Dzisiaj, faszystowska mordó, musisz się przyznać. Najwyższy czas, byś zrozumiał, że z nami nie przelewkę. Musiałeś coś słyszeć o czekistach. A więc czekisci to my. Z naszych rąk na pewno nie wyślizniesz się. Tutaj, gdybyś teraz nie powiedział prawdy, nastąpi koniec...

- Siedziałem jak głupi, a on dalej straszył.

Kudykin był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał około czterdziestu lat. W czasie śledztwa potrafił być słodki jak cukierek albo upodabniał się do drapieżnego zwierza.

Złościł się, że nie reaguję na jego wrzaski. Rzucił coraz groźniejsze spojrzenia, ciskał całymi wiązkami wulgarnych słów i zgrzytał zębami.

Nie mogłem przyznać się do tego, że Armia Krajowa była antyradziecką bandycką organizacją. Byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do bandytyzmu.

Nie mogłem też zgodzić się z sugestią, że do Armii Krajowej wstąpiłem po to, by walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu, bo celem AK była walka z niemieckim okupantem. To, że na Wileńszczyźnie dochodziło do starć między oddziałami AK i partyzantami sowieckimi, nie zależało od nas. Skoro oni na nas napadali, musieliśmy się bronić.

Zarzuty o zmierzanie do oderwania od ZSRR ziem tzw. Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainy i Ziemi Wileńskiej uważałem za niedorzeczne. Przecież nie wyciągaliśmy rąk do niczego, co nie nasze. Tłumaczyłem mu wielokrotnie, że tak jak wszyscy Polacy poszedłem walczyć o wyzwolenie kraju spod okupacji. Mówiłem, że walczyliśmy o wolną, niepodległą, dla wszystkich sprawiedliwą i silną Polskę.

W pewnej chwili kapitan rzucił mi pod nogi rozdymiony papieros, wrócił do biurka, cisnął kałamarzem i zgrzytając zębami zawinał pięścią, przed którą zdążyłem się uchylić, za co z wściekłości plunął mi w twarz.

- ... twoju mat! Jak długo podły bandytc, będziesz mnie męczyć?!

- Cośnął się o krok do tyłu, by mieć przestrzeń do nowego rozmachu, na co zareagowałem, wstając z taboretu. Otarłem z twarzy jego ślinę, spojrzałem pogardliwie na oprawcę i krzyknąłem:

- Mam już tego wszystkiego dosyć! Jaki ze mnie dureń że usiłowałem widzieć w was sprzymierzeńców. Głosicie przyjaźń z Polską, a co z nami wyczyniacie!... Niczym nie różnicie się do hitlerowców. To w ten sposób dziękujecie, że razem z wami walczyliśmy o Wilno... Od tej pory nie powiem nic, będę milczał...

- Bez zezwolenia usiadłem i czekałem na reakcję. Trząsałem się z nerwów i czułem przyspieszone bicie serca. Bardzo chciałem czegoś się napić. Gdy podniosłem głowę, Kudykin stał za biurkiem

i ćmił nowy papieros.

Przyglądał mi się od stóp do głowy i wycedził pięć dobrze zapamiętanych słów: "Znaczył takaja iz tiebia pticzka..."<sup>x</sup>

Potem usiadł i bardzo dużo palił.

Spodziewałem się dalszych wrzasków, ale kapitan milczał. Tak siedzieliśmy przez kilka godzin. Nad ranem powkładał swoje papierki do szuflady, zamknął biurko i oznajmił, że na dzisiaj wystarczy.

Jak zawsze odprowadził mnie do kancelarii, w której dyżurowali strażnicy. Z jednym z nich wróciłem do celi.

Droga z pokoi oficerów śledczych do cel wiodła przez wiele korytarzy, na których panował ciągły ruch. Prowadzeni przez strażników więźniowie musieli zakładać ręce dotyłu. Za każdym razem byliśmy ostrzegani, że nie mamy prawa rozglądać się. Gdy korytarz skręcał w lewo lub w prawo, strażnik uruchamiał ręczny dzwonek. W ten sposób dawał znać innym strażnikom, że prowadzi więźnia.

Inni strażnicy prowadzący w tym czasie więźniów, kazali im odwracać się twarzą do ściany i zakrywać dłońmi oczy. Chodziło o to, by w ciągłym ruchu więźniowie nie mogli siebie rozpoznać.

- Byłem mocno zmęczony i wyczerpany nerwowo. Po omacku dotarłem do swego miejsca i błyskawicznie zasnąłem.

Sen zmienił koszmarną rzeczywistość. Znowu byłem w szeregach AK. W dłoniach trzymałem piękny, nowiutki automat. Biegłem w długiej niekończącej się tyralierze. Przez deszcz kul, po gruzach biegłem naprzód... Jakiś niewiadomy głos wołał: "lećcie orły, lećcie, tam was czekają".

Potem brałem udział w wymarzonej defiladzie. To było Wilno. Dokoła tłum mieszkańców - kobiet, starców i dzieci. Wszyscy sygnają kwiaty, wiwatują... wszędzie powiewają biało-czerwone flagi. Z falującego jak morze tłumy słychać nieprzerwane okrzyki: "niech żyją!"... W szalejącym ze szczęścia ludzkim morzu, dostrzegam moją kochaną mamę i siostrę. Uśmiechały się do mnie, coś wołały, ale nie wiem co. Mama ocierała oczy. Inne mamy czyniły to samo. Orkiestra grała "Warszawiankę"...

Wspaniały sen przerwał głuchy łoskot ogromnej metalowej zasuw i otwieranie skrzypiących drzwi, w których ujrzałem znajomą postać barbosa.<sup>x</sup>

---

x Barbos - w języku więziennym - strażnik



- Podjom! Podjom! - wołał donośnym głosem - Prigatowit' paraszu! Po kilku minutach pojawił się w drzwiach inny strażnik, który pytał o więźnia o nazwisku na literę "S". Gdy wymieniłem nazwisko usłyszałem : - Dawaj k śledowatielu!

- Kudykin siedział za biurkiem i kopał...

Zastanawiałem się kiedy ten człowiek śpi. Powitał mnie uśmiechem i rosyjskim - "zdrastwujtie".

- Siadajcie Henryku Michajłowiczu! - Zauważyłem że jest zupełnie inny niż przed paroma godzinami. Tą nagłą zmianą byłem kompletnie zaskoczony.

- Wybacz mi za wczorajsze, a właściwie za dzisiejsze... Powinieneś wiedzieć, że jestem tylko człowiekiem. Wybuchnąłem... Nie potrafiłem się opanować, ale zapewniam cię, że coś podobnego nigdy nie powtórzy się... Słuchałem jego usprawiedliwień i przeprosin z niedowierzaniem. Bałem się podstępu, ale od tej chwili Kudykin stał się normalnym człowiekiem.

Nigdy nie unosił tonu i nie używał wulgarnych słów. Wykazywał dla mnie dużo zrozumienia, a nawet sympatii. Protokołował tylko to co mówiłem. Niczego nie wymuszał. Często przerywał przesłuchania i rozmawiał prywatnie. Któregoś dnia kazał napisać list do rodziców.

- Jutro - powiedział - będę w Nowej Wilejce i sam go doręcę. Wkrótce zacząłem dostawać paczki żywnościowe. W pierwszej paczce oprócz żywności otrzymałem czystą bieliznę, parę swetrów, zimową kurtkę i dwa grube koce. Żywność zatrzymał Kudykin w swojej szafie. Potem wzywał niby to na przesłuchanie, a faktycznie tylko po to, by dokarmiać. Gdy spytałem dlaczego nie zezwala mi niczego z żywności wziąć do celi, odpowiedział że robi to dla mojego dobra.

- Gdybym pozwolił ci wszystko wziąć ze sobą - tłumaczył - musiałbyś podzielić się z innymi. Paczka ta jest tylko dla ciebie. Inni nie mogą z niej krczysać. Na paczki od swoich bliskich muszą mieć zgodę swoich sledowatieli.

- Oświadczyłem mu wówczas, że w celi są moi rodacy, oskarżeni o to samo co ja, na co zareagował uśmiechem, ale zyskałem to, że zezwolił wziąć parę sucharów.

Kiedys spytał czy uczyłem się historii i nawiązał do tzw. ekspansji polskiej na wschód, co miało świadczyć o zaborczości Polaków. Skontrowałem go rozbiorami Polski.

Innym razem usiłowałem przekonać, że rosyjscy żołnierze są najlepsi. Bawiło go, gdy temu zaprzeczałem i twierdziłem, że polscy są waleczniejsi.

- Mówisz, że są waleczniejsi, ale z Kijowa w 1920 r. uciekali jak oparzeni. Bali się naszego Budionnego jak diabła święconej wody. Nie udało się Piksudskiemu na Ukrainie...

- Za Kijów odwzajemniłem się klęską bolszewików pod Warszawą. Wtenczas powiedział, że Tuchaczewski - to zdrajca. - Gdyby nie on, Warszawa byłaby nasza.

- Próbowałem drwić z naszej obrony w czasie kampanii wrześniowej, ale zmieniłem temat, gdy powiedziałem o bolszewickim nożu w plecy i wspominałem o panującym odwoocie czerwonej armii po 22 czerwca 1941 r. Dziwiłem się, że mojej krytyki nie brał mi za złe.

Z biegiem czasu przestałem go nienawidzić. Doszedłem do wniosku, że nie był człowiekiem najgorszym. Wiedziałem, że nikt nie kazał mu zmieniać się na lepszego. Nie był więc wyzuty z sumienia i chyba umiał, a jeśli nie, to przynajmniej starał się myśleć samodzielnie.

Raz zaprowadził mnie do pokoju prokuratora, z którym zostałem sam na sam.

Prokurator był pułkownikiem służby bezpieczeństwa. Spytał czy chcę wrócić na wolność. Odpowiedziałem twierdząco.

- Wskażesz nam przynajmniej jeden z waszych magazynów broni - oznajmił - a tego samego dnia pójdziesz do domu.

- Roześmiałem się i oświadczyłem, że o żadnych takich magazynach nigdy nie słyszałem. - Podumaj! Radzę się zastanowić, przypomnieć... Przecież przed ~~zatrzymaniem~~ aresztowaniem spotykałeś się z kolegami z Armii Krajowej. Wierzę ci, że tego rodzaju magazynów nie widziałeś, ale nie wierzę, by żaden z twoich kolegów nic o nich nie mówił. Przecież obaj wiemy, że nie wszyscy akowcy złożyli broń. Część rozeszła się po lasach, a część powróciła do domu bez broni, bo na rozkaz swoich dowódców schowali ją w terenie. Schowali na potem... Jeśli z mojej rady nie skorzystasz, do domu nie wrócisz. Jestem przekonany, że wiesz...

- Jeszcze raz kategorycznie zaprzeczyłem.

- Pomyśl o mojej propozycji w celi. Gdybyś się namyślił, powiedz strażnikowi, że niezwłocznie chcesz widzieć się z kpt. Kudykinem... Na wskazane miejsce pojedziemy razem. Gdy informacje potwierdzą się, do celi nie wrócisz. Ręczę ci słowem radzieckiego oficera.

- W tym momencie do pokoju wszedł Kudykin.
- Kazałem mu pomyśleć. Jak się namyśli, dasz mi znać. - Na tym rozmowa skończyła się.

Ostatni raz w pokoju Kudykina byłem w grudniu.

- Twój ojciec, Henryku Michajłowiczu - powiedział - wstąpił do naszej polskiej armii. Był u ministra. Starał się, byś mógł pójść z nim, ale nic z tego nie wyszło. Pół roku wcześniej, być może, coś by wskórał, ale teraz, kiedy dobijamy już do końca, sprawy załatwić nie można. Śledztwo w twojej sprawie zakończyłem. Chciałbyś na pewno wiedzieć, co dalej?... Myślę, że wywożą was gdzieś do pracy, potrzymają do końca wojny i odprawią do waszej Polski. W obozie będzie lepiej. Nie zabraknie świeżego powietrza... Możecie liczyć na lepsze wyżywienie... Wasza sprawa jest mocno skomplikowana. Nie można wsadzić was do worka ze zdrajcami, niemieckimi agentami i zbrodniarzami. Macie jeszcze swój Rząd i sprzymierzeńców. Ostatnio robią o was sporo szumu. Nie wiem czym to się skończy, ale tego co najgorsze, z pewnością unikniecie. Teraz musimy sprawę skierować do sądu. Powiesz im, co mówiłeś w czasie śledztwa i ~~wierzę, że wszystko~~ wszystko. Gdybyś złożonym już zeznaniem zaprzeczył, sąd zarządzi powtórzenie śledztwa i wtenczas tak szybko z więzienia nie wyjdiesz. Wiem, że masz do nas żal, ale musieliśmy was izolować. Wileńskie lasy są pełne akowców. Między innymi jest tam twój "Korsarz". Strzelają do naszych żołnierzy, buntują i terroryzują ludność, prowadzą antyradziecką agitację, a nawet palą posterunki milicji i sielsowiety. Gdyby nie więzienie, mógłbyś być z nimi. Pomyśl sam o swoim i ich losie... Dla nich nie będzie litości...
- Potem spytał o moje zdanie. Zapewnił, że tego nie będzie protokółować.
- Powiedziałem, że nie przypisuję im żadnej winy, bo poszli do lasu by uniknąć więzienia i Syberii. - Gdybyście nas nie rozbroili i nie uwięzili, dawno bylibyśmy na froncie. Dobrze wiecie, oświadczyłem, że chcieliśmy walczyć do końca.
- Kudykin spytał, jak wyobrażam Polskę po wyzwoleniu. Odpowiedziałem, że pragnę takiej Polski, jaką rysował nam gen. Sikorski.
- Gdyby ten człowiek żył, nasza sprawa wyglądałaby inaczej.
- Kudykin o Sikorskim wiedział dość dużo. - Wasz generał posiadał duży autorytet. Liczył się nim nawet sam Stalin, ale Anglicy takiego nie chcieli. U was ~~taż~~ nie wszystkim pasował.



- Przez chwilę zamyślił się i oświadczył, że w jego przekonaniu przyszłość Polski będzie kształtować się w sojuszu z Rosją.

- Możesz ze mną nie zgadzać się, ale kiedyś przyznasz mi rację.

Na zakończenie odczytał protokół o zniszczeniu znalezionych przy mnie partyzanckich zdjęć. Z protokołu wynikało, że stanowiły szkodliwy dla ZSRR materiał.

Po kilku dniach zabrali nas do łaźni. Cieszyliśmy się, że wreszcie pozbędziemy się wszów. Wszyscy cierpieliśmy na świerzb. Nasze ciała były podrapane do krwi. Po powrocie z łaźni do celi wpadło kilku strażników. Kazali rozebrać się do naga i przystąpili do szczegółowej rewizji. Robiliśmy przysiady, zaglądali nam do tyłu i do ust. Świecili latarkami, obszukiwali wszystkie osobiste rzeczy i całą celę. Wycinali z odzieży ocalałe pojedyncze guziki, zabierali najmniejsze skrawki papieru. Dezerter twierdził, że niedługo nas gdzieś wywiozą. Wkrótce zostaliśmy przeniesieni do znanego jeszcze z czasów carskich więzienia na Łukiszkach.

## XI. ŁUKISZKI

=====

Wiedziałem, że przez to więzienie w czasie zaborów przeszły tysiące Polaków. Z Łukiszek w zasadzie prowadziły tylko trzy drogi: na szubienicę, na katorgę i na zesłanie.

Na wolność nasi przodkowie wychodzili bardzo rzadko. Dlatego Łukiszki były postrachem Wilna i całej Litwy. Nigdy jednak nie miały takiego „powodzenia”, jak po 19 września 1949 r.

Na przestrzeni 5 lat wojny i drugich 5 lat po jej zakończeniu, przez Łukiszki przeszły dziesiątki tysięcy więźniów.

Więzienie było zapełnione w czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej. Codziennie odjeżdżały stamtąd kryte brezentem samochody, do miejsca kaźni - do położonych w pobliżu Wilna Ponar. Co kilka tygodni ładowano więźniów do bydłych wagonów i odwożono do obozów koncentracyjnych i na przymusowe roboty do Niemiec.

W czasie okupacji sowieckiej pociągi mknęły na Wschód.

Ilu więźniów przeszło przez Łukiszki w roku 1944 i kilku następnych latach, wiedzą tylko najwyżsi funkcjonariusze MGB.

Na Łukiszki trafiłem w grupie składającej się z około 200 osób

Całą grupę wpakowano do celi nr 201 trzeciego korpusu. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce. Nie mieliśmy miejsca nawet na wyciągnięcie nóg. Spaliśmy w pozycji "na waleta". Największą makabrą było przedostawanie się do ustawionych przy drzwiach pięciu kibli. W nocy musieliśmy czołgać się do nich po ludziach. Wyżywienie było takie samo jak w więzieniu śledczym. Tak zwaną zupę i kawę podawali strażnicy w rdzawych blaszanych puszkach po amerykańskiej tuszonce. Łyżek nie mieliśmy. Nie były potrzebne, bo płyn zwany zupą można było wypić jak wodę. Nigdy nie znalazłem w niej kawałka ziemniaka, a kilka przywajających ziarenek kaszy idealnie pasowało do znanej z czasów okupacji piosenki:

" A na obiad taka zupa,  
Garnek wody - jedna krupa..."

Różniła się od piosenkowej tylko ilością - zamiast garnka, w więzieniu dałi tylko pół litra.

W celi było brudno i duszno. Od wypełnionych kibli rozchodziła się okropna woń. Przelewające się z beczek fekalia rozczyszczono po całej celi. Najgorzej mieli więźniowie, którym dostały się miejsca przy kiblach. Leżeli dosłownie na ludzkim łajnie.

W celi nr 201 spotkałem kolegów z Nowej Wilejki. I tutaj Polacy stanowili większość. Na drugim miejscu byli Litwini, potem Rosjanie i inne narodowości.

Przesiedziałem tam około dwóch miesięcy. Po paru dniach żsiży po nas wszy. Zabijaliśmy je paznokciami. Gnieździły się w kieszulach i całej odzieży.

Potem porozrzucali nas po cenach pojedynczych. W normalnych warunkach przebywał w takiej celi jeden więzień. Teraz lokowano w nich po 30 osób. Mogliśmy leżeć tylko na boku. Na ułożenie się na plecach nie było miejsca. Zmiany pozycji /z boku na bok/ odbywały się na komendę. Gdy ktoś z więźniów musiał przewrócić się na drugi bok, wzywał całą trzydziestkę. O posłaniu czy jakimkolwiek łozu mogliśmy tylko marzyć. Dużo pomogły mi przesłane przez rodziców dwa koce. Łozem więźnia na łukiszkach w tamtych czasach były twarde cementowe posadzki.

Paczki od bliskich dostawali tylko nieliczni. W ciągu trzech miesięcy otrzymałem tylko dwie paczki. W jednej były tylko dwa bochenki chleba. Resztę wykradli strażnicy. Co kilka dni byliśmy przerzucani do innych cel. W jakim celu, nie wiem.

Na Łukiszkach spotkałem dowódcę <sup>dmużny</sup> z 4 Brygady, kpr. "Flipa", który mówił, że w Wileńskich lasach ukrywa się dużo młodzieży. Dowiedziałem się od niego, że w mieście i na terenie całego województwa działało jeszcze polskie podziemie. Do zwalczania podziemia skierowano silne jednostki wojskowe, które bez przerwy tropiły tzw. "biażopolskich bandytów", dezertersów i poszukiwanych mężczyzn, uchylających się od służby wojskowej. Każdego pojmanego bez ważnych dokumentów mężczyznę uważano za bandytę. Oprócz dowodu tożsamości wszyscy pełnoletni mężczyźni musieli posiadać tzw. "broniówkę"<sup>x</sup>. Za udzielenie pomocy osobom nieposiadającym wymaganych dokumentów drożo było więzienie. Udzielających pomocy oskarżano o sprzyjanie bandom lub współdziałanie z bandytami. Za przyjęcie obcego człowieka na noc lub nakarmienie groziło dziesięć lat łagrów. O takich osobach należało meldować w najbliższym posterunku milicji. Niemeldowanie traktowano jako przestępstwo wobec państwa.

"Flip" potwierdził otrzymaną od kpt. Kudykina informację o "Korsarzu", który z grupą ~~xxx~~ swoich żołnierzy ukrywał się na północ od Wilna.

Opowiadał, że "Korsarz" stoczył kilka zwycięskich walk z tropiącymi go oddziałami sowieckimi, zadając przeciwnikowi dotkliwe ~~straty~~ straty w zabitych i rannych. Pod Czerwonym Borem, w rejonie Niemczyna, doszczętnie rozbił cały oddział.

Inne grupy byłych żołnierzy AK, do których dołączyli młodzi chłopcy z wileńskich wsi, również toczyły walki z jednostkami wojsk sowieckich.

Od "Flipa" dowiedziałem się o udanej ucieczce z więzienia śledczego przy ul. Ofiarnej sierżanta "Błoka", z którym siedziałem w tymczasowym areszcie przy ul. Mickiewicza.

W celach więzienia na Łukiszkach spotkałem się z więźniami w wieku 12 i 13 lat. Chłopców zabrano z mieszkań podczas nocnej obławy, z rodzicami. Wojsko otoczyło kilka kamienic, w których przeprowadzono szczegółową rewizję. Wszystkich mieszkańców wypędzono na ulicę i zakładowano do przygotowanych samochodów wojskowych, którymi przewieziono do więzienia. Rodziny porozdzielano. Podczas śledztwa pytano dzieci o ich rodziców, sąsiadów i znajomych.

Interesowano się kontaktami rodziców. Pytano kto i jak często ich odwiedza, o czym rodzice z gośćmi rozmawiają itd...

x Broniówka - zaświadczenie stwierdzające, że dana osoba została zwolniona od służby wojskowej



Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa straszili chłopców Syberią, Zwolnienie z więzienia uzależniali od prawdomówności. Inaczej mówiąc, ceną wolności miało być zdradzenie ojca i matki. Innym razem stawiali przed wygłodzonymi dziećmi chleb, masło, kiełbasę i cukierki:

- Gdy powiesz o mamie i ojcu całą prawdę - mówili - wszystko będzie twoje.

Obiecali zwolnić rodziców. Twierdzili, że nie mają do nich żadnych zastrzeżeń, że posiadają zastrzeżenia tylko do ich znajomych, których nie warto żałować i o których trzeba wszystko powiedzieć.

Chłopcy trzymali się dzielnie. Nie korzystali z jedzenia, ze smakołyków i nie powiedzieli nic, co mogłoby zaszkodzić zarówno rodzicom jak i ich znajomym. Śmiali się z naiwności oficerów śledczych.

- Ci dranie - mówił 12-letni Jasio - uważają, że za cenę cukierka i kawałka chleba z kiełbasą można sprzedać mamę i tatusia... Tylko u nich mogą być takie półgłówki...

- Od czasu do czasu cele wizytowali różnego rodzaju naczelnicy. Czasami odwiedzali je lekarze.

Jak na ironię pytali o warunki i samopoczucie. Sami przecież te warunki tworzyli. Widocznie wymagał tego jakiś tam regulamin.

Gdy skarżyliśmy się na ciasnotę, głód, bród i brak powietrza, obiecywali, że wkrótce będzie lepiej. - Pójdziecie do obozów, gdzie będziecie mogli oddychać pełną piersią - to najczęstsza odpowiedź.

Pewnego dnia zaskabł Władek Bujko. Natychmiast wszczęliśmy alarm. Stukaliśmy do drzwi. Gdy przyszedł strażnik, poprosiliśmy o wezwanie lekarza. Za pół godziny przybyła młoda lekarka. Dała mu coś do powąchania i kazała wypić parę kropelek jakiegoś leku. Potem musiał się rozebrać. Spojrzała na ~~chudziela~~, poruszyła ramionami i orzekła, że wszystkiemu winien jest brak świeżego powietrza. - W tych warunkach nie możecie wyglądać i czuć się lepiej. - Potem pocieszała obozami...

Ani w więzieniu śledczym, ani na Łukiszkach nie wyprowadzano nas na spacer.

19 kwietnia strażnik zaprowadził mnie do więziennej kancelarii, gdzie dowiedziałem się, że za chwilę pojedę na rozprawę do sądu. Nikt nie doręczył mi aktu oskarżenia i nie spytał czy potrzebuję obrońców.

Na podwórku czekał więzienny samochód, tzw. "czornyj woron". Była w nim młoda dziewczyna i kilku mężczyzn. Zawieziono nas przed budynek, w którym urzędował sąd.

Pod eskortą żołnierzy wprowadzono wszystkich do wypełnionej więźniami poczekalni. Dziewczyna, z którą przyjechałem przyglądała się mi badawczo i w pewnej chwili spytała czy chcę jeść. Nie czekając na odpowiedź podała porcję więziennego chleba.

- Weź! Nie krępuj się i nie grymas! Kobiety są wytrzymalsze - rzekła stanowczym tonem.

- W zapasie mam jeszcze jedną porcję. Musisz mi wierzyć, że naprawdę nie jestem głodna. Weź, bo się pogniewam.

Wziąłem chleb, chociaż miałem wyrzuty sumienia, bo wiedziałem, że nie mogła być syta.

Stojący w drzwiach żołnierz nie przeszkadzał w rozmowie.

Dziewczyna była łączniczką w jednym z Oddziałów Armii Krajowej. Miała 18 lat. Przedstawiła się nazwiskiem - Kościuszko. Może dlatego była taka stanowcza.

Gdy rozmawialiśmy ze sobą, żołnierze wprowadzili do poczekalni młodego Litwina, który przez cały czas trzymał się za głowę i coś mamrotał.

- Dobrze mu... - odezwał się stojący w drzwiach żołnierz - mordował, strzelał do bezbronnych... To jeden z ponarskich katów... Na pewno sąd skazze go na śmierć.

- Po chwili wyjął z kieszeni woreczek z tytoniem i zaczął częstować więźniów. Litwina pominął, ale po kilku sekundach podszedł z otwartym woreczkiem również do niego.

- Straszna z ciebie swołocz<sup>x</sup>, ale zapalić chcesz? Na, kuri!<sup>xx</sup>

Łączniczkę AK wezwano na salę sądową przede mną. Wróciła zapłakana.

- Ja tego nie przeżyję - wołała - Za co skazali mnie na 10 lat łagrów? Nie przeżyję... - powtarzała.

- Nie mogłem jej uspokoić. Stała się wówczas rzecz dziwna, bo podszedł do niej stojący w drzwiach żołnierz - ten sam, który przed kilkoma minutami rozdawał tytoń i on ją uspokoił.

- Czemu głupia płaczesz - wtrącił z uśmiechem - przecież jesteś cała, żywa i zdrowa. Na twoim miejscu śmiałybym się z takiego wyroku. Przecież to żadna tragedia. Dostałaś tylko "czerwoniec"<sup>xxx</sup>

x swołocz - drań, człowiek najgorszy

xx - Na, kuri - Masz, zapal

xxx- czerwoniec - pieniądz 10-rublowy, w przenośni- 10 lat łagrów

a ryczysz jak przy karze śmierci. Czerwoniec, kochana, to wyrok dla dzieci <sup>tylko</sup> może "zarobić" każdy - pierwszy lepszy z ulicy. Nawet mnie mogą obdarzyć tą "porcją". A chciałabyś wiedzieć za co? - Za to, że teraz z tobą gadam. Powie człowiek jakiś kawał i czerwoniec gotowy.

- łączniczka roześmiała się...

Potem przyszła kolej na mnie. Pod eskortą dwóch uzbrojonych żołnierzy wszedłem na salę sądową.

Za długim, pokrytym czerwienią stołem siedzieli umundurowani sędziowie. Około pięciu metrów przed stołem stały drewniane ławki.

Kazali usiąść. Przewód sądowy przebiegał przy drzwiach zamkniętych. Byłem sądzony przez tzw. "wojenny trybunał". O rozprawie nie powiadomiono nawet rodziców.

Pojęcia "otwartych drzwi" w tych czasach w Związku Radzieckim ludzie nie znali. Do budynku sądowego osobom nie zatrudnionym wstęp był wzbroniony. Strzegli go ze wszystkich stron żołnierze z resortu, którym kierował Beria. Oskarżeni nie mieli prawa do obrony i nie mogli powoływać się na świadków. W głębi Rosji - poza obszarami, które włączono do ZSRR po 19 września 1939r. - świadków w procesach politycznych żaden oskarżony by nie znalazł, ponieważ zeznawanie na korzyść oskarżonego o zdradę ojczyzny równało się samobójstwu.

U nas, na Wileńszczyźnie, każdy sądzony żołnierz AK mógłby mieć setki, a nawet tysiące świadków.

Pod oświadczeniami dowodzącymi niewinności podpisaliby się wszyscy Wilnianie, ale sowieckie sądy takich oświadczeń nie potrzebowały i nie przyjmowały.

Otwarcia przewodu sądowego dokonał oficer w stopniu pułkownika.

Kazał wstać i zaczął czytać:

- Sobolewski Henryk Michajłowicz urodzony 13 listopada 1926 r. w Wilnie, obywatel Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej oskarżony z art. 58 - 1a Kodeksu karnego RFSR o udział w białopolskiej bandyckiej organizacji - Armii Krajowej w czasie niemieckiej okupacji, która stawiała sobie za cel walkę o wolną i niepodległą Polskę ze starym burżuazyjnym rządem i burżuazyjną konstytucją. Organizacja ta dążyła do oderwania od Związku Radzieckiego Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainy i stolicy Radzieckiej



Litwy - Wilna z całą Ziemią Wileńską...

- W dalszej części oskarżenia była mowa o kierującym tą "bandycą organizacją", burżuazyjnym i antyradzieckim Rządzie polskim, który posiadał swoją siedzibę w Londynie i o jego przedstawicielstwie w Warszawie.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia pułkownik spytał czy przyznaje się do winy.

Odpowiedziałem krótkim "nie".

Padło pytanie: "Dlaczego?"

- Oświadczyłem, że nigdy nie byłem i nie jestem obywatelem sowieckim, wobec czego oskarżenie o zdradę Związku Radzieckiego w stosunku do mnie nie może mieć zastosowania. Jest ono po prostu nielogiczne, ~~bo Ojczyzną moją jest Polska, która~~ bo Ojczyzną moją jest Polska, która jak sami twierdzicie, musi być wolna, niepodległa i silna. Odnosnie zarzucanej mi zdrady Ojczyzny wypowiedzieć się mogą tylko przedstawiciele mojego narodu - tylko polski sąd.

- Sędzia wyraźnie zdenerwował się. Asystujący mu oficerowie milczeli. Wstał z krzesła. Był czerwony ze złości. Z całej siły stuknął pięścią w stół i wrzasnął:

- ~~T~~ Twój naród takiej że kak i ty! <sup>x</sup>

- Skoro tak uważacie - odparłem - to powinniście sądzić cały naród.

- Sędzia wrzeszczał i klnął. Zapamiętałem z tego tylko dwa zdania: "Tego nas smarkaczu nie ucz. Wiemy dobrze co trzeba zrobić z tobą i twoim narodem".

- W takim razie róbcie! - odpowiedziałem z zupełną obojętnością. Sędzia uspokoił się i przystąpił do uzasadniania słuszności oskarżenia.

- Urodziłeś się - mówił - i mieszkałeś w Wilnie i jego rejonie. Rodzice twoi również pochodzą z Wilna i mieszkali w tym mieście oraz w jego rejonie przez całe życie, a Wilno należy do Związku Radzieckiego, wobec czego wszyscy mieszkańcy Wilna i całej sowieckiej Litwy są obywatelami radzieckimi...

- Próżno odwoływałem się do znanego mi prawa Polaków do repatriacji. Próżno tłumaczyłem mu, że ojciec mój jest w polskiej armii, że rodzice po wojnie, korzystając z prawa do repatriacji, na pewno wyjadą do Polski.

- Jakim cudem - spytałem - uważacie mnie, syna żołnierza polskiej armii, a więc syna obywatela polskiego, za obywatela radzieckiego?

- Na pytanie to nie otrzymałem odpowiedzi.

Na zakończenia sędzia jeszcze raz spytał czy przyznaję się do winy i jeszcze raz powtórzyłem słowo "nie", po czym zarządzono 5-minutową przerwę.

Sąd musiał się naradzić.

Uzbrojeni żołnierze na ten czas odprowadzili mnie do poczekalni.

Po kilku minutach wróciłem na salę.

Treść wyroku pokrywała się z oskarżeniem, za co zostałem skazany na karę śmierci. Biorąc pod uwagę niepełnoletni wiek i inne łagodzące okoliczności ten sam sąd na tym samym posiedzeniu zamienił karę śmierci na 10 lat poprawczych obozów pracy z pozbawieniem praw obywatelskich na okres 5 lat oraz orzeczeniem konfiskacji mojego majątku.

Czytając wyrok, po słowach "... sąd wymierza najwyższy wymiar kary..." czyli karę śmierci, sędzia zrobił krótką przerwę, podczas której wszyscy członkowie "wojennego trybunału" skierowali we mnie pełne ciekawości spojrzenia. Ciekawiła ich moja reakcja. W duchu pomyślałem, że przyszedł koniec, ale sędzia czytał dalej.

Po zięgodzeniu wyroku poczułem ulgę. Najważniejsze było to, że nie śmierć. Na resztę nie zwracałem uwagi. Mogli dać nawet 100 lat...

Ostatnie pytanie sprowadzało się do tego czy zgadzam się z orzeczeniem sądu. Odpowiedziałem przecząco. Sędzia kazał mi podejść do stołu i podpisać orzeczenie. Gdy odmówiłem ponowił polecenie mocniejszym tonem. Gdy odmówiłem po raz trzeci, zwrócił się do żołnierzy, by skazanego wyprowadzili z sali.

Zespół sędziowski składał się z czterech osób, wśród których była kobieta w stopniu sierżanta. Poza pułkownikiem nikt nie zabierał głosu. ~~xxxx~~ Nie wiem nawet czy był prokurator.

Po godzinie wróciłem do więzienia. W więziennej kancelarii zanotowano wymiar kary, po czym strażnicy odprowadzili mnie do celi, w której przebywali więźniowie z wyrokami.

Spotkałem tam wszystkich kolegów z Nowej Wilejki. Wszystkich skazano na 10 lat łagrów.

Po kilku dniach poddano nas badaniom komisji lekarskiej. Śmieszna to była komisja. Składała się z kilku osób w białych fartuchach. Nikogo z nas nie badano i nie pytano o zdrowie.

Jeden z członków, oficer w białym fartuchu, wszystkim zrobił zdjęcia.

2 maja wygnano nas z celi na zapelniony więźniami balkon nieczynnego więziennego kościoła. Sprawdzono nasze personalia. Potem przeprowadzono szczegółową rewizję osobistą i wszystkich wyprowadzono na więzienne podwórze. Ze wszystkich stron stali uzbrojeni w automaty żołnierze MGB.

Po pewnym czasie na schodach budynku, zwanego 1-szym korpusem, pojawił się naczelnik więzienia, który oznajmił, że pojedziemy do obozu pracy.

- Tam - oświadczył - będziecie pracować. Uczciwą i solidną pracą możecie wymazać swoje winy i po odbyciu kary powrócicie do grona wolnych obywateli radzieckich.

Radziecka ojczyzna - kontytuował - za zdradę i każdą skierowaną przeciw państwu działalność karze bardzo ostro, ale wszystkim stwarza szanse poprawy i tym różni się od krajów kapitalistycznych. Nasze władze karzą, ale potrafią wybaczać. Na wybaczenie trzeba jednak zasłużyć. Pragnę powiedzieć wam, że nie jesteście ludźmi straconymi, ale wszystko zależy od was. W obozie otrzymacie lepsze wyżywienie i będziecie korzystać ze swobody ruchu. Świeże powietrze poprawi samopoczucie.

- Po naczelniku zabrał głos naczelnik eskorty. Wszystkim kazał ustawić się piątkami w kolumnę marszową. Potem ostrzegł, że eskortujący kolumnę żołnierze, zgodnie z wydanym rozkazem, użyją broni bez żadnego uprzedzenia, jeśli więzień wystąpi z kolumny chociażby o jeden krok, będzie się zginał, by podnieść z ziemi jakikolwiek przedmiot itd...

Uprzedził, że podczas marszu nie można rozmawiać, i rozglądać się. Poleciał, by wszyscy więźniowie wzięli się pod rękę.

- Nieprzestrzeganie moich poleceń - oznajmił - grozi użyciem broni.

- Potem otwarto żelazną więzienną bramę i padła komenda: "Kołonna w<sup>o</sup>pień<sup>o</sup>d!"<sup>x</sup>

Za bramą żołnierzy było wielokrotnie więcej. Kroczyli z gotowymi do strzału automatami z obu stron kolumny w odstępach nie większych niż 3 metry.

---

x - kołonna w<sup>o</sup>pień<sup>o</sup>d! - kolumna naprzód!



Około kilometra przed kolumną posuwał się oddział konny, który usuwał z trasy przechodniów i wstrzymywał ruch.

Między oddziałem konnym a czołem kolumny maszerowały liczne patrole, które penetrowały wszystkie bramy, podwórka, klatki schodowe i przeganiały ludzi - nawet dzieci. Jeśli ktoś wyglądał przez okno, kierowali broń i kazali niezwłocznie usunąć się. Kawalerzyści oczyścili z ludzi cały plac Łukiski.

Przecinając ulicę Mickiewicza spostrzegłem transparenty z haskami o radziecko-polskiej przyjaźni.

Co któryś z eskortujących kolumnę żołnierzy prowadził na smyczy dużego psa.

- Żadna mi przyjaźń - myślałem - Łukiszki nie mogą pomieścić więźniów. Nas gonia w nieznane... Co za perfidia?...

W różnych dzielnicach miasta porobiono dodatkowe więzienia, które są tak samo pełne, jak Łukiszki. Trzymają za kratami dziesiątki tysięcy Polaków i ośmielają się mówić o przyjaźni...

- Szliśmy pustymi, wymiecionymi z przechodniów ulicami rodzinnego miasta, które miało być przez nas wyzwolone...

Za Raduńskim Mostem skręciliśmy w stronę stacji towarowej.

Po drugiej stronie linii kolejowej mieliśmy panoramę Wilna. Przeleciałem wzrokiem po wieżach znanych kościołów. Zaskonił je długi zestaw kilkudziesięciu towarowych wagonów.

Zatrzymaliśmy się na kolejowej rampie. Do każdego wagonu ładowano minimum po 50 osób. Byłem z Władkiem Bujko, Edkiem Noniewiczem, Bronkiem Siwickim, Heńkiem Tomkiewiczem, Medkiem Kozłowskim i Orłowskim.

Umieszczone wysoko okna były solidnie zakratowane i poprzepłatane kolczastymi drutami. Wykonane z grubych desek półki tworzyły coś w rodzaju piętra.

Z kolegami zająłem miejsce na piętrze w pobliżu okna. Do potrzeb fizjologicznych służyła wychodząca z bocznej ściany na zewnątrz otwarta rynna.

Pozostali więźniowie rozmieścili się na podłodze i na piętrze.

Po kilku godzinach odczuliśmy drgnięcie wagonu. Towarzyszący mu brzęk zderzaków wskazywał, że podczepiono lokomotywę. Wkrótce pociąg ruszył.

XII. W NIEZNANE

=====

Jechaliśmy w nieznane. Pociąg nabierał szybkości. Wpatrzeni w zakratowane okienko żegnaliśmy kochane miasto. Uciekały zabytkowe kamieniczki i wieże kościołów. Przejeżdżając naprzeciwko Ostrej Bramy przeżegnaliśmy się, prosząc Bożą Matkę o opiekę.

Żegnaliśmy nasze miasto, któremu żadna tyrania nie zniszczyła duszy - miasto gorąco miłujące wolność, cieleśnie i duchowo związane z Polską, w którym ponury obraz spustoszenia zaborców i okupantów zacierały wspaniałe czyny wielu pokoleń, dzięki czemu światło wiary i nadziei nigdy w nim nie gasło.

- Czy zdołasz, kochane miasto - pytaliśmy w duchu - oprzeć się tej tyranii? Czy uratujesz swoją duszę przed nią? Oparłeś się zaborcy, który za miłość do "zgasłej niepowrotnie" Ojczyzny i przywiązanie do "nierozumnej, narodowości polskiej" skazywał synów twoich na katorgę; który niszczył najcenniejsze pomniki twojej architektury, zamieniał pałace na więzienia, klasztory - na koszary; który robił wszystko, by zatrzeć ślady twojej świetności i polskości.

Czy zdołasz?...

Nie jeden raz stawałeś do walki i nie jeden raz, wykrwawione, zranione, sponiewierane ulegałeś przemocy, by w końcu odżyć i aż na dziewiętnaście lat połączyć się z Polską.

Czy zdołasz, kochane miasto i Ziemi, przetrwać nowe, jeszcze cięższe czasy? Czy podniesiesz się, po nowych, jeszcze boleśniej-szych ciosach i ranach? Nie miej do nas żalu! Wiesz przecież, że dla uratowania twojej duszy zrobiliśmy wszystko, co mogli. Teraz udajemy się w zgotowaną nam drogę cierpień.

To, co przeżyliśmy w więzieniach i to, co nas czeka, poświęciliśmy tobie i zbrozzonej naszą krwią Ziemi...

- Minęliśmy cmentarz na Rossach i po kilku minutach dworzec w Nowej Wilejce. Około pół kilometra za dworcem zauważyłem kroczącego ścieżką przy torach Waldka Szuszkiewicza. Krzyczałem, machałem rękami, robiłem wszystko, by nas zauważył, ale pociąg pędził jak szalony...

Od współwzięcia z wagonu /był Rosjaninem/ dostałem skrawek papieru i centymetrowy kawałeczek ołówka. Napisałem kilka słów do

rodziców, wymieniając nazwiska kolegów, którzy jechali w pociągu. Zwinąłem kilkakrotnie papierek i czekałem na okazję, by wyrzucić przez pozabawione szkła okno. Mogłem to zrobić tylko w odpowiednim momencie na odcinku do przedwojennej granicy z Łotwą.

Trzeba było zwitek rzucić komuś prostu pod nogi, przy czym ten ktoś nie mógł być człowiekiem dla nas obcym - Litwinem lub Rosjaninem.

Dojeżdżaliśmy do ostatniej stacji na polskiej ziemi - do Drui. Na poprzednich stacjach nikogo, budzącego zaufanie nie zauważyłem. Pociąg zwalniał bieg. Na peronie stali trzech kolejarze. - Teraz - pomyślałem - albo nigdy...

- Kartka upadła tuż przy nich. Widziałem, jak jeden pochylał się. Odniosłem wrażenie, że podniósł. Los kartki zależał od nich.

Z Drui do Wilna - kawał drogi. Jeśli się nie mylę, to około 160 km. Mimo to, coś mi mówiło, że kartka do rodziców dojdzie.

Ponad cztery lata terroru i represji skonsolidowały naród, jak nigdy. Wytworzyła się rzadko spotykana solidarność. Pomoc cierpiącym, poszkodowanym więzionym, prześladowanym, dyktowana była głosem ludzkich sumień i stanowiła moralny obowiązek każdego uczciwego człowieka. Niejednokrotnie łączyła się z wieloma niebezpieczeństwami, wymagała wielu poświęceń i odwagi, ale ludzie świadczyli ją powszechnie.

Wkrótce przejechaliśmy przez przedwojenną granicę z Łotwą i po pewnym czasie - granicę łotewsko-sowiecką.

Od tej pory pociąg zatrzymywał się na każdej większej stacji.

Zauważyłem, że większość miast i miasteczek leżała w gruzach. Frzerzały człowieka doszczętnie wypalone wioski. Na odcinku przez który ~~przebiegał~~ front, zamiast domów widniały prymitywne drewniane budki i zwykłe ziemianki. Rosjanie mówili, że mieszka ją w nich ludzie. Zdolni do noszenia broni mężczyźni byli jeszcze na froncie. Na tyłach pozostali tylko starcy, inwalidzi, kobiety i dzieci.

Jeden, jedyny raz w życiu oglądałem wówczas orkę, przy której do pługów zaprzęgnięto kobiety. Za pługiem szedł mocno pochylony starzec. Wieś ogołocono z koni, więc orano ludźmi.

Na wszystkich stacjach roiło się od bosych, obdartych, głodnych dzieci, które kręciły się koło wagonów, wyciągając ręce po kawałek suchego chleba.



Widocznie od czasu do czasu ktoś się nad nimi litował. Wielokrotnie oblegały również nasz transport. Z pewnością nie rozumiały, że jesteśmy więźniami. - Diadzieńka, podajcie! Diadzieńka, kusoczek chlebca<sup>x</sup>... - wołały wznosząc błagalne spojrzenia.

Byliśmy głodni, ale rzucaliśmy im część swoich porcji. Żołnierze z eskorty reagowali różnie. Jedni odganiaли dziaciaków, inni odwracali się tyłem udając, że nic nie widzą. Widocznie mieli czulsze serca. Być może dzieciaki przypominały im młodsze rodzeństwo, u którego losy mogły być podobne. W wielkiej i potężnej pod względem militarnym, ale ubogiej w żywność ojczyźnie wszystko było możliwe.

W wagonie jechaliśmy z grupą Litwinów i Rosjan. Rosjanie lepiej znosili więzienne warunki. Część z nich sądzono za dezercję, a część za przestępstwa kryminalne. Najlepiej trzymali się kryminaliści, ponieważ okradali współwięźniów z żywności i odzieży, którą u strażników wymieniali na chleb i tytoń. Najczęściej ofiarami kryminalistów byli Litwini, których określali faszystami. Okradanie faszystów poczytywali za coś chlubnego. Do nas odnosili się poprawnie.

W wagonie kradli Litwinom swetry, płaszcze, koce i inne rzeczy. Upłyniali je w porozumieniu z żołnierzami z eskorty.

Do tygodniu dojechaliśmy do tonącego we flagach i transparentach Kotłasu. Na transparentach wypisane było słowo "pobieda"<sup>xx</sup>. Od żołnierzy z eskorty dowiedzieliśmy się o kapitulacji Niemiec. Cały świat cieszył się z zakończenia barbarzyńskiej wojny, która przyniosła ludziom tyle tragedii, nieszczęść, męczeństwa, kalectw, cierpień i śmierci.

Tego dnia żołnierze z eskorty byli do nas łagodniejsi. Niektórzy częstowali tytoń i próbowali pocieszyć. Mówili, że władze z pewnością ogłoszą amnestię.

Rosjanie mogli na nią liczyć. Dla nas amnestia nie wchodziła w rachubę, ponieważ nie uważaliśmy się za przestępców. Wszystkie nadzieje wiązaliśmy z naszym Rządem i krajami sojusznymi.

Sowietyzacji Polski nie wyobrażaliśmy. Byliśmy pewni, że sprzymierzeńcy do tego nie dopuszczą. Baliśmy się tylko utraty Ziemi Wileńskiej i Lwowa.

Z Kotłasa pociąg ruszył w kierunku Uchty. Dojechaliśmy tam

11 maja.

x - Diadzieńka, podajcie! Diadzieńka, kusoczek chlebca.. - wujku, dajcie, wujku, kawałeczek chleba...  
xx - pobieda - zwycięstwo

Dowództwo eskorty przystąpiło do czynności związanych z przekazaniem więźniów nowym "opiekunom".

Kolejno otwierano wagony, sprawdzano personalia i formowano kolumnę.

Za rabowanie od współwięźniów odzieży kilku Rosjan powędrowało do karnego obozu.

Ze stacji pod eskortą pomaszzerowaliśmy do obozu rozdzielczego, zwanego "pieresyłką". Tym razem eskorta była słabsza. Nie było straży przedniej, kawalerzystów, nie oczyszczano ulic z przechodniów, którzy do podobnych scen byli przyzwyczajeni. Większość mieszkańców Uchty i całej Autonomicznej Republiki Komi składała się z byłych więźniów i zesłańców.

Podczas dziewięciodniowej podróży dostawaliśmy na dobę 40 dkg chleba i pół litra zupy. Kilka razy dostaliśmy do picia zimną wodę. Trzy razy dziennie żołnierze sprawdzali stan więźniów. Przy sprawdzaniu opukiwali drewnianymi młotkami ściany wagonów i podłogi. W czasie sprawdzania więźniowie przechodzili na jedną stronę wagonu. Potem musieli przebiegać na drugą. Kto nie był dość szybki, obrywał po głowie lub po plecach drewnianym młotkiem.

### XIII. PIERESYLKA I PIERWSZY OBÓZ

=====

Pieresyłki przyjmowały transporty więźniów z różnych rejonów kraju i rozsyłały do rozmieszczonych w danym rejonie łagrów. Pieresyłka w Uchcie dostarczała więźniów do całego "Ucht - Iżym - Łagu".<sup>x</sup>

Na wszystkich pieresyłkach urzędowały składające się z funkcjonariuszy MGB komisje, które w zależności od stanu zdrowia więźnia, kwalifikacji zawodowych i wykształcenia kierowały go do określonego "łag-punktu".<sup>xx</sup>

Na pieresyłce w Uchcie ludzi młodych i zdrowych kierowano do pracy w kopalniach ropy naftowej. Starszych i słabszych - do innych "łag-punktów".

Zanim trafiłem na komisję, przez kilka dni chodziłem do pracy w mieście. Kopaliśmy tam głębokie rowy.

-----  
x - Ucht-Iżym-Łag - Obóz, którego punkty obozowe były rozrzucone  
na w rejonie Uchty i Iżymy

xx - łag-punkt - punkt obozowy, czyli obóz pracy, wchodzący w skład określonego łagru

Wtenczas miałem jeszcze chęć do ucieczki, ale ze względu na silną eskortę nie odważyłem się.

Spaliśmy na długich drewnianych pryzkach, bez pościeli - po prostu na gołych deskach.

Wyżywienie składało się z 575 gramów chleba, zupy na śniadanie i zupy z łyżką owsianej kaszy na obiad.

Zupę gotowano z zielska, które Rosjanie nazywali "iwanczajem". Miało ono kwaśny smak, trochę podobny do szczawiu.

Kasza była tak rzadka, że raczej przypominała owsianą zupę. Dolewano do niej zawsze naparstek oleju.

W stołówce nie było żadnych naczyń. Zastępowały je ~~puszki~~ rdzawe puszki po konserwowanej amerykańskiej tuszonce, ale puszek było o połowę mniej niż więźniów. Musieliśmy się nimi dzielić. Ponieważ śniadania i obiady wydawano w ściśle określonym czasie, nie zawsze udawało się puszkę zdobyć. Często więc zostawaliśmy bez śniadania i obiadu.

W tych warunkach pewnym posiłkiem był tylko chleb.

W barakach stały beczki z gotowaną wodą, którą przynosili z kuchni "dniewalni" /porządkowi/ w drewnianych wiadrach. Obok beczek z wodą stał przymocowany łańcuszkiem metalowy kubek, po który zawsze czekało się w długiej kolejce. Dniewalni zajmowali się sprzątaniami i pilnowaniem baraków.

Po kilku dniach cała nasza grupa przeszła przez komisję. Musieliśmy rozbierać się do naga, ale lekarz nikogo nie badał. Rozbieranie więźniów było pomyślane tylko po to, by określić przydatność do pracy z wyglądu zewnętrznego. Mocno wychudzonych kierowano do lepszej pracy.

Kilkusetosobową grupę z wileńskiego transportu skierowano do kopalni ropy naftowej nr 3. Trafili do niej wszyscy moi koledzy z Nowej Wilejki. Na pieresyłce zostałem sam - wśród osób, których nie znałem.

Odjechałem stamtąd w drugiej grupie do kopalni ropy naftowej Nr 2, około 40 km na wschód od Uchty.

Składająca się z czternastu samochodów kolumna wyruszyła wczesnym rankiem. Z przodu i z tyłu kolumny jechały samochody z uzbrojonymi w automaty żołnierzami. Do każdego samochodu przydzielono trzech uzbrojonych żołnierzy, którzy zajęli miejsca między szoferką a oddzielającą ich od siedzących więźniów metalową kratą.



W ten sposób pożegnałem Uchtę - miasto smutne, ciche i nędzne, bez brukowanych lub asfaltowanych ulic, bez chodników, ze starymi drewnianymi domkami. Tylko centrum posiadało kilka przyzwoitych piętrowych budynków, w których musiały mieścić się jakieś urzędy.

Ubrani w stare watówki mieszkańcy na naszą kolumnę nie zwracali najmniejszej uwagi.

Uchta położona jest na niewielkiej, otoczonej porośniętą lichą, karłowatą brzozą, wyżynie, wokół której rozciąga się bezkresna bagnista równina.

Z wyżyny zjechaliśmy na leszniąwkę - długi, ciągnący się kilkadziesiąt kilometrów, zbudowany z grubych czworokątnych bali pomost. Samochody zatrzymały się dopiero przed bramą obozu.

Ogrodzony wysokim płotem z kolczastymi drutami, otoczony wieżami dla wartowników ogromny teren z kilkoma barakami, wywołał przygnębiające wrażenie.

Wzdłuż ogrodzenia biegały tresowane psy. Kazali nam wysiąść z samochodów i ustawić się piątkami w stronę bramy. Po przeliczeniu więźniów całą kolumnę wprowadzono na teren obozu. Zostaliśmy rozlokowani w dużym drewnianym baraku.

W łagrze przebywało około tysiąca więźniów. Pracowali przy drażeniu szybu i budowali nowe baraki.

Ze względu na bagnisty teren baraki wznoszono na głęboko wbitych w ziemię palach.

Obóz przeplatały drewniane chodniki i leszniąwki. Zejście z chodnika lub leszniąwki groziło ugrzęźnięciem po pas w bagnie.

Przed obozem w wizualnie lepszych barakach mieściły się koszary strzegących nas żołnierzy, prywatne mieszkania oficerów, funkcjonariuszy obozowej administracji, poczta, sklep, łaźnia i biuro obozowego naczalstwa.

Długie prostokątne baraki dla więźniów wyposażone były w piętrowe drewniane prycze i dwa żelazne piecyki.

Ze względu na brak sienników i pościeli spaliśmy na gołych deskach.

Kryminaliści mieszkali w lepszych barakach. Wszyscy posiadali nabijane trocinami lub wiórami sienniki, poduszki, koce i prześcieradła.

Od pierwszego dnia zaczęły się masowe kradzieże. Specjalistami w tym rzemiośle okazali się Rosjanie. Okradali nas z obuwia,

odzieży, kocy, a nawet z obozowych porcji chleba. Skradzioną odzież przemycali poza obóz. W zamian otrzymywali żywność i pieniądze. Po paru miesiącach nasza 300-osobowa grupa była ogołocona ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość. Jeśli komuś nie wszystko ukradli, to resztę sprzedał za chleb. Kryminaliści rabowali przeważnie w nocy, gdy wszyscy ~~z~~ po ciężkiej pracy spali.

Uczciwi Rosjanie nawiązywali z nami kontakty, by coś sobie kupić. Sam sprzedawałem im nowy sweterek, za który dali mi dwie dzienne porcje chleba. Resztę moich rzeczy rozkradli.

I kryminaliści i ci uczciwi nawiedzali nasz barak przez kilka tygodni. Jedni rozglądali się na co zapolować, a drudzy namawiali do sprzedaży.

- Sprzedaj sweterek! Sprzedaj płaszcz! Sprzedaj buty!... Dam ci porcję chleba... Jeśli nie sprzedaż - ostrzegali - ukradną ci.  
- Posiłki otrzymywaliśmy dwa razy dziennie. Z rana maszerowaliśmy do kuchni po pół litra szczy /zupa z iwanczaju/ i do "chleborezki" po 575 gramów chleba. Obiady były takie same jak na pieresyłce. W tych latach kolacji więźniowie nie dostawali.

Posiłki pobieraliśmy na podstawie wydawanych poprzedniego dnia talonów. Na chleb, śniadanie i obiad mieliśmy oddzielne talony.

Podobnie jak na pieresyłce w kuchni nie było żadnych naczyń. Musieliśmy je zdobyć we własnym zakresie.

Za chleb kupowaliśmy od starych więźniów puszki po konserwach, lub wykonane z puszek pojemniki. Takie naczynie kosztowało od jednej do trzech dziennych porcji chleba.

Pierwsze dni upływały na badaniach lekarskich, sprawdzaniu kwalifikacji zawodowych, podziale więźniów na robocze brygady i innych czynnościach administracyjnych.

Potem wpadliśmy w nurt obozowego życia, do którego trzeba było przyzwyczać się aż na dziesięć lat.

O piątej rano mieliśmy pobudkę. Oznajmiał ją gong, pochodzący od uderzeń w zawieszoną przy wartowni żelazną szynę.

Do szóstej musieliśmy pobrać dzienne porcje chleba i pół litra iwanczajowej zupy oraz stawić się przed wartownią na "rozwod".<sup>xx</sup>

x chleborezka - miejsce, w którym wydawano więźniom dzienne porcje chleba

xx "rozwod" - rozprowadzanie więźniów do miejsc pracy

Pracownicy obozowego dozoru, tzw. "nadzieratiele", sprawdzali obecność i brygadami wypuszczali więźniów za bramę, gdzie oczekiwali ich żołnierze z eskorty.

Więzień, który nie stawiał się na rozwód uważany był za "odkazczyka"<sup>x</sup> i karano go karcerem. Przy powtarzającym się uchylaniu od pracy więźnia oddawano pod sąd.

Rolę kapo w obozie spełniali rekrutujący się z kryminalistów dniewalni.

Marny był los Odkazczyka, który dostał się w jego ręce. Raz pobił mnie drań za wezwanie Pana Jezusa i Matki Boskiej. Późnym wieczorem, leżąc na nagiej pryczy, półgłosem narzekałem na los. Byłem bardzo głodny i mocno osłabiony. Narzekając westchnąłem do Pana Jezusa.

- Dniewalny zaczął mnie okładać pięściami. Śmiał się, że wierzę w Boga. - Proś swego Jezusa i Jego Matkę o ratunek! Proś głośno! Nie Jezus i nie Maryja, lecz ja tutaj jestem władzą. Jestem twym panem i bogiem. Zechcę, to pokamie ci wszystkie gnaty...  
- Grupa opryszków śmiała się od ucha do ucha, a on bił i prawił swoje kazanie.

Zbity, skopany, pokrwawiony i pozbawiony pomocy myślałem o rychłej śmierci.

Ustawowy czas pracy w sowieckich obozach trwał dziesięć godzin. Z dojściem i powrotem więzień przebywał poza obozem minimum dwanaście godzin.

Wolnych dni od pracy nie było.

Na początku pracowaliśmy przy budowie nowych leszniówek. Z dnia na dzień opadaliśmy z sił. Ciężka praca, głód, brak odpowiedniej odzieży, posłania i beznadziejna atmosfera prowadziły do fizycznego i duchowego załamania.

Przez cały maj i połowę czerwca padał deszcz. Z pracy wracaliśmy przemoknięci do ostatniej nitki. O zmianie odzieży na suchą mogliśmy tylko marzyć. Spaliśmy w mokrych waciakach. Rano, zziębnięci i głodni, w parującym od ciepłego ciała mokrym ubraniu szliśmy do pracy.

Pisaliśmy listy do rodzin. Wszystkie przechodziły przez obozową cenzurę. Prosiłiśmy o żywność. Głód - to straszne zjawisko. Ludzie wyglądali jak szkielety albo brzękli. Zaczynało się od obrzęku nóg. Potem brzękły twarze, pod oczami pojawiały się wodniste worki. Wycieńczonych z głodu dobiły choroby.

*x Odkazczyk - osoba uchylająca się od pracy.*



Więźniowie masowo chorowali na tyfus brzuszny i dyzenterię. Dogorywających z głodu i chorób wywożono do specjalnego obozu, który jak na ironię nosił nazwę "San-Gorodka" czyli Sanitarnego Miasteczka.

Kuracja w Szpitalnym Miasteczku polegała tylko na tym, że chorzy nie musieli pracować. Kurowanych tam więźniów masowo kosiła śmierć.

Głód mocno odbijał się na ludzkiej psychice. Ludzie stawali się na wszystko obojętni, zaniedbywali się, zapominali o osobistej higienie, o zasadach etyki i moralności.

Tracili ludzką godność.

Często upodabniali się do zwierząt.

Najszybciej wykańczali się więźniowie zaspokajający głód pić dużej ilości wody lub spożywaniem gotowanej trawy.

Z braku witamin mnożyły się zachorowania na szkorbut i kurzą ślepotę. Dotknięci tą chorobą o zmręku tracili wzrok - po prostu przestawali widzieć.

Fewnego dnia sąsiad z pryczy, rodak z Wilna, /nazywał się Dokurno/ poczęstował mnie gotowaną trawą. Wziąłem do ust, ale nie przełknąłem - całość zwróciłem.

Z każdym dniem słabłem. Dokuczają mi bóle żołądka. Czuję w nim jakieś ssania. Potem bolesne ssania objęły plecy, piersi i zębra. Nogi stawały się coraz cięższe. Po pracy kładłem się na nagiej pryczy i myślałem o zbliżającej się śmierci. Samopoczucie kolegów było podobne.

Dużo modliłem się. Modliłem się o cud, bo tylko cud mógł nas uratować. Nie chciałem umrzeć z głodu. Czuję straszny żal - żal do całego obojętnego na nasz los świata.

Niejednokrotnie przypominałem słowa żołnierskiej piosenki:

"... Choć umrzeć się przyjdzie nam w polu,  
Czy w tajgach Sybiru gdzieś zgrnąć,  
Z trudu naszego i znoju  
Polska powstanie, by żyć..."

Na pewno łatwiej pogodziłbym się ze śmiercią, gdybym miał pewność, że z naszego znoju Polska powstanie.

Najszybciej załamywali się ludzie starsi, wywodzący się ze środowisk inteligenckich. Przeważnie oni gotowali trawę, szukali pożywienia na wysypisku odpadów z obozowej kuchni i wlewali do swoich żołądków duże ilości wody.

Drugiego września 1945 r. skapitulowała Japonia. W Związku Radzieckim dzień ten obchodzono jako dzień zwycięstwa. Pomyślano nawet o więźniach. Tego dnia dali nam więcej chleba i lepszy obiad.

We wrześniu zakończyliśmy budowę leszniowki, i skierowano nas do pracy przy budowie olbrzymiej stajni.

Pracowałem tam w charakterze pomocnika cieśli. Moim majstrem był Rosjanin - mężczyzna po czterdziestce.

Nie miałem już wiele sił, z czego zdawał sprawę majster. Ponieważ ciosanie drewna było dla mnie za ciężkie, praca moja polegała na zdejmowaniu kory. Często robiliśmy przerwy i opowiadaliśmy o przeszłości. Rosjanin odsiadywał ostatni, dziesiąty rok. Podziwiałem go, że tyle wytrzymał.

- Wytrzymasz i ty - mówił - Jesteś młody... Najgorsze są początki. Z czasem człowiek przyzwyczaja się,, Najważniejsze - to zdrowie. Na początku byłem załamany jak ty. Nie wierzyłem, że przeżyję. A widzisz?... Jednak wytrzymałem.

- Około 300 m od budowanej stajni biegła łącząca Kotłas z Workutą linia kolejowa. Kiedyś spojrzałem na podążający na południe pociąg z węglem. Majster to zauważył.

- Chciałbyś być teraz w jednym z wagonów? - zapytał - Potem wskazał na tory i kontynuował: - Tam pod każdym podkładem leżą kości twoich rodaków. Linie tę budowano w 1941 r. Budowali ją przeważnie Polacy. Mówicie, że teraz jest źle, twierdzicie, że nie wytrzymacie... Wyobraź synku, partię więźniów, których gnano pismo przez bagna po kilkadziesiąt kilometrów. Wyście przyjechali do obozu, w którym są baraki, kuchnia, łaźnia, a nawet jaki taki ośrodek zdrowia. Oni nie mieli niczego. Ich obozem było miejsce, w którym się zatrzymali - las i bagna.

Musieli rozwinąć dla eskortujących żołnierzy namioty, a sami kładli się spać w urządzonych z gałęzi szałasach. Bywało, że spali pod gołym niebem. Widziałem tych ludzi. Większość nie znała pracy fizycznej. Byli wśród nich właściciele majątków, kupcy, przemysłowcy, lekarze, inżynierowie, księża, nauczyciele, naukowcy, oficerowie... Biedni-padali jak muchy. Padali każdego dnia. Kolej ta, synku, nazywa się workucką, a powinna nazywać się polską, bo zbudowano ją na polskich kościach...

- Pewnego dnia przy budowie stajni zmarł więzień. Był Litwinem. Umarł z głodu i wyczerpania.

W kilka dni po jego śmierci postanowiłem nie iść do pracy.

- Niech robią co chcą, ale więcej pracować nie będę. W końcu jestem Polakiem, a nie Żydem. Tylko oni - Żydzi, byli posłuszni do końca...

- Poczuję w sobie jakieś przebudzenie. Nagle zdałem sprawę, że bez względu na konsekwencje muszę zdobyć się na opór.

Po gongu na pobudkę bez pośpiechu zlażłem z pryczy i ruszyłem w stronę chleborezki. Potem udałem się do kuchni po pół litra ciepłej, iwanczajowej zupy i zamiast ku bramie skierowałem się do baraku. Za kilka minut miał zacząć się rozwod. W obawie przed dniwalnym, który jeszcze raz mógł mi policzyć kości, wyszedłem z baraku. Przy wartowni tłoczyli się więźniowie.

Nariadczyk<sup>x</sup> wywoływał nazwiska.

Padło moje nazwisko, - wołajcie! - pomyślałem - tym razem obejdzie się beze mnie. Na wszelki wypadek udałem się w stronę obozowego ośrodka zdrcwia. Usiadłem w małej poczekalni i czekałem na reakcję.

Po jakimś czasie do ośrodka wpadli trzej nadzieriatiele. - Jest tutaj Sobolewski? - wczął starszy stopniem - To ja - odrzekłem. - Dlaczego nie stawiałeś się do pracy? Mów! Dlaczego milczysz? - wtórował mu ~~nizis~~ inny.

- Dóki mogłem, chodziłem. Nie poszedłem, bo nie mam sił. - Tłuma- czyłem, że przyszedłem do lekarza...

- Towarzysz Poznanski /tak nazywał się lekarz/, mamy tu ptaszka.. Nie chce pracować. Zbadajcie go! - zwrócił się do przechodzącego przez poczekalnię lekarza jeden z nadzieriateli.

- Zaraz zobaczymy - odparł lekarz. - Proszę do gabinetu.

- Zmierzył mnie od stóp do głowy, założył okulary i kazał rozebrać się.

- Do naga! - powiedział.

Starszy Nadzieriatel pokręcił głową. Lekarz obmacał skórę, kazał stanąć na wadze i zmierzył wzrost. - 175 i 39 - oznajmił.

Ważylem 39 kg. Miałem wtenczas 19 lat.

Poznanski spoglądał raz na mnie, raz na nadzieriateli. Przez chwilę milczał.

---

x Nariadczyk - obozowy kadrowiec, wyznaczony spośród więźniów



- No cóż? Wyglądasz nie najlepiej, ale podobnych tobie mamy setki. Przypiszę ci dodatkową porcję żywności i pójdiesz do pracy.

Oni - wskazał na nadzierateli - dadzą ci pracę na miejscu, w obozie. Długie marsze mogą cię męczyć. Zgadzasz się?

- Zaprzeczyłem. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale na szczęście włączył się starszy nadzierateli:

- Skierujcie go do "słab-komandy"! Przecież dobrze wiecie, że dodatkowa porcja mu nie pomoże.

- "Słab-komanda" - to instytucja, spełniająca funkcję obozowego sanatorium. Kierowano do niej więźniów wyczerpanych z sił, ale zdrowych. Mieściła się w znacznie cieplejszym, otynkowanym baraku. Więźniowie otrzymywali tam o 30 dkg więcej chleba, lepsze zupy i treściwsze drugie dania. Spali na wypchanych wiórami siennikach, mieli prześcieradła, koce i wypchane trocinami lub wiórami powłoki, które zastępowały poduszki.

Dostać się do "słab-komandy" było bardzo trudno. Mieli tam zaledwie 50 miejsc, a potrzeby były wielokrotnie większe.

Udawało się tylko szczęśliwcom. Największe szanse mieli obozowi donosiciele. Czas kuracji w "słab-komandzie" trwał dwa miesiące. Wielu więźniów instytucji tej zawdzięcza życie. Była dla nich ratunkiem przed nieuniknioną śmiercią.

Już po paru tygodniach poczułem się znacznie lepiej, przez co zacząłem nabierać chęci do życia. Dwa miesiące wolne od ciężkiej pracy i nieco lepsze wyżywienie, w tamtych warunkach miały ogromne znaczenie, ponieważ przynajmniej na dwa miesiące gwarantowały życie.

Miałem nadzieję, że w tym czasie nadejdzie odpowiedź na listy do rodziców. Wysłałem do nich kilka listów. Liczyłem na ich pomoc i spodziewałem reakcji opinii społecznej w kraju i za granicą. Nie wyobrażałem braku interwencji w naszej sprawie państw zachodnich. Wszyscy uważaliśmy, że takie interwencje będą i że Moskwa będzie musiała im ulec.

Wojna skończyła się. Na więzienie żołnierzy Armii Krajowej w sowieckich łagrach razem z policjantami, agentami gestapo i wojennymi zbrodniarzami, w naszym przekonaniu, musiał ktoś zareagować.

W obozie szerzyły się choroby zakaźne. Sam chorowałem na

dyzenterię i chodziłem do pracy. Zwolnienia lekarskie dostawali tylko chorzy, którzy mocno krwawili.

Nie zapomnę dnia, którego za częste bieganie "na stronę" żołnierz z eskorty oskarżył mnie o symulację. Miałem krwawą biegunkę. Żołnierzowi wydawało się, że "biegam", by przy tym trochę odpocząć. Zwrócił uwagę, bym przestał symulować. Ostrzegał mnie kilkakrotnie i groził konsekwencjami. Za którymś razem, gdy wracałem na stanowisko pracy, przywołał do siebie i kazał rozebrać się do bielizny. Gdy to uczyniłem, kazał wejść na, ułożoną przy ogromnym mrowisku kupę kamieni. Na odmowę zareagował odbezpieczeniem pistoletu maszynowego.

- Ja nie żartuję - powiedział. Zabiję jak psa...

- Musiałem ulec. Wszedłem boso na kamienie... Już po paru minutach na całym ciele miałem mrówki. Czuję je w uszach, w nosie... Gdy próbowałem odganiać, żołnierz wrzeszczał i groził użyciem broni.

Ile czasu trwała moja męczarnia, nie wiem. Dla mnie wydawała się wiecznością.

Potworną karę przerwał sygnał do zakończenia pracy i zbiórki do odmarszu.

Na obozowej wartowni "naczelnik konwoja" zgłosił obozowej administracji, że przez cały dzień uchylałem się od pracy, za co zostałem osadzony w karcerze.

Próżno kołatałem do drzwi celi i próżno zgłaszałem naczelnikowi karceru, że jestem chory.

- Odsiedzisz swoje - mówił - to będziesz mógł pójść do lekarza.

- Po kilku godzinach gdy pokazałem mu krew, przywołał nadzieratiela z którym udałem się do ośrodka zdrowia.

Lekarz nie chciał uwierzyć w chorobę. Żądał dowodów, ale na oczekaniu nie mogłem ich dostarczyć. - Jak to mam zrobić? - spytałem.

- Pójdź do ubikacji i przynieś - odpowiedział.

Skorzystałem z rady i otrzymałem tydzień zwolnienia od pracy.

W obozie było pełno szczurów. Były duże jak koty. Gniedziły się pod barakami, zbudowanymi na palach leszniówkami i chodnikami. Znałem Rosjan, którzy je łowili, zabijali i po ugotowaniu jedli. Przed głodem ludzie ratowali się w różny sposób.

Przed trafieniem do "słab-komandy" obozem wstrząsnęła

wiedomość o nieudanej ucieczce trzech młodych Litwinów .

Trzy martwe ciała ułożono przy bramie w pobliżu wartowni. Wszyscy mieli rozwalone od kul głowy.

Z obozu wydostali się w nocy. Próbowali dotrzeć do Uchty, ale X nie doszli. Wytropili ich żołnierze z tresowanymi psami. Zaraz po pojmaniu zostali zamordowani. Martwych wystawiono na widok publiczny.

Tego dnia na rozwód przyszedł sam naczelnik obozu, młodszy porucznik /mładszyj lejtenant/ Łygo. Był wściekły i jednocześnie cie szył się, że ucieczkę udaremniono. Przed rozprawieniem więźniów do pracy wygłosił krótkie przemówienie.

- Mam nadzieję - powiedział - że ich poznajecie. Wczoraj kładli się spać razem z wami, ale zamiast śnić o pracy, śnili o swojej Litwie. Chcieli tam powrócić. Czym to się skończyło, widzimy... Na Litwę, mogą powrócić tylko wasze dusze. Ciała pozostaną tutaj. Kto chce, by dusza jego tam powróciła, niech ucieka. Ciała położy- my tutaj - wskazał palcem na trupy - pod wartownią.

- Od tej chwili wiedziałem, że w tym kraju za próby ucieczek nie karze się karcerem, lecz śmiercią bez sądowego wyroku. Gdyby pojmanego więźnia oddano pod sąd, zostałby skazany na 25 lat łagrów. Byłoby to postępowanie zgodne z prawem, ale w resorcie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego prawa nikt nie musiał przestrzegać.

We wszystkich barakach roiło się od pluskiew. W nocy nie dawały nam spać. Do łaźni chodziliśmy zbiorowo raz na miesiąc. Wszyscy byli zawszeni.

W baraku "szab-komandy" było czysto. Do łaźni chodziliśmy tam raz na tydzień. Nie musieliśmy więc walczyć z pluskwami i wszami.

"Szab-komandę" często wizytowali pracownicy obozowego ośrodka zdrowia i obozowe naczalstwo. Odwiedzał ją również sam naczelnik obozu. Wszyscy starali się, by panował tam porządek. Przed wypisaniem ze "szab-komandy" rodzice przysłali mi pierwszą paczkę żywnościową. Z radości rozplakałem się. Dziękowałem Bogu i rodzicom. Chyba nigdy nie modliłem się tak gorąco. Dziękowałem także naszej wspólnej Matce - tej, co w Ostrej świeci Bramie. Klęczałem przed pryczą na ~~kiszxxx~~ kolanach, czując jak po twarzy spływają krople łez. W baraku panowała cisza. W tej paczce widzia- łem ratunek przed śmiercią.

- Skoro dostałem pierwszą, dostanę następne, a jeśli tak, to z głodu nie zginę...



- Odżyła nadzieja. Nabrałem chęci do życia.

W obozie przy kopalni Nr 2 poznałem wielu rodaków. Wszystkich sądzono na 10 lat za przynależność do AK. Najlepiej trzymali się panowie Berdowski i Wesołowski. Byli najstarsi wiekiem, ale nie zakazywali się. Przez cały czas żyli nadzieją i podtrzymywali na duchu innych. Pan Wesołowski ze względu na wyższe wykształcenie i biegłą znajomość rosyjskiego pracował w "chcz-czasti" /w dziale gospodarczym/. Trzymał się lepiej niż inni, bo nie pracował fizycznie.

Do pracy umysłowej w obozie angażowano przede wszystkim więźniów narodowości rosyjskiej. Czasami zdarzały się wyjątki...

Aby otrzymać taką pracę, trzeba było mieć dużo szczęścia albo zostać donosicielem.

Bez porównania lepsze warunki od więźniów pracujących fizycznie mieli więźniowie zatrudnieni w łaźni, w pralni, w obozowych magazynach, w ośrodku zdrowia, w szwalni, różnego rodzaju warsztatach...

Najlepiej powodziło się kucharzom, pomocy kuchennej i zatrudnionym w chlebozrywkach, bo nie cierpieli z głodu.

Starzy więźniowie twierdzili, że w składającym się z kilkuset "łag-punktów" "Ucht-Izym-Łagu" przebywało około miliona więźniów.

Jego naczelnikiem był gen. Berdakow.

Największym w ZSRR obozem był "Kołym-Łag". Znajdował się na Kołymie.

Znam żołnierzy z AK, którzy przeszli przez jego "łag-punkty". Na północy, w europejskiej części Związku Radzieckiego było wiele podobnych obozów.

Spotkałem się z więźniami z "Peczor-Łagu", "Workut-Łagu", "Int-Łagu". Wszystkie składały się z kilkudziesięciu lub z kilkuset "łag-punktów", a w każdym "łag-punkcie" przebywało po parę tysięcy więźniów.

Nazwy obozów były związane z położeniem geograficznym.

Naczelna obozowa instytucja mieściła się w Moskwie. Zwano ją w skrócie "GU-Łagiem", a w pełnym brzmieniu - "Głównoje Uprawlenije Łagierej".<sup>x</sup>

---

x Głównoje Uprawlenije Łagierej - Główny Zarząd Obozami

Podlegała bezpośrednio narodowemu komisarzowi spraw wewnętrznych, potem ministrowi do spraw bezpieczeństwa państwowego, a po skazaniu Berii - ministrowi spraw wewnętrznych.

Kierował nią naczelnik "GU-Łagu".

Na terenie całego kraju porozrzucane były tzw. "U-Łagi" /uprawleni-  
ja Łagierej/ czyli zarządy obozów. Słyszałem, że niektóre z nich  
podlegały bezpośrednio ministrowi. Ile w tym prawdy, nie wiem.  
Wiem natomiast, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych  
cały Związek Radziecki pokryty był gęstą siecią obozowych  
instytucji i "Łag-punktów". Nikt poza wtajemniczonymi w te sprawy  
pracownikami "GU-Łagu", Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i panami  
urzędującymi na Kremlu nie zna dokładnie ich ilości.

Według opinii starych więźniów, byłych funkcjonariuszy ze służby  
bezpieczeństwa, "u-Łagi" liczone na setki, a "Łag-punkty" na  
grube tysiące.

Ilość więźniów szacowano na 15 do 20 milionów, a zesłańców -  
co najmniej na drugie tyle.

W Autonomicznej Republice Komi, gdzie mieści się Uchta, większość  
tzw. wolnych mieszkańców stanowili byli więźniowie i zesłańcy.  
Podobnie wyglądało w Kazachstanie, na Kołymie, w Incie, Worskucie,  
w olbrzymim Krasnojarskim Kraju i w całej, poza większymi miastami  
na linii transyberyjskiej, Syberii.

"Łag-punktów" nie brakło nawet w takich miastach jak Kijów,  
Leningrad i Moskwa. Spotykałem się z więźniami, którzy w tych  
"Łag-punktach" przebywali.

Jeden z Łagowców opowiadał, że w Moskwie wożono więźniów  
z obozu do pracy w zamkniętych skrzyniach samochodów z napisem  
"chleb".

#### XIV. OBOZ PRZY KOPALNI ROPY NAFTOWEJ NR 3 =====

Pod koniec 1945 r. część więźniów z obozu przy Kopalni  
Ropy Naftowej Nr 2 przerzucono do kopalni Ropy Naftowej Nr 3.  
Znalazłem się w około 300 osobowej grupie, którą pieszo pod  
eskortą odprowadzono do nowego obozu.

Spotkałem tam wszystkich kolegów z Nowej-Wilejki.  
Ucieszyłem się, że żyją. Wkrótce poznałem innych rodaków, wśród  
których był ksiądz Franciszek Janocha.

W centrali telefonicznej pracował Henryk Jasiński, z którym siedziałem w 11 celi więzienia śledczego w Wilnie. Skazali go na 15 lat.

Teren Kopalni Nr 3 przylegał do obozu i łączył się z nim bramą z wartownią. Więźniowie pracowali tam pod ziemią i na powierzchni. Warunki pracy i warunki bytowe były podobne do poprzednich. Górnicy mieli o tyle lepiej, że zimą nie marzli. Mrozy dochodziły do minus 40<sup>o</sup>. Więźniowie nie posiadali ciepłej odzieży. Po odzieży domowej pozostała tylko pamięć. Ubierano nas w znoszone doszczętnie łachy wojskowe i robocze. Przetarte, pełne dziur i łat, miejscami całkowicie pozbawione waty watówki nie chroniły przed wiatrami i mrozem. Zamiast butów nosiliśmy tzw. "kordziaki" na podszewkach ze starych opon samochodowych. Wierzchnią część "kordziaków" wykonywano z bocznej części opony, którą Rosjanie nazywali kordem. Więźniom zatrudnionym na powierzchni wydawano nieforemne kalosze tzw. "czuni" i "burki" - grube, sięgające pod kolana skarpety. Szyto je ze starych szmat.

Strach przed długą i mroźną zimą zapędził mnie do kopalni. Do pracy pod ziemią zgłosiłem się dobrowolnie. Więźniowie - górnicy wychodzili do pracy bez eskorty. Nikt nie stał im nad głową z najeżonym bagnetem.

Teren kopalni, jak już wspominałem, łączył się z obozem i tak jak obóz był ogrodzony płotem z kolczastego drutu. Wzdłuż ogrodzenia stały wartownicze wieże z uzbrojonymi żołnierzami.

Na teren kopalni przechodziliśmy przez wartownię. Strażnicy odnotowywali wyjście więźnia do pracy i powrót do obozu. Więźniowie - górnicy pod warunkiem wykonania i przekroczenia norm pracy dostawali więcej chleba i lepsze posiłki.

Obozowa kuchnia prowadziła, jak to się potocznie mówiło, trzy kotły - kocioł dla więźniów wykonujących normy w stu procentach, kocioł dla więźniów zatrudnionych na powierzchni i wykonujących normy powyżej stu procent oraz kocioł górniczy - dla więźniów zatrudnionych pod ziemią, którzy przekraczali ustalone normy.

Wyżywienie zasadnicze, tzw. "osnownej pajok", składało się z 575 gramów chleba, pół litra "iwanczajowej" zupy na śniadanie oraz takiej samej porcji zupy i stu gramów owsianej kaszy z naparstkiem oleju na obiad. Otrzymywali je więźniowie niezależnie od stopnia wykonania norm.



Za wykonanie norm w granicach od 101 do 110 % dostawało się tzw. "otlicznyj pajok",<sup>x</sup> na który składało się 700 gramów chleba. Śniadanie było bez zmian, a do obiadu, w drugim daniu, dodawano kawałek jęczmiennej zapiekanki.

"Otlicznyj pajok" górników składał się z 800 gramów chleba, pół litra "iwanczajowej" zupy na śniadanie i obiad. Do drugiego dania dodawano kawałek rybiego "farszma" i zapiekankę.

Za wykonanie normy w granicach od 111 do 120 % wyróżniano więźniów "rekordnym pietanijem"<sup>xx</sup>. Rekordzista pracujący na powierzchni otrzymywał wyżywienie przysługujące górnikowi - "otlicznikowi", a rekordzista pracujący pod ziemią - 900 gramów chleba, treściwszą zupę na obiad, z obfitszym drugim daniem.

Dawali im więcej kaszy i zapiekanek. Najlepsze posiłki dostawali więźniowie wykonujący normy powyżej 120 %. Ich posiłki nazywano frontowymi /"frontowoj pajok"<sup>xxx</sup>/ albo "frontoweje pietanije".

"Frontowcom" pracującym na powierzchni dawano 900 gramów chleba, a śniadania i obiady mieli takie same jak górnicy - rekordziści. Pracującym pod ziemią 1100 gramów chleba, lepsze zupy, więcej kaszy i zapiekanek oraz kawałek smażonej flądry lub omletu z jajecznego proszku.

Kaszę posypywano odmierzoną naparstką porcją cukru.

Kłopot polegał na tym, że większość więźniów ze względu na zbyt wysoko ustawione normy pracy korzystało z posiłków zasadniczych.

Lepsze posiłki nie rekompensowały zużytej na przekroczenie norm energii. Więźniowie, którym udawało się normy przekraczać, szybciej tracili siły i podupadali na zdrowiu.

Zróznicowanie posiłków w zależności od stopnia wyrabiania norm mobilizowało ludzi do wytężonego wysiłku.

Człowiek syty dla paru zapiekanek i kawałka chleba nigdy nie pracowałby ponad siłę. Ludzie syty potrafią kalkulować.

Zupełnie inaczej zachowują się ludzie głodni. W ich myślach przewija się tylko jedzenie, pragną najeść się przynajmniej raz. Starają się to osiągnąć za wszelką cenę.

---

x otlicznyj pajok - bardzo dobra racja żywnościowa

xx rekordnoje pietanije - rekordowa racja żywnościowa

xxx frontowoj pajok - frontowa racja żywnościowa

Sam byłem głodny i wiem jak działała na mnie miska kaszy i zapiekanki, którymi obdarzano więźniów - rekordzistów lub frontowców.

Nadzieratiele i całe obozowe naczalstwo wbijali wszystkim do głów teorię, z której wynikało, że rekordowe posiłki są dla wszystkich.

- Trzeba - mówili - tylko na nie zapracować. To od was zależy czy chcecie jeść 575 gramów chleba czy 1100...

- Niejednemu więźniowi wydawało się, że przy tak dużej porcji chleba człowiek z głodu nie umrze. Ludzie ci mocno mylili się.

Sam pracowałem pod ziemią i tak myślałem. Na plus muszę zaliczyć to, że uniknąłem skutków długiej i mroźnej zimy, ale po trzech miesiącach stałem się dochadziagą.<sup>x</sup>

Nie pomogła nawet druga paczka żywnościowa. Dostałem ją od rodziców na początku 1946 r.

Przez jakiś czas wyrabiałem normy w 101 i w ponad 101 procentach, ale szybko osłabłem i musiałem zadowolić się porcjami zasadniczymi. Doszedłem do przekonania, że wzmocniony wysiłek fizyczny dodatkowo porcje żywności nie rekompensują. Że pogoń za większym kawałkiem chleba może człowieka wykończyć.

Przez całe trzy miesiące pracowałem na "przodku".

W ciągu 8 godzin z dwiema 13-letnimi dziewczynami musiałem ręcznie załadować od 10 do 15 wagonów urobku i wypchać je do głównego korytarza. Poza tym przodkowi musiałem nadać odpowiedni kształt, by nadawał się do stemplowania. Robiłem to przy pomocy ciężkiego pneumatycznego młota.

W kopalni pracowało dużo zesłaneńców. Dziewczęta były zesłankami. Mieszkały w pobliskim osiedlu Jarga. Pochodziły z Powoźża. Zesłano je z rodzicami do Uchty wkrótce po napaści Niemiec na ZSRR, tylko za to, że były Niemcami.

W 1941 r. NKWD wysiedliło z Ukrainy i z Powoźża wszystkich Niemców. Część przetransportowano do Autonomicznej Republiki Komi, część do Kazachstanu i część na Syberię.

Praca na przodku była niesamowicie ciężka. Najgorsze było to, że w ciągu 8 godzin należało załadować i odwieźć od przodka cały urobek. W przypadku niewykonania zadania musieliśmy pozostać pod ziemią na drugiej zmianie. Często zdarzało się, że pracowaliśmy po 16 godzin.

Do zakończenia pracy tj. do wysprzątnięcia przodka z urobku nie wypuszczano górników na powierzchnię.

x Dochadziaga - człowiek kompletnie wyczerpany z sił - dystrofik.

Mogliśmy opuścić kopalnię tylko wyjściem awaryjnym, wspinając się 200 m po drabinie, za co groził karcer.

Uciekinierom szatniarze nie wydawali obozowej odzieży, a w odzieży górniczej nikogo nie przepuszczano przez wartownię.

Odzież górnicza wyglądała o wiele gorzej niż obozowa. W kopalni prawie wszędzie kapało z góry, więc ubranie górnicze zawsze było mokre. Na sam widok górniczej odzieży człowieka ogarniał strach.

Niemki posiadały nieprzemakalne spodnie i kurtki, bo nie były więźniarkami.

Z awaryjnego wyjścia skorzystaliśmy tylko jeden raz. Szatniarzem był wówczas Władek Bujko, więc ze zmianą odzieży nie miałem kłopotów. Odsiedziałem za to 5 dni w karcerze.

W kopalni Nr 3 pracowało dużo kobiet. Wykonywały najcięższe prace na równi z mężczyznami. Na tym między innymi polegało tam równouprawnienie kobiet.

Do napaści Niemiec wszystkich zamieszkałych w ZSRR Niemców uznano za niebezpiecznych dla państwa. To, że urodzili się na radzieckiej ziemi, że od dziadów i pradziadów mieszkali na Półwyspie czy Ukrainie nie miało żadnego znaczenia. Ważne było, że w ich żyłach płynęła krew niemiecka, że przez kilka pokoleń nie zrusyfikowali się - że pozostali Niemcami.

Na Krymie podobnie postąpiono z Tatarami, a na Kaukazie z Czeczenami.

Wszyscy w 1941 r. znaleźli się na Syberii, w okolicach Peczory, Archangielska i w Kazachstanie.

Zesłańcy - to ludzie pozbawieni praw obywatelskich. Ich życie można porównać z życiem niewolników. Sowieckie prawo przewidywało dla nich tylko obowiązki, nakazy i zakazy. Podstawowym obowiązkiem zesłańca była praca. Musiał pracować tam, gdzie go skierowano i robić to, co kazano. Gdyby odważył się odmówić posłuszeństwa, musiał liczyć się z oddaniem pod sąd i skazaniem na co najmniej 10 lat łagrów.

Dwa razy w miesiącu każdy zesłaniec musiał meldować się w urzędzie bezpieczeństwa. Poza tym wymagano od nich ukończenia 7 klas "dziesięciolatki". Władzom chodziło o to, by umieli czytać, pisać i liczyć, bo od tego zależała przydatność do pracy fizycznej. Jeśli nie posiadał 7 klas, kazano je uzupełnić w szkole wieczorowej.



Wszyscy zesłańcy posiadali prawo do ukończenia szkoły średniej, ale progi wyższych uczelni były dla nich zamknięte. Wśród zakazów trzeba wymienić zakaz sprawowania funkcji kierowniczych, przynależności do organizacji społeczno-politycznych i zakaz swobodnego poruszania się poza miejscem zamieszkania.

Podobnie jak niewolnikowi, zesłańcowi można było założyć rodzinę, ale musiał być świadom tego, że jego dzieci zostaną zesłańcami.

Tak samo jak niewolnik, zesłaniec za pracę dostawał wynagrodzenie na regenerację sił.

Posiadał jeszcze prawo do dachu nad głową, który przydzielaly odpowiednie władze, najczęściej w byle jakim baraku.

Zesłańcom nie wydawano dowodów tożsamości.

Życie zesłańców różniło się od życia więźniów tym, że nie mieszkali za drutami.

Niemki, z którymi pracowałem w kopalni, otrzymywały część wynagrodzenia w naturze, a część w formie pieniężnej.

Wynagrodzenie w naturze - to zależne od wykonania norm porcje chleba i wydawane w osiedlowej stołówce posiłki. Dziewczęta za miesiąc pracy dostawały na rękę 400-500 rubli. Kilogram chleba na wolnym rynku kosztował w tym czasie 30 rbl, a kilogram masła 600 rbl.

Po zakończeniu wojny sytuacja żywnościowa w Związku Radzieckim wyglądała katastrofalnie. Artykuły żywnościowe sprzedawano na kartki. Sprzedaż bez kartek prowadziły tylko nieliczne sklepy w dużych miastach po cenach komercyjnych, które odpowiadały cenom z czarnego rynku.

Skazanym na niewolnicze życie i katorżną pracę ~~xxxxxx~~ dziewczętom mocno współczułem. ~~Nie mogliśmy sobie pomóc.~~ Odwzajemniały się podobnym współczuciem. Nie mogliśmy sobie w niczym pomóc.

Przychodziły do pracy zbiedzone, smutne, zmęczone... Nie pamiętam, by się kiedykolwiek usniechnęły.

W obozie przy Kopalni Nr 3 przebywało około 200 kobiet. Mieszkały w oddzielnym baraku i pracowały w charakterze sprzątaczek w różnego rodzaju magazynach, warsztatach, pomieszczeniach biurowych i łaźni.

Większość stanowiły Rosjanki, Ukrainki i Białorusinki. Polek nie było.

Do żeńskiego baraku mężczyźni nie mogli wchodzić, co nie przeszkadzało, by kobiety zachodziły w ciążę.

Z więźniarkami nawiązywali kontakty mężczyźni zatrudnieni w obozowej administracji, kucharze, magazynierzy - w większości kryminaliści.

Każda, nawet najbardziej szanująca się kobieta, musiała mieć swojego adoratora. Jeśli go nie miała, była narażona na ataki ze strony różnego rodzaju zboczeńców i wykołajeńców. W obozie kobiety nie oddawały się z miłości. Zmuszały je do tego obozowe warunki. Od szewca mogła dostać lepsze obuwie, od magazyniera - lepszą kurtkę, od kucharza - dodatkową porcję kaszy... Najważniejsze jednak było to, że zachodząc w ciążę ratowały życie. Ciężarne więźniarki zwalniano od obowiązku pracy i przewożono do specjalnego obozu dla kobiet ciężarnych, gdzie miały opiekę medyczną i lepsze warunki bytu.

W takim obozie przebywały do sześciu miesięcy po porodzie.

W sumie kobieta ciężarna na ponad rok uciekała od koszmarnego życia w zwykłym łagrze.

Po pół roku od urodzenia wykarmionego własną piersią dziecka matka musiała się z nim rozstać na zawsze. Dziecko zabierano do domu dziecka, a matka wracała na stare miejsce.

Dzieci urodzone w obozie traktowano jako państwowe. Ich wychowaniem zajmowało się państwo. Było dla nich matką aż do osiągnięcia pełnoletności. Duża ilość zachodzących w ciążę kobiet władzom najwyraźniej odpowiadała.

Często porównywaliśmy te kobiety do fabryk dzieci, które państwo bez przeszkód wychowywało na stuprocentowych ludzi radzieckich.

Dzieci wychowane w domach dziecka były pod każdym względem uprzywilejowane. Miały prawo pierwszeństwa do nauki w akademiach wojskowych i innych uczelniach, a później do najodpowiedzialniejszych kierowniczych stanowisk.

Władza radziecka darzyła je największym zaufaniem, ponieważ były wolne od obcych wpływów ideologicznych.

Oprócz Niemców w kopalni Nr 3 pracowali byli żołnierze z armii gen. Własowa. Mieszkali także w pobliskim ośrodku i byli na prawach zesłańców.

Dziwne, że nie oskarżono ich o zdradę ojczyzny, chociaż w swoim czasie przeszli na stronę wroga. Żołnierzy Armii Krajowej skazywano na 10 i 15 lat łagrów, powracających do kraju jeńców - na 25 lat, a własowców tylko na zesłanie.

W kopalni spotykałem się z zesłańcami, którzy byli więźniami i po odbyciu kary mieszkali w osiedlu.

W rejonie Uchty i w całej Republice Komi ludzi wolnych, korzystających ze wszystkich praw obywatelskich było bardzo mało. Należeli do nich funkcjonariusze i żołnierze z resortu MGB, pracownicy aparatu partyjnego, funkcjonariusze milicji i niewielki odsetek ludności tubylczej.

Europejska północ pod tym względem nie była wyjątkiem. Później przekonałem się, że od Uralu do Władywostoku minimum 80 % ludności stanowili zesłańcy i więźniowie.

Inaczej kształtowała się struktura mieszkańców w dużych miastach, położonych wzdłuż kolejowej linii transsyberyjskiej i w miastach portowych Dalekiego Wschodu,

Więźniowie i zesłańcy wywodzili się z różnych narodowości. Najwięcej było Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Po nich szli Litwini, Łotysze, Estończycy, Polacy, Czeczeni, Gruzini, Uzbeki, Finowie, Rumuni... W łagrach i na zesłaniu spotykałem wielu Chińczyków, Koreańczyków, Niemców / z obu stref okupacyjnych/, Węgrów, Żydów, Afgańczyków a nawet Francuzów.

W obozie przy kopalni Nr 3 mieliśmy około 100 Polaków. Ponad 30% więźniów stanowili kryminaliści.

Od połowy 1946 r. więźniów politycznych zakwaterowano w oddzielnych barakach. Zyskaliśmy na spokoju, lepszej atmosferze i porządku. W naszych barakach nie dochodziło do bijatyk, nie używano grubych i ordynarnych wyrażen i rzadko zdarzały się kradzieże. Wybierani przez nas dniewalni nie wpuszczali więźniów z innych baraków. Gdy ktoś przychodził w odwiedzin, musiał powołać się na odwiedzanego.

Więźniowie polityczni górowali nad kryminalnymi pod względem poziomu kultury, etyki i moralności. Posiadali określony światopogląd, wyznawali różnorakie szlachetne idee,

Wśród kryminalistów spotykaliśmy różnych ludzi. Jedni nie uznawali żadnych norm zwyczajowych i moralnych. Ci byli gorsi od zwierząt. Uszy puchły od ich słownictwa. Bez żadnego powodu mogli człowieka zabić. Najczęściej nigdzie nie pracowali. Byli syci i dobrze ubrani. Mieli nawet swoje obozowe "żony". Wszystko, poza żonami, pochodziło z kradzieży. Sami nie kradli. Do tego rzemiosła posiadali pomocników - drobnych złodziejasków, i łotrów. Od ludzi tych wiązało strachem.



Bali się ich więźniowie i pracownicy dozoru. Uważali się za 100-procentowych ludzi sowieckich. Dumni z marksistowskich przekonań na każdym kroku podkreślali wierność Stalinowi i Leninowi. Na piersiach nosili tatuaże pięcioramiennej gwiazdy lub wodzów rewolucji. Z kuchni obozowej korzystali według potrzeb. Nie było kucharza, który odważyłby się odmówić im pozaprzydziażowych posiłków. Poza kuchnią napychali swoje żołądki produktami żywnościowymi ze zrabowanych paczek.

Drobni złodzieje również uważali się za niesplamionych żadną skazą ludzi radzieckich. Do więźniów politycznych odnosili się z pogardą. Często prowokowali różnego rodzaju zaczepki i napadali na pojedyncze osoby. Bicie i okradanie więźniów politycznych było dla nich rozrywką, przy czym uważali to za "moralny" czy "patriotyczny" obowiązek każdego radzieckiego człowieka. Określali nas faszystami i wrogami ludu. Nie rozumieli dlaczego władza radziecka traktuje nas tak "liberalnie". Twierdzili, że wszystkich zdrajców sowieckiej ojczyzny należało rozstrzelać.

Obozowe naczalstwo traktowało ich bardzo ulgowo, ponieważ nie zagrażali sowieckiej władzy. Uważało za pełnowartościowych obywateli, którym "pośliznęła się noga"...

Niejednokrotnie słyszałem powiedzenie przedstawicieli naczalstwa: "Wszyscy ludzie, poza nieżyjącym, ~~leż~~ wiecznie żywym Leninem i Stalinem, posiadają mniejsze lub większe wady albo słabości. Taka jest ludzka natura. Jeden coś ukradnie, inny w nerwach czy po kielichu kogoś pobije... I w ten sposób każdy "sowiecki człowiek" może znaleźć się w łagrze".

- Co innego - mawiali - więźniowie polityczni. Ci ośmielili się podnieść rękę lub głos na największą świętość - na władzę radziecką. Dla nich nie może być żadnego współczucia. Niektórzy solidaryzowali się z kryminalistami i otwarcie mówili, że powinno się nas rozstrzelać.

Wśród kryminalistów byli też ludzie uczciwi i porządni. Wywodzili się ze środowiska robotniczego i chłopskiego, bardzo rzadko - spośród inteligencji. Przed aresztowaniem pracowali w kołchozach i zakładach gospodarki uspołecznionej. Do obozów zaprowadziła ich bieda, niejednokrotnie - głód. Zarabiali niewiele. Pieniądz w tym czasie prawie nie liczył się. Zaopatrzenie rynku w artykuły pierwszej potrzeby /spożywcze i przemysłowe/ było fatalne. Biedę odczuwali wszyscy, a najbardziej ludzie utrzymujący się

z uczciwej pracy.

Nie narzekali tylko przedstawiciele władzy i ci, na których władza miała swoje oparcie. Niedożywienie ludzi było zjawiskiem masowym. Zrodził się z niego masowy odruch samoobrony. Za nieopłaconą w należyty sposób pracę ludzie wynagradzali sami siebie, kradnąc w miejscach pracy wszystko, co użyteczne i niezbędne w domowym gospodarstwie.

Kołchoźnik kradł w kołchozie, robotnik - w fabryce. Kołchoźnicy kradli ziarno, robotnicy i pracownicy - wszystko co się dało. Kradzieże ograniczały się do drobnych ilości. Pracująca matka brała tylko tyle, by nakarmić głodne dzieci. To samo robił ojciec. W świetle radzieckiego ustawodawstwa tego rodzaju kradzieże uchodziły za przestępstwa szczególnie niebezpieczne, ponieważ "przestępcy" kradli każdego dnia i przy każdej okazji. Niedożywienie, głód i trudne warunki życiowe nie łagodziły wyroków. Większość oskarżonych bała się w ten sposób usprawiedliwić. Ludzie zdawali sprawę, że tego rodzaju tłumaczenie mogło być przyjęte za antyradziecką propagandę, i że zwykłej drobnej kradzieży mogła się zrodzić sprawa polityczna, za którą groziło minimum 10 lat łagrów.

Więźniów politycznych określano zdrajcami, kontrrewolucjonistami i wrogami narodu. Władze obozowe dzieliły ich na dwie grupy: tzw. swoich, którzy byli obywatelami radzieckimi do 17 września 1939 r. i obcych albo nieradzieckich, którzy do radzieckiego państwa zostali włączeni po nastaniu drugiej wojny światowej.

Obie grupy wyraźnie różniły się. Więźniów politycznych z grupy radzieckiej cechowało zatracenie własnej osobowości i poczucia ludzkiej godności. Brakowało im zwykłej ogłady i kultury. Byli na wszystko obojętni. W swoim życiu nie widzieli żadnego celu. Nie wierzyli w żadną lepszą przyszłość. Przede wszystkim brakowało im wiary w Boga. Wszczepiany od dziecka prymitywny materialistyczny światopogląd - w stalinowskim wydaniu - pozbawił ich wrażliwości na zjawiska i rzeczy subtelne, piękne i szlachetne.

Zostali skazani za zdradę radzieckiej ojczyzny, antyradziecką propagandę, sabotaż, dywersję... Rekrutowali się przeważnie z jeńców wojennych i z żołnierzy, którzy z frontem, przez Polskę, Rumunię, Węgry i inne kraje, szli w pogoni za cofającą się armią niemiecką, albo z wywiezionych na roboty do Niemiec cywili.

Pracowali w fabrykach i u bauerów. Najwięcej sędzono za anty-radziecką propagandę, bo po powrocie do kraju opowiadali jak żyją ludzie w innych krajach. Opowiadali prawdę, która była zaprzeczeniem sowieckiej propagandy. Podkreślali wyższość zachodniej techniki, kultury, cywilizacji, a przede wszystkim stopy życiowej. Zwracali uwagę na panującą tam wolność i demokrację. W ten sposób narazili się władzy, która głosiła, że najwolniejszym i najszcześliwszym człowiekiem na Ziemi jest człowiek radziecki.

Za antyradziecką propagandę skazywano na łagry również tysiące skarżących się na ciężkie życie robotników i chłopów. Obywatel radziecki nie miał prawa narzekać. Władzy radzieckiej mógł narazić się nawet milczeniem. Jeśli chciał być bezpieczny, musiał ją chwalić. Jego działania i myślenie musiały odpowiadać narzuconym przez partyjną górę kierunkom. Najlepiej wychodzili ci, którzy przestawali myśleć i ślepo powtarzali za partyjnymi agitatorami. Mógł w ich brednie nie wierzyć, ale musieli kxxx udawać, że wierzą.

Sporo obywateli radzieckich w czasie okupacji służyło Niemcom, pracowało w policji, sprawowało funkcje sołtysów i inne. Zdarzali się najzwyklejsi zbrodniarze, których sędzono za mordowanie Żydów, rozstrzelywanie więźniów i likwidowanie członków antyhitlerowskiego podziemia.

W grupie więźniów politycznych, zaliczanych do ludzi nieradzieckich, przeważali Litwini, Estończycy, Łotysze, Ukraińcy i Polacy.

Polaków sędzono za przynależność do Armii Krajowej i akowskiego podziemia, a Litwinów, Estończyków, Łotyszy i Ukraińców za współpracę z Niemcami. Znaczną część Ukraińców skazano na łagry również za przynależność do Ukraińskiej Powstańczej Armii, określanej w skrócie UPA.

Około 80 % wszystkich więźniów stanowili chłopci i robotnicy. Byli to ludzie bez wykształcenia - po 4, 5 lub 7 klasach szkoły podstawowej. Więźniów z wykształceniem średnim nie było więcej niż 10 - 15 %. Wykształcenie wyższe należało do rzadkości. I właśnie te, pozbawione politycznej wyobraźni masy ludu pracującego, sędzono za politykę.



Praca w kopalni pożerała resztkę sił. Z każdym dniem słabłem. Byłem w podobnym stanie, jak w kopalni Nr 2 przed trafieniem do "słab-komandy".

Któregoś dnia poszedłem do ośrodka zdrowia. Liczyłem na parę dni zwolnienia od pracy.

Ciasną poczekalnię wypełniali pacjenci. W rogu, przy stoliku siedział mężczyzna w białym chałacie i rejestrował pacjentów. Gdy przyszła kolej na mnie założył kartotekę. Oparłem się o ścianę i czekałem na wezwanie.

Wywołali mnie niespodziewanie szybko. Przyszedłem jako jeden z ostatnich, a okazałem się wśród pierwszych.

Za biurkiem siedział starszy pan w białym kitlu, z charakterystycznymi długimi, podkreconymi nieco do góry, wąsami. Przywitałem się. Starszy pan przez chwilę przyglądał mi się badawczym wzrokiem i odczytał wypisane na kartotece imię i nazwisko.

- Pan jest Polakiem? - spytał.

Tak - odpowiedziałem.

Lekarz mówił po polsku.

- Siadaj synu! Jestem Tumalewicz. Pochodzę z Łucka - oznajmił - Powiedz co ci dolega? Jak się czujesz?

- Odpowiedziałem, że nie posiadam żadnych dolegliwości, tylko jestem mocno osłabiony. - To widzę - odparł. Z osłabieniem jestem w stanie poradzić. Tutaj najważniejsze jest zdrowie. Nie mamy odpowiednich lekarstw i często wobec chorych jesteśmy bezsilni. Dlaczego do mnie nie przyszedłeś wcześniej? A teraz rozbierz się. Dla pewności muszę cię zbadać.

- Potem pytał skąd pochodzę, interesował się całym moim życiorysem, rodzicami...

Opowiadałem mu dłużej niż kwadrans. Otrzymałem trzy dni zwolnienia.

- Więcej dać nie mogę - oświadczył. Parę dni popracujesz i przyjdiesz po nowe. Głowa do góry! Zrobię wszystko, byś w kopalni nie pracował, ale muszę mieć na to trochę czasu. - Jak syna poklepał po ramieniu i powiedział, że będzie na mnie czekał.

Doktor Tumalewicz był również akowcem, za co otrzymał 10 lat.

Od tej pory połowę czasu spędzałem na zwolnieniach lekarskich. Doktor tworzył dla mnie fikcyjną historię choroby.

- Gdyby ktokolwiek pytał na co chorujesz - pouczał - mów, że odczuwasz bóle w klatce piersiowej, że masz ciężki kaszel i czasami plujesz krwią.

- Pewnego popołudnia na placu między barakami spotkałem Zbyszka Konopackiego /teraz mieszka w Warszawie i jest inżynierem/. Powiedział, mi, że natychmiast mam się zgłosić do doktora. Skierowałem się ku przychodni.

- Wygraliśmy! - wykrzyknął doktor. - Heńku, nie masz pojęcia jak się cieszę. Dzisiaj naczelnik służby zdrowia zatwierdził wniosek o przeniesienie ciebie do lżejszej pracy. Nasza praca nie poszła na marne. - To pana praca, panie doktorze... Nie pozwolił dokończyć myśli. - Nie, nie zgadzam się. Ty Heńku wielokrotnie do mnie przychodziłeś, a ja improwizowałem... To nasza wspólna praca. Potem oznajmił, że ma dla mnie załatwioną pracę w laboratorium. - Kierownikiem laboratorium jest mój przyjaciel, Estończyk. Nazywa się Samuël Kachro. To świetny chemik i wspaniały człowiek. Od niego dużo się nauczysz. Mówiłem, że ukończyłeś tylko trzy klasy gimnazjum. Oświadczył, że to mu wystarczy. Twoje przeniesienie do laboratorium już jest załatwione. Sprawę tę załatwił pan Kachro z naczelnikiem obozu. Jutro musisz pójść do Charatonienki. Chce ciebie wiedzieć.

- Charatonienko był naczelnikiem kopalni i tylko on mógł wyrazić zgodę na przeniesienie więźnia do innej pracy. Czynił to bardzo rzadko i niechętnie, bo zawsze brakowało mu ludzi. Najprawdopodobniej Charatonienko nie wierzył w moją chorobę. Gdy zgłosiłem się do niego, spytał dlaczego nie chcę pracować w kopalni. Usprawiedliwiłem się chorobą. - Do kopalni - powiedziałem - zgłosiłem się na ochotnika, a więc nie można zarzucać mi braku chęci. Miałem tam ochronę przed mroźną zimą i dostawałem więcej chleba. Nie moja wina, że zachorowałem.

- Rozmowa z naczelnikiem zakończyła się zapewnieniem, że wkrótce do niego wrócę.

Na drugi dzień udałem się do znajdującego się na "szacht-polu" /terenie kopalni/ laboratorium.

Przyjął mnie starszy, łysawy pan, obok którego siedziała elegancka, szczupła niewiasta. Wyglądała na 35, najwyżej na 40 lat. Przedstawiłem się i powołałem się na doktora Tumalewicza.

- Właśnie czekaliśmy na pana - oświadczył. Doktor na pewno o mnie mówił. Jestem Kachro. Tutaj nazywają mnie Samuik Johanowicz. A to - wskazał na niewiastę - Ksienią Pietrowną Isakowa. Niewiasta wyciągnęła delikatną, smukłą dłoń. - Proszę usiąść - rzekła z uśmiechem.

- Od doktora sporo o panu wiemy - mówił Kachro - ale chcielibyśmy dowiedzieć się jeszcze więcej. Wiemy, że był pan w Armii Krajowej, że pański brat trafił do więzienia i został wywieziony do Niemiec, że pana rodzice są w Polsce.

- Estończyk miał do Polaków dużo sympatii. Pierwszy raz zetknął się z Polakami w 1919 r. Był wtedy młodym oficerem walczącej o niepodległość estońskiej armii. Spotkanie z Polakami miało miejsce nad Dźwiną. Imponował mu polski patriotyzm.

- Byłem - mówił - prawie we wszystkich krajach Europy, przejechałem pół Afryki... Widziałem różnych ludzi. Zawsze wywodziłem wiele miłych wspomnień, ale najmiłsze jest dla mnie tamto znad Dźwiny. Nazywano ich legionistami. Podziwiałem i do dzisiaj podziwiam ich niezłomną miłość do Ojczyzny i wiarę w zwycięstwo. Słowa "Polska" i "Ojczyzna" wypowiadali z namaszczeniem. Nienawidzili Moskali.

- Spojrzał na Ksienię Pietrowną i powtórzył: - Tak, tak - Moskali.

- Pani Isakowa uśmiechnęła się. Lubiła kierownika między innymi za szczerość.

- Ale nie dlatego - kontynuował - że byli Moskalami. Nienawidzili ich jako despotów i tyranów. Nienawidzili za to, że przemocą i gwałtem pozbawili innych wolności. Moskale - to ludzie, którzy uczynili Rosję więzieniem narodów. Polacy, Ksienio Pietrowna, odczuli to więzienie w największym stopniu.

- I w największym stopniu, Samuiku Johanowiczu - uzupełniła - przyczynili się do jego upadku. Dla mnie Polska jest krajem o wspaniałej historii i wysokiej europejskiej kulturze. Kocham się w Sienkiewiczu, Słowackim, Norwidzie... Świetny jest ich Mickiewicz... ale z Waszą oceną Rosjan nie zgadzam się.

- Ja mówiłem o Moskalach - zaczął usprawiedliwiać się kierownik. Rosjanie - to co innego. Może mi pani powiedzieć, że Moskale i Rosjanie to to samo. Mój przekonanie jest inne. Moskale - to ludzie charakteryzujący się ślepym posłuszeństwem wobec władzy tyranów. Na nich opierały się krwawe rządy carów i na nich opiera się jeszcze krwawszy reżim Stalina. Za kilka błyskotek



wykonają każdy rozkaz. - będą mordować nawet swoich braci. X  
Rosjan, prawdziwych Rosjan, Ksienio Pietrowna, pozostało  
niewiele. Większość znajduje się w łagrach i na zesłaniu.  
Wątpię czy kiedykolwiek zmieni się u was na lepsze. Proszę  
wybaczyć, że powiedziałem, co myślę. Nie chciałem panią urazić.  
Henryk Michajłowicz będzie pod panią opieką. Proszę zapoznać  
go z laboratoryjną analizą ropy naftowej i kopalnianego powietrza.  
- Fan Kachro trafił do łagrów w 1941 r. Skazali go na 10 lat  
za walkę przeciwko władzy radzieckiej w 1919 r.  
Zarzucali także kontrrewolucyjną postawę w latach 1940 i 1941,  
czemu w czasie śledztwa nie zaprzeczał.

- Powiedziałem im - wspominał z dumą - że jestem człowiekiem  
wolnym i mam prawo do własnego światopoglądu. Wszelkie zachodzą-  
ce w świecie zdarzenia i zjawiska potrafię ocenić bez waszej  
pomocy. Możecie mnie zamknąć i zrobić ze mną wszystko co chcecie,  
ale moich przekonań nie zmienicie. Oskarżać człowieka o to, że  
walczył o wolność i niepodległość swojej Ojczyzny mogą tylko  
ludzie, którzy nienawidzą wolności.

Starali się mnie przekonać, że Estonia stała się wolną dopiero  
po włączeniu jej do ZSRR. Pokiwałem na to głową i oświadczyłem,  
że ludziom tak rozumującym mogę tylko współczuć.

Pierwszy obóz, do którego trafił Kachro, mieścił się  
niedaleko miejscowości Suchobiezwodnoje. Pracował tam przy  
wyrębie lasu. Głód, chłód, choroby i katorżna praca wykańczały  
nawet najsilniejszych i najzdrowszych. Ludzie umierali masowo.  
Na miejsce zmarłych przywożono nowe partie więźniów. Kachro  
zastanawiał się skąd oni ich biorą. Wiedział, że takich obozów  
mieli tysiące i zdawał sprawę, że wszędzie warunki były podobne.  
Ale utworzony na rozkaz Stalina "koncern" NKWD wiedział skąd brać.  
Tysiące rozsianych po olbrzymim kraju miast i miasteczek, osiedli,  
wsi i kołchozów, niezliczone szeregi uczącej się młodzieży,  
chłopów, robotników, żołnierzy i inteligencji, stanowiły niewyczer-  
pane źródło.

Kachro w obozie tym stracił wszystkie siły i na dodatek zachorował  
na tyfus brzuszny. Opiekę nad chorymi sprawowali obozowi sanitariusz-  
-sze. Z braku lekarstw pomoc ograniczano do mierzenia temperatury.  
Do zdrowia powracali tylko niektórzy. Kachra przed śmiercią  
uratował zawód.

"Koncernowi MKWD" potrzebny był wysokiej klasy specjalista - chemik.

W kartotekach GUŁAG-u natrafiono na niego. Ponieważ był bliski śmierci, został przewieziony do więziennego szpitala. Po wyleczeniu trafił do kopalni Ropy Naftowej Nr 3, gdzie powierzono mu funkcję kierownika laboratorium.

Pracując na tym stanowisku Kachro opracował nowe metody oczyszczania ropy. Posiadał także projekt oszczędniejszego sposobu wydobywania tego surowca.

W kierowanym przez pana Kachro laboratorium pracowałem do października 1948 r.

Ksienia Pietrowna również była chemikiem. Przyjechała z mamą do Jargi z Moskwy po skazaniu na 10 lat łagrów męża, który z zawodu był inżynierem - mechanikiem.

Skazali go za działalność kontrrewolucyjną. Pracując w laboratorium mogła pomagać uwięzionemu mężowi.

Po 10 latach Isakow wyszedł na "wolność" i zamieszkał z żoną na osiedlu, z którego nie miał prawa nigdzie oddalać się.

Jako dobry fachowiec został zatrudniony w kopalni na stanowisku głównego mechanika.

Czas pracy w laboratorium wspominam jako najlepszy. Byłem jednym z nielicznych szczęśliwców, którzy nie musieli ciężko pracować i nie cierpieli głodu. Głód zastąpiło niedożywienie, polegające na braku owoców, warzyw, tłuszczów, nabiału, mięsa, ale nie miałem już wiecznie pustego żołądka.

Dzięki Ksieni Pietrownej utrzymywałem stały kontakt z babcią w Nowej Wilejce. Rodzice w 1945 r. wyjechali do Polski.

Ksienia brała ode mnie pisane do babci listy i wrzucała je do skrzynek pocztowych w Uchcie. Jako nadawcę wpisywała na kopertach siebie.

Babcia pozostała w Nowej Wilejce tylko ze względu na mnie. Rodzice powierzyli jej rolę łącznika. Pisząc do nich informowała o mnie. Bezpośredniej korespondencji z zagranicą więźniowie nie mogli prowadzić.

Pisałem również do znajomych. Z czasem było ich coraz mniej, bo wyjeżdżali do Polski albo byli wywożeni na Syberię.

W każdą sobotę do Kachra przychodzili jego przyjaciele: doktor Tumalewicz, Iwan Iwanowicz Sobolew i Pawłowicz.

Kierownik zapraszał ich na herbatkę, przy której dyskutowali na różne tematy. Herbatę dostarczała kierownikowi Ksienią Pietrowna. Do mnie należały czynności kelnerskie. Potem siadałem do stołu i przysłuchiwałem się ciekawym rozmowom. Przeważały tematy polityczne.

Obaj Rosjanie byli demokratami. Iwan Iwanowicz przebywał w łagrach dziesiąty rok. Do końca pozostawało mu tylko kilka miesięcy. Pawłowicz 10 lat miał poza sobą. Podobnie jak Isakow był człowiekiem wolnym, bez prawa oddalania się od *osiedła*. Pracował w kopalni w charakterze planisty. Iwan Iwanowicz był geologiem. Obaj posiadali wyższe wykształcenie.

Kochali Rosję i nienawidzili panującego reżymu. - Zamatuszkę Rosieję - mówili - możemy oddać życie. - Stalina utożsamiali z Hitlerem. Z całego serca pragnęli, by kraj ich stał się krajem ludzi wolnych. Byli przeciwni zniewalaniu i uciskaniu innych naródów.

Z prowadzonych w sobotnie wieczory dyskusji wyniosłem dużo korzyści. Poznakami przedstawiciele na pewno już nielicznej, ale odpornej na terror wspaniałej rosyjskiej inteligencji. Podobały mi się ich charaktery. Byli bardzo wrażliwi na wszelkie przejawy zła, na niesprawiedliwość, ludzkie cierpienia... Reprezentowali wysoki poziom kultury i głęboką wiedzę.

W 1947 r. przeniesiono laboratorium do nowego murowanego budynku. Przybyli nowi pracownicy - inżynier-chemik i czterech laborantów. Wśród laborantów znalazła się żona głównego geologa. Była to młoda kobieta, która przyjechała do Jargi z Moskwy ze względu na wcześniej skierowanego do kopalni męża. Z mężem nie chciała jechać, bo w Moskwie mówiono, że w całej Republice Komi pełno faszystów i zbrodniarzy. Mąż był partyjnym, a ona komсомоłką. Gdy zdecydowała się na wyjazd, znajomi ostrzegali, by uważała na siebie i unikała tych ludzi, bo są bardzo niebezpieczni. Początkowo stosowała się do udzielonych rad, ale kontakty z więźniami w nowym miejscu zamieszkania były nieuniknione. Wkrótce zorientowała się kim ci ludzie są naprawdę. ~~Była~~ Dużo dowiedziała się od Ksieni Pietrownej. Była przerażona, że w łagrach przebywa tylu niewinnych. Współczuła nam ~~ixix~~ i w miarę możliwości pomagała. Pozostali byli więźniami.



Nowego inżyniera-chemika za zdradę ojczyzny i próbę nielegalnego przekroczenia granicy skazano na 25 lat łagrów.

W 1941 r. powołano go do wojska. Po pół roku dostał się do niewoli. Przebywał w obozach jenieckich na wyzwolonym przez sojuszników terenie Niemiec. Na Zachodzie ujrzał inny świat i dlatego do kraju nie wrócił. Tam zrozumiał, że władcy z Kremla wszystkich oszukują. Pojął, że chłopci w jego kraju w porównaniu do życia chłopów na Zachodzie są niewolnikami. Podobnie oceniał warunki życia klasy robotniczej i pracującej inteligencji.

- Tam - mówił - każdy robotnik za kilka lat może dorobić się więcej niż u nas najzdolniejszy naukowiec.

Zachwycał się zachodnią kulturą, poziomem techniki, a przede wszystkim trudną do pojęcia dla mieszkańców ZSRR wolnością.

- U nas kołchoźnik - narzekał - jest przypisany do swego kołchozu. Bez zezwolenia przewodniczącego i sekretarza partii nie ma prawa nigdzie wyjechać... Tam mogłem robić to, co chciałem. Nikt nie narzucał mi jakiegokolwiek światopoglądu. Po prostu przestałem być człowiekiem sterwanym.

- W 1946 r. zaangażował się do pracy w firmie amerykańskiej, która w Turcji budowała obiekty wojskowe. W przeliczeniu na dobra konsumpcyjne zarabiał kilkanaście razy więcej niż w Rosji. Gdyby nie tęsknota za żoną, nigdy nie znalazłby się na terenie ZSRR. Żona mieszkała w Leningradzie. Utrzymywał z nią korespondencję. W listach prosiła, by jak najszybciej powrócił. Pisała, że nie może doczekać się. Tęskniła... On również tęsknił. Któregoś dnia wpadł na pomysł, by dotrzeć do żony, przekraczając "zieloną granicę". U pracodawcy załatwił urlop i udał się ku granicy. Przejście udało się. Po paru dniach dotarł do Leningradu. Zwierzył się żonie, że do kraju dostał się nielegalnie i nie ma zamiaru w nim pozostać. Powiedział, że za parę dni musi ~~wyjść~~ wrócić do Turcji. Namawiał żonę do ucieczki. Nielegalny pobyt inżyniera w ZSRR łączył się z ogromnym niebezpieczeństwem dla niego i dla żony. Uzgodnił, że przyjedzie po nią innym razem, gdy napisze, że jest do drogi gotowa.

Do Turcji powrócił w ten sam sposób. Po paru miesiącach otrzymał z Leningradu list. Małżonka pisała, że wyjeżdża do znajomych w Batumi i jest gotowa do dalszej drogi. Druga wyprawa nie powiodła się. Został zatrzymany przez sowiecką straż graniczną. Potem - więzienie, sąd i obóz.

Jeden z nowych laborantów był Ukraińcem. Pochodził z Kijowa. Nazywał się Krochmal. Jego również skazali na 25 lat. Należał do tajnej ukraińskiej organizacji.

Drugi był Estończykiem. Posażili go za udzielanie pomocy kontrrewolucyjnym bandom i antyradziecką propagandę.

Trzeci - Litwin - opuścił kraj z wycofującymi się wojskami niemieckimi. Tam przeszkolili go w zakresie sabotażu i dywersji i przerzucili na Litwę, gdzie nawiązał kontakt z antyradzieckim podziemiem. Prawie przez dwa lata był dowódcą dywersyjnego oddziału, za co, podobnie jak Estończyk i inżynier, dostał 25 lat. Ciekawe, że nie robił z tego tragedii.

- Gdybym był na ich miejscu - mówił - na takiego jak ja wydałbym wyrok śmierci. Z mojej ręki zginęło kilkunastu funkcjonariuszy KGB. Moi ludzie zlikwidowali dużo więcej. Rozstrzelaliśmy także zdrajców i donosicieli.

- Szczycił się swoją działalnością i mówił, że gdyby wiedział co go spotka zrobiłby to samo. - Ja przynajmniej wiem za co siedzę - powiedział.

- Od niego dowiedziałem się, że na tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainie oraz w Litwie, Łotwie i Estonii działały w tym czasie liczne oddziały partyzanckie. Litewskie podziemie współdziałało z Łotewskim, a Łotewskie - z estońskim.

Litwin wiedział o podziemiu poakowskim, ale bliższych informacji nie mógł o nim udzielić, ponieważ nie miał z nim żadnego kontaktu. Aresztowani w tym samym czasie Polacy twierdzili, że na Wileńszczyźnie, w Nowogródzkim i na Grodzieńszczyźnie działają zbrojne oddziały polskie. Masowa repatriacja Polaków z tych ziem pogarszała warunki działania oddziałów. Na miejsce repatriantów przyjeżdżały z Rosji rodziny rosyjskie. Poparcie, zasilonej obcym elementem ludności miejscowej, słabło. Sowietci w zwalczaniu podziemia byli groźniejsi od Niemców. Wszędzie było ich pełno. Podczas akcji przeciwko "białopolskim bandom" nie pomijali żadnej wsi i żadnego zaścianka. Przeszukiwali wszystkie lasy i zagajniki. Często występowali w roli żołnierzy podziemia. Doszło do stanu, w którym ludzie nie wiedzieli kto jest kim. Przychodzili ~~zxxxmłkx~~ ~~kixk~~ w polskich mundurach, z biało-czerwonymi opaskami i orłami na czapkach. Pytali o posterunki milicji, o miejsca stacjonowania wojsk sowieckich, o donosicieli... Udzielających tego rodzaju informacji aresztowywano w tym samym dniu lub w parę dni później,

wtrącano do więzień i sądzono na 25 lat łagrów. Takie kary groziły każdemu, kto udzielał pomocy "bandytom" lub coś o nich wiedział, a nie zgłosił do milicji.

Na kresach wschodnich Rzeczypospolitej, na Litwie, w Łotwie i w Estonii aresztowania były podobnie masowe jak w latach 1940 i 1941. Niektórzy twierdzą, że w latach 1944-1950 osadzono w łagrach o wiele więcej ludzi.

Wszystkie tego rodzaju informacje były dla nas bardzo ważne. Na ich podstawie doszliśmy do wniosku, że na kraje zachodnie nie możemy liczyć. Naszą sytuację zaczęliśmy oceniać realnie. Zdaliśmy sprawę, że tak szybko, jak się spodziewaliśmy, z łagrów nikt nas nie wybawi. Chcąc przeżyć, trzeba było przystosować się do obozowych warunków.

Gdy zacząłem pracować w laboratorium, w obozie przenieśli mnie do innego baraku, w którym mieszkali tzw. "produurkowie" czyli więźniowie zatrudnieni na "ciepłych", łączących się z wieloma osobistymi korzyściami, stanowiskach.

"Produurkowie" pracowali w różnych działach obozowej administracji, w dziale głównego geologa i w innych.

W obozie przy Kopalni Nr 3 zakwaterowanie więźniów zależało od miejsca pracy. Ślusarze i mechanicy mieli swój barak. Wydzielone baraki posiadali kucharze, więźniowie obsługujący kaźnię, pralnię, dziesiątnicy i technicy, górnicy i więźniowie zatrudnieni na różnego rodzaju budowach.

W barakach dla "produurków" były lepsze warunki i panowała lepsza atmosfera, co wiązało się z tym, że nie byliśmy wyczerpani ciężką pracą i nie cierpieliśmy głodu.

Spałem wówczas na jednej pryczy z księdzem Janochą. On spał na dole, a ja na górze. Obok sabú miałem inż. Sosińskiego.

W łagrze prycze służyły nie tylko do spania. Więzień na swojej pryczy miał własny kąpiel. Na niej spożywał posiłki, gromadził osobiste rzeczy i przyjmował znajomych.

Ksiądz pracował w dziale głównego geologa. O tym, że jest księdzem dowiedziałem się któregoś dnia w drodze do pracy.

Spytałem go o zawód. Pamiętam jak uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem: - Jak myślisz? - Ponieważ nie próbowałem zgadywać zapytał na kogo wyglądam.

- Na nauczyciela - odparłem.



- Jesteś bliski prawdy - powiedział. - Można zawód mój określić i tak, bo posiada wiele wspólnych cech z nauczylskim.

- Po chwili oświadczył, że jest księdzem i to księdzem zakonnym. Należał do Zakonu Ojców Kapucynów.

Ksiądz Janccha pochodził z wielodzietnej rodziny, zamieszkałej w Krośnie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1936 r. Potem studiował w Rzymie. Na wieść o napaści Niemiec na Polskę powrócił do Kraju. Wojska niemieckie były już pod Krakowem. Krakowianie masowo uciekali na wschód. Nie chciał pozostać w mieście, które niebawem zajmą wojska niemieckie. Chwilową okupację królewskiego grodu postanowił spędzić na kresach wschodnich.

Wiosną 1940 r. został aresztowany. Sędzia śledczy należał, by przyznał się do szpiegostwa. Zarzucano mu również nielegalne przekroczenie granicy sowiecko-niemieckiej. Zarzuty nie pokrywały się z prawdą, bo z Krakowa na Wołyń udał się drogą legalną i nie przekroczył żadnej granicy. Zarzucane szpiegostwo było zwykłą bzdurą. Uciekał na wschód, podobnie jak tysiące Polaków, którzy sukcesy wojsk niemieckich uważali za chwilowe. Z więzienia, bez sądu, trafił do obozu w pobliżu miejscowości Suchobieżwodnoje. Obóz należał do "Unz-lagu". Najbliższym większym miastem był Gorkij. Dopiero tam poinformowano go, że tzw. "Osoboje Sowieszczanije" wymierzyło zaocznie pięcioletni wyrok.

"Osoboje Sowieszczanije" - to specjalny organ Narodowego Komisarjatu Spraw Wewnętrznych, do którego prowadzący śledztwo kierowali część spraw politycznych. Organ ten wymierzał niższe wyroki, ale nikogo nie uniewinniał. Zaoczne decyzje tego dziwnego i najprawdopodobniej jedyne w świecie organu wymiaru sprawiedliwości były bezapelacyjne.

Po ogłoszonej w ZSRR dla Polaków amnestii znalazł się ksiądz na wolności. Z rozsianych po całym kraju łagrów zwolniono dziesiątki tysięcy rodaków. Amnestia uratowała ich przed niewolą i głodową śmiercią. Masa ludzi zmarła w więzieniach i łagrach.

Ogłoszenie zbawiennej dla więzionych i deportowanych rodaków amnestii zawdzięczamy gen. Władysławowi Sikorskiemu.

Wiadomość ta wstrząsnęła całym Związkiem Radzieckim, bo była pierwszym ustępstwem Stalina.

- Stalin - mówili ludzie - zwalnia więźniów... To niebywałe! Kim jest ten Sikorski? - pytali. Wszak do tej pory nie było osoby, której udałoby się coś na Stalinie wymusić... W Związku Radzieckim

nikt nie ośmieliłby się tego próbować...

Po wyjściu z obozu ksiądz Janocha udał się na południe, gdzie formowano polskie wojsko.

Zgłosił się do polskich władz i został wojskowym kapelanem. Gdy armia gen. Andersa wyjechała na Bliski Wschód, pozostał na miejscu, by prowadzić pracę duszpasterską wśród ludności cywilnej. Pełnił funkcję kierownika polskiej placówki w Turkes-tanie. Placówka opiekowała się zamieszkałymi w jej rejonie obywatelami polskimi. W marcu 1943 r. został ponownie aresztowa-ny. Siedział w znanym dla Polaków moskiewskim więzieniu na Łubiance, a potem w Butyrkach, z oskarżeniem o szpiegostwo. Materiał obciążający stanowiły dwa wysłane do polskiej ambasady listy, w których informował ambasadę o naruszaniu przez miejsco-we władze prawa nietykalności polskich placówek. Pisał, że funkcjonariusze służby bezpieczeństwa wchodzą na teren placówek, przeprowadzają rewizje i aresztują zatrudnionych tam pracowników. Wysocy funkcjonariusze z Ministerstwa Bezpieczeństwa domagali się, by ksiądz zwierzył się z charakteru pracy szpiegowskiej, ujawnił punkty kontaktowe, hasła i sposób zbierania oraz przekazywania informacji dla obcego wywiadu.

Jeden raz podczas śledstwa został dotkliwie pobity. Do zarzucanych czynów nie przyznał się, bo żadnym wywiadem nie zajmował się. Listy do polskiej ambasady wysłał legalnie za pośrednictwem poczty, podając zwrotny adres i swoje nazwisko. Pisał w nich prawdę. Mimo braku dowodów winy skazali go na 3 lat łagrów.

Ciekawym więźniem z sąsiedniej przyczki był Rosjanin, Aleksan-der **Kiślicyn**. Za zdradę ojczyzny dostał 10 lat. Z charakteru cichy, i bardzo grzeczny, różnił się od pozostałych Rosjan rzadko spotykaną subtelnością i wysoką kulturą. Przed wojną niemiecko-sowiecką był w armii "politrukiem". W 1940 r. jednostka, w której służył trafiła na Litwę. Po napaści Niemiec nie wycofał się z wojskiem. Zaopiekowali się nim zamieszkali na wsi Rosjanie. Mieli ładny kawał ziemi i dobrze zorganizowane gospodarstwo. Kiślicyn szybko uległ ich wpływom i dał się namówić do nauki w duchownym seminarium. Po dwóch latach został popem i ożenił się z córką gospodarza. Gdyby nie więzienie pozostałby tam na zawsze. Po wyzwoleniu Litwy został aresztowany. Uznano go za zdrajcę za zmianę światopoglądu. Będąc politrukiem Kiślicyn należał do grona ludzi radzieckich, których partia obdarzyła

największym zaufaniem. Miał krzewić idee marksizmu, leninizmu i stalinizmu w szeregach sowieckiej armii. Miał czuwać nad ideologiczną czystością szeregów, a on zamiast świecić dla innych przykładem, pozostał na tyłach wroga, ożenił się z córką kułaka i na dodatek został popem. To, że Kislicyn nie służył i nie pomagał okupantowi, że do Niemców odnosił się z największą pogardą i niejednokrotnie im się narażał, dla sprawy nie miało żadnego znaczenia. Zdradził partię, złamał żołnierską przysięgę i za to musiał ponieść karę. W łagrze przy kopalni Nr 3 często spotykałem się z kolegami z Nowej Wilejki. Spędzałem z nimi dużo wolnego czasu od pracy czasu. Rozmawialiśmy ze sobą o starych czasach, o bliskich, znajomych i wspominaliśmy służbę w AK.

Wiosną 1948 r. otrzymałem paczkę żywnościową z Polski. Nadawcą była mama. Miałem z nią sporo kłopotów, bo dwukrotnie wzywał mnie do siebie obozowy pełnomocnik MGB. Rozpytywał w jaki sposób udało mi się powiadomić rodziców o miejscu, w którym przebywałem. Mógłbym zdradzić przez kogo ich zawiadomiłem. Tłumaczyłem mu, że do chwili przesłowania mieszkaliśmy z rodzicami w Nowej Wilejce, a potem z łagru pisałem do nich listy - listy legalne i stąd znają mój adres.

Osobiście przystawiał mi przy odbiorze paczki i sprawdzał jej zawartość. Mięsne konserwy przekładał na papier, łamał suchary... W tym samym czasie dla kolegi Berdowskiego przyszła paczka ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jego kłopoty były o wiele większe. Z trudnością przekonał pełnomocnika, że żadnych kontaktów z Ameryką z obozu nie nawiązywał. Wyjaśnił, że ma tam brata, który swego czasu przebywał w sowieckich łagrach, że brata zwolniono na podstawie ogłoszonej w 1941 r. amnestii po czym wstąpił do tworczonej w ZSRR polskiej armii i wyjechał z nią na Bliski Wschód. Tłumaczył, że po wojnie brat przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, a o jego adresie dowiedział się od rodziny w Polsce, która do połowy 1945 r. mieszkała w Wilnie. Zawartość paczki pełnomocnik wydawał Berdowskiemu na raty i wszystko dokładnie sprawdzał. Poza Berdowkim i mną nikt więcej paczek z zagranicy nie otrzymał.

Pan Kachro i Ksienia Pietrowna traktowali mnie jak syna, za co byłem im ogromnie wdzięczny. Prosiłem Boga by w tych warunkach pozwolił mi pozostać do końca.



Wiosną 1948 r. na wniosek naczelnika Charatonienki kazano mi zgłosić się do pracy w kopalni. W mojej obronie Ksienia Pietrowna interweniowała u naczelnika kopalni i obozu, starszego lejtnienta MGB Stiepanienki. Interwencja pomogła. Decyzję obozowej administracji Stiepanienko uchylił.

Wiosną 1948 r. wyczytaliśmy z sowieckiej prasy, że Cyrankiewicz podpisał w Moskwie porozumienie o prawie do powrotu do kraju obywateli polskich, którzy na skutek wojny znaleźli się na terytorium radzieckim. Nie przypuszczaliśmy, że porozumienie to obejmie także więźniów.

Pewnego dnia rozeszła się po obozie wiadomość, że Polacy jadą do Polski.

Okazało się, że naczelnik Stiepanienko otrzymał z Moskwy imienne wykazy więźniów narodowości polskiej, których należało natychmiast odesłać do Uchty, do obozu rozdzielczego /do "pieresyłki"/. Tego samego dnia imienne wykazy rozdano nadzierateliom i kazano ściągnąć ludzi do biura naczelnika obozu.

Przez kilka godzin w ogromnym pośpiechu ściągano więźniów. Wyszukiwano ich w barakach, na placu, w miejscach pracy...

Zebrani w biurze Stiepanienki rodacy dowiedzieli się, że pojedą do Polski. Wiadomość ta wstrząsnęła całym obozem.

- Polacy mają drugą amnestię! - mówili Rosjanie. - Już po raz drugi wyciągają ich z niewoli. Przedtem - Sikorski, teraz - jakiś Cyrankiewicz. Ich przywódcy załatwiają z samym Stalinem. Nikt nie troszczy się o swoich ludzi tak jak oni.

- Ubolewali, że o nich nigdy nikt się nie upomni i że pozostaną niewolnikami do śmierci.

Tego samego dnia ponad 20-osobową grupę Polaków odwieziono na "pieresyłkę", gdzie kompletowano większe grupy i odprawiano je pod eskortą do Brześcia.

Po paru tygodniach odprawiono na "pieresyłkę" drugą grupę Polaków. Nadzieratiele i całe obozowe naczalstwo stało się w stosunku do nas grzeczniejsze. Oficjalnie twierdzili, że wszystkich odeślą do Polski. Powoływali się na wydane w tym zakresie zarządzenie władz centralnych. Z godziny na godzinę i z dnia na dzień czekaliśmy na wywołanie naszych nazwisk. Niektórzy koledzy nawet popakowali swoje rzeczy. Pamiętam inżyniera Sosińskiego, który trzymał pod siennikiem spakowany do drogi plecak. Pojechał w trzeciej grupie z moim przyjacielem

z dzieciństwa, Władkiem Bujko i doktorem Tumalewiczem. Władek szalał z radości. Przybiegł do mnie spocony, by podzielić się cudowną wiadomością i pożegnać się. Starał się mnie pocieszyć. - Przecież niczym nie różnisz się, Heńku, ode mnie. Zostaliśmy skazani za tę samą sprawę i otrzymaliśmy takie same wyroki. Jutro lub pojutrze, albo za kilka dni wywołają ciebie. Być może spotkamy się na "pieresyłce", a jeśli nie, to za parę tygodni w kraju.

- Odprowadziłem go do bramy, przed którą stał samochód z eskortą. Grupa Polaków zajęła miejsca w samochodzie. Władek nie mógł się ode mnie oderwać. Na poganiających nadzierateli nie zwracaliśmy uwagi.

Gdy całowaliśmy się, w jego oczach widziałem łzy. Ze mną nie było lepiej. Byliśmy przyjaciółmi od dzieciństwa. Razem chodziliśmy do szkoły, razem bawiliśmy się, razem pracowaliśmy w czasie niemieckiej okupacji, razem postanowiliśmy uciec z Wierzbaków i pójść do partyzantki.

Jego aresztowali w nocy, a mnie nazajutrz po południu. Spotykaliśmy się ze sobą w więziennych celach, by w końcu trafić do tego samego łagru. Teraz rozstawaliśmy się...

Ostatnie pocałunki, ostatnie uściski...

Potem widziałem go za bramą, biegnącego do samochodu i w samochodzie.

Odjeżdżając długo machał do mnie obozową czapką.

Gdy zgubiłem ich z oczu, poczułem straszny smutek. Żałowałem, że nie mogę być z Władkiem i podzielić jego szczęścia. Wiedziałem, że w kraju odszuka moich rodziców i opowie im o mnie.

Byłem pewny, że ucieszą się, bo dowiedzą się, że żyję.

Długo stałem przed bramą, rozmyślając o Władku.

Zwalnianie Polaków z sowieckich łagrów trwało przez całe lato 1948 r. Potem nastąpiła przerwa. Przez dłuższy czas łudziliśmy się nadzieją. Przerwę tłumaczono zakorkowaniem więźniami sowiecko-polskiej granicy. Tłumaczyliśmy ją również tym, że przed przekazaniem polskim władzom, muszą ich podkarmić, co wymagało jakiegoś czasu.

Pod koniec 1948 r. na polecenie ministra bezpieczeństwa państwowego dla więźniów politycznych utworzono wydzielone obozy zwane "spec-łagrami" i przeprowadzono, zakrojoną na szeroką skalę akcję przemieszczania więźniów do nowych obozów.

Przed paroma miesiącami pożegnałem Władka. Teraz musiałem pożegnać się z panem Kachro i Ksienią Pietrowną ~~prze~~ znośnymi od 1946 r. warunkami w obozie ~~przy~~ przy Kopalni Ropy Naftowej Nr 3.

Część więźniów politycznych z tego obozu przerzucono pod Intę, część do Workuty, a część do Bałchasza.

Przed odjazdem wpadłem do laboratorium, by pożegnać się z kierownikiem i pracownikami. W oczach Ksieni Pietrownej stanęły łzy. Tym razem nie mogła mi pomóc. Była bezsilna. Prosiła, bym zapamiętał jej adres. - Nie jesteście, Henryku, bogaci, ale w razie potrzeby zawsze wam pomożemy.

- Wcisnęła mi do kieszeni 500 rubli.

- Proszę nie dziękować. - rzekła - Pracowaliśmy razem ponad dwa lata. Zdaję sprawę z waszej krzywdy, z waszych cierpień... Pamiętajcie, że są Rosjanie o takich samych sercach, co wasze. Dlatego żegnam was z wielkim żalem i bólem. Życzę wiary i nadziei. Pamiętajcie, że ani wiary, ani nadziei nie wolno tracić.

- Podziękowałem panu Kachro i Ksieni Pietrownie za pomoc i odszedłem, by dołączyć do ustawionej przed bramą kolumny więźniów. Ustawilem się w piątce, w której stał ksiądz Janucha.

Za bramą czekały ciężarowe samochody i żołnierze z eskorty. Cel podróży, jak zawsze, był nieznanym.

W obozie, który opuszczałem, miałem znośne warunki, ale dla olbrzymiej większości więźniów był on męczarnią.

Pamiętam wychudzonego do kości, z długą jak patyk szyją, Medka Kozłowskiego i tracącego nadzieję do życia Edka Noniewicz. Pamiętam setki żywych ludzkich szkieletów. Współczułem im, ale nie mogłem pomóc.

Pamiętam wywożone przez obozową bramę zwłoki zmarłych z głodu. Widzę, jak dzisiaj, zbliżających się do nich żołnierzy z wartowni. - Widzę jak podnoszą osadzone na długich trzonkach metalowe młotki i uderzają nieboszczyków w skroń.

W ten sposób zapobiegano, by zamiast trupa nie wywieziono z obozu więźnia żywego.

Jedni żyli, inni umierali lub czekali na śmierć.

Przez ponad dwa lata, w porównaniu z innymi, żyłem ~~jak~~ jak u Pana Boga za piecem.

W laboratorium oprócz analiz ropy naftowej i kopalnianego powietrza robiliśmy analizy produktów żywnościowych.



Dostarczała je regularnie Ksienia Pietrowna z magazynów osiedla. Próbkki były tak duże, że mogliśmy się najeść. Niezależnie od tego dość często Ksienia Pietrowna przynosiła żywność we własnym zakresie.

Dzięki niej i żonie głównego geologa miałem zupełnie przyzwoite i czyste ubranie. Jedna przyniosła mi z domu porządne spodnie, a druga polskiego kroju mundur wojskowy. Twierdziły, że na ich mężów są za ciasne.

Najgorzej miałem w łagrze przy Kopalni Ropy Naftowej Nr 2. Tam przeżyłem okres psychicznego załamania. Był czas, kiedy nie wierzyłem, że przeżyję.

Pamiętam więźnia, Rosjanina, który przy budowie stajni, gdzie żołnierz ustawił mnie w bieliźnie na rojącej się od mrówek kupie kamieni, odrąbał sobie siekierą wszystkie palce prawej ręki. Odrąbał je po to, by przeżyć. Liczył, że jako inwalida dostanie lżejszą pracę.

We wszystkich sowieckich obozach niewielkie grupy więźniów żyły i pracowały w nieco lepszych warunkach, ale dla ogółu więźniów wszędzie warunki były straszne, po prostu - koszmarne.

#### XV. OBCZY W BAŁCHASZU I SPASSKU

---

Bałchasz - to duże przemysłowe miasto w Kazachskiej Republice, położone nad jeziorem o tej samej nazwie.

Jego budowę rozpoczęto równolegle z budową bazującej na miejscowych złożach olbrzymiej huty miedzi w 1937 r.

- Swoje narodziny - tak mawiali Rosjanie - Bałchasz zawdzięcza miedzi i więźniom. Hutę i miasto zbudowali więźniowie.

Na zachód i północ od miasta rozciągają się bezludne stepy.

Z Uchty wyjechaliśmy w połowie listopada. Przez parę tygodni byliśmy na "pieresyłce", do której zwożono więźniów politycznych z różnych obozów "Ucht-Iżym-İagu".

Nasz transport liczył około 3000 osób. Jechaliśmy, jak zawsze, w towarowych wagonach. Dwa wagony zajmowali żołnierze z eskortą, którzy na każdej stacji opukiwali wagony, sprawdzali wnętrza i liczyli więźniów. Podobnie jak w drodze z Wilna do Uchty obrywaliśmy od nich młotkami, po plecach i głowach.

Przemieszczanie więźniów z łagrów do łagrów nazywano "etapami". Każdy etap łączył się z dużą uciążliwością.

W czasie jazdy byliśmy zamknięci, stłoczeni i pozbawieni swobody ruchu. Otrzymywaliśmy gorsze jedzenie i nie mieliśmy dostatecznej ilości wody. Na dobę dostawaliśmy porcję chleba i pół litra zupy. I chleb i zupę dawali raz z rana, raz w południe albo wieczorem, gdy pociąg miał dłuższy postój. Jak na złość co parę dni odbarzano nas mocno soloną rybą, po której wariowaliśmy z pragnienia.

Jechałem w jednym wagonie z księdzem i kilkoma zapoznanymi na "pieresyłce" rodakami. Pamiętam Czeška Starukiewicza, Petera, Kórkora i Nowaczka.

Przez zakratowane okienko obserwowaliśmy ciągnące się dziesiątkami kilometrów lasy i bagna. Przesuwając się na południe coraz częściej pojawiały się pokryte śniegiem pola i nędzne chatki kołchozów. Rozpoznawaliśmy znajome ogrodzenia z wartowniczymi wieżami, na których stali otuleni w kożuchy żołnierze. Przez Moskwę przejechaliśmy w nocy. Po kilku dniach przebijaliśmy się przez masę górski oddzielającego Europę od Azji Uralu. Pociąg jechał wolno. Z trudem pokonywał duże wzniesienia. Ciągłe nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Najwięcej baliśmy się Kółymy. Gdy Pietropawłowska pociąg skierował się na południe, odetchnęliśmy.

Ktoś krzyknął, że jedziemy do Karagandy. Byliśmy pewni że wpakują nas do kopalni węgla i tam wykończą.

Przez nieszczelne ściany nieopalaných wagonów wdzierał się chłód. Na dworze był mróz. Silne wiatry ze śniegiem powodowały zamiecie. Między Akmoleńskiem i Karagandą zachorowałem. Trząskam się z zimna, a ciało miałem mokre od potu. Musiałem mieć wysoką temperaturę.

Ojciec Albin /to zakonne imię księdza/ i śp. kolega Nowaczek okrywali mnie swoimi waciakami. Na domiar złego w czasie dwóch ostatnich dni podróży nie dostaliśmy jedzenia. Oficerowie z eskorty zapewniali, że zaległe porcje chleba otrzymamy w obozie. Marzyliśmy o ciepłych barakach i zaległych porcjach chleba.

Do Bałchasa dotarliśmy pod koniec listopada. Nowy obóz niczym nie przypominał poprzednich. Tam - kiepskie lasy i bagna, tutaj - sucha, twarda jak kamień ziemia stepowa; tam - baraki drewniane, tutaj - z kamieni, wszystkie

pomalowane na biało.

Styl i kolor odgrodzonych kolczastymi drutami baraków przypominał znane z filmów i fotografii osiedla arabskie.

Przed nami w bałchaszskim obozie przebywali jeńcy japońscy. Pozostawione przez nich ślady wskazywały, że odjechali niedawno. Na barakach wisiły różnego rodzaju tablice z informacjami w języku japońskim. W zakamarkach odnajdywaliśmy zapisane po japońsku kartki papieru. Odczytywali je i tłumaczyli więźniowie narodowości japońskiej.

Z pozostawionych informacji dowiedzieliśmy się, że jeńcy pracowali na budowie. Zdarzały się karteczki pisane po francusku, angielsku i niemiecku.

Obozowe władze starały się upodobnić życie jeńców do życia więźniów. Wielkość porcji żywnościowych próbowali uzależnić od stopnia wykonania norm. Próby te nie powiodły się. Oficerowie i żołnierze jedli ze wspólnego kotła. W kartkach wspominali o częstych przesłuchaniach jeńców przez oficerów służby bezpieczeństwa oraz o próbach werbowania donosicieli.

Po paru tygodniach część więźniów z bałchaszskiego obozu odprawiono do pobliskiego Kaunradu i Dżezgazganu, gdzie były kopalnie miedzi.

Miałem szczęście pozostać w Bałchaszu. Zatrudnieni w kopalniach miedzi górnicy, a szczególnie głodni i niedożywieni więźniowie często zapadali na nieuleczalną chorobę, którą Rosjanie nazywali "Sulikozem". Przyczyną choroby był osadzający się na płucach pył. Po osadzeniu się większej ilości szkodliwego pyłu płuca kamieniały. Myślałem, że była to jakaś odmiana pylicy.

Zaległe /z transportu/ porcje chleba otrzymaliśmy po tygodniu.

Pierwsze miesiące w bałchaskim łagrze były bardzo trudne. W kilka dni po ciężkiej, wielodniowej podróży, zagonili nas do katorżnej pracy. Pracowaliśmy na obiektach pozostawionych przez Japończyków.

Obóz znajdował się osiem kilometrów za miastem. Do pracy i z powrotem chodziliśmy pieszo. W mieście kopaliśmy głębokie rowy pod fundamenty budynków. Twarda jak kamień ziemia nie ustępowała łomom i kilofom. Musieliśmy ją rozbijać ciężkimi dziesięciokilogramowymi młotami przy pomocy stalowych klinów.



Czas katprężnej pracy, nie licząc czasu na dojsście i powrót trwał 10 godzin, a jedzenie było bardzo słabe. Karmili nas skąpyimi dwustugramowymi porcjami zepsutej lub zmrożonej kapusty, buraków i marchwi. Przez kilka miesięcy na drugie danie obiadu nie dawali nic zbożowego.

O kaloryczności takich posiłków lepiej nie mówić. W obozie zapanał głód. Ludzie szybko tracili siły i podupadali na zdrowiu.

Przez pewien czas brakującą żywność uzupełnialiśmy poza obozem. Pracując na różnych obiektach dogadywaliśmy się z eskortującymi żołnierzami. Dawaliśmy im pieniądze, za które oni kupowali chleb. Za usługę musieliśmy niekiedy płacić.

Nie wszyscy więźniowie mieli pieniądze, bo za pracę nie otrzymywaliśmy wynagrodzeń. Posiadali je tylko ci, którzy w swoim czasie sprzedali coś z odzieży lub obuwia. Na świadczenie tego rodzaju usług godzili się tylko niektórzy żołnierze. Robili to skrycie przed kolegami, bo za kontaktowanie się z więźniami mogli trafić do łagrów.

Na ogół bałchasy~~scy~~ żołnierze byli dużo lepsi od tych, z którymi mieliśmy styczność w Uchcie. W wielu przypadkach okazywali więźniom dużo zrozumienia. Swoje obowiązki wykonywali niechętnie. Często dawali do zrozumienia, że wykonują je z musu. Do więźniów odnosili się poprawnie. Do dzisiaj pamiętam żołnierza, dzięki któremu najadłem się świetnego domowego barszczu ze świeżymi, obranymi ze skórek ziemniakami. Na polecenie brygadzisty zanieśliem do wygasającego przy żołnierzu ogniska trochę odpadów z drewna. Żołnierz kazał mi usiąść.

- Robota nie wilk - powiedział. - Odpocznij, pogrzej się. - Był duży mróz. Przy wszystkich otaczających obiekt posterunkach więźniowie rozpalali ogniska, by żołnierze mogli się ogrzać. Gdy usiadłem, urwał kawał gazety i nasypał tytoń.

- Masz, zapal!... Jak długo jesteś w łagrze? Czemu milczysz? Nie musisz się mnie bać. Chcę z tobą porozmawiać. - Odpowiedziałem na pytania.

- Ja służyć w wojsku tyle, co ty jesteś w łagrze i czort wie kiedy wrócę do domu.

- Fytał za co siedzę. Nie mógł zrozumieć, że zostałem skazany tylko za to, że byłem w partyzantce. Nie pomogło tłumaczenie, że polska partyzantka podlegała rządowi, z którym Moskwa zerwała dyplomatyczne stosunki.

- I co z tego? Przecież biliście Niemców... Biliście ich tak samo jak Polacy, którzy walczyli przy naszym boku. Dla mnie tylko to się liczy. Pójdź czyim dowództwem i pod jakim rządem mnie nie obchodzi.

- Kłął na liche warunki w armii, a najwięcej na paskudne posiłki.

- Karmią nas - mówił - mało lepiej niż was. Ty przynajmniej wiesz, że do końca masz sześć lat, a ja nie wiem ile jeszcze będę chodzić z tą pukawką.

Już trzy lata po wojnie i nie chcą puścić do domu. Z taką służbą - do dupy.

- W pewnej chwili wskazał palcem na przylegający do czteropiętrowego bloku mieszkalnego składzik i rzekł:

- Ja odwrócę się, a ty w tym czasie biegnij do składzika. Zastaniesz tam kobietę, która ciebie nakarmi. To biedny człowiek - pewnie wdowa, ma dwoje małych dzieci. Mąż poszedł na wojnę i do tej pory nie ma o nim żadnych wiadomości. Idź! Nie bój się! Przecież jesteś głodny...

- Rozejrzałem się wkoło i pobiegłem. W składziku zastałem młodą kobietę. Przywitałem się po rosyjsku. Odpowiedziała lekkim uśmiechem, ale w jej oczach widziałem strach. I nic dziwnego, bo za tego rodzaju spotkanie z więźniem mogła zarobić 25 lat łagrów. Tak samo narażał się żołnierz. Powiedziałem, że przysłał mnie wartownik.

- Przed pracą trzeba posilić się. Pójdę przynieść coś do zjedzenia.

- Przyniosła pełny gar gorącego barszczu, miche ziemniaków i bochen chleba.

Najadłem się za wszystkie czasy. Po posiłku zabraliśmy się do pracy. Była wyraźnie zadowolona, ale strasznie bała się.

Pomogłem jej napiłować i porąbać drewno. Potem jeszcze raz pobiegła do mieszkania i przyniosła dwa bochenki chleba.

- To weźcie ze sobą. Chciałabym dać więcej, ale nie mam.

- Podziękowałem. Gdy na pożegnanie chciałem ucałować rękę, zrobiła wielkie oczy.

- Co wy?.. Nie trzeba - powiedziała zdziwiona.

Wracając na rozciągnięty wokół obiektu na wysokości 1 metra drut z tabliczkami i napisem "zapretnajna zona"<sup>x</sup> podziękowałem żołnierzowi.

wi.

-----  
x Zapretnajna zona - teren zakazany

Był odwrócony tyłem, ale widział jak biegnę.

- Pokuszał? - spytał, nie zmieniając pozycji. Dowolen?<sup>xx</sup>

Ja toż dowolen.<sup>xxx</sup> - odpowiedział.

- Bałchaski obóz był obozem specjalnym. Przebywali w nim tylko więźniowie polityczni.

Od poprzednich różnił się ostrzejszym regulaminem i różnego rodzaju zakazami. Mocno ograniczał uprawnienia więźniów.

Od godziny 22<sup>00</sup> do 5<sup>00</sup> rano byliśmy zamykani w barakach. Okna baraków były zakratowane. Drzwi zamykano na żelazne sztaby.

Na swoje potrzeby w nocy wychodziliśmy na korytarz, gdzie, podobnie jak w więzieniu stały duże kible.

Oprócz karceru na terenie obozu było więzienie. W urzędowym języku określano je w skrócie BUR-em /Barak Usilennogo Reżima/.<sup>xxxx</sup> Csadzano w nim więźniów za łamanie obozowej dyscypliny oraz na polecenie pełnomocnika Ministerstwa Bezpieczeństwa. Tak jak więzienie<sup>BUR</sup> posiadał pojedyncze i kilkuosobowe cele.

W "spec-łagrach" więźniom ograniczono korespondencję z bliskimi. Mogliśmy wyeykać tylko dwa listy w ciągu roku. Pisanie listów do bliskich za granicą było zakazane.

Na kurtkach, spodniach i czapkach nosiliśmy więzienne numery. Za nieposiadanie numeru więziennego groził karcer lub BUR. Skazani do BUR-u nie pracowali i mieli zmniejszone porcje żywnościowe.

Obozowi pełnomocnicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego nie podlegali obozowemu naczalstwu. Ich zadanie sprowadzało się do badania nastrojów, światopoglądu i przekonań politycznych więźniów. Starali się wykławać osoby posiadające szkodliwe wpływy na otoczenie. Ciekawili się dosłownie wszystkim, a najbardziej tym, czy więźniowie, nie daj Boże, działają w jakiejś organizacji antyradzieckiej i czy ~~właściciel~~<sup>nie</sup> posiadają kontakt<sup>ów</sup> z ludźmi wolnymi.

-----  
x pokuszał? - podjadłeś

xx dowolen? - Jesteś zadowolony?

xxx Ja toż dowolen - I ja jestem zadowolony

xxxx Barak Usilennogo Reżima - Barak Zaostrzonego Rygoru



Przy pomocy donosicieli próbowali dowiedzieć się o sprawach, których nie ujawniono w czasie śledztwa.

Interesowali się również nielegalnymi kontaktami z więźniami w innych obozach.

Donosiciele werbowali za lżejszą pracę, dodatkową łyżkę kaszy, czy miskę zupy albo za obietnice wcześniejszego zwolnienia z łagru.

W wielonarodowościowym składzie więźniów tworzyły się nieformalne grupy narodowościowe. Grupom przewodzili ludzie o najwyższym autorytecie. Nikt ich nie wybierał. Ludzie skupiali się wokół nich sami.

Stosunki między więźniami różnych narodowości układały się różnie. Polacy utrzymywali poprawne stosunki ze wszystkimi, którzy w czasie okupacji walczyli przeciwko Niemcom. Nie cierpieli wywodzących się z UPA<sup>x</sup> Ukraińców, byłych funkcjonariuszy policji, agentów gestapo... Od tych osób stroniliśmy.

Do walczących u boku Niemców Rumunów, Finów i Węgrów nie mieliśmy pretensji. Byłych żołnierzy z armii gen. Własowa traktowaliśmy na równi z członkami UPA. Odnosiliśmy się do nich z pogardą. Pełną sympatią darzyliśmy wszystkie ofiary stalinowskiego reżimu.

W bałchaskim obozie wytworzyła się solidarność więźniów tej samej narodowości. Pełnomocnicy MGB orientowali się w tym co więźniów dzieli, a co łączy i wykorzystywali to do werbowania donosicieli.

Wzywaniem na rozmowy Polakom proponowano podsłuchiwanie rozmów w środowisku ukraińskim i litewskim. Ukraińców werbowali do szpiegowania środowiska polskiego i rosyjskiego. Gdy donosiciel zdawał egzamin w obcym środowisku, zmuszano go do szpiegowania środowiska własnego.

Na przestrzeni 10 lat więziennego i obozowego życia z pełnomocnikami MGB spotkałem się cztery razy:

-- w kopalni Nr 3 przy odbiorze paczki żywnościowej z Polski,  
- dwa razy w Bałchaszu i raz w Omsku.

Przed każdym spotkaniem miałem lęk. Ludzi tych wszyscy bali się, bo wiedzieli kogo reprezentują i zdawali sprawę, że posiadają niczym nie ograniczoną władzę. Każdy z nich mógł wnioskować dodatkowe wyroki.

W czasie pierwszego spotkania pełnomocnik w stopniu majora interesował się, o dziwo, moim zdrowiem, warunkami pracy i kontaktami z rodziną.

Pytał, czy nie narzekam na słabe odżywianie. Wykazywał zainteresowanie moją przeszłością i "serdecznie współczuł" mojemu losowi. Chyba nieporzeźbnie powiedziałem, że czuję się niewinnym. Zaraz to podchwycił i proponował mi pomoc.

- Skoro ~~walczy~~ walczyliście przeciwko Niemcom - oznajmił - powinni was zwolnić. Mogę wam w tym pomóc. Możemy wspólnie napisać podanie do odpowiednich władz. Nie powinniście dłużej przebywać z prawdziwymi zdrajcami, przestępcami, zbrodniarzami.

Potem zmienił temat. Ciekawił się z kim przyjaźnię się, jak spędzam wolny czas... W końcu zapytał o Ojca Albina.

- Co możecie powiedzieć o swoim koledze, Janosie?

- To nie jest kolega - odparłem - lecz ksiądz.

- Ale mieszkacie w tym samym baraku i jesteście w tej samej brygadzie. Wiem, że łączy was wielka przyjaźń...

Teraz wiedziałem po co mnie wezwał. Oświadczyłem, że Janocha jest takim samym więźniem jak inni.

- To prawda, że należymy do tej samej brygady, że śpimy na sąsiednich pryczach i że łączy nas przyjaźń. Księdza Janochę bardzo szanuję. Inni również go szanują. To bardzo dobry człowiek.

- Henryku Młchańkowiczu, wy Polacy darzycie Janochę dużym szacunkiem, bo jest księdzem. Jest dla was autorytetem. To wasz duchowy ojciec.

- Janocha - przerwałem majorowi - darzą szacunkiem nie tylko Polacy i nie tylko dlatego, że jest księdzem. Ten człowiek podobnie jak wszyscy Polacy cierpi niewinnie.

- Tego nie jestem pewien - wtrącił major.

- Ale powiedzcie mi szczerze, jaki jest stosunek księdza do naszej władzy i do obecnych władz w Polsce?

Pytam was, bo mam do was zaufanie. Z byle kim na ten temat bym nie rozmawiał. Mogę was zapewnić, że o naszej rozmowie nikt się nie dowie. Na pewno wiesz, że wasi księża z powojennych zmian nie są zadowoleni. Idealizm i materializm - to sprzeczne i wrogie wobec siebie idee. On jest idealistą, a w Polsce władzę sprawują marksiści...

- Chciałem już zrezygnować z "Zaufania" majora i powiedzieć, że nie mamy o czym mówić, ale ciekawiło mnie czego ten człowiek chce od księdza. Pochwili namysłu oświadczyłem, że od aresztowanych w Polsce bałchaskich więźniów wiem, że w Polsce są czynne wszystkie kościoły i że obsługują je tacy sami księża jak ksiądz Janocha, który tak jak tamci pragnie, by na ziemi zapanowała "jedna owczarnia i jeden pasterz"..

- A pamiętasz - przerwał major - waszą rozmowę na temat marszałka Rokossowskiego?... W rozmowie tej brał udział również wasz Janocha. - Przypomniałem scenę sprzed kilku dni. Po pracy staliśmy przed barakiem /Czesiek Stankiewicz, Jastrzemski, Bogdanowicz, Markiewicz, Nowaczek, Wojtkiewicz, ksiądz Janocha i inni/. Ktoś z nich przyniósł wiadomość o wielkodusznej zgodzie Kremla na przekazanie Polsce marszałka Rokossowskiego, który przyjął w Warszawie tekę ministra obrony narodowej. Zareagowaliśmy na nią kupą śmiechu.

- Brakowało nam tylko sowieckiego marszałka - powiedział Nowaczek. Ktoś inny dodał: - Teraz, panowie, niepodległość Polski nie powinna budzić żadnych wątpliwości...

- Co tu dużo gadać - wtrącił Bogdanowicz - delegowała go Moskwa. Stalin chce mieć <sup>W</sup>Warszawie swego namiestnika. To drugi Wielki Książę Konstanty .

- Pełnomocnik czekał na odpowiedź.

- O objęciu przez Rokossowskiego stanowiska ministra obrony narodowej mówiliśmy. Wiadomość ta zainteresowała wszystkich Polaków. W prasie podają, że marszałek jest Polakiem, a Wielki Książę Konstanty był synem cara... Takiego porównania w naszym gronie nie słyszałem.

- Z odpowiedzi major nie był zadowolony. Usiłował wmówić, że bronię księdza. Na zakończenie powiedział, bym wszystko sobie przypomniał.

W tej samej sprawie wzywał do siebie Czeska Stankiwicza, Szamreja, Jastrzemskiego i innych.

Treść rozmowy z pełnomocnikiem MGB powtórzyłem Ojcu Albinowi i wszystkim rodakom. Zastanawialiśmy się kto mógł donieść. Doszliśmy do wniosku, że ~~kajm~~ jakiś Ukraińiec.

W bałchaskim obozie najgorszą do przeżycia była pierwsza zima. Silnym mrozom towarzyszyły porywiste wiatry. Ciężka, katorżna praca, kiepska odzież i bardzo słabe wyżywienie z dnia



na dzień powiększały szeregi wycieńczonych. Jedyne ratunkiem mogła być tylko pomoc z domów.

Pisaliśmy do bliskich i znajomych prosząc o żywność. Prosiłiśmy o suchary i trochę tłuszczu. Ojciec Albin w przeszłości paczek nie dostawał, bo nigdy o nic nie prosił. Pierwszy raz z prośbą o pomoc zwrócił się w Bałchaszu. Nie troszczył się o siebie, lecz o wykańczających się z głodu rodaków.

Pisałem do babci. Listy szły bardzo długo. Paczki - jeszcze dłużej.

W bałchaskim obozie przeżyłem jedną z najpiękniejszych pod względem duchowym wigilię świąt Bożego Narodzenia. Nie zawsze mogliśmy zgromadzić się, by ten święty wieczór uczcić wspólnie. Ta wigilia, w pełnej smutku i rozpaczliwej rzeczywistości, była cudowna. W dzień wigilijny paru kolegom i mnie udało się dostać do sortowania zmrożonych i psujących się warzyw. Do baraku wróciliśmy obciążeni marchwią i kapustą. Dzięki Bogu udało się, bo nikt z obozowego nadzoru tego nie zauważył. Byliśmy głodni, jak zimną syberyjskie wilki, ale tego dnia swoje codzienne porcje chleba zachowaliśmy do wieczora.

Wzdłuż kamiennych ścian prostokątnego baraku stały piętrowe, metalowe prycze, między nimi długi, zbity z desek stół i ławy. Gdy na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, zasiedliśmy do ~~w~~wieczery. Było nas - Polaków - około czterdziestu. Rolę gospodarza powierzyliśmy księdzu. Wieczere rozpoczęliśmy od wspólnego "Ojcie nasz..." Po skończonej modlitwie Ojciec Albin mówił o zbawiennym znaczeniu narodzin i życia Jezusa Chrystusa dla całej ludzkości. Potem nawiązał do przeszłości - do świąt, które spędziliśmy na wolności, w rodzinnym kraju, wśród osób najdroższych i najbliższych. Przypominał wigilijne stoły w naszych domach, wspominał świąteczne choinki.

Słuchaliśmy go chyba w takim skupieniu, jak dzisiaj słucha się tylko Ojca Świętego. Myślami przenosiliśmy się do domów, do rodzin, do pięknie wystrojonych choinek, kolorowych świeczek, zimnych ogniów, "do czasów bajecznych", o których w tamtych warunkach mogliśmy tylko marzyć.

Cudowne wspomnienia, radość świąt i gorzka otaczającej rzeczywistości wyciskały z oczu łzy. Nie uszło to uwadze Ojca Albina, bo zaraz padły słowa pocieszenia: - Pan jest Wszechmocny... trzeba mu ufać.

- Sięgnął po kromkę chleba obozowego i poczynił nad nią znak Krzyża Świętego, po czym powtórzył znak nad resztą bożych darów.

- Panie! - zawołał, wznosząc ku niebu promieniujące ze szczęścia wspólnej wieczerzy oczy. - Ty nas widzisz... Widzisz oddalonych o tysiące kilometrów od Ojczyzny, oderwanych od rodzin, od matek, od ojców, żon, dzieci..., odgradzonych od świata kolczastymi drutami. Pomóż przetrwać i spraw, byśmy przyszłe święta narodzin Twojego Syna mogli spędzać w kraju ojczystym.

- Objął nas ciepłym ojcowskim wzrokiem i trzymając kromkę kontynuował:

- W naszych domach w wigilijne wieczory dzieliliśmy się tradycyjnym opłatkami! Tutaj go nie mamy, więc podzielimy się chlebem. Niech ten przechowany od rana chleb zastąpi biały opłatek, którym za kilka godzin podziela się nasi najbliżsi.

- Podszedł do najstarszego wiekiem rodaka i dzieląc się z nim kromką chleba złożył życzenia świąteczne. Potem po kolei podchodził do wszystkich.

Dzieliliśmy się chlebem i składaliśmy sobie życzenia. Później zasiedliśmy do misek z ugotowaną marchwią i kapustą. W baraku panowała zupełna cisza. Świąteczną nastrój udzielił się wszystkim, nawet niewierzącym.

Przerwaliśmy ją kolędą "Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi..." Ta stara, wszystkim dobrze znana bożonarodzeniowa pieśń wywarła niezapomniane wrażenia.

Aż nie chce się wierzyć, że tyle już lat upłynęło od tamtej daleko, daleko od kraju wigilii, kiedy to przez kamienne mury obozowego baraku przebijały się głosy tej pięknej kolędy i rozchodząc się po bałchaskim milczącym stepie unosiły się coraz wyżej i wyżej, by w połączeniu, jeśli nie z głosami, to z myślami dziesiątków tysięcy więzionych w tamtym kraju rodaków, trafić do narodzonej przed 1948 laty Bożej Dzieciny, by niezależnie od poczucia ogromnie bolesnej krzywdy, żalu i tęsknoty zanieść jej zapewnienie naszej żywej wiary i nadziei.

Potem zaśpiewaliśmy "Bóg się rodzi, moc truchleje...".

Nie zawsze zastanawiamy się, ile w tych kilku słowach mocy, ile wiary i nadziei, ile cudownego, duchowego pokarmu... Nie zapomnę głębokiej refleksji po odśpiewaniu prośby: "Podnieś rączkę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą. W dobrych radach, w dobrym bycie, wspieraj swą siłą Jej siłę swą siłą...".

Pragnęliśmy tego z całego serca.

- Jeśli z Twojej świętej woli mamy tutaj, Panie, umrzeć - tak wówczas myślałem - spraw, by w kraju pozostała o nas pamięć - dobra pamięć. Ty wiesz, że tylko za nią cierpimy. Ty wszystko widzisz i wszystko wiesz. Wysłuchaj nas i okaż swoje Miłosierdzie! Wspieraj Ją swoją siłą i nigdy nie opuszczaj!

Po kolędach dzieliliśmy się wspomnieniami ze świąt spędzonych na wolności - w rodzinnych domach, w szeregach Armii Krajowej.

Na zakończenie odśpiewaliśmy: "O Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń..." i "Boże coś Polskę..."

Bóg i Ojczyzna - to słowa wielkie i święte. "Ile Cię trzeba cenić ten tylko się dowie, kto Cię stracił"...-pisał nasz wieszcz. Nie przesadzę w niczym, jeśli powiem, że jeszcze lepiej Twoją, Ojczyzno, znają cenę ci, którzy przeszli przez obozowe piekło.

W Bałchaszu stopień wykonania norm pracy na wyżywienie nie miał wpływu. Wszyscy więźniowie dostawali jednakowe porcje. Na śniadanie i obiady chodziliśmy do stołówki brygadami, które liczyły od 30 do 40 osób. Z rana dostawaliśmy tam codzienne porcje chleba. Stołówka była zaopatrzona w dostateczną ilość aluminiowych misek. Łyżek nie było. Musieliśmy o nie zadbać we własnym zakresie. Wykonywaliśmy z drewna lub wytapialiśmy z aluminiowego drutu.

Widelców i noży w żadnym obozie więźniom nie wydawano, bo nie były potrzebne. Za posiadanie noża groził karcer lub BUR.

Naczelnikiem Bałchaskiego obozu był kpt. MGB, Ostapienko. Bali się go nie tylko więźniowie, lecz cała obozowa administracja. Gdziekolwiek się pojawił, sypały się kary dyscyplinarne. Więzień, który widząc naczelnika nie stanął na baczność, szedł z miejsca do karceru. Jeśli kogoś przyłapał na pisaniu nielegalnego listu, karał dwoma miesiącami BUR-u.

Ostapienko oficjalnie mówił, że gdyby od niego zależało, kazałby wszystkich politycznych więźniów rozstrzelać.

Do obozu wchodził w otoczeniu świty obozowego naczalstwa i nadzie-ratieli. Przed każdą spodziewaną wizytą naczelnika wszędzie czyniono porządki. Zamiatano place, sprzątano baraki, poprawiano na pryczach pościel...

Karał więźniów nie z umiłowania porządku lecz z nienawiści.



Przeciwieństwem Ostapienki był jego następca. Nie pamiętam już nazwiska. Był w stopniu pułkownika. Mocno otyły, starszy pan. Chodził podpierając się laseczką, bez żadnej asysty.

W obozie zjawiał się niespodziewanie. Lubił rozmawiać z więźniami bez świadków.

Pewnego dnia wpadł do bareku, gdy pisaliśmy nielegalne listy. Staraliśmy się schować zapisane już części kartki.

- Po co chowacie? Piszcie - powiedział - I tak wiem, że piszecie. Dwa listy w ciągu roku to strasznie mało. Jeszcze na dodatek cenzura... Do domu trzeba pisać. Na waszym miejscu robiłbym to samo. Dobrze, że są jeszcze ludzie, dzięki którym wasze listy dochodzą do rodzin.

- Rozejrzał się wkoło i mówił dalej:

- Ale bądźcie ostrożni, by nie złapali was na pisaniu nadzieratiele

Innym razem - było to w czasie zbiórki więźniów na obozowym placu - pułkownik przechadzał się wzdłuż szeregów więźniów. Zatrzymał się przy więźniu, który z osłabienia ledwie stał na nogach.

- Czemu tak źle wyglądasz? - spytał.

- Bo do takiego stanu wasze doprowadzili.

- Gdzie pracujesz?

- Tam, gdzie wszyscy.

- Jaki dali ci wyrok?

- Dziesiątkę.

- Ty Russkij? ... - Nie

- A jakiej nacji? - Titowiec.

- Takiej nacji nie znam.

- Nie znacie Tito? Jeszcze niedawno na moskiewskim lotnisku słaście mu pod nogi dywany, a mówicie, że nie znacie...

- Ach, Tito ! - Pułkownik roześmiał się od ucha do ucha. - Teraz wszystko rozumiem.

- Dlaczego titowiec chodzi w takiej podartej odzieży? - spytał asystujących mu oficerów. - Podobasz się mi. Gdzie jest nariadczyk? - Do pułkownika podbiegł zasapany Juszyn.

- Jutro Titowiec nie pójdzie do pracy. Chcę by został dniewalnym. Jeszcze dzisiaj wydacie mu nowe ubranie. W tych szmatach nie chcę go więcej widzieć.

Mimo regulaminowych ograniczeń i częstych kar pisaliśmy do bliskich tyle listów, ile chcieliśmy..

Wychodząc do pracy wynosiliśmy z obozu i oddawaliśmy ludziom wolnym, którzy wyrzucali je do miejskich skrzynek pocztowych.

Na tereny naszych obiektów pracy przyjeżdżały samochody z materiałami. Pracowali tam wolni inżynierowie i technicy. Kierowcy samochodów i pracownicy nadzoru technicznego byli naszymi "listonoszami". Brali od nas listy, chociaż groziło im za to 10 lat łagrów.

W połowie 1949 r. zaczęły do nas docierać paczki żywnościowe. Między innymi otrzymałem paczkę ksiądz Janocha. Rozdał ją rodakom. Od tej pory sytuacja żywnościowa uległa znacznej poprawie.

Któregoś dnia po raz drugi musiałem zgłosić się do prokuratury nika MGB.

Nazwał mnie wyrodnym synem. - Jak mogłeś dopuścić do tego by rodzice poszukiwali cię za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża!? Dlaczego do nich nie piszesz?... - Dotykał sumienia, wstydzik...

- Po wysłuchaniu nedorzecznych uwag oświadczyłem, że zgodnie z regulaminem za granicę<sup>nie</sup> możemy wysyłać listów. Moji rodzice - powiedziałem - mieszkają w Polsce.

- Dla chcącego nic trudnego. Trzeba było przyjść do mnie... Bierz pióro i pisz.

- Podał poliniowany blankiet. - Pisz na tym blankiecie. Na drugą stronę nie odwracaj. Tamta strona jest nie dla ciebie. A więc zaczynamy. Będziesz pisać pod moje dyktando i po rosyjsku. Zgoda? - Musiałem zgodzić się.

- Jesteś gótów?...

Kochani rodzice!

Jestem żywy i zdrowy. Pracuję ~~na~~<sup>i</sup> na nic nie narzekam. Pozdrawiam was serdecznie i całuję. Wasz syn - Henryk.

- Wot i wsio.<sup>x</sup> Jesteś zadowolony?...

- Odpowiedziałem twierdząco, bo wiedziałem, że ten list otrzymają.

Po pewnym czasie otrzymałem paczkę od babci. Ojciec Albin dostawał dużo paczek, dzięki czemu przestaliśmy głodować.

Żywnością dzieliliśmy się z rodakami, którzy z rodzinami nie mieli żadnych kontaktów.

x Wot i wsio - To wszystko.

Pod koniec 1949 r. w obozie otwarto sklepik, w którym mogliśmy kupić chleb, gorszego gatunku wędliny, papierosy i inne artykuły.

Obozowe posiłki uległy znacznej poprawie. Zupy były gęściejsze i traściwsze.

Przez parę miesięcy pracowałem w cegielni. Brygadziwą był pochodzący z Polski Żyd Kirkor. Chwalił się, że przed wojną był oficerem, ale nikt mu nie wierzył. Praca w cegielni była bardzo ciężka. Cegłę formowano taśmowo i dlatego pracowaliśmy bez odpoczynku.

Do mnie należało zdejmowanie mokrej cegły z taśmy i układanie na wielopółkowych wózkach, którymi odwożono je do wypalania. Po 10 godzinach pracy bolały wszystkie mięśnie i ściągną tak mocno, że nie mogłem się zginać.

Przedtem na stanowisku tym pracował Czesiek Stankiewicz, ale nie dawał sobie rady. Był za słaby. Zastąpiłem go z litości.

Potem pracowaliśmy przy budowie "szpitalnego miasteczka". Praca również była ciężka, ale nie do tego stopnia jak w cegielni. Budowaliśmy wielopiętrowe duże budynki. Przez nieuwagę spadłem ze ściany z wysokości trzeciego piętra. Doznałem dotkliwych obrażeń ciała i zwichnąłem nogę. Po upadku, przez 3 tygodnie leżałem w obozowym szpitalu.

Po wypisaniu ze szpitala wróciłem na budowę. Noga jeszcze mocno bolała. Nie mogłem zginać kolana.

Do pracy i z powrotem wozili nas otwartymi samochodami. W czasie jazdy obowiązywała pozycja siedząca, co wymagało zgięcia kolana. Ze względu na ból często wierciłem się, by zająć dogodniejszą pozycję. Stojący przy szoferce żołnierze kilkakrotnie zwrócili mi uwagę, że za dużo się kręcę. Jeden z nich nazwał mnie faszystą. Groził, że gdy dojedziemy do miejsca pracy, postara się ze mną policzyć.

Przed bramą strzeżonego terenu budowy kazał mi wystąpić z kolumny i wejść na ciągnący się wzdłuż ogrodzenia pas "zapretnej zony". Wiedziałem, że wejście na pas było wzbronione. Gdyby się ktoś na nim znalazł, żołnierze mieli obowiązek użycia broni. Uratowało mnie solidarne stanowisko kilkuset więźniów, którzy odmówili wejścia na teren budowy i przystąpienia do pracy, póki żołnierze z eskorty nie zostawią mnie w spokoju. Po ostrej wymianie słów żołnierze ustąpili.



Z opowiadań starych więźniów wiedziałem, że żołnierze wysy-  
łali więźniów na pasy "zapretnych zon", a potem do nich strzelali.  
Pracującym w lesie proponowali wyjście poza rozciągnięty drut po  
jagody. Gdy więzień znalazł się poza drutem, oddawali strzały.  
Potem zgłaszali dowódcy i obozowemu naczalstwu, że więzień uciekał.  
Za uniemożliwienie ucieczki dostawali kilka dni urlopu i mogli  
pojechać do swoich rodzin.

O tego rodzaju przypadkach musieliśmy zawsze pamiętać.

Przez kilka miesięcy pracowaliśmy przy budowie dużego  
miejskiego domu kultury. Budowę rozpoczęli Japończycy. Pracując  
przy wykopach zauważyliśmy zbliżającego się do drucianego ogro-  
dzenia mężczyznę. Szedł z gołą głową, w rozpiętym wojskowym  
płaszczu. Wyglądał na około 30 lat.

Stojący na strażnicy żołnierz kazał natychmiast zawrócić, ale  
mężczyzna nie reagował. Zbliżył się do drutów i na naszą stronę  
przerzucił dość duży pakunek. Wartownik oddał strzał alarmowy.  
Na miejsce zdarzenia przybył dowódca eskorty. Mężczyzna zmierzał  
w kierunku zabudowań. Dowódca eskorty kazał go zatrzymać.

Żołnierz pognął za oddalającym się. Wielokrotnie wzywany do  
zatrzymania się mężczyzna nie zwalniał kroku.

Widzieliśmy jak żołnierz go dogania. Gdy odległość zmalała do  
paru metrów, mężczyzna odwrócił się i podniósł do góry rękę,  
w której coś błysnęło. W tym momencie padł strzał. Mężczyzna  
zakołysał się i upadł. W miejscu zdarzenia zgromadzili się  
ludzie... Ze względu na dość dużą odległość nie rozumiałem co  
mówili. Grozili żołnierzowi pięściami, wymyślali.

Do pomocy żołnierzowi przybyli koledzy z eskorty. Po kwadransie  
przyjechał samochód z dwoma oficerami milicji i dwoma cywilami.  
Pochylali się nad ofiarą, robili zdjęcia i rozmawiali z żołnierzami.  
Potem przyjechała karetka pogotowia ratunkowego.

Po paru dniach dowiedzieliśmy się, że mężczyzna zmarł w drodze  
do szpitala.

W przerzuconym przez druty pakunku znaleźliśmy 10 paczek  
papierosów "Siewier".

Po zakończeniu pracy, gdy wsiadaliśmy do samochodów, przed  
bramą gromadził się tłum.

Żołnierze próbowali ludzi rozpędzić. Straszili użyciem broni.  
Denerwowali się, że za wolno wsiadamy. - Szybciej, faszyci! -  
krzyknął żołnierz. Z tłumy posypały się protesty.

- Kto ci młokosie, powóedział, że to faszyści? - wołał jakiś dziadzio.

- Twoją rzeczą stać z pukawką ~~stxx~~ i pilnować. Nie masz prawa ich obrażać!...

- Ludzie poparli dziadka. Do sporu włączył się dowódca eskorty. Jakiś mężczyzna rzucił w niego kamieniem. Dowódca chciał go arestować. Doszło do szarpaniny. Mężczyzna wyrwał się, podbiegł do klatki schodowej pobliskiego budynku, wsiadł na stojący przy niej rower i odjechał.

Za odjeżdżającym posypały się strzały z maszynowego pistoletu.

- Bandyci, bandyci! - wołali ludzie.

Wystraszony rowerzysta zatrzymał się. Dowódca eskorty zabrał go do swego samochodu. Co z nim się stało, nie wiem. Zdarzenie to miało miejsce w centrum Bałchasz.

Na początku mieszkańcy odnosili się do nas pogardliwie. Z więźniami spotykali się często, ale nigdy nie widzieli noszących numery. Na zakładowych zebraniach przedstawiciele miejscowych władz tłumaczyli ludziom, że nasze numery oznaczają ilość zamordowanych przez danego więźnia radzieckich obywateli. Nosilem wówczas numer "Ł-868", co miało znaczyć, że zamordowałem 868 osób.

W stosunkowo krótkim czasie ludzie dowiedzieli się prawdy. Nie spoglądali już na nas bokiem i często na przechodzące ulicami kolumny numerowanych więźniów rzucali chlebem.

Funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa panicznie bali się jakichkolwiek kontaktów ludności z "wrogami narodu". Nie mieli zaufania nawet do eskortujących nas żołnierzy, których co kilka miesięcy wymieniano.

Gdy budowaliśmy miejski dom kultury, natrafiliśmy na zakopane w ziemi pneumatyczne młoty, kilofy, łopaty i inne narzędzia. Ustaliliśmy, że zakopali je Japończycy. Postanowiliśmy robić to samo. Przed zakończeniem pracy część narzędzi odnosiliśmy do magazynu, a część zakopywaliśmy do ziemi lub zalewaliśmy betonem.

Latem 1949 r. zachorowałem i poszedłem do lekarza. Miałem temperaturę 40° z jedną kreską. Lekarz skierował mnie do szpitala, którym zarządzał więzień narodowości rosyjskiej, Słudkin.

Krażyła pogłoska, że na wolności należał do <sup>grupy</sup> lekarzy kremlowskich. Był świetnym chirurgiem. Skazali go na 25 lat. Człowiekowi temu zawdzięczam ponad 3 miesiące odpoczynku. Jego pracę w szpitalu nadzorowali lekarze wojskowi z aparatu bezpieczeństwa. Górował nad nimi wiedzą zawodową i doświadczeniem.

Sierodkin zainteresował się mną przy pierwszym obchodzie chorych. Przynosił mi do czytania książki rosyjskich klasyków i pocieszał twierdząc, że kiedyś wrócę do kraju.

W wolnych chwilach zapraszał do swego gabinetu na pogaduszki. Zawsze mówił, że muszę siebie oszczędzać i unikać ciężkiej pracy, która bardziej niszczy zdrowie niż niedożywienie.

- Jesteś, Henryku, młody - powiadał - i masz szansę to piekło przeżyć. Tacy jak ty będą potrzebni. Czasy muszą się zmienić. Na dłuższą metę tak być nie może. Ja... tych czasów mogę nie dożyć, ale ty...

- Pewnego dnia oświadczył, że chce mnie przenieść na oddział gruźlików.

- Nie bój się - położymy cię z chorymi, którzy nie prątkują. Na oddziały chorób wewnętrznych dłużej nie mogę cię trzymać, a chciałbym, byś jeszcze odpoczął. Chcę zrobić z ciebie inwalidę, co zapewniłoby ci lżejszą pracę.

W obozie najbardziej liczy się zdrowie. Przeżyć rok i nie stracić zdrowia - to sukces.

- Zgodziłem się.

W szpitalu byłem prawie do końca roku. W grudniu składająca się z wojskowych lekarzy komisja uznała mnie za inwalidę. Czuję się dobrze. Nic mi nie dolegało. Ważyłem ponad 70 kg. W jaki sposób Sierodkin oszukał komisję, nie wiem. Przed końcem roku obozowe naczalstwo postanowiło odesłać inwalidów do inwalidzkiego łagru w Spassku.

Z raną kazali bym spakować rzeczy i przygotować się do wyjazdu. Przed bramą obozu czekały trzy ciężarowe samochody. Było mroźno i wiał silny wiatr. Do samochodów załadowano po 20 osób. Wśród inwalidów przeważali Ukraińcy. Byli też Litwini, Estończycy, Łotysze i Rosjanie.

Przy samochodach stali ubrani w długie białe kożuchy uzbrojeni żołnierze. Mieliśmy przed sobą osiem godzin jazdy. Do samochodu, w którym zająłem miejsce, wprowadzono z sąsiedniego obozu pięć młodych kobiet.



Sąsiedni, żeński obóz, był odgradzony od naszego wysokim murem, zakończonym zwojem kolczastych drutów.

Jedną była ~~była~~ Litwinka, pozostałe - Ukrainki. Wszystkie dobrze mówiły po polsku. Miały na piersiach i plecach obozowe numery. Żołnierze byli dość tolerancyjni. Pozwalali rozmawiać, nawet żartowali.

- Jeśli chcesz, - powiedział sierżant - możesz jedną z nich pocałować. Wybierz, która ci się podoba. Takiej okazji więcej nie będzie.

- Odpowiedziałem uśmiechem.

Od kobiet dowiedziałem się, że w żeńskim obozie było ich ponad dwa tysiące. Większość stanowiły Ukrainki, Litwinki, Łotyszki i Estonki. Dużo było także Rosjanek, Azjatek i około setki Polek.

Już po kilku kilometrach jazdy byliśmy zmarznięci. Otwarty ciężarowy samochód, siedząca pozycja, przy braku jakiegokolwiek ruchu - to jazda, której w takich klimatycznych warunkach nigdy nie chciałbym powtórzyć. Ale człowiek, jak mówią ludzie, to stworzenie, które znosi więcej niż może się komuś wydawać.

Jechałem, można powiedzieć, że samotnie, bo bez rodaków, w nowe nieznane...

W Bałchaszu został wspianały Ojciec Albin i dziesiątki kolegów, z którymi żyłem się jak w rodzinie.

Po południu dojechaliśmy do Karagandy. Żołnierze zrobili przerwę w podróży. Musieli rozgrzać się i dlatego zawieźli nas do więzienia. Wprowadzili do dużej sali. Przynieśli dwa wiadra gorącej wody i kubki. To nas ogrzało.

Po godzinie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Do celu mieliśmy około 40 km. Po drodze mijaliśmy charakterystyczne dla rejonu Karagandy hałdy węgla i urobku.

Po godzinie byliśmy w Spassku.

Kobiety powędrowały do obozu żeńskiego, a mężczyźni - do męskiego.

Po paru dniach kazali mi stawić się na komisję lekarską, która orzekła, że jestem zdrowy. Dali pierwszą kategorię i skierowali do pracy w kamieniołomach.

Pierwsze dni w nowym obozie zapowiadały się niedobrze. Ponad 3miesięczny pobyt w bałchaskim szpitalu mógł pójść na marne. Zacząłem żałować, że trafiłem do szpitala. W Spasskim obozie inwalidów dzielono na nadających się i nie nadających się do pracy.

Do nienadających się zaliczano tych, którzy nie poruszali się o własnych siłach. Więźniowie ci mieszkali w oddzielnych barakach, do których z kuchni dowożono posiłki. Nikt nimi nie opiekował się i nikt ich nie leczył. Wyglądali potwornie. Byli podobni do znanych z filmów oświęcimskich szkieletów. Kompletnie załamani psychicznie i pozbawieni jakiegokolwiek nadziei czekali na śmierć.

Nowi sąsiedzi straszili, że po kilku miesiącach pracy w kamieniołomach będą wyglądał tak samo jak oni.

Wśród inwalidów było dużo kalek - ludzi bez nóg i rąk.

Więźniowie bez nóg pracowali w pracowniach krawieckich, szewskich i innych, w pozycji siedzącej. Więźniów bez jednej ręki, którzy nie skarżyli się na inne dolegliwości, do inwalidów nie zaliczano. Pracowali w kamieniołomach jako noszowi. Do nosz dobierano po dwóch więźniów bez lewej ręki i po dwóch bez prawej. Codziennie przez 10 godzin nosili na kupy połupane przez innych więźniów kamienie. Więzień bez ręki posiadał tylko jeden przywilej - nie mógł pracować poza terenem obozu.

Po komisji lekarskiej trafiłem do zatrudnionej w kamieniołomach brygady Makarewa. Brygada składała się z ponad 30 osób. Wszyscy, poza Afgańczykiem, Niemcem, dwoma Japończykami i mną, byli Ukraińcami. Niemiec w czasie wojny służył w Wehrmachcie. Trafił do sowieckiej niewoli i przez parę lat przebywał w obozie jenieckim. Potem osadzili go w więzieniu i skazali na 10 lat łagrów. Często śmiał się, że skazali go za zdradę ojczyzny. Opowiadał, że w obozach jenieckich bez przerwy urzędowali oficerowie MGB. Dniami i nocami wzywali jeńców na przesłuchania. Przy okazji werbowali donosicieli, którzy pomagali wyławiać maskujących się wśród żołnierzy oficerów, pracowników wywiadu, ss-manów... Donosicieli łudzono możliwością wcześniejszego powrotu do kraju. Zdemaskowanych oficerów, ss-manów itp. wywożono w nieznanym kierunku. Część z nich znalazła się w łagrach. Istnieje przypuszczenie, że część wysłano tam, skąd się nigdy nie wraca. Żołnierz niemiecki twierdził, że skazali go za wysadzenie mostu na Dnieprze. Nie pomogły tłumaczenia, że miał taki rozkaz. - Gdybyś był solidnym człowiekiem - mówił oficer śledczy - nie wykonałbyś rozkazu. Dobrze wiesz ile nasi ludzie włożyli pracy, by ten most zbudować...

Japończycy byli oficerami lotnictwa. Zostali zestrzeleni w czasie lotu nad terytorium sowieckim. Uratowali się, skacząc na spadochronach. Próbowali przedostać się do swoich przez linię frontu, ale próba nie udała się. Zamiast do obozu jenieckiego trafili do więzienia. Obu oskarżono o szpiegostwo i skazano na dziesięć lat łagrów.

Zapamiętałem ich jako ludzi inteligentnych i uczciwych. Mówili dobrze po francusku i po angielsku. Języka rosyjskiego nauczyli się w łagrze. Do Polaków mieli dużo sympatii i ciekawe to, że nie lubili Niemców. Z wehrmachtowcem nie chcieli rozmawiać.

- Patrz - żartowali - tam siedzi nasz "sojusznik"...

- Przeze mnie na 5 dni trafili do karceru.

Fewnego dnia, po powrocie z kamieniołomu zgłosiliśmy się do pracy w magazynie żywnościowym. Liczyliśmy, że uda się tam coś zjeść. Układaliśmy worki z kaszą jęczmienną. Z głodu jedliśmy ją na surowo, ale na sucho za wiele nie zjedliśmy. Przed zakończeniem pracy wypchaliśmy ją kieszenie i podwiązane sznurkiem nogawki spodni. Przed bramą obozu zrobili rewizję, kazali wysypać kaszę i ukarali karcerem. Miałem ich na sumieniu, bo nie chcieli brać kaszy do obozu. Musiałem zadać sobie dużo trudu by ich namówić. W karcerze miałem z Japończykami ubaw. Nie mogli sobie darować, że siedzą za złodziejstwo. Mówili, że w Japonii złodziej jest człowiekiem straconym na całe życie. Bali się, że po powrocie do kraju będą za to potępieni. Długo tłumaczyłem, że to, cośmy wzięli nie jest kradzieżą.

- Bylibyśmy złodziejami - mówiłem - gdybyśmy wzięli kaszę dla osobistych korzyści. Nie my, lecz oni są złodziejami, bo okradli nas z wolności, pozbawili ojczyzny, rodzin, bliskich, uczynili niewolnikami i do tego męczą głodem.

- Mimo mych przekonywań Japończycy mieli wyrzuty sumienia. Do mnie nie rościli pretensji. Twierdzili, że każdy człowiek ma rozum i nie zawsze powinien słuchać innych.

Afgańczyk siedział za nielegalne przekroczenie sowieckiej granicy. Trudnił się przemytem złota, które po wojnie w ZSRR można było kupić prawie za darmo. Granicę przekraczał wiele razy, aż w końcu wpadł. Złoto przemycał do Indii. Zatrzymali go żołnierze radzieckiej straży granicznej. Sąd uznał, że Afgańczyk przekroczył granicę w celach szpiegowskich i skazał go na 10 lat.



Wszyscy Ukraińcy za działalność w UPA dostali po 25 lat. W spasskim obozie przebywali więźniowie różnych narodowości. Dużo było Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Kazachów, Uzbeków, Gruzinów, Czeczenów i Polaków.

Prawie wszyscy Polacy byli zaliczeni do wielotysięcznej grupy inwalidów.

Z żadnym z rodaków w spasskim obozie nie udało mi się zaprzyjaźnić. Byli tak załamani, że nie chcieli z nikim rozmawiać. Nie chcieli wracać do przeszłości, a tym bardziej mówić o przyszłości.

Twierdzili, że są straceni, że ten obóz jest ich ostatnim obozem. Z bólem w sercu odwiedzałem te chodzące jeszcze z dużym wysiłkiem szkielety. Denerwowali mnie zapewnieniami, że po kilku miesiącach będę wyglądał tak jak oni. Ludziom tym nie mogłem pomóc.

- Nie widzisz- pytali - ilu tu nas umiera?

Codziennie za zonę wywożą kilkanaście trupów... Jutro albo pojutrze wywożą i nas. Pochowają bez krzyża. Zamiast nazwiska na tabliczce przy słupku napiszą tylko więzienny numer...

- W Spassku spotkałem się z największą śmiertelnością. Pewnej nocy zmarł skazany za wysadzenie mostu Niemiec. Dostał ataku serca. Próżno kołataliśmy do zamkniętych od zewnątrz drzwi baraku i zakratowanych okien. Zmarły leżał w baraku do rana.

Obóz żeński od naszego łagru oddzielał, podobnie jak w Bałchaszu, wysoki, zakończony kolczastym drutem mur. W obu łagrach przebywało ponad osiemnaście tysięcy więźniów politycznych. W obozie męskim więźniów było nieco więcej niż w żeńskim.

Wobec braku przyjaźni z rodakami, w Spassku czułem się osamotniony. Z przyjemnością wspominałem Bałchasz. Gdy leżałem w szpitalu, co dzień po pracy odwiedzali mnie koledzy. Najczęstszym gościem był Ojciec Albin. Czasami przynosili coś z żywności, którą otrzymali w paczkach od rodzin.

Mimo braku przyjaciół nie traciłem wiary. Do końca wyroku miałem tylko cztery i pół roku. Dzięki Bogu byłem zdrow i miałem dość sił by się trzymać.

W obozowych warunkach zdrowie i siła liczą się najczęściej. Taki człowiek przez wszystkich jest szanowany. Jedną szanują go ze strachu, a drudzy z kalkulacji. Ludzie słabi często szukają w nim oparcia. Liczą, że silny w wielu wypadkach może pomóc, że nie pozwoli skrzywdzić...

Makarew był Ukraińcem. Od początku odnosił się do mnie poprawnie. Chętnie rozmawiał po polsku. Sądził go za przynależność do UPA. Wiedział, że byłem żołnierzem AK.

Gdy opowiedziałem mu o akowskiej przeszłości, zakasał wysoko rękaw koszuli i pokazał trzy duże blizny na prawej ręce.

- To kule akowców - powiedział z uśmiechem. Rozwalili mi kość...

Mało brakowało, bym pozostał bez ręki. Bo bitwie nasi wycofali się. Trafiłem do rąk akowskich. Byłem pewny, że rozstrzelają.

Uratowała mnie ich sanitariuszka. - sąsiadka ze Lwowa i koleżanka z gimnazjum. Czuliśmy do siebie sympatię. Może było w ~~tych~~ coś z pierwszej miłości...

Ona interweniowała u swego dowódcy i dlatego żyję. Po opatrzeniu ran odwieźli mnie do Lwowa, do domu rodziców. Nasi nigdy by tak nie postąpili. Gdybym wstawił się za jakimś żołnierzem z AK, zostałbym rozstrzelany.

Praca w kamieniołomach była cięższa od wszystkich, które wykonywałem w łagrach. Kamienie rozbijaliśmy przy pomocy stalowych klinów i ciężkich młotów. Pracowaliśmy dwójkami - jeden trzymał klin, a drugi walił po nim młotem.

Z czasem nauczyłem się łupać kamienie bez klina. Wystarczyło popatrzeć, a już wiedziało się w jakie miejsce uderzyć, by kamień pękł.

Część więźniów trudziła się wydobywaniem i łupaniem kamieni, a część przenoszeniem i układaniem.

Były jeszcze grupy ładowaczy, którzy ładowali je na samochody. Nikt nie troszczył się o bezpieczeństwo pracy i nie przejmował się dużą ilością wypadków.

Makarew traktował mnie lepiej niż swoich ziomków. Często przychodził na pogaduszki i pomagał łupać. Później zlecił mi lekką pracę przy pomiarach wydobytych kamieni.

Gdy zwróciłem mu uwagę, że faworyzując mają osobę naraża się swoim ziomkom, powiedział, że nie muszę o nich martwić się.

Dużo opowiadał o rzezi Polaków.

Twierdził, że będąc w UPA nikogo nie zamordował. Po zagojeniu ran pozostał w domu.

Dość często dawał mi wolne dni. Brygada wychodziła do pracy, a ja siedziałem w baraku.

W połowie 1950 r. otrzymałem od babci paczkę. Zawartością podzieliłem się z Makarewem i Japończykami.

W Spassku przebywałem do jesieni 1951 r. Ze spasskiego obozu pozostały bardzo przykre wspomnienia. Ponad 50 % więźniów stanowili tam mocno zaawansowani, plujący krwią gruźlicy. Nikt ich nie leczył. Nie mieli nawet lepszego wyżywienia. Mieszkali w gorszych niż zdrowi barakach i musieli ciężko pracować. Krążyli między barakami jak cienie. Wyglądali okropnie - głęboko zapadnięte oczy, wystające policzkowe kości... Zwisające i pofałdowane na tyłkach spodnie świadczyły o braku pośladków. Wyglądali jak żywe szkielety.

Kiedyś miałem przykre zdarzenie. Stałem w kolejce przed okienkiem, by odebrać obiad. Gdy znalazłem się przed okienkiem, weszli przede mnie czterej więźniowie. Ponieważ nie stali w kolejce, oświadczyłem, że przede mną nie pobiorą posiłków. Dwaj byli Czeczenami, a dwaj Rosjanami.

- Widziałeś go? ... - oburzył się jeden z Czeczenów. - Kto ty takoj, wor ili frajer?<sup>x</sup>

- Nie dałem żadnej odpowiedzi. Z zabójczych spojrzeń zorientowałem się, że mogę przysporzyć sobie kłopotów, ale podałem kucharzowi naczynia i przed siebie ich nie wpuściłem.

Z kuchni skierowałem się w stronę swego baraku. Słyszałem, że za mną biegną. Wkrótce cała czwórka była przy mnie. Zaczęli bić, kopać, Po chwili upadłem. Oni ciągle kopali. - Będiesz miał, frajerze nauczkę - krzyczał Czeczen.

- Jeśli jeszcze raz wejdiesz w paradę, zabijemy - wołał inny. Gdy podniosłem się, podszedł nieznajomy Rosjanin. - Człowieku! Nigdy nie próbuj ich zaczepić - powiedział - Takim trzeba schodzić z drogi z daleka. To przecież Misza - Czeczen, watażka suk.

Byłem mocno pokrwawiony. Rosjanin towarzyszył mi do ~~baraku~~ baraku.

- Suki - to współpracujący z obozową administracją złodzieje. Naczalstwo ich toleruje. Nigdy z tą bandą nie zaczynaj. Mogą człowieka zabić i nikt ich nie ukarze.

Ze Spasska wyjechałem z liczącą ponad tysiąc osób grupą.

---

x Kto ty takoj, wor ili frajer? - Kim jesteś, wodził się czy frajerem?



XVI. OLŻERAS

=====

Zawieźli nas koleją do górniczego osiedla w Kiemierowskiej  
obłasti - do Olżerasu, w rejonie Stalińska.

Były tam dwa "spec-łagry" z więźniami politycznymi. Trafiliśmy  
do jednego z nich.

W obozie zamiast baraków stały duże, zbudowane z cegły, dwupiętrowe  
budynki. Od strony wartowni mieliśmy widok na położone na wzgórzu  
osiedle, a z przeciwnej strony - na malownicze, pokryte iglastym  
lasem wzgórze.

Z lewej strony był drugi obóz, a z prawej, ciągnąca się ku pagór-  
kom dolina.

W nowym obozie przeważali ludzie młodzi. Zdecydowaną więk-  
szość stanowili skazani na 25 lat Ukraińcy. Podobnie jak w poprzed-  
nich łagrach dużo było Litwinów, Łotyszy, Estończyków i Rosjan.  
Grupa Polaków składała się z kilkudziesięciu więźniów.

Szybko się z nimi poznałem i zaprzyjaźniłem. Najbardziej żyłem  
się z Czeskiem Juchniewiczem, Jankiem Ciulewiczem, Bronkiem  
Żelińskim i Antkiem Borowskim.

Czesiek pochodził z Lidy, Ciulewicz - z Grodna, Broniek - z Turgiel,  
a Antek - z położonej koło Grodna wsi.

Bronka skazali na 25 lat za współdziałanie z ukrywającymi się po  
lasach akowcami. Czeska zabrali z domu, z powiazanymi z polskim  
podziemiem. rodzicami. Miał zaledwie 13 lat.

W czasie śledztwa oficerowie MGB pytali go o rodziców, krewnych  
i ich znajomych. Nie mówił nic, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić.  
Chłopca męczyli przez kilka miesięcy. Był na nich wściekły.

Któregoś dnia oficer śledczy wyszedł do sąsiedniego pokoju. Czesiek  
zajrzał do lekko przymkniętej szafy i zobaczył zawieszoną "pepesz-  
kę". Bez namysłu sięgnął po broń. Była z wypełnionym amunicją  
bębenkiem.

- Pomyślałem - mówił - że taka okazja może się już nie zdarzyć.  
Kropnę drania i powiem, że zabiłem go za rodziców, za krewnych,  
sąsiadów i za wszystkich aresztowanych. Stałem przy drzwiach  
i czekałem aż się drań pojawi.

Gdy otworzył drzwi, nacisnąłem spust i wpakowałem w kapitana  
całą serię... Widziałem jak zachwiał się i po chwili runął  
na podłogę.

Ze strachu wyskoczyłem przez okno. Co działo się później, nie wiem. Okazało się, że wyskoczyłem z 3 piętra. Pamięć odzyskałem w szpitalu.

Po wyleczeniu za zabicie kapitana dali mi 10 lat. Przez 5 lat trzymali w obozie dla niepełnoletnich. Gdy ukończyłem 18 lat, przywieźli do Olżerasu.

- Janka Ciulka ~~zabito~~ ~~zabito~~ sądzono, gdy miał 14 lat. Był łącznikiem w sieci podziemia.

Podobnie jak Czeška skazali na 10 lat i podobnie jak Czesiek przeszedł przez obóz dla niepełnoletnich.

Antek za przynależność do "białopolskiej" bandy" zarobił 25 lat.

W 1952 r. w olżeraskim obozie doszło do buntu więźniów.

Po pracy, było to późną jesienią, siedząc w budynku usłyszałem serie strzałów, a po nich krzyk więźniów: - Bandyci! Mordercy! Czerwoni faszyci!

- Do budynku wpadli mocno podnieceni młodzi ludzie. - Dlaczego tutaj siedzicie? Wychodźcie! Szybciej!... Oni do nas strzelają... są zabici i ranni. - Młodzi ludzie wzywali wszystkich do opuszczenia budynku.

Po chwili znalazłem się na wypełnionym tłumem placu. Część zachowywała się biernie, a część więźniów była zajęta poszukiwaniem nadzierateli. Odnalezionych wyganiano za obozową bramę. Jeśli któryś opierał się, dostawał po kościach. Z tłumu żywo wyłaniali się przywódcy, z których utworzono obozowy samorząd. W skład samorządu weszli przedstawiciele wszystkich narodowości.

Powołano własną straż porządkową. Po godzinie obóz otoczyły gęste szpalery żołnierzy MGB.

Na wartowni i przed bramą zgromadziło się obozowe naczalstwo i dowództwo ściągniętych do ochrony łagru jednostek wojskowych. Obozowi przywódcy ostrzegali, by żaden z nich nie odważył się wejść na teren obozu. Żądali przybycia generalnego prokuratora i ukarania winnych.

Oficerowie wzywali więźniów do rozejścia się.

- Wróćcie do budynków - wołali przez tuby - i pozwólcie przystąpić obozowej służbie do normalnej pracy.

Przez kilka godzin obie strony nie chciały ustąpić.

W pewnej chwili bramę przekroczyli uzbrojeni w maszynowe pistolety żołnierze.

29

Zajęli stanowiska przy ruchomej barierze. Oficerowie nadal wzywali więźniów do rozejścia się. Za trwanie w uporze grozili użyciem siły.

Więźniowie domagali się wycofania żołnierzy za bramę.

- Zabierzcie ich! Zabierzcie natychmiast! - wołali - Jeśli nie zabierzecie, to wygonimy siłą.

Tłum zbliżał się do bramy. Byłem w czołówce. Mieliśmy do niej nie więcej niż 50 m.

Na żołnierzy sypały się najgorsze epitety. Wyzywaliśmy ich od morderców, bandytów, katyńskich oprawców i krwawych gołąbków pokoju.

Ktoś z tłumu krzyknął: "Wyrzucimy ich!"

- Wyrzucić! Wygonić! - powtórzyli więźniowie. Tłum ruszył do przodu. Na wartownię i żołnierzy posypały się kamienie. Po kilku sekundach rozległy się serie strzałów z maszynowych pistoletów. Odruchowo schroniłem się w przydrożnym rowie. Gdy strzały umilkły, usłyszałem krzyk, że kogoś zabili. Na drodze do wartowni leżał trup. Ludzie rozsypali się na różne strony. Było względnie spokojnie więc wyskoczyłem z rowu i ukryłem się za najbliższym budynkiem. Mogłem spokojnie rozejrzeć się. Na drodze do wartowni było więcej trupów. W budynku opatrywano rannych. Strzały padły nie tylko przed wartownią. Posypały się serie kul również z wartowniczych wież. Wiele kul utkwilo w ścianach budynków. Strzelano do okien. Kule odnajdywaliśmy na pryczach w pościeli. Trupy postanowiliśmy pozostawić na miejscu zbrodni. Podniecenie wzmagало się. Ostrzegaliśmy obozowe naczalstwo i dowództwo wojskowe, że na teren obozu nikogo nie wpuścimy. Na znak protestu ogłosiliśmy głodówkę. Zbliżała się godzina 22<sup>00</sup>. O tej porze zwykle zamykano budynki. Teraz były otwarte i puste. Wszyscy więźniowie byli na placu. W kilka minut po godzinie 22,00 na teren obozu wszedł naczelnik służby zdrowia. Był w stopniu majora. Wyszło mu na spotkanie kilkudziesięciu więźniów. Byłem jednym z nich.

- Z czym przychodzicie, majorze? - spytał członek samorządu.

- Major milczał. Przez kilka sekund nie mógł wycedzić słowa.

- Nie bójcie się! Z naszej strony nic wam nie grozi. Mówcie!

- Przyszedłem - mówił jękając się - z rozkazu dowództwa. Jestem lekarzem. Dowództwo i naczelnik obozu kazali mi przekazać, że niezwłocznie powinniście rozejść się do budynków.



Znacie przecież obozowy regulamin i wiecie, że po godz. 22.00 wszystkie budynki muszą być zamknięte. Kazali też poinformować was, że jutro przybędzie z Moskwy komisja, która zbada przyczyny i przebieg dzisiejszych zdarzeń. W składzie komisji będzie przedstawiciel generalnego prokuratora.

- Majorowi oświadczono, że o rozejściu się nie może być mowy.
- Za dobrze was znamy. Chcielibyście nas zamknąć w zakratowanych budynkach i pozacierać ślady zbrodni. Chociaż jesteście lekarzem, nie mamy do was zaufania. Nie ufamy wam, majorze, bo nosicie mundur zbrodniczej instytucji. Powiedźcie swoim przełożonym - oświadczył członek samorządu - że nie rozejdziemy się.
- Po godzinie major pojawił się ponownie. Oznajmił, że naczelnik obozu i dowódcy wojskowych jednostek zgodzili się pozostawić na noc budynki otwarte.

Bunt więźniów w Olżerasie rozpoczął się od incydentu z dwoma nadzierateli. W jednym z budynków Ukraińcy śpiewali ludowe piosenki. W tym czasie pojawili się nadzieratiele. Kazali natychmiast przerwać śpiew. Więźniowie nie usłuchali. Doszło do ostrej wymiany słów. Na nadzierateli posypały się obelżywe epitety.

Dotknięci tym przedstawiciele obozowej władzy usiłowali winnych zabrać do karceru, ale spotkali się z oporem. Doszło do szarpaniny, która zakończyła się wypędzeniem nadzierateli z budynku. Wypłoszony nadzierateli, widząc goniących za nim więźniów wołał "ratunku". Krzyczał, że chcą go zabić. Wtenczas żołnierze z otaczających obóz strażniczych wież otworzyli ogień.

Przez całą noc na placu czuwała więzienna straż. Z rana nie wyszliśmy na "rozwod". Czekaliśmy na przybycie komisji. Około godz. 10,00 na teren obozu weszła duża grupa oficerów z mężczyzną w skórzanym płaszczu. Otoczyły ją setki więźniów.

- Oto prokurator - naczelnik obozu wskazał na mężczyznę w skórzanym płaszczu.

- Możecie zgłaszać mu swoje pretensje.
- Skąd możemy wiedzieć, że jest prokuratorem? - spytał członek samorządu.

My go nie znamy.

- Mężczyzna w skórzanym płaszczu okazał legitymację. Nie był generalnym prokuratorem ale działał z jego upoważnienia.

Oświadczył, że jest przewodniczącym powołanej przez generalnego prokuratora komisji do zbadania wczorajszych wydarzeń. Zapewnił, że komisja działać będzie obiektywnie.

Po krótkiej rozmowie komisja przystąpiła do pracy.

Jedni przesłuchiwali świadków, inni oglądali zwłoki, rozmawiali z więźniami, robili zdjęcia i dokonywali pomiarów odległości od śladów kul do stanowisk ogniowych.

Więźniowie żądali ukarania naczelnika obozu, dowódcę wojskowej jednostki i dwóch nadzieratieli, którzy doprowadzili do krwawych zająć.

Przedstawiciel generalnej prokuratury tłumaczył, że zebrane materiały przekaże generalnemu prokuratorowi, który podejmie odpowiednie decyzje. O ukaraniu winnych nie otrzymaliśmy żadnych informacji.

Po kilku dniach dokonano zmiany na stanowisku naczelnika obozu i wymieniono dwóch nadzieratieli.

W Olżerasie pracowaliśmy przy budowie fabryki wzbogacającej węgiel. Rosjanie nazywali ją "obogatitielnym zawodom".

Pod koniec 1952 r. fabrykę oddano do eksploatacji. W prasie ukazały się artykuły, w których pisano, że fabrykę zbudowali dzielni komsomolcy.

Gazetę z takim artykułem pokazaliśmy obozowej służbie dozoru.

- Od kiedy - pytaliśmy - zostaliśmy przyjęci do komsomołu? -

Tego rodzaju pytania kwitowałem głupim uśmiechem. Tylko jeden nadzieratiel usiłował dowieść, że prasa nie kłamie. - Przecież na budowie - twierdził - pracowali również ludzie wolni - inżynierowie, technicy i różnego rodzaju specjaliści, którzy niewątpliwie należeli do komsomołu.

- Zapomniał, że tych specjalistów było około dwudziestu, a więźniów ponad tysiąc.

W Olżerasie wstrząsnęła obozem wiadomość o śmierci Stalina. Dla milionów mieszkańców olbrzymiego kraju ten człowiek wydawał się nieśmiertelnym. Uważali go za Boga, porównywali z życiodajnym słońcem...

Dla innych milionów tego samego kraju był najpotworniejszym tyranem i zbrodniarzem.

Część społeczeństwa wiadomość przyjęła z przerażeniem, a część z nieuzewnętrzną radością.

Zmarł człowiek, którego jedni uważali za najdoskonalszego, wszechwiedzącego i nieomylnego wodza, a inni - za najpotworniejszego zbrodniarza.

- Co teraz będzie? - pytali - kto go zastąpi? - Czy znajdzie się człowiek, który potrafi tak jak on kierować wielonarodowym i wieloproblemowym państwem?

Miliony obywateli bez Stalina nie wyobrażały dalszego życia. Widziały w nim swoje słońce, swój drogowskaz, swego Boga... Nagle to słońce zgasło. Pograżeni w ciemności upodobniali się do pozostawionych bez opieki ślepców. On nimi kierował, za nich myślał i o wszystkim wiedział...

W całym kraju ogłoszono żałobę.

Wszystkim obywateli radzieckich, nie wyłączając więźniów, obowiązywał zarządzony odgórnie smutek. Nikt w tym czasie nie śmiał żartować, uśmiechać się... Jeden uśmiech mógł drogo kosztować. W dniach powszechnej żałoby, zdaniem władz, cieszyć się mogli tylko najgorsi wrogowie narodu. Ludzie bali się, by nie uznano ich za wrogów.

~~Kilkuset~~ Kilkuset tysięcy armia funkcjonariuszy MGB, miliony partyjniaków i komsomolców czuwały, by wrogów rozpoznać i przykładowo ukarać. Za lekceważenie żałoby tysiące obywateli skazano na wiele lat łagrów.

Stalin zmarł późnym wieczorem 5 marca. O jego śmierci dowiedzieliśmy się dopiero z rana, gdy na jednym z urzędowych budynków pojawił się ogromny, obramowany czernią portret generalissimusa. Na wszystkich budynkach powiewały żałobne flagi. Patrząc na przedziane w żałobną czerń osiedle, z radości zapłakałem. - Sowiecki Hitler nie żył. Nie żył sprawca najpotworniejszych ludzkich tragedii; nie żył jeden z największych zbrodniarzy ~~z~~ od początku świata.

Owoce jego tyrańskich rządów były miliony więźniów, miliony zesłańców i miliony zamordowanych. Ludzie dotknięci ręką okrutnego kata cieszyli się - cieszyli się po cichu, w duszy, bo inaczej nie mogli.

Więźniowie nie ukrywali radości, bo skazanym na 25 lat łagrów nic nie groziło.

Podczas pogrzebu w całym kraju zarządono chwilę ciszy. Na gwizd syren każdy obywatel musiał odwrócić się twarzą w stronę Moskwy i stanąć na bacność.



W jednej chwili zamarł ruch. Zatrzymały się samochody, tramwaje, trolejbusy i pociągi.

W tym czasie wracaliśmy z pracy. Na rozkaz dowódcy eskorty zatrzymaliśmy się i odwróciliśmy się twarzą do stolicy.

Przy kolumnie więźniów zatrzymał się samochód-wywrotka, z którego wysiadł odziany z brudny kombinezon kierowca. Zamiast stanąć na baczność, człowiek ten oparł się plecami o szoferkę i zapalił papierosa. Był w średnim wieku. W parę sekund po ustaniu wycia syren żołnierze z eskorty zatrzymali kierowcę.

Później dowiedzieliśmy się, że za zbagatelizowanie żałoby dostał 10 lat łagrów.

Na szczęście były to już ostatnie ofiary stalinizmu.

Postrachem dla ludu był jeszcze Beria, w którym upatrzono najpoważniejszego kandydata na miejsce Stalina.

Stalin darzył go największym zaufaniem, za jego życia był szefem MGB - instytucji, na której opierał się stalinowski system - reżim. Wymieniano i innych kandydatów, ale najczęściej szans dawano Berii. Gdyby doszedł do władzy, zamieniłby Rosję i pół Europy w jeden wielki łagier.

Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że pierwszym sekretarzem KPZR został Nikita Chruszczow, przewodniczącym Rady Najwyższej - Kliment Woroszyłow i premierem Rządu - Georgij Malenkow.

Niedopuszczenie okrutnego Berii do najwyższej władzy zwiastowało nadejście nowej ery. Spodziewano się odwrócenia wszechwładzy aparatu bezpieczeństwa państwa.

W kilka dni po śmierci Stalina część więźniów przerzucono do sąsiedniego łagru. Byłem jednym z nich.

W nowym obozie poznałem nowych rodaków, między innymi: Iwanowskiego Bocheńskiego i Korczyca, rodzonnego brata znanego w Polsce Ludowej generała - Władysława Korczyca, który trafił do polskiej armii podobnie jak Rokossowski i podobnie jak on musiał się z nią pożegnać.

Pewnego dnia w obozie zjawili się dwaj wysocy funkcjonariusze MGB, Przyjechali z Moskwy w sprawie Korczyca.

W czasie rozmowy powiedzieli mi, że przybyli do łagru na interwencję brata, szefa sztabu generalnego polskiej armii, który zabiega w Moskwie o jego uwolnienie.

Oświadczyli, że nowy minister podjął decyzję.

- Twój brat poręczył za ciebie. Musisz mu być wdzięczny.

Biorąc pod uwagę jego zasługi, władza radziecka zgadza się, byś powrócił do Polski. Jutro możesz być w Warszawie.

Niepotrzebnie wplątałeś się w złą politykę. Na pewno tego żałujesz  
- Korczyc wysłuchał panów z ministerstwa i oznajmił, że nie ma brata.

Panowie nie uwierzyli. Pokazali kilka zdjęć Władysława, z czasów młodości i w mundurze generała, ale nic nie wskórali. Więzień nie przyznał się do brata, chociaż rozpoznał go ze zdjęć.

Panowie z Moskwy nie uwierzyli w pomyłkę. Nalegali, by więzień wszystko sobie przemyślał.

- Pamiętajcie - mówili - że to wasza szansa. Brat wam wybaczył. Władza radziecka również.

- Pytaliśmy Korczyca dlaczego nie skorzystał z okazji. Odpowiedział: że z łaski brata - zdrajcy ojczyzny - nie skorzysta.

- Mój brat - ~~powiadamy~~ - uciekł z kraju i poszedł na służbę obcego i wrogiego nam państwa. Do Polski powrócił na rozkaz z Kremla jako moskiewski agent...

- Korczyc-więzień przed wojną był nauczycielem, a w czasie okupacji oficerem Armii Krajowej.

W pierwszym olżeraskim obozie Ukraińcy utworzyli silną i dobrze działającą tajną organizację. Kierował nią były major z dywizji "Galiczyna", Betudin z kilkoma unickimi księżmi. Organizacja starała się opanować wszystkie obsadzone więźniami kluczowe stanowiska. Przede wszystkim miała na uwadze kuchnię, magazyny, ośrodek zdrowia, łaźnię, pralnię, chleborezkę, stanowisko nariadczyka, dział gospodarczy i KWCZ.<sup>x</sup> Większość tego rodzaju stanowisk obozowe naczalstwo obsadzało więźniami, którzy byli na usługach pełnomocnika MGB.

Na tym tle w obozie rozegrała się walka. Ukraiński sztab tajnej organizacji wydawał wyroki śmierci. Wykonywali je w nocy młodzi banderowcy. Skazanych zarzynali wykonanymi w czasie pracy nożami. Mimo szczegółowych rewizji przemycali je do łagru.

Po każdej egzekucji nadzieratiele robili w barakach rewizje, szukali ostrych narzędzi i śladów krwi. Więźniów rozbierali do naga. Przeszukiwali pościel, prycze i wszystkie zakamarki.

Więźnia, u którego na odzieży, bieliźnie, pościeli lub pryczy znaleziono ślady krwi, zabierano do więzienia i oddawano pod sąd.

---

x KWCZ - Kulturalno-Wospitatielnaja Czast', - Dział Kulturalno-wychowawczy

Oskarżony o zabójstwo dostawał nowy 25-letni wyrok, który liczył się od dnia przestępstwa, przez co tracił tylko czas, który już odsiedział. W olżeraskim obozie za zabójstwo skazano tylko dwóch więźniów, a zabójstw było kilkadziesiąt.

Nie wszyscy więźniowie wiedzieli o co w tej walce idzie. W obozie zapanowała atmosfera strachu. Głośno mówiło się, że Ukraińcy chcą opanować łagier, że pragną zgarnąć dla siebie wszystkie atrakcyjne stanowiska, że chcą żyć kosztem innych narodowości... Tego rodzaju pogłoski rozpowszechniali nadzieratele i obozowi szpicle.

Niektórzy więźniowie wzywali więźniów innych narodowości do zorganizowania obrony.

Całe szczęście, że do tego nie doszło. Wzajemne mordowanie się więźniów nikomu nie było potrzebne.

Z szefem tajnej ukraińskiej organizacji Bendinem byłem w jednej brygadzie. O tym, że jest szefem dowiedziałem się od brygadzysty ze Spasska, Makarewa, który znał Bendina ze Lwowa. Jakie były powiązania Makarewa z Bendinem w obozie, nie wiem. Zdradził mi tajemnicę, gdy zawiadziłem mu się z zamiaru przejścia do bragady, w której większość stanowili Rosjanie. O ukraińskich zbrodniach w południowo-wschodniej Polsce wiedziałem dość dużo.

- Skoro tam mordowali, kierując się przede wszystkim nienawiścią - myślałem - to pewnie z tego samego powodu mordują tutaj...

- Makarew wyjaśnił, że wszystko wygląda nie tak jak myślę.

- Tamto - mówił - było zupełnie co innego. Walka Ukraińców o narodowe prawa - tłumaczył - była słuszna, ale jej metody - paskudne. Tutaj wchodzi w grę sowieccy kolaboranci, którzy rozpychają się sobie brzuchy naszym kosztem. Poza tym są dla nas niebezpieczni, bo gdy doniosą na człowieka, grozi mu karcer, BUR lub dodatkowy wyrok. Stanowiska, które oni zajmują, powinni zajmować nasi ludzie Ukraińcy, Polacy, Litwini, Rosjanie... Ukraińcy nie chcą tych stanowisk wyłącznie dla siebie. Ich zdaniem wszystkie grupy narodowościowe powinny utworzyć własne przedstawicielstwa. W sprawach tych powinniśmy działać wspólnie.

- Po pewnym czasie takie przedstawicielstwa powstały, ale więźniowie innych narodowości do mordowania szpicli nigdy nie włączyli się. Tę sprawę pozostawiono Ukraińcom. Przedstawicielstwa decydowały tylko o obsadzie obozowych stanowisk.



Raz byłem świadkiem wykonania wyroku śmierci. Z rana, przed rozwozem, poszedłem do zbiorowej ubikacji. Jeszcze było ciemno. Gdy kucnąłem nad otworem, usłyszałem tupot wbiegających więźniów, a potem przeraźliwy krzyk siedzącego o parę otworów dalej więźnia, uderzenie i ponowny tupot oddalających się postaci. Podniosłem się, szybko naciągnąłem spodnie, rozejrzałem się na wszystkie strony i wyszedłem. Ktoś krzyczał, że zabili człowieka.

- Zabili w ubikacji!...

- Z ciekawości wróciłem do tego przybytku. Nad jednym z otworów w kałuży krwi leżał trup. Przyjrzałem mu się bliżej i rozpoznałem Miszę - Czeczena, watażkę suk.

- Dobrze ci - pomyślałem - i szybko udałem się do budynku. Byłem przekonany, że Miszę spotkała Boża kara. Zabili go wykradzioną z kuchni siekierą.

W drugim obozie część więźniów była bez zatrudnienia. Wykorzystywano ich do prac porządkowych. Wiedzieliśmy, że część muszą gdzieś przerzucić.

Do końca wyroku pozostało mi tylko 14 miesięcy.

#### XVII. OSTATNI OBOZ

W połowie maja około 3000 więźniów odbywałem podróż na zachód. Wieźli nas, jak zawsze w zakratowanych towarowych wagonach.

Stłoczeni po 50 i więcej osób znosiliśmy wszystkie niewygody. W wagonach było duszno. Jak na złość codziennie dostawaliśmy po kawałku bardzo słonej ryby, a wodę tylko raz na dobę, po pół litra na osobę.

Podróż trwała kilka dni. Przed Omskiem pociąg zatrzymał się na małej stacji. Nie pamiętam jej nazwy. Staliśmy tam około godziny. Zapamiętałem tę stację ze względu na miłe dla więźniów zdarzenie.

Na peron weszli dwaj podchmieleni oficerowie wojsk pancernych. Obaj byli kapitanami. Z pełnych medali piersi domyśliliśmy się, że w swoim czasie musieli być na wojnie. Zatrzymali się przed naszym wagonem i zaczęli dyskutować. Od nich dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Berii.

Na interwencje żołnierzy z eskorty, którzy kazali przerwać dyskusję i oddalić się od pociągu, reagowali śmiechem.

- Kazali ci stać z tą pukawką, beriowski odłamku, to stój.

Do nas nie wtrącaj się - powiedział kapitan.

- Tam nasi bracia, tam ruskij narod - uzupełnił kolega.

- W tym pociągu wieziemy faszystów - informował żołnierz.

- Faszyci - to wy i wasz Beria - odparł kapitan. - Gdy mówisz ze mną, masz stanąć na baczność...

- Oficerowie częstowali nas papierosami i pytali za co zostaliśmy skazani.

Jeden z eskortujących pociąg żołnierzy pobiegł po dowódcę.

Po chwili zjawili się trzej oficerowie z KGB. Interwencje oficerów czołgiści zbywali kpinami. - Chcenie nas wyrzucić z peronu? - mówił kapitan. - Zabraniacie z nimi rozmawiać...

Może macie zamiar aresztować? Spróbujcie! Będzie okazja do sprawdzenia pistoletów... Umiecie tylko straszyć bezbronych.

Zapełniliście ludźmi więzienia i łagry. Ten transport - to również wasze dzieło.

- Drugi kapitan kupił ~~Wuzgnowerskaja~~ w dworcowym kiosku dziesięć paczek papierosów i spokojnie podawał je wyglądającym przez zakratowane okienka więźniom.

Czołgiści rozmawiali z nami aż do odjazdu pociągu.

- Do góry głowy! - wołali na pożegnanie.

- Beria pójdzie pod sąd. Wkrótce policzymy się z całą jego bandą...

W Omsku dowiedzieliśmy się, że dojechaliśmy do celu.

Omsk - to jedno ze starych miast syberyjskich. W 1953 r. posiadał ponad pół miliona mieszkańców. Na początku XVIII wieku u ujścia Omu i Irtyszu zbudowano dużą twierdzę. W 1782 r. przekształcono ją w miasto, które z biegiem czasu szybko rozwijało się.

Obecnie zaliczane jest do największych przemysłowych ośrodków Syberii. Dominuje tam przemysł maszynowy i chemiczny. Omska petrochemia znana jest w całym Związku Radzieckim.

Rozbudowujący się ośrodek potrzebował dużo rąk do pracy. Dostarczały je miejscowe i okoliczne łagry. W samym mieście było ich kilkanaście. W jednych przebywali więźniowie kryminalni, a w innych polityczni. Były również obozy z kobietami. Przy rozbudowie miasta, budowie i rozbudowie nowych zakładów przemysłowych i w fabrykach pracowało kilkadziesiąt tysięcy więźniów.

W Omsku stacjonowały jednostki wojsk lotniczych, pancernych i MGB.

Z dworca samochodami przewieźli nas do nowozbudowanego łagru. Pracowaliśmy przy rozbudowie miasta. W ciągu roku zbudowaliśmy dzielnicę fińskich domków dla rodzin oficerów służby bezpieczeństwa państwowego.

W omskim obozie zagnieździły się miliony pluskiew. W żaden sposób nie mogliśmy ich wytępić. Wrzątek, którym co parę tygodni oblewaliśmy prycze i ściany pomagał tylko na 2 lub trzy dni. Przed wyjściem do pracy napełnialiśmy nimi pudełka od zapalek albo małe /własnej roboty/ woreczki z papieru po cementowych workach, i wysypywaliśmy w fińskich domkach. Chcieliśmy, by popiły ~~konie równie~~ funkcjonariuszom bezpieczeństwa.

W Omsku poznałem kilku nowych rodaków, wśród których wyróżniał się Jurek Styczyński. Wsadzili go do więzienia, gdy miał 14 lat. Pochodził z Brześcia. Ojciec Jurka zginął w Katyniu. Przed wojną był kapitanem wojsk pancernych. Matkę za przynależność do akowskiego podziemia skazano na 10 lat łagrów. Przed aresztowaniem Jurek mieszkał u cioci. Uczył się w "dziesięciolatce"<sup>x</sup> - w siódmej klasie. Większość uczniów stanowili Polacy. Jurek posiadał talent do malowania i pisania wierszy. Jego poezja tchnęła głębokim patriotyzmem, w treści była antyniemiecką i antyradziecką. Potępiała popełniane na naszym narodzie zbrodnie i gloryfikowała pełną poświęceń i bohaterstwa walkę z dwoma agresorami. Wiersze Jurka kursowały po całym Brześciu. Rozpowszechniali je uczniowie z "dziesięciolatki". W 1947 r. nastąpiła wsypa. Jurka i kilku kolegów aresztowano. Za pisanie wierszy dostał 25 lat.

Podobnie jak Juchniewicz i Ciul~~ulica~~ do ukończenia 18 lat przebywał w obozie dla niepełnoletnich.

Jego koledzy za rozpowszechnianie wierszy dostali po "dziesiątce". W omskim obozie Jurek pisał nowe wiersze i malował. Farby dostarczali mu ludzie wolni, z którymi stykaliśmy się w czasie pracy. Podziwialiśmy ich poświęcenie i odwagę, bo za kontakty z więźniami narażali się na 10 lat łagrów. Pomagali bezinteresownie.

W ich oczach nie byliśmy wrogami ludu, lecz ofiarami znienawidzonego przez lud reżimu.

Często zwierzali się ze swoich poglądów.

---

x "dziesięciolatka" - potoczne określenie szkoły średniej



- Żyjemy w państwie, w którym terror i zbrodnie - mówili - grożą prawie wszystkim i dlatego musimy sobie pomagać.

Większość mieszkańców Omska stanowili skazańcy, byli skazani lub byli zesłańcy. Jedni - z czasów carskich, drudzy - ze stalinowskich.

Wszyscy Rosjanie, z którymi spotykaliśmy się w pracy, podkreślali że cele Październikowej Rewolucji były inne.

- Władzę - mówili - miał sprawować lud... Rzeczywistość jest taka, że sprawują ją oni, a my jesteśmy niewolnikami. Jedni żyją za kratkami i za drutami, innych pozbawiono wszelkich przysługujących człowiekowi praw, a takim jak my wmawia się, że jesteśmy wolnymi. Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy tylko siłą roboczą... Nawet sami funkcjonariusze MGB nie ukrywali tego, że w Związku Radzieckim o ludzkie prawa upominać się nie ma sensu. To od nich wyszło znane w całym kraju powiedzenie: "U nas sud'joj tajga, a prokurorom - miedwied'".<sup>x</sup> Kierowano je do obywateli, którzy posiadali wiarę w jakąś sprawiedliwość.

Na Syberii spotkałem wielu Polaków, żyjących na wolności. Pamiętam inżyniera z budowy fabryki wzbogacającej węgiel, który nosił moje nazwisko. Wywodził się z zesłańców z czasów carskich. Rozmawiałem z nim wiele razy. Podczas pierwszej rozmowy staraliśmy się doszukać pokrewieństwa, bo pochodził z Kijowa, a w czasie tym po pierwszej wojnie światowej został mój dziadek. Nie zdążył opuścić Kijowa z polskim wojskiem w 1920 r. i najprawdopodobniej w tym czasie zginął.

Głęboko utkwiał w mej pamięci żołnierz z eskorty przy budowie fińskich domków. Zjawił się nagle, gdy z Antkiem mieszałem cement, wy roztwór. Poczęstował nas papierosami. Początkowo mówił o pogodzie i podziwiał jakość naszej pracy. Twierdził, że budujemy szybko i lepiej niż ludzie wolni. W pewnej chwili spytał, czy nie jesteśmy Polakami. Okazało się, że przyszedł do nas, bo pełniąc na pobliskiej wieży wartę słyszał jak rozmawialiśmy po polsku. Z pewnym wstydem oznajmił, że po polsku mówi bardzo słabo, ale wszystko rozumie. Opowiadał o swoich przodkach.

- Rodzice - oświadczył z dumą - mówili po polsku bardzo dobrze. Stracił ich, gdy był małym dzieckiem. Pradziada skazano na Sybir za udział w powstaniu.

---

x - u nas sud,joj tajga, a prokurorom mied,wied, - u nas sędzią tajga, a prokuratorem niedzwiedź.

Prababka z dziećmi pojechała za nim.

~~Murmas~~ - Na Syberii - mówił - takich jak ja jest dużo. Nie macie pojęcia jakbym chciał chociaż raz pojechać do Polski. Urodziłem się tutaj. Tutaj urodzili się moi rodzice, a więc tutaj jest moja ojczyzna, ale jakaś siła ciągnie tam... Ciągle myślę, by zobaczyć kraj, który znam tylko z opowiadania. Rodzice mówili, że mamy dwie ojczyzny - ojczyznę, w której urodziliśmy się i mieszkamy oraz ojczyznę, z której wywodzą się nasi pradziadowie. Z jedną jestem na codzień i chyba dlatego o niej nie myślę.

- Pytał za co trafiliśmy do łagrów. Po wysłuchaniu odpowiedzi rzekł: - A więc znaleźliście <sup>na</sup> Syberii podobnie jak mój pradziad.. Żegnając się zostawił nam wszystkie papierosy i życzył szybkiego powrotu do kraju.

- Wy - powiedział - możecie tam kiedyś powrócić, ale ja Polski nie zobaczę nigdy.

- Będąc na Syberii przekonałem się, że Sybiracy to ludzie bardzo uczciwi i serdeczni. Podziwiałem ich wrażliwość na ludzkie krzywdy i dobroczynność. Cechy te posiadali nawet ludzie na wysokich stanowiskach, które były dostępne tylko dla zaufanych osób partyjnych.

Jedną z ciekawszych prac malarskich Jurka była seria obrazów przedstawiająca tragedię wrześniową. Podobnie ciekawe było obrazowe ujęcie "Trylogii" Sienkiewicza. Jego zdolności malarskie podziwiali więźniowie wszystkich narodowości.

Ładnie malował także Broniek Żeliński. Jedną z jego prac ~~przekaza-~~łem znajomej rodaczce, więźniarce, która chodziła do pracy bez eskorty. Skazano ją za nadużycia gospodarcze w spółdzielni. Była tam główną księgową i nie potrafiła nadużyciom zapobiec. Jest to praca olejna o treści religijnej. Rodaczka w 1956 r. przywiozła ją do Polski i wręczyła mnie jako pamiątkę z łagru.

W omskim obozie poprawiły się warunki bytowe. Pod koniec 1953 r. za pracę otrzymywaliśmy wynagrodzenie pieniężne. Wypłacano je pod warunkiem wykonania norm pracy, raz w miesiącu. Było to wynagrodzenie groszowe - w granicach parudziesięciu rubli, ale dla więźniów posiadało duże znaczenie. W obozie mieliśmy sklepik z podstawowymi artykułami żywnościowymi.

Mogliśmy kupić chleb, bułki, smalec, masło, kiełbasę i owoce. Poprawiła się jakość posiłków w obozowej kuchni. Do dziennych racji po raz pierwszy wprowadzono trzeci posiłek - kolację. Wykonanie norm w 100 % przez całą 30 - 40 osobową brygadę było bardzo trudne i z tego powodu wynagrodzenie za pracę dostawało zaledwie 20 - 30 % więźniów. Dużo pomagał sklepik. Był to pierwszy obóz, w którym nie odczuwaliśmy dotkliwego braku chleba.

W dalszym ciągu cierpieliśmy na brak tłuszczów, cukru, posiłków mięsnych, warzyw, owoców i artykułów mlecznych. Na omskim wikcie ludzie wycieńczeni nie wracali do sił.

Polepszenie warunków bytowych wiązaliśmy z zachodzącymi zmianami po śmierci Stalina i skazaniu Berii.

Razem z Berią aresztowano jego współpracowników. Pale aresztów objęły wszystkie szczeble zarządzanego przez Bierię resortu.

Krążyły pogłoski o przygotowywanej przez władze centralne amnestii i weryfikacji wyroków. Pogłoski przynosili ludzie wolni, z którymi spotykaliśmy się w miejscach pracy.

Powtarzali je także funkcjonariusze obozowej administracji.

Skazanie Berii i wykonanie na nim wyroku śmierci ludzie przyjęli z zadowoleniem. Cieszyli się podobnie jak z zakończenia wojny.

Wiązali nadzieje na wyeliminowanie panującego bezprawia, terroru i masowych zbrodni. W odczuciu większości społeczeństwa aresztowanie Berii stanowiło początek procesu przeciwko splamionej krwią milionów niewinnych, znienawidzonej instytucji, która była filarem niewolniczego państwa.

Nie z przypadku instytucję tę rozwiązano. Na jej miejsce utworzono podporządkowany ministrowi spraw wewnętrznych Komitet do Spraw Bezpieczeństwa ~~Państwowego~~ Państwowego.

Funkcjonariusze MGB bali się samotnie wychodzić do miasta. Na każdym kroku spotykali się z prowokacyjnymi zaczepkami przechodniów. Niejednego mocno pobito. Najwięcej dostało się beriowskiemu oficerom.

Z prasy i radia wiedzieliśmy, że Bierię skazano jako agenta imperializmu. Ogłoszono go zdrajcą, który w perfidny sposób likwidował najlepszych ludzi radzieckich. W znowę ministra z imperializmem wierzyli tylko naiwni. Reżimowi zależało, by w tę bajeczkę uwierzyli wszyscy.



Nowi przywódcy starali się skierować oburzenie ~~nam~~ nas na jednego człowieka. Machina, w której przez wiele lat zajmowali wysokie stanowiska, działała nadal. Ludzie widzieli zbrodniarzy we wszystkich funkcjonariuszach aparatu bezpieczeństwa i domagali się ukarania wszystkich złoczyńców. Pod wpływem opinii publicznej dokonano ograniczonej czystki w całym resorcie.

Liczono na demokratyzację życia, na większą wolność. KGB przestał być instytucją wszechwładną. Poddano go kontroli partii.

Mimo tych zmian obozowe naczalstwo i pracownicy służby dozoru więźniów nadal uważali nas za wrogów ludu.

Spotykając się z powszechną nienawiścią w miejscach zamieszkania i na ulicach miasta, przychodzili do pracy wściekli. Czepiali się więźniów za rzekomy brak porządku, za źle przyszyte lub brudne numery, za źle posłane prycze, noszenie zbyt długich włosów...

Żołnierze z eskorty po staremu wyzywali nas od faszystów, hitlerowców i zdrajców. Często podkreślali dobroć i wielkoduszność władzy radzieckiej, która pozwoliła nam żyć.

W drodze do pracy kiedyś uczepili się, że za wolno idziemy. Dowódca eskorty kazał, by czoło długiej kolumny przyspieszyło krok. Ze względu na brak reakcji zabierał z przodu piątki więźniów i przedstawiał do tyłu. Zabieg ten niczego nie zmienił. Wyzywał więc nas od faszystów i straszył użyciem broni.

W końcu wydał komendę "padnij!". Licząca kilkaset więźniów kolumna wykonała rozkaz. Dowódca eskorty ~~wmszczał~~ - straszył i deklarował, że nauczy naszerować. Wtórowali mu żołnierze.

Pó kwadransie "naczalnik konwoja" /tak nazywano dowódców eskorty/ kazał powstać i naszerować, ale nikt nie powstał.

Dowódca zaczął szaleć, straszył użyciem broni, wyzywał nas od hitlerowców...

Widząc, że to nie pomaga kazał, by część żołnierzy oddała broń kolegom i przystąpiła do podnoszenia więźniów.

Podnosili nas siłą. Gdy jednych podnieśli i zajmowali się innymi, tamci kładli się na nowo. Wielu więźniów przy tym pobito.

Około stu metrów przed kolumną było skrzyżowanie ulic, przez które prowadzono kolumnę więźniów z innego łagru.

Widząc, co żołnierze z nami wyprawiają, więźniowie z tamtej kolumny legli plackiem i zablokowali skrzyżowanie.

- My z wami! - wołali - Niech sukinsyny nie myślą, że im wszystko można! Czasy Berii minęły!...

Dowódcy eskorty oznajmiliśmy, że nie wstaniemy, aż nie sprowadzi prokuratora.

Na chodnikach gromadzili się ludzie. Pod adresem żołnierzy sypały się różne wyzwiska, a pod naszym adresem oklaski.

Stały samochody.

- Co z nimi wyrabiacie?! - wołali - Kto wam na to pozwolił?! - Zablokowali ruch! - krzyczał zniecierpliwiony kierowca.

- Trzeba zatelefonować do komendanta milicji albo sprowadzić prokuratora...

- Ludzie wygrzali żołnierzom pięściami. Wystraszony naczelnik zatelefonował do naczelnika obozu.

Za pół godziny przyjechał samochód z oficerami KGB.

Na prośbę naczelnika powstaliśmy. Za naszym przykładem powstała kolumna blokująca skrzyżowanie ulic. Zrelacjonowaliśmy przebieg wydarzeń i zażądaliśmy zdjęcia dowódcy eskorty.

Funkcjonariusze zdjęli dowódcę.

Tego dnia jego funkcję pełnił zastępca. Gdy ruszyliśmy naprzód, ludzie bili brawa.

Rodaczka, o której wspomniałem, miała na imię Marysia. Pracując przy budowie fińskich domków dostałem od niej list. Przyniósł znajomy Ukrainiec i powiedział, że dostał od wózącego cement kierowcy, który prosił, by oddać komuś z Polaków.

"Codziennie chodzę koło was do pracy i z pracy - pisała Marysia.- Jestem pewna, że tam jesteście. Chciałabym być w czymś pomocną. Odpiszcie! Kartkę oddajcie temu samemu kierowcy. To dobry i pewny człowiek. Mogę przydać się do nawiązania kontaktów z waszymi rodzinami... Chciałabym zobaczyć was przez oddzielające nas druty. Czekam na odpowiedź. Niech Matka Najświętsza - Królowa Polski, ma was w opiece!".

List pokazałem Antkowi. Byliśmy nim wzruszeni. Pragnęliśmy Marysię zobaczyć zza drutów i podziękować za list. Niezwłocznie zabrałem się do napisania odpowiedzi. Pisałem na papierze z cementowego worka. Dziękowałem za oferowaną pomoc i prosiłem, by pozdrowiła od nas wszystkie znajdujące się w kobiecym łagrze rodaczki. Pisałem o sobie i kolegach. Informowałem, że mimo ciężkich warunków trzymamy się i nie tracimy nadziei.

Na drugi dzień otrzymaliśmy od Marysi drugi list. Potem trzeci, czwarty...

Po kilku dniach przekazała nam przez kierowcę chleb i paczkę

papierosów. Potem kupowała Jurkowi i Bronkowi farby do malowania. W swoim i naszym imieniu pisała do naszych bliskich. Za jej pośrednictwem korespondowaliśmy z rodaczkami z kobiecego łagru. Staraliśmy się podtrzymać je na duchu. Pisaliśmy o obozowym życiu i akowskiej przeszłości. Od nich dostawaliśmy listy podobnej treści.

Dzięki Marysi w 1954 r. dostałem dwie paczki żywnościowe. Nadawcą była Anna Dynakowska. Nigdy tej osoby nie poznałem. Od Marysi dowiedziałem się, że była nieuleczalnie chora. Mieszkała w Równem. Opiekował się nią pewien ksiądz, którego Marysia znała z wolności.

W listach chwaliła go, pisała że dużo pomaga ludziom. To on był fundatorem moich paczek. Nie występował jako nadawca, by nie narażać się funkcjonariuszom z KGB. Annie ze względu na stan zdrowia nic nie groziło.

W tych czasach w Związku Radzieckim katolicy księża mieli ograniczoną swobodę działania. Władze uważały ich za element wrogi i niebezpieczny. Byli ciągle śledzeni. Jeden nierozważny kłok mógł zaprowadzić księdza do łagrów.

Większość katolickiego duchowieństwa przebywała w obozach i na zesłaniu. Za kontakty z więźniami politycznymi i okazywanie im pomocy groziło minimum 10 lat łagrów.

Otrzymałem od Anny żywnością podzieliłem się z rodakami. Później dowiedziałem się, że Marysia pochodziła z Korca. Nazywała się Bukowska.

Od poznania Marysi czas przyspieszył. Szybciej mijały tygodnie i miesiące. Do pracy chodziłem chętnie, zawsze z myślą, że ujrzę szanowaną, cenioną i lubianą przez wszystkich rodaczkę. Często widziałem ją z odległości około 50 m przez kolczaste druty. Przechodziła ścieżką przy ogrodzeniu. Skromna, zamyślona, kierowała ku nam ciepłe spojrzenie z pełnym dobroci uśmiechem. Listy przesyłała przez kierowcę Jaszę. Nie znam jego nazwiska.

Pewnego wieczora, już po zamknięciu baraków, a więc po godz. 22.00 pisałem do Marysi i rodaczek listy. Nie zauważyłem, że do baraku weszli nadzieratiele.

- Co piszesz? - usłyszałem - Dawaj no te papierki tutaj! Szybciej, szybciej!... - przede mną stali nadzieratiele.

Wstałem od stolika i zastanawiałem się co mam w tej sytuacji zrobić



Oddać - to wsypać adresatki i kolegów /pisałem również w ich imieniu/. W listach do dziewcząt wyrażaliśmy swoje poglądy. Antyradziecka treść mogła drogo kosztować. Groziły za to nawet nowe wyroki. Niepoprawny więzień mógł przebywać w łagrach bardzo długo. Takich ludzi "wychowywano" do skutku. Państwo na tym nic nie traciło, bo miało najtańszą siłę roboczą. Będąc za drutami nie "demoralizowali" innych. Im dłużej przebywali w łagrach, tym bardziej podupadali na zdrowiu i tym wcześniej odchodzili ze świata. Państwo łożyło na nich niewiele, a zyski miało ogromne. Szkoda, że nikt nie jest w stanie sporządzić wykazu zbudowanych tam przez więźniów miast, fabryk, dróg, kolei, kanałów, kopalni, pałaców kultury, szpitali, kin, teatrów, wydobytych ton węgla, i rud, metrów sześciennych wyrąbanych lasów, wydobytych w kamieniołomach kamieni...

Gdyby taki wykaz był, mielibyśmy *pełniejszy obraz* sowieckich osiągnąć.

Mało kto wie, że linię kolejową do stolicy Mongolii - Ułan Bator, budowali radzieccy więźniowie, wśród których byli polityczni. Spotkałem więźnia-Rosjanina, który tę linię na ziemi mongolskiej budował. Mało kto wie, że przy budowie Białomorskiego kanału z głodu, chorób i katorżanej pracy zmarło około miliona więźniów. Tego rodzaju informacje mogą wydawać się nieprawdopodobne. Aby w nie uwierzyć, trzeba wiele lat przeżyć w sowieckich łagrach - trzeba wszystko zobaczyć na własne oczy i rozmawiać z ludźmi, którzy to przeżyli.

Najtańsza siła robocza rekrutowała się ze skazanych na 10 i 25 lat więźniów politycznych i kryminalistów oraz z żyjących w najprymitywniejszych warunkach zesłańców.

Świadom konsekwencji listów nie oddałem. Ścisnąłem je w garść i błyskawicznie wrzuciłem do rozpalonego pieca.

- Patrzcie jaki gieroj ... - bąknął nadzieratiel.
- Teraz pójdziesz z nami. - Jestem do waszej dyspozycji - odparłem. Nadzieratiele odprowadzili mnie do baraku, w którym urzędował szef. Po kilku minutach byłem w karcerze. Nazajutrz zaprowadzili ~~tam~~ do pełnomocnika KGB.
- Siadajcie! - rozkazał - Do końca wyroku macie zaledwie 3 miesiące... Do kogo pisaliście? Do jakiego skrzydła ci ludzie należą?
- Powiedziałem, że nie rozumiem pytania.
- Chodzi o twoich adresatów... Nie udawaj głupka..., do lewego czy

prawego? Ręczę, że wszystko zatrzymam w tajemnicy. Nie krępuj się... Gdyby treść listów była niewinna, nie wrzucałbyć do pieca. Wiem, że nie pisałem do rodziców lub bliskich. W listach do nich prosicie o żywność...

- Po namyśle przyznałem się. Powiedziałem, że pisałem do koleżanek z innego łagru. Tłumaczyłem, że spaliłem je ze strachu przed karcerem. Mówiłem, że chodziło mi głównie o koleżanki, bo w listach były ich imiona i nazwiska. Zapewniałem, że nie pisałem nic złego.

- Za dziewczynami jesteśmy stęsknieni. Listy do nich sprawiały dużo przyjemności. Pisały, że chcą poznać chłopaków...

- Na pytanie "kto jest waszym listonoszem?", odpowiedziałem, że ~~wykorzystujemy~~ korzystamy z różnych okazji. - Koło naszego ogrodzenia, na budowie fińskich domków, co dzień prowadzą kolumny więźniarek. Zawijamy do listów kamyki i rzucamy na kolumnę. Dziewczęta podnoszą kartki i oddają adresatkom...

- Z tego wniossek, że nie chcesz przyznać się. No cóż?... Twoja rzecz... Na razie pójdiesz do BUR-u, a potem zobaczymy...

W BUR-ze siedziałem z dwoma Rosjanami, których ukarano za "wiarę". Obaj dostali 25 lat łagrów. Mieli około pięćdziesiątki. Byli staroobrzędowcami. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Dużo modlili się. Polubili mnie, bo z rana i wieczorem odmawiałem modlitwy. Często prosili, bym po cichu coś im zaśpiewał - coś religijnego. Najczęściej śpiewałem "Serdeczna Matko...", "Pod Twoją obronę..." i "Święty Boże, Święty Mocny...".

Słuchali z wielką uwagą i zadowoleniem.

- Wiemy - mówili - że w Polsce Bożą Matkę uważacie za swoją Królową. Kto z Bożą Matką, ten z Bogiem... - Ubolewali nad opętana przez szatana Rosją.

Dużo opowiadali o sobie. Mówili, że w domu odprawiali zbiorowe modlitwy i za to zostali skazani. Podczas śledztwa często byli bici. Nigdy nie narzekali na zły los. Martwili się o innych, a szczególnie o tych, którzy odstąpili od wiary i swoje dusze sprzedali diabłom. Często za nich modlili się.

- Boże - prosili - wybacz im! To nie ich wina. Wszystkiemu winien jest panoszący się w kraju szatan. To on opętał ich dusze. Każ mu, by te biedne dusze opuścił! Oni również są Twoimi dziećmi. Nie pozwól, by zostali straceni...

- W czasie modlitwy zamieniali się w posągi. Nie było siły,

która mogłaby ich od niej oderwać.

Jednego dnia za głośne modlitwy zostali pobici przez nadzierateli. Bili ich w mojej obecności. Po posadzce popłynęła krew.

Żaden z nich nie jęknął. - Wybacz im, Boże - wołali - bo nie wiedzą co czynią.

- Potem jeden z czulszych na ludzką krzywdę nadzierateli doradzał, by modlili się po cichu, w duszy. - Zachowaniem swoim - mówił nic nie wskóracie. Szkadzicie sami sobie, zmarnujecie zdrowie, skróćcie życie...

- Staroobrzędowcy byli innego zdania. Uważali, że modlitwa po cichu - to żadna modlitwa. Twierdzili, że człowiek prawdziwie wierzący powinien modlić się jawnie i otwarcie. Żadne warunki nie powinny go krępować.

- Modlitwy - powiadali - nie można się wstydzić, a tym bardziej bać się grożących z tego tytułu konsekwencji.

- W BUR-ze dostawialiśmy posiłki według regulaminu więziennego - tylko 450 gramów chleba i kubek gorącej zupy na śniadanie. na obiad pół litra zupy i na kolację kubek wrzątku. W celach nie było prycz, więc spaliliśmy na betonowej posadzce.

Po dwóch miesiącach wróciłem do baraku. Koledzy ucieszyli się i urządzili miłe, serdeczne powitanie. Przez wiele dni starali się podkarmiać.

W Omsku spotkałem dwóch rodaków, którzy służyli w Polskiej Armii na Zachodzie. Obaj byli żołnierzami dywizji kresowej, walczyli pod Monte Cassino i przeszli z dywizją przez całe Włochy. Posiadali odznaczenia bojowe. Jeden nazywał się Gałęcki. Nazwiska drugiego nie pamiętam. Po wojnie wrócili do swoich rodzinnych stron, do ~~Włoch~~ rodzin, na tzw. Zachodniej Białorusi. Po dwóch tygodniach obu aresztowano i skazano na 15 lat łagrów. Sąd uznał ich za zdrajców radzieckiej ojczyzny, ponieważ dobrowolnie wstąpili do "białopolskiej faszystowskiej armii na Zachodzie".

Do końca wyroku pozostał mi tylko miesiąc. Marzyłem o powrocie do kraju, połączeniu się z rodziną, o spotkaniach z bliskimi i znajomymi. Po drodze chciałem odwiedzić rodzinne miasto - Wilno, wstąpić do babci, podziękować za pomoc.

Świadom sowieckich realiów wiedziałem, że w tym kraju koniec wyroku nie oznacza wolności. Po odbyciu kary więźniów politycznych czekały różne niespodzianki. Drogę do pełnej wolności mieli zamkniętą. Sfabrykowane w czasie śledztwa piętno wrogów



ludu nosili do końca życia.

6 czerwca 1954 r. przyszedł do baraku nadzierateli i kazał mi zgłosić się do "Spec-Czasti".<sup>x</sup> Urzędujący tam oficer KGB oznajmił, że moja kara dobiegła końca. Kazał mi zdać do magazynu obozowe rzeczy i pobrać na drogę suchy prowiant.

Zgodnie z poleceniem oddałem do magazynu pościel /koc, sien-  
nik, i powłoczkę, która po wypchaniu wiórami służyła za poduszkę/.  
Spakowałem swoje drobiazgi, w kuchni pobrałem suchy prowiant,  
pożegnałem się z rodakami i w ich towarzystwie udałem się na  
wartownię. Tam jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie. Ucałowaliś-  
my się i więcej już ich nie widziałem.

To pożegnanie mocno przeżyłem. Łączyła nas wspólna niedola,  
wspólne cierpienie i wspólna przeszłość. Cierpieliśmy za tę samą  
sprawę. Przede mną otwierał się świat nadziei. Cni musieli żyć  
za drutami przez wiele lat, bo większość sądzono na ćwierć wieku.  
Widziałem w ich oczach łązy radości i żalu. Frosili, bym pamiętał...  
- Gdy wrócisz do kraju - prosił Broniek - powiedz wszystkim, że  
jesteśmy tutaj. Powiedz, że jest nas dużo, bardzo dużo. Niech  
w kraju o tym wiedzą...

Przed wartownią czekał więzienny samochód, przy którym  
kręcili się dwaj uzbrojeni żołnierze. - Tym samochodem pojedzie-  
cie na wolność - oświadczył oficer.

- Zaprotestowałem. - Przecież powiedzieliście mi, że moja kara  
dobiegła końca. Stąd wniosek, że jestem człowiekiem wolnym.  
Powinniście więc wydać mi jakiś dokument. Chcę pojechać do Wilna,  
a stamtąd do Polski. Tam jest cała moja rodzina.  
- W tych sprawach nie jestem kompetentny. Wykonuję polecenia  
moich zwierzchników. Kazali mi odwieźć was tym samochodem do po-  
ciągu i polecenie muszę wykonać. Mogę tylko poinformować, ~~was~~  
że pojedziecie do Krasnojarska. Nie pytajcie o nic, bo w tych  
sprawach decyduje Moskwa. Gdy dojedziesz na miejsce, będziesz  
mógł do nich na-pisać. - Tyle dowiedziałem się od oficera.

Na powrót do kraju nie liczyłem, ale miałem nadzieję, że  
pozwolą mi wrócić do Wilna. Chciałem pojechać do ojca matki, któ-  
rej byłem ogromnie zobowiązany, bo przez 10 lat pomagała mi i prze-  
kazywała wiadomości o rodzicach i rodzeństwie. Teraz wszystkie  
nadzieje przepadły. O zesłaniu słyszałem wiele, ale co innego sły-  
szać a co innego przeżywać.

---

x Spec-Czaat' - Oddział specjalny

Oficer ze "Spec-Czasti" życzył mi pomyślności na nowej drodze życia. Nie zastanawiał się, że tę nową drogę zaczynałem w ciemnym pudle więziennego samochodu pod lufami gotowych do strzału pistoletów maszynowych. Uważał to za rzecz zupełnie normalną.

#### XVIII. DROGA NA ZESŁANIE =====

"Czornyj woron"<sup>x</sup> -tak nazywają w ZSRR więzienne samochody - zawiózł mnie pod omskie więzienie. W rozgrzanej od słońca metalowej skrzyni było duszno. Od jazdy po ~~szosach~~ "kocich łbach" przewracali się; wnętrze. Duszność, ciemność, ciągłe wstrząsy i ostre skręty doprowadzały do mdłości. W czasie jazdy wymiotowałem.

Przed więzieniem żołnierze kazali wyjść z samochodu. Jeden z żołnierzy wszedł do pudła i coś sprawdzał. Wyskoczył pełen gniewu i kazał mi sprzątnąć...

Gdy odmówiłem, zaczął kląć i wymyślać. Sypał wiadomymi rosyjskimi wiązkami i straszył, że w każdej chwili może wrócić do łagru. Mimo grób nie uległem.

Pociąg do Krasnojarska odchodził dopiero za parę godzin. Na ten czas żołnierze ulokowali mnie w więzieniu. Przed wypuszczeniem do celi przeszedłem dokładną rewizję.

- Na wolność? - pytali życzliwie strażnicy.

- Mysz się cieszyć... To, że zwolniony z łagru błąkał się jeszcze po więzieniach wcale ich nie dziwiło. Byli do tego przyzwyczajeni. Przekazywali do celi, w której siedzieli ludzie po odbytych wyrokach - tak samo wolni, jak ja.

Za darmo dostałem miskę gorącej zupy i musiałem czekać.

To paru godzinach ci sami żołnierze wpakowali wszystkich do więziennego samochodu i zawieźli na dworzec. Za kilka minut nadjechał pociąg.

Żołnierze z eskorty przekazali nas kolegom z "wagonu stołypinowskiego",<sup>xx</sup> przystosowanego do przewożenia więźniów.

x czornyj woron - w dosłownym tłumaczeniu - czarny kruk  
xx wagon stołypinowski - wprowadził je do użytku minister sprawiedliwości i spraw wewnętrznych carskiej Rosji, Piotr Stołypin.

Okna wagonu posiadały kraty. Przedziały przerobiono na więzienne cele. Wszystkie były zakratowane i zamykane od zewnątrz na grube metalowe zasuwy z zamkami. Po korytarzu chodzili uzbrojeni żołnierze KGB.

W takim wagonie dojechałem do Krasnojarska. Na peronie czekał "czornyj woron", który zawiózł mnie do więzienia. Podobnie, jak w Omsku, przeszedłem osobistą rewizję. W celi, do której trafiłem, siedziało około 20 mężczyzn. Przywitałem się po rosyjsku i usiadłem pod pustą ścianą. Nie było tam pryczy - jedyne wyposażenie stanowił duży metalowy kibel.

Mężczyźni rozmawiali po ukraińsku. Wszyscy byli po odbytych wyrokach.

Siedząc rozmyślałem nad dalszym losem. Chwilami przenosiłem się do rodziców, do babci i pozostawionych w łagrze rodaków. Niepokoiłem się o Ojca Albina, któremu wyrok kończył się w 1950 r. Pozostał w Bałchaszu. Bałem się, że mogli mu dołożyć. Pełnomocnik MGB wyraźnie szukał do tego podstawy. Na Boże Narodzenie w 1949 r. wtrącił go do BUR-u. Powodem była wspólna Wigilia. Wieczorem, po zamknięciu baraków śpiewaliśmy kolędy. Do baraku wpadli nadzieratiele z starszym nariadczykiem<sup>x</sup>, Juszy-nem i kazali przerwać śpiew.

Juszyn przed aresztowaniem był wysokim urzędnikiem NKWD i dlatego w łagrze powierzono mu tę funkcję.

- Kto tutaj jest dniewalnym? - krzyczał były NKWD-ista. - Dlaczego pozwoliłeś na zakłócanie nocnej ciszy? Kto tę imprezę zorganizował?

- To on wskazał nadzieratielom Ojca Albina. Księdza ukarali dwoma miesiącami BUR-u. Teraz cofałem się myślami do obozów w Uchcie, do łukiskiego więzienia i do szeregów Armii Krajowej. Zastanawiałem się, gdzie może być "Ronin", co się dzieje z "Łupaszka", z Komendantem Okręgu...

Potem przeglądałem zachowane z domu listy, rodzinne zdjęcia. Dużo myślałem o Polsce. Przed wojną i w czasie okupacji poza Wileńszczyzną i Wierzbakowem nigdzie nie byłem. Polskę, na zachód od Niemna, znałem tylko z podręczników historii, filmów i opowiadań.

Nigdy tam nie byłem, a pragnąłem ~~ktąd~~ dotrzeć. O nowej, ludowej Polsce, miałem mało pojęcia. Wiedziałem, że jest okrojona od wschodu i posiada dość daleko wysuniętą granicę na Zachodzie,

x starszy nariadczyk - obozowy szef kadr



że rządzą w niej komuniści i że ich władzy strzegą wojska sowieckie.

Nic nie wiedziałem o jej przywódcach i o zakresie niezależności. Chociaż nie była taką o jaką walczyliśmy, ale nikt i nic nie mogło jej zastąpić.

W pewnej chwili podszedł do mnie ponad siedemdziesięcioletni staruszek. Był szczupły, średniego wzrostu i miał siwe do białości włosy. Uśmiechnął się i przeprosił za przerwanie myśli. - Przyglądałem się wam jak oglądaliście zdjęcia. Pomyślałem - mówił - że rodzinne... Ja nie mam nikogo z rodziny i nie posiadam żadnych pamiątek. Gdzie teraz oni mieszkają? - Gdy powiedziałem, że w Polsce, poprosił, bym pozwolił koło siebie przysiąść.

Jesteś Polakiem? - staruszek zasypał mnie pytaniami.

Opowiedziałem mu za co trafiłem do łagrów, gdzie mieszkałem przed wojną i czym zajmowali się rodzice. Dziwił się, że w tak młodym wieku byłem partyzantem i że za partyzantkę dostałem 10 lat.

- Coś niebywałego! - mówił - siedemstoletni wróg ludu...

- Gdy spytałem o jego przeszłość, uśmiechnął się i spytał czy znam Lenina.

Odpowiedziałem, że wiem kim był.

- A ja znałem Lenina i z nim pracowałem. Z Leninem i innymi towarzyszami kierowałem rewolucją. Może słyszałeś coś o Tuchaczewskim? Aresztowali mnie zaraz po nim i do tej pory ciągnęli po różnych więzieniach i łagrach. Nie miałem sądu i żadnego wyroku. Razem-siedemnaście lat... Teraz czeka mnie zesłanie. Ciebie najprawdopodobniej wywiozą gdzieś na północ, a mnie skierują do jakiegoś kołchozu. Do pracy fizycznej nie nadaję się, a innej mi nie powierzą. Liczę na dobrych ludzi i mam nadzieję, że z głodu nie zginę... Pytasz co tam będę robił... Zajmę się pisaniem. W więzieniach i łagrach nie miałem do tego warunków. Napiszę wszystko co przez 17 lat widziałem i co o tym myślę. Wyślę im do Mpskwy. Niech poczytają! Może to im trochę otworzy oczy, chociaż bardzo wątpię...

- Nie spytałem go o nazwisko.

Po tygodniu staruszka zabrali, a po 10 dniach przyszła kolej na wszystkich.

Załadowani do ciężarowych samochodów pod eskortą uzbrojonych żołnierzy przejechaliśmy przez centrum miasta i skierowaliśmy się w stronę lotniska.

Na dworcu lotniczym oczekiwał nas jakiś cywil. Przywitał się z oficerem z eskorty, zamienił z nim kilka słów i podszedł do nas.

- Muszę wam przedstawić się. Jestem Michałkin. Pracuję na stanowisku dyrektora jednego z przedsiębiorstw w Turze. Do Krasnojarska przyjechałem w charakterze kupca. Kupuję od nich - wskazał na oficera - ludzi do pracy. - Zrobił przy tym taką minę, z której nie mogliśmy zorientować się, czy mówi prawdę czy żartuje.

- Od tej chwili - kontynuował - należycie do mnie. Ci, z pukawkami niedługo nas zostawią. Polecimy samolotem. Bilety już mam.

- Ktoś zwrócił się do Michałkina z pytaniem per "naczalnik".

- Naczalniki - to oni - zareagował gniewnie, wskazując palcem na żołnierzy i oficera. Ja - po prostu towarzyszcz.

- Od Michałkina dowiedzieliśmy się, że Tura leży nad Dolną Tanguzką - dopływem Jenisieju.

- Musimy przelecieć samolotem - powiedział - prawie 2000 km. Po drodze, w Turochańsku, będzie przesiadka.

- Zapytany o warunki klimatyczne oświadczył, że u nich zima trwa dziewięć miesięcy.

- Reszta roku - powiedział - to lato, lato i lato. Temperatury są niskie, ale za to nie ma wiatrów. Mamy zdrowe powietrze i piękne zdrowe dziewczyny. Żyjemy dużo lepiej niż oni w Krasnojarsku.

- Rozmowę przerwała zapowiedź o przygotowanym do odlotu samolocie do Turochańska. Po kilku minutach po raz pierwszy od dziesięciu lat siedziałem w wygodnym, miękkim fotelu i po raz pierwszy w życiu miałem odbyć podróż samolotem.

Żołnierze z eskorty stali na płycie lotniska w pobliżu samolotu. Gdy zawarczały potężne silniki, stewardessa kazała zapiąć pasy. Maszyna potoczyła się naprzód, zawijając na pas startowy, wzięła rozpęd i w pewnej chwili poczułem, że oderwaliśmy się od ziemi. Samolot zatoczył nad miastem łuk i ustawił się na północ. Pod nami uciekało przecięte łukowatą wstęgą Jenisieju duże, znane tylko z więzienia, miasto. Wkrótce zastąpił je krajobraz bezludnej tajgi. Cały czas lecieliśmy nad wijącym się ku północy Jenisiejem.

Podczas trzech godzin lotu widziałem tylko kilka położonych nad brzegiem rzeki osiedli.

Pod koniec tajga stawała się coraz biedniejsza. Zbliżaliśmy się do tundry.

W Turochańsku wylądowaliśmy późnym wieczorem. Michałkin zakwaterował nas w pobliskim hotelu.

Brudne i ciasne, wyposażone tylko w metalowe łóżka i nocne szafki, pokoje, przypominały najbardziej zaniedbany barak robotniczy.

Od Michałkina dostaliśmy po 10 rubli. W Turochańsku mieliśmy czekać aż obniży się poziom wody w Dolnej Tunguzce.

Położone na rzecznej wyspie lotnisko w Turze było zalane i dlatego samoloty nie mogły tam lądować.

Po wyjściu z samolotu czułem się bardzo dziwnie. Co chwilę oglądałem się. Brakowało mi towarzyszących przez 10 lat uzbrojonych żołnierzy i nadzieratieli.

Nie mogłem uwierzyć, że tutaj nikt nas nie pilnuje, że mogę iść dokąd chcę, że mam prawo biegać, skakać...

Od lotniska i pobliskiego hotelu do osiedla mieliśmy 2 km. Ukraińcy poszli spać, a ja pierwsze kroki skierowałem do lasu. Niskie i cienkie drzewa w niczym nie przypominały pięknych lasów wileńskich, ale cieszyłem się, że po tylu latach jestem w lesie. Szedłem prosto przed siebie i łapczywie wchłaniałem świeże, pełne leśnego zapachu powietrze. Myślami przenosiłem się do stron rodzinnych. W pewnym momencie zaśpiewałem znaną z partyzantki piosenkę:

" Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami

Każdego z nas sumienia wezwał głos..."

Śpiewałem coraz głośniej i ~~wznieka~~ wsłuchiwałem się w odzywające się echo. Potem śpiewałem inne piosenki. Myślałem o szeregach Wileńskiej AK.

W lesie doszedłem do wniosku, że zesłanie jest lepsze od łagrów.

- Można chodzić i śpiewać - śpiewać wszystko, co się chce, bez obawy, że wsadzą cię do karceru lub zamkną w BUR-ze.

- Do hotelowego pokoju wróciłem późno. Odmówiłem modlitwę i położyłem się spać. Długo nie mogłem zasnąć. Gdy przebudziłem się, słońce było wysoko. Pobiegłem na brzeg Jenisieju, umyłem się i wybrałem się do osiedla. Zaskoczyły mnie puste ulice. Osiedle wyglądało na wymarłe. Przeszedłem je wzdłuż i wszerz



i nie spotkałem żadnego człowieka.

Zagadkę wyjaśnił zegar, który stał w jednym z mieszkań na parapiecie. Było na nim dziesięć minut po trzeciej. Wtenczas przypomniałem, że jestem blisko koła podbiegunowego i uświadomiłem, że na tej szerokości geograficznej są białe noce.

Musiałem wrócić do hotelu i zrobić niechcianą drzemkę.

Drugi raz wybrałem się do osiedla około godziny siódmej.

Po drodze spotkałem kobietę. Była w starszym wieku. Przywitałem się po rosyjsku i spytałem czy w osiedlu mieszkają Polacy. Zwierzyłem się, że przyjechałem z łagru.

- A gdzie ich nie ma - odpowiedziała, są wszędzie. - Tłumaczyłem, że jestem Polakiem. - Swój do swego ciągnie. Rozumiem was. Pójdziesz, synku, tą dróżką - wskazała palcem. - Nad brzegiem Jenisieju zejdziesz ze skarpy drewnianymi schodkami i zobaczysz mały, biały domek. Tam znajdziesz swoich...

- Po kilku minutach stałem ~~przed~~ ~~przodem~~ przed białego domku. Otworzyła ~~do~~ młoda kobieta. Gdy odezwałem się po polsku, zaniemówiła. Po chwili opanowała się i zaprosiła do środka.

- Pan pewnie z łagru? - spytała - Jest pan głodny? - Jaka ze mnie głupia, że pytam... Proszę wybaczyć... Ja też siedziałam pięć lat, Józek siedział <sup>z</sup> mój mąż... Ale co ja mówię? Przecież pan nie wie kto to jest Józek. Muszę panu wszystko powiedzieć. To jest nasz lokator. Pracuje na budowie. Pochodzi z kieleckiego. Nazywa się Kozera. Był w Armii Krajowej u "Ponurego". Mój mąż jest Mordwinem. Nie miałam szczęścia wyjść za swojego - za Polaka. Ale to dobry człowiek. Nauczyłam go mówić po polsku. Jest tutaj kierownikiem fryzjerni...

- Cały czas krzątała się po pokoju, stawiała na stół i co pewien czas zaglądała do kuchni. Gdy wszystko miała gotowe, poprosiła do jedzenia.

- Wódki nie mam - rzekła z uśmiechem - ale jak przyjdzie Józek z Wasią, to na pewno coś znajdą. Proszę jeść. Jak będzie mało, dołożę. Nie jestem biedna. Mam dwóch chłopów. Na jedną babę zarobią... Mamy chleb, ziemniaki, rybę i niejemy bez tłuszczu. W sklepie można kupić wszystko, nawet mięso i kiełbasę. Moje imię - Marysia. Pochodzę z Baranowicz.

Józek z oddziałem partyzanckim trafił w nasze strony. Oni nie wiedzą, że był w AK. Gdyby wiedzieli, daliby dziesięć. Jemu obeszło się na pięciu. Mój też odsiedział piątkę. Zaczęło się

od tego, że posadzili jego brata. Biedak wrócił z niemieckiej niewoli, a oni zamiast do sanatorium wpakowali go na 25 lat łagrów. Mego wtenczas zwolnili z pracy. Był nauczycielem. Doszli do wniosku, że brat wroga narodu nie może uczyć i wychowywać dzieci.

Mąż zdenerwował się i przy wszystkich powiedział, że w ten sposób socjalizmu nie zbudujemy. Ktoś doniósł, a dalej już wiadomo... Orzekli, że jest społecznie niebezpieczny...

Ale rozgadałam się... Proszę jeść. Zaraz przyniosę więcej... Po posiłku zaprosiła na obiad. Obiecałem przyjść punktualnie o czwartej po południu.

Wracając z osiedla spotkałem dwóch Ukraińców. Dowiedziałem się od nich, że w hotelu czeka na mnie jakiś rodak.

Przed drzwiami stał wysoki, przystojny brunet w polskim wojskowym mundurze. Przedstawił się jako Wacław Bołtromun. Pochodził spod Grodna. W czasie okupacji należał do AK, a po zajęciu przez sowieckie wojska Grodna wstąpił do armii Berlinga. W 1946 r. został zdemobilizowany, i powrócił do domu. W tym samym roku ożenił się i po kilku tygodniach został aresztowany. Za Armię Krajową musiał odpokutować 10 lat w łagrach. Gdy siedział w więzieniu, żona urodziła syna. W 1948 r. posadzili żonę, i skazali na 25 lat łagrów. Była zwykłą wiejską kobietą. Nie należała do żadnych organizacji. Oskarżono ją o kontakty z leśnymi bandami. Do chłopów w tamtych czasach przychodzili uzbrojeni ludzie. Trzeba było ich nakarmić albo przyjąć na noc. Jedni mieli na czapkach czerwone gwiazdy, a inni orzełki. Trudno było zorientować się kim są w rzeczywistości. Pewnego wieczoru przyszli do niej. Kazali dać jeść i po posiłku poszli. Po trzech dniach znalazła się w areszcie. Podczas śledztwa dowiedziała się, że nie dopełniła obowiązku zgłoszenia o wizycie bandytów w najbliższym posterunku milicji.

- Twój mąż - mówił śledowateli - należał do białych. Dlatego ich wspomagasz. - Janka - tak miała na imię - była Polką, a wszystkich Polaków w tamtych stronach władze sowieckie uważały za ludzi niepewnych i jako takich starały się izolować.

Po południu wybrałem się do Marysi w towarzystwie Wacka. Zastaliśmy tam Józka i Wasię. Przez kilka godzin opowiadaliśmy o swoich przeżyciach i snuliśmy prognozy na najbliższą przyszłość. Wasia dobrze mówił po polsku.

Na stole były różne zakąski i "kropelki". Rozmowę urozmaicaliśmy patriotycznymi piosenkami.

Na zakończenie Wasia podziękował za odwiedziny:

- Sprawiliście nam ogromną radość, a szczególnie mojej żonie. Jest waszą rodaczką. Wiem, że wolałaby mieć Polaka, ale tak złożyło się, że jestem ja, chociaż prawdę mówiąc, do Polaka niewiele mi brakuje. Po polsku mówię, śpiewam piosenki wasze, znam i rozumiem wasze problemy, krzywdy... Interesuję się polską historią, literaturą... Witam was, jak widzicie, w tym domu jak braci. Chciałbym, by te cztery ściany były także waszym domem.

- Prosił byśmy odwiedzali ich co dzień.

- W hotelu nie wiecie co robić z czasem, a tutaj będziecie się czuć jak w domu. Pogadacie z żoną... i wam i jej będzie weselej. Zjecie śniadanie. trochę pogadacie, potem -obiad, a po obiedzie już nasza głowa...

- I tak było przez dwa tygodnie.

Do hotelu wracaliśmy tylko na noc. Od Michałkina co parę dni dostawaliśmy skromne diety, za które kupowaliśmy alkohol i słodycze. Słodyczami częstowaliśmy Marysię, a alkoholem rzadzili Wasia z Józkiem.

Na pierwszą niedzielę Wasia zaprosił gości. Poznaliśmy małżeństwo Gruzinów i kierowniczkę apteki - pochodzącą z Lwowa Żydówkę. Gruzini pracowali z Wasią we fryzjerni. Żydówkę deportowano wiosną 1941 r. Nie skarżyła się na zły los, bo wiedziała co spotkało Żydów pod okupacją niemiecką.

- Deportacji - mówiła - zawdzięczam życie, ale niczego nie zawdzięczam im, bo wywieźli nas na Sybir jako wrogów ludu.

- Gruzini nienawidzili panującego reżimu. Fragnęli bliżej nieokreślonych zmian. Beznadziejne życie zabijali humorem, żartami, śpiewem... Lubili bawić się. O przyszłości starali się nie myśleć.

W tą niedzielę dużo śpiewaliśmy. Kierowniczką apteki znała wszystkie piosenki legionowe. Urozmaicaliśmy je piosenkami partyzanckimi. Śpiewaliśmy także po rosyjsku. Były to pieśni ludowe, o głębokiej treści - o niedoli włoczęgi, który z workiem na plecach przemierzał zabajkalskie stopy, o podarku dońskiego kozaka dla matki-Wołgi, o matce-staruszce, która przyszła w niedzielę pod więzienną bramę, by przekazać dla syna paczkę z żywnością i której pękło serce, gdy dowiedziała się, że syn paczki nie



dostanie, bo z rana został rozstrzelany.  
W towarzystwie Gruzynów i polskiej Żydówki przebywaliśmy często.  
Zawsze byli dla nas mili i serdeczni. Chodziliśmy na spacery  
wzdłuż Jenisieju i do otaczającego osiedle lasu.  
W domu Marysi znaleźliśmy dużo serdeczności i rodzinnego ciepła.

#### XIX. NA ZESŁANIU

=====

Wacek przyjechał do Turochańska samolotem z inną grupą  
zwolnionych więźniów. Po wyroku przez dwa tygodnie siedział  
w krasnojarskim więzieniu. Jego grupa również składała się  
z Ukraińców.

Z Turochańska do Tury podróż odbyliśmy hydroplanem. Wylądowaliśmy na Dolnej Tunguzce. Na brzegu oczekiwali funkcjonariusze  
KGB, z którymi udaliśmy się na przyległy do budynku urzędu  
bezpieczeństwa plac.

Powitał nas naczelnik okręgowego KGB, płk. Czuprasow. Pogratulował powrotu na "wolność" i oznajmił, że od tej pory będziemy  
mieszkańcami Tury - stolicy Ewenkijskiego Narodowego Okręgu,  
w którym partia i rząd powierzyły mu czuwanie nad bezpieczeństwem  
państwa.

- Każdy z was - powiedział - otrzyma pracę i mieszkanie. Luksusów  
nie mamy. Zamieszkacie w barakach w pokojach dwu i kilkuosobowych.  
Przydzielą je kierownicy zakładów pracy. Jeśli ktoś zechce  
sprowadzić do Tury rodzinę, może liczyć na moje poparcie.

- Wśród przysługujących nam praw, wymienił prawo do zawarcia  
związku małżeńskiego i założenia rodziny.

Następnie oznajmił, że bez jego zezwolenia nie możemy opuścić  
Tury.

- Za samowolne oddalenie się od osiedla grozi sąd i powrót do  
łagrów.

- Na pytanie Wacka o dowody tożsamości oświadczył, że żadne  
dokumenty nie będą nam potrzebne. - Dostaniecie je - powiedział -  
po zwolnieniu z zesłania. Kiedy to nastąpi, nie wiem. Rząd nasz  
sprawy te skrupulatnie rozważa. Wszystko będzie zależało od  
sytuacji na arenie światowej i od was. Wierzę, że z biegiem czasu

przyzwyczajacie się do Tury i będziecie się tutaj czuli jak w domu.

- Potem musieliśmy podpisać gotowe druki oświadczeń, z których wynikało, że zostaliśmy zapoznani z zakazem oddalania się od Tury. "Jestem świadom - pisało w oświadczeniu - że za naruszenie zakazu grozi mi 25 lat katorżnej pracy, co potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Tura leży nad ujściem Koczeczumu do Dolnej Tunguzki. Była wówczas niedużym, liczącym zaledwie trzy tysiące mieszkańców ośrodkiem i stolicą olbrzymiego, zajmującego 745 tys.km<sup>2</sup> Ewenkijskiego Narodowego Okręgu. Od północy i wschodu otaczają ją liche iglaste lasy, a od południa i zachodu - piękne, malownicze wzgórza.

Ponad dwa i pół tysiąca mieszkańców osiedla stanowili zesłańcy i byli więźniowie. Ludność miejscowa składała się z podobnych do Eskimosów Ewenków. Było jej niewiele. Prawie wszyscy Ewenkowie prowadzili życie koczownicze. Mieszkali w czumach /namiotach ze skóry reniferowej/ i żyli z myślistwa. W Turze zbywali ustrzeloną zwierzynę i zaopatrywali się w podstawowe artykuły spożywcze. Nie lubili Rosjan. - Russkij czełowiek - mówili - niechoroszyj czełowiek. Nie choczet rabotat', a choczet mnogo kuszat' Lubit worowat'".<sup>x</sup>

Jesienią 1941 r. zapełniono Turę deportowanymi z Półwyspa i z Ukrainy Niemcami. Ludzi tych pozbawiono praw obywatelskich. Pozabierano im dowody tożsamości i zakazano opuszczać osiedle. Poza Niemcami i nielicznymi Ewenkami w Turze mieszkali Rosjanie, Łotysze, Litwini, Estończycy, Ukraińcy, Gruzini, Chińczycy, Cyganie, Żydzi, Finowie. Spotkaliśmy tam tylko trzech Polaków. Finowie pochodzili z Korelii, którą po włączeniu do ZSRR zasiedlono Rosjanami.

Litwinów, Łotyszy i Estończyków deportowano w latach 1940-1941 i po roku 1944.

Większość Rosjan trafiła do Tury podczas stalinowskich czystek.

W Turze mieszkałem osiemnaście miesięcy. Nie spotkałem tam żadnego człowieka, który osiedlił się z własnej woli. Nawet przedstawiciele władzy byli z nakazu.

Pracę otrzymałem w Raj-Prom-Kombinacie. Poznałem rodaka - który mieszkał w Turze od pięciu lat. Ożenił się z Niemką i miał z nią dwoje dzieci. Pełnił funkcję dziesiętnika. Dzięki niemu  
~~x Russkij czełowiek... - Rosyjski człowiek - to niedobry człowiek~~  
Nie chce pracować a chce dużo jeść. Lubi kraść.

dostałem lżejszą pracę w kotłowni. Zimy były bardzo mroźne. Pracowałem na stanowisku palacza. W grudniu i styczniu temperatury spadały do minus 50, a nawet do minus 60°C. Pod koniec września były już śnieżyce. Wiosna zaczynała się się w pierwszych dniach czerwca.

Wackowi nie powiodło się, bo pracował w przedsiębiorstwie budowlanym przy rozbiórce traw. Zawsze wracał do domu zziębnięty i mokry. Na szczęście w połowie października poznaliśmy drugiego rodaka - Staśka Juchniewicza. Pochodził z Grodna. Podobnie jak Marian /tak miał na imię dziesiętnik/ założył rodzinę. Ożenił się z Łotyszką.

Stasiek znał pierwszego sekretarza partii na szczeblu okręgu. Poznał go na zakładowej zabawie. Rosjanin czuł do Polaków sympatię. W czasie wojny był oficerem w sztabie gen. Rokossowskiego. Stasiek wiedział, że tylko ten człowiek może Wackowi pomóc.

- Najwyżej stracimy pół litra, bo sekretarz lubi wypić - żartował.

Mieszkałem wówczas z Wackiem w małym pokoiku w starym baraku. Mieliśmy tam piecyk i mogliśmy sobie coś ugotować. Z zakładu pracy dostałem deski, z których zrobiliśmy stół. Stasiek podarował<sup>nam</sup> metalowe składane łóżko i dwa taborety. Potem dorobiliśmy się krzesel, trochę naczyń i innych drobiazgów. Cieszyliśmy się, że mamy własne cztery ściany. W sąsiednim pokoju mieszkały dwie komsomołki. Po ukończeniu szkoły handlowej skierowano je do Tury na praktykę. Pochodziły z Krasnojarska. Często śpiewaliśmy z Wackiem partyzanckie, legionowe i powstańcze piosenki. One śpiewały swoje - rosyjskie. Przez piosenki doszło do znajomości. Gdy zorientowały się, że jesteśmy Polakami i byliśmy w partyzantce, zaczęły nas darzyć szacunkiem. Od czasu do czasu przychodziły w odwiedziny. Bały się, by ktoś nie zameldował do KGB, że z nami kontaktują się.

- Gdyby oni się dowiedzieli - mówiły - wyrzuciliby nas z Komso-  
mołu, miałybyśmy krechę na całe życie.

Fewnego dnia, wieczorem, wybraliśmy się ze Staśkiem do pierwszego sekretarza. Miał na nas czekać. Kupiliśmy dwie butelki spirytusu i punktualnie o godzinie 5-tej zapukaliśmy do drzwi. Sekretarz mieszkał naprzeciwko urzędu bezpieczeństwa. Otwierając, spytał Staśka, czy jesteśmy tymi, których oczekuje. Zaprowadził do pokoju i dopiero tam przywitał się. Przeprosił, że na chwilę wyjdzie do kuchni.



Gdy wrócił na stole stały już butelki. Uśmiechnął się i sięgnął do barku po szklanki.

Po chwili zjawiła się małżonka. Przywitała się i spytała, co byśmy chcieli ~~na~~ zakąskę.

- Mam boczek, jajka, rybę...

- Zrób coś na gorąco. - powiedział sekretarz. - Nam wsio rawno, byle szybciej...

- Nalał po lampce i oznajmił, że dużo o nas słyszał od Staśka.

- Byliście w Armii Krajowej... Znam akowców. Spotkałem się z nimi w Polsce. Nienawidzili Niemców. Wspominam ich jako fajnych chłopców.

Walczyli o wolną i niepodległą... Nie wiedzieli, że wielkie mocarstwa ułożyły wszystko zupełnie inaczej. Polskę i inne kraje włączono do naszej strefy wpływów. Akowcy - to romantycy... Wolność i niepodległość - to piękne słowa, ale waszą sprawę przesądzone na szczeblu najwyższym. Szkoda poniesionych ofiar, krwi, trwających do dziś cierpień...

Odsiedzieliście dziesięć lat i za co? Za co dalej pokutujecie w tej zaszrannej Turze? Wasze miejsce tam - w Polsce. Gdybym mógł, zaraz kazałbym was zwolnić.

- Potem opowiadał, jak kiedyś przyprowadzili do niego dwóch schwytanych z bronią chłopców. - Nie mieli jeszcze dwudziestu lat. Spytałem, co robią w lesie. Mówię, że Niemców już nie ma... Przeciwno komu walczyacie? Związku Radzieckiego - powiadam - tymi pukawkami nie pokonacie. Nasze armie idą na Berlin... Jeszcze kilka dni czy tygodni i będzie koniec wojny... Nie posiadacie żadnego zawodu i wykształcenia. Zamiast wałęsać się po lasach powinniście uczyć się, chodzić do szkoły. Mogę oddać was w ręce MGB - oni was nie wypuszczą. Wywiozą na białe niedźwiedzie... Szkoda mi was, bo sam mam dzieci. Nie chcę, by za tyle lat walki wpakowano was do łagrów. Nie pozwala sumienie... Puszczę, ale jeśli nie wrócicie do domów, skrzywdzicie sami siebie...

- Wstał z krzesła i zasłonił okno.

- Wolę - powiedział - by ta swołocz nas nie widziała. Nie boję się ich, ale nie muszą wszystko widzieć. - Okno sekretarza wychodziło na budynek MGB.

Gospodyni przyniosła zakąski i herbatę. Była miła i sympatyczna, ale do dyskusji na tematy akowskie nie włączała się.

Sprawę Wacka sekretarz załatwił przy nas. Zatelefonował do jego dyrektora i oznajmił, że Bołtromun od jutra będzie pracować w piekarni. - Ludzie narzekają na złą jakość chleba, a on jest piekarzem... Jutro rozlicz Bołtromuna i daj mu przeniesienie... - Potem opowiadaliśmy o partyzantce na Wileńszczyźnie i w grodzieńskim. <sup>Sekretarz</sup> Słuchał z dużą uwagą. Na pożegnanie życzył szybkiego powrotu do kraju.

W październiku wysłałem do generalnego prokuratora Związku Radzieckiego skargę. Napisałem, że bezpodstawnie zostałem skazany na dziesięć lat łagrów i bez żadnego uzasadnienia przebywam na zesłaniu. Prosiłem o ponowne rozpatrzenie mojej sprawy i o uniewinnienie. W skardze nadmieniałem, że do najwyższych władz państwowych pisałem z łagru w latach 1945 i 1946, i że do tej pory nie otrzymałem odpowiedzi.

Prosiłem o uchylenie decyzji MGB o bezterminowym zesłaniu oraz o zezwolenie na wyjazd do Polski.

Po paru miesiącach w urzędzie bezpieczeństwa wręczono mi pismo z generalnej prokuratury, w którym informowano, że moją skargę przekazano do rozpatrzenia naczelnemu prokuratorowi Bałtyckiego Wojennego Okręgu.

Ucieszyłem się, że w mojej sprawie zaczęło się coś dziać.

Z biegiem czasu przyzwyczailiśmy się do nowych warunków. Nasz pokój stawał się coraz bogatszy. Kupiliśmy pościel, firany, zasłony. Spaliśmy w jednym łóżku, bo na drugie nie było pieniędzy i miejsca.

Na frontowej ścianie zawiesiliśmy podarowany przez Jurka Styczyńskiego obrazek z wymalowaną na tle pięknego, dużego orła niewiastą. Niewiasta symbolizowała Polskę. Skute łańcuchem ręce wskazywały, że Polska jest w niewoli.

- Polaki - mówili Rosjanie - to patrioty!

- Wacka ciągnęło :, do gospodarstwa. Jeszcze jesienią namówił mnie do zbudowania ziemianki.

- Będziemy w niej hodować prosiaka i kury. Wiesz jak to dobrze mieć swoje mięso, świeże jaja?!... Prosiaka kupimy na fermie świń. Rozmawiałem już z Wanią-Kitajcem... Kierownikiem fermy był Chińczycy. Wszyscy nazywali go Wanią-Kitajcem.

Wacek poznał go w piekarni. Dość często przychodził do nas pogadać. Nie znosił Rosjan. Twierdził, że Rosja - to jedno wielkie więzienie.

- Najgorsze to, że naczelnicy tego największego w świecie więzienia narzucają swoje porządki innym narodom. Po co - pytał - wtrącają się do spraw polskich, chińskich?...

- Uważał, że Rosjanie są zarażeni manią panowania nad światem. - Potępiają despotyzm, a sami są superdespotami. W Moskwie widzą pępek świata. Każą nam mienić ich "starszym bratem" i w tym tkwi ich maniacka logika. - Skoro jestem starszym bratem - rozumuje przeciętny Rusek - mam prawo i obowiązek pouczać młodszych... Nieposłusznych mam prawo przywołać do porządku, mam prawo wymierzać kary... W rodzinie musi być dyscyplina... Nieposłuszni - to my, wy i inni.

- Prosiaka kupiliśmy. Od Wani-Kitajca dostawaliśmy karmę i witaminy.

- Musimy sobie pomagać - powiadał. - Oni chcą nas zgnębić, ale my nie damy się.

Ziemiankę zbudowaliśmy w ciągu trzech dni. Do prosiaka dokupiliśmy trzy kury i jednego koguta. Kury karmiliśmy kaszą a prosiaka zmiotkami mąki z piekarni i karmą od Wani.

Od grudnia zmieniłem zawód palacza na drwala. Pracowałem ciężko, ale więcej zarabiałem.

Do pracy w lesie miałem osiem kilometrów.

Dzienna norma wynosiła ~~szesnaście~~ sześć metrów sześciennych. Można ją było wykonać z łatwością.

Przy wykonaniu normy w stu procentach miesięczny zarobek kształtował się na poziomie 500 rubli. Kilogram masła w tym czasie kosztował 30 rubli. Tyle samo kosztował kilogram mięsa i kiełbasy.

Oprócz wydatków na żywność musieliśmy opłacić mieszkanie, światło i zbierać trochę grosza na ciepłe ubranie.

Potrzeby były duże. Dlatego musiałem normę wysoko przekraczać. Wyrabiałem ją przeciętnie w 425%. Jednego dnia stawiałem 6m<sup>3</sup>, a drugiego 9m<sup>3</sup>.

W takim układzie zarabiałem 1200 rubli miesięcznie. Przy temperaturach poniżej -40°C robotnicy zatrudnieni pod gołym niebem otrzymywali wynagrodzenie o 40% wyższe. Z 40-procentowym dodatkiem udawało się zarobić 1400 a nawet 1600 rubli.

Do pracy wychodziłem o godzinie siódmej albo później, bo zimą switało dopiero o godz. 10-tej. Z powodu ciemności kończyłem pracę o godzinie 15-tej.



Przy temperaturach minus 40 do minus 50°C pracowałem bez czapki, watek i rękawic.

Śniadanie jadłem przed dziewiątą, gdy było jeszcze ciemno. W ciągu 5 godzin robiłem dwie krótkie przerwy na papierosy. Przez resztę czasu machałem ciężkim toporem i nosiłem 3-metrowe kłocę do sztapli.

Pracę zaczynałem od podcinania pnia i obalenia drzewa. Potem usuwałem gałęzie i sęki. Ćwiartowałem drzewo na kawałki o wymaganej długości i układałem je w sztaple. Wszystkie operacje, poza układaniem, wykonywałem siekierą.

W drugiej połowie stycznia z pięcioma drwalami pojechałem na "zagotówkę lesa".<sup>x</sup>

Ku mojemu zdziwieniu zostałem awansowany na brygadzystę. Nie chciałem zgodzić się, tłumaczyłem się brakiem doświadczenia i nieznajomością tajgi. Przed wyjazdem musiałem zgłosić się do naczelnika KGB. Przyjął mnie z judaszowskim uśmiechem i oznajmił, że chce ze mną porozmawiać na temat "zagotówki lesa".

- Pojedziecie w tajgę z pięcioma robotnikami - trzema Ukraińcami i dwoma Niemcami. Jesteście Polakiem i dlatego mamy do was zaufanie. Ukraińcy - to banderowcy, Niemcy - podobny element. Jako brygadzysta musicie na nich uważać. W dniu wyjazdu otrzymacie dwie dubeltówki i jeden karabin. W tajdze są niedźwiedzie, wilki i jak świst światem nikt nie zapuszczał się w nią bez broni. Nie możemy wysłać ludzi na stracenie... Broń i amunicję powieziemy wam. Bez waszej zgody nikt nie może z niej korzystać. Szczególnie musicie uważać na karabin. Gdyby coś się stało - coś niebezpiecznego, postarajcie się dotrzeć do fermy lisów. Jest ona około 50 km od miejsca "zagotówki lesa". Tam mają radiostację.

- Wieczorem treść rozmowy z Czuprasowem powtórzyłem obu Niemcom. Byli bardzo porządni i uczynni. Jeden nazywał się Brandt, a drugi Kufelt. Przed rokiem brygadzystą był Brandt. Jego również wzywał Czuprasow i plutł o zaufaniu...

- Dają broń - powiedział Brandt - bo bez niej nikt w tajgę nie wyruszy. Dawali nawet w czasie wojny, ale wtenczas na całą grupę mieliśmy tylko jedną dubeltówkę. Posiadał ją nie pracujący brygadzysta - Rosjanin.

Z obu Niemcami przyjaźniłem się.

---

x Zagotówka lesa - Zaopatrzenie przedsiębiorstwa w drewno

Często bywałem w ich mieszkaniach. Byłem zapraszany na imieniny, urodziny i z okazji świąt kościelnych.

Łączył nas wspólny los i jedna wiara. Niemcy byli katolikami. Interesowali się życiem w przedwojennej Polsce i wydarzeniami z ostatniej wojny. Opowiadałem im o zbrodniach niemieckich i sowieckich.

Przed wojną Kufeltowie i Brandtowie mieszkali na Ukrainie. Pracowali w kołchozie, w którym większość stanowili Niemcy. Twierdzili, że żyło się ~~tu~~ ~~tu~~ zupełnie dobrze. W sąsiednich kołchozach - ukraińsko-rosyjskich ludzie cierpieli biedę. Niekiedy dochodziło do głodu.

Niemcy wyrażali przekonanie, że w zakresie organizacji i zarządzania gospodarką Rosjanie należą na największych antytalentów na świecie.

- Jeśli do antytalentu dodać - mówili - wrodzone lenistwo i brak uczciwości, to nie należy się dziwić, że tak wygląda ich gospodarka - Po napaści Niemiec na Związek Radziecki niemieckie kołchozy otoczyły wojska NKWD. Wszystkim mieszkańcom w ciągu pół godziny kazano spakować najniezbędniejsze rzeczy i przygotować się do drogi.

- Powyrzucali - mówił Kufelt - z domów.

Do Krasnojarska jechaliśmy w zakratowanych wagonach, a potem statkiem. Ludzie wyzywali nas od faszystów i hitlerowców, obrzucałi kamieniami, opluwali... Nikt nie wie cośmy przeżyli. Do dzisiaj pytamy: Za jakie grzechy? i nie możemy znaleźć odpowiedzi. Nasi dziadkowie, a nawet pradziadkowie, nie mówiąc o rodzicach i o nas, urodzili się i mieszkali na Ukrainie. Po Niemczech zachowaliśmy tylko mowę i narodowe tradycje. Być może grzechem jest nasza narodowość?...

W Turze od początku pracowaliśmy w lesie. Najtrudniejsze były zimy, bo nie mieliśmy ciepłej odzieży. To, co przywieźliśmy z Ukrainy, szybko zużyło się. O kupieniu nowego ubrania i obuwia w czasie wojny mogliśmy tylko pomarzyć.

Kto nie pracował nie dostawał kartek żywnościowych. Cierpieliśmy głód. Zimą, przy 50-stopniowych ~~mrozach~~ chodziliśmy do pracy bez obuwia. Obwiązywaliśmy nogi starymi szmatami. Często brakowało szmat... To była makabra.

- Rodzinę Kufeltów spotkało szczęście. Jedną z córek udało się urządzić do pracy u wysoko postawionego partyjniaka.

Pracowała tam w charakterze służącej, za co dostawała kartki żywnościowe. U swoich "panów" miała pełne wyżywienie, więc z kartek korzystali pozostali członkowie rodziny.

- Partyjni dygnitarze - mówił Kofelt - biedy nie mieli. Korzystali ze specjalnych przydziałów odzieży, obuwia i żywności. Posiadali kartki z wyższym przydziałem podstawowych artykułów.

W moim przekonaniu kartki były im niepotrzebne, bo z racji posiadanej władzy mieli wszystko. Wystarczył telefon do sklepu lub magazynu - przynosili im to, co chcieli i w wielu przypadkach za darmo. Ale takich "panów" w Turze było niewiele.

- Brandt z Kufeltem zadeklarowali pomoc. Na "zagotówkę lesa" jeździli rokrocznie i mieli duże doświadczenie.

Nadszedł dzień wyjazdu. Na pokrytej grubą taflą lodu rzecze oczekiwał zaopatrzony w nartowe podwozie samolot. Załadowaliśmy prowiant, namiot, śpiwory, narzędzia pracy i spirytus. Dostaliśmy po 5 butelek na osobę jako lekarstwo na wypadek przeziębienia. Po godzinnym locie wylądowaliśmy na korycie tej samej rzeki w miejscowości Zwiero-Ferma.

Otoczyli nas oderwani od świata mieszkańcy. Pomogli wylądować żywność i cały bagaż, ściągnęli sanie z końmi i wszystko przewieźli do osiedla. Samolot odleciał do Tury.

Brandt i Kufelt znali wszystkich mieszkańców.

Zostaliśmy zaproszeni do jednej z rodzin. Na stole pojawił się spirytus i zakąski. Byłem zaskoczony gościnnością. Przyjęli nas jak najbliższych członków rodziny, lub przyjaciół. Pragnęli usłyszeć jak najwięcej wiadomości. Gdy dowiedzieli się, że jestem z Polski, posypały się pytania.

Opowiadałem o czasach przedwojennych, o wojnie, o okupacji, o naszej walce i o wyzwoleniu Wilna. Tłumaczyłem za co zostałem aresztowany i za co 10 lat odsiedziałem w łagrach.

Po paru godzinach cała Zwiero-Ferma mówiła, że w grupie robotników jest polski partyzant.

Do mieszkania, w którym gościliśmy, przychodzili sąsiedzi. Wszyscy zapraszali do siebie. Do wieczora "obkoładowaliśmy" pół osiedla.

Mieszkańcy Zwiero-Fermy pracowali w fermie srebrnych lisów. Kierownik fermy, Rosjanin, zaprosił nas na obiad. Przed obiadem zwiedziliśmy fermę. Nie znałem się na lisach i dlatego oglądałem je tak, jak ogląda się w ogrodzie zoologicznym.



Mieli ich tam całą masę. Ferma zajmowała powierzchnię kilku hektarów. Warunki hodowli były zbliżone do warunków naturalnych. Zwierzęta znajdowały się w dużych i przestronnych klatkach z metalowej siatki. W każdej klatce były drewniane budki. Miały dużo przestrzeni do błądzenia. Ferma znajdowała się w odgrodzonym kawałku tajgi.

- Dajemy państwu - mówił kierownik - duże dochody. Koszty utrzymania fermy są niewielkie. Mięsa nie sprowadzamy, bo mamy dziczyżnę. Ryby są w rzece. Za pół godziny można nałowić tyle, że starczy na cały dzień. Najważniejszy koszt stanowią płace robotników. Wszystko, co zarobimy, przepijamy. Kupujemy tylko cukier, sól, pieprz, artykuły mączne i chleb. Mięsa mamy dosyć w tajdze, Nadwyżki z zarobków idą na spirytus.

- Gdy wróciliśmy z fermy był zastawiony stół. Spostrzegłem 3 butelki spirytusu. Przed każdym stały duże puste szklanki. Gospodarz napełnił je po brzegi i życząc zdrowia opróżnił szklankę. Inni uczynili to samo. Po wypiciu nie mogłem złapać tchu. Czuję jak napój rozchodzi się po ciele. Fowachałem kromkę chleba, zakaśiłem i - o dziwo, stwierdziłem że nie jestem pijany. Po pierwszym rozlaniu buletki były próżne. Więcej nie piliśmy. Po wyjściu na dwór nie czułem zimna, chociaż mróz sięgał -40°C.

Nazajutrz dostaliśmy od kierownika dwoje sań z końmi, owies, siano i po załadowaniu swego bagażu o świcie wyruszyliśmy w drogę.

Do miejsca "zagotowki lesa" mieliśmy 50 km. Pięć kilometrów przemierzaliśmy korytem rzeki. Łódź był tak gruby, że możnaby po nim jeździć czołgami. Potem rzeka zataczała duży, prawie stukilometrowy łuk. Ewenkowie przetarli którąś drogę przez tajgę. Skręciliśmy na tę drogę. Była mocno zaśnieżona. Brnęliśmy po kolana w śniegu. Konie nie chciały ciągnąć sań. Dwie osoby powoziły końmi, a cztery przed nimi nogami ubijały śnieg. Zabierało to bardzo dużo czasu i kosztowało dużo wysiłku.

Mimo dużego mrozu wszyscy byliśmy spoceni. Z koni buchała para. Co kilkaset metrów kładliśmy się na śniegu by trochę odpocząć. Z braku wody pragnienie gasiliśmy śniegiem. Wyruszając ze Zwierz-Fermy liczyliśmy, że przed zmierzchnem dotrzemy do koryta rzeki, a doszliśmy tylko do połowy drogi. Noc spędziliśmy w tajdze. Musieliśmy przerwać marsz i czekać do świtu. Wyprzęgliśmy zmęczone konie, ścięliśmy kilka suchostojek, zdarliśmy z drzew trochę brzozonej kory i rozpaliliśmy ognisko.

Obsiedliśmy je i zabraliśmy się do posiłku. Konie napoiliśmy wodą z roztopionego śniegu. Dostały porcje owsa i siana. O spaniu nie mogło być mowy. Wiedzieliśmy, że zimą w tajdze spać nie można. Niejeden podróżnik przez sen stracił życie. Z ogniska buchało przyjemne ciepło, a od tyłu wiało chłodem. Wszystkich ciągnęło na sen, ale przez całą noc nikt nie zmrużył oka. Gdy komuś mrużyły się zaraz budziliśmy.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Po kilku godzinach katorżnego marszu, do reszty wyczerpani, dotarliśmy do Dolnej Tanguzki, skąd do celu mieliśmy około 6 km.

Zanim ściemniało rozwinęliśmy ~~namiaty~~ duży wojskowy namiot. Wnieśliśmy do niego żelazny piecyk i zbudowaliśmy prycze. Przy namiocie zbudowaliśmy szałas dla koni. Po rozpaleniu piecyka w namiocie było cieplej niż w mieszkaniu. Po kolacji powłaziliśmy do reniferowych śpiworów i zapadliśmy w upragniony sen.

Nazajutrz przystąpiliśmy do pracy. Ścinałiśmy sosny i świerki. Wybieraliśmy najwyższe, najprostsze i najgrubsze. Po ścięciu z pnia i usunięciu gałęzi piłowaliśmy je na sześciometrowe kawałki i zwoziliśmy na brzeg rzeki.

Robota nie była zła - z wielu względów lepsza niż w Turze. Las mieliśmy na miejscu, a więc odpadały ośmiokilometrowe marsze do pracy i z pracy. W namiocie w każdej chwili mogliśmy ogrzać się i wypić gorącą herbatę.

Najgorsze było wstawanie, bo z rana temperatura w namiocie równała się temperaturze zewnętrznej. Na myśl, że trzeba wyjść ze śpiwora człowieka przenikały dreszcze.

Kładliśmy się spać w bieliźnie. Na każdy dzień wyznaczaliśmy dyżury. Po kolacji dyżurny przynosił do namiotu suche kawałki drewna i brzożową korę. Przed spaniem drewno i korę wkładał do piecyka i w pobliżu zostawiał zapałki. Z rana wychodził ze śpiwora, zapalał korę i natychmiast wracał z powrotem.

Po 20 minutach piecyk był czerwony, a w namiocie ciepło jak w łaźni. Wtenczas dyżurny ubierał się i szedł do rzeki po wodę. Tam łomem i siekierą rąbał lód, bo po nocy otwór zamarzał. Do obowiązków dyżurnego należało pojenie i karmienie koni oraz sporządzanie posiłków.

Śniadanie składało się ze świeżych mącznych lepioszek, zbożowej kawy lub herbaty i smażonej ryby albo gotowanego mięsa.

Po przygotowaniu śniadania dyżurny robił pobudkę. Potem zaczęliśmy pracę. Obiady mieliśmy po fajrancie. Wieczorami opowiadaliśmy o swoich przeżyciach, o przeczytanych książkach i oglądanych filmach. W ten sposób mijały dni, tygodnie i miesiące. W namiocie raz w tygodniu robiliśmy pranie bielizny i pościeli oraz kąpiele.

Pod koniec kwietnia zorientowaliśmy się, że posiadamy za małe zapasy żywności. Widocznie za dużo jedliśmy albo za mało dostaliśmy.

Pewnego dnia zajechali do nas, podróżujący korytem rzeki Ewenkowie. Za spirytus dali kilka kilogramów mięsa. To nas poratowało, ale zapasy kurczyły się.

Wkrótce stanęliśmy przed groźbą głodu, co mogło skończyć się tragicznie.

Trzeba było natychmiast skontaktować się z Turą. Ktoś musiał wybrać się do Zwiero-Fermy, gdzie była radiostacja. Ponieważ nie było chętnych, musiałem wyruszyć w drogę sam.

Było to w pierwszą lub w drugą sobotę maja. Zarzuciłem przez ramię karabin, za pas włożyłem długi, ostry bagnet i pozedkiem. Namiot opuściłem przed południem. Pogoda dopisywała. Mróz niewielki - około 20°C, nie było wiatru.

Odcinek drogi korytem rzeki przeszedłem szybko. Gdy zagłębiłem się w tajgę, pogoda zepsuła się. Zaczął padać gęsty śnieg. W miarę potęgowania się śnieżycy pogarszała się widoczność. Po godzinie brnąłem w śniegu po kolana. Na szczęście śnieg był świeży i sypki, ale z każdym kilometrem odczuwałem coraz większe zmęczenie. Szedłem coraz wolniej. Zaczął zapadać zmrok. Wielokrotnie gubiłem zasypaną śniegiem, wąską, półtorametrową drogę. Wpadałem do śniegu aż do pasa. Bałem się, by nie zabłądzić. Starłem się nie poddać lękowi, bo wówczas zabłądzić jeszcze łatwiej. Bacznie wpatrywałem się w wierzchołki drzew, wśród których z trudem dostrzegałem, odpowiadające szerokości drogi, długie pasmo coraz ciemniejszego nieba. Ono wskazywało kierunek marszu.

Głucha leśna cisza i ciemność nocy przy opadających z godziny na godzinę siłach, wzmagają lęk. Od czasu do czasu ciszę przerywał trzask suchych gałęzi. Odruchowo zatrzymywałem się i rozglądałem wkoło, nadsłuchując czy trzask nie powtórzy się.



Bywało, że zdejmowałem z ramienia karabin i sposobilem się do obrony.

Po trzaskach rozdawał się łopot skrzydeł spłoszonych ptaków. Ale nie zawsze musiały być ptaki. Niedźwiedzie już czuły zbliżającą się wiosnę i sen ich nie był tak twardy, jak na początku lub w środku zimy. Nie wykluczałem więc spotkania z jakimś wypłoszonym przez ptactwo lub zwierzyną misiem.

Największe niebezpieczeństwo groziło ze strony głodnych syberyjskich wilków.

Po wielogodzinnym marszu dotarłem do koryta Tunguzki. Przed sobą miałem tylko 5 km. Marzyłem o ciepłym mieszkaniu i odpoczynku. Byłem pewien, że odcinek ten pokonam w ciągu godziny, ale mocno pomyliłem się. Na ostatnie kilometry zużyłem prawie trzy godziny. W ciemnościach nocy zgubiłem ujeżdżoną przez Ewenków drogę.

Wierzchnia skorupa śniegu załamywała się krok za krokiem. Część drogi odbywałem czołgając się. Bałem się, że na ostatnim odcinku zabraknie sił. Chciałem strzelać, by zaalarmować mieszkańców Zwiero-Fermy. Liczyłem, że na odgłos strzałów przybędą na pomoc. W pewnej chwili usłyszałem szczekanie psów.

- Już jest niedaleko. Jestem prawie na miejscu - mówiłem do siebie i wytężając resztki sił wlokłem się do przodu.

W kilku mieszkaniach paliło się światło. Wszedłem do najbliższego... Byłem owalany śniegiem, spocony i wymazany krwią od pokaleczonych o ostrą skorupę śniegu rąk, którymi ocierałem z twarzy pot.

Domowników zbudziło ujadanie psów. Bali się podkradających się do osiedla, wygłodniałych wilków. Gospośia szybko zrobiła gorącą herbatę i podała jedzenie. Gospodarz przyniósł półlitrowy kubeł napoju. W międzyczasie umyłem się.

- Pij! - powiedział - to brażka, rozgrzejesz się... Oboje nawymyślali mi za samotny nocny ~~marz~~ marsz.

- Jesteśmy Sybirakami i tutejsze lasy znamy jak własną kieszeń, ale na noc w tajgę nikt z nas samotnie nie wybiera się. Jak mogłeś wpaść na taki pomysł?... W taką pogodę może człowieka zasypać śniegiem i wtedy koniec...

- W mieszkaniu gospodarzy były tylko dwa łóżka. W jednym spała dwójka dzieci, a w drugim oni.

Gospodyni zmieniła pościel i kazała położyć się na ich łożu. Małżonkowie usłali sobie na podłodze. Nie chciałem się na to

zgodzić,

ale na moje gadanie nie zwracali uwagi.

Momentalnie usnąłem. W niedzielę przez kierownika Zwiero-Fermy zawiadomiłem Turę o braku żywności i postanowiłem wrócić do namiotu. Mieszkańcy osiedla uważali, że muszę parę dni odpocząć, ale byłem uparty...

Pogoda poprawiła się. Mróz był trochę silniejszy, ale nie padało. W połowie drogi wyczerpałem się z sił. Coraz częściej robiłem odpoczynki. Zbliżał się zmierzch. Ciągnęło na sen. Niejednokrotnie rozglądałem się za miejscem, w którym mógłbym trochę zdrzemnąć, ale rozum ostrzegał... Wyciąłem kij do podpierania się. - Jeszcze trochę - szeptałem do siebie i szedłem... Potem wyrzuciłem kij - był za ciężki. Czuję jak zakamują się nogi. Mróz wzmagął się. Na sen ciągnęło coraz bardziej, ale wiedziałem, że w tajdze nie jeden zasnął na wieki.

Wyteżądałem resztki sił i wlokłem się naprzód. Co jakiś czas opierałem się o drzewa i kładłem się na przydrożnych jałowcach. Próbowałem modlić się. Modlitwa uspokajała, ale spokój wzmagał senność. Bałem się by nie zasnąć...

Coraz częściej kładłem się na jałowcach i młodych sosenkach. Chwilowy odpoczynek bardzo pomagał. Czuję jak odprężają się mięśnie, chciałem poleżeć dłużej, ale klejące się do snu oczy mówiły, że dłużej nie można. Strach przed snem kazał wstawać. Do koryta rzeki dobrnąłem w ciemności. Teraz wiedziałem, że dojdę. Parę kilometrów przed namiotem zaśpiewałem "Rozszumiały się wierzby płaczące...". Pieśń odbiła się echem po tajdze. Usłyszeli ją koledzy w namiocie i wyszli na spotkanie. Mieli przygotowaną kolację. Z wilczym apetytem zjadłem świeże lepioszki.

Po trzech dniach otrzymaliśmy uzupełnienie żywności. Przywieźli ją podróżujący korytem rzeki Ewenkowie.

Do Tury wróciliśmy między 10 i 15 czerwca. Płynęliśmy na długich dwutaśmowych tratwach. Nigdy nie przypuszczałem, że zdobędę zawód flisaka.

Spławianie tratw nie jest łatwym rzemiosłem. Między Zwiero-Fermą i Turą Tunguzka przecina skaliste wzgórza i posiada wiele tzw. "porogów".<sup>x</sup> W miejscach zężenia koryta szybkość płynących wód dochodzi do 20 km na godzinę.

---

x porogi - spadziste progi rzeczne

Wystające spod wody skały groziły rozbiciem tratw. Jeszcze groźniejsze były skały ukryte tuż pod powierzchnią wody. Rozpoznawaliśmy je po silnych wirach.

Prowadzenie tratw w takich warunkach wymagało umiejętności, siły, opanowania nerwów i odwagi. Cechy te posiadali obaj Niemcy. Górowali nad nami przede wszystkim spokojem, chociaż nie umieli pływać. Dzięki nim do Tury dotarliśmy cało.

W Turze nadal pracowałem w lesie. Byłem zmęczony monotonością życia. Jedyłą przyjemnością sprawiały listy od babci i rodziców z Polski.

Od czasu do czasu urządzaaliśmy towarzyskie spotkania. Chodziliśmy do Staśki i Mariana. Oni odwiedzali nas rzadziej. Kilka razy gościliśmy Wanię-Kitajca, Wanię-Kryminalistę i Witka Wasilewskiego.

Przez osiemnaście miesięcy zesłania w kinie byłem tylko trzy razy. Wyświetlano w nim taką szmirę, że nie było na co patrzeć.

Jeden film obejrzałem z przyjemnością. Był to film polski pt. "Kanał". Oglądałem go z Wackiem, Marianem i Staśkiem. Film o warszawskich powstańcach wywarł na nas duże wrażenie.

- Co za paradoks?! My, skazani na zagładę akowcy, oglądamy film o akowcach...

- W duszy kłamię sprawców naszego losu. Myślałem o Polsce: - To jednak w kraju nie jest tak źle... Ta komunistyczna czy socjalistyczna władza jest inna od sowieckiej. Polska, mimo zależności od Kremla technicznie polskością... Skoro tamtych uważa się za bohaterów, dlaczego nas mają za wrogów ludu?... Dlaczego w Polsce nikt o nas nie upomina się? Przecież każdy rząd powinien troszczyć się o obywateli, którzy znajdują się w innych krajach... Może Rosjanie ich oszukują? Może informują Warszawę, że przyjęliśmy radzieckie obywatelstwo?...

- Wyciągnięte wnioski o sytuacji w kraju na podstawie jednego filmu mogło tylko pomieszać w głowach.

Latem 1955 r. przez kilka tygodni byłem w miejscu "zagotowki-lesa" i odwiedziłem Zwiero-Fermę. Tym razem brygadę w tym samym składzie skierowano do koszenia siana.

W okolicy Tury nie było dobrej trawy, więc sprowadzano z dalszych odległości.

Trawa rosła na brzegach Dolnej Tanguzki. Trzeba było ją skosić, wysuszyć, załadować na przygotowane do transportu tratwy i przewieźć do Tury.



Latem tajga nie jest straszna. W lesie mieliśmy pełno jagód. Zbieraliśmy je wiadrami. Było ciepło, a nawet gorąco. Słońce świeciło przez całą dobę. Do wyboru mieliśmy maliny, czarną i czerwoną porzeczkę i czarne jagody. Takiego jak tam mnóstwa jagód nigdy nie widziałem.

W chwilach wolnych od pracy polowaliśmy na dzikie kaczki. Było ich bez mała tyle, co jagód, ale najczęściej mieliśmy komarów. Nie dawały spokoju przez całą dobę. Odpędzaliśmy je dymem. Dookoła szałasów rozpalaliśmy niewielkie ogniska, na które kładliśmy mokrą trawę. Dzięki temu mieliśmy dużo dymu. Mieszkaliśmy w ułożonym z siana szałasie.

Po powrocie z tajgi dowiedziałem się, że Wacka wzywał zastępcę naczelnika KGB, mjr. Chramow i przesłuchiwał go tak samo jak w czasie śledztwa przed 10-ma laty. Pytania dotyczyły jego działalności akowskiej. Nowym przesłuchaniem byliśmy mocno zaniepokojeni. Ważkowanie tej samej sprawy, gdy człowiek swoje odsiedzia, stanowiło zagadkę.

Po kilku tygodniach Wacka zrehabilitowano. Otrzymał sowiecki dowód osobisty i został pełnoprawnym obywatelem radzieckim. - Polskie obywatelstwo - powiedział Chramow - wymaga udokumentowania ... Wacek nie mógł go udokumentować, bo urodził się w okolicy Grodna i za Niemem nie posiadał rodziny.

Po kilku dniach wyjechał do Turochańska.

Później zrehabilitowano Witka Wasilewskiego. Witek był zagadkową postacią, ni to Polak, ni to Litwin... Nigdy nie mówił za co go skazano.

Prawdopodobnie był mieszkańcem i trafił do łagrów za służbę na rzecz okupanta. W Olsztynie miał rodzinę i dzięki niej wyjechał do Polski.

W pokoju zostałem sam. Z rehabilitacją Wacka wiązałem własne nadzieje, ale naczelny prokurator Bałtyckiego Wojennego Okręgu na skargę nie odpowiadał. Doszedłem do wniosku, że nie mam szczęścia.

- Władek i wielu innych kolegów wyjechali do kraju w roku 1948, teraz uniewinnili Wacka i Witka...

Od pierwszego września zapisałem się do wieczorowej szkoły dla pracującej młodzieży. Zostałem przyjęty do ósmej klasy. Z nauką nie miałem trudności. Po kilku tygodniach uzyskałem opinię najlepszego ucznia w klasie.

Na całą szkołę byłem jedynym zesłańcem. Pozostali uczniowie rekrutowali się spośród urzędników państwowych, którym kazano uzupełnić wymagane wykształcenie.

Od tej pory nie nudziłem się. Wieczorami siedziałem nad książkami i odrabiałem zadane lekcje. Często pisałem listy do rodziców i do Wilna.

Wiedziałem, że rodzice starają się, bym mógł wyjechać do Polski. Strasznie tęskniłem za nimi. Tęskniłem za krewnymi, znajomymi - za Ojczyzną.

Nadzieja i beznadziejność strasznie męczyły.

Dość ciekawą postacią był Wania-Kryminalista. Dziesięć lat odsiedział w łagrach za złodziejstwo. W latach dziecięcych kilka razy karany był poprawczakiem. Wania-kryminalista należał do złodziei "zakonnych", których obowiązywały określone zasady. Nigdy nie okradali ludzi należących do świata pracy. Czystowali mieszkania i kieszenie osób zaliczanych do "czerwonej burżuazji", obrabiali kasy sklepowe, restauracji oraz instytucji państwowych i spółdzielczych.

Każdy złodziej zakonny po udanej kradzieży musiał podzielić się łupem z kolegami. Gromadzenie pochodzącego z kradzieży kapitału było zakazane. Jeśli po podziale łupu pozostawały nadwyżki ponad bieżące potrzeby, oddawano je ludziom biednym. Złodzieje zakonni nie odkładali pieniędzy na jutro i pojutrze. To, co zdobyli dzisiaj, wydawali tego samego dnia albo rozdawali. Potem zabierali się do nowych skoków.

Kiedyś widziałem jak Wania wyciągnął portfel z kieszeni kapitana KGB. Było to w sklepie z artykułami przemysłowymi. Wania zauważył, że tę kradzież ~~oglądałem~~. Wieczorem przyszedł do mnie z krążkiem kiełbasy i butelką wódki.

- Zarobiłem, Giens /tak mnie nazywał/ 500 rbl. Musimy to opić. Tych bydlaków trzeba obrabiać. Tyle ludzi przez nich cierpi. Widziałeś jak to robiłem? Brzytwą poszerzyłem kieszeń i portfel wylazł...

Za naruszenie złodziejskich zasad złodziejom zakonnym groziła śmierć. Sędziami i wykonawcami wyroków byli koledzy. Mówiono, że taki złodziej "zsuczył się", czyli upodlił się jak suka.

Świat złodziejski w Związku Radzieckim dzielił się na złodziei zakonnych i na suki. Między złodziejami zakonnymi i "sukami" trwała ciągła ~~wojna~~ wojna.

Z sukami współpracowała milicja i funkcjonariusze KGB. W Turze złodziei zaliczanych do suk nie było, a złodziei zakonnych mieliśmy około dziesięciu. Do mnie i do Wacka odnosili się poprawnie. Byli sympatyczni, kulturalni i uczynni.

Na zesłaniu, podobnie jak w łagrach, ludzie tworzyli grupy narodowościowe.

W Turze najliczniejszą grupę stanowili Niemcy. Żaden nie mówił poprawnie po rosyjsku. Między sobą rozmawiali tylko po niemiecku. Zesłańcy byli względem siebie uczynni. Pomagali sobie w pracy i w życiu prywatnym. Nie gonili za bogactwem. Często dostawałem od sąsiadów świeżą rybę albo kawałek mięsa. Przychodził sąsiad i mówił: "Dzisiaj złowiłem...", albo "Dzisiaj dostałem...", a dla mnie tego za dużo...".

Gdy zabiliśmy prosiaka, również podzieliliśmy się z sąsiadami. Na zesłaniu wytworzyła się łącząca zesłańców solidarność.

W szkole byłem traktowany na równi z wolnymi. Pamiętam jak jednemu z komsomolców za nieodrobienie lekcji wychowawczyni wpiisała do dziennika ocenę niedostateczną. Ganiąc go oświadczyła, że mogłaby wybaczyć takiemu uczniowi jak ja, bo widzi jak codziennie maszeruję z toporem do lasu. - Ten człowiek ciężko pracuje. Gdy idzie do pracy jest ciemno i gdy wraca - również ciemno. On ma prawo być zmęczony. Wy siedzicie za biurkiem i mówicie, że nie macie czasu... To po co zapisaliście się do szkoły?...

- 18 grudnia po pracy jak zawsze poszedłem do szkoły. Do połowy pierwszej lekcji dzień przeleciał tak samo jak wszystkie poprzednie.

Po połowie pierwszej lekcji poczułem lekkie stuknięcie w plecy. - Gienryk Michajłowicz - szepnął Siergowancew - proszę was, byście w czasie przerwy zostali w klasie. Mam dla was ważną wiadomość. - Ruchem głowy dałem znać, że zostanę.

Siergowancew był oficerem służby bezpieczeństwa. Dwa razy w miesiącu chodziłem do niego meldować się, że jestem na miejscu. Ten obowiązek dotyczył wszystkich zesłańców.

Do końca lekcji myślałem tylko o zasygnalizowanej wiadomości. Na sygnał dzwonka uczniowie wyszli na korytarz, gdzie można było palić. Siergowancew oznajmił, że jutro mam nie iść do pracy.

- Na godzinę dziewiątą przyjdziecie do mojego biura. Waszą skargę rozpatrzono i uznano was za niewinnego. Oficjalnie dowiedcie się o tym od płk. Czuprasowa. Dzisiaj z Moskwy przyszła do nas poczta,



Fiszą, że z racji polskiego obywatelstwa możecie wyjechać do Polski...

- Z wrażenia osłupiałem. Zachowywałem się tak, jakby wiadomość ta do mnie nie dotarła.

Myślałem, że to sen...

Widząc to, Siergowancew potrząsnął moim ramieniem - Towarzyszu Sobolewskij, powiedziałem wam prawdę. Teraz wiemy, że cierpieliście za nic. Władze nasze masowo rozpatrują sprawy skazanych. Niewinnych są tysiące. Skazywano nawet komunistów... Gratuluję!... Bądźcie u mnie jutro przed dziewiątą...

-Zamiast pójść do domu przesiedziałem w szkole do ostatniej lekcji.

Do rana nie spałem. Nie mogłem uwierzyć, że za kilka godzin będę wolnym i niedługo zobaczę się z rodzicami. Bałem się, że z różnych powodów wyjazd do Polski może być nieaktualny.

Przed dziewiątą zgłosiłem się do Siergowancewa i w jego towarzystwie udałem się do pułkownika

Czuprasow był wyjątkowo uprzejmy. Uścisnął mi rękę, w imieniu rządu pogratulował uniewinnienia i przeprosił za wyrządzone krzywdy.

- Jest mi niezmiernie przykro - powiedział - ale wiecie, że winnych ukarano. - Miał na myśli Berię i jego pomocników. - Sądzę, że do mnie żalu nie macie. Od tej chwili jesteście wolni - posiadacie takie same prawa co ja...

- Sekretarka przyniosła herbatę. Siergowancew wrócił do swego pokoju.

- Jestem zobowiązany poinformować - kontynuował - że nasze władze uznają was za obywatela polskiego i w związku z tym możecie wyjechać do Polski. Nie stawiamy żadnych przeszkód w pozostaniu u nas. W każdej chwili jesteśmy gotowi przyznać wam radzieckie obywatelstwo. Wydamy dowód osobisty... Możecie mieszkać w Turze lub wyjechać.

Do wyboru macie cały kraj. Powinniście ~~złożyć~~ spełnić tylko jeden warunek - złożyć pisemne oświadczenie na okoliczność zrzeczenia się polskiego obywatelstwa. Decyzję musicie podjąć teraz - niezwłocznie.

- Co byście zrobili na moim miejscu? - spytałem - Jaką byłaby wasza odpowiedź, gdyby los rzucił was do obcego kraju, w którym przeżylibyście, to co ja?

- Wróciłbym do swoich - odparł.

To nie dziwcie się - powiedziałem, że mój wybór jest taki sam jak wasz. Chcę wrócić do swoich.

• Pułkownik przez chwilę zastanawiał się. Potem podniósł słuchawkę i wykręcił numer telefonu.

Rozmawiał z moim dyrektorem.

- Macie Sobolewskiemu zaraz wypłacić wszystkie należności za pracę i rozwiązać z nim umowę. On zaraz u was będzie. Proszę o nic nie pytać tylko wykonać polecenie... Odłożył słuchawkę.

- Bilet na samolot otrzymacie od nas. Czy duży macie bagaż?

- Najwyżej 2 kg... - To świetnie, bo na parę kilogramów nie trzeba biletu. Dzisiaj uporządkujcie swoje sprawy i przygotujcie się do odjazdu. Samolot odlatuje jutro o godzinie jedenastej przed południem.

A teraz pójdźcie do swego dyrektora po pieniądze.

- Od szefa безпеki udałem się do Michałkina. Był wystraszony.

- Co się stało? Czego oni od was chcą?

- Po wyjaśnieniu uspokoił się, pogratił uniewinnienia i życzył pomyślności w rodzinnym kraju.

Po południu otrzymałem wypłatę i zwrócono mi potrącenia z tytułu zaciągniętej przez państwo pożyczki. W sumie dostałem ponad tysiąc rubli.

Wieczorem pożegnałem się ze Staśkiem, Marianem i sąsiadami. Domo-  
we graty rozdałem sąsiadom.

Było już późno, gdy do drzwi zapukał Michałkin. Przyszedł pożegnać się. Przyniósł butelkę wódki i krążek kiełbasy. - Rosjanie - powiedział - witają ~~was~~ z chlebem i solą, a żegnają z butelką. Prosił, bym z Polski do niego napisał.

- Napiszcie tylko jeden list. Chcę wiedzieć, że dojechaliście, że naprawdę jesteście w kraju, bo u nas często mówią jedno, a robią coś innego.

- Michałkin był dobrym człowiekiem.

Często podkreślał, że dla niego wszyscy ludzie są jednakowi.

- Na zesłańców i wolnych dzieli nas oni. Mnie te podziaki - mówił - nie interesują. Zawsze oceniam ludzi według ich wartości. Dzielę na uczciwych, dobrych i na zwykłą swolocz.

- Na Święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc miałem od niego dni wolne od pracy.

- Skoro macie święto - powiadał - to trzeba świętować. Myśmy w swoim czasie także świętowali. - Życzył mi przyjemnych i wesołych świąt.

O dziesiątej byłem na lotnisku. Po chwili zjawił się Siergowancew. Oznajmił, że do Krasnojarska polecimy razem. Twierdził, że ma do załatwienia sprawy służbowe.

Domyśliłem się, że tą pilną sprawą byłem ja.

Czuprasow nie wydał mi żadnych dokumentów - nawet zaświadczenia, z którego wynikałoby, że zostałem uniewinniony i jadę do Polski. Miałem ze sobą tylko świadectwo szkolne z ocenami za pierwsze półrocze z ósmej klasy i książkę pracy /Trudowaja książka/, którą wydał mi Michałkin. Osobiście wpisał do niej dwie pochwały za bardzo dobrą pracę i dwa racjonalizatorskie pomysły, chociaż w dyrekcji żadnych pomysłów nie składałem. Uważałem, że dobra opinia może w Polsce przydać się.

Zdawałem sprawę, że przekroczenie granicy z takimi dokumentami jest niemożliwe. Nikt nie ośmieliłby się wyruszyć z nimi nawet w podróż pokraju, bo w każdej chwili mógł być zatrzymany przez milicję. Dlatego Czuprasow powierzył Siergowancewowi rolę strażnika.

Mróz tego dnia dochodził do - 60°C. Samoloty startowały tylko przy temperaturze do minus 50°C. Musieliśmy czekać aż się ociepli.

Po trzech godzinach wylądowaliśmy w Turochańsku. Samolot do Krasnojarska odlatywał dopiero o północy. Do dyspozycji mieliśmy ponad 7 godzin.

Powiedziałem Siergowancewowi, że chcę odwiedzić Wacka. Poparł moją myśl, ale oświadczył, że pójdzie ze mną.

Wacek ucieszył się, że jadę do Polski. Na pożegnanie wypiliśmy trochę sznapsu. Skarżył się, że zrobili z niego obywatela radzieckiego, przez co utracił prawo do wyjazdu do kraju. Prosił, bym pomógł mu udokumentować polskie obywatelstwo. Dałem słowo, że zrobię wszystko, co będzie w mej mocy. Słowa dotrzymałem. Wacek przyjechał do Gdańska w 1957 r.



XX. POWRÓT DO KRAJU

=====

Na krasnojarskim lotnisku wylądowaliśmy 21 grudnia przed czwartą z rana.

Siergowancew miał w mieście siostrę. zaproponował, byśmy pojechali do niej. Miała nieduże, jednopokojowe mieszkanie. Zwróciłem uwagę na obwieszane ikonami ściany. Siostra była sama. Mąż wyjechał na delegację.

Ucieszyła się z odwiedzin. Po przygotowaniu śniadania chciała zrobić posłanie.

- Jesteście zmęczeni. Musicie trochę odpocząć... Gdy dowiedziała się, że o ósmej musimy być w KGB, zaczęła krzętać się po kuchni. Uzupełniła stół zakąskami i postawiła butelkę wódki. Wypiliśmy tylko po jednym kieliszku.

Z toku rozmowy dowiedziała się, że jestem Polakiem, że przebywałem w łagrach i na zesłaniu...

- Mój Boże! Ile to ludzi cierpi - cierpi niewinnie... A ty dalej siedzisz na tej wstrętnej posadzce. Ile razy mówiłam mu - zaliła się, by tę pracę rzucił. Mój brat - poprawiła się - to dobry człowiek. Nie wiem dlaczego wszedł w to bagno. Dobrze, że usunęli tego Berię. Gdyby dłużej sprawował władzę, pozamykałby wszystkich.

- Siergowancew starał się siostrę uspokoić, ale nie zwracała na niego uwagi.

- Wiem, że przykro ci słuchać. Żaden z was nie lubi prawdy, ale mówię o tym dlatego, że jest mi przykro... Przecież jesteś bratem. Tam tyle niewinnych...

- Siergowancew tłumaczył, że w ZSRR zachodzą duże zmiany, że władze rozpatrują sprawy i niewinnych zwalniają.

- Po śniadaniu pojechaliśmy do KGB.

Oficer dyżurny kazał czekać w poczekalni. Po kilku minutach zjawili się dwaj oficerowie. Jeden zaopiekował się Siergowancewem, a drugi zaprowadził mnie do zastępcy naczelnika.

W gabinecie siedział pułkownik KGB. Był bardzo uprzejmy. Podobnie jak Czuprasow przeprosił za krzywdy.

- Wiem - powiedział - coście przeżyli i ile cierpieli. Wy wiecie więcej... Za kilka dni będziecie w kraju. Spotkacie się z rodziną, bliskimi, przyjaciółmi, znajomymi... Będą was pytać i wy, co zupełnie naturalne, będziecie im opowiadać... Macie do tego pełne

prawo. Nie mogę i nie chcę tego prawa ograniczać, ale mam do was prośbę: Mówcie im prawdę. Opowiadając o cierpieniach i krzywdach, pamiętajcie o ludziach, którzy wam pomagali. Nie zapominajcie o zachodzących u nas zmianach. Mówiąc o jednej stronie medalu, pamiętajcie o drugiej...

- Gdy skończył mowę poprosiłem o akt uniewinnienia:

- Wszyscy mówicie o uniewinnieniu, a ja na tę okoliczność nie mam żadnego dokumentu.

- Pułkownik spoważniał. - Dobrze, że przypomniałście. Zaraz wam wszystko wytłumaczę.

Na dworcu w Krasnojarsku stoi pociąg specjalny. Zwozimy do niego rozsiadanych po Krasnojarskim Kraju Polaków. Pojedziecie nim do Polski. Z wami pojedą przedstawiciele naszego resortu, by przekazać was władzom polskim. Oni posiadają wasze dokumenty. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby ktoś z was po drodze dokumenty zagubił?... Teraz odwieżę was na dworzec.

- Przed budynkiem w służbowym samochodzie czekał kierowca.

Koło samochodu kręcił się Siergowancew. Wsiadliśmy do auta. Siergowancew wręczył mi 300 rubli.

- To na drobne wydatki. Po drodze coś sobie kupicie...

- Pociąg stał na pierwszym peronie. Zwróciłem uwagę na duży ruch. Na peronie dominował język polski. W towarzystwie pułkownika i Siergowancewa udałem się do wagonu służbowego. Przywitał nas otoczony oficerami inny pułkownik.

Zastępca naczelnika Krasnojarskiego KGB przekazał mi tekturową teczkę.

- Macie szczęście - powiedział - Z Tury do Krasnojarska kawał drogi... Pociąg odjedzie za dwie godziny. Niewiele brakowało byście nie zdążyli... Gdzie wasze rzeczy? - Mam tylko "Matkę" Gorkiego - pokazałem książkę - i zapasowe spodnie... Bo inni mają duże bagaże. Chyba krótko byliście w Turze i nie zdążyliście się dorobić... Zaprowadźcie go do wagonu - zwrócił się do oficera - i załatwcie miejsce.

- Pułkownik z krasnojarskiego KGB i Siergowancew życzyli przyjemnej podróży i pomyślności.

Trafiłem do przedziału, w którym były dwie panie i mężczyzna.

Pytały czy nie jestem głodny. Chciały czymś poczęstować. Nie mogłem przestawić się na nagłą zmianę. Nie wierzyłem, że jestem

w pociągu, którym dojadę do Polski. Pierwszy raz, po prawie dwunastu latach, znalazłem się w normalnym pociągu... Byłem roztargniony. Jedną z pań powiedziała, że na dworcu Polakom wydają darmowe obiady. Dała mi naczynie. - Coś gorącego nie zaszkodzi. Niech pan pójdzie... Podziękowałem i udałem się na dworzec.

Przed okienkiem była nieduża kolejka. Stałem na końcu i rozglądałem się po peronie. Nagle ujrzałem znajomą postać księdza Janochy. Widząc mnie przystanął. Szybko podbiegłem... Przywitaliśmy się. Nie widzieliśmy się prawie przez sześć lat. Ksiądz ~~xxxxxxx~~ ~~xx~~ zaproponował mniejsze w swoim wagonie. Jechał w towarzystwie trzech panów. Jeden był lekarzem, drugi leśniczym, a zawodu trzeciego nie pamiętam.

Ojciec Albin przebywał na zesłaniu w Tasiejwskim Rejonie Krasnojarskiego Kraju.

Podczas podróży opowiadaliśmy o swoich przeżyciach, wspominaliśmy czas spędzony w łagrach i snuliśmy plany na najbliższą przyszłość.

Lekarz opowiadał różne kawały. Do niego należały sprawy zaopatrzeniowe. Był bardzo wesoły. Lubił żartować.

Na każdej stacji wysyłał mnie do bufetu po napoje chłodzące i coś mocniejszego. Lubił wypić parę głębszych i kusić do picia księdza.

Na stacji w Górach Uralskich, której nazwy nie pamiętam, spotkałem Heńka Tomkiewicza. Nie widziałem go od 1948 r. Po łagrach trafił do Norilsku. Jechał w innym wagonie. Tym samym pociągiem jechali inni znajomi z Bałchasa: pan Bogdankiewicz, Markiewicz i Czesiek Stankiewicz.

Na Uralu święciliśmy ostatnią na obcej ziemi Wigilię Świąt Bożego Narodzenia. Przypomnieliśmy Wigilię z Bałchasa, kiedy to ksiądz życzył wszystkim powrotu do kraju. Marzenia, w które nikt nie wierzył, stały się rzeczywistością. Przypomniałem bałchaskie święta Wielkanocne i Wielki Piątek 1949 r.

Byliśmy bardzo głodni. Ojciec Albin oddał mi swoją porcję chleba. Nie chciałem przyjąć.

- Jeśli nie przyjmiesz, Heńku - powiedział - oddam komuś innemu. Chcę dać tobie, bo jesteś dla mnie najbliższy. Mam straszne bóle żołądka i dlatego dzisiaj postanowiłem nie jeść.

- Wiedziałem, że nie cierpiał na żołądek, lecz chciał złożyć Chrystusowi Wielkopiątkową ofiarę.



Po kilku dniach dojechaliśmy do Lwowa. Był późny wieczór. Przez głośniki zapowiedziano<sup>ze</sup> pociąg będzie stał dwie godziny. Na zwiedzanie miasta było za późno. Wyszliśmy na dworzec. Doktor zaprowadził nas do dworcowej restauracji. Zjedliśmy dobrze zakrapianą kolację. Kropelki dodały odwagi. Przy stoliku zaczęliśmy śpiewać "Kamień na kamieniu...". Potem śpiewaliśmy inne piosenki - legionowe i partyzanckie. Na dworcu było pełno milicji i funkcjonariuszy KGB, ale nikt nam nie zwrócił uwagi.

Pociąg ruszył po północy. W Żurawicy powitał nas pełnomocnik polskiego rządu do spraw repatriacji.

- W kraju na was czekają. Czekają rodziny, bliscy - czekają wszyscy. Ojczyzna powita was - powiedziała - z otwartymi rękami.  
- Następnie poinformował, że rząd udziela repatriantom dużej pomocy i oznajmił, że repatrianci - to ludzie uprzywilejowani.

Po godzinie pociąg ruszył ku granicy. Żołnierze ze służby granicznej pozamykali wszystkie drzwi i ustawili się na stopniach wagonów. Pociąg jechał bardzo wolno. Po kilku minutach ujrzeliśmy graniczne słupy. Wjeżdżaliśmy na strefę niczyją. W wagonie zapanała grobowa cisza. Na stopniach wagonów wciąż stali żołnierze z czerwonymi gwiazdami.

Wiedzieliśmy, że za chwilę zejda.

Przez tyle lat mieliśmy ich na codzień. Na nich opierał się stalinowski reżim. Przez 12 lat grozili gotowymi do strzału karabinami i ostrzami bagnatów. Mieliśmy ich dosyć. Dosyć mieliśmy też kraju, który zabrał nam 12 lat życia i wielu rodaków go pozbawił.

Na środku ziemi niczyjej pociąg zatrzymał się. Żołnierze opuścili wagony. Granicę przekroczyliśmy bez kontroli celnej. Oficerowie straży granicznej pytali o sowieckie pieniądze i dokumenty.

Byli grzeczni.

W chwilę po odejściu żołnierzy radzieckich na stopniach pojawili się żołnierze polscy. Witali nas z radością w oczach.

Zanim pociąg ruszył w stronę Medyki do wagonu wszedł kapitan z podoficerem. Obaj pięknie zaszalutowali i przywitali się polskim "dzień dobry". Na powitanie odpowiedzieliśmy pieśnią "Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...". Wszyscy staliśmy na baczność. Kapitan i podoficer szalutowali. Po wszystkich twarzach spłynęły krople łez.

Wszak tylko za to, że chcieliśmy być wierni "Rocie" skazano nas na wieloletnie cierpienia. Tylko za to chcieli nas zniszczyć. Bóg dopomógł... dopomógł przeżyć i wrócić na Ziemię "skąd nasz ród".

Po zakończeniu "Roty" umundurowani rodacy przystąpili do liczenia pasażerów. Liczyli na sztuki. - Szkoda, że nie macie chodaż o jednego więcej - zażartował kapitan. - Potem wjechaliśmy na polską ziemię. Na widok polskich granicznych słupów, polskich flag, polskich napisów; na dźwięk polskiej mowy... płakaliśmy. Przeżyliśmy szczyt szczęścia, którego nie można wyrazić żadnym słowem.

Nazywano nas repatriantami, ale nikt się do tego nie poczuwał. Przecież nikt z nas z kraju nie wyemigrował. Byliśmy skazańcami. Mieliśmy umrzeć na obcej ziemi. Uratował nas cud... Najwłaściwszym określeniem byłoby dla nas słowo "zmartwychwstańcy".

Z Medyki dojechaliśmy do Przemyśla, gdzie część przewieziono na tamtejszy punkt repatriacyjny. Pozostali tym samym pociągiem pojechali do Giżycka.

Nasza piątka wysiadła w Przemyślu. Na peronie zauważyłem polskiego oficera. Chciałem z nim porozmawiać, ale nie wiedziałem od czego zacząć. Spytałem o godzinę. Z przyzwyczajenia zwróciłem się per "towarzysz".

- Pan chyba przyjechał stamtąd? Radzę panu nie używać tego zwrotu. W Polsce używają go tylko partyjni. Ludzie tego nie lubią. Słowo "towarzysz" wywołuje bardzo złe wrażenie. Proszę nie gniewać się za uwagę...

Próbowałem usprawiedliwić się. Oznajmiłem, że przed chwilą przekroczyłem granicę...

- Wiem - odparł - jestem tutaj od paru tygodni. Przyjmuję kierowane stamtąd dostawy sprzętu wojskowego. Wolałbym przyjmować was...

Na punkcie repatriacyjnym byłem tylko dwa dni. Lekarz z komisji lekarskiej proponował sanatorium, ale spieszyłem się do rodziców.

Otrzymałem 1000 zł zapomogi i bezpłatny bilet kolejowy.

Rodzice mieszkali w Górze Śląskiej, w województwie wrocławskim.

Wieczorem 30 grudnia wsiałem do pociągu, którym dojechałem do Wrocławia. W porze obiadowej przyjechałem do Góry.

W oknach mieszkań widniały pięknie wystrojone choinki.

Na zesłaniu mieliśmy z Wackiem choinkę, ale nie było na niej aniołków, kolorowych bombek i świeczek. Ktoby tam odważył się ozdobić choinkę szopką, aniołkami i śpiewać przy niej kolędy? Ludzie bali się sąsiadów...

W ciągu paru dni zauważyłem, że podporządkowana Łoskowie Polska zmieniała się tylko zewnętrznie. Jej wnętrze pozostało to samo. Jego obrazem był kapitan i podoficer straży granicznej, oficer na peronie i ozdobiona kolorowymi lampkami gałązka choinki z Matką Boską Częstochowską w autobusie, którym z dworca w Przemyślu jechałem na punkt repatriacyjny.

Gałązkę umocował kierowca na przednim oknie. W Związku Radzieckim coś podobnego było niemożliwe. Taki kierowca nie przejechałby autobusem z Matką Boską nawet jednego kilometra. Zarobiłby minimum 10 lat łagrów.

Pierwsze spostrzeżenia cieszyły serce. Na ulicy Osadniczej skierowałem wzrok w stronę numerów parzystych. Serce biło coraz mocniej. Myślałem o spotkaniu z ludźmi najbliższymi.

Stanąłem przy bramce z numerem 20. Obrzuciłem wzrokiem willowy budynek...

- Jakie to wszystko dziwne. - myślałem - Dwa tygodnie temu byłem w Turze i nie przychodziło mi na myśl, że w ostatni dzień starego roku będę razem z nimi... Co teraz robią? Czy wiedzą, że stoję przed bramką do ich domu? Może myślami przenoszą się do Tury?... Pchnąłem bramkę. Na ganku ukazała się starsza kobieta.

- Czyżby mama? Nie. Nie była do niej podobna. To nie ona.

- Przywitałem się i spytałem o Sobolewskich. Kobieta przez chwilę mocno przyglądała się. - Pan chyba z Rosji? A może jest pan ich synem?

- Przytaknąłem.

- Ale będzie radość!... Proszę, niech pan wejdzie. Rodziców chwilowo nie ma w domu, ale proszę do mnie. Mama poszła do miasta po zakupy, tatuś jest w pracy... Siostra także gdzieś wyszła.

Brat leży w szpitalu. Jest we Wrocławiu

- Starsza pani była lokatorką. Zajmowała pokój z kuchnią na piętrze. Mieszkała sama. Męża straciła w Katyniu.

Przyniosła herbatę i podała świąteczne ciasto.

- Pan wrócił... Po tylu latach... Za chwilę pana zobaczą. Mój mąż nigdy nie wróci... Otarła łzy. - Zamordowali ...



- Co chwilę zaglądała do okna.
- Widziałam pana na zdjęciach, które przysłał pan z Tury i dlatego poznałam...
- W tych ruskich ciuchach i do tego podobny...
- W pewnej chwili usłyszałam słowo "idzie".
- Idzie mama. Co mam jej powiedzieć? Ma słabe serce. A może powiem, że u mnie czeka pewien pan?.. Tak pewnie będzie lepiej? - Zgodziłem się.
- Jestem ciekawa czy pana pozna?
- Zaskrzypiały drzwi. Lokatorka wyszła na korytarz. W ogromnym napięciu czekałem na upragnione spotkanie.

Kiedyś czytałem życiorysy skazanych na Sybir powstańców. Znałem także życiorys Piłsudskiego. Siedział w carskich więzieniach i był skazany na pięć lat zsyłki. Wtedy nie mieściło się <sup>idzie</sup> głowie, że ludzie mogli tak długo cierpieć. Do głębi przeżywałem rozłąkę z krajem i najbliższymi.

Pamiętam zamieszczony w czasopiśmie wojskowym "Wiarus" "List z Syberii":

- "piszę do Ciebie ten list...Czy go czytać będziesz, nie wiem. Czy dojdzie? - nie wiem. Chciałbym spytać, jak to się u nas wróży Kwiatka płatków rwaniem, ale kwiatki umarły pod śniegu posłaniem i o losie tej kartki żaden mi nie powie. Jaki to żal - żal okropny, gdy słowo po słowie..."

Moje listy z tej samej, budzącej strach ziemi nie były takie poetyckie lecz tak samo pełne tęsknoty, żalu i wyniesionej z ojczystego domu, miłości.

"Kochana Mamusiu! - pisałem w jednym z nich. - Tyś nas wychowała. Nauczyłaś nas kochać to co szlachetne i nienawidzić, co złe. Tyś nauczyła miłości do narodu i Ojczyzny. Napoiłaś nas tą miłością tak obficie, że będziemy nią syci na całe życie. Imię Matki - Polki, najdroższe imię każdego Polaka, zawsze niosłaś wysoko. Nie zważałaś na burze i pioruny. Nie dałaś go wyrwać ze swego matczynego serca nikomu. Za to ci kochana, dziękuję i tutaj - na Syberii proszę Boga, by dał Polsce takich matek więcej. Moi kochani! Czy pamiętacie jak w dniu imienin kochanej mamusi budził nas z rana tato? Czy pamiętacie, jak biegliśmy na łąki po bukiety kwiatów i jak wręczając je mamie, składaliśmy życzenia?... Jak nam było przyjemnie, gdy spotykaliśmy

się z wdzięcznym, łaskawym, ciepłym, pełnym dobroci uśmiechem Kochanej... Tylko Ona umiała tak uśmiechać się. Jak było przyjemnie, gdy obdarzała nas całusami i głaszcząc nasze główki, tuliła do siebie. Oczy Jej lśniły, płynącą z głębi matczynego serca radością, która trafiała do naszych małych serduszek. I te nasze serduszka biły mocno, mocno i było nam tak dobrze... Przyjmij, Mamo, ode mnie chociaż parę kwiatków. Kładę je do koperty. Zanim ten list do Ciebie dojdzie, kwiatki uschną, ale miłość moja - gorąca miłość nigdy nie uschnie..."

List ten napisałem 21 lipca 1955 r. Kwiatki doszły... Do dzisiaj pozostał po nich tylko proszek.

Za chwilę miałem Ją zobaczyć. - Jak Ona wygląda? Na pewno postarzała? Jak będzie wyglądało nasze spotkanie?

- Pani Mario! - usłyszałem głos lokatorki. - Proszę wstąpić do mnie... na chwilę. Czeka tu pewien pan. Przyjechał do pani.

- Dobrze. Zaraz wstąpię. - Poznałem głos...

Po paru minutach ujrzałem przed sobą. Postarzała, ale była ta sama. Wstałem z krzesła i ucałowałem wyciągniętą dłoń.

- Jestem Cobołowska - powiedziała - Słyszałam, że pan do mnie...

- Coś ścisnęło mi serce. W oczach gromadziły się łzy...

- Pani nie poznaje?... spytała lokatorka.

- Mama przyjrzała się dokładniej. Spodziewałem się, że zaraz padnie słowo "tak".

- Nie poznaje - odparła. Miałem już pełne oczy łez...

- Mamusiu! Mama mnie nie poznaje? To ja - Heniek...

- Heniek?... powtórzyła, niedowierzając - mój syn?... Nagle zachwiała się. Podtrzymałem, by nie upadła i ułożyłem na tapczanie. Lokatorka przyniosła wodę i jakieś krople.

Po chwili doszła do siebie. Z kochanych oczu płynęły łzy. Na bladej twarzy pojawiły się rumieńce. Usiadła i wyciągnęła ręce do powitania. Przytuliła do siebie, ucałowała raz, drugi i dziesiąty. Odwzajemniłem się, całując ręce i usta. - Boże! Dziękuję Ci za cud! Zwróciłeś mi moje dziecko. Tyle lat czekałam... Tyle lat prosiłam... Dziękuję, żeś mnie wysłuchał...

- Jak mogłam cię nie poznać?... Przecież teraz poznaję. To ty.

Usiadła przy stole i wypija szklankę herbaty.

- Dlaczego nie napisałeś? Mogłeś wysłać telegram... Miała rację, ale znając tamten kraj lepiej niż ona wolałem nie pisać.

Wiedziałem, jak mówił Michałkin, że u nich nigdy nic nie wiadomo. Mogli człowieka zawrócić nawet z granicy. O takich przypadkach słyszałem.

Za pół godziny zjawił się ojciec. Podobnie jak mama przedstawił się nazwiskiem. Gdy dowiedział się, kim jestem, z radości zapłakał. Objął mnie mocno, spojrzał na mamę i rzekł: - Marysiu! Heniek przyjechał... Teraz czuję koniec wojny.

Od tej chwili upłynęło wiele lat. W 1957 r. wyjechałem do Gdańska. Tutaj pracowałem, ożeniłem się; tutaj Bóg dał nam dwoje dzieci /synów/ i wnuków.

Często wracam pamięcią do tamtych czasów - do okupacji, do łagrów i zesłania.

Często wspominam biednych, ale bardzo dobrych ludzi, którzy nam pomagali i dzięki którym przeżyliśmy chwile najtrudniejsze.

Kilka lat temu, wracając pamięcią do tamtych czasów napisałem wiersz pt. "Nad morzem".

Patrzę na twe, morze, fale  
i myślę...

W świecie tyle różnych fal,  
które prują przestrzeń, dale  
I silniejsze są niż stał.

Fale wiatrów, fale mrozów,

Fale ciepła, fale wód...

Fale wspomnień z ich obozów,

Co zimniejsze są niż lód -

Które w żyłach krew mi mrożą,

Przerywają błogi sen,

Włosy jeżą, serce trwożą...;

Z których powstał wierszyk ten.

Oto jedna z nich się wzdyma,

Rośnie, piętrzy, śmiercią grzmi...

Wnet poznaje - to Kołyma,

Bo śmierć niosąc, złotem lśni.

Za nią druga pędzi cwałem,

Czarna, jakby węglem skuta,

Toczy się olbrzymim wałem...

Też poznaje - to Workuta.



Pędzą trzecia, czwarta, piąta,  
Najeżone bagnetami,  
Szósta, siódma i dziesiąta...  
Straszą, dzwonią kajdanami.  
I te również są znajome-  
Te ze stepów Kazachstanu.  
Ta - z Bałchaszu. Tak - to one,  
A ta obok - z Dżeszkazganu.  
Tam przeżyłem lata długie,  
Lata mąk, niewoli, głodu...,  
Ogłoszony wobec świata  
Jako podły wróg narodu.  
Widzę trupy, słyszę strzały,  
Jęki rannych, krzyk, hałasy...,  
Krwia zbryzgany obóz cały  
W fali prącej z Olżerasu.  
Pędzi fal tych coraz więcej:  
Z Omska, Spasska, Kaurada...  
Całe setki i tysiące-  
Nie ma końca ich parada.  
Nawraz słyszę gdzieś z daleka  
Jakiś głos z tych fal przyboju:  
Ludzie, brońcie praw człowieka,  
Jeśli chcecie żyć w pokoju.

Przez łagry i zsyłkę przeszły setki tysięcy rodaków. Ich prze-  
życia były podobne. Gdyby każdy z nich napisał własne wspomnienia,  
świat doznałby wstrząsu większego, niż kiedykolwiek w swej  
historii.

S P I S T R E Ś C I

=====

Wstęp . . . . .	str. 1
Rozdział I. Jazda 1939 r. na Wileńszczyźnie . . . . .	3
Rozdział II. Okupacja sowiecka . . . . .	7
"    III. Rządy smetonowskiej Litwy . . . . .	10
"    IV. Rok władzy radzieckiej . . . . .	13
"    V. Atak Hitlera na ZSRR . . . . .	23
"    VI. Okupacja niemiecka . . . . .	36
"    VII. Pierwsi partyzanci . . . . .	42
"    VIII. Zbrodnia kapyńska . . . . .	46
"    IX. Partyzantka polska . . . . .	48
"    X. Pierwsze aresztowania . . . . .	55
"    XI. Ławiczkai . . . . .	104
"    XII. W nieznane . . . . .	114
"    XIII. Piereszyłka i pierwszy obóz . . . . .	118
"    XIV. Obóz przy kopalni Ropy Kartowej nr 3 . . . . .	123
"    XV. Obozy w Białymstoku i Spasym . . . . .	155
"    XVI. Sibiras . . . . .	179
"    XVII. Ostatni obóz . . . . .	188
"    XVIII. Droga na zachód . . . . .	201
"    XIX. Na przesłaniu . . . . .	205
"    XX. Powrót do kraju . . . . .	210

 ARCHIWUM WSCHODNIE

II/937

W S T E P

17 września 1939 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacy Mościcki, zwrócił się do obywateli polskich z orędziem \*:

"Gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zмага się z przemocą wroga odwiecznego od pierwszego dnia wojny aż po dzień dzisiejszy, wytrzymując napór ogromnej przewagi całości bez mała niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad wschodni najechał na nasze ziemie gwałcąc umowy i odwieczne zasady moralności"

Stanęliśmy tedy, nie po raz pierwszy w naszych dziejach, w obliczu nawałnicy z zachodu i ze wschodu.

Polska, zaprzyjaźniona z Francją i Anglią, walczy o prawo przeciwko bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciwko bezdusznemu barbarzyństwu, o dobro przeciwko panowaniu zła na świecie.

Z walki tej, wierzę w to niezłomnie, musi wyjść i wyjdzie zwycięsko".

Barbarzyństwo bezprawia i walka przeciwko siłom, które je rozpętały na naszych ziemiach trwały przez całą wojnę. Nie były wolne od barbarzyństwa i lata powojenne. Podczas trwającej dwa tysiące siedemdziesiąt osiem dni wojny ponieśliśmy ponad sześć milionów ofiar. Trzeba do tego dodać dwa i pół miliona wywiezionych na roboty do Niemiec, dwa i pół miliona wysiedlonych z ziem polskich, wcielonych do Rzeszy, dwa i pół miliona deportowanych z ziem wcielonych do ZSRR, milion dwieście tysięcy inwalidów i ogromne straty materialne.

Ginęliśmy na wszystkich frontach wojny na ziemi własnej i obcej -- w więzieniach, aresztach, lochach i piwnicach gestapo i NKWD, w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, w sowieckich łagrach. Ginęliśmy w tajgach Syberii, w bagnistym dorzeczu Peczory, w stepach Kazachstanu. Ginęliśmy podążających na wschód i na zachód zakratowanych wagonach towarowych; ginęliśmy rozstrzeliwani na ulicach naszych miast, lasach, w ogniu podpalanych majątków i wiejskich gospodarstw; ginęliśmy z głodu, zimna, chorób i katorżniczej pracy. W czasie wojny i po wojnie.

Polacy z ziemi wileńskiej nie mieli dnia wyzwolenia ani dnia zwycięstwa. Po opanowaniu jej -- już po raz trzeci od początku wojny -- w lipcu 1944 roku przez wojska sowieckie, kto tylko mógł, uciekał od "wyzwolicielei" -- tam, gdzie na nowych granicznych słupach widniał napis "Polska". Ludzie zostawiali swoje mieszkania, domy, majątki, gospodarstwa... Ratowali życie. Nie była to repatriacja, lecz tragiczna ucieczka przed okrucieństwem znanym z lat 1939-1941 -- przed łagromi, Syberią, Kazachstanem; przed niewolniczą pracą na własnej i obcej ziemi, przed śmiercią...

Mnie i dziesiątkom tysięcy rodaków nie udało się uciec. Przeżyłem tam -- w pobliżu Peczory, w Kazachstanie i na Syberii, -- siedząc również w więzieniach -- prawie dwanaście lat. Wszystko zaczęło się 1 września.

\* Orędzie



~~K~~ WRZESIEŃ 1939 NA WILEŃSZCZYZNIE

1 września rano młodszy ode mnie brat i siostra wybierali się do szkoły powszechnej, ja -- do gimnazjum. Przed śniadaniem włączyłem radio, z którego dowiedzieliśmy się o wojnie. Słuchaliśmy pierwszych komunikatów i myśleliśmy o ojcu, którego parę dni temu pożegnaliśmy -- wśród innych żołnierzy -- na kolejowej rampie. Jechali w stronę zachodniej granicy. Nie bali się wojny z Niemcami. Za tydzień lub dwa spodziewali się być w Berlinie.

Ojciec służył w armii od 1920 roku. Był zbrojmistrzem. Rodzice z dziadów, pradziadów byli wilnianami. Kochali rodzinne miasto i nie chcieli go nigdy opuścić. W 1939 roku mieszkaliśmy w Nowej Wilejce, przedtem w Wilnie i w Podbrodziu.

Miłość do Wilna żyła także w nas, dzieciach. Jeszcze dzisiaj często wracam myślami do obdarzonego najpiękniejszymi tworem natury miasta, położonego wśród lasów, zamkniętego łańcuchem malowniczych wzgórz, opasanego wstęgą Wilii. To miasto potężnej i sławnej dynastii, wielkich poetów, wspaniałej, promieniującej w swoim czasie na całą Polskę młodzieży. Miasto męczenników i bohaterów, czego najwymowniejszym symbolem były wzniesione obok Góry Zamkowej trzy potężne białe krzyże. Miasto tak wiele mówiących o jego historii starych cmentarzy. Miasto tchnące chrześcijańską i polską kulturą, miasto Pani Ostrobramskiej.

\*

W pierwszym dniu wojny nad Wilnem i Nową Wilejką dwukrotnie przeleciały wrogie samoloty. Na miasto spadły bomby. Byli zabici i ranni. W obawie przed dalszymi nalotami w szkołach przerwano naukę. Wiadomości z frontu były niedobre. Gazety i radio informowały o zaciętej obronie naszych wojsk, ale front wciąż przesuwał się na wschód. 3 września przystąpiły do wojny Anglia i Francja. Ożyły nadzieje, ale oczekiwana pomoc z Zachodu nie nadeszła. A my wciąż uważaliśmy sukcesy niemieckie za tymczasowe. Życie miasta w tym czasie toczyło się normalnie. Czynne były wszystkie urzędy i fabryki. W sklepach nie brakowało towarów, nie notowano wzrostu cen, ani panicznego wykupywania żywności.

To, że po pierwszych nalotach zapanował spokój, uważaliśmy za dobry znak. Ludzie mówili, że Szwabom zaczyna brakować samolotów. Krążyły pogłoski o przygotowanej przez nasze dowództwo drugiej linii obronnej i o kontrofensywie.

17 września, gdy nasze wojska jeszcze stawiały Niemcom silny opór, wschodnie granice Polski przekroczyła Armia Czerwona. W dwa dni potem bolszewicy zajęli Wilno.

Tego dnia wybrałem się z bratem do miasta. Pociągi nie kursowały, więc pojechaliśmy rowerami. Na Zarzeczu stały jeszcze szczupłe jednostki naszej piechoty i artylerii. Wśród żołnierzy kręcili się studenci z karabinami i uczniowie starszych klas gimnazjalnych. Między Zarzeczem a centrum miasta ulice były puste. Od czasu do czasu z różnych stron rozlegały się pojedyncze strzały i krótkie serie karabinów maszynowych. Na ulicy Wielkiej spotkaliśmy dość dużą grupę Żydów. Powiewali czerwonymi flagami i wznosili jakieś okrzyki. Niektórzy byli uzbrojeni w karabiny i na rękawach nosili czerwone opaski. Z okien żydowskich mieszkań zwisały czerwone flagi. Przed Ostrą Bramą zauważyliśmy pierwsze sowieckie czołgi. Słyszeliśmy znów strzały i także kilka wybuchów rozrywających się granatów. To niewielkie grupy polskich żołnierzy i studentów stawiały najeźdźcy zbrojny opór.

Gdy pod wieczór wracaliśmy do domu, na Zarzeczu stały pozostawione przez żołnierzy armaty, a traktem Batorego płynęły długie kolumny sowieckiej piechoty i kawalerii. Po niebie krążyły obce samoloty, z których zrzucano tysiące ulotek, informujących o załamaniu się "pańskiej Polski" i o "wyzwolenczej misji" Armii Czerwonej. Z ulotek dowiedzieliśmy się też, że Moskwie chodziło przede wszystkim o

wyzwolenie spod "polskiego jarzma" braci Białorusinów i Ukraińców. Na dalszym miejscu stawiano ochronę ludności przed skutkami rozpętanej przez zachodni imperializm wojny.

Żołnierze sowieccy nie rozumieli dlaczego "uciemnieniu", jak głosiła sowiecka propaganda, mieszkańcy ziemi wileńskiej nie witają ich i nie cieszą się z "wyzwolenia". Dlaczego ulice są puste, na każdym kroku wieje tu chłodem i panuje złowieszcze milczenie. W pojęciu każdego bolszewika świat kapitalistyczny, do którego należała Polska, dzielił się na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych -- na bogatych i biednych. Oczy biednych mogły być zwrócone tylko w jedną stronę: jedynego sprawiedliwego -- bo robotniczo-chłopskiego -- państwa, w stronę ZSRR. Tylko stamtąd można było oczekiwać pomocy i wyzwolenia.

Tymczasem tutaj jakoś nie było widać głodnych, gołych i bosych ludzi. W kraju rządzonym przez panów i obszarników nie było wcale powszechnej nędzy.

Każdy radziecki żołnierz pragnął zobaczyć z bliska polskiego oficera i przeżyć radość jaka płynie z pogardliwego spojrzenia w oczy człowiekowi, który stał na straży "obszarniczo-kapitalistycznego reżimu" w "pańskiej polsce". Wszyscy śmiali się z naszego rządu i dowództwa. Uważali, że ponieśliśmy klęskę, ponieważ nasi panowie trwonili pieniądze na zbytki i rozpustę. "Myśmy produkowali armaty, samoloty i tanki, a wasi oficerowie tańczyli tanga i dlatego zabrakło wam czołgów i samolotów". Chełpili się swoją potęgą, której burżuazyjne dowództwo wojskowe "pańskiej Polski" nie odważyło się stawić oporu. "Rząd wasz uciekł. To samo zrobili wasi generałowie. Pozabierali ze sobą worki złota i niczym się nie przejmują. Nadal się bawią i toną w rozpuście..."

1/2

Nasza armia nie stawiała zorganizowanego oporu <sup>S</sup>owietom, ponieważ wszystkie siły były zaangażowane w walce z Niemcami, nie można jednak mówić, że Armia Czerwona nie napotkała na żaden opór. Jest na przykład wiele dowodów bohaterkiej obrony strażniczych placówek KOP-u\*.

Na strażnicy w Kopciowie, w pobliżu Ćwicina, samotnie bronił powierzonego mu posterunku sierżant Marek Pietrzak. Gdy strażnicę zaatakowały dziesiątki sowieckich żołnierzy, zabił z karabinu maszynowego dwudziestu sześciu bolszewików. Odpierał ich ataki aż skończyła się amunicja. Potem z okrzykiem "Niech żyje Polska" rzucił się na nieprzyjaciół z podniesioną szablą. Zginął śmiercią bohatera, zakłuty bagnietami. Ciało sierżanta bolszewicy zakopali pod strażnicą. Po wkroczeniu Niemców ludzie przewieźli jego prochy na cmentarz w Czarnej Górze.

W podobnych okolicznościach zginął, broniąc strażnicy w Kamiennym Wozie, plutonowy Pełczyński. W Aleszczykach nad Dźwiną wspomagana przez osadników wojskowych miejscowa placówka KOP-u przez siedem godzin udaremniała sowieckiej piechocie próby przeprawy przez rzekę. Obronę złamano dopiero po silnym ogniu wezwanej na pomoc artylerii. Podobne przykłady można mnożyć.

Oficerów i żołnierzy, którzy, po stawieniu zbrojnego oporu, decydowali się poddać, bolszewicy nie brali do niewoli. Rozstrzeliwali ich z rozkazu komisarzy i politruków.

19 września, w dniu w którym wojska sowieckie zajmowały Wilno, bawiący w Gdańsku Hitler oznajmił światu, że Polska w formie ustalonej przez traktat wersalski nigdy już nie powstanie. "Nie tylko Niemcy -- powiedział -- ale również i Rosja to gwarantuje".

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że wkroczenie na kresy wschodnie Rzeczypospolitej wojsk sowieckich nastąpiło w oparciu o niemiecko-sowieckie porozumienie z 23 sierpnia 1939 roku. Polacy uznali je za czwarty rozbiór Polski.

-----  
KOP - Korpus Ochrony Pogranicza.

**IX. OKUPACJA SOWIECKA**

Wkroczenie na kresy wschodnie wojsk sowieckich było dla nas ogromnym zaskoczeniem, bo do tej pory krążyły w Wilnie pogłoski, że



4  
bolszewicy idą nam z pomocą.

Już w pierwszym dniu okupacji ustał cały handel. Stanęły też fabryki, warsztaty, zakłady usługowe i urzędy. Oficerowie pełniący służbę na tyłach, podoficerowie, żołnierze i policjanci masowo uciekali na Litwę. Normalnie funkcjonowały tylko kościoły, ośrodki zdrowia i szpitale. W mieście zapanowała atmosfera strachu.

Mama miała pieniądze, ale nie mogliśmy za nie nic kupić. Po kilku dniach uruchomiono piekarnie i sklepy piekarnicze, przed którymi po raz pierwszy ujrzelismy długie kolejki po chleb. To wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy słowo "dają". Aby dostać bochenek chleba musieliśmy zajmować kolejkę wieczorem i stać -- na zmianę z mamą i bratem -- całą noc. Zdarzało się, że po całonocnym staniu odchodziliśmy z niczym. Po paru tygodniach panowania radzieckiej władzy odczuwaliśmy głód.

Na przełomie września i października uruchomiono szkoły. Nie było już w nich narodowych godeł, ani portretów obu marszałków i prezydenta. W gimnazjum, do którego chodziłem, usunięto dyrektora. Nowym dyrektorem została matematyczka, pani Oberlejtnerowa. Nie lubiliśmy jej, bo była Żydówką i na każdym kroku podkreślała swoją sympatię do ZSRR.

We wszystkich szkołach zniesiono lekcje religii. Od dyrektorki dowiedzieliśmy się, że w Związku Radzieckim całe szkolnictwo ma charakter świecki. Po pewnym czasie w hallu nad klatką schodową pojawiło się odrażające hasło: "Religia -- to opium narodu"\* i podpis: "Lenin". Ludzie, którzy kazali wywiesić to hasło dobrze wiedzieli, że wszyscy uczniowie naszego gimnazjum są wierzący. Zastanawialiśmy się, czy nie należałoby takiej szkoły zbojkotować, ale nie chcieliśmy narażać naszych rodziców i nauczycieli na trudne do przewidzenia konsekwencje.

-----  
\*Przekręcone sformułowanie K. Marksa ("Religia to opium dla ludu"), przypisane błędnie Leninowi (przyp. red.).

Już we wrześniu ukazało się sowieckie zarządzenie o obowiązku rejestrowania się polskich oficerów i policjantów. Za niedopełnienie obowiązku grożono więzieniem. Wszystkich, którzy się zarejestrowali, a było ich bardzo niewiele -- wywożono do obozów jenieckich w głąb Rosji.

W październiku dowiedzieliśmy się o utworzeniu we Francji polskiego rządu i formowaniu tam polskiej armii. Szefem rządu i naczelnym wodzem został generał Władysław Sikorski. Od tej chwili wstąpił w nas nowy duch. Wieczorami słuchaliśmy wiadomości radiowych z Francji i Anglii. Zrozumieliśmy, że klęska wrześniowa nie oznacza końca naszego udziału w wojnie i wierzyliśmy w ostateczne zwycięstwo. Na Zachodzie mieliśmy nie tylko sojuszników, lecz własny rząd i własne wojsko. Wiedzieliśmy, że każdego dnia zasila je potok żołnierzy z obozów dla internowanych z Rumunii i na Węgrzech, że zasilają je przedzierający się przez wiele granic ochotnicy z kraju.

Słuchanie zagranicznych rozgłośni na ziemiach okupowanych przez Armię Czerwoną było zakazane, ponieważ rozpowszechniały one "kontrrewolucję" i godziły w sowiecko-niemiecką przyjaźń. Pojęcie kontrrewolucji było bardzo szerokie, zawierało wszystko, co nie zgadzało się z oficjalną propagandą i co mogło mieć najmniejszy związek z przywróceniem Polsce niepodległości. Całą sowiecką propagandę skierowano przeciw Polsce. "Sprzedana zachodnim imperialistom Polska -- głosili agitatorzy -- przestała istnieć i nigdy już nie powstanie". Moskwa pragnęła tego gorąco i -- od czasu, gdy Polska, po zrzuceniu jarzma zaborów, pojawiła się jako kraj niepodległy -- do tego dążyła. W sierpniu 1920 roku jej armie parły na Warszawę, gdy w Białymstoku czekał już przygotowany przez samego Lenina czerwony rząd przyszłej radzieckiej republiki. To, czego nie udało się jej osiągnąć wtedy, postanowiła zrealizować wspólnie z Hitlerem.

Na Zachodzie działał tymczasem legalny, cieszący się uznaniem całego pozahitlerowsko-stalinowskiego świata rząd Rzeczypospolitej, tworzyła się armia polska, pod polską banderą po morzach i oceanach pływały nasze okręty...

Antypolskiej sowieckiej propagandzie na Wileńszczyźnie towarzyszył nasilający się z każdym dniem terror. Mnożyły się aresztowania. Pierwszymi ofiarami byli policjanci, zawodowi wojskowi, pracownicy



5

wymiaru sprawiedliwości, urzędnicy państwowi, działacze -- nie licząc komunistów -- partii politycznych, właściciele majątków, księża i tak zwani kuliacy. Najpilniej poszukiwano oficerów. Wszystkich aresztowanych wywożono do położonych w głębi Rosji więzień i łagrów.

W bolszewickich urzędach zaroiło się od miejscowych Żydów. Z nich rekrutowała się "ludowa milicja" i oni dostarczali do NKWD informacje o "wrogim polskim elemencie". Władzę sowiecką uważali za swoją i otwarcie cieszyli się z naszej klęski. Często kierowali pod naszym adresem różnego rodzaju pogróżki, drwili z nas. Na każdym kroku oznajmiali, że skończyło się "nasze panowanie". Małe Żydziaki na mnie i kolegów mówili "wstrętne polskie mordy". Za pobicie lub obrazę Żyda groziło więzienie lub Syberia.

\*

Na początku października wrócił z wojny ojciec. Był mocno wychudzony, zarośnięty, zamiast butów miał jakieś wiejskie łapcie... Bał się o przyszłość. Od Brześcia do Wilna przywędrował pieszo. Udało mu się wyrwać z łap niemieckich i sowieckich.

Najtrudniej było mu znaleźć pracę, bo byłych wojskowych sowieci nie chcieli zatrudniać. Duże trudności mieliśmy więc ze zdobyciem żywności. Gdyby nie znajomi ze wsi, którzy od czasu do czasu podrzucali nam trochę chleba i ziemniaków, cierpielibyśmy głód.

28 października Moskwa przekazała Litwie Wilno wraz z długim, biegnącym z północy na południe pasem zachodniej części województwa. Do miasta wkroczyły wojska litewskie. Nie wiedzieliśmy jeszcze nic o związku tego wydarzenia z przekazaniem Niemcom naszych ziem między Wisłą, Bugiem i Sanem. Okazało się, że 29 września 1939 roku ministrowie spraw zagranicznych obu zaborców podpisali dodatkowe porozumienie. Jeden z załączonych protokołów określał zmiany w pierwotnym rozgraniczeniu stref wpływów sowieckich i niemieckich. Litwę włączono do strefy sowieckiej, a część ziem środkowej Polski do strefy niemieckiej. Litwa otrzymała od bolszewików Wilno, ale 10 października, po dość długich pertraktacjach, Związek Radziecki wymusił na litewskim rządzie podpisanie traktatu, w którym obie strony przyrzekły udzielać sobie pomocy. Gwarantując Litwie pełną suwerenność Moskwa zobowiązała się do obrony jej granic i w tym celu, za zgodą litewskiego rządu, wprowadziła na jej terytorium swoje wojsko.

### 2 3 ~~LI.~~ RZADY SMETONOWSKIEJ LITWY

O decyzji władz radzieckich w sprawie przekazania Litwie Wilna i części ziemi wileńskiej dowiedzieliśmy się już po tym fakcie, choć pewne domysły snuliśmy obserwując jednokierunkowy ruch wojsk. Wszystkie formacje Armii Czerwonej podążały w stronę przedwojennej granicy. Przez kilka dni patrzyliśmy na długie kolumny samochodów z żołnierzami, sprzętem wojskowym i ładunkami stanowiącymi własność społeczną i prywatną Wilnian. Wywożono różnego rodzaju meble i urządzenia fabryczne. Widziałem nawet szkolne pulpity.

Naszą uwagę zwracał wyjątkowy pośpiech. Dość głośno mówiono, że bolszewicy uciekają. Nagłe pojawienie się wojsk litewskich potwierdziło domysły. Z ciekawości pobiegłem na dworzec kolejowy. Żołnierze litewscy prezentowali się zupełnie dobrze. W porównaniu z bolszewikami byli wręcz elegancy. Krasnoarmiejcy wyglądali bowiem strasznie. Karabiny mieli na sznurkach, zamiast plecaków nosili związane sznurkami worki. Chodzili w postrzępionych szynelach i w wyciągniętych na spodnie rubaszkach.

Żołnierze litewscy wkraczali do Wilna bez entuzjazmu. Wielu z nich było wyraźnie przygnębionych. Trafnie wyjaśnił to pewien litewski kapitan w zasłyszanej przeze mnie przypadkiem rozmowie z kilkoma mężczyznami.

-- Powinniście się cieszyć -- powiedział jeden z rozmówców -- bo dzięki Moskwie odzyskaliście swoje Wilno.

Kapitan zrozumiał uszczypliwość i spokojnie odpowiedział:

-- Nie mamy powodów do radości, ponieważ zdajemy sobie sprawę, że wchodząc do Wilna straciliśmy Litwę.

Wkrótce pojawili się w Wilnie delegowani z Kowna przedstawiciele władz litewskich -- urzędnicy, policjanci i funkcjonariusze organów bezpieczeństwa państwowego. Prawie wszyscy znali język polski, ale posługiwali się nim rzadko i niechętnie. Ci ludzie istotnie mieli do nas żal o "swoje", bo historycznie litewskie Wilno. Na każdym kroku spotykaliśmy się z ich nienawiścią do wszystkiego co polskie. Nawet w słowie "Lankas", czyli Polak wyczuwało się pogardę. Często określali Polaków mianem *lankų ropuže* (polska ropucha).

Włączenie Wilna do Litwy, mimo wrogiego do nas stosunku większości Litwinów, wyszło nam na korzyść. Na kilka miesięcy uniknęliśmy straszego losu rodaków z ziem tak zwanej Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Natychmiast odżył handel, ruszyły fabryki, warsztaty rzemieślnicze i zakłady. Po kilku tygodniach w sklepach nie brakowało niczego. Początkowo podstawowe artykuły spożywcze sprzedawano na kartki, ale szybko je wycofano. Nie spodziewaliśmy się, że tak mały kraj (ponad 340 razy mniejszy od wschodniego sąsiada) tak szybko upora się z pozostawioną po bolszewikach katastrofalną sytuacją rynkową.

Życie włączonych do Litwy miast i miasteczek wróciło do normy. Nad żydowskimi sklepami powiewały trójkolorowe litewskie flagi i co dziwne -- wywieszali je ci sami ludzie, którzy przed kilkoma dniami nosili czerwone opaski.

22 października w "Zachodniej Białorusi" i na "Zachodniej Ukrainie" odbyło się zarządzane i kontrolowane przez Moskwę głosowanie, na podstawie którego Rada Najwyższa ZSRR włączyła okupowane przez Armię Czerwoną ziemie wschodnie Rzeczypospolitej do Związku Radzieckiego.

Podobnie jak na ziemiach polskich okupowanych przez Niemców, gdzie w ślad za wojskiem posuwały się grupy operacyjne policji i służb bezpieczeństwa, na ziemiach opanowanych, a następnie włączonych do ZSRR, za wojskiem posuwały się oddziały NKWD, które przystąpiły od razu do masowych aresztowań i deportacji.

Antypolskie działania Litwinów, choć przykre i dotkliwe, nie dadzą się porównać ze stalinowskim i hitlerowskim terrorem. Najdotkliwszy zakaz władz litewskich zabraniał śpiewania w kościołach pieśni "Boże coś Polskę...", którą śpiewaliśmy po zakończeniu każdej Mszy św. we wszystkie niedziele i święta, ze zmienionymi w refrenie słowami: "Ojczyźnie wolność racz powrócić Panie". Mimo nacisku policji na polskie duchowieństwo, i różnego rodzaju gróźb, zakaz nie przyniósł oczekiwanego skutku. Dochodziło na tym tle do poważnych incydentów. Zdarzały się przypadki brutalnego wtargnięcia policji do kościołów i aresztowania młodych mężczyzn. W jednym z wileńskich kościołów doszło do bójki, podczas której poleła się krew. Kilku księży aresztowano.

Litwini za wszelką cenę starali się nas zlitwinizować. Szczególnie młodzieży wmawiano, że każdy rodowity wilnianin jest Litwinem, że na przestrzeni wieków zostaliśmy spolszczeni... "Teraz -- mówiono -- macie okazję powrócić na łono prawdziwej Matki -- Litwy". Zmieniano też polskie nazwiska, dodając końcówki litewskie: "as", "is", "-ys", "-ene" i "-aite". Często zmieniano przy tym nawet rdzenie, na przykład z Mickiewicza zrobiono "Mickiawiczusa", z Piotrowskiego -- "Piatrauskasa", a z Piotrowskiej -- "Piatrauskiene". W szkołach wprowadzono obowiązkową naukę języka litewskiego. Czyniono ogromne trudności w uzyskaniu stałej lub nawet dorywczej pracy. Dobre posady i wszechstronną pomoc deklarowano natomiast każdemu, kto zgodził się zmienić narodowość na litewską.

Ojciec w tych czasach pracował tylko jeden miesiąc -- kilka dni przy budowie nowej drogi, a potem przy karczowaniu lasu. Brat z siostrą uczyli się w szkole powszechnej, ja kontynuowałem naukę w gimnazjum.

Dyrektorem naszego gimnazjum został przysłany z Litwy ksiądz, który dobrze mówił po polsku. Często przychodził do nas na prowadzone przez księdza Araszkiewicza lekcje religii. Był sympatycznym człowiekiem. Nie podobał się nam tylko wtedy, gdy czynił uwagi za brak postępów w nauce języka litewskiego. Pani Gałuniaite, która uczyła nas tego języka nie dawała sobie rady. Często doprowadzaliśmy ją do płaczu. Wszyscy mieliśmy u niej dwójki. Wzywała na rozmowy naszych rodziców, nas kierowała do księdza dyrektora, ale żadne zabiegi nie pomagały.

O ile przed bolszewikami czuliśmy strach, to Litwinów nigdy nie traktowaliśmy poważnie. Uważaliśmy ich za okupantów z konieczności, z

Lankas

u ropuże  
kłam



7

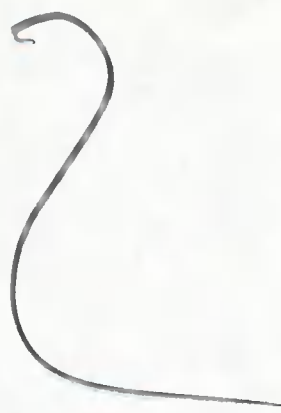
którymi w każdym przypadku można sobie poradzić. Wiedzieliśmy, że Wilno uważali za swoją stolicę i że chcieli to miasto odzyskać, ale nie za wszelką cenę. Starali się to załatwić w sposób uczciwy, nie wykorzystując naszej wrześniowej klęski. 28 października musieli spełnić wolę Kremla, byli więc okupantem zupełnie innego typu niż Niemcy i bolszewicy.

Wiele mówi fakt, że od 28 października do czerwca 1940 roku rząd litewski rezydował w Kownie i swej siedziby nie przeniósł do Wilna. Mimo nieprzyjaznych i często wrogich poczynań litewskich szowinistów, zawdzięczamy Litwie po naszej klęsce wrześniowej bardzo dużo.

Po 17 września 1939 roku kraj ten był azylem politycznym dla wielu tysięcy polskich uchodźców i żołnierzy. Przez Litwę prowadziła jedna z nielicznych dróg do polskich formacji na Zachodzie. Litewskie obozy dla internowanych polskich żołnierzy i oficerów miały zupełnie znośne warunki życia. Na liczne ucieczki z obozów Litwini patrzyli przez palce.







3  
4

W Wilnie oraz wielu innych miastach i miasteczkach istniały warunki do prowadzenia polskiego życia społecznego, działalności charytatywnej i kulturalnej. Duże znaczenie posiadała docierająca do nas pomoc Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. W Kownie urzędowały wszystkie, poza polską, placówki dyplomatyczne. Ambasady krajów z nami sprzymierzonych dopomagały naszym oficerom i podoficerom w przedostaniu się do Francji i Anglii. Z tego powodu włączone do Litwy Wilno posiadało bez porównania lepsze warunki do tworzenia i rozwijania polskiego podziemia, z czego na pewno zdawał sobie sprawę Komendant SZP,\* Michał Tokarzewski-Karaszewicz, bo już w połowie listopada wysłał z Warszawy do Wilna podpułkownika Nikodema Sulika \*\*, podpułkownika Janusza Gaładyka i majora Aleksandra Krzyżanowskiego\*\*\*. Gaładyka aresztowano podczas przekraczania granicy sowiecko-litewskiej. Pozostali dotarli do celu i dzięki nim 28 grudnia 1939 roku uformowała się w Wilnie Komenda Okręgu SZP, którą wczesną wiosną przemianowano na podlegającą Komendzie Głównej ZWZ Okręg Wileńsko-Kowieński. Do najważniejszych zadań Komendy Okręgu należało: tworzenie silnych struktur organizacji terenowych; zbieranie i magazynowanie pozostałej od września 1939 roku broni, szkolenie kadr i działalność wywiadowcza. Motorem wileńskiego podziemia, podobnie jak w całym okupowanym kraju, była kadra oficerska składająca się ze wspaniałych, całkowicie oddanych Polsce ludzi.

Działaniu naszego podziemia bacznie przyglądała się litewska służba bezpieczeństwa, tak zwana Sauguma. Zastanawiający jest fakt, że nie podjęła z nim walki. Pamiętam tylko jeden, zamieszczony w miejscowej prasie, artykuł informujący o wykryciu niewielkiej ilości zmagazynowanej przez polską organizację broni. W artykule nie wymieniono nazwy organizacji i nie wspomniano o jakichkolwiek aresztowaniach.

- ∫\*Służba Zwyciestwu Polski.
- ∫\*\*pierwszy komendant Wileńskiego Okręgu SZP, później — generał brygady i dowódca Kresowej Dywizji 2 Korpusu.
- ∫\*\*\*Od 30 marca 1940 roku szef sztabu Okręgu Wileńskiego Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), później — komendant Okręgu Wileńskiego, znany jako gen. "Wilk".

12 października 1939 roku w Moskwie zaczęły się rozmowy sowiecko-fińskie. Moskwa żądała od Finów zgody na rozmieszczenie w ich kraju baz wojskowych i przesunięcia granicy o kilkadziesiąt kilometrów od Leningradu. Wobec sprzeciwu Finów w nocy z 29 na 30 listopada Armia Czerwona zaatakowała Finlandię, napotykając jednak na niespodziewanie silny opór wojsk fińskich. Świetnie wyszkolona i świadoma celu walki armia małej Finlandii zadawała agresorowi ogromne straty.

Wiązaliśmy duże nadzieje z wojną sowiecko-fińską. Mówiło się, że skoro Liga Narodów uznała Moskwę za agresora, to należące do niej kraje powinny pomóc Finlandii go poskromić. Krążyły pogłoski o przygotowywanym ataku na Sowiety sił francuskich i angielskich — od strony Kaukazu i

Półwyspu Bałkańskiego. Nic takiego jednak nie nastąpiło i wobec braku dostatecznej pomocy w lutym 1940 roku Finowie zgłosili w Moskwie propozycję zakończenia wojny, a 12 maja podpisali umowę pokojową, w której zgodzili się na żądane ustępstwa terytorialne. Przerwanie działań wojennych nastąpiło 13 marca, a już w kwietniu 1940 roku w ZSRR utworzono nową Karelo-Fińską Republikę Radziecką.

Starsi ludzie w moim środowisku wciąż twierdzili, że wcześniej czy później dojdzie do wojny bolszewików z Niemcami. Takiego zdania był między innymi mój ojciec. Wszystkich denerwowała trudna do zrozumienia cisza na froncie francusko-niemieckim. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy działań, które zadecydują o wyniku wojny i losie Polski.

Rodzice byli tymczasem bez pracy. Żyliśmy ze sprzedaży zgromadzonych w ciągu wielu lat wartościowych przedmiotów. Na rynku w Kownie ojciec sprzedawał nasze kilimy. Dostał za nie aż 500 litów — 1 lit miał wartość przedwojennej złotówki. Ale potrzeby były również duże. Za samo gimnazjum musieliśmy zapłacić 150 litów. Sytuacja materialna była trudna dla wszystkich, ale zakończenie niewoli sowieckiej uważaliśmy za ogromny sukces i nie baliśmy się przyszłości.

Co prawda w Nowej Wilejce, zgodnie z umową z rządem litewskim stacjonowały nadal wojska sowieckie, lecz żołnierze nigdy nie wychodzili do miasta, byli zamknięci w koszarach. Oficerowie mieszkali w blokach wojskowych w pobliżu koszar i poruszali się tylko między blokami a koszarami.

W czerwcu rozpoczęły się moje pierwsze wojenne wakacje. Wieczorami słuchaliśmy wiadomości radiowych z Paryża i Londynu. Tam kierowaliśmy wszystkie nasze myśli i stamtąd czekaliśmy dobrych wieści.

W połowie czerwca denerwującą ciszę przerwało nagle wysypanie się z koszar sowieckich żołnierzy. Błyskawicznie obsadzili najważniejsze punkty miasta. Na skrzyżowaniach ulic, na mostach i pagórkach ustawili gotowe do strzału karabiny maszynowe. Całe miasto kontrolowały sowieckie patrole. Widziałem jak zatrzymywały litewskich żołnierzy i policjantów. W tym samym czasie granicę litewską przekroczyły oddziały Armii Czerwonej. Na niebie pojawiły się samoloty z czerwonymi gwiazdami. Leciały w kierunku Porubanka\* i dalej — na zachód.

Tego dnia wojska sowieckie oparowały również Łotwę i Estonię. Podpisując z przedstawicielami rządów tych państw układy o przyjaźni i wzajemnej pomocy i rozmieszczając na ich terytorium bazy wojskowe Armii Czerwonej, Mołotow zaprzeczał krążącym w świecie pogłoskom o ich sowietyzacji. Pogłoski te określił jako prowokacyjne i antyradzieckie. Twierdził, że wszystkie trzy kraje pozostaną w pełni suwerenne.

W połowie czerwca przekonaliśmy się o wartości jego zapewnień. Moskwa poinformowała świat, że w Litwie, Łotwie i Estonii powstały nowe rządy, które rozpisali wybory do parlamentów i że nowe parlamenty proklamowały władzę radziecką oraz skierowały do Rady Najwyższej ZSRR prośby o włączenie ich krajów w skład Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Rada Najwyższa załatwiła przychylnie wszystkie trzy prośby i w ten sposób 3 sierpnia 1940 roku Litwa, 5 sierpnia — Łotwa i 6 sierpnia — Estonia weszły w skład Związku Radzieckiego.

Moskwa głosi do dzisiaj, że włączenie do Kraju Rad trzech niepodległych państw odbyło się zgodnie z prawem i w oparciu o wolę narodów. Mieszkańcy ziemi wileńskiej wiedzieli, jak wygląda prawda, w jaki sposób powstały nowe parlamenty, kto je powołał i kto w nich zasiadał. Pamiętamy również dobrze, jak wyrażały swoją wolę trzy bliskie nam narody...

Tylko bohaterkiej Finlandii udało się oprzeć sowieckiej przemocy. Jej heroiczna obrona w zimie 1939 na początku 1940 roku sprawiła, że dzisiaj jest krajem wolnym.

\*Miejscowość w pobliżu Wilna, w której przed wojną było wojskowe lotnisko.

ROK WŁADZY RADZIECKIEJ

Wcielone do ZSRR trzy kraje bałtyckie były — do czasu okupacji niemieckiej — wyraźnie uprzywilejowane. Moskwa nie stosowała w nich przymusowej kolektywizacji wsi. Dobrze zorganizowane i zasobne



prywatne gospodarstwa rolne stanowiły podstawę wysokiego — w porównaniu z innymi sowieckimi republikami — poziomu życia.

Sklepy wszystkich branż, a szczególnie sklepy spożywcze były dobrze zaopatrzone i nie było przed nimi kolejek. Ceny towarów wielokrotnie wzrosły, ale w porównaniu do cen w pozostałych republikach były duże niższe. Dobre zaopatrzenie rynku, wysoki jak na sowieckie warunki standard życia oraz względy bezpieczeństwa państwowego zdecydowały, że mieszkańcom Związku Radzieckiego zabroniono wjazdu do nowych radzieckich republik. Zakaz ten nie dotyczył osób kierowanych służbowo.

W naszym mieście było dużo wojska, ale nigdy nie widzieliśmy spacerujących ulicami żołnierzy. Spotykaliśmy ich tylko obok komisarzy i politruków, załatwiających sprawy służbowe i oglądaliśmy ich w kolumnach marszowych. Dowództwo sowieckie bało się bowiem szkodliwych kontaktów żołnierskiej masy z miejscową ludnością. Uważało, że nowe ziemie prześlgnięte są ogromnie niebezpieczną dla ludzi radzieckich i socjalistycznego państwa, gorszą niż zaraza, kontrrewolucją. Niebezpieczne w ich oczach było wszystko: indywidualne rolnictwo, kościoły pełne wiernych, dobrze zaopatrzone sklepy, niezłe warunki życia przeciętnego mieszkańca, a przede wszystkim — stosunek ludności do sowieckiego systemu.

Komisarze i politrucy widzieli niebezpieczeństwo we wszystkim, co zwykły żołnierz mógł ogarnąć wzrokiem i słuchem. Tylko oni i wyżsi dowódcy wojskowi korzystali z ograniczonej swobody. Po pewnym czasie mogli sprowadzić z głębi ZSRR żony i dzieci. Byli to bardzo biedni ludzie. Kobiety ubrane były w szare wojskowe szynele i żołnierskie rubaszki. Dzieci chodziły w szytych na wyrost ubrankach, przerobionych z ojcowskich płaszczy. Przez dłuższy czas sprawiały wrażenie zdziwionych, wystraszonych. Podobnie zachowywały się mamy. Przypominały biedaków, którzy trafiają pierwszy raz w życiu do przyzwoicie urządzonego mieszkania i nie wiedzą jak się trzeba zachować. Do miasta nigdy nie wychodziły pojedynczo. Towarzyszyli im mężowie albo wybierali się gromadnie. W sklepach wyglądały na skrupowane. Nie mogły zrozumieć, że półki są pełne towarów, które sprzedaje się bez żadnych ograniczeń. Nieraz pytały, czy można kupić "cały kilogram" kielbasy. Wielu towarów nigdy dotąd nie widziały. Nie orientowały się, do czego służą.

Dla sowieckich dzieci zorganizowano nowe szkoły. Obawiano się, że w naszych szkołach mogłyby się "zdemoralizować".

Mimo ostrych zakazów, nasze kontakty z przybyszami stopniowo się zacieśniały. Najszybciej poznawały się ze sobą dzieci, a przez nie ich mamy. Ojcowie udawali, że nic o tym nie wiedzą. Po kilku miesiącach sąsiedzkie znajomości zacieśniły się do tego stopnia, że żony sowieckich oficerów prosiły nasze mamy o kupno święconych krzyżyków i medalików. Często zwracały się też do nich o pomoc w ochrzceniu dzieci. Same bały się pójść do księdza. Robiły to w tajemnicy przed mężami lub ją pozorowały.

\*

We wrześniu rozpoczął się nowy rok szkolny. Nasze gimnazjum przekształcono na dziesięciolatkę. Drugą klasę, do której uczęszczałem, zmieniono na szóstą.

W 23. rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej całą szkolną młodzież zapędzono na wiec, który odbył się w poczekalni dworca kolejowego. Od udziału w wiecu nie było odwołania, ponieważ odbywał się w godzinach lekcyjnych. Dziwna to była uroczystość. Nie przypominała w niczym obchodów naszych świąt narodowych.

W poczekalni stała pokryta czerwienią trybuna, na której zajęli miejsca jacyś osobnicy. Na ścianach wisiały portrety nieznanym nam wodzów. Osobnicy z trybuny ni stąd, ni zowąd zaczęli klaskać w dłonie, na co zareagowaliśmy głośnym śmiechem, co wcale ich nie speszyło. Potem sami odśpiewali "Międzynarodówkę" i zaczęli wygłaszać jakieś przemówienia. Wszystkie kończyli oklaskami, na które sala reagowała milczeniem.



Każdy mówca wznosił okrzyki — podnosząc w górę zaciśniętą pięść — na cześć genialnego wodza całej postępowej ludzkości, najmądrzejszego i najukochańszego Stalina. Patrzyliśmy na nich jak na dzikusów. Zastanawialiśmy się co też znaczą te zaciśnięte pięści. Mogły znaczyć wiele: siłę, groźbę, gniew. Dla nas stanowiły groźbę.

W 22 rocznicę odzyskania niepodległości Polski uczniowie starszych klas przynieśli do szkoły kolorowe nalepki z białymi orłami i biało-czerwone wstążeczki. Każda klasa otrzymała ich odpowiednią ilość. Nalepki rozlepiliśmy na oknach, a wstążeczki poprzyपालiliśmy sobie pod kłapkami szkolnych mundurków.

Tego dnia czuliśmy się wspaniale w szkole. Działo się coś, co przypominało znane z historii czasy carskiego zaboru — walka z reprezentującymi zaborców szkolnymi dyrektorami, protesty, represje, policja...

Nalepki nie uszły uwagi władz szkolnych. Pamiętam, jak do klasy wpadł partyjny dyrektor. Pochodził z Kowna i był działaczem partii komunistycznej. Mówiono, że za rządów prezydenta Smetony nie miał nic wspólnego z oświatą. Przeważaliśmy go szoferem, bo zawsze widywaliśmy go w długiej komisarskiej kurtce. Któregoś dnia zastępował w naszej klasie chorą polonistkę i zamiast uczyć polskiego, przez całą lekcję uprawiał bełkotliwą propagandę o panującej w Niemczech biedzie. Opowiadał, że Niemcy nie mają masła i jedzą tylko margarynę, że zamiast cukru używają sacharyny i że ubrania szyją z włókien używanych do produkcji papieru. Twierdził, że w czasie deszczu ich ubrania rozlażą się jak papier.

Teraz stał przed nami i wrzeszczał. Groził wszystkim Syberią i aresztowaniem rodziców. Domagał się ujawnienia kolegów, którzy dostarczyli nalepki i kazali je porzekać. W klasie panowało milczenie. Mimo krzyków i pełnych pogroźek poleceń, by oczyścić z nalepek okna, nikt nie ruszył się z miejsca. Gdy zadzwonił dzwonek na przerwę, bez jego zgody opuściliśmy klasę.

Jedynę, co z tamtych czasów można było zapisać bolszewikom na plus, to szytkie uporanie się z bezrobociem. Ojciec dostał stałą posadę w fabryce chleba. Pracował w niej jako ślusarz. Mama otrzymała pracę w zakładach mięsnych. Zarobki rodziców były niskie, ale na życie wystarczało. Ten jeden jedyny plus nikogo jednak nie cieszył wobec

szerzącego się terroru.

Wkrótce po opanowaniu Litwy władze sowieckie powtórnie zarządziły rejestrację wszystkich polskich oficerów i policjantów. Za uchylenie się od obowiązku rejestracji groziło więzienie i katorżnicza praca w sowieckich łagrach. Zarejestrowanych wywożono w głąb Rosji.

Nasze życie upodobniło się do życia przodków z czasów Nowosilcowa i Murawjowa. Tamci za opór i brak pokory wobec władzy carskiej wtręcali do więzień, wywozili za Ural i skazywali na śmierć. Bolszewicy nie czekali na opór. Przy pomocy żydowskich szpicli i donosicieli oraz w oparciu o składane w zakładach pracy życiorysy ustalali, kto jest wrogiem sowieckiej władzy lub może być dla niej niebezpieczny.

Już jesienią 1940 roku przeprowadzono liczne aresztowania, które najmocniej dotknęły oficerów i policjantów. Osadzono w więzieniach działaczy politycznych i społecznych, uczestników wojny w 1919 i 1920 roku z bolszewicką Rosją, byłych sędziów, prokuratorów, urzędników państwowych, działaczy organizacji młodzieżowych, księży, właściciele majątków, bogatszych chłopów, zawodowych wojskowych. Byłym wojskowym zarzucano służbę dla umacniania "reżimu" marszałka Piłsudskiego. Pozostałych więźniów oskarżano o "kontrewolucję". Najgorzej traktowano członków polskiego podziemia. Każde zbiorowe i indywidualne działanie, zmierzające do przywrócenia Polsce niepodległości, uważano za najcięższe przestępstwo. Chęć dotarcia do tworzonej na Zachodzie armii polskiej traktowano na równi z chęcią walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Miałem dwóch wujków, którzy postanowili przedostać się do

Francji. Obaj mieszkali w Wilnie. Zostali aresztowani podczas próby przejścia sowieckiej granicy. Skazano ich na dziesięć lat łagrów. Jednego zwolniono w 1941 roku po ogłoszonej dla Polaków amnestii. Znalazł się w armii generała Andersa i po wojnie urządził sobie życie w Ameryce. Drugiego nie zwolniono, bo w łagrze zachorował na schizofrenię. Wrócił do Polski w 1956 roku jako stuprocentowy inwalida. Widziałem się z nim we Włocławiu. Biedak nie zdawał sobie sprawy, że jest na wolności. Po roku zmarł.

5  
6  
Pojęcia braku winy bolszewicy nie znali. Wystarczyło podejrzenie, żeby ją stwierdzić. Oskarżeni o działalność kontrewolucyjną i antyradziecką ~~byli~~ pozbawieni obrony. Nikt z oskarżonych nie śmiał powoływać się na świadków, bo naraziłby ich na uwięzienie. Każde wystąpienie w obronie oskarżonego w sprawach politycznych w ZSRR było równoznaczne z samobójstwem. W pojęciu funkcjonariuszy NKWD bronić wroga władzy radzieckiej mógł tylko wróg, wobec czego należało go natychmiast aresztować. Do podejrzanych o wrogą działalność zaliczano każdego, kto nie popierał radzieckiej władzy. Pozbawiano wolności wszystkich, którzy wydawali się niebezpieczni lub niepewni.

Wiosną 1941 roku na Wileńszczyznę przybyły transporty żołnierzy NKWD, których użyto do przeprowadzenia masowej deportacji ludności. W stronę zachodniej granicy przetrzucano ogromne ilości wojska i wojskowego sprzętu. Dzień i noc sunęły w tamtym kierunku długie transporty czołgów, ciężkich dział i wojskowych samochodów. Obok wojsk jechały transporty mężczyzn w ubraniach cywilnych. Kiedy pytaliśmy, dokąd jadą, mówili, że do pracy.

Żołnierze i cywile często prosili krążących w pobliżu chłopaków, by kupili coś do zjedzenia. Wielokrotnie spełniałem ich prośby. Biegałem z kolegami do najbliższych sklepów po wędliny, słoninę, wędzony boczek, masło, chleb, zeszyty i koperty. Żołnierze i cywile ogromnie się dziwili, że wszystko to można kupić bez kolejek i w dowolnej ilości. Bardzo dobrze płacili za te usługi. Kilogram słoniny kosztował w tym czasie około 8 rubli, oni dawali 15 i 20, a resztę kazali wziąć za fatygę.

Później dowiedzieliśmy się, że cywile jechali do pracy przy budowie i rozbudowie obiektów wojskowych. Tego rodzaju prac nie powierzano miejscowej ludności, ze względu na brak zaufania.

\*

Był początek czerwca. Od klęski wrześniowej upłynęło ponad 20 miesięcy. Niemcy mieli już w swoim posiadaniu Danię, Norwegię, Belgię, Luksemburg i znaczną część Francji, z jej stolicą. Pod okupacją niemiecką była także Grecja i Jugosławia.

Po zaciętych walkach o Kretę na frontach panował względny spokój, "cisza przed burzą". Inicjatywę w działaniach wojennych nadal spoczywała w rękach Hitlera. Świat oczekiwał nowego, potężnego uderzenia wojsk niemieckich, ale nikt nie potrafił określić jego kierunku. Najczęściej wymieniano Gibraltar i Wyspy Brytyjskie. Tego rodzaju prognozy snuła również prasa sowiecka.

Od wiosny 1941 roku Moskwa wyraźnie szykowała się do wojny. Wskazywały na to kierowane w stronę granicy transporty żołnierzy, broni i pośpieszna budowa wojskowych obiektów. Na murach pojawiły się plakaty potępiające imperialistyczną wojnę. Przedstawiano na nich dwa światy: jeden pełen słońca, zieleni, kwiatów, z radosnymi dziećmi; drugi — pogrążony w wojnie, z runami płonącego miasta, z trupami kobiet, mężczyzn i dzieci. Każdy wiedział, że plakatowym światem słońca ma być ZSRR, a światem wojny — kraje kapitalistyczne.

Naszym sąsiadem w Nowej Wilejce był w tym czasie sowiecki oficer. Od czasu do czasu przychodził do ojca na pogaduszki. Ojciec spytał go kiedyś o polityczną wymowę plakatów. Chciał wiedzieć dlaczego nie było ich wcześniej. Kola — tak miał na imię oficer — powiedział, że Związek Radziecki nie może pozostawać bierny, gdy w interesie kapitalistów i imperialistów giną niewinni ludzie. Długo tłumaczył o ciężącym na ZSRR "proletariackim obowiązku". Niemcy rzuca



się na Anglię, dojdzie do rozstrzygającej walki, w której obie strony stracą siły. Wyczerpanych wojną przeciwników pogodzą nasi. Gdy uderzymy, za kilka dni staniemy nad Atlantykiem. Wyzwolimy od faszystów nie tylko Polskę, ale całą Europę. Powieje nad nią czerwony sztandar Wielkiej Październikowej Rewolucji.

Masowe aresztowania i deportacje poważnie osłabiły w tym czasie wileńskie podziemie. Między innymi aresztowano Komendanta Okręgu ZWZ podpułkownika Nikodema Sulika, Komendanta Obwodu N. Jantysa, majora Władysława Kamińskiego i księdza Kazimierza Kucharskiego\*. Na skutek aresztowań z czołowej kadry podziemia ubyło ponad sto osób.

Wielki patriota i wybitny działacz konspiracyjny. Występował pod pseudonimem "Szymon". Na przełomie kwietnia i maja 1941 roku został aresztowany przez NKWD. Zwolniony w wyniku amnestii, ogłoszonej w ZSRR dla Polaków, był potem kapelanem w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie.

Po Suliku dowództwo nad okręgiem przejął Aleksander Krzyżanowski, późniejszy generał "Wilk". Jemu w największym stopniu zawdzięczamy przetrwanie wileńskiego podziemia w najtrudniejszym okresie, jakim niewątpliwie była okupacja sowiecka. Każdy dzień przynosił smutne wiadomości o aresztowaniach sąsiadów i znajomych. Wileńskie więzienia nie były tak zapełnione nawet za czasów carskich. Na wszystkich stacjach kolejowych stały długie pociągi towarowe, do których ładowano przywożonych z domów ludzi. Zabierano ich przeważnie w nocy. Zerwani ze snu musieli przygotować się do drogi w ciągu kilkunastu minut. Mogli ze sobą wziąć tylko tyle, ile byli w stanie unieść. Bolszewicy nie rozczulali się płaczem dzieci i kobiet.

Codziennie przez Nową Wilejkę przejeżdżało kilka, załadowanych skazancami pociągów towarowych. Część z nich zapełniano w głębi Litwy, ale większość odchodziła z ziemi wileńskiej. Wszystkie pod silną eskortą żołnierzy w niebieskich czapkach. Deportowanych w drodze na zesłanie traktowano na równi z więźniami. Często zabierano ludzi prosto z zakładów pracy, a uczniów starszych klas — ze szkół.

Wiele osób ukrywało się po wsiach, nocowało po lasach i w stogach siana. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. Wszędzie głośno mówiono, że na listach do wywózki na Sybir znajdują się wszyscy Polacy.

Raz udało mi się zbliżyć do pociągów z ludźmi, otoczonych żołnierzami z resortu Berii. Widziałem, jak uwięzieni dusili się z braku powietrza. W upalne czerwcowe dni nie dawano im wody. Słyszałem kołatanie w ściany wagonów i wołanie o litość.

Na stacji stały dwa pociągi. W pewnej chwili pojawili się wyżsi funkcjonariusze NKWD. Towarzyszący im podoficer trzymał pod pachą kilka teczek z ankietami, które podawał stojącemu przy otwartym wagonie oficerowi. Słyszałem głośne wywoływanie nazwisk mężczyzn. Wywoływani wychodzili z wagonu i ustawiali się dwójkami. Tworzono z nich dwudziestokilkuosobowe grupy i odprowadzano do drugiego pociągu.

Do dzisiaj widzę tragiczne sceny pożegnania. Słyszę lament kobiet, żaloszny płacz dzieci... Nigdy nie zapomnę tych ostatnich pocałunków, głądzenia dziecięcych główek i ostatnich znaków krzyża świętego.

— Skoriej, pobystriej\* — poganiali żołnierze.

Włotenia o litość mieszały się z płaczem, przekleństwami, błagalnymi wołaniami o pomoc do Boga, Matki Boskiej i wszystkich świętych. I tak przy każdym wagonie... Było to straszne, nieludzkie, okropne. Pan Bóg tylko wie, ile drogich i najbliższych sobie osób rozstało się wówczas na zawsze.

Prędzej, szybciej.

Gorąco nienawidziliśmy Niemców, ale nienawiść do bolszewików była o wiele większa. Niemcy nie maskowali się. Ich zbrodnicze plany wobec Polski były powszechnie znane. Znali je również przywódcy sowieccy, ale do dnia napaści Niemiec na ZSRR żaden z nich tych spraw nie poruszał. Temat ten zbywała milczeniem sowiecka prasa — milczało



radio... W tamtych czasach nie interesowały ich hitlerowskie zbrodnie. Niszczenie naszej narodowej tożsamości stanowiło wspólny cel Berlina i Moskwy. Obie stolice realizowały go konsekwentnie, każda po swojemu. Jedni i drudzy używali do tego zbrodniczych sposobów.

Dziesiątki, a nawet setki polskich oficerów, którzy po 17 września złożyli broń Armii Czerwonej, osadzono w więzieniach. Znaczna ich część umarła tam z głodu, chorób i wskutek nieludzkich metod śledztwa. W obozach jenieckich Starobielska, Ostaszkowa i Kozielska jeńców traktowano jak więźniów. Dniami i nocami męczono ich na przesłuchaniach. Niemcy nie wtrącali do więzień wziętych do niewoli oficerów. W "oflagach" panowały zupełnie znośne warunki.

W ciągu dwudziestu jeden miesięcy sowieckiej władzy na kresach wschodnich uwieziono i deportowano w głąb Rosji więcej Polaków niż przez cały okres carskiego zaboru. Teraz wiemy, że zesłańcom, nie mówiąc o więźniach, nie stworzono warunków, które są niezbędne nawet w niewolniczym i półniewolniczym życiu. Każdego dnia kosiła ich śmierć. Umierali z głodu, chorób, zimna i wskutek pracy ponad siły. W świadomy sposób niszczone przewodnią siłę narodu — inteligencję. Oderwany od niej lud wystarczyło zastraszyć.

— Głód — mówili beriojscy oprawcy — szybko ludzi upokorzy, pozbawi ideałów, godności... Złamać człowieka moralnie, poniżyć i podporządkować własnym celom — to zasada, którą kierowało się NKWD.

Wszyscy wiedzieliśmy, że zapadł na nas wyrok, od którego nie było odwołania. Wyrok za to, że kochaliśmy Ojczyznę inaczej niż uczył tego Stalin, że co innego znaczyła dla nas wolność, dobro, prawda i sprawiedliwość.

Zbrodniczą akcję masowej deportacji, aresztowań i skazywania niewinnych ludzi na wieloletnie więzienie i łagry przerwała wojna. Przed Syberią, bolszewickimi więzieniami i łagrami uratowali nas Niemcy w czerwcu 1941 roku.

## ← ATAK HITLERA NA ZSRR

W niedzielę, 22 czerwca, z bratem, siostrą i kolegami wracaliśmy z kościoła. Była godzina dziesiąta. Rozmawialiśmy o ostatnich aresztowaniach i wywózkach. Na pogodnym niebie pojawiły się samoloty. Leciały bardzo nisko i wyglądały inaczej niż te, które widywaliśmy co dzień. Było ich bardzo dużo. Nikomu nie przyszło do głowy, że nie są to samoloty sowieckie. Rozmowę przerwały eksplozje pocisków artylerii przeciwlotniczej. Pociski rozrywały się daleko od celu. Ludzie zatrzymywali się i ze zdziwieniem obserwowali zagadkowe zjawisko.

Po paru minutach artyleria zamilkła. Samoloty poleciały na wschód. Jacyś mężczyźni mówili o dziwnych ćwiczeniach wojskowych. Wkrótce nadleciały nowe partie samolotów. Powtórzyła się strzelanina. W mieście zaroilo się od sowieckich oficerów. Wszyscy biegli w stronę koszar. Na pytania cywilów jedni mówili o jakichś manewrach, inni zbywali je charakterystycznym dla Rosjan *czort jawo zrazet*.

W mieszkaniu zastaliśmy pana Rajsa\*\*. Przyszedł odwiedzić ojca. Przed wojną służyli obaj w 85 pułku piechoty. Przysłuchiwałem się z sąsiedniego pokoju. Nie wierzyli w żadne manewry. Mówili o ostrym strzelaniu. Śmieli się, że sowieccy oficerowie nie potrafią rozróżnić wojny od ćwiczeń.

Sprawę wyjaśnił komunikat radiowy agencji TASS o wiarołomnym napadzie hitlerowskich Niemiec na Kraj Rad. Przyjęliśmy z ulgą tę wiadomość.

\* Diabli wiedzą

\*\* Kapral. W czasie okupacji niemieckiej był dowódcą kompanii w 3 Brygadzie "Szczerbca". W roku 1945 — dowódca szwadronu w Brygadzie "Łupaszkki". Zrzucał pseudonim "Bury". W PRL za zbrojną walkę przeciwko "władzy ludowej" został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano.

Będą musieli przerwać deportację — mówił pan Rajsa, — Sabor kolejowy będzie teraz potrzebny dla wojska. Ojciec był tego samego

zdania. Obaj uważali, że atak Hitlera na Sowiety przyspieszy koniec wojny.

Po południu niemieccy piloci zrzucili na Wilno i okoliczne miasta dziesiątki bomb. W Nowej Wilejce paliła się fabryka drożdży, lniarnia i papiernia. Poważnie uszkodzono linię kolejową. Kilkanaście osób poniosło śmierć. Tym razem artyleria milczała. Nie dawało znaku życia również sowieckie lotnictwo. Niemieccy piloci krążyli nad płonącymi obiektami i ostrzeliwali je z broni maszynowej, polując na wydostających się z płomieni i gruzów robotników.

Ataki powietrzne trwały do północy. Poniedziałek minął spokojnie, ale niebo ciągle było pełne hitlerowskich samolotów. Wszystkie leciały na wschód. Po południu bolszewicy wysadzili w powietrze koszary. Znałem je bardzo dobrze. Przed wojną często odwiedzałem tam ojca. Były piękne, pełne zieleni -- przypominały duży, zabudowany park.

We wtorek 24 czerwca rano do Wilna wkroczyły wojska niemieckie. Nie spodziewaliśmy się, że dotrą tak szybko. Bolszewicy śmieli się z wojaczki naszych ojców, a sami wpadli o wiele gorzej. I uciekali dużo szybciej. Ponad dwieście kilometrów w ciągu dwóch dni -- to chyba rekord... Gdyby to tempo się utrzymało, za cztery lub pięć dni Niemcy byłiby w Moskwie.

Przed południem wybrałem się z kolegą do miasta. Ulicą Wileńską przejeżdżały długie kolumny niemieckich żołnierzy. Prezentowali się świetnie -- usmiechnięci, pewni siebie, zadowoleni z błyskawicznych sukcesów...

-- *Stalin kaput!* -- wołali do gapiów.

Podziwialiśmy ich wygląd -- byli czyści, ogoleni, w wyglansowanych do połysku butach. W niczym nie przypominali żołnierzy z frontu. Szli naprzód po kolejne zwycięstwo. W rozmowach z wileńszczykami twierdzili, że najdalej za dwa tygodnie będą w Moskwie. Z upiekaniem sowieckiej stolicy utożsamiali koniec "czerwonego kolosa".

Po kilku dniach w naszym mieszkaniu zakwaterowano dwóch niemieckich pilotów. Byli bardzo młodzi. Do rodziców i do nas odnosili się poprawnie. Nigdy nie pozwolili by mama po nich sprzątała. Sami przynosili ze studni wodę, rąbali i nosili drewno... Wojnę traktowali z humorem. Chwalili się, że latają już nad Moskwę. Dowcipkując zapewniali, że podczas najbliższego lotu muszą rozwalić Kremł i ukatrupić Stalina.

W pierwszych dniach niemieckiej okupacji całą Wileńszczyznę obiegnęła wiadomość o wspaniałym wyczynie polskich kolejarzy, którzy uratowali przed Syberią cały transport ~~rodziców~~. Mimo nalegań i pogroźek funkcjonariuszy NKWD, kolejarze nie dali parowozów. Gdy ~~emancypacja~~ ludźmi opuścili dworzec, pootwierali wagony i uwolnili ponad dwa tysiące osób.

Ale z innych stron dochodziły tragiczne wiadomości. W wielu wileńskich miastach i miasteczkach, między innymi w Berezweczu i Starej Wilejce, przed wycofaniem się bolszewicy wymordowali setki więźniów. Parę tysięcy pieszo pognali na wschód. Opadających z sił, niezdolnych do dalszego marszu, rozstrzeliwali. Znajomi opowiadali o potwornych morderstwach w więzieniu w Starej Wilejce. W połowie lipca ekshumowano zwłoki ofiar sowieckich zbrodni koło wsi Kasuta.

Rozmawiałem ze świadkiem ekshumacji, Aldoną Rym<sup>szo</sup>. Oto jej relacja:

"Gdy Niemcy pognali Ruskich na wschód, przez dwa tygodnie nie było władzy. Mieszkałam wtedy u rodziców koło Miedziola. W połowie lipca ktoś zawiadomił nas, że koło Kasuty, przy drodze prowadzącej na wschód ze Starej Wilejki, w dołach po ziemniakach są pomordowani ludzie. Słyszałam, że niektórzy odnaleźli tam swoich bliskich.

Miejscowi chłopcy utworzyli coś w rodzaju komisji. Nazwaliśmy ją "Komisja Czerwonego Krzyża". Jako "Komisja" wybraliśmy się w kilka furmanek do Kasuty. Obok Kasuty biegła szosa i był sosnowy las, przy którym wykopano doły na kartofle. Ludzie ze wsi opowiadali, że po 22 czerwca Sowietci gnali więźniów ze Starej Wilejki i wtedy od strony sosnowego lasu usłyszeli strzały. Bali się wychodzić z domów. Po pewnym czasie poczuli dochodzącą stamtąd woń. Gdy poszli zobaczyć, spod cienkiej warstwy piachu wystawały ręce i nogi. Przy pierwszych

Rym<sup>szo</sup>



odgrzebanych zwłokach znaleziono adres i zawiadomiono rodzinę. W ten sposób wiadomość o sowieckim morderstwie rozeszła się po całej okolicy i dotarła do Miadzioła.

W dołach odnaleźliśmy około stu ciał. Staraliśmy się ustalić ich tożsamość. Byli to młodzi ludzie. Podejrzewano ich o działalność antysowiecką, bo pochodzili z bogatych rodzin lub należeli przed wojną do młodzieżowych organizacji. Między innymi wydobyliśmy z dołów zwłoki pochodzącego z Rosoch podporucznika Franciszka Pisarczyka. Po kampanii wrześniowej powrócił do rodziny w Rosochach i tam go aresztowali. Do aresztowania pracował w Miadziole jako mierniczy.

Wszystkie zwłoki miały powiązane drutem ręce. Strzały oddawano w tył głowy. Później dowiedzieliśmy się, że ktoś obserwował egzekucję z pobliskich krzaków. Sowieci prowadzili do dołów po dziesięć osób, ustawiali rzędem i rozstrzeliwali.

Ludzi wrzucano do dołów jak popadło. Jedni byli skuleni, inni w postawie zbliżonej do siedzącej, a jeszcze inni w leżącej. W kieszeniach mieli zawinięte w szmatki porcje cukru — może dwa a może trzy deko — i karteczki wielkości pudełka zapalek z wypisanymi nazwiskami, imionami i adresami. Może wypisali je na wypadek nieszczęścia...

Mężczyźni wyciągali z dołów trupy, a ja przeszukiwałam kieszenie. Szukałam dowodów, które pozwoliłyby ustalić ich tożsamość. Oprócz Pisarczyka rozpoznałam Wincentego Reginię, który przed wojną należał do Strzelców. Kuzyni po złotych koronkach rozpoznał swego szwagra.

Wszystkich zamordowanych zabrano z domów przed 1 maja. W naszym rejonie aresztowano wtedy całą polską młodzież, między innymi mego kuzyna. Sowieci nazywali tę akcję "czystką". Spośród aresztowanych w czasie "czystki" ocaleli moi dwaj wujowie. Po napaści niemieckiej na Sowiety gnali ich z więzienia w Starej Wilejce na wschód. Kolumna składała się z kilku tysięcy osób. Pozostających w tyle bolszewicy rozstrzeliwali. Erkawdziści ~~jedali~~ jedli kornu, a ludzie szli pieszo. Wuj wyskoczył z kolumny za przydrożny krzak. Udawał, że załatwia fizjologiczne potrzeby. Erkawdziści nie zwrócili na niego uwagi i udało mu się zbiec do lasu. Drugi wuj usiłował zrobić to samo, ale Sowieci zauważyli go i zaczęli strzelać. Ranili go w piętę. Gdy zbliżył się do niego żołnierz, udał nieżywego.

Liczni znajomi jeździli oglądać pomordowanych w więzieniu w Starej Wilejce. Po tym, co widziałam w Kasucie, nie pojechałam z nimi. Ludzie, którzy tam byli, mówili, że wrócili z katowni. W więzieniu widzieli pełno trupów. Walaly się po korytarzach, w celach i więziennym dziedzińcu. Zakrwawione posadzki i ściany, poprzyklepiane do ścian włosy i kawałki mózgu robiły potworne wrażenie. 1/18

Z Kasuty zabraliśmy osiem czy dziewięć ciał. Chłopi zrobili trumny i powieźliśmy je do Miadzioła. Rodziny pochowały ofiary sowieckich zbrodniarzy na wiejskich cmentarzach.

Oto inna relacja, Stanisława Krupy:

"Między Łużkami a Dżisną, w parafii Jazno, bolszewicy w dniu odwrotu dopadli księdza franciszkanina, który ukrywał się przed nimi. Oprawcy przywiązali go za nogi lejcami do konia i po wyboistej, kamiennej drodze wlekli galopem przez trzynaście kilometrów. Po księdzu pozostały tylko przywiązane lejcami nogi".

Sowieckich morderstw z tamtych czasów nikt nie spisywał. Do tej pory nie powołano instytucji, która zajęłaby się ich badaniem. Nikt zbrodniarzy nie sądził. Ludzie, którzy pamiętają ich zbrodnie są już na wymarcu. Dla historii pozostaną tylko wyrzykowe opisy, które nie mogą stanowić pełnego obrazu ludobójstwa.

O morderstwach w Berezweczu, Starej Wilejce i w innych miastach województwa wileńskiego rozpisywała się niemiecka i proniemiecka prasa okupacyjna. Zamieszczono w niej nazwiska i zdjęcia pomordowanych. Nie pamiętam już treści publikowanych na ten temat artykułów i nie chcę się na nie powoływać. Ważne są dla mnie relacje godnych zaufania świadków.

Po odejściu wojsk sowieckich poczuliśmy ulgę. Nie groziła już nikomu Syberia. Cały kraj znalazł się pod okupacją jednego wroga, co ułatwiało mobilizację wszystkich sił do trwającej od 1 września walki. Okupant niemiecki niewiele jednak różnił się od okupanta sowieckiego. Był tak samo okrutny choć nie tak podstępny. Bolszewicy występowali w roli obrońców ludzi pracy, głosili hasła równości, wolności i sprawiedliwości, a w więzieniach i



łagnach trzymali niewinnych, z których większość stanowili robotnicy i chłopci.

Pierwsze niemieckie zarządzenia, w których ostrzegano ludność przed skutkami oporu wobec władzy i grożono rozstrzelaniem stu Żydów i sześćdziesięciu Polaków za każdego zabitego niemieckiego żołnierza nie wywarły na nas oczekiwanego wrażenia. Byliśmy już uodpornieni.

Od początku niemieckiej okupacji władzę administracyjną w Wilnie i na zachodniej Wileńszczyźnie sprawowali Litwini. Litewska służba bezpieczeństwa, Sauguma, została podporządkowana niemieckiemu gestapo. Nowe władze zarządziły rejestrację polskich oficerów i obywateli radzieckich — osób, które przybyły do nas z ZSRR po 17 września. W gazetach i komunikatach radiowych ostrzegano ludność przed udzielaniem pomocy ukrywającym się żołnierzom Armii Czerwonej, zbiegłym z transportów i obozów jeńcom wojennym i funkcjonariuszom sowieckiej władzy. Za udzielanie pomocy grożono karą śmierci. Żydom kazano nosić na piersiach i plecach duże, żółte gwiazdy i zabroniono chodzić po chodnikach. Znęcanie się nad Żydami żołnierze niemieccy uważali za rozrywkę. Sam widziałem, jak z rozkazu niemieckich żołnierzy Żydzi maszerowali i śpiewali pieśń o Stalinie. Bywało, że zabijano ich dla zabawy.

W końcu czerwca po raz pierwszy pojawiły się nad Wilnem samoloty sowieckie. Leciały w stronę wojskowego lotniska na Porubanku. Na skrzydłach i kadłubach widniały czerwone gwiazdy. Naliczyłem ich ponad trzydzieści. Byliśmy zdziwieni, że Niemcy nie reagują. Nawet nie ogłosili alarmu lotniczego. Baliśmy się, że za chwilę wileńskie lotnisko przestanie istnieć. Znałem je sprzed wojny, bywałem tam na fascynujących pokazach lotniczych. Nagle usłyszałem potworny grzmot artylerii przeciwlotniczej. Na niebie pojawiła się olbrzymia chmura dymu i z przerażeniem zobaczyłem spadające na ziemię maszyny. Ciągnęły za sobą długie warkocze ciemnego dymu i strzelające wiązki płomieni. Ocalałe z zaporowego ognia samoloty pospiesznie wróciły na wschód. Na ratujących się ucieczką pilotów rzuciły się zacząpane wysoko Messerschmidty. Niemcy strzelali do Rosjan jak do kaczek. Wobec szybkości i zwinności niemieckich maszyn bolszewicy byli bezradni. Żadna sowiecka maszyna nie powróciła z tej akcji do bazy.

1/0

Każdy dzień wojny przynosił Niemcom nowe zdobycze terytorialne. Komunikaty radiowe informowały o zwycięstwach niemieckiej armii, wymieniały zajęte miasta, ilość zniszczonego i zdobytego sprzętu wojskowego i wziętych do niewoli żołnierzy.

Wszystkim wydawało się, że na bolszewików przyszedł koniec. Wiarygodność niemieckich komunikatów potwierdzały przejeżdżające przez Wilno długie transporty sowieckich jeńców. Umieszczano ich w zniszczonych w drugim dniu wojny koszarach, gdzie urządzono olbrzymi obóz jeniecki.

W obozach jenieckich panował głód i szerzyły się epidemie. Niemcy mieli na nie tylko jeden sposób — rozstrzeliwali chorych jeńców. Głód doprowadzał uwięzionych do ludożerstwa. Takie przypadki Niemcy także karali śmiercią.

W obozach dla jeńców sowieckich nie było Żydów, bowiem rozstrzeliwano ich zaraz po wzięciu do niewoli. Niemiecka propaganda przedstawiała Związek Radziecki jako państwo niewolnicze, w którym władzę sprawują Żydzi. Radio nawoływało Rosjan do zaprzestania beznadziejnej walki. Sowieckich pilotów wzywano, by nie wsiadali do przestarzałych samolotów, które nazywano "latającymi trumnami". W odezwach do żołnierzy Armii Czerwonej twierdzono, że Niemcy niosą Rosji wolność. "Pragniemy Was Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy — wołały niemieckie rozgłośnie — wyzwolić spod komunistyczno-żydowskiego jarzma. Przechodźcie na naszą stronę! Żołnierze niemieccy otoczą was opieką, nakarmią i napoją..."

Po pierwszych miesiącach wojny klęska bolszewików nie ~~unikala~~ <sup>ulegata</sup> wątpliwości. Przed całkowitym pogromem mogła ich uratować tylko pomoc z zewnątrz. Musiało więc dojść do zawarcia przez Kreml układów ze sprzymierzeńcami Polski. Rosja potrzebowała żywności i nowoczesnej broni, głównie czołgów i samolotów. Wojna z Niemcami zmusiła ją do zasadniczych zmian w polityce zagranicznej. Byliśmy pewni, że zmiany te wpłyną na nowy, życzliwy stosunek do walczącej Polski.

~~K~~ OKUPACJA NIEMIECKA

Nie pamiętam dokładnie kiedy dowiedzieliśmy się o podpisaniu, ważnego



dla wszystkich Polaków, układu polskiego rządu z Moskwą. Z różnych źródeł docierały wiadomości o radykalnych zmianach sowieckiej polityki, którą wyraźnie z proniemieckiej zmieniono na prozachodnią.

Najważniejszą wiadomością była zarządzona przez samego Stalina amnestia dla wszystkich obywateli polskich w ZSRR. Ze zwolnionych jeńców wojennych, więźniów i zesłańców, Stalin zgodził się utworzyć polską armię podporządkowaną rządowi polskiemu. Pakt Ribbentrop-Mołotow, na podstawie którego Niemcy i bolszewicy podzielili się Polską, uznany został za niebyły. "Genialny wódz" starał się, byśmy puścili w niepamięć jego znowę z Hitlerem i cios w plecy zadany 17 września 1939 roku walczącej w osamotnieniu Polsce. Czynił przy tym wrażenie, że szczerze pragnie naprawić wyrządzone Polakom krzywdy.

Z wymuszonymi katastrofalną sytuacją na froncie zmianami w polityce Kremla ludzie wiązali duże nadzieje. Niektórzy oczekiwali nawet zmian ustrojowych w Rosji. Krążyły pogłoski o dekoloktywizacji wsi i przyznaniu większych swobód Cerkwi prawosławnej.

Armie niemieckie stanęły pod Moskwą. Z zachodu na wschód bez przerwy podążały pociągi z wojskiem i sprzętem wojennym. W odwrotnym kierunku płynęły pełne transporty jeńców. Nikt ich nie karmił, nie poił. Z głodu, chorób i zimna umierali w transportach i w obozach. Odważniejsi ratowali się przed śmiercią ucieczką.

Któregoś listopadowego wieczoru 1941 roku odprowadzałem do obozu babcię. Na rogu ulicy Krakowskiej i Przechodniej spostrzegliśmy trzech ubranych w sowieckie szryle mężczyzn. Gdy zbliżali się do nas usłyszałem słowo "mamasza" — mamusiu. Zaczęli błagać o ratunek. Powiedzieli, że uciekli z transportu kolejowego.

— Niemcy strzelali. Kilku naszych leży na kolejowej skarpcie. Nam się udało, ale nie wiemy co robić, nie znamy drogi, kolega ma odmrożone nogi.

Trzeba im było pomóc, więc zawróciliśmy do domu. Rodzice dali im jeść, przenocowali i postarali się o cywilne ubranie dla nich. Byli strasznie zmarznięci, bo transportowano ich w otwartych węglarkach. Dopiero po paru godzinach zaczęli wracać do siebie. Mówili, że chcą dostać się do Mińska, gdzie mieli rodziny.

Wszyscy trzej potwierdzali krążące wśród sowieckich żołnierzy pogłoski o zapowiadanych zmianach w polityce wewnętrznej. Dużą nadzieję pokładali w dekoloktywizacji wsi, z rozrzewnieniem wspominali okres NEP-u\*.

Gdyby nie kolchozy — mówili — w Rosji byłoby inne życie. Stalin doprowadził kraj do ruiny.

Z rana, po śniadaniu, odprowadziłem ich kilka kilometrów za miasto. Ojciec radził, by poruszali się tylko bocznymi drogami. Na pożegnanie zapewniali, że będą się za nas modlić. Ze łzami w oczach dziękowali za pomoc.

Zbliżała się zima. Zapowiadany przez Niemców szybki upadek sowieckiej stolicy odwlekał się. Przez Nową Wilejkę coraz częściej przejeżdżały pociągi sanitarne z rannymi żołnierzami niemieckimi.

Zarządzona przez Lenina po Rewolucji Październikowej tzw. Nowa Polityka Ekonomiczna. Dominowały w niej zasady gospodarki wolnorynkowej, m. in. chłopci dostali ziemię.

Oczekiwaliśmy powstrzymania niemieckiej ofensywy i generalnego kontrnatarcia sowieckich wojsk, wzmocnionych bronią sojuszników. Liczyliśmy, że do tego czasu zostanie przygotowana do działań na froncie tworzona w ZSRR armia polska, która zastąpi Rosjan, gdy zbliżą się do polskiej granicy. Byliśmy przekonani, że do wyzwolenia Polski armia sowiecka nie będzie potrzebna. Wyobrażaliśmy sobie, że sprzymierzeńcy zaatakują Niemców z zachodu, armia generała Andersa — od wschodu, a w kraju wybuchnie powstanie, które zostanie wsparte desantami wojsk polskich z Anglii i Bliskiego Wschodu. Wszędzie mówiło się wówczas: "Aby do wiosny".

\*

Nie chodziłem do szkoły w czasie okupacji niemieckiej, wszystkie polskie gimnazja były zamknięte. Ojciec urządził się jako ślusarz na kolei, dzięki czemu cała rodzina miała prawo do kartek żywnościowych, które co prawda nie zaspokajały naszych potrzeb nawet w połowie, ale stanowiły

znaczną pomoc. Wolnorynkowe ceny artykułów żywnościowych były astronomiczne i dlatego na wolnym rynku dominował handel wymienny. Ludność miejska wyzbywała się swego majątku, wymieniając go stopniowo na żywność. Na wsi wymieniano na jedzenie odzież, obuwie, dywany, meble, maszyny do szycia, mydło, sól, tytoń, złoto. Często wieloletni dorobek zbywano pośrednikom i spekulantom.

Wielokrotnie chodziłem z mamą na wieś po żywność. Im dalej od miasta, tym wymiana była korzystniejsza. Chłopi okazywali nam dużo serca. Za posiłki i noclegi nigdy nie brali zapłaty. Przyjmowali nas tak, jak przyjmuje się gości. Po zawarciu znajomości odwozili do domu końmi.

— Policzymy się — mówili na pożegnanie — gdy wrócą dobre czasy. Na razie wystarczy "Bóg zapłać".

Wiele osób i całych rodzin przeniosło się z miasta na wieś. Wyjeżdżali do krewnych i znajomych. Jedni jechali, by zarobić trochę żywności, inni — by spokojnie przesiedzieć do końca wojny lub uchronić się przed prześladowaniami okupanta.

W tamtych trudnych i niebezpiecznych czasach wileńska wieś zdała egzamin na piątkę z plusem. Wystarczyło jedno polskie słowo, a zaraz świadczyła pomoc. Obcej władzy wileńscy chłopi mieli powyżej uszu. Mocno odczuli na swej skórze bolszewików i dobrze poznali Niemców. I jednych i drugich wieszali na tej samej gałęzi. Pragnęli powrotu do Polski. Na każdym kroku podkreślali, że są "polskiej wiary" i nigdy się jej nie wyrzekną.

— Zdradzić Polskę, zdradzić wiarę, to sprzedać duszę diabłu — tak rozumowali ci prości, często niepiśmierni ludzie.

Niemcy zaprowadzili swoje porządki oparte na terrorze na wszystkich okupowanych terenach. Żeby się zabezpieczyć, brali zakładników — wybierali ich spośród znanych w kraju i w świecie naukowców, lekarzy, księży, adwokatów, pedagogów. W przypadku naruszenia "spokoju" rozstrzeliwali ich, informując o tym ludność w miejscowej prasie.

\*

Przy kolei wiodącej z Wilna do Grodna jest miejscowość Ponary. Przed wojną wилnianie wybierali się tam na niedzielne i świąteczne spacerunki. W miejscowości tej w czasie okupacji sowieckiej wykopano duże doły, które miały służyć do magazynowania paliwa. Niemcy wykorzystali je w innym celu — zagrzebali w nich sto tysięcy ludzi rozstrzelanych w ponarskim lesie. Większość ofiar stanowili Żydzi.

W ostatnim dniu sierpnia 1941 roku niemieckie oddziały SS przy współudziale litewskiej policji okrążyły kilka ulic starego miasta. Niemcy z krzykiem wpadali do żydowskich mieszkań i wyganiali ludzi na ulicę. Część osadzono w więzieniu na Łukiszkach, a część przeniesiono do getta.

Wileńskie getto składało się z dwóch odizolowanych od siebie części miasta — tak zwanego dużego i małego getta. Większość przekwaterowanych tam Żydów pracowała w mieście i poza miastem. Wychodzili z getta na podstawie wydawanych przepustek. Co pewien czas wywożono z getta do Ponar większe i mniejsze grupy ludzi i tam rozstrzeliwano. Wileńskie getto uległo likwidacji jesienią 1943 roku. Większość zamieszkałych w nim Żydów stracono w Ponarach. Część wywieziono do obozów śmierci na terenie Łotwy i Estonii. Mniej więcej w tym czasie przeprowadzano egzekucje na ludności żydowskiej we wszystkich miastach i miasteczkach Wileńszczyzny.

Pierwsze zbrodnie na niewinnej ludności żydowskiej przyjęliśmy z trwogą i oburzeniem. Nikomu nie mieściło się w głowie, by ktoś mógł strzelać do bezbronnych ludzi — do starców, kobiet i dzieci; by przed egzekucją ustawiał maluchów czwórkami, prosił, by dzieci wzięły się za rączki i prowadząc je w kierunku dołów zwracał uwagę, by szły równo. Nie mieściło się w głowie, by ten ktoś po dokonaniu potwornych zbrodni mógł spokojnie wrócić do domu czy koszar i czuć się tak jak wszyscy po normalnej, codziennej pracy. Często od litewskich szowinistów słyszeliśmy pogróżki, z których wynikało, że po "załatwieniu" Żydów zabiorą się do nas.

\*

Wiosną 1943 roku razem z moim kolegą Władkiem Bujko<sup>aj</sup> zacząłem pracować na kolei, przy wyładunku węgla. Czasami obok nas pracowali radzieccy jeńcy.



Vo

Wyglądali strasznie — brudni, oberwani, zarośnięci, wychudzeni, z bladymi jak papier twarzami. Z głodu jedli surową trawę. Prosimi nas o kawałek chleba. W miarę naszych możliwości staraliśmy się im pomóc. Przynosiliśmy żywność, braliśmy adresy i wysyłaliśmy listy do ich rodzin i znajomych, zamieszkałych na terenach okupowanych przez Niemców. Do pracy zgłaszali się na ochotnika, licząc na nawiązanie kontaktów z miejscową ludnością i upragniony kawałek chleba. Po wojnie ustalono, że w obozie jenieckim w Nowej Wilejce zmarło z głodu i chorób (wraz z rozstrzelanymi za różne naruszenia obozowej dyscypliny) pięćdziesiąt tysięcy osób.

Va.

Terror i zbrodnie okupanta niemieckiego potęgował opór ludności, który przyjmował różne formy. Ludzie masowo uchylali się od pracy i pracowali na zwolnionych obrotach. Powszechnym zjawiskiem było niszczenie niemieckiego mienia. Masowo występowały kradzieże w podporządkowanych okupantowi zakładach i instytucjach. Kraść u Niemców znaczyło osłabiać wroga i ratować się przed nędzą. Codziennie z Władkiem kradliśmy węgiel. Napełnialiśmy nim duże torby i nosiliśmy do domu. Zaopatrywaliśmy także w kradziony węgiel jedną z naszych sąsiadek, panią kapitanową Witkowską. Jej mąż nie wrócił z wojny, na utrzymaniu miała dwie córki. Węgiel wysypywaliśmy pod drzwiami jej mieszkania. Choć nie wiedziała, od kogo pochodzi, kilkakrotnie opowiadała o tym mamie, wzruszona i uradowana.

Pracę traktowaliśmy jako zło konieczne. Staraliśmy się, by nie przynosiła Niemcom pożytku. Czyniliśmy przy tym różnego rodzaju drobne szkody. Podczas przerw śniadaniowych wykręcaliśmy z obrabiarek najrozmaitsze części. Potem wrzucaliśmy je do palenisk parowozów. W paleniskach lokowaliśmy narzędzia pracy i znalezione pojemniki z naftą i benzyną. Pracujący u nas warszawiaczy twierdzili tymczasem, że na Wileńszczyźnie nie ma co narzekać na Niemców.

— Pojechalibyście do Warszawy — mówili, — tylko tam gestapowców i esesmanów. Kto trafi w ich ręce, może się pożegnać z życiem. Na murach codziennie rozlepiają obwieszczenia z wykazami rozstrzelanych. Polskie podziemie odpowiada na łapanie i egzekucje zamachami na niemieckich dygnitarzy. Od kul chłopców z podziemia giną gestapowcy i szpicle. Każdego dnia leje się krew. Warszawa walczy... Tutaj jest spokojnie i cicho.

## ← VII. PIERWSI PARTYZANCI

Pierwsze pogłoski o partyzantach dotarły do Wilna wiosną 1942 roku. Nie wszyscy dawali im wiarę. Powiadano, że w terenie operują grupy uzbrojonych ludzi z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Słyszałem, że mają maszynowe pistolety i chodzą w mundurach.

W maju 1942 roku całą Wileńszczyznę obiegła wieść o udanym zamachu na wysokiego niemieckiego dygnitarza. Zastrzelono go na szosie między Starymi Święciami a Lyntupami. O zamachu pisała prasa. Wydawany w Wilnie "Goniec Codzienny" w numerze z 24 maja informował, że zbrodniczego napadu na przedstawiciela władzy niemieckiej dokonali polscy bandyci. Samochód dygnitarza obrzucono granatami i ostrzelano z pistoletów maszynowych. Uratowała się tylko tłumaczka — Polka. Hitlerowskie gazety podawały, że w odwecie, w okolicy Święcian rozstrzelano czterystu Polaków. Według informacji pochodzących z polskiego podziemia rozstrzelano jednak ponad tysiąc Polaków — tysiąc dwustu w okolicy Święcian i stu pięćdziesięciu więźniów z więzienia lukiskiego. Akcję odwetową powierzyli Niemcy Litwinom, którzy strzelali do każdego spotkanego na drodze lub w polu chłopca. Umundurowani mordercy zabijali ludzi w mieszkaniach. Nie szczędzili kobiet, starców i dzieci.

Tymczasem prawdziwymi sprawcami zamachu byli partyzanci sowieccy. Litwini celowo zrzucili winę na Polaków. Chodziło im o uzasadnienie zbrodniczej akcji na polskiej ludności, a przede wszystkim o zasianie wśród Polaków atmosfery strachu.

Pierwsi partyzanci sowieccy rekrutowali się z byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy nie zdążyli wycofać się na wschód ze swoimi jednostkami oraz z jeńców zbiegłych z transportów i obozów. Przez jakiś czas ukrywali się po wsiach i zaściankach. Mieszkali i pracowali u chłopów. Wielu było zadowolonych, że udało im się uciec z niewoli komunizmu i otwarcie cieszyli się z sowieckich klęsk. Gdy Niemcy przystąpili do rejestrowania byłych żołnierzy, porzucili chłopskie gospodarstwa i życie osiadłe zamienili na wędrowne. Kawałek chleba zdobywali wyciągając ręce do dobrych ludzi albo grożąc



pistoletem. Grupy "wędrowców" przekształcały się w grupy rabunkowe.

Niemcy bezwzględnie ściągali od chłopów kontyngenty, a bandy grabieżców dodatkowo ogoliły ich z dobytku. Najbardziej ucierpiały wsie położone dalej od głównych szlaków i większych miast. Po pierwszych sukcesach armii sowieckiej, na Wileńszczyźnie pojawili się spadochroniarze, którym polecono zorganizowanie luzem chodzących band w oddziały partyzanckie. Dołączali do nich poszukiwani przez władze komunistki i Żydzi. Zrzutkowie z samolotów rekrutowali się z oficerów politycznych i funkcjonariuszy resortu bezpieczeństwa przeszkolonych do walk na tyłach frontu. W tym samym czasie przemieszczały się na wschodnie ziemie Polski oddziały sowieckich partyzantów pochodzące z obszarów, które przed wojną należały do ZSRR. Część tych oddziałów wracała po zaopatrzeniu się w żywność, część pozostała u nas na stałe. 20a

Miejscowa ludność nie gemała się do partyzantki, ponieważ duchowo związana była z Polską. Okupacja sowiecka dała się we znaki wszystkim. Zakłamanie sowieckiego najeźdźcy, nieznanego poza obszarem sowieckiego panowania, Polacy gruntownie poznali w latach 1939 - 1941. Do tego dochodził terror i burzenie wszystkiego, czego mieszkańcy ziemi wileńskiej dokonali w ciągu wieków. Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej stanowił dla mieszkańców tej ziemi moment oddechu i nadziei. Do domu wróciło sporo uwieczonych, których okupant sowiecki nie zdążył wywieźć na dalszą północ i za Ural. Vi

Po raz pierwszy spotkałem partyzantów sowieckich latem 1942 roku w rejonie Niestaniszek, wsi odległej od Wilna o kilkadziesiąt kilometrów. Szliśmy z mamą do sąsiedniej wsi -- Sięcieniąt. W połowie drogi spotkaliśmy czterech mężczyzn, wszyscy mieli przy sobie pistolety maszynowe, granaty i nagany. Na czapkach mieli pięcioramiennie gwiazdy. Pytali o Niemców. Gdy zorientowali się, że jesteśmy Polakami, jeden z nich powiedział, że w Rosji jest polskie wojsko. Prosił też mamę o tytoń, a mnie pytał, kiedy do nich przyjdę. Mama odpowiedziała, że muszę jeszcze podrosnąć.

W kilka miesięcy później dowiedzieliśmy się, że sowieccy partyzanci palą majątki i folwarki. Późnym wieczorem lub w nocy otaczali zabudowania, z mieszkań zabierali właścicieli i zarządców. Potem padały strzały i wybuchały płomienie. Ofiary zbrodni pozostawiali na podwórku. Często tego rodzaju akcje połączone były z grabieżą.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że sowieccy partyzanci zastrzelili męża siostry mojej koleżanki, Haliny Huszczówny. Wpadli do majątku -- w pobliżu Królewszczyzny -- jak dzikusy. Mężowi kazali wyjść z mieszkania bez pożegnania z żoną i zastrzelili go przed domem. Przed odejściem podpalili zabudowania.

Państwo Huszczowie rozpaczali. Mieli dobrego zięcia. Zamordowano go w cztery miesiące ~~po ślubie~~, bez żadnego powodu. Dla Sowietów jednak ten młody człowiek -- oficer rezerwy, a ponadto członek warstwy obszarników -- był wrogiem. Przywódcy radzieckiego podziemia tłumaczyli chłopom, że obszarnicy pomagają Niemcom dostarczając im zboże i mięso.

Po zniszczeniu majątków partyzanci dobrali się do gospodarstw chłopskich. Chłopi bali się czerwonych gorzej niż Niemców, którzy rzadko zapuszczali się w teren i nigdy nie urządzali swych operacji w nocy. Łatwiej mogli ukryć przed nimi swój dobytek i ostrzec osoby zagrożone. Sowietci docierali do najgłuchszych zakątków. Noce rzadko bywały w tym czasie spokojne.

Tak było w rejonach położonych w pobliżu baz partyzanckich. Niekiedy Sowietci organizowali dalsze wypady. Czasem zapuszczali się aż pod przedwojenną granicę z Litwą. Bardzo rzadko prowadzili walki z oddziałami niemieckimi. Działania bojowe ograniczali do minowania torów kolejowych, palenia majątków, młynów, likwidowania wrogów sowieckiej władzy.

## ← VIII ZERODNIA KATYŃSKA

W kwietniu 1943 roku Wileńszczyznę obiegła wiadomość o potwornej zbrodni. Temat ten przez długi czas nie schodził ze szpalt miejscowych gazet, w których zamieszczono zdjęcia otwartych mogił, długie rzędy ekshumowanych zwłok oraz wykazy nazwisk pomordowanych z wyszczególnieniem stopni wojskowych, numerów pułków, rodzaju broni... Przy niektórych nazwiskach podawano stopnie naukowe. O zbrodni w lesie katyńskim informowała również miejscowa rozgłośnia radiowa. W mieście rozlepiono mnóstwo plakatów z odtworzonymi, na podstawie badań specjalnej komisji, szczegółami egzekucji.



Według niemieckich informacji mordenci zabijali oficerów pojedynczo: Każdą ofiarę prowadzono do mogiły i do każdej strzelano z bliska w tył głowy. W takich warunkach żaden oficer nie mógł uniknąć śmierci.

Otwieranie zbiorowych mogił odbywało się przy współudziale międzynarodowej komisji, która składała się ze znanych w świecie naukowców w dziedzinie medycyny i innych nauk. Komisja orzekła, że zbrodni dokonano w pierwszej połowie 1940 roku.

Katyń odświeżył nie zagojone rany z lat 1939 - 1941.

Wilnianie odnieśli się do niemieckich informacji z rezerwą. Zastanawiali się, czy zbrodni nie dokonali Niemcy. Mogli to przecież zrobić w celu odwrócenia uwagi świata od własnych zbrodni, a także w celu zwrócenia nienawiści niepokornych Polaków w innym kierunku. Powstawały wątpliwości, tym bardziej że Moskwa obarczała zbrodnią Niemców. Jednak ludzie, którzy przeszli rewolucję, nie mieli żadnych wątpliwości.

— W pojęciu każdego bolszewika — mówili — oficer polski niczym nie różni się od oficera carskiego. Głównym celem sowieckiej Rosji jest ~~panowanie~~ <sup>Vop</sup> panowanie całego świata. Na drodze do Europy bolszewicy mają Polskę, która już raz im tę drogę zamknęła. Większość carskich oficerów zlikwidowali w czasie rewolucji. Dlaczego mieliby oszczędzać polskich? Bolszewicy takich okazji nie marnują...

### ~~K.~~ PARTYZANTKA POLSKA

Latem 1943 roku pan Bartkus, naczelnik warsztatów kolejowych, powiedział mi, że przenosi mnie do pracy w położonym na granicy Litwy z Prusami Wschodnimi Wierzbałowie. Zapytany o powód odpowiedział, że sprawiamy mu razem z Władkiem zbyt dużo kłopotów.

— Robię to — dodał — dla waszego i mojego dobra. Gdybyście nie wyrazili zgody na wyjazd, w najbliższym czasie zajmą się wami Niemcy. Mają już was na oku...

Naczelnik warsztatów, Litwin, zawsze chodził w kolejarskim mundurze. Srebrne paski na markietach wskazywały, że należał do urzędników i szarż wyższych. Wiedzieliśmy, że rzetelnie pracował dla okupantów. Czy rzeczywiście myślał o swoim i naszym "dobru"?

Następnego dnia — po rozmowie z rodzicami — mieliśmy dać odpowiedź. Rodzice uznali, że czasy są niebezpieczne i powinniśmy wyjechać. W mieście często organizowano łapanki na młodzież i wywożono ją do Niemiec. Łatwo można było tu trafić do więzienia, a tam skończyć się mogło różnie.

W Wierzbałowie pracowaliśmy fizycznie. Zakwaterowano nas w baraku, w którym mieszkało około dwudziestu Polaków z Wileńszczyzny.

W listopadzie rodzice zawiadomili mnie o aresztowaniu brata. Zabrano go z pracy. Ponad dwa tygodnie przesiedział w celi wileńskiego gestapo i tyle samo — w więzieniu na Łukiszkach, skąd z grupą więźniów trafił do Niemiec. Przed aresztowaniem pracował w Wilnie w tartaku, w którym wyrabiano kolby do karabinów. 11 listopada w rocznicę odzyskania niepodległości młodzi chłopcy pocięli pasy transmisyjne do maszyn unieruchamiając tartak.

Dyrektor zawiadomił policję i ~~chłopców~~ zabrano na gestapo, gdzie byli bici i torturowani. Funkcjonariusze Saugumy i ich niemieccy zwierzchnicy żądali wydania organizatorów i sprawców sabotażu, ale chłopcy trzymali się dzielnie. Twierdzili, że pasy były poprzecinane przed rozpoczęciem pracy.

W Wierzbałowie uczciliśmy odzyskanie niepodległości demolując późnym wieczorem wagony tak zwanych Urlaubszugów. Władek usunął także ze ściany wagonowni duży portret Hitlera, połamał go i wrzucił do ubikacji.

Z rana zorientowaliśmy się, że nasz barak jest zamknięty. Przed drzwiami stał uzbrojony niemiecki kolejarz i niebawem wszystkich nas zaczęto wzywać do kancelarii na przesłuchanie. Grożono obozem koncentracyjnym. Główny inspektor kolei domagał się, byśmy wydali kolegę, który usunął i zharbił portret Hitlera.

Udawaliśmy, że nic na ten temat nie wiemy. Sprawa zakończyła się tym, że z głównym inspektorem do baraku przybyła grupa Niemców z gestapowcem, który wybrał spośród nas jedną osobę — kolegę ze Święcian. Zaginął po nim wszelki ślad.

Na początku lutego porzuciłem pracę w Wierzbałowie i wróciłem do rodziców. Władek uciekł z Wierzbałowa o tydzień wcześniej.

Na Wileńszczyźnie operowały już wówczas dość silne oddziały partyzanckie



Armii Krajowej. Po powrocie do domu spotkałem się z partyzantem 5 Brygady AK, panem Feliksem Marynowskim (pseudonim "Blok"), który był właśnie w Nowej Wilejce. Znałem go dobrze, był naszym sąsiadem. W pierwszej dekadzie lutego wyruszyliśmy razem do jego oddziału.

Z Nowej Wilejki wyszliśmy wczesnym rankiem. Feliks Marynowski był uzbrojony w dwa pistolety i granaty. Do spodziewanego miejsca postoju mieliśmy około pięćdziesięciu kilometrów. Szliśmy polnymi i leśnymi drogami w kierunku północno-wschodnim. Wieczorem dotarliśmy do Purżan. Tam spotkaliśmy partyzancki patrol. Uzbrojeni chłopcy z orzełkami na czapkach jechali saniami. Serdecznie przywitaliśmy się. Poznałem wśród nich Kostka Szuszkiewicza, który nosił pseudonim "Niemen". Dowiedzieliśmy się, że brygada kwateruje w Czeranach. Na noc zostaliśmy w Purżanach u znajomych "Bloka", którzy serdecznie nas ugościli.

Worzian

Worzianach

Z rana wyruszyliśmy do Czeran, wsi nad brzegiem Wilii. Nie dochodząc do niej trafiliśmy na placówkę ochronną partyzantów, a potem jeszcze na posterunek ochronny. Wieś była pełna partyzantów w wojskowych mundurach — jedni byli w polskich, inni w niemieckich, litewskich, białoruskich, ale każdy z orzełkiem na czapce. Szwadronami, plutonami i drużynami zajmowali całe chałupy. "Blok" zaprowadził mnie do chałupy, w której kwaterował dowódca plutonu, podchorąży Zygmunt Gimtmajer, pseudonim "Zyga". W plutonie tym był już od tygodnia Władek Bujko, "Lotnik". pseudonim

Partyzanci zgotowali mi serdeczne przyjęcie. "Zyga" prosił, żebym został u niego. Wszyscy rozpytywali o nowiny z miasta. Partyzantom z Nowej Wilejki opowiadałem o ich znajomych i bliskich. Wkrótce wezwano mnie do sztabu, w środku wsi. W dość dużej izbie za stołem siedzieli oficerowie. "Zyga" przedstawił mnie jako ochotnika. Odbyliśmy miłą rozmowę. Oficerowie interesowali się moją rodziną, pytali, czym zajmowałem się w domu, jakie mam wykształcenie...

— Życie partyzanckie — powiedział jeden z nich — to walka, a w walce wszystko może się zdarzyć. Czy jesteś tego świadom?

Odpowiedziałem, że jestem. Musiałem wybrać sobie pseudonim. Ponieważ koledzy często nazywali mnie Sobolem, więc zdecydowałem się na ten pseudonim. Na kwaterze dostałem sowiecki karabin i amunicję i od tej chwili czułem się już partyzantem.

Do późnego wieczora słuchałem wspomnień kolegów ze stoczonych bitew pod Worzianami i Radziuszkami. 31 stycznia pod wsią Worziany brygada "Łupaszki" rozbiła niemiecki pluton SS. Część szwadronów brygady ze sztabem kwaterowała w Worzianach, a część w sąsiednich wioskach. Niemcy zaatakowali szwadrony znajdujące się w Worzianach. Zjawili się zupełnie niespodziewanie. O miejscu postoju brygady musiał ich ktoś poinformować. Zaskoczenie sprawiło, że w pierwszej fazie walki padli zabici. Z rozkazu porucznika Zygmunta Szyndzielarza "Łupaszki", partyzanci przystąpili do kontrataku. Z pomocą przyszły zaalarmowane gęstymi strzałami szwadrony z sąsiednich wiosek. Bitwa trwała kilka godzin. Zakończyła się całkowitym pogromem Niemców.

2 lutego, w święto Matki Boskiej Gromnicznej, wykrwawioną i wyczerpaną po worziańskiej bitwie brygadę zaatakowali pod wsią Radziusze partyzanci sowieccy. Odpierając beznadziejne ataki wielokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, akowcy wycofali się za rzekę Streczanekę, zadając jednak Rosjanom tak ciężkie straty, że z dalszych ataków musieli zrezygnować. Z relacji miejscowych chłopów wiemy, że z pola walki czerwoni wieźli zabitych i rannych na kilkudziesięciu zarekwirowanych furmankach.

Obie zwycięskie bitwy przeszły do historii brygady jako najcięższe. Upamiętniono je w śpiewanej na melodię "Pierwszej Brygady" piosence, którą byli żołnierze 4 i 5 Brygady śpiewają do dzisiaj na okazyjnych spotkaniach. Oto jej słowa:

Nie formowano nas w koszarach,  
Nie zdobył nas żołnierski strój,  
Nie spaliśmy na ciepłych narach,  
Ale od razu poszli w bój.

My — to kresowiaci, chłopcy — Wileniacy,  
Idziemy śmiało w bój  
Za Polski cześć, za honor swój.  
Walczymy cały czas,  
Choć mało nas, choć mało nas.

Dajemy krew, cierpimy rany,  
Lecz zawsze jest rozbity wróg,  
Radziusze, Bibki i Worziany,  
I więcej zwycięstw dał nam Bóg.

23

My — to kresowiacy...

I w każdym trudzie, w każdej biedzie,  
Gdzie trzeba było walczyć nam,  
Nasz wódz — "Łupaszko" był na przedzie,  
A przed nim wiał czerwony cham.

My — to kresowiacy...

Sowiety zgnieść i zgnębić Niemca —  
To święty obowiązek nasz,  
Spełnimy go z całego serca,  
Pełnimy tu — na kresach straż.

My — kresowiacy...

Pierwsze chwile, godziny i dni, które spędziłem w partyzanckim oddziale, wywarły na mnie ogromne wrażenie. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie życie partyzantów, że gnieźdzą się po lasach, mieszkają w leśnych burkrach, są zawsze z dala od ludzi, a do akcji bojowych wyruszają ukradkiem, pod osłoną nocy. Tymczasem znalazłem się w grupie uzbrojonych po zęby ludzi, strzeżonych przez posterunki ochronne, którzy otwarcie kwaterowali w dużej wsi. Jedni odpoczywali w domach, inni przechadzali się po wiosce, rozmawiali z mieszkańcami, żartowali z dziewczętami. Co kilkanaście metrów stały posterunki alarmowe. Wszystko to robiło wrażenie prawdziwego wojska. Żalowałem, że przyszedłem tu tak późno.

Przed wstąpieniem do partyzantki nie słyszałem, by między sowieckimi i polskimi oddziałami dochodziło do starć zbrojnych. Wiadomość o bitwie pod Radziuszami była dla mnie nowością. Już w pierwszym dniu dowiedziałem się, że starcia z radzieckimi partyzantami zaczęły się późnym latem 1943 roku, a sprawcami byli Sowietci, którzy podstępnie zlikwidowali oddział partyzancki Armii Krajowej na Wileńszczyźnie.

Dowódcą oddziału był podporucznik Antoni Burzyński. Od pseudonimu dowódcy oddział znany był w okolicy jako oddział "Kmicica". Został powołany do działań bojowych na rozkaz komendanta Okręgu Wileńskiego AK, podpułkownika Aleksandra Krzyżanowskiego, "Wilka", w pierwszej połowie marca 1943 roku. Działał na terenie inspektoratu majora Stefana Świeckowskiego, "Sulima". Oddział utworzono na bazie kadrowej dobrze zorganizowanej świrskiej sieci konspiracyjnej\*. W sierpniu 1943 roku w jego szeregach było już około trzystu dobrze wyszkolonych, uzbrojonych i zaprawionych w walce partyzantów. Przed pięciu miesiącami był chlubą mieszkańców okolicznych wsi i miasteczek. Dzięki wielu udanym, dobrze przygotowanym akcjom bojowym, poznali go również okupanci. Największy rozgłos przyniosły oddziałowi akcje zakończone rozbiciem niemieckich garnizonów w Duniłowiczach i Żodziszkach. Partyzanci polscy od czerwca posiadali własną stałą bazę. Założyli ją w lesie nad jeziorem Narocz, po sąsiedzku z bazą partyzantów sowieckich. Uwzględniając zalecenia komendanta okręgu, "Kmicic" zawarł z sąsiadami porozumienie o ograniczonym współdziałaniu w walce przeciwko wspólnemu wrogowi.

Zgodnie z porozumieniem dowódcy obu oddziałów organizowali narady, na których wymieniano informacje o siłach i ruchach rozmieszczonych w terenie jednostek policyjnych i wojskowych okupanta, informowano o wynikach przeprowadzonych przez obie strony akcji, ustalano hasła rozpoznawcze. Dla zapewnienia bezpieczeństwa obu baz wprowadzono wspólny system ubezpieczenia. Zamierzano także dokonać wspólnego uderzenia na obsadzone policją i wojskiem pobliskie miasteczko Miadzioł. Radziecki dowódca Markow\*\* wyrażał pogląd, że wspólna akcja ma większe szanse powodzenia. Twierdził, że akowcy mają u Niemców zatrudnionych swoich ludzi i dzięki temu lepiej orientują się w policyjno - wojskowej obsadzie miasteczka.

\* Nazwa pochodzi od położonego 70 km. na północ - wschód od Wilna miasteczka Swir.

\*\* Fiodor Markow — komendant brygady partyzanckiej. Do 17 września 1939 roku obywatel polski, z zawodu nauczyciel. Przed wojną mieszkał w Starych



Święcinach i znany był jako działacz komunistyczny.

26 sierpnia 1943 roku, na zaproszenie Markowa, "Kmicic" ze swymi oficerami udał się do bazy sowieckiej. W czasie nieobecności dowódców, podczas popołudniowego czyszczenia broni, na teren głównej bazy polskiej (w niedużej odległości od niej była baza gospodarcza) wjechała bryczka z czterema sowieckimi oficerami i cywilem, który mówił po polsku i podawał się za Polaka. Partyzanci radzieccy oznajmili, że natychmiast muszą się zobaczyć z oficerem inspekcyjnym w pilnej sprawie. Robili wrażenie, że mocno się spieszą. Oczekując oficera zdradzali wyraźnie niepokój. Ponieważ oficer się nie zjawiał, zarządzili zbiórkę wszystkich polskich żołnierzy.

Na bazie powstało zamieszanie. Rozkazujący ton obcych oficerów wywarł zdziwienie. "Co oni mają do gadania? Dlaczego są bez "Kmicica"?" — zastanawiano się głośno. Najbardziej podejrzane było, że na zbiórkę kazano stawić się bez broni. Ktoś krzyknął: "Idziemy z bronią!". Wkrótce wszystko się wyjaśniło — z ukrycia wyłoniło się mnogie sowieckich partyzantów, którzy błyskawicznie wtargnęli na teren polskiej bazy. Wszystko nastąpiło tak nagle, nikt nie mógł zorientować się, o co "sąsiadom" chodzi. Padły pojedyncze strzały. Jeden z akowców, Franciszek Szurpicki, "Brzózka", nie wytrzymał nerwowo i rozerwał się własnym granatem. Żołnierzy "Kmicica" zmuszono do poddania się. Baza znalazła się w rękach sowieckich. Następnego dnia, od wczesnego rana, urzędowali w niej oficerowie sowieckiej bezpieki. Zaczęło się przesłuchiwanie żołnierzy. W czasie przesłuchania wyselekcjonowano ponad osiemdziesiąt osób. Grupę tę, pod silną eskortą, odprowadzono w nieznanym kierunku. Od tamtej pory wszelki ślad po nich zaginął.

Z pozostałych żołnierzy "Kmicica" Markow utworzył podporządkowany mu oddział imienia Bartosza Głowackiego. Dowódcą polskiego oddziału został wyrzucony przed wojną z wojska zawodowy podoficer 19 PAL-u\*, Wincenty Mroczkowski. Markow przedstawił go polskim żołnierzom jako kapitana "Zaporę". Dzisiaj wiemy, że Mroczkowski współpracował od dłuższego czasu z partyzantką sowiecką. Był nawet dowódcą niedużego polskiego oddziału imienia Tadeusza Kościuszki, który podlegał sowieckiemu dowództwu. Oddział ten operował kilkadziesiąt kilometrów na północ od jeziora Narocz. Po utworzeniu oddziału Bartosza Głowackiego oddział Tadeusza Kościuszki został rozwiązany\*\*.

\*Pułk Artylerii Lekkiej

\*\*Informację tę posiadam od byłego partyzanta z oddziału im. Tadeusza Kościuszki, Wacława Beynara, pseudonim "Orszak", który od września 1943 do wiosny 1947 był żołnierzem AK w 5 Brygadzie "Łupaszki".

Do żołnierzy oddziału Bartosza Głowackiego przemówił na pierwszej zbiórce Fiodor Markow. Mówił po polsku. Tłumaczył, że do akcji zbrojnej na polską bazę zmusiło go wrogie nastawienie polskiego dowództwa do ZSRR. Podporządkowany Markowowi oddział "Zapory" istniał około trzech tygodni.

We wrześniu 1943 roku oddani pod komendę "Zapory" żołnierze "Kmicica" wzięli udział we wspólnej z sowieckimi partyzantami akcji bojowej na Miedziol. Do dzisiaj wspominają tę akcję z odrazą. Razilo ich nieliczenie się sowieckich dowódców z ludzkim życiem i zachowanie się Rosjan w zdobytym miasteczku. Na zasiękach drutów kolczastych zginęło około pięćdziesięciu partyzantów. Czerwoni spalili połowę budynków, w tym szkołę i kościół. Nie obszło się bez grabieży. Polacy stracili jednego żołnierza — z ochlesionych ran zmarł Edward Dreszcz, "Hrabia".

Wkrótce po utworzeniu oddziału Bartosza Głowackiego do żołnierzy dotarła wiadomość o pojawieniu się w ich rejonie oddziału Armii Krajowej, którym dowodził oficer zawodowy 4 pułku ułanów zaniemeńskich, Zygmunt Szendzielarz — "Łupaszko". Jego oddział powstał z byłych żołnierzy oddziału "Kmicica", którym udało się uniknąć rozbrojenia, ponieważ w czasie likwidacji polskiej bazy wykonywali zadania w terenie. Od tej pory "Zapora" systematycznie tracił żołnierzy, którzy przy różnych okazjach uciekali do "Łupaszki".

Pewnego dnia grupa partyzantów z byłym podoficerem wojsk pancernych "Kitkiem" zmusiła do ucieczki samego "Zaporę", który bojąc się zasłużonej kary zapewniał ich, że jest Polakiem i pragnie kontynuować walkę pod dowództwem "Łupaszki".

"Łupaszko" otrzymał z Okręgu rozkaz dotarcia do bazy "Kmicica". Jako doświadczony oficer zawodowy miał pomagać "Kmicicowi" w dowodzeniu największym w tym czasie oddziałem partyzanckim Armii Krajowej na Wileńszczyźnie.



Niektórzy twierdzą, że w przyszłości był przewidziany na jego dowódcę.

W utworzonej z kadry "Kmicicowców" 5 Wileńskiej Brygady, "Zapora" został dowódcą plutonu. Z wiadomych powodów "Łupaszko" nie darzył go zaufaniem i poddawał ciągłej obserwacji. Obserwowano również podejrzaną o powiązanie z sowiecką partyzantką lekarkę, która była Rosjanką. Zgłosiła się do "Łupaszki", twierdząc że uciekła z niemieckiego obozu. Na podstawie obserwacji ustalono, że "Zapora" utrzymuje z lekarką częste i bliskie kontakty.

Na przełomie grudnia i stycznia koło wsi Syrowatki "Zapora" z lekarką próbowali uciec do znajdującego się w pobliżu oddziału sowieckiego. "Zapora" zginął od strzału porucznika "Bohuna". Lekarka zdołała uciec. Powodzenie w ucieczce zawdzięczała "Bohunowi", któremu sumienie nie pozwoliło na oddanie strzału do kobiety. Poza tym uważał, że jako obywatelka radziecka miała prawo do ucieczki.

O "Kmicicu" i zaproszonych z nim do bazy sowieckiej oficerach oraz uprowadzonych pod eskortą żołnierzach, nie było żadnych wiadomości. Nikt nie miał jednak wątpliwości co do ich losu — zginęli podobnie jak piętnaście tysięcy polskich oficerów, których część odkryto w mogiłach katyńskich.

12  
D

1 grudnia, w taki sam podstępny sposób, partyzanci sowieccy zlikwidowali część oddziałów Armii Krajowej w Puszczy Nalibockiej, na terenie Nowogródzkiego Okręgu AK, które podobnie jak oddział "Kmicica", współpracowały z partyzantką radziecką. Stracono tam kilku oficerów, podoficerów i żołnierzy.

W partyzantce przekonałem się, że stosunek Moskwy do Polski zawsze był jednakowy. Niepodległa Polska nie mieściła się w planach panujących w Rosji od połowy XVIII wieku carów, a potem bolszewików. Kolejnego historycznego dowodu na tę tezę Rosja dostarczyła w kwietniu 1943 roku, kiedy pod pretekstem "znieważenia" Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z naszym rządem. "Znieważenie" jak pamiętamy, polegało na tym, że rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie ujawnionej przez hitlerowskie Niemcy zbrodni katyńskiej. Prośbę tę Kreml uznał za krok wobec ZSRR wrogi i oskarżył rząd polski o cichą współpracę z Niemcami. W parę miesięcy później Moskwa postanowiła zlikwidować operujące na kresach wschodnich Rzeczypospolitej oddziały Armii Krajowej.

Po ucieczce większości żołnierzy i samego "Zapory" Rosjanie musieli rozwiązać oddział imienia Bartosza Głowackiego. W miejsce oddziału "Kmicica" — z jego żołnierzy i napływających każdego dnia ochotników — powstała nowa, silna jednostka — 5 Brygada "Łupaszki", z której na przełomie lutego i marca 1944 roku wyłoniono 4 Brygadę "Narocz". Dowództwo powierzono majorowi Stefanowi Świechowskiemu, "Sulimie". Kiedy odniósł on rany w walce pod Malatami, dowództwo przejął porucznik Longin Wojciechowski, "Ronin". Obie brygady operowały w rejonach położonych na północ i północny wschód od Wilna i obie wchodziły w skład Inspektoratu "B" majora Mieczysława Potockiego, "Węgielnego".

5 Brygada przez całą jesień i zimę walczyła na dwóch frontach, z których jeden był skierowany przeciwko siłom zbrojnym okupanta niemieckiego, drugi zaś polegał na ciągłej obronie i odbieraniu ataków tropiących ją oddziałów partyzantki sowieckiej. Po bitwie pod Radziuszami ustały próby likwidacji polskich jednostek. Dowództwo sowieckie doszło w końcu do wniosku, że Armii Krajowej na Wileńszczyźnie nie da się zlikwidować siłami partyzantów.

4 Brygada również miała potyczki z partyzantami radzieckimi, ale nie stoczyła z nimi — podobnie jak ~~z~~ inne oddziały AK — żadnej poważniejszej walki.

Na początku 1944 roku Armia Krajowa panowała nad większością obszaru województwa wileńskiego i miała za sobą całą tutejszą ludność\*.

\*Nie biorę tu pod uwagę miejscowych komunistów, Żydów i napływowego elementu litewskiego.

Wileńskie podziemie należało w tym czasie do najsilniejszych w kraju — a na terenach wschodnich tak silnej partyzantki nie miało żadne województwo — i stanowiło nie spotykany w innych regionach kraju monolit. Na Wileńszczyźnie nie było AL-u, GL-u, Batalionów Chłopskich i żadnych innych zbrojnych organizacji polskich. Miejscową ludność reprezentowała tylko Armia Krajowa. Społeczeństwo uważało ją za swoje wojsko — za wojsko walczącej Polski. Cieszyliśmy się jego prawdziwie serdeczną miłością. Bez ofiarnej pomocy

ludności bylibyśmy tak samo biedni jak partyzanci sowieccy, których chłopci bali się jak diabeł krzyża i odnosili się do nich wrogo.

Prowadzono też cały czas ciężką walkę z Niemcami.

Sily Armii Krajowej na Wileńszczyźnie doceniali zarówno okupanci niemieccy, jak i partyzanci sowieccy. Po bitwie pod Radziuszami jedni i drudzy usiłowali doprowadzić do porozumień z naszym dowództwem. Na wniosek strony niemieckiej, w dniach 10 i 12 lutego 1944 roku odbyły się spotkania niemieckiego dowództwa z komendantem Okręgu Wileńskiego AK. Ich przebieg opisał uczestnik rozmów, doktor Jerzy Dobrzański. O wadze, jaką Niemcy przypisywali ewentualnemu porozumieniu świadczy fakt, że gotowi byli zastąpić administrację litewską na Wileńszczyźnie administracją polską. Na odmowę zawarcia jakiegokolwiek porozumienia zareagowali błyskawicznie. Już 14 lutego przystąpiono do formowania "Litewskiego Korpusu Posiłkowego", który przerzucono na Wileńszczyznę w celu likwidowania Armii Krajowej. Jerzy Dobrzański wspominał o wystosowanym przez komendanta okręgu liście do generała Plechaviciusa, w którym uprzedzano go, aby nie dał się użyć do nikczemnej roboty zaplanowanej przez Niemców i ostrzegano, że każda akcja LKP spotka się ze zdecydowaną i bezwzględną odpowiedzią polskich sił zbrojnych. Doradzono mu także, by pozostał na terenie Litwy Kowieńskiej ze swoim korpusem. Na Ziemi Wileńskiej LKP może się zjawić tylko w przypadku — pisano — gdy zmieni front i jako sprzymierzeniec Armii Krajowej zadeklaruje walkę przeciw hitlerowcom. List ten pozostał bez odpowiedzi.

\*

Na początku stosunki między partyzantami sowieckimi i AK układały się poprawnie. Dowódcy oddziałów utrzymywali ze sobą regularne kontakty, wymieniali informacje, składali wizyty... Obie strony były jednak wobec siebie ostrożne, ponieważ jedni i drudzy występowali w roli gospodarzy ziemi wileńskiej.

Wpływy partyzantów sowieckich na miejscową ludność były znikome. Około dwie trzecie powierzchni województwa kontrolowały oddziały AK. Oddziały sowieckie koncentrowały się głównie w Puszczy Rudnickiej oraz w rejonie Miadzioła i Naroczy. Nikomu z mieszkańców kresów wówczas nie przychodziło nawet do głowy, że są dopuszczalne jakiegokolwiek zmiany granicy wschodniej. Administrację sowiecką między 19 września 1939 roku a 24 czerwca 1941 roku wszyscy traktowaliśmy jako zjawisko przejściowe. Byliśmy pewni, że po zakończeniu wojny Polska będzie większa, nie wyobrażaliśmy sobie, by ktoś odważył się uszczuplić terytorium państwa, które jako pierwsze przeciwstawiło się zbrojnie Hitlerowi i w tej wojnie poniosło największe ofiary.

Działalność partyzantów sowieckich tolerowano ze względu na sojusznicze układy nawet po zlikwidowaniu oddziału "Kmicica" i po próbach zniszczenia 5 Brygady. Mimo że unikano starć zbrojnych, dochodziło do nich z różnych przyczyn. Po podstępny zlikwidowaniu oddziału "Kmicica" dowództwo akowskich oddziałów zmobilizowało się do maksymalnej czujności.

W pierwszej połowie marca oddziały AK, w których zasadniczą siłę stanowiła 5 Brygada "Łupaszki", urządziły wyprawę na opanowany przez sowieckich partyzantów Wiszniew. Wyruszyliśmy z Czeran. Kilkusetmetrowe kolumny, które wily się wśród lasów i pagórków, cieszyły oko. Szliśmy w równych odstępach, wszyscy z przewieszonymi przez ramiona karabinami: kompania za kompanią, pluton za plutonem, żołnierz za żołnierzem. Kolumny ubezpieczały patrole kawalerii, szperacze, ubezpieczenia boczne i tylne.

Po drodze pogrzebaliśmy zamordowanego przed kilkoma dniami partyzanta 5 Brygady "Pirata", który w Żukojniach natknął się na sowiecki patrol. Próbował zbiec, ale trafił go serią z pistoletu maszynowego. Ciężko rannego Sowiec bili kolbami i kopali. Gdy przestał oddychać, kazali chłopom zakopać go pod płotem. Pochowaliśmy go z wojskowymi honorami na wiejskim cmentarzu w Żukojniach.

Za Michaliskami pola były pokryte śniegiem. O tym, że zbliżamy się do rejonu partyzantów sowieckich świadczyły ruiny i zgliszczą po spalonych majątkach i folwarkach. Było ich coraz więcej, im dalej na wschód.

Chłopci z przychożnych wsi witali nas ze łzami radości. Wyciągali ze schowków ukrytą przed czerwonymi żywność. Skarżyli się, że mają jej niewiele, że komory świecą pustką, bo Rosjanie przychodzili do nich bez przerwy i jeśli nie dostawali żywności — zabierali obuwie, pościel, garnki, miski, miechnice, noże, łyżki, lustra, balie.



-- Ładują na furmanki zboże, mąkę, maszynę do szycia -- mówili chłopci. -- Potrafią zabrać ostatnią krowę i ostatniego prosiaka. Bywało, że brali nawet szafy, stoły i krzesła... Pod groźbą pistoletów wcielają do swoich oddziałów naszych synów. Większość młodzieży poszła do was. Część ukrywa się...

Zrozpaczeni i załamani nieustannymi "bambiożkami" błagali dowódców, by nie pozostawiali ich bez ochrony.

-- My takiej samej polskiej wiary -- żalili się. -- Wybaczcie szczerą, ale traktujecie nas jakbyśmy byli od macochy. Przychodźcie tylko na kilka godzin... Miejcie Boga w sercu! Poratujcie, bróńcie przed tą szarańczę!...

Po południu wkroczyliśmy do Wiszniewa. W miasteczku od kilku miesięcy rządzili partyzanci sowieccy, część budynków była w gruzach. Za jeziorem o tej samej nazwie, we wsi Borowe, Rosjanie mieli swoją bazę.

\*Wyprawy sowieckich oddziałów w celu zdobycia żywności i innych dóbr.

Dookoła miasteczka rozstawiliśmy wzmocnione posterunki, czujki i placówki. Zakwaterowani zostaliśmy w prywatnych kwaterach. Spaliśmy w mundurach, z bronią pod pachą. Nawet na chwilę nie mogliśmy opuszczać kwater. Pod miasteczko podkradały się oddziały sowieckie. Za każdym razem witano ich ogniem. "Łupaszko", który objął dowództwo nad siłami 4 i 5 Brygady, spodziewał się frontalnego ataku "sąsiadów" wczesnym rankiem.

Rzeczywiście uderzyli o świcie. Przywitał ich gęsty ogień kolegów z placówek obronnych. Wkrótce do akcji włączyły się jednostki z kwater. Pamiętam "Łupaszkę", który stał na wystającym z ruin koninie spalonego budynku i obserwował pole walki. Od czasu do czasu odrywał od oczu lornetkę i wydawał rozkazy. Mówił wolno, spokojnie i wyraźnie. Tuż obok znajdował się "Ronin" i dowódca niższego szczebla. Obserwując rozwiniętych w tyralierę żołnierzy, "Łupaszko" uśmiechał się. Chwalił, że dobrze idą... Odprawiając na linię ognia nowe pododdziały, mówił: "Szczęść Boże".

Po godzinie walki nieprzyjaciel wycofał się. Stracił kilku zabitych i rannych. Po naszej stronie nie było strat. Nazajutrz opuściliśmy miasteczko. Choć w Wiszniewie nadal rządzili Sowietci, dano im jednak do zrozumienia, że gospodarzem tej ziemi jest wyłoniona z jej mieszkańców Armia Krajowa, która w razie powtarzania wrogich akcji udzieli miazdzącej odpowiedzi.

W styczniu 1944 roku, a więc przed bitwą pod Radziuszkami, nasze dowództwo prowadziło rozmowy z dowództwem sowieckim. Spotkanie odbyło się we wsi Sanguciewo i Syrowatki. W Sanguciewie stronę polską reprezentował "Łupaszko", a sowiecką -- Wołosnoj i Manachow; w Syrowatkach uczestniczyli także pułkownik Aleksander Krzyżanowski i kapitan Teodor Cetys.

Polscy oficerowie poruszyli sprawę likwidacji oddziału "Kmicica". Żądali zwolnienia dowódcy oddziału, jego oficerów i żołnierzy oraz zwrotu zagarniętej broni. Sowietci twierdzili, że część żołnierzy uciekła do "Łupaszki", a reszta rozproszyła się. Świadek rozmów, dowódca szwadronu z 5 Brygady, Antoni Rymsza, "Maks", opowiadał, że przyciśnięty pytaniami Manachowa oświadczył, iż "Kmicica" musiano zlikwidować, bo był bardzo "oporny".

Bratowa zamordowanego dowódcy, Halina Burzyńska, spotkała w Swichze w 1945 roku znajomego Żyda -- byłego partyzanta z Brygady Markowa. Ów Żyd powiedział jej w zaufaniu, że w bazie sowieckiej przez wiele dni torturowano "Kmicica", Oprawcy zawieszali go na konarze drzewa ze związanymi do tyłu rękami. By przysporzyć cierpień, podpiekali mu ogniem stopy i zdzierali skórę. Po śmierci ciało zakopali pod drzewem, na którym skonał. Żyd nie miał powodów do kłamstwa. Informacji tej nikt nie potwierdził, ale zniając wiele zbrodni popełnionych przez partyzantów sowieckich, można tę relację uznać za wiarygodną.

W Syrowatkach sowieccy oficerowie zarzucali Armii Krajowej ostrzeliwanie patroli i oddziałów sowieckich. Dużo mówili o wspólnym wrogu i o konieczności współdziałania w walce o rozgromienie faszyzmu. Oba spotkania zakończyły się obietnicami, że strony nie będą sobie utrudniały realizacji zadań bojowych.

Partyzanci sowieccy nie dotrzykali jednak obietnic, wobec czego nadal dochodziło do wzajemnych potyczek. Po bitwie pod Radziuszkami i wyprawie na Wiszniew było ich znacznie mniej niż na przełomie lat 1943-1944.

W końcu marca w Wilnie, na Zarzeczcu, Niemcy aresztowali



"Łupaszkę". Więziono go w gmachu gestapo przy ul. Ofiarnej. Niemcy znali "Łupaszkę" i jego brygadę z kilku walk, w których ponieśli dotkliwe straty. Wiedzieli też o jego walkach z partyzantką sowiecką, dlatego podczas śledztwa traktowali go poprawnie, a nawet byli gotowi wybaczyć mu wszystko gdyby zgodził się na zaniechanie walk z nimi i wykorzystał swoją brygadę do likwidacji partyzantów sowieckich. W razie przyjęcia warunków obiecali wyposażyć brygadę w broń i amunicję. Dla wykluczenia podejrzeń o współpracę z wrogiem gotowi byli upozorować ucieczkę.

Komendant 5 Brygady nie poszedł na żadne układy.

Na wiadomość o aresztowaniu "Łupaszki", w sztabie "Ronina", który objął dowództwo również nad 5 Brygadą, postanowiono wziąć zakładników spośród wyższych oficerów niemieckich. W tym celu urządzono kilka zasadzek na szosach.

Na początku kwietnia na Trakcie Batonego 1 Kompania 4 Brygady pod dowództwem porucznika Jana Lisowskiego, "Korsarza", zatrzymała ponad dziesięć niemieckich samochodów. Cztery samochody, które zatrzymaliśmy w pobliżu Osinówki, wiozły wielkanocne zapotrzebowanie dla niemiecko-litewskiej załogi w Michaliskach. Miały dobrze uzbrojoną eskortę, złożoną z ponad dwudziestu policjantów i żołnierzy niemieckich. Kilometr szosy ubezpieczali nasi żołnierze. Część kompanii zajęła stanowiska w przydrożnym rowie. Sygnał o zbliżaniu się samochodów otrzymaliśmy od kolegi przebranego za wiejskiego chłopca. Do zatrzymania samochodów "Korsarz" wyznaczył mnie i kaprała "Flipa". Wyszliśmy na szosę, dając znać kierowcy pierwszego samochodu, że ma się zatrzymać. Za nim zatrzymały się następne. Na widok kolegów z przydrożnego rowu, przygotowanych do otwarcia ognia, cała eskorta po krótkim wahaniu złożyła broń.

Samochody odstawiono do położonej niedaleko szosy wsi. Całe świąteczne zapotrzebowanie załogi w Michaliskach wpadło w nasze ręce. Zdobyliśmy dużo cennej broni i amunicji. Wśród jeńców nie było jednak wyższych oficerów. Po przesłuchaniu wszyscy zostali zwolnieni. Samochody spaliliśmy.

Drugiego dnia operowaliśmy na szosie Wilno-Niemoczyn. Zatrzymaliśmy tam samochód z wyższymi oficerami niemieckimi, którzy szybko zorientowali się w sytuacji i kazali kierowcy nacisnąć gaz. Samochód uciekł nam sprzed nosa. Zamaskowani w lesie koledzy otworzyli ogień. Posłaliśmy za nimi z "Flipem" kilka serii z pistoletu maszynowego. Mimo to zdołali uknąć.

W celu zwolnienia lub odbicia "Łupaszki" w sztabie Okręgu postawiono na nogi całą służbę wywiadu. Do sztabu "Ronina" przybył dowódca 2 Zgrupowania AK, major Mieczysław Potocki, "Węgielny", z którym uzgadniano akcje bojowe obu brygad.

Pod koniec kwietnia po raz drugi maszerowaliśmy na Wiszniew. Tym razem nie dotarliśmy do celu, bo na opuszczonym terenie pojawił się silny zmotoryzowany oddział niemieckiej piechoty. Według informacji łączników z sieci konspiracyjnej, Niemcy przyjechali po dostawę produktów rolnych i żywności, których chłopcy od dawna nie dostarczali. Łącznicy powiedzieli nam, że zabierają chłopom dosłownie wszystko, i że swoją akcję rozpoczęli od wsi Bołosza, położonej kilka kilometrów od Podbrodzia. W tej sytuacji "Węgielny" postanowił zawrócić obie brygady w kierunku Bołoszy.

Po kilkugodzinnym forsownym marszu dotarliśmy na miejsce. Obie brygady rozwinęły się w długą, ponadkilometrową tyralierę. Niemcy zasypali nas gęstym ogniem z broni maszynowej. Na szczęście strzelali niecelnie. Gdy zbliżaliśmy się do wsi, buchnęły kłęby dymu i ognia. Ktoś krzychał, że palą wieś. Dowiedzieliśmy się też, że zabili "Rekina" i wtedy nie zważaliśmy już na gwizd kul, parliśmy naprzód, żeby ich dopaść. Widziałem jak uciekają do lasu za wsią, gdzie próbowali utworzyć drugą linię obrony. Po kilku minutach musieli stamtąd wiać w stronę pozostawionych na szosie samochodów.

Gdy wybiegliśmy z lasu, zbliżaliśmy się już do samochodów. Cofając się osłaniali się ogniem z broni maszynowej.

Z kilkoma kolegami wpadłem do piaszczystego dołu, gdzie zastałem "Błoka", "Flipa" i "Żabę".

— Ładować zapalające! Walić w zbiorniki paliwa! — usłyszałem

głos sierżanta "Błoka".

Nacisnąłem spust... Koledzy zrobili to samo. Jeden z samochodów zapalił się. Po nim następne. Niemców ogarnęła panika, bo byli na otwartej przestrzeni. Miotali się na wszystkie strony. Erkaemista "Żaba" posłał kilka serii.

Nagle na niebie pojawiły się kolorowe rakiety — sygnały do zbiórki. Szliśmy na nią z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Nieprzyjaciel stracił około trzydziestu żołnierzy, kilka samochodów i znaczną ilość broni. My mieliśmy jednego zabitego i jednego rannego. Nie mniej od nas cieszyli się chłopci, którym zwróciliśmy wszystkie zrabowane dobra.

Jeszcze w tym samym miesiącu obie brygady wzięły udział w akcji na pociąg z powracającymi z urlopów żołnierzami Wehrmachtu. Przeprowadzono ją na linii kolejowej Wilno-Dźwińsk koło znanej z poligonów wojskowych miejscowości Pohulanka. Zajęliśmy stanowiska wzdłuż torów na skraju lasu. Na kolei panował duży ruch pociągów w jedną i drugą stronę. Plan akcji zakładał zatrzymanie pociągu, opanowanie go, rozbrojenie niemieckich żołnierzy i szybkie wycofanie się. W razie stawiania oporu mieliśmy ostrzelać pociąg i zmusić Niemców do poddania się. Do zatrzymania pociągu wyznaczono między innymi sierżanta "Błoka", dobrze znającego niemiecki i strzelca "Alfonsa", który pochodził z Gdańska. "Alfons" miał udawać dowódcę patrolu strzegącego linii kolejowej. Do zatrzymania pociągu służyła mu kieszonkowa latarka z zielonym i czerwonym światłem. Potem do akcji miały wkroczyć dwuosobowe grupy żołnierzy. Wyznaczono je do obstawienia wszystkich drzwi wagonów. Miały zmusić Niemców do złożenia broni. W przypadku stawiania oporu dwójki miały niezwłocznie opuścić wagony i schronić się w rowie przy kolejowym nasypie. O nadejściu pociągu mieliśmy dostać raketowy sygnał od członków konspiracji z Podbrodzia.

14  
15  
Czekaliśmy ponad godzinę na stanowiskach wzdłuż torów. W jedną i drugą stronę przejechało kilka pociągów. Zaczął zapadać zmrok. Ogarniał nas niepokój, że akcja zostanie odwołana, ale niebawem ujrzelśmy raketę wystrzeloną od południowej strony. Po kilku minutach usłyszeliśmy zbliżający się pociąg. Na tory wyszli przebrani w niemieckie mundury żołnierze. Błysnęło czerwone światło latarki. Pociąg wyraźnie zwalniał szybkość. Gdy zatrzymał się, zaświeciło światło zielone. Maszynista wolno ruszył do przodu. Na drugi, czerwony sygnał zatrzymał się. W ten sposób "Blok" podciągnął pociąg dokładnie pod linię ognia obu brygad. Potem wszedł z "Alfonsem" do parowozu, by poinformować niemieckiego maszynistę o rozkręconych przed pociągiem dwustu metrach szyn. W rzeczywistości szyny były całe. Niemiec podziękował za informację i sięgnął do kieszeni by wyciągnąć papierośnicę. W tym momencie został obezwładniony. "Blok" zabrał mu pistolet i kazał opuścić parowóz. Jego pomocnik, Polak, wyszedł bez przymusu.

Na rozkaz dowództwa do akcji przystąpiły "dwójki". Rozległy się wezwania do złożenia broni. Ze stanowisk ogniowych wołano: *Hände hoch!* i oznajmiano: *Wir sind polnische Partisaner!*. Po chwili byliśmy w wagonach.

Niemcy szybko opuszczali wagony, ale zeskakiwali na drugą stronę i uciekali do lasu. Padły strzały, więc zgodnie z rozkazem opuściłem wagon i schroniłem się w rowie. To samo zrobili koledzy z innych wagonów. Pociąg zaszypano gęstym ogniem. Kule przelatowały nad nami. Po paru minutach ogień przerwano i powtórzono wezwanie do poddania się, ale Niemcy nadal ostrzeliwali się. Zamilkli dopiero po drugiej serii ognia.

Nie wiemy, ilu żołnierzy Niemcy stracili pod Pohulanką, ale z wagonów zrobiliśmy sito. Na pewno przez długi czas nie nadawały się do użytku. Zdobyliśmy też pewną ilość broni i amunicji oraz spowodowaliśmy kilkogodzinną przerwę w komunikacji z frontem. 5 Brygada straciła jednego żołnierza. W rowie przy nasypie poległ strzelec "Jastrząb". Ciężko rannego w biodro Witolda Stabrowskiego, "Mrówkę", odwieziono na punkt sanitarny.

W kwietniu zdobyliśmy położone na przedwojennym terytorium Litwy miasteczko Janiszki. Broniła go dobrze uzbrojona litewska policja. Atak przeprowadziliśmy przed południem, pięknego, słonecznego dnia.

Uwaga: jeśli  
nie ma  
znaków @, to  
nie ma  
napisać  
@ - Glendale



Około kilometra przed miasteczkiem rozwinęliśmy się w tyralierę. Przed zabudowaniami trafiliśmy na silny ogień z broni maszynowej. Do prowadzącej w kierunku centrum ulicy dotarliśmy bez strat. Z prawego skrzydła atakowała Litwinów 5 Brygada. Ulica prowadziła na duży plac z bunkrami obronnymi, z których bez przerwy prowadzono ogień z broni maszynowej. By opanować miasteczko, należało zdobyć bunkry, na co był tylko jeden sposób — dotrzeć do okienek strzeleckich. Po kilku skokach — udało się. Leżałem przy okienku, przy innych widziałem Janka Turyło, "Hansa", kolegę z gimnazjum i "Flipa". Na bunkrze znaleźli się podporucznik "Korsarz". Na jego rozkaz wrzuciliśmy do okienek po jednym granacie. Bunkrem zatrzęsły trzy potężne wybuchy.

Ponieważ Litwini nie zareagowali na wezwanie do złożenia broni, "Korsarz" kazał wrzucić jeszcze po jednym granacie. Strzały ucichły. Udaliśmy się do posterunku policji, połączonego z bunkrem podziemnym przejściem. Zastaliśmy tam "Korsarza", który wyprowadzał pokrwawionych policjantów.

Był wśród nich młody oficer. Zwróciłem uwagę na zwisającą rękę, która trzymała się chyba tylko na ścięgnach. Rannym pośpieszyła z pomocą służba sanitarna. Oficerem zajął się porucznik "Rakoczy". Odgonił od niego sanitariuszkę, oświadczając że przystąpi do opatrunku dopiero wtedy, gdy ranny powie gdzie ukryto cekaem. Oficer milczał. Porucznik odbezpieczył maszynowy pistolet, spojrzął na zegarek i oznajmił, że czeka tylko dziesięć sekund. Litwin odezwał się, gdy "Rakoczy" doliczył do dziesięciu. Okazało się, że cekaem znajdował się na wieży kościoła.

W Janiszkach zdobyliśmy dużo broni, amunicji, żywności i poszukiwanych przez chłopów towarów. Zabraliśmy je ze sklepów i magazynów. Wszystko oddaliśmy chłopom.

Na początku maja powrócił do brygady "Łupaszko". Nasi urządzili zasadzkę, gdy Niemcy przewozili go z Wilna do Kowna. W ten sposób został uwolniony. Musiał w tej sprawie zadziałać akowski wywiad. Uroczyste powitanie "Łupaszki" i przekazanie brygady odbyło się w Żukojniach.

W maju mieliśmy akcję na Kluszczoany, obsadzone przez kompanię wojsk lotewskich. Lotysze kwaterowali w przyległej do miasteczka szkole. Wczesnym rankiem podeszła pod nią kompania "Korsarza". Przez młodą dziewczynę "Korsarz" dostarczył im ultimatum, w którym pisał, że są otoczeni i żądał niezwłocznego złożenia broni, gwarantując wszystkim oficerom i żołnierzom nietykalność. Lotysze zorientowali się jednak, że nie są otoczeni — otworzyli silny ogień z broni maszynowej i przez pola uciekli w stronę lasu. Ze szkoły zabraliśmy znaczne ilości pozostawionej amunicji, płaszcze i inne drobiazgi.

Pod koniec maja natknęliśmy się na Lotyszów po zasadzce na oddział litewskiej policji. Litwini wracali do Lyntup z pobliskiej wsi. Jechali kilkoma furmankami. Gdy furmanki podjechały pod cmentarz, gdzie przygotowaliśmy zasadzkę, wezwaliśmy ich do poddania się. Nie usłuchali wezwania i przyśpieszyli jazdę. Nie mogliśmy strzelać, bo woźnicami byli miejscowi chłopci. Zanim wyszliśmy z ukrycia, furmanki oddaliły się. Kiedy otworzyliśmy ogień ponad głowami policjantów, wszyscy natychmiast zeskoczyli z furmanek i zaczęli uciekać przez pole. Raniliśmy dwóch policjantów i zabraliśmy broń. W czasie pościgu zapędziliśmy się pod same Lyntupy, gdzie Lotysze ostrzelali nas z cekaemów i moździerzy. Wobec przewagi wroga musieliśmy wycofać się. Rannych policjantów pozostawiliśmy na polu.

To była nasza jedyna potyczka z Lotyszami. Dowództwo lotewskie na początku było przekonane, że na objętym przez nich terenie operują partyzanci sowieccy, ale od chłopów dowiedzieli się, że mają przed sobą regularne oddziały Armii Krajowej. Lotwa i Polska utrzymywały przed wojną przyjazne stosunki. Lotysze byli zdania, że napad Hitlera i Stalina na Polskę w niczym tych stosunków nie zmienił. Swoją współpracę z Niemcami uzasadniali tym, że daje im okazję do porachunków ze wschodnim sąsiadem, który w połowie czerwca 1940 roku



przemocą opanował Łotwę. Nie mogli wybaczyć Rosjanom pełnych więzień, morderstw i masowej deportacji. Rosję uważali za największego wroga i dlatego chętnie angażowali się do zwalczania partyzantki radzieckiej. Nie chcieli natomiast walczyć z Armią Krajową.

W maju nasi dowódcy zawarli z Łotyszami niepisane porozumienie, które zezwalało wojskom łotewskim na swobodne poruszenie się na terenie kontrolowanym przez oddziały AK. Jeszcze w maju na drodze wiodącej z Kluszczań do Łokcian miało miejsce spotkanie "Ronina" i "Korsarza" z dowódcą łotewskiego batalionu. Byłem w drużynie, która towarzyszyła dowódcom. Przybyliśmy pierwsi na umówione spotkanie na skrzyżowaniu polnych dróg. Po kilku minutach przyjechali furmanką Łotysze.

Rozmowy były przyjazne. Łotysze żalowali, że nie możemy wyprawić się z nimi na bazy partyzantów sowieckich. Rozumieli i popierali naszą walkę przeciwko okupantowi niemieckiemu. Nasi dowódcy żalowali z kolei, że nie mogą w nich mieć sojusznika w walce z hitlerowcami. Przed zakończeniem spotkania dowódca batalionu wręczył "Roninowi" własny pistolet maszynowy. To samo uczynili towarzyszący mu dwaj oficerowie i podoficer.

W trzeciej dekadzie czerwca byliśmy ostatni raz w Kluszczań. Przed opuszczeniem miasteczka do "Ronina" dotarła wiadomość o pociągu wykolejonym w pobliżu Łokcian, który wpadł na minę założoną przez sowieckich partyzantów. Sowietci minowali tory kolejowe na wszystkich liniach. Ich oddziały w zasadzie nie zajmowały się niczym innym. W 1943 i 1944 roku przeprowadziły na naszym terenie tylko dwa ataki — na miasteczko Miadziół i na Kiemieliszki. Kiemieliszek broniła załoga litewska. Walka trwała przez całą noc. Nad ranem czerwoni wycofali się. Tego samego dnia miasteczko otoczyły 4 i 5 Brygada AK. Litwinom doręczono żądanie, by niezwłocznie opuścili miasteczko. W piśmie określono drogę, którą mogli swobodnie dotrzeć do Podbrodzian. Dowództwo litewskie przyjęło żądanie. Drogę przemarszu litewskiej jednostki kontrolował szwadron "Kitka". Kiedy z litewskiej kolumny w stronę szwadronu padło kilka strzałów, "Kitek" natychmiast odpowiedział ogniem. Na pomoc pośpieszyły inne szwadrony. Po krótkiej strzelaninie Litwini poddali się. Zdobyliśmy dużo broni, amunicji, mundurów, obuwia, papierosów i różnego rodzaju artykułów, które pochodziły z opróżnionych sklepów.

Pociąg wykolejony pod Łokcianami przez partyzantów sowieckich był załadowany bydłem. Ochroniała go nieliczna grupa żołnierzy z Wehrmachtu. Do akcji skierowano kompanię "Korsarza" i jedną kompanię z 23 Brygady Brzesławskiej. Pociąg otaczały posterunki niemieckie. Staraliśmy się podejść jak najbliżej do celu. Atak z bliska powoduje zaskoczenie i zawsze przynosi dobre wyniki.

Tym razem nie osiągnęliśmy jednak całkowitego zaskoczenia. Naszą obecność w lesie zdradziły trzaskające pod stopami suche gałęzie. Zauważono nas, gdy byliśmy około pięćdziesiąt metrów przed skrajem lasu. Niemcy podnieśli alarm. Na komendę "padnij!" zająłem stanowisko za grubą sosną. Obok mnie leżał "Hans".

15  
16 Po chwili Niemcy zasypali nas ogniem z broni maszynowej. Z drzew sypały się suche gałęzie. Kule wywracały leśne poszycie. Wiedzieliśmy jednak, że ogień ten nie jest groźny i spokojnie czekaliśmy na rozkazy.

Wkrótce usłyszałem rozkaz: "Lewe skrzydło skokami, pojedynczo, naprzód!" Po kilku minutach pociąg należał do nas. Wzdłuż torów leżały trupy nieprzyjaciół. Od ostatniej zabiłkanej kuli zginął komendant 23 Brygady Brzesławskiej. Dlatego nie mogliśmy się cieszyć ze zwycięstwa — ani ze zdobytej broni, ani całego pociągu krow, które rozdaliśmy miejscowym chłopom.

Od początku 1944 roku wszystkie wileńskie brygady AK przejawiały ogromną aktywność bojową. W akcji oczyszczania terenu z jednostek wojskowych i policyjnych okupanta, zarządzanej przez komendanta Okręgu, nie próżnował żaden pluton. Od Brześlowszczyzny na północy, po Nowogródzczyznę na południu, trwały nieprzerwane walki. Każdego dnia

rugowano wroga z gminnych miasteczek, a od czasu do czasu przeprowadzano poważniejsze akcje.

Walka od początku wskazywała na wyraźną przewagę Armii Krajowej. Utrzymywaliśmy ją aż do operacji wileńskiej pod kryptonimem "Ostra Brama". Wiosną 1944 roku nad przeważającym obszarem ziemi wileńskiej rzeczywistą władzę sprawowała Armia Krajowa. Nie pomogły Niemcom sprowadzone z Litwy Kowieńskiej bataliony generała Plechaviciusa i bataliony wojsk litewskich.

Brygady partyzanckie 1 Zgrupowania AK stoczyły kilka zwycięskich walk z Litwinami. Między innymi 4 maja 3 Brygada kapitana Gracjana Froga, "Szczerbca", rozbiła litewski oddział w rejonie Turgiel.

Na początku maja Niemcy szykowali się do operacji bojowej w celu zlikwidowania oszmiańskiego zgrupowania polskich brygad. Do operacji postanowili użyć oddziałów Litewskiego Korpusu Posiłkowego. Dowództwo uprzedziło Niemców. 6 maja akowcy rozbili doszczętnie zgrupowane jednostki litewskie na przedpolu Granżyszek. Największym zwycięstwem była akcja rozbitcia oddziałów Litewskiego Korpusu Posiłkowego pod Murowaną Oszmianką. Przeprowadzono ją w nocy z 13 na 14 maja. Była obserwowana przez samego komendanta okręgu. Po krótkim brawurowym natarciu 3 i 8 Brygady Litwini broniący Murowanej Oszmianki musieli się poddać. Owocem wspaniałego zwycięstwa było ponad trzystu jeńców oraz duże ilości zdobytej broni i amunicji. Jeńców rozebrano z mundurów i w bieliźnie, pod eskortą żołnierzy AK, wprowadzono na przedmieście Wilna. Żołnierze generała Plechaviciusa stali się pośmiewiskiem wilnian.

17 maja Niemcy rozwiązyali korpus litewski. Część żołnierzy skierowali do obozów pracy. Większość rozproszyła się po całej Litwie. Na tereny przedwojennej Litwy uciekali także policjanci z rozbitych gminnych posterunków oraz pracownicy prowincjonalnych urzędów i ich rodziny. Poważny odpiływ administracji litewskiej notowano również w samym Wilnie. Jednocześnie polska młodzież ze wszystkich wileńskich miast masowo zasilala Armię Krajową.

Bataliony litewskie nie posiadały wprawdzie broni ciężkiej i zmotoryzowanej, ale były wyposażone w broń lepiej od partyzantów. Mimo to nie sprostały oddziałom polskim.

Trudno dzisiaj wyliczyć akcje bojowe stoczone przez 5 i 4 Brygadę pod koniec okupacji niemieckiej. Drobne potyczki i zasadzki miały miejsce prawie co dzień. Wspomnę tylko o bojowych patrolach wysyłanych do miast — nie wyłączając Wilna — w celu zdobycia broni i zasiania atmosfery zagrożenia nawet w miejscach, które okupant uważał za zupełnie bezpieczne. Akcje partyzanckich patroli podnosiły na duchu ludność cywilną.

Brałem trzykrotnie udział w tego rodzaju akcjach. Rozbrajaliśmy Niemców w Nowej Wilejce. W dwóch wyprawach towarzyszyli mi "Hans" i "Świt", Rudolf Wyszomirski, w trzeciej brał udział "Poker". Przy okazji odwiedziliśmy swoje domy.

Któregoś razu, w Nowej Wilejce, postanowiłem pójść do kościoła na niedzielną młodzieżową mszę świętą. Szczerze mówiąc bardziej niż na mszy zależało mi na pokazaniu się kolegom i koleżankom. Wiedzieli, że jestem w partyzantce, a ja chciałem nacieszyć się wrażeniem, jakie na nich zrobi moja "oficjalna" obecność.

Zauważono mnie w kościele. Po mszy znajomi otoczyli mnie całą gromadą. Dziewczeta pytały, czy się nie boję chodzić po mieście pełnym Niemców. Wszyscy byli ciekawi, po co przyszedłem. Powiedziałem, że dowiedzą się, gdy będę w drodze do oddziału.

Gdy staliśmy przed kościołem, mijali nas niemieccy żołnierze. Wydawało mi się, że na mnie patrzą i wiedzą, kim jestem... Wieczorem rozbroiliśmy niemieckich żołnierzy w budynku przy ul. Kojneńskiej. Zdobyliśmy pięć karabinów, dwa pistolety i trochę amunicji.

Innym razem rozbroiliśmy Niemców na kwaterze przy ul. Wileńskiej.

Z 6 na 7 lipca oddziały Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego AK uczestniczyły w operacji bojowej pod kryptonimem "Ostra Brama". Jej celem było zdobycie Wilna przed pojawieniem się na jego przedpolach wojsk sowieckich oraz zadokumentowanie polskości i nieraruszalności ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. I chociaż



operacja ta, podobnie jak Powstanie Warszawskie, nie uratowała Polski przed zależnością od Moskwy, to z pewnością wydała owoce, z których korzystamy do dzisiaj. Jestem przekonany, że bez tamtej walki, tamtej krwi i ofiar polski Poznań, Grudzień 1970 i Sierpień 1980 byłyby niemożliwe.

Nie brałem udziału w tej operacji, ponieważ 5 lipca, podczas marszu do pozycji wyjściowych do natarcia na Wilno, byłem dwukrotnie ranny i trafiłem do polowego szpitala.

Na szosie Wilno — Podbrodzie, koło Santoki, naszej 4 Brygadzie zagroziły drogę pancerno-zmotoryzowane oddziały Wehrmachtu. Zginął wówczas kolega "Kolt" i z odniesionych ran po dwóch godzinach zmarł "Świt". Niemcy ranili mnie w głowę, a potem w nogę. Do szpitala skierowano również rannego "Tarczę" i "Korsarza", któremu kula 4 lipca przeszła szyję. Niemcy stracili kilkunastu zabitych i musieli ustąpić z szosy.

Czasy partyzanckie to najlepszy okres w moim życiu. Myślę, że to samo czują wszyscy koledzy z Armii Krajowej. Nie może być nic piękniejszego od walki o niepodległość, wolność i życie Narodu. Nie może być nic piękniejszego od towarzyszącej jej solidarności i ofiarności Polaków.

Żołnierz Armii Krajowej czuł się wolny w okupowanym kraju. Od granicy z Łotwą aż po ziemie nowogródzkie nieśliśmy tę wolność rodzinnej Wileńszczyźnie i całej Polsce. Na każdym kroku spotykaliśmy się z serdecznością wiernej Polsce ludności.

Miałem wówczas siedemnaście lat. Do dzisiaj pamiętam partyzancką przysięgę w Kiemieliszkach. Staliśmy w długim dwuszeregu na placu w centrum miasteczka. Przed sobą mieliśmy dowódców 4 i 5 Brygady i księdza kapelana. Z przyległych do placu domów powiewały biało-czerwone flagi. Nikt nie kazał ich wywieszać, pojawiły się z woli mieszkańców.

Wysoko nad nami przelatywały niemieckie samoloty. Część placu wypełnili mieszkańcy Kiemieliszek. Zebrali się tam chyba wszyscy. Kobiety ocierały łzy wzruszenia — miasteczko na czas przysięgi było polskie.

Ksiądz kapelan uniósł wysoko krzyż z rozpiętym na nim Chrystusem i powoli cytował słowa przysięgi. Nie przypominam sobie dokładnie jej tekstu, ale wiem, że przysięgaliśmy Bogu i Ojczyźnie, Prezydentowi Rzeczypospolitej, Naczelnemu Wodzowi i Narodowi, że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, aż ostatni zaborca opuści świętą polską ziemię.

Czułem, jak spływają mi po policzkach łzy. Słowa przysięgi poruszyły nawet najtwardszych żołnierzy, chociaż nie zawierały wszystkiego, co czuły nasze serca.

Porównywalne z tamtym wzruszenie przeżywałem jeszcze tylko w Sierpniu 1980 roku. Uczestnicząc w mszach odprawianych w Stoczni **Gdańskiej** przypominałem sobie msze partyzanckie na leśnych polanach. Widziałem maszty z łopoczącymi biało-czerwonymi flagami, białe orły i partyzanckie wojsko, przy pokrytych biało-czerwonym płótnem ołtarzach.

Ludzie płakali, kiedy z setek żołnierskich piersi płynęło potężne "Boże coś Polskę..."

Po tej pieśni śpiewaliśmy modlitwę, którą ułożono na Zachodzie:

O Panie, któryś jest w niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!  
Wolamy ze wszech stron do Ciebie  
O Polski dach i polską broń.  
O Boże, skrusz ten miecz,  
Co siekł nasz kraj,  
Do wolnej Polski nam powrócić daj!  
By stać się twierdzą nowej siły  
Nasz dom, nasz kraj.

O usłysz Panie, skargi nasze,  
O usłysz nasz tułaczy śpiew!



Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że Bóg wysłucha tej modlitwy. W naszym najgłębszym przekonaniu droga do wolnej Polski prowadziła tylko przez polskie Wilno. *16/14*

W służbie partyzanckiej obowiązywała wszystkich żołnierska dyscyplina. Nikt nie miał prawa oddalić się poza kwaterę swojej drużyny. W wyjątkowych wypadkach, gdy brygada, kompania czy pluton stacjonowały w pobliżu miejsca zamieszkania żołnierza, mógł on otrzymać zezwolenie na odwiedzenie rodziców.

Dużo uwagi poświęcano w partyzantce nienagannemu zachowaniu się żołnierzy. Partyzant z Armii Krajowej musiał świecić przykładem. Każdy z nas zdawał sobie z tego sprawę i starał się, by dowództwo i miejscowa ludność nie mieli pod tym względem najmniejszych uwag.

Za picie alkoholu groziło wydalenie z oddziału, a w drastycznych przypadkach — kara śmierci. Ogromną wagę zwracano na poprawny stosunek do jeńców. Za samowolne zabieranie jeńcom rzeczy osobistych groziła kara śmierci. Rannym nieprzyjaciołom należało udzielić pomocy na równi z pomocą udzielaną rannym żołnierzom AK. Za kradzieże i zniewalanie dziewcząt również groziła kara śmierci. W ciągu całego mojego pobytu w partyzantce zdarzył się tylko jeden przypadek gwałtu. Sprawcy nie ukarano śmiercią ze względu na zasługi w walce z wrogiem, ale musiał opuścić Armię Krajową. Nie znam przypadków okradania jeńców i chłopów.

W czasie wolnym od zadań bojowych każdy dzień zaczynaliśmy od gimnastyki i wspólnej modlitwy. Wiele czasu poświęcaliśmy nauce o broni, ćwiczeniom bojowym i żołnierskiej mustrze. Często zdarzały się próbne alarmy. Byliśmy dobrze wyszkoleni — co niejednokrotnie podziwiali Niemcy i partyzanci sowieccy — oraz przygotowani do walki z najlepszymi, elitarnymi oddziałami wroga. Ogromne znaczenie posiadała świadomość celu i słuszności walki, głęboka wiara w zwycięstwo, oraz pełne poparcie i pomoc związanej duchowo z AK cywilnej ludności. "Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami, Każdego z nas sumienia wezwał głos..." — tak śpiewaliśmy w jednej z partyzanckich piosenek. A w innej: "...Aby widzieć padając w ataku Polskę wolną i czystą jak iza..."

\*

23 czerwca 1944 roku na środkowym froncie wschodnim rozpoczęła się ofensywa sowiecka, której postępy zaskoczyły nie tylko Niemców. Oddziały Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego w nocy, z 6 na 7 lipca, musiały rozpocząć samodzielne natarcie na Wilno. Operacją "Ostra Brama" kierował generał "Wilki". Główne natarcie skierowano na linie bunkrów niemieckich po wschodniej stronie miasta. Żołnierze AK przystąpili do ataku z uciążliwego marszu, bez chwili odpoczynku. Oddziały garnizonu miejskiego opanowały dzielnicę Kalwaryjską. Szare Szeregi pod dowództwem kapitana Józefa Grzesika-Czarnego, pseudonim "Kmita" — dzielnicę Zarzecze, skąd przeszły do centrum i na ruinach zamku księcia Giedymina, na Górze Zamkowej, zawiesiły biało-czerwoną flagę.

W pierwszym dniu natarcia na Wilno do miasta dotarły wojska sowieckie. Dalsze walki o wyzwolenie miasta odbywały się we współdziałaniu z dowództwem radzieckim. Niemcy odparli atak polskich zgrupowań od wschodu i południowego wschodu. Walkę w mieście kontynuowały tylko pododdziały 3 Brygady "Szczerbca". Dowództwo sowieckie odrzuciło tymczasem propozycje "Wilki", żeby wspólnie kontynuować walkę o wyzwolenie Wilna, z włączeniem całości sił Armii Krajowej. Współdziałanie z jednostkami sowieckimi ograniczyło się więc tylko do konspiracyjnych oddziałów garnizonu miejskiego i pododdziałów 3 Brygady.

2 Zgrupowanie AK majora "Węgielnego" — któremu podporządkowała się należąca do 5 Zgrupowania 4 Brygada — nie wzięło udziału w operacji "Ostra Brama", ponieważ "Węgielny" podporządkował je dowódcy 277 Dywizji Piechoty, generałowi Gładyszewowi. Zgrupowanie to miało uderzyć na miasto od strony północnej, ale z rozkazu Gładyszewa skierowano je w okolice Mejszagoly, gdzie uwikłało się w lokalne potyczki z wojskami niemieckimi, zdobywając między innymi Mejszagolę i Klamele. Dowództwo sowieckie ze względów politycznych nie było zainteresowane zasileniem brygadami 2 Zgrupowania garnizonu miejskiego AK walczącego w Wilnie i szerokim współdziałaniem w walkach o Wilno z Armią Krajową, w stosunku do której mieli z góry założone plany.

13 lipca, w dniu zdobycia Wilna przez współdziałające z oddziałami AK wojska sowieckie, 2 Zgrupowanie maszerując na zarządzoną przez "Wilka"

25  
35

koncentrację Armii Krajowej, natknęło się w okolicy wsi Krawczuny i Nowosiółki na liczącą trzy tysiące żołnierzy kolumnę niemiecką, pod dowództwem znanego z Powstania Warszawskiego generała Stahela. Kolumnie niemieckiej udało się opuścić Wilno, które otaczał pierścień wojsk sowieckich. Maszerowało ku Wilii, by połączyć się z oczekującymi na nią po drugiej stronie rzeki, w rejonie Krawczun, formacjami strzelców spadochronowych grupy bojowej Tolsdorf. W pierwszej fazie walk, wielokrotnie liczebniejszy i lepiej uzbrojony przeciwnik, rozbił 1 Brygadę porucznika "Juranda", Czesława Gromboczewskiego, który zginął na polu walki. Wkrótce do walki włączyły się pozostałe brygady Zgrupowania. W wielogodzinnej, toczącej się ze zmiennym szczęściem bitwie akowcy odnieśli zwycięstwo. Nieprzyjaciel stracił około tysiąca żołnierzy. Zdobyto ogromne ilości broni i amunicji. Straty 2 Zgrupowania wyniosły siedemdziesięciu ośmiu poległych i czterech rannych.

\*

W walce o Wilno oraz w bitwie pod Krawczunami żołnierze AK dowiedli, że potrafią stawiać czoło i zwyciężać, mając przed sobą najlepsze jednostki jednej z najlepszych armii świata.

Powiewającą nad zamkiem Giedymina polską flagę Sowietci szybko usunęli. Po kilku dniach zrozumieliśmy, że ta flaga była równie potrzebna Moskwie jak nasza walka. Władze sowieckie uznały żołnierzy Armii Krajowej za wrogów i bandytów. Nie od razu jednak.

Do 16 lipca generał "Wilk" odbywał rozmowy z dowódcą 3 frontu białoruskiego i był z nich zadowolony. Mówił, że atmosfera była dobra i przyjazna. Rosjanie zgodzili się, żeby Okręg wystawił dywizję piechoty i brygadę kawalerii. W następnym rzucie miała być wystawiona druga dywizja piechoty. Sowietci godzili się także na podporządkowanie polskich formacji radzieckiemu dowództwu tylko pod względem operacyjnym. Obiecali udzielić pomocy materialnej, a przede wszystkim w uzbrojeniu.

W związku z zawartym porozumieniem "Wilk" zarządził na 16 lipca koncentrację wszystkich podległych mu oddziałów w rejonie Turgiel. Tego dnia radzieccy dowódcy dokonali przeglądu polskiego wojska, a brygady partyzanckie przemianowano na pułki. Od dnia wyzwolenia Wilna do oddziałów AK płynął nieprzerwanie potok ochotników. Stan liczebny jednostek rósł w oczach. Dla nikogo nie zabrakło broni lekkiej. Zdobyto jej dużo w czasie walk o wyzwolenie Wilna.

Polacy nie chcieli iść do armii sowieckiej. Stronili także przed niepopularną, bo zależną od Moskwy, armią generała Berlinga, w której około dziewięćdziesięciu procent oficerów stanowili Rosjanie.

Trudno wprost opisać radość żołnierzy AK i wileńskiej ludności, gdy w mieście roilo się od chłopców w mundurach z biało-czerwonymi opaskami, gdy wszystkie szpitale były pod zarządem AK, gdy w fabrykach i zakładach tworzyły się polskie komitety. Cywile witali akowców kwiatami. Gdziekolwiek pojawił się żołnierz AK, zbierali się serdeczni i uszczęśliwieni rodacy. Po Litwinach nie pozostał ślad.

Do żołnierzy sowieckich ludzie odnosili się oziębło. Nikt ich nie witał, nie wręczał kwiatów. Zbyt świeże były wspomnienia z czasów sowieckiej okupacji. Żyła pamięć o zbrodni w Katyniu, masowych deportacjach, pełnych więzieniach... Listę win wobec Polaków uzupełniały zbrodnie sowieckich partyzantów z lat 1942-1944. Powszechne oburzenie wywołał komunikat moskiewskiego radia, oznajmiający, że 13 lipca 1944 roku armia radziecka przy pomocy litewskich partyzantów zdobyła stolicę sowieckiej Litwy. Wszystko wskazywało na to, że do Wilna wkroczyli ci sami, znani już wilnianom zaborcy. Bało się nowych represji, prześladowań i deportacji.

W tym samym dniu, gdy sowieccy dowódcy dokonali przeglądu polskich oddziałów, aresztowano generała "Wilka" oraz dowódców brygad i ich zastępców zwołanych na spotkanie z dowódcą 3 frontu białoruskiego. Użyto takiego samego podstępu, jak przy likwidacji oddziału "Kmicica". Generała wraz z szefem sztabu, majorem Teodorem Cetysem, poproszono do Wilna na naradę z generałem armii Iwanem Czerniachowskim w sprawie dalszych decyzji dotyczących tworzenia polskich dywizji. Obaj trafili stamtąd do więzienia. Oficerów aresztowano w mieście Bogusze, gdzie oczekiwali na Czerniachowskiego i komendanta Okręgu, którzy mieli ich poinformować o podjętych decyzjach. Po aresztowaniu dowództwa, rejon koncentracji polskich oddziałów otoczyły silne jednostki wojsk sowieckich. 17 lipca żołnierzy Armii Krajowej wezwano do złożenia broni.



18  
19

\*

Walka z regularną armią sowiecką była niemożliwa ze względów politycznych. Wykorzystano by ją natychmiast do oczernienia Armii Krajowej wobec naszych sprzymierzeńców. ale złożenie broni obcemu wojsku było dla każdego z nas ogromnie trudną decyzją. Każdy pragnął dotrzymać przysięgi i walczyć do końca. Nad rejonem koncentracji krążyły sowieckie samoloty. Z różnych stron wylaniały się gotowe do ataku sowieckie czołgi. Sytuację utrudniał brak wyższego dowództwa. Część młodszych dowódców postanowiła przebić się przez okrążenie i maszerować w kierunku Puszczy Rudnickiej. Inni starali się przebić przez linię frontu, by połączyć się z siłami AK w centrum kraju. Reszta żołnierzy z bólem w sercach złożyła broń lub, po przebraniu się w cywilne ubrania, potajemnie wróciła do swoich rodzin.

Rozbrojonych kierowano pod eskortą do tymczasowego obozu w Miednikach Królewskich, skąd wszystkich wywieziono do Kaługi. Wkrótce władze sowieckie ogłosiły mobilizację mężczyzn do sowieckiego lub berlingowskiego wojska. Uchylającym się od mobilizacji grożono karą śmierci. Polacy mieli prawo wyboru armii sowieckiej lub polskiej. Do armii generała Berlinga zgłosiły się tylko pojedyncze osoby, przerażone perspektywą Syberii lub śmiercią. Do armii sowieckiej nie wstąpił żaden Polak.

Wilnianie uważali armię Berlinga za armię marionetkową. Mieniła się polską, a nie uznawała suwerennego polskiego rządu uznawanego przez naród i cały świat. Jej oficerami byli politrucy i agenci NKWD przebrani w polskie mundury. Rozkazy wydawano po rosyjsku; armia nie tylko operacyjnie, lecz i politycznie podporządkowana była Moskwie. "Wstąpić do takiej armii — mówili wilnianie — to wstyd, hańba, zdrada..."

Tymczasem do Miednik przybyła grupa oficerów tej armii. Był wśród nich Jerzy Putrament. Od pozostałych różnił się tylko tym, że nie kaleczył języka polskiego. Wszystkich, nie wyłączając Putramenta, którzy próbowali przemówić do polskich żołnierzy, akowcy zagłuszali gwizdami. Nazywano ich zdrajcami i radzono jak najszybciej opuścić obóz.

"My chcemy «Wilka»! Zwróćcie nam komendanta! Precz z obozu!..." — taka była odpowiedź akowców na agitowanie do wstępowania do armii Berlinga.

Ponieważ agitacje nie dały żadnych wyników, obóz zlikwidowano, a akowców wywieziono w głąb Rosji. W ten sposób około czterech tysięcy żołnierzy AK z Okręgu Wileńskiego trafiło do Kaługi, gdzie utworzono z nich 361 Pułk sowieckiej piechoty. Po krótkim przeszkoleniu pułk miał wyruszyć na front. Dowodzili nim — począwszy od dowódcy pułku aż do dowódcy plutonu, oficerowie nadzieccy. Do wysłania pułku na front nie doszło jednak, ponieważ przyodziani w sowieckie mundury żołnierze AK odmówili złożenia przysięgi według tekstu obowiązującego w armii sowieckiej. Za karę dano im stare sowieckie łachy i skierowano na wyrąb lasu. Oficerów i generała "Wilka" przez jakiś czas trzymano w więzieniu śledczym przy ulicy Ofiarnej i na Łukiszkach. Potem przywieziono ich do obozu w Riazaniu. Wywiezionych do Kaługi żołnierzy odtransportowano do nowej polskiej granicy w roku 1946, a oficerów — w 1947.

Po krótkim pobycie na wolności, wielu z nich aresztowały komunistyczne władze w Polsce. "Wilka" i innych zamęczono na śmierć w więzieniach. UB fabrykowało oszczercze oskarżenia, na podstawie których na przykład skazano na karę śmierci komendanta 3 Wileńskiej Brygady kapitana Gracjana Froga, "Szczerbca". Po latach zrehabilitowano tych zasłużonych dla Polski ludzi.

Parę lat temu dowiedziałem się od córki generała "Wilka", pani Olgi Krzyżanowskiej, że w 1947 roku ojca jej oskarżono o współpracę z Niemcami. Ze względu na absurdalność oskarżeń generał odmówił składania zeznań. Człowiek ten przez cztery lata więzienia milczał — aż do śmierci.

\*

Krótkie, piękne dni wolności przed likwidacją Armii Krajowej przeżyłem w szpitalu polowym w Kalinie. Kierowniczką szpitala była pani Stanisława Popławska, "Inka". Dzięki niej i całej obsłudze szpitala mieliśmy tam wspaniałe warunki. Siostry opiekowały się nami troskliwie i wszystkimi sposobami starały się sprawiać nam przyjemność. Nie mam pojęcia, kiedy spały. Nawet przy zmianie opatrunków śpiewały partyzanckie piosenki. Na sali mieliśmy patefon. Przy każdym łóżku na szafce zawsze był świeży bukiet kwiatów.

Okoliczni mieszkańcy przynosili różnego rodzaju smakołyki. Codziennie mieliśmy słodką śmietankę, świeże truskawki. Za pośrednictwem kalinian



wysyłaliśmy listy do naszych rodzin. Zanosili je, pokonując pieszo nieraz kilkadziesiąt kilometrów, na niebezpiecznym, przyfrontowym terenie. Dzięki nim, już po kilku dniach odwiedzali nas rodzice i bliscy.

37

13 lipca do Kalina przybył pierwszy sowiecki patrol. Siedziałem wówczas z kolegami na przyszpitalnym trawniku. Żołnierze sowieccy przysiedli się do nas. Dowódcą patrolu był osiemnastoletni oficer z trzema gwiazdkami. Odnosił się do nas bardzo życzliwie. Odczuliśmy, że darzył nas sympatią. Twierdził, że walka na tyłach wroga jest o wiele trudniejsza. Zachwycił się też tym, że wyglądamy jak prawdziwe wojsko.

W pewnej chwili na podwórzu wjechał konno komendant 4 Brygady, porucznik "Ronin". Szybko zeskoczył z konia, przywitał się z nami i pobiegł do szpitala. Oczy sowieckich żołnierzy skierowały się w jego stronę.

— Kto to? — spytał dowódca patrolu.

Gdy dowiedział się, że to komendant partyzanckiej brygady, która przed kilkoma godzinami pod Krawczunami przyjęła na siebie największy ciężar bitwy, po kilkakroć wymówił słowo *gieroi*.

Młody oficer traktował nas jak przyjaciół. Mówił, że swoją walką naród polski zasłużył na wolną i silną Polskę. Nie wiedział, że za parę dni będzie musiał swoich przyjaciół rozbijać.

17 lipca do Kalina przybył łącznik, od którego dowiedzieliśmy się o aresztowaniu "Wilka" i innych oficerów oraz o rozbijaniu oddziałów AK. Przywiózł rozkaz niezwłocznego likwidowania szpitala. Rannych, którzy w pobliżu nie mieli rodzin, ulokowano w zakonspirowanych punktach sanitarnych w Wilnie. Pozostałymi opiekowały się rodziny. Po mnie przyjechali furmanką moi rodzice.

#### ← PIERWSZE ARESZTOWANIA

Rozbrojenie i internowanie około czterech tysięcy żołnierzy AK oraz aresztowanie komendanta Okręgu Wileńskiego i dużej drużyny oficerów rozwiały wszystkie nadzieje wilnian. Liczyliśmy jeszcze na interwencję naszego rządu i sojuszników, ale nadzieje te okazały się daremne.

Na całej Wileńszczyźnie zapanało rozgoryczenie, niepewność i strach. Baliśmy się, że zaczną się masowe aresztowania i deportacje. Wieś bała się dodatkowo kolchozów.

Byłem wtedy w domu. Często odwiedzali mnie koledzy i koleżanki, sąsiedzi. "Bronka"\* z "Wilą"\*\*\* — sanitariuszki AK, regularnie zmieniały mi opatrunki — miały one pod opieką rannych, którzy przebywali w Nowej Wilejce. Nie powróciły do domów po rozbrojeniu akowskich oddziałów. Mieszkały kilkadziesiąt kilometrów od Wilna. Postanowiły pomagać rannym. Dostarczały im także podrobione w podziemiu dowody tożsamości. Obie dość często nocowały u nas.

Wielu moich kolegów nie dało się rozbroić. Wrócili do domów czekali na bliżej nie określone zmiany. Nikt nie zgłaszał się do armii.

\* Bronisława Andycka.

\*\* Wilhelmina Kosicka (wówczas Mackiewiczówna).

W końcu lipca funkcjonariusze sowieckiej służby bezpieczeństwa zajęli się ludźmi, którzy współpracowali z Niemcami. Więzienia wypełniono byłymi funkcjonariuszami litewskiej policji, agentami gestapo, donosicielami, funkcjonariuszami Sauguny i urzędnikami okupacyjnej administracji. Większość więźniów stanowili Litwini, byli również Białorusini, Rosjanie i Ukraińcy. Polaków wśród nich prawie nie było.

18  
TG

\*

Władze sowieckie najwyraźniej liczyły, że pozbawieni dowództwa polscy żołnierze bez sprzeciwu podporządkują się Berlingowi, a oni nie tylko nie podporządkowali się polskim komunistom, lecz znaczna ich część wydała im walkę. Byli wśród nich żołnierze "Krzysia", "Korsarza", "Kotwicza" i inni.

21 sierpnia 1944 roku major "Kotwicz" stoczył koło wsi Surkonty walkę z naciskającym na niego oddziałem sowieckim. W pierwszej fazie walki Polacy mieli przewagę, a Rosjanie ponieśli duże straty. Pod wieczór sprowadzili jednak posiłki z pobliskiego Radunia. Podczas silnego uderzenia zginął trafiony w głowę bohaterski dowódca wraz z trzydziestoma pięcioma żołnierzami.

Wróg stracił stu trzydziestu sześciu zabitych.

Opór władzy sowieckiej stawiali nie tylko akowcy. Po ogłoszeniu poboru mężczyzn do armii sowieckiej, młodzież zorganizowana w grupy bojowe rozbiła gminne urzędy, niszczyła znajdujące się tam spisy mobilizacyjne, podpałała zajmowane przez przedstawicieli nowej władzy budynki. Zapadały wyroki śmierci na współpracujących z Sowietami zdrajców. Grupami bojowymi dowodzili najczęściej byli żołnierze Armii Krajowej. Z czasem przekształciły się one w leśne oddziały partyzanckie. Większość oddziałów przyjmowała nazwy od pseudonimów dowódców akowskich. W czasie gdy dobrze znany na Wileńszczyźnie "Łupaszo" był już w województwie białostockim, pod Wilnem działał oddział innego "Łupaszi". Gdy słynny dowódca 3 Wileńskiej Brygady kapitan "Szczerbiec" wraz z innymi oficerami AK siedział w więzieniu, a potem był w obozie dla internowanych w Riazaniu, z Rosjanami walczyli żołnierze innego "Szczerbca".

Lasy wileńskie wypełniały się nowymi "Konarami", "Jurandami", "Turami", "Januszami", "Mściśławami"... Leśne oddziały nie ograniczały się do walk w samoobronie, organizowały także akcje dywersyjne i prowadziły walki zaczepne. W miarę nasilania się sowieckich represji, wzrastał się ich opór, wspomagany przez ludność cywilną.

Po uwięzieniu dowództwa AK, sowieci uderzyli w sieć akowskiego podziemia i akowską młodzież. Aresztowano wiele osób. Pod koniec sierpnia uwięziono Delegata Rządu na Okręg Wileński Zygmunta Fedorowicza.

\*

Na początku września miałem już dość sił, by wychodzić na spacer. W mieście było pełno sowieckiego wojska. Oficerowie mieli złote naramienniki. Nie wiedziałem, że określały resort MGB – Ministerstwo Gosudarstwiennoj Biezopastosti (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego).

Późnym wieczorem 5 września byłem w domu tylko z babcią i siostrą. Ojciec pracował na nocnej zmianie w warsztatach kolejowych, mama pojechała po żywność na Litwę. Usłyszałem silne stukanie do drzwi i rozmowę w języku rosyjskim, z której wynikało, że przybysze są z milicji. Schowałem się za lustro stojące w rogu pokoju. Słyszałem jak obchodzili wszystkie pokoje. Zglądali do szaf i pod łóżka. Tłumaczyli babci, że wszędzie jest pełno złodziei, bandytów, że kręcą się jeszcze uzbrojeni żołnierze niemieccy.

Okolo szóstej rano przyszła do nas zapiekana pani Bujkowa i powiedziała, że w nocy zabrali Władka. Prosiła też, żebym poszedł z nią do mieszkania i zabrał schowany tam pistolet, co uczyniłem. W końcu okazało się, że w nocy milicjanci zabrali także z domów Herka Tomkiewicza, Franka Raczewskiego, Edka Noniewicz, Bronka Sawickiego, Medka Kozłowski, Feliksa Marynowskiego, Herka Wysockiego i Pawła Orłowski. Wszyscy byli żołnierzami Armii Krajowej...

Wyciąsiłem przyrzesiony z domu Władka pistolet i na wszelki wypadek włożyłem do kieszeni. Sądziłem, że nie przyjdą tak szybko, skoro byli po mnie zaledwie przed kilkoma godzinami.

Okolo dziewiętej rano do mieszkania wszedł obcy mężczyzna o typowo żydowskich rysach twarzy. Przywitał się po rosyjsku i oznajmił, że jest funkcjonariuszem milicji. Spytał do kogo należy mieszkanie. Odpowiedziałem, że do moich rodziców.

— W takim razie źle trafiłem — powiedział. W drzwiach zatrzymał się: — Poszukuję Machińskich. Mieszkają gdzieś w pobliżu. Nie mógłbyś pokazać, w którym domu?

Machińscy byli naszymi sąsiadami. Nie mogłem powiedzieć, że ich nie znam. Wyszedłem na podwórko, by pokazać dom, w którym mieszkali, ale wcześniej chciałem wysłać do nich siostrę, która była na podwórku, żeby ich uprzedziła o niebezpieczeństwie. Zakładałem, że pobiegnie skrótami i będzie tam przed nim. Nagle usłyszałem głośne wezwanie: *Ruki w wierz!*\* Gdy milicjant powtórzył wezwanie, odwróciłem się. Trzymał wymierzone we mnie parabellum. Ręce miałem w kieszeni. Prawą ręką trzymałem rękojeść odbezpieczonego pistoletu. Milicjant kazał mi iść naprzód. Na ulicy uprzedził, że w drodze nie można z nikim rozmawiać ani się rozglądać. Groził użyciem broni.

\*Ręce do góry!

Przez jakiś czas miałem ochotę użyć pistoletu. Ręce ciągle trzymałem w



kieszeni. Poddałem się losowi ze względu na rodziców. Gdybym użył broni, poszliby do więzienia i łagrów. Nie miałem prawa skazywać ich na wieloletnie cierpienia, które mogły się skończyć śmiercią.

Na posterunku milicji urzędował komendant miasta i funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa. Pistolet miałem włożony w kieszeni. Ciągłe myślałem, jak się go pozbyć.

Zaczął się przesłuchanie. Oficerowie pytali o kolegów z AK. Poddałem kilka zmyślonych pseudonimów, ale oni żądali nazwisk i adresów. Poddałem więc nazwiska poległych, między innymi Rudolfa Wyszomirskiego. W pewnej chwili poprosiłem o zezwolenie na pójście do ubikacji. Komendant skinął na stojących przy drzwiach uzbrojonych żołnierzy, by mnie odprowadzili.

— Nie próbuj uciekać, bo zastrzelą jak psa.

Gdy skierowałem się do drzwi, jeden z oficerów kazał się zatrzymać.

— Wyjmij wszystko z kieszeni!

Wyjąłem wszystko poza pistoletem.

— To wszystko? — spytał i przystąpili do osobistej rewizji.

Zabrali mi pistolet oraz wydaną przez akowskie podziemie ulotkę, a także wielkanocny rozkaz do żołnierzy AK generała "Wilka", kilka partyzanckich zdjęć i inne drobiazgi.

Znalazłem się w tymczasowym areszcie w Wilnie, przy ulicy Mickiewicza. W dużej sali spotkałem wszystkich aresztowanych w nocy kolegów. Koło drzwi siedział żołnierz uzbrojony w pistolet maszynowy. Na korytarzach także byli uzbrojeni żołnierze. Nie mieliśmy prawa rozmawiać. Porozumiewaliśmy się jednak. Wiedziałem, że wszyscy przeszli przez pierwsze przesłuchania i że wszystkim grożono "dziewięcioma gramami"\*. Każdego kolegę pytali o mnie.

\*W przenośni — "kulą w łeb".

Na pierwszym przesłuchaniu przyznałem się, że byłem w AK. Mówiłem o tym z nieukrywaną dumą, przez co ułatwiłem prowadzenie śledztwa. Nie przypuszczałem, żeby z tego powodu mogło mi coś grozić. Najgorszy był pistolet. Na zarzuty o nielegalne posiadanie broni — wiedziałem, że groziła za to kara śmierci — odpowiadałem, że jestem żołnierzem Armii Krajowej, armii legalnej i w związku z tym pistolet jest bronią legalną. Twierdziłem, że z armii tej nikt mnie nie zwolnił, byłem ranny, leżałem w szpitalu, a potem leczyłem się w domu. Usiłowałem przekonać oficera, że pistolet nie jest moją własnością, lecz elementem wyposażenia żołnierza.

— Trudno przecież w czasie wojny wyobrazić sobie żołnierza bez broni — mówiłem.

Na pytanie, czy znana jest mi treść zarządzenia władzy radzieckiej o obowiązku zdania wszelkiej broni, czy wiem co grozi tym, którzy tego nie uczynili, odpowiadałem, że jako żołnierz polski mogłem oddać broń tylko władzom polskim.

— Powiedz mi w takim razie — powiedział oficer — jaką władzę uważasz za polską?

— Dowództwo AK.

— Ale waszego dowództwa już nie ma. Nie ma waszego "Wilka" i jego zastępców...

— Ich nieobecność uważam za chwilową. Myślę, że zaistniało jakieś nieporozumienie. Ta sprawa musi się wyjaśnić. A co do władzy, to powinniście wiedzieć, że w Londynie jest nasz rząd, że mamy tam swego prezydenta i naczelnego wodza.

— Ale w Wilnie władzę sprawuje Związek Radziecki. Wilno — to stolica radzieckiej Litwy...

— Gdy zorientowałem się, że najbardziej obciąża mnie posiadanie nielegalnej broni, spytałem oficera na jakiej podstawie aresztowano moich kolegów, którzy broni nie posiadali. W odpowiedzi dowiedziałem się, że nikogo z nas nie zwolnią.

— Możecie zapomnieć o wolności w swojej Polsce! Będziecie się cieszyć, jeśli ominie was "dziewięć gramów". Radzę ci — dodał podniesionym tonem — przestać grać wariata. Wiesz dobrze, co nabroiłeś. Jeśli nie zeznasz po dobroci, to wyciśniemy siłą. Radzę wszystko sobie przypomnieć i wyznać jak na spowiedzi. Inaczej zgnijesz.

Potem straszył, że na takich drani jak ja nie trzeba angażować sądu.

— Mamy na miejscu piwnice. Sprowadzimy na dół, jeden moment i koniec. Wiedz, że nikt się o tym nie dowie — nawet pies nie zaszczeka.

19/10



Po przesłuchaniu wróciłem na salę. Koledzy czekali na informacje. Każdy chciał wiedzieć, o co pytają i o co oskarżają i jak się odnoszą. Pan Marynowski z Frankiem Raczewskim doszli do wniosku, że którejś nocy wywiozą nas do Ponar. Podrywali się przerażeni na każdy warkot motoru wjeżdżających na podwórze samochodów. Marynowski widział ratunek w ucieczce.

— Nie możemy pozwolić — mówił — by ukatrupili nas tak, jak Niemcy Żydów. Nie możemy wykluczyć, że ci dranie gdzieś tutaj mordują ludzi.

Franek drżał ze strachu i po paru dniach rozchorował się. Prosimy o przybycie lekarza, ale okazało się, że w tymczasowych aresztach nie ma lekarzy.

Na trzeci dzień byłem przesłuchiwany na nowo. Padaly te same pytania i te same odpowiedzi. Za trzecim razem oficer zapisał nazwiska i adresy wszystkich moich wujków, cioci, kuzynów, babć i dziadków. Interesowało go, czym zajmowali się przed wojną i w czasie okupacji.

12 września wieczorem przenieśli nas do więzienia śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej na rogu Mickiewicza i Ofiarnej. W czasie okupacji niemieckiej urzędowało tam gestapo.

Cele więzienne mieściły się w piwnicach. Rozdzielono nas, ja znalazłem się w celi numer 11. Absolutna ciemność i cisza sprawiły, że przez pewien czas nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Po chwili milczenia ktoś odezwał się po polsku.

— Pan chyba nic nie widzi i nie wie, gdzie się rozmieścić? Proszę tutaj, koło mnie. Proszę ostrożnie, bo nas jest więcej.

Podziękowałem i po omacku przesunąłem się w kierunku, z którego dochodził głos.

Położyłem się na zimnej, cementowej posadzce.

— Niech pan stara się zasnąć. Porozmawiamy z rana.

Miałem na sobie tylko cierkie, letnie spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami. Od twardego cementu ciągnęło chłodem i wilgocią. Ktoś mocno chrapał, a ja drżałem z zimna i dziwiłem się, jak można spać w takich warunkach. Przewracałem się z boku na bok, zmieniałem pozycje z leżącej na siedzącą i tak przemęczyłem się do rana.

O świcie zorientowałem się, że cela ma kształt kwadratu i jest dość przestronna. Na powierzchni około 20 metrów kwadratowych mieliśmy tylko siedem osób. W ścianie naprzeciwko drzwi było małe zakratowane okienko, na ścianie bocznej drugie. Aby wyjrzeć przez okno, trzeba było korzystać z pomocy kolegów. Ktoś musiał wówczas zasłonić "judasza" i nadsluchiwać, czy nie zbliżył się strażnik — żołnierz MGB. Inni podnosili chętnego do góry, bo okienko było pod sufitem. W rogu celi stała beczka z przykrywą. Polacy nazywali ją kibelem, a Rosjanie paraszą.

W pewnej chwili usłyszałem kroki strażnika i głośnie stukanie cel<sup>de</sup> <sup>licz</sup>.

— *Podjóm! Podjóm!* — wołał — *Frigatowit parasz!*\*

Tuż za nim kroczył drugi, który otwierał cele i wypuszczał więźniów do ubikacji. Do ubikacji wypuszczano raz na dobę po pobudce. Trzeba było zabrać ze sobą kibele do opróżnienia. Po pobudce strażnicy zabraniali leżeć. Mogliśmy tylko stać, siedzieć i spacerować.

\*Pobudka, Pobudka! Przygotować kibel!

Pobudki robiono o szóstej rano, a cisza nocna obowiązywała od dziesiątej wieczór. Wkrótce po pobudce strażnicy przynosili śniadanie. Podawali je przez okienko w drzwiach, tak zwane *karamuszki*. Śniadanie składało się z 45 kg lichego mokrego chleba i pół litra barwionej na kawowy kolor wrzącej wody. W porze obiadowej dostawaliśmy pół litra ciepłego mętnego płynu, który najbardziej przypominał wodę po zmywaniu naczyń. Strażnicy nazywali ten płyn zupą. Raz na kilka dni trafiał się w niej kawałek nieobranego ziemniaka. Na kolację mieliśmy tylko pół litra wrzącej wody.

W celi było oprócz mnie czterech Polaków, Litwin i Rosjanin. W tym więzieniu przesiedziałem ponad cztery miesiące. Ani razu nie zaprowadzono nas z celi na spacer i ani razu nie byliśmy w łaźni. Istną plagą były wszy. Coraz dotkliwiej dokuczał głód, ale najgorsze były nocne przesłuchania. Przy wywoływaniu więźniów strażnicy nigdy nie używali nazwisk. Ograniczali się do wymienienia tylko pierwszej litery. Więźniowie, których nazwiska zaczynały się na daną literę, podawali je w pełnym brzemieniu i w ten sposób strażnik wybierał właściwą osobę. Padalo wówczas krótkie polecenie: "*Dawaj k*"

51  
52 41

*sledowateli!*". Więźniów przesłuchiwało przeważnie w nocy, co było bardzo męczące, bo w ciągu dnia nie pozwalano nam spać. Jeśli strażnik obserwujący całą przez "judasza" stwierdził, że siedzący więzień miał zamknięte oczy, karał go pięćcma dobami karceru.

J \*Zbieraj się do oficera śledczego!

Każda rozmowa z oficerem śledczym kosztowała wiele zdrowia. Składaliśmy sobie dokładne relacje o przebiegu śledztwa, z których wyciągaliśmy różne wnioski i snuliśmy na ich podstawie różnorakie przypuszczenia. Najwięcej tego typu aktywności przejawiali panowie Wiśniewski i Świerczyński.

Najstarszy wiekiem pan Wiśniewski — przedwojenny pracownik dyirekcji kolei i działacz PPS — miał ponad pięćdziesiąt lat. Czterdziestoletni pan Świerczyński był urzędnikiem pocztowym. W czasie niemieckiej okupacji obaj należeli do akowskiego podziemia. Byłem najmłodszy w celi. Nieco starszy ode mnie Heniek Jasiński już w 1939 roku ukończył wileńskie gimnazjum ojców jezuitów, a od 1940 roku należał do podziemia. Przez dłuższy czas obsługiwał tajną radiostację. Skazali go na piętnaście lat łagrów. Czwartym Polakiem był porucznik Jagoda, pseudonim "Brzoza", dowódca kompanii z 3 Brygady "Szczerbca".

Rosjanin Sołowjow siedział za dezercję. Nie chciał wojować.

— Pobiją — mówił — faszystów niemieckich, ale niczego to nie zmieni, bo w Rosji pozostaną faszyci czerwoni

Nie miał zamiaru pomagać im w zwycięstwie. Wolął odsiedzieć kilka lat w łagrze.

W najgorszej sytuacji był Litwin — kapitan Kurpis, którego oskarżano o masowe zabójstwa obywateli sowieckich. Przed wojną był zawodowym oficerem armii litewskiej, przez kilka lat pracował w sztabie generalnym. W ramach misji wojskowych wyjeżdżał za granicę — do Niemiec, Łotwy, Estonii, Szwecji i Finlandii. W czasie okupacji niemieckiej koledzy z wojska namówili go do służby po stronie niemieckiej.

Zdecydowaną większość więźniów w więzieniu śledczym MGB stanowili Polacy, ale sporo było też Litwinów i Rosjan. Prawie wszystkich Polaków oskarżano o przynależność do Armii Krajowej. Litwinów — o współpracę z okupantem niemieckim i przestępstwa kryminalne.

Najpóźniej trafił do więzienia porucznik "Brzoza" Zabrali go z ulicy. Opowiadał o szalejącym w mieście terrorze. Twierdził, że pod tym względem w Wilnie jest o wiele gorzej niż za czasów okupacji niemieckiej. Robią rewizje w zakładach pracy. Otaczają wojskiem kamienice i całe dzielnice. Rewidują wszystkie mieszkania, w nocy wyciągają ludzi na ulicę, pakują do samochodów i odwożą do więzień. W dzień na każdym kroku sprawdzają dokumenty, młodych zatrzymują i zabierają do więzień. Często zabierają dzieci razem z dorosłymi.

Wkrótce dowiedziałem się od oficera śledczego, że w ZSRR winę można przypisać każdemu. Gdy więzień twierdził, że jest niewinny, oficer śledczy oznajmiał mu:

— Gdy mamy człowieka, artykuł i paragraf zawsze dobierzemy.

Powszechnie znane było powiedzenie, że w każdym tysiącu zatrzymanych na pewno jest jeden winny. Tak służba bezpieczeństwa usprawiedliwiała masowe aresztowania.

Na wsi sytuacja była podobna. Organizowano oblawy na uchylającą się od poboru do wojska młodzież. Ludzie dochodzili do obłędu. Przetrawienie, o którym mówiło się po rozbrojeniu oddziałów Armii Krajowej, stawało się coraz truchiejsze.

Wszystkich przerażała bezsilność naszego rządu i obojętność naszych sojuszników na sowieckie barbarzyństwa. Nowi więźniowie twierdzili tymczasem, że "Wilka" i naszych oficerów nie aresztowano lecz internowano. Łączyliśmy z tym pewne nadzieje.

— Skoro ich nie uważają za więźniów — rozmawialiśmy naiwnie — to tym bardziej nie powinni więzić nas.

20  
11 Na każdym przesłuchaniu bito kapitana Kurpisa. Strażnicy często przywlekali go do celi bezwładnego, nieprzytomnego. Dwa lub trzy razy pobito także porucznika "Brzozę", który bał się, że skazają go na śmierć, bo do aresztowania działał w podziemiu.

Litwin nigdy nie opowiadał nam o przebiegu śledztwa. Po odzyskaniu przytomności długo się modlił. Pewnego dnia wyznał nam, że w 1942 roku

52  
53



42  
dowodził oddziałami egzekucyjnymi w rejonie Starych Święcian. Mówił o potwornościach kierowanej przez niego akcji:

— Podlegli mi żołnierze i policjanci strzelali do pracujących w polu rolników, do kobiet, starców i dzieci — do każdego kto odzywał się po polsku na ich zawołanie. Nie byłem inicjatorem tej zbrodni, otrzymałem taki rozkaz, ale nie pomniejsza to w niczym mojej winy. Wy przeżyjecie ten więzienny koszmar, ale mnie czeka śmierć, widzę ją już przed sobą. Przedtem bałem się; teraz nie boję się śmierci, boję się tylko sądu Bożego i wiecznego potępienia. Jestem katolikiem jak wy. Proszę was — wybaczcie mi! Chrystus wybaczył nawet Judaszowi...

W celi panowało milczenie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby trafił do naszych rąk przed kilkoma miesiącami, zostałby skazany na śmierć. Nie uratowałaby go żadna spowiedź i prośba o wybaczenie, ale teraz...

— Nie jesteśmy sędziami — powiedział wreszcie pan Wiśniewski — współczujemy pańskim katuszom, ale nie stać nas na nic więcej. Nie wiem, czy przyniesie to paru ulgę.

— Kiedyś byłem porządnym człowiekiem — odczwał się znów Kurpis. Wspominał przeszłość, mówił o swoich wyjazdach za granicę. Najdłużej zatrzymał się na Finlandii.

— Nie wiecie, jaki to piękny kraj i jacy wspaniali tam ludzie. Najgorszym wrogiem Fina jest bolszewizm. Czerwona gwiazda to w tym kraju znak śmiertelnego niebezpieczeństwa. Na ćwiczebnych tarczach w armii mają tam postacie żołnierzy z czerwonymi gwiazdami...

Potem znów żalił się nad sobą.

— Gdyby nie ta wojna i ten przeklęty Hitler, byłbym nadal człowiekiem. Jeszcze kilka lat i poszedłbym na emeryturę. W czerwcu 1941 roku, kiedy bolszewicy opuścili Litwę nie spodziewałem się, że wszystko skończy się tak paskudnie. Mogłbym nie stawić się do wojska, ale pchała mnie nienawiść do bolszewizmu i strach przed pomówieniami, że nie chcę przysłużyć się ojczyźnie. Zwalczaliśmy wrogów Litwy. Do was — Polaków — miałem żal za Wilno. Baliśmy się, że z czasem nas spolonizujecie. Potem trafiłem do Saugumy. Tam przekonałem się, że wpadłem w bagno. Oprócz wrogów Litwy zaczęliśmy zwalczać wrogów Niemiec. Zdawałem sobie sprawę, że moja służba w tej instytucji nie przyniesie sławy Litwie, ale nie miałem odwagi zdobyć się na krok, który dyktowało mi sumienie.

Zwierzzenia kapitana wytworzyły ponurą atmosferę. Mieliśmy przed sobą proszącego o przebaczenie zbrodniarza. Nikt nie śmiał powiedzieć mu czegoś przykrego. Patrzyliśmy na niego z obrzydzeniem i politowaniem.

Czułem ogromny żal do tych, którzy nas tak strasznie poniżyli. W oczach strażników byliśmy takimi samymi przestępcami jak on. Zarzucali mi zdradę ojczyzny. Grożąc śmiercią żądali przyznania się do czynów, których nie popełniłem i które nie miały nic wspólnego ze zradą. Wszystko to było okropne i przerażające, głowa pękała mi od natłoku myśli.

Moją sprawę prowadziło dwóch oficerów śledczych. Nie pamiętam nazwiska pierwszego z nich. Drugim był kapitan Kudykin. Na przesłuchanie wzywali mnie na ogół około dziesiątej i trzymali do trzeciej, a nawet do piątej po południu. Robili to celowo, aby pozbawić więźnia podawanego na obiad ciepłego płynu. Gdy wracałem do celi, tak zwana zupa była zupełnie zimna i jako posiłek nie przedstawiała żadnej wartości. Po kilku godzinach wracałem do gabinetu śledczego gdzie nieraz trzymano mnie do rana. Rzadko zdarzał się dzień bez przesłuchań. Prowadzący śledztwo oficerowie nalegali, żebym przyznał się do walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu i do udziału w walkach z oddziałami partyzantów sowieckich. Twierdzili, że należałem do bandyckiej organizacji wojskowej.

Na początku listopada, późnym wieczorem, strażnicy doprowadzili mnie do pokoju Kudykina. Byłem tam już kilkadziesiąt razy. Kapitan siedział za biurkiem i čmił skreślonego z gazetowego papieru papierosa. Jak zwykle kazał mi usiąść na ustawionym w odległości trzech metrów od biurka taborecie. Kudykin nie zwracał na mnie uwagi. Przeglądał znajdujące się w papierowej teczce kartki protokołu i od czasu do czasu coś notował. Siedziałem tak ponad godzinę, zastanawiając się co ten diabeł knuje.

W pewnym momencie wstał z krzesła i wrzasnął:

— Czego milczysz? Nie po to wezwałem cię, parszywy draniu, żeby słuchać twego milczenia. Mów, sukinsynie! Dzisiaj, faszystowska mordoba, musisz się przyznać. Najwyższy czas, byś zrozumiał, że z nami nie przelewkis. Musiałeś coś słyszeć o czekistach. A więc czekisći to my. Z naszych rąk na pewno się

53

54



nie wyslizniesz. Jeśli teraz nie powiesz prawdy, będzie z tobą koniec...

48  
Nie zareagowałem na te wrzaski, a Kudykin dalej straszył. Był to przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna. Miał około czterdziestu lat. W czasie śledztwa upodabniał się do drapieżnego zwierza, ale potrafił też być słodki jak cukierek. Tym razem rzucił mi coraz groźniejsze spojrzenia, ciskał wiązanekę wulgarnych słów i zgrzytał zębami. Ale ja nie mogłem przyznać się ani do tego, że Armia Krajowa była antyradziecką bandycką organizacją, ani nie mogłem stwierdzić, że wstąpiłem do Armii Krajowej po to, by walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu, bo celem AK była walka z niemieckim okupantem. To, że dochodziło do starć między oddziałami AK i partyzantami sowieckimi, nie zależało od nas. Skoro oni na nas napadali, musieliśmy się bronić. Zarzuty o dążeniu do oderwania od ZSRR ziem tak zwanej Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainy i Ziemi Wileńskiej uważałem za niedorzeczne. Nie wyciągaliśmy rąk do niczego, co nie było nasze. Tłumaczyłem mu wielokrotnie, że tak jak wszyscy Polacy poszedłem walczyć o wyzwolenie kraju spod okupacji. Mówiłem, że walczyliśmy o wolną Polskę.

W pewnej chwili kapitan rzucił mi pod nogi tłący się papieros, wrócił do biurka, cisnął kałamarzem i zgrzytając zębami zamachnął się pięścią w moim kierunku. Zdążyłem się uchylić, więc z wściekłości plunął mi w twarz.

— ... twoją mat! Jak długo, podły bandyto, będziesz mnie męczyć?!

Cofnął się o krok szykując się do nowego rozmachu, na co uniosłem się z taboretu. Otarłem z twarzy ślinę, spojrzałem pogardliwie i krzyknąłem:

— Mam już tego dosyć! Jaki ze mnie dureń, że usiłowałem widzieć w was sprzymierzeńców. Głosicie przyjaźń z Polską, a co z nami wyczyniacie. Niczym nie różnicie się od hitlerowców. To w ten sposób dziękujecie, że razem z wami walczyliśmy o Wilno... Od tej pory nie powiem nic, będę milczał...

Bez zezwolenia usiadłem i czekałem na reakcję. Trząsnąłem się ze zdenerwowania. Bardzo chciałem czegoś się napić. Gdy podniosłem głowę, Kudykin stał za biurkiem i palił nowego papierosa. Przyjrzał mi się od stóp do głowy i wycedził:

— Znaczą, takaja iz tiebia pticzka... \*

Potem usiadł i bardzo dużo palił. Spodziewałem się dalszych wrzasków, ale kapitan milczał. Siedzieliśmy przez kilka godzin. Nad ranem powkładał swoje papierki do szuflady, zamknął biurko i oznajmił, że na dzisiaj wystarczy. Jak zawsze odprowadził mnie do kancelarii, w której dyżurowali strażnicy. Z jednym z nich wróciłem do celi.

§\* A więc to taki z ciebie ptaszek...

91/12) Droga z pokoi oficerów śledczych do celi wiodła przez wiele korytarzy, na których panował ciągły ruch. Prowadzeni przez strażników więźniowie musieli zakładać ręce do tyłu. Za każdym razem byliśmy ostrzegani, że nie mamy prawa się rozglądać. Gdy korytarz skręcał w lewo lub w prawo, strażnik uruchamiał dzwonek. W ten sposób dawał znać innym strażnikom, że prowadzi więźnia. Inni strażnicy prowadzący w tym czasie więźniów, kazali im odwracać się twarzą do ściany i zakrywać dłońmi oczy. Chodziło o to, by więźniowie nie mogli siebie rozpoznać.

V dawaj  
Byłem mocno zmęczony i wyczerpany nerwowo. Po omacku dotarłem do swego miejsca i błyskawicznie zasnąłem. Znowu byłem w szeregach AK. W dłoniach trzymałem piękny, nowiutki automat. Przez deszcz kul, po gruzach biegłem naprzód. Jakiś niewiadomy głos wołał: "Lećcie orły, lećcie, tam was czekają". Potem brałem udział w wymarzonej defiladzie w Wilnie. Dookoła tłum mieszkańców — kobiet, starców i dzieci. Wszyscy syją kwiaty, wiwatują... wszędzie powiewają biało-czerwone flagi. Z falującego jak morze tłumu słychać nieprzerwane okrzyki: "Niech żyją!" Wśród szalejących ze szczęścia ludzi dostrzegłem moją kochaną mamę i siostrę. Uśmiechały się do mnie, wołały coś. Mama ocierała oczy. Orkiestra grała "Warszawiankę"...

Wspieniały sen przerwał głuchy łoskot ogromnej metalowej zasuw i otwieranie skrzypiących drzwi, w których ujrzałem znajomą postać

barbosa\*\*.

§\*\* W języku więziennym strażnik.

— Podjóm! Podjóm!: — wołał donośnym głosem — Prigatowit paraszu!

Po kilku minutach pojawił się w drzwiach inny strażnik, który pytał o więźnia o nazwisku na literę "S". Gdy wymieniłem nazwisko, usłyszałem:

mat!

mat  
wielokrotnie  
był

54

55

— *Dawaj k śledowatielu!*

Kudykin siedział za biurkiem i kopcił... Zastanawiałem się, kiedy ten człowiek śpi. Powitał mnie z uśmiechem i rosyjskim *zdrastujtie*.

— Siadajcie, Henryku Michajłowiczu.

Byłem kompletnie zaskoczony tą nagłą zmianą.

— Wybacz mi za wczorajsze, a właściwie za dzisiejsze... Powinieneś wiedzieć, że jestem tylko człowiekiem. Wybuchnąłem... Nie potrafiłem się opanować, ale zapewniam cię, że coś podobnego nigdy się nie powtórzy.

Słuchałem go z niedowierzaniem. Bałem się podstępów, ale od tej chwili Kudykin naprawdę stał się normalnym człowiekiem. Nie unosił się nigdy i nie używał wulgarnych słów. Okazywał mi wiele zrozumienia, a nawet sympatii. Protokółował tylko to, co mówiłem. Niczego nie wymuszał. Często przerywał przesłuchania i rozmawiał ze mną prywatnie. Któregoś dnia kazał napisać list do rodziców.

— Jutro — powiedział — będę w Nowej Wilejce i sam go doręcę.

Wkrótce zacząłem dostawać paczki żywnościowe. W pierwszej paczce oprócz żywności otrzymałem czystą bieliznę, parę swetrów, zimową kurtkę i dwa grube koce. Żywność zatrzymał Kudykin w swojej szafie. Potem wzywał mnie niby to na przesłuchanie, a faktycznie tylko po to, żeby dokarmiać. Spytałem, dlaczego nie pozwala mi wziąć do celi niczego z żywności.

— Wtedy — tłumaczył — musiałbyś się dzielić z innymi. A ta paczka jest tylko dla ciebie. Inni nie mogą z niej korzystać.

Powiedziałem, że w celi są moi rodacy, oskarżeni o to samo, co ja, na co zareagował uśmiechem, ale pozwolił wziąć ze sobą parę sucharów... Kiedyś spytał, czy uczyłem się historii i nawiązał do tak zwanej ekspansji polskiej, co miało świadczyć o zaborczości Polaków. Wtedy przypomniałem mu rozbiory Polski. Innym razem usiłował mnie przekonać, że najlepszymi żołnierzami są Rosjanie. Zaprzeczyłem temu i stwierdziłem, że Polacy są waleczniejsi.

— Mówisz, że są waleczniejsi, ale z Kijowa w 1920 roku uciekali jak oparzeni. Bali się naszego Budiennego jak diabeł święconej wody. Nie udało się Piłsudskiemu na Ukrainie...

Gdy mu się odwzajemniłem klęską bolszewików pod Warszawą, powiedział, że Tuchaczewski to zdrajca.

— Gdyby nie on, Warszawa byłaby nasza.

Próbował też drwić z naszej obrony w czasie kampanii wrześniowej, ale zmienił temat gdy powiedziałem o bolszewickim nożu w plecy i wspomniałem o panicznym odwróceniu Armii Czerwonej po 22 czerwca 1941 roku. Dziwiłem się, że nie brał mi za złe mojej krytyki.

Z biegiem czasu przestałem go nienawidzić. Doszedłem do wniosku, że nie był najgorszym człowiekiem. Wiedziałem, że nikt mu nie kazał inaczej mnie traktować. Nie był więc wyzuty z sumienia i chyba umiał — a przynajmniej się starał — myśleć samodzielnie.

Pewnego razu zaprowadził mnie do pokoju prokuratora, z którym zostawił mnie sam na sam. Prokurator był pułkownikiem służby bezpieczeństwa. Spytał, czy chcę wrócić na wolność. Odpowiedziałem twierdząco.

— Wskażesz nam przynajmniej jeden z waszych magazynów broni — oznajmił — i tego samego dnia pójdziesz do domu.

Roześmiałem się i oświadczyłem, że o żadnych magazynach nigdy nie słyszałem.

— *Podmaj!* Radzę się zastanowić, przypomnieć. Przecież przed aresztowaniem spotykałeś się z kolegami z Armii Krajowej. Wierzę, że nie widziałeś tych magazynów, ale nie wierzę, żeby żaden z twoich kolegów nic o nich nie wiedział. Obaj wiemy, że nie wszyscy akowcy złożyli broń. Część rozeszła się po lasach, a część powróciła do domu bez broni, bo na rozkaz swoich dowódców schowali ją w terenie — na potem... Gdybyś się namyślił, powiedz strażnikowi, że niezwłocznie chcesz widzieć się z kapitanem Kudykinem. Pójdziemy razem na wskazane miejsce. Gdy informacje się potwierdzą, nie wrócisz do celi. Ręczę słowem radzieckiego oficera.

W tym momencie do pokoju wszedł Kudykin.

— Kazałem mu pomyśleć — rzekł doń pułkownik.

\*

Ostatni raz w pokoju Kudykina byłem w grudniu.

— Twój ojciec, Henryku Michajłowiczu — powiedział — wstąpił do naszej polskiej armii. Starał się, byś mógł pójść z nim, ale nic z tego nie

44

55

56

56

57



wyszło. Był nawet u ministra. Pół roku wcześniej może coś by wskórał, ale nie teraz, kiedy zakończyłem śledztwo w twojej sprawie. Chciałbyś na pewno wiedzieć, co dalej? Myślę, że wywiozą was gdzieś do pracy, potrzymają do końca wojny i odprawią do waszej Polski. W obozie będzie lepiej. Nie zabraknie świeżego powietrza. Możecie liczyć na lepsze wyżywienie. Wasza sprawa jest mocno skomplikowana. Nie można wsadzić was do worka ze zdrajcami, niemieckimi agentami i zbrodniarzami. Macie jeszcze swój rząd i sprzymierzeńców. Ostatnio robią o was sporo szumu. Nie wiem, czym to się skończy, ale tego, co najgorsze z pewnością unikniecie. Teraz musimy sprawę skierować do sądu. Powiesz im, co mówiłeś w czasie śledztwa i wszystko. Gdybyś zaprzeczył złożonym już zeznaniom, sąd zarządzi powtórzenie śledztwa i wtedy nie wyjdiesz tak szybko z więzienia. Wiem, że masz do mnie żal, ale musieliśmy was izolować. Wileńskie lasy są pełne akowców. Jest tam twój "Korsarz". Strzelają do naszych żołnierzy, buntują i terroryzują ludność, prowadzą antyradziecką agitację, a nawet palą posterunki milicji i wiejskie sowiety. Gdyby nie więzienie, mógłbyś być z nimi. Pomyśl sam o swoim i ich losie... Dla nich nie będzie litości...

Potem spytał o moje zdanie na ich temat. Zapewnił, że nie będzie tego protokołował. Powiedziałem więc, że nie przypisuję im żadnej winy, bo poszli do lasu, by uniknąć więzienia i Syberii.

— Gdybyście nas nie rozbroili i nie uwięzili, dawno bylibyśmy na froncie. Dobrze wiecie, że chcieliśmy walczyć do końca.

Kudykin spytał, jak wyobrażam sobie Polskę po wyzwoleniu. Odpowiedziałem, że pragnę takiej Polski, jaką rysował nam generał Sikorski.

— Gdyby ten człowiek żył, nasza sprawa wyglądałaby inaczej.

Kudykin wiedział dość dużo o Sikorskim.

— Wasz generał miał duży autorytet. Liczył się z nim nawet sam Stalin, ale Anglicy go nie chcieli. U was także nie wszystkim pasował.

Przez chwilę zamyślił się i stwierdził, że w jego przekonaniu przyszłość Polski będzie kształtować się w sojuszu z Rosją.

— Możesz się ze mną nie zgadzać, ale kiedyś przyznasz mi rację.

Na zakończenie odczytał mi protokół o zniszczeniu znalezionych przy mnie partyzanckich zdjęć. Wynikało z niego, że były szkodliwe dla ZSRR.

Po kilku dniach zabrano nas do łaźni. Cieszyliśmy się, że wreszcie pozbedziemy się wszy. Wszyscy cierpieliśmy na świerzby. Nasze ciała były podrapane do krwi. Po powrocie z łaźni do celi wpadło kilku strażników. Kazali rozbierać się do naga i przystąpili do szczegółowej rewizji. Musieliśmy robić przysiady, a oni świecili latarkami, obszukiwali wszystkie nasze osobiste rzeczy i całą celę. Wycinali z odzieży ocalałe pojedyncze guziki, zabierali najmniejsze skrawki papieru. Dezenter twierdził, że niedługo nas gdzieś wywiozą. Wkrótce zostaliśmy przeniesieni do znanego jeszcze z czasów carskich więzienia na Łukiszkach.

← ~~ŁUKISZKI~~

Wiedziałem, że w czasie zaborów przeszły przez to więzienie tysiące Polaków. Z Łukiszek w zasadzie prowadziły tylko trzy drogi: na szubienicę, na katorgę i na zesłanie.

Na wolność nasi przodkowie wychodzili bardzo rzadko. Dlatego Łukiszki były postrachem Wilna i całej Litwy. Nigdy jednak nie miały takiego "powodzenia", jak po 17 września 1939 roku. W ciągu pięciu lat wojny i następnych pięciu po jej zakończeniu przez Łukiszki przeszły dziesiątki tysięcy więźniów. Codziennie kryte brezentem samochody odjeżdżały stamtąd na miejsce kaźni — do położonych w pobliżu Wilna Ponar. Co kilka tygodni ładowano więźniów do bydłowych wagonów i wywożono do obozów koncentracyjnych i na przymusowe roboty do Niemiec. W czasie okupacji sowieckiej pociągi mknęły na Wschód. Ilu więźniów przeszło przez Łukiszki w roku 1944 i kilku następnych latach, wiedzą tylko najwyżsi funkcjonariusze MGB.

Trafiłem na Łukiszki w grupie składającej się z około dwustu osób. Wszystkich nas wpakowano do celi numer 201 w trzecim korpusie. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce. Nie mieliśmy miejsca nawet na wyciągnięcie nóg. Spaliśmy w pozycji "na waleta". Największą makabrą było przedstawianie

22  
/ 23

\*

57  
58

nie poprawić



się do ustawionych przy drzwiach pięciu kibli. W nocy musieliśmy czołgać się do nich po śpiących ciałach. Wyżywienie było takie samo jak w więzieniu śledczym. Tak zwaną zupę i kawę strażnicy podawali w blaszanych puszkach po amerykańskiej wieprzowinie. Łyżek nie mieliśmy. Nie były zresztą potrzebne, bo płyn zwany zupą można było wypić jak wodę. Nigdy nie znalazłem w niej kawałka ziemniaka, a kilka piwiających ziarenek kaszy idealnie pasowało do znanej z czasów okupacji piosenki: "A na obiad taka zupa — garnek wody — jedna krupa..."

W nowej celi przesiedziałem około dwóch miesięcy. Było tam brudno i duszno. Już po paru dniach łaziły po nas wszy, zabijaliśmy je paznokciami. Od wypełnionych kibli rozchodziła się okropna woń. Przelewające się z beczek fekalia roznoszono po całej celi. Najgorzej mieli więźniowie, którym dostały się miejsca przy kiblach — leżeli dosłownie na ludzkich nieczystościach.

W celi 201 spotkałem kolegów z Nowej Wilejki. I tutaj Polacy stanowili większość. Na drugim miejscu byli Litwini, potem Rosjanie i inne narodowości.

Potem porozrzucano nas po pojedynczych celach. W normalnych warunkach przebywał w takiej celi jeden więzień. Teraz lokowano w nich po trzydzieści osób. Mogliśmy leżeć tylko na boku, gdyż na ułożenie się na plecach nie było po prostu miejsca. Gdy ktoś z więźniów musiał przewrócić się na drugi bok, wzywał całą trzydziestkę. O posłaniu czy jakimkolwiek łóżku mogliśmy tylko marzyć. Dużo pomogły mi przesłane przez rodziców dwa koce. Paczki od bliskich dostawali tylko nieliczni. W ciągu trzech miesięcy otrzymałem zaledwie dwie. W jednej znalazłem dwa bochenki chleba — resztę wykradli strażnicy.

Na Łukiszkach spotkałem dowódcę z 4 Brygady, kaprała "Flipa", który mówił, że w wileńskich lasach ukrywa się dużo młodzieży. Dowiedziałem się od niego, że w mieście i na terenie całego województwa działa jeszcze polskie podziemie. Do zwalczania go skierowano silne jednostki wojskowe, które bez przerwy tropiły "białopolskich bandytów", dezertersów i mężczyzn uchylających się od służby wojskowej. Każdego zatrzymanego bez ważnych dokumentów uważano za bandytę. Oprócz dowodu tożsamości wszyscy pełnoletni mężczyźni musieli posiadać "broniarkę", zaświadczenie stwierdzające, że są zwolnieni od służby wojskowej. Więzienie także groziło za udzielanie pomocy osobom nie posiadającym wymaganych dokumentów. Za przyjęcie obcego człowieka na noc lub nakarmienie groziło dziesięć lat łagrów. O wszystkich spotkanych nieznanym osobach należało meldować w najbliższym posterunku milicji. W przeciwnym razie traktowano to jako przestępstwo wobec państwa.

"Flip" potwierdził także otrzymaną od kapitana Kudykina informację o "Korsarzu", który z grupą swoich żołnierzy ukrywał się na północ od Wilna. Opowiadał, że "Korsarz" stoczył kilka zwycięskich walk z tropiącymi go oddziałami sowieckimi. Pod Czerwonym Borem, w rejonie Niemoczyna, doszczętnie rozbił cały oddział. Również inne grupy byłych żołnierzy AK, do których dołączyli młodzi chłopcy z wileńskich wsi, toczyły walki z jednostkami wojsk sowieckich. Od "Flipa" dowiedziałem się o udanej ucieczce "Błoka" z więzienia śledczego przy ulicy Ofiarnej.

\*

W celach więzienia na Łukiszkach spotkałem się z dwunastu i trzynastoletnimi więźniami... Chłopców zabierano razem z rodzicami podczas nocnych obław. Rodziny porozdzielano. Podczas śledztwa pytano dzieci o ich rodziców, sąsiadów i znajomych. Interesowano się kontaktami rodziców. Pytano, kto i jak często ich odwiedza, o czym rozmawiają ze swoimi gośćmi itd. Straszili chłopców Syberią. Zwolnienie z więzienia funkcjonariusze bezpieczeństwa uzależniali od prawdopodobności. Inaczej mówiąc, ceną wolności miało być zdradzenie ojca i matki. Innym razem stawiali przed wygłodzonymi dziećmi chleb, masło, kiełbasę i cukierki:

— Gdy powiesz o mamie i ojcu całą prawdę — mówili — wszystko będzie twoje.

Obiecywali też zwolnić rodziców. Twierdzili, że nie mają do nich żadnych zastrzeżeń, że zastrzeżenia dotyczą tylko ich znajomych, których nie warto żałować i o których trzeba wszystko powiedzieć.

Chłopcy trzymali się dzielnie. Nie skusiły ich smakołyki i nie powiedzieli nic, co mogłoby zaszkodzić zarówno rodzicom, jak i ich znajomym. Śmieli się z naiwności oficerów śledczych.

46

58)

59

— Ci dranie — mówił mi dwunastoletni chłopiec — uważają, że za cenę cukierka i kawałka chleba z kiełbasą można sprzedać mamę i tatusia. Tylko u nich mogą być takie półgłówki.

Od czasu do czasu cele wizytowali różnego rodzaju naczelnicy. Czasami odwiedzali je lekarze. Pytali o warunki i samopoczucie, co brzmiało ironicznie. Gdy skarżyliśmy się na ciasnotę, głód, brud i brak powietrza, obiecywali, że wkrótce będzie lepiej.

— Pójdziecie do obozów, gdzie będziecie mogli oddychać pełną piersią.

Pewnego dnia zasiał Władek Bujko. Natychmiast wszczęliśmy alarm. Stukaliśmy do drzwi. Gdy przyszedł strażnik, poprosiliśmy o wezwanie lekarza. Pół godziny później przybyła młoda lekarka. Dała mi coś do powąchania i kazała wypić parę kropelek jakiegoś leku. Potem musiał się rozebrać. Spojrzała nań, wzruszyła ramionami i orzekła, że wszystkiemu winien jest brak świeżego powietrza.

— W tych warunkach nie możecie ani wyglądać, ani czuć się lepiej.

Tak jak w więzieniu śledczym, również na Łukiszkach nie wyprowadzano nas na spacer. Perspektywa obozu istotnie była pocieszająca.

19 kwietnia strażnik zaprowadził mnie do więziennej kancelarii, gdzie dowiedziałem się, że za chwilę pojedę na rozprawę do sądu. Nikt nie doręczył mi aktu oskarżenia ani nie spytał, czy potrzebuję obrońców. Na podwórzu czekał więzienny samochód, tak zwany *czarny waron*<sup>X</sup> (czarny kruki). Była w nim młoda dziewczyna i kilku mężczyzn. Zawieziono nas przed budynek, w którym urzędował sąd, a tam pod eskortą żołnierzy wprowadzono do wypełnionej więźniami poczekalni. Dziewczyna, z którą przyjechałem przyglądała mi się badawczo i w pewnej chwili podała mi porcję więziennego chleba.

— Weź! Nie krępuj się i nie grymas! Kobiety są wytrzymalsze — rzekła stanowczym tonem. — W zapasie mam jeszcze jedną porcję.

Wziąłem chleb, chociaż miałem wyrzuty sumienia, bo wiedziałem, że nie mogła być syta. Dziewczyna była łączniczką w jednym z oddziałów Armii Krajowej. Miała osiemnaście lat. Gdy rozmawialiśmy, żołnierze wprowadzili do poczekalni młodego Litwina, który przez cały czas trzymał się za głowę i coś mamrotał.

— Dobrze mu — odezwał się stojący w drzwiach żołnierz. — Mondował, strzelał do bezbronnych. To jeden z ponarskich katów. Na pewno sąd skarze go na śmierć.

Po chwili wyjął z kieszeni woreczek z tytoniem i zaczął częstować więźniów. Litwina najpierw pominął, ale po kilku sekundach podszedł również do niego z otwartym woreczkiem.

— Swołocz z ciebie, ale *na, kuri!*<sup>\*</sup>

*1979* <sup>\*</sup> Masz, zapal!

Łączniczkę AK wezwano na salę sądową przede mną. Wróciła zapłakana.

— Za co skazali mnie na dziesięć lat łagrów? — wołała. — Nie przeżyję tego.

Nie mogłem jej uspokoić. Wtedy podszedł do niej żołnierz — ten sam, który przed kilkoma minutami rozdawał tytoń i zaczął ją pocieszać.

— Czemu głupia płaczesz? — powiedział z uśmiechem. — Przecież jesteś cała i zdrowa. Na twoim miejscu śmiałybym się z takiego wyroku. Dostałaś tylko *czernowica*<sup>\*\*</sup>, a ryczysz jak przy karze śmierci. *Czerwoniec*, kochana, to wyrok dla dzieci. Każdy go może zarobić — pierwszy lepszy z ulicy. Nawet mnie mogą nim obdarzyć — za to, że teraz z tobą gadam. Powie człowiek jakiś kawał i *czerwoniec* gotowy.

Łączniczka roześmiała się...

<sup>\*\*</sup> Banknot dziesięciorublowy, w przenośni — dziesięć lat łagrów.

Potem przyszła kolej na mnie. Pod eskortą dwóch uzbrojonych żołnierzy wszedłem na salę sądową. Za długim, pokrytym czerwienią stołem siedziało czworo umundurowanych sędziów, w tym jedna kobieta.

Byłem sądzony przez trybunał wojskowy. O rozprawie nie powiadomiono nawet rodziców.

W Związku Radzieckim w tym czasie pojęcia "otwartych drzwi" nie znano. Do budynku sądowego wstęp był zabroniony. Strzegli go ze wszystkich stron żołnierze z resortu Berii. Oskarżeni nie mieli prawa obrony i nie mogli powoływać się na zeznania świadków. W głębi Rosji — poza obszarami, które włączono do ZSRR we wrześniu 1939 roku — żaden oskarżony w procesach



politycznych nie znalazłoby świadków, ponieważ zeznawanie na korzyść oskarżonego o zdradę ojczyzny równało się samobójstwu. U nas na Wileńszczyźnie, każdy sądzony żołnierz AK mógłby mieć setki, a nawet tysiące świadków. Pod oświadczeniami dowodzącymi niewinności podpisałiby się wszyscy wilnianie, ale sowieckie sądy nie potrzebowały i nie przyjmowały takich oświadczeń.

Otwarcia przewodu sądowego dokonał oficer w stopniu pułkownika.

— Sobolewskij Giennych Michajłowicz — zaczął czytać — urodzony 13 listopada 1926 roku w Wilnie, obywatel Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, oskarżony z artykułu 58-1a Kodeksu Karnego RFSRR o udział w białopolskiej bandyckiej organizacji — Armii Krajowej, która w czasie niemieckiej okupacji stawiała sobie za cel walkę o wolną i niepodległą Polskę ze starym burżuazyjnym rządem i burżuazyjną konstytucją. Organizacja ta dążyła do oderwania od Związku Radzieckiego Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainy i stolicy radzieckiej Litwy — Wilna z całą ziemią wileńską...

W dalszej części oskarżenia była mowa o kierującym tą "bandycką organizacją" burżuazyjnym i antyradzieckim rządem polskim, który posiadał swoją siedzibę w Londynie i o jego przedstawicielstwie w Warszawie. Po przeczytaniu aktu oskarżenia pułkownik spytał czy przyznaję się do winy.

— Nie — odpowiedziałem.

Następnie powiedziałem, że nigdy nie byłem i nie jestem obywatelem sowieckim, wobec czego oskarżenie o zdradę Związku Radzieckiego nie może mieć zastosowania w stosunku do mnie.

— Jest ono po prostu nielogiczne — powiedziałem — bo moją ojczyznę jest Polska, która jak sami twierdzicie, musi być wolna, niepodległa i silna. Co do zarzucanej mi zdrady Ojczyzny wypowiedzieć się mogą tylko przedstawiciele mojego narodu — tylko polski sąd.

Sędzia wyraźnie się zdenerwował. Wstał z krzesła. Był czerwony ze złości. Z całej siły huknął pięścią w stół i wrzasnął:

— *Twój naród taki jak i ty!*

— Skoro tak uważacie — odparłem, — to powinniście sędzić cały naród.

Podczas gdy sędzia wrzeszczał i klął, asystujący mu oficerowie milczeli. Zapamiętałem z jego wywodu tylko dwa zdania:

— Tego nas smarkaczu nie ucz. Wiemy dobrze, co trzeba zrobić z tobą i twoim narodem.

— W takim razie róbcie — odpowiedziałem z zupełną obojętnością.

Sędzia uspokoił się i przystąpił do uzasadniania słuszności oskarżenia.

— Urodziłeś się — mówił — i mieszkałeś w Wilnie i jego rejonie. Rodzice twoi również pochodzą z Wilna i mieszkali w tym mieście oraz w jego rejonie przez całe życie, a Wilno należy do Związku Radzieckiego, wobec czego wszyscy mieszkańcy Wilna i całej sowieckiej Litwy są obywatelami radzieckimi...

Odczytywałem się do znanego mi prawa Polaków do repatriacji, tłumaczyłem, że ojciec mój jest w polskiej armii, że rodzice korzystając z prawa do repatriacji na pewno wyjadą po wojnie do Polski.

— Jakim cudem — spytałem — uważacie mnie, syna żołnierza polskiej armii, a więc syna obywatela polskiego, za obywatela radzieckiego?

Sędzia jeszcze raz spytał, czy przyznaję się do winy i kiedy powtórzyłem swoje "nie", zarządzono pięciominutową przerwę. Sąd musiał się naradzić.

⌋ \* Ⓟ Twój naród jest taki sam jak ty!

Po kilku minutach wróciłem na salę. Treść odczytywanego mi wyroku pokrywała się z oskarżeniem. Nagle usłyszałem "... sąd wymierza najwyższy wymiar kary..." Sędzia przerwał na chwilę, a wszyscy członkowie trybunału skierowali na mnie pełne ciekawości spojrzenia. Pomyślałem, że przyszedł koniec; sędzia zaczął czytać dalej. Wynikało z tego, że biorąc pod uwagę moją niepełnoletność i inne okoliczności łagodzące, sąd na tym samym posiedzeniu zamienił karę śmierci na dziesięć lat obozów pracy z pozbawieniem praw obywatelskich na okres pięciu lat oraz konfiskatę mojego majątku. Poczulem ulgę. Nie zwracałem uwagi na żadne szczegóły. Mogli mi dać i sto lat.

Ostatnie pytanie sprowadzało się do tego, czy zgadzam się z orzeczeniem sądu. Odpowiedziałem przecząco. Sędzia kazał mi podejść do stołu i podpisać orzeczenie. Gdy kilkakrotnie stanowczo odmówiłem, zwrócił się do żołnierzy, żeby wyprowadzili mnie z sali.



Po godzinie wróciłem do więzienia. W celi, w której przebywali więźniowie z wyrokami, spotkałem kolegów z Nowej Wilejki. Wszystkich nas skazano na dziesięć lat łagrów.

Po kilku dniach poddano nas badaniom komisji lekarskiej. Komisja składała się z kilku osób w białych fartuchach. Nikogo z nas nie badano ani nie pytano o zdrowie, natomiast oficer w białym fartuchu zrobił nam zdjęcie.

2 maja <sup>wy</sup>zuciono nas z celi na zapelniony więźniami balkon nieczynnego więziennego kościoła. Sprawdzono nasze personalia, a potem przeprowadzono szczegółową rewizję osobistą i wszystkich wyprowadzono na więzienne podwórze.

Na schodach budynku, zwanego pierwszym korpusem, pojawił się naczelnik więzienia, który oznajmił, że pojedziemy do obozu.

— Będziecie tam pracować. Uczciwą i solidną pracą możecie wymazać swoje winy i po odbyciu kary powrócić do grona wolnych obywateli radzieckich. Radziecka ojczyzna surowo karze zdradę i każdą działalność przeciw państwu, ale tym różni się od krajów kapitalistycznych, że wszystkim stwarza szanse poprawy. Nasze władze potrafią wybierać. Nie jesteście ludźmi straconymi, wszystko zależy od was.

Naczelnik eskorty wszystkim kazał ustawić się piątkami w kolumnę marszową. Potem ostrzegł, że eskortujący kolumnę żołnierze użyją broni bez żadnego uprzedzenia, jeśli więzień wystąpi z kolumny chociażby o jeden krok, będzie się zginał, by podnieść z ziemi jakikolwiek przedmiot, itd... Uprzedził, że podczas marszu nie można rozmawiać ani rozglądać się. Poleciał, by wszyscy więźniowie wzięli się pod rękę, a potem otwarto żelazną więzienną bramę i padła komenda: *Kolumna wpered!*

∫ Kolumna naprzód!

Za bramą było wielokrotnie więcej żołnierzy. Kroczyli z obu stron kolumny z gotowymi do strzału automatami, w odstępach nie większych niż trzy metry. Kilku z eskortujących kolumnę żołnierzy prowadziło na smyczy psy. Przed kolumną posuwał się oddział konny, który usuwał z trasy przechodniów i wstrzymywał ruch. Między oddziałem konnym a czołem kolumny maszerowały liczne patrole, które penetrowały wszystkie bramy, podwórka, klatki schodowe i przeganiały ludzi — nawet dzieci. Jeśli ktoś wyglądał przez okno, kierowali nań broń i kazali niezwłocznie się usunąć. Kawalerzyści oczyścili z ludzi cały Plac Łukiski. Przecinając ulicę Mickiewicza spostrzegłem transparenty z hasłami o radziecko-polskiej przyjaźni.

"Łukiszki nie mogą pomieścić więźniów — myślałem. — Gonią nas w nieznanie... Co za perfidia!" W różnych dzielnicach miasta utworzono dodatkowe więzienia, które były tak samo pełne, jak Łukiszki. Trzymali za kratami dziesiątki tysięcy Polaków.

74 Szliśmy pustymi, wymiecionymi z przechodniów ulicami rodzinnego miasta, 62  
25 które miało być przez nas wyzwolone... 63

Za Raduńskim Mostem skreśliśmy w stronę stacji towarowej. Po drugiej stronie linii kolejowej mieliśmy panoramę Wilna. Przebiegłem wzrokiem po wieżach zrujnowanych kościołów. Wkrótce zasłoniło je kilkadziesiąt towarowych wagonów.

Do każdego wagonu ładowano minimum pięćset osób. Byłem w jednym wagonie z Władkiem Bujko, Eckiem Noniewiczem, Bronkiem Siwickim, Herkiem Tomkiewiczem, Medkiem Kozłowskim i Orłowskim.

Umieszczone wysoko okna były solidnie zakratowane i poprzeplatane kolczastymi drutami. Półki z grubych desek tworzyły coś w rodzaju piętra. Razem z kolegami zająłem miejsce na piętrze w pobliżu okna. Do załatwiania potrzeb fizjologicznych służyła wychodząca z bocznej ściany otwierana na zewnątrz ryma.

Po kilku godzinach pociąg ruszył.

~~K~~ W NIEZNANE

Jechaliśmy w nieznanie. Wpatrzeni w zakratowane okienko żegnaliśmy kochane miasto, któremu żadna tyrania nie zniszczyła duszy — miasto cieleśnie i duchowo związane z Polską. Przejeżdżając naprzeciwko Ostrej Bramy przeżegnaliśmy się, prosząc Bożą Matkę o opiekę.

Minęliśmy omentarz na Rossie i po kilku minutach — dworzec w Nowej Wilejce. Zaraz za dworcem zauważyłem koczującego ścieżką przy torach Waldka

Szuskiewiczza. Krzyczałem, machałem rękami, robiłem wszystko, by nas zauważyli, ale pociąg pędził jak szalony...

Od Rosjanina, współwięźnia z wagonu, dostałem skrawek papieru i kawałek ołówka. Napisałem kilka słów do rodziców, wymieniając nazwiska kolegów, którzy jechali w pociągu. Zwinąłem kilkakrotnie papierek i czekałem na okazję, by go wyrzucić przez okno. Mogłem to zrobić w odpowiednim momencie tylko na odcinku do przedwojennej granicy z Lotwą. Trzeba było zwitek rzucić komuś prosto pod nogi, przy czym nie mógł to być Litwin ani Rosjanin.

Dojeżdżaliśmy do ostatniej stacji na polskiej ziemi — do Drui. Na poprzednich stacjach nie zauważyłem nikogo budzącego zaufanie. Pociąg zwalniał bieg. Na peronie stali trzej kolejarze.

Kartka upadła tuż przy nich. Widziałem, jak jeden pochylał się. Odniosłem wrażenie, że ją podniósł.

Od granicy łotewsko-sowieckiej pociąg zatrzymywał się na każdej większej stacji. Zauważyłem, że większość miast i miasteczek leżała w gruzach. Wioski były doszczętnie wypalone. Na odcinku, przez który przeszedł front, zamiast domów widać było prymitywne drewniane budki i ziemianki. Rosjanie mówili, że mieszkają w nich ludzie. Zdolni do noszenia broni mężczyźni byli jeszcze na froncie. Na tyłach pozostali starcy, inwalidzi, kobiety i dzieci. Jedyny raz w życiu oglądałem wówczas orkę, przy której do pługa zaprzęgnięto kobiety. Za pługiem szedł mocno pochylony starzec.

Na wszystkich stacjach roilo się od bosych, obdartych, głodnych dzieci, które kręciły się koło wagonów, wyciągając ręce po kawałek suchego chleba. Widocznie od czasu do czasu ktoś się nad nimi litował. Często oblegały również nasz transport. Z pewnością nie rozumiały, że jesteśmy więźniami.

— *Diadierka, podajcie kusoczek chleba!* \* — wołały.

∫ \*Wujku, dajcie kawałek chleba!

Byliśmy głodni, ale rzucaliśmy im część swoich porcji. Żołnierze z eskorty reagowali różnie. Jedni odganiaли dzieciaki, inni odwracali się tyłem, udając że nic nie widzą.

Podczas dziewięciodniowej podróży dostawaliśmy na dobę 40 dkg chleba i pół litra zupy. Kilka razy dostaliśmy do picia zimną wodę.

Trzy razy dziennie żołnierze sprawdzali stan więźniów w wagonie, opukując drewnianymi młotkami ściany i podłogi. W tym czasie więźniowie przechodzili na jedną stronę wagonu. Potem musieli przebiegać na drugą. Kto nie był dość szybki, obrywał po głowie lub po plecach drewnianym młotkiem.

W wagonie jechaliśmy z grupą Litwinów i Rosjan. Rosjanie lepiej znosili więzienne warunki. Część z nich sądzono za dezercję, a część za przestępstwa kryminalne. Najlepiej trzymali się kryminaliści, ponieważ okradali współwięźniów z żywności i odzieży, którą u strażników wymieniali na chleb i tytoń. Najczęściej ofiarami kryminalistów byli Litwini, których nazywali faszystami. Okradanie "faszystów" poczytywali za coś chlubnego. Do nas odnosili się poprawnie.

Po tygodniu dojechaliśmy do tonącego we flagach i transparentach Kotłasu. Na transparentach wypisane było słowo "*Pobleda*"\*\*. Od żołnierzy z eskorty dowiedzieliśmy się o kapitulacji Niemiec.

∫ \*\* Zwycięstwo.

Tego dnia żołnierze z eskorty byli dla nas łagodniejsi. Niektórzy częstowali tytoń i próbowali pocieszyć. Mówili, że władze z pewnością ogłoszą amnestię. Ale my wiązaliśmy wszystkie nadzieje z naszym rządem i krajami sojusznikami. Byliśmy pewni, że sprzymierzeńcy nie dopuszczą do sowietyzacji Polski. Baliśmy się tylko utraty ziemi wileńskiej i Lwowa.

Z Kotłasu pociąg ruszył w kierunku Uchty. Dojechaliśmy tam 11 maja. Dowództwo eskorty przystąpiło do czynności związanych z przekazaniem więźniów nowym "opiekunom". Kolejno otwierano wagony, sprawdzano personalia i formowano kolumnę. Za rabowanie odzieży współwięźniom kilku Rosjan powędrowało do karnego obozu.

Ze stacji pomaszerowaliśmy pod eskortą do obozu rozdzielczego, zwanego *pieresyłką*. Tym razem eskorta była słabsza. Nie było straży przedniej, kwalerystów, nie oczyszczano ulic z przechodniów, którzy po prostu byli przyzwyczajeni do podobnych scen. Większość mieszkańców Uchty i całej Autonomicznej Republiki Komi składała się z byłych więźniów i zesłańców.



Piersysyki przyjmowały transporty więźniów z różnych rejonów kraju i rozsyłały do rozmieszczonych w ich rejonie łagrów. Piersysyka w Uchcie dostarczała więźniów do całego ~~Ucht-Iżym-Lagu~~, okręgu obozowego, którego poszczególne punkty były rozrzucone w rejonie Uchty i Iżmy.

64 Na wszystkich ~~piersysykach~~ przędowały komisje, składające się z funkcjonariuszy MGB, które, w zależności od stanu zdrowia więźnia, kwalifikacji zawodowych i wykształcenia, kierowały go do określonego ~~lag-punktu~~.<sup>\*)</sup> Na piersysyce w Uchcie młodych i zdrowych ludzi 65 kierowano do pracy w kopalniach ropy naftowej. Starszych i słabszych — do innych ~~lag-punktów~~.

\*) Punkt obozowy, czyli obóz pracy, wchodzący w skład określonego lagru.

Zanim trafiłem na komisję, przez kilka dni chodziłem do pracy w mieście. Kopaliśmy głębokie rowy. Myślałem o ucieczce, ale eskorta była zbyt silna i nie odważyłem się.

Spaliśmy na gołych deskach, bez pościeli. Wyżywienie składało się z 575 gramów chleba, zupy na śniadanie i zupy z łyżką owsianej kaszy na obiad. Zupę gotowano z zielska, które Rosjanie nazywali *iwarczajem*, miało ono kwaskowaty smak, trochę podobny do szczawiu. Kasza również przypominała owsianą zupę. Dolewano do niej zawsze napanstek oleju.

W stołówce nie było żadnych naczyń. Zastępowały je rdzawe puszkę po konserwowanej amerykańskiej wieprzowinie, ale było ich o połowę mniej niż więźniów. Ponieważ śniadania i obiady wydawano w ściśle określonym czasie, nie zawsze udawało się zdobyć puszkę. Często więc zostawaliśmy bez śniadania i obiadu. Pewny był tylko chleb.

Po kilku dniach cała nasza grupa przeszła przez komisję. Musieliśmy rozbierać się do naga, ale lekarz nikogo nie badał. Oglądanie nagiego ciała delikwenta było mu potrzebne tylko do określenia jego przydatności do pracy. Mocno wychudzonych kierował do lżejszej pracy.

Kilkusetosobową grupę z wileńskiego transportu skierowano do Kopalni Ropy Naftowej numer 3. Trafili do niej wszyscy moi koledzy z Nowej Wilejki. Na piersysyce zostałem sam.

Odjechałem stamtąd w drugiej grupie do Kopalni Ropy Naftowej numer 2, około czterystu kilometrów na wschód od Uchty. Składająca się z czterestu samochodów kolumna wyruszyła wczesnym rankiem. Z przodu i z tyłu kolumny jechały samochody z uzbrojonymi w automaty żołnierzami.

Wiedziałem Uchtę — smutne, ciche i nędzne miasto, bez brukowanych ulic, bez chodników, ze starymi drewnianymi domkami.

Uchta położona jest na niewielkiej wyżynie, porośniętej lichą, karłowatą brzozą, wokół której rozciąga się bezkresna bagnista równina. Z wyżyny zjechaliśmy na *leszniówkę* — długi pomost ciągnący się kilkadziesiąt kilometrów, zbudowany z grubych czworokątnych bali.

Ogrodzony wysokim płotem z kolozastymi drutami, ogromny teren z kilkoma barkami, otoczony wieżami dla wartowników, wywoływał przynębiające wrażenie. Wzdłuż ogrodzenia biegały psy. Kazali nam wysiąść z samochodów i ustawić się piątkami przed bramą. Po przeliczeniu więźniów całą kolumnę wyprowadzono na teren obozu. Zostaliśmy rozlokowani w dużym drewnianym baraku.

W lagrze przebywało około tysiąca więźniów, którzy pracowali przy dążeniu szybu i budowali nowe baraki, które ze względu na bagnisty teren wznoszono na głęboko wbitych w ziemię palach. Teren obozu przecinały drewniane chodniki i *leszniówki*. Zejście z nich groziło ugrzęźnięciem po pas w bagnie.

Przed ogrodzeniem obozu w o wiele przyzwoitszych barakach mieściły się koszary żołnierzy, prywatne mieszkania oficerów i funkcjonariuszy obozowej administracji, poczta, sklep, łaźnia i biuro obozowego *raczałstwa*.

Długie prostokątne baraki dla więźniów wyposażone były w piętrowe drewniane prycze i dwa żelazne piecyki. Tutaj także spaliśmy na gołych deskach. Tylko kryminaliści mieszkali w lepszych barakach i mieli nabijane trocinami lub wiórami sienniki i poduszki, koce i prześcieradła.

Od pierwszego dnia zaczęły się masowe kradzieże. Specjalistami okazali się Rosjanie. Okradali nas z obuwia, odzieży, kocy, a nawet z obozowych

wokół

Va



porcji chleba. Rabowali przeważnie w nocy. Skradzioną odzież przemycali poza obóz. W zamian otrzymywali żywność i pieniądze. Po paru miesiącach nasza trzystuosobowa grupa była ogołocona ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Jeśli komuś nie wszystko jeszcze ukradziono, sprzedawał resztę za chleb. Sam sprzedałem nowy sweter, za który dostałem dwie dzienne porcje chleba. Resztę moich rzeczy rozkradziono.

Posiłki otrzymywaliśmy dwa razy dziennie. Z rana maszerowaliśmy do kuchni po pół litra *szczy*, zupy z *iwanczaju* i do *chleborezki*\* po 575 gramów chleba. Obiady były takie same jak na *pieresylocie*. Kolacji więźniowie w tamtych latach nie dostawali.

Za chleb kupowaliśmy od starych więźniów puszki po konserwach, lub wykonane z puszek pojemniki. Naczynie kosztowało od jednej do trzech dziennych porcji chleba.

Pierwsze dni upływały na badaniach lekarskich, sprawdzaniu kwalifikacji zawodowych, przydziale więźniów do roboczych brygad. Potem wpadliśmy w nurt obozowego życia. Trzeba było się do niego przyzwyczaić aż na dziesięć następnych lat.

O piątej rano mieliśmy pobudkę. Oznajmiały ją uderzenia w zawieszoną przy wartowni żelazną szynę. Do szóstej mieliśmy pobrać dzienne racje chleba i zupę oraz stawić się przed wartownią na *rozwod*\*\* . Pracownicy obozowego dozoru, tak zwani *nadzieratiele*, sprawdzali obecność i brygadami wypuszczali więźniów za bramę, gdzie oczekiwali na nich żołnierze z eskorty.

\* Miejsce, w którym wydawano więźniom dzienne porcje chleba.

\*\* Rozprowadzanie więźniów do miejsc pracy.

Więzień, który nie stawiał się na *rozwod* uważany był za uchylającego się od pracy i karano go kancerem. Przy powtarzającej się odmowie pracy, oddawano go pod sąd. Rolę kapo w obozie spełniali rekrutujący się z kryminalistów *chiewalni*. Pewnego późnego wieczora, leżąc na nagiej pryczy, półgłosem narzekałem na los. Byłem bardzo głodny i osłabiony. Westchnąłem do Pana Jezusa. Wtedy *chiewalny* zaczął mnie okładać pięściami. Śmiał się przy tym, że wierzę w Boga.

— Proś swego Jezusa i Jego Matkę o ratunek! Proś głośno! Nie Jezus i nie Maryja, lecz ja tutaj jestem władzą! Jestem twoim panem i bogiem. Połamię ci wszystkie gnaty...

Grupa opryszków w baraku śmiała się od ucha do ucha, podczas gdy on bił i wrzeszczał. Zbity, skopany i pokrwawiony, myślałem o rychłej śmierci.

Ustawowy czas pracy w sowieckich obozach wynosił dziesięć godzin. Licząc dojeżdżenie i powrót z miejsca pracy — więzień przebywał poza obozem minimum dwanaście godzin. Dni wolnych od pracy nie było żadnych.

Na początku pracowaliśmy przy budowie nowych *leszniówek*. Z dnia na dzień opadaliśmy z sił. Ciężka praca, głód, brak odpowiedniej odzieży, posłania i beznadziejna atmosfera prowadziły do fizycznego i duchowego załamania. Na dodatek przez cały maj i czerwiec padał deszcz. Z pracy wracaliśmy przemoknięci do ostatniej nitki. Nie było mowy o zmianie odzieży na suchą. Spaliśmy w mokrych wacikach. Rano, zziębnięci i głodni, w parujących od ciepłego ciała ubraniu szliśmy do pracy.

Listy, które pisaliśmy do rodzin przechodziły przez obozową cenzurę.

Prosiłiśmy w nich o żywność, bo głód był straszny. Ludzie wyglądali jak szkielety albo byli spuchnięci. Zaczynało się od obrzęku nóg. Potem *brachty* twarze i pod oczami pojawiały się wodniste worki. Wycieńczonych z głodu dobijały choroby. Masowo chorowano na tyfus brzuszny i dezynтеріę. Dogorywających z głodu i chorób wywożono do specjalnego obozu, który jak na ironię nosił nazwę *San-Garodka*, czyli Miasteczka Sanitarnego. Kuracja sprowadzała się tam do tego, że chorzy nie musieli pracować. Masowo kosiła ich śmierć.

Głód mocno odbijał się na psychice. Ludzie stawali się zobojętniali, zaniebdywali się, zapominali o osobistej higienie, o jakiegokolwiek etyce. Tracili ludzką godność.

Najszybciej załamywali się ludzie starsi, wywodzący się ze środowisk inteligentkich. To oni właśnie nie mogąc znieść głodu gotowali trawę, szukali pożywienia na wysypisku odpadów z obozowej kuchni i wlewali do swoich żołądków duże ilości wody.

Mój sąsiad z pryczy, rodak z Wilna, nazwiskiem Dokurno, poczęstował mnie kiedyś gotowaną trawą. Nie mogłem tego przełknąć i wszystko zwróciłem.

Byłem coraz słabszy. Dokuczały mi bóle żołądka. Potem bolesne ssania objęły plecy, piersi i żebra. Nogi stawały się coraz cięższe. Po pracy kładłem się na nagiej pryczy i myślałem o zbliżającej się śmierci. Mógłbym się o cud., nie chciałem umrzeć z głodu. Czułem straszny żal do całego świata, obojętnego na nasz los. Niejednokrotnie przypominałem sobie słowa żołnierskiej piosenki:

"... Choć umrzeć przyjdzie nam w polu,  
Czy w tajgach Sybiru gdzieś zgnieć!  
Z trudu naszego i znoju  
Polska powstanie by żyć..."

Gdybym chociaż mógł mieć pewność, że Polska rzeczywiście powstanie z naszego znoju...

\*

Drugiego września 1945 roku skapitulowała Japonia. W Związku Radzieckim obchodzono ten dzień jako dzień zwycięstwa. Nawet więźniom dano więcej chleba i lepszy obiad.

We wrześniu zakończyliśmy budowę *leszniówki* i skierowano nas do pracy przy budowie olbrzymiej stajni. Pracowałem tam jako pomocnik cieśli. Moim majstrem był Rosjanin, mężczyzna po czterdziestce. Nie miałem już wiele sił, z czego zdawał sobie sprawę. Ponieważ ciosanie drewna było dla mnie za ciężkie, kazał mi zdejmować konę z pni. Często robiliśmy przerwy i opowiadaliśmy sobie o przeszłości. Rosjanin odsiadywał ostatni, dziesiąty rok. Podziwiałem go, że tyle wytrzymał.

— Wytrzymasz i ty — mówił — Jesteś młody. Najgorsze są początki. Z czasem człowiek się przyzwyczaja. Na początku byłem załamany jak ty. Nie wierzyłem, że przeżyję. Jednak wytrzymałem.

Około trzysta metrów od budowanej stajni biegła linia kolejowa łącząca Kotłas z Workutą. Kiedyś zauważył, jak tęsknie spoglądam za podążającym na południe pociągiem z węglem.

— Chciałbyś być tam teraz? — zapytał, a potem wskazał na tory: — Pod każdym podkładem leżą kości twoich rodaków. Budowano tę linię w 1941 roku. Pracowali przy niej przeważnie Polacy. Wyobraź sobie partię więźniów, których gnano przez bagna pieszko, po kilkadziesiąt kilometrów. Wy przyjechaliście do obozu, w którym są baraki, kuchnia, łaźnia, a nawet ośrodek zdrowia. Oni nie mieli niczego. Ich obozem było miejsce, w którym się zatrzymali — las i bagna. Musieli postawić eskortującym ich żołnierzom namioty, a sami kładli się spać w szałasach z gałęzi albo spali pod gołym niebem. Widziałem tych ludzi. Większość nie знаła dotąd pracy fizycznej. Byli to właściciele majątków, kupcy, przemysłowcy, lekarze, inżynierowie, księża, nauczyciele, naukowcy, oficerowie. Padali jak muchy. Kolej ta, synku, nazywa się workucką, a powinna nazywać się polską, bo zbudowano ją na polskich kościach.

\*

Pewnego dnia przy budowie stajni zmarł z głodu i wyczerpania pewien więzień, Litwin. W kilka dni po jego śmierci postanowiłem nie iść do pracy: "Niech robią co chcą, ale nie będę więcej pracować, jestem Polakiem, a nie Żydem. Tylko Żydzi są do końca posłuszni..."

Nagle jakbym się przebudził, zdałem sobie sprawę, że bez względu na konsekwencje muszę (zdobyć się) na opór. Po gongu na pobudkę bez pośpiechu zlałem z pryczy i ruszyłem w stronę *chleborezki*. Potem poszedłem do kuchni po zupe, i stamtąd zamiast ku bramie skierowałem się do baraku. Za kilka minut miał zacząć się *rozwod*. W obawie przed *dniewalnym*, który jeszcze raz mógł policzyć mi kości, wyszedłem z baraku. Przy wartowni tłoczyli się więźniowie. *Nariadczyk*, obozowy kadrowiec, wywoływał nazwiska.

Na wszelki wypadek zacząłem iść w stronę obozowego ośrodka zdrowia, tam usiadłem w małej poczekalni i czekałem na to, co będzie dalej. Po jakimś czasie wpadli do ośrodka trzej nadzorcy.

— Jest tutaj Sobolewskij? — wołał starszy stopniem.

— To ja — odrzekłem.

— Dlaczego nie stawieś się do pracy?

— Chodziłem, póki mogłem. Nie poszedłem, bo nie mam sił.

— *Towariszcz Poznanski*, mamy tu ptaszka — zwrócił się do

26  
14

1253  
70



przechodzącego lekarza jeden z <sup>a</sup>nadzierateli — Nie chce pracować. Zbadajcie go.

Lekarz kazał mi się rozebrać do naga, a potem stanąć na wadze i zmierzył mój wzrost. Przy 175 centymetrach ważyłem 39 kilogramów. Poznanski przez chwilę milczał.

— Cóż, wyglądasz nie najlepiej, ale podobnych tobie mamy setki. Przepiszę ci dodatkową porcję żywności i pójdziesz do pracy. Oni — wskazał na nadzierateli — dadzą ci pracę na miejscu, w obozie. Długie marsze mogą cię zmęczyć. Zgadzasz się? Zaprzeczyłem. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale nieoczekiwanie włączył się starszy nadzieratel.

— Skierujcie go do *siab-komandy*! Dajcie mu wiedzieć, że dodatkowa porcja mu nie pomoże.

*Siab-komanda* to instytucją spełniająca funkcję obozowego sanatorium. Kierowano do niej więźniów wyczerpanych, ale zdrowych. Mieściła się w znacznie cieplejszym, otyrkowanym baraku. Więźniowie otrzymywali tam więcej o 30 dekagramów chleba, lepsze zupy i treściwsze drugie dania. Spali na siennikach wypchanych wiórami, mieli prześcieradła, koce i wypchane trocinami lub wiórami powłoki, które zastępowały poduszki.

Bardzo trudno było dostać się do *siab-komandy*. Mieli tam zaledwie pięćdziesiąt miejsc. Udało się to tylko szczęśliwcom. Największe szanse mieli obozowi donosiciele. Czas kuracji w *siab-komandzie* trwał dwa miesiące. Wielu więźniów zawdzięcza życie tej instytucji.

Już po paru tygodniach poczułem się znacznie lepiej, zacząłem nabierać chęci do życia. Miałem nadzieję, że wreszcie nadejdzie odpowiedź na listy do rodziców. Liczyłem na ich pomoc. Spodziewałem się też reakcji opinii społecznej w kraju i za granicą. Nie wyobrażałem sobie braku interwencji państw zachodnich w naszej sprawie. Wszyscy Polacy w łagrach tak sądzili. Wojna przecież się skończyła. Fakt uwięzienia żołnierzy Armii Krajowej w sowieckich łagrach razem z policjantami, agentami gestapo i zbrodniarzami wojennymi, musiał w naszym przekonaniu wstrząsnąć opinią świata.

W obozie nadal szerzyły się choroby zakaźne. Sam chorowałem na dyzenterię i jednocześnie chodziłem do pracy. Zwolnienia lekarskie dostawali tylko chorzy, którzy mocno krwawili. Ja także miałem krwawą biegunkę, ale żołnierzowi z eskorty wydawało się, że ja biegam "na stronę", żeby przy tym trochę odpocząć. Kilkakrotnie mi groził. Za którymś razem przywołał do siebie i kazał rozebrać się do bielizny. Gdy to uczyniłem, kazał wejść na ułożoną przy ogromnym mrowisku kupę kamieni. Na odmowę zareagował odbezpieczeniem pistoletu maszynowego.

— Nie żartuję — powiedział — Zabiję jak psa...

Wszedłem boszo na kamienie. Po paru minutach na całym ciele miałem mrówki. Czulem je w uszach, w nosie... Żołnierz wrzeszczał i groził użyciem broni, gdy próbowałem się przed nimi bronić. Nie wiem, ile czasu trwała moja męczarnia. Mnie wydawała się wiecznością. Przerwał ją sygnał do zakończenia pracy.

W obozowej wartowni naczelnik konwoju zgłosił obozowej administracji, że przez cały dzień uchylałem się od pracy, za co zostałem osadzony w karcerze.

Daremnie kołatałem do drzwi celi i mówiłem strażnikowi, że jestem chory.

— Odsiedzisz swoje — odpowiedział — to będziesz mógł pójść do lekarza.

Po kilku godzinach, gdy pokazałem mu krew, przywołał *nadzieratela*, z którym udałem się do ośrodka zdrowia.

Lekarz długo nie chciał uwierzyć w chorobę. Żądał dowodów, ale na oczekaniu nie mogłem ich dostarczyć. W końcu otrzymałem tydzień zwolnienia od pracy.

W obozie było pełno szczurów, wielkich jak koty. Gnieździły się pod barakami zbudowanymi na palach, pod *leszniówkami* i chodnikami. Znałem Rosjan, którzy je łowili, zabijali i po ugotowaniu jedli.

\*

Przed moim trafieniem do *siab-komandy* obozem wstrząsnęła wiadomość o nieudanej ucieczce trzech młodych Litwinów. Z obozu wydostali się nocą. Próbowali dotrzeć do Uchty, wytropili ich żołnierze z psami. Trzy martwe ciała ułożono przy bramie wartowni. Wszyscy mieli rozwalone kulami głowy.

Tego dnia na poranny apel przyszedł sam naczelnik obozu, młodszy lejtnant Lygo. Był wściekły i jednocześnie cieszył się, że udaremniono ucieczkę.

— Mam nadzieję — powiedział — że ich poznajecie. Wczoraj kładli się



spać razem z wami, żeby śnić o swojej Litwie. Na Litwę mogą powrócić tylko wasze dusze. Ciała pozostaną tutaj.

Od tej chwili wiedziałem, że w tym kraju próby ucieczek nie karze, lecz śmiercią. Gdyby pojmanego więźnia oddano pod sąd, zostałby skazany na dwadzieścia lat łagrów. Byłoby to postępowanie zgodne z prawem, ale w resorcie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego prawa nikt nie musiał przestrzegać.

\*

W baraku *siab-komandy* było czysto. Do łaźni chodziliśmy raz na tydzień, nie musieliśmy więc walczyć z pluskwami i wszami.

*Siab-komandę* często wizytowali pracownicy obozowego ośrodka zdrowia i obozowe naczelnictwo. Wszyscy starali się, by panował tam porządek. Przed wypisaniem ze *siab-komandy* rodzice przysłali mi pierwszą paczkę żywnościową. Rozplakałem się z radości. Chyba nigdy nie modliłem się tak gorąco. Dziękowałem Bogu i Matce — tej, co w Ostrej świeci Bramie. Klęczałem przed pryczą i czułem, że po twarzy spływają mi łzy. W tej paczce widziałem ratunek przed śmiercią. — Skoro dostałem pierwszą, dostanę następne, nie zginę z głodu — myślałem.

W obozie przy kopalni poznałem wielu rodaków. Wszystkich sądzono na dziesięć lat za przynależność do AK. Najlepiej trzymali się panowie Berdowski i Wesołowski. Byli najstarsi wiekiem, ale nie załamywali się i podtrzymywali na duchu innych. Pan Wesołowski, ze względu na wyższe wykształcenie i biegłą znajomość rosyjskiego, pracował w *choz-czasti*, w dziale gospodarczym.

Do pracy umysłowej w obozie angażowano przede wszystkim więźniów narodowości rosyjskiej. Zdarzały się jednak wyjątki. Trzeba było mieć dużo szczęścia albo zostać donosicielem. Więźniowie zatrudnieni w łaźni, w pralni, w obozowych magazynach, w ośrodku zdrowia, w szwalni, różnego rodzaju warsztatach byli obozową elitą. Jeszcze lepiej powodziło się kucharzom, pomocy kuchennej i zatrudnionym w *chleboreszkach*, bo nie cierpieli głodu.

Starzy więźniowie twierdzili, że w składającym się z kilkuset *lag-punktów Ucht-Iżym-Lagu* przebywało około miliona więźniów. Jego naczelnikiem był generał Berdakow.

Potem spotkałem więźniów z największego *Kolym-Lagu*, *Workut-Lagu*, *Int-Lagu*. Wszystkie one składały się z kilkudziesięciu lub z kilkuset *lag-punktów*, w każdym z nich przebywało po parę tysięcy więźniów. Naczelną obozową instytucją mieściła się w Moskwie. Zwano ją w skrócie *GU-Lagiem*, a w pełnym brzmieniu — *Głównoje Uprawlenije Lagieraja*\*. Podlegała ona bezpośrednio narodowemu komisarzowi spraw wewnętrznych, potem ministrowi do spraw bezpieczeństwa państwowego, a po skazaniu Berii — ministrowi spraw wewnętrznych. <sup>nowe</sup> ~~Wszystkie~~ więźniów w Związku Radzieckim szacowano w tych latach na piętnaście milionów, a zesłańców — co najmniej na drugie tyle.

\* Główny Zarząd Obozów.

W Autonomicznej Republice Komi, gdzie mieści się Uchta, większość tak zwanych wolnych mieszkańców stanowili byli więźniowie i zesłańcy. Podobnie było w Kazachstanie, na Kolymie, w Incie, Workucie, w olbrzymim Krasnojarskim Kraju i na całej Syberii, poza większymi miastami przy linii transsyberyjskiej. *Lag-punkty* znajdowały się nawet w takich miastach, jak Kijów, Leningrad i Moskwa. Spotykałem więźniów stamtąd. Jeden z nich opowiadał, że w Moskwie wożono więźniów z obozu pracy w zamkniętych skrzyniach samochodów z napisem "chleb".

### OBÓZ PRZY KOPALNI ROPY NAFTOWEJ NUMER 3

Pod koniec 1945 roku część więźniów z naszego obozu przerzucono do Kopalni Ropy Naftowej numer 3. Znalazłem się w trzystuosobowej grupie, którą pieszo odprowadzono do nowego obozu.

Spotkałem tam wszystkich kolegów z Nowej Wilejki. Ucieszyłem się, że żyją. Wkrótce poznałem innych rodaków, wśród których był ksiądz Franciszek Janocha.

Teren nowej kopalni przylegał do obozu i łączył się z nim bramą z wartownią. Więźniowie pracowali pod ziemią i na powierzchni. Warunki pracy i życie były podobne jak w poprzednim obozie. Gdy tam trafiłem mrozy dochodziły do minus czterdziestu stopni. Z odzieży domowej nie zostało prawie nic. Dano nam doszczętnie znoszone wojskowe i robocze łachy, które nie chroniły przed wiatrem i zimnem. Zamiast butów nosiliśmy tak zwane *korczyki* na podszewkach ze starych opon samochodowych. Więźniom zatrudnionym na powierzchni wydawano kalosze zwane *czuni* i *burki* — grube, sięgające pod kolana skarpety ze starych szmat. W kopalni prawie wszędzie kapalo z góry, więc ubrania górnicze były zawsze mokre. Na sam ich widok człowiek ogarniał strach.

Lęk przed długą i mroźną zimą sprawił, że zgłosiłem się dobrowolnie do pracy pod ziemią. Więźniowie-górnicy wychodzili do pracy bez eskorty. Nikt nie stał im nad głową z najeżonym bagnetem. Ponadto, jeśli przekroczyło się normę, dostawało się więcej chleba i lepsze posiłki. Obozowa kuchnia prowadziła trzy kotły — jak się to potocznie mówiło — kocioł dla więźniów wykonujących normy w stu procentach, kocioł dla więźniów zatrudnionych na powierzchni i wykonujących normy powyżej stu procent oraz kocioł górniczy — dla więźniów zatrudnionych pod ziemią, którzy przekraczali ustalone normy.

Większość więźniów, ze względu na zbyt wysoko ustawione normy, jadła jednak zwykle posiłki, a lepsze nie rekompensowały energii zużytej na przekroczenie norm. Więźniowie, którym udało się je przekraczać, szybciej tracili siły i podupadali na zdrowiu.

Człowiek syty nigdy nie pracowałby ponad siłę dla paru zapiekaneek i kawałka chleba. Ludzie syty potrafią kalkulować. Zupełnie inaczej zachowują się ludzie głodni. Obsesyjnie myślą o jedzeniu, pragną za wszelką cenę przynajmniej raz się najeść. Zwłaszcza że *nadzieratiele* i całe obozowe *naczelstwo* wbijali wszystkim do głów teorię, z której wynikało, że rekordowe posiłki są dla wszystkich.

— Trzeba — mówili — na nie tylko zapracować. To od was zależy, czy chcecie jeść 575 gramów chleba czy 1100...

Przez jakiś czas wyrabiałem normy w 101 i w ponad 101 procentach, ale szybko osłabłem i musiałem zadowolić się porcjami zasadniczymi. Doszedłem w końcu do przekonania, że pogoń za większym kawałkiem chleba może człowieka wykończyć.

Przez całe trzy miesiące pracowałem na "przodku". Była to praca niesamowicie ciężka. W ciągu ośmiu godzin — razem z dwiema 18-letnimi dziewczynami — musiałem ręcznie załadować od dziesięciu do piętnastu wagonów urobku i wypchać je do głównego korytarza. Musiałem też nadać przodkowi odpowiedni kształt, by nadawał się do stemplowania. Robiłem to za pomocą pneumatycznego młota. W przypadku niewykonania zadania musieliśmy pozostawać pod ziemią na drugiej zmianie. Często zdarzało się, że pracowaliśmy po szesnaście godzin.

W kopalni pracowało dużo zesłańców. Dziewczęta także były zesłankami. Mieszkały w pobliskim osiedlu Janga. Pochodziły z Powoźża, zesłano je z rodzicami do Uchty wkrótce po napaści Niemiec na ZSRR — tylko dlatego, że byli Niemcami. Po napaści Niemiec wszystkich zamieszkałych w ZSRR Niemców uznano za niebezpiecznych dla państwa. To, że urodzili się na radzieckiej ziemi, że od dziada i pradziada mieszkali na Powoźżu czy Ukrainie, nie miało żadnego znaczenia. Ważne było, że w ich żyłach płynęła krew niemiecka. Na Krymie podobnie postąpiono z Tatarami, a na Kaukazie z Czeczenami. Wszyscy w 1941 roku znaleźli się na Syberii.

Zesłańcy to ludzie pozbawieni praw obywatelskich. Sowieckie prawo przewidywało dla nich tylko obowiązki, nakazy i zakazy. Podstawowym obowiązkiem zesłańca była praca. Musiał pracować tam, gdzie go skierowano i robić to, co kazano. Gdyby odważył się odmówić posłuszeństwa, musiał liczyć się z oddaniem pod sąd i skazaniem na co najmniej dziesięć lat łagrów.

Dwa razy w miesiącu każdy zesłaniec musiał się meldować w urzędzie bezpieczeństwa. Poza tym wymagano od niego ukończenia siedmiu klas "dziesięciolatki"; musiał umieć czytać, pisać i liczyć, bo od tego zależała przydatność do pracy fizycznej. Wszyscy zesłańcy mogli ukończyć szkołę średnią, ale wyższe uczelnie były dla nich zamknięte. Nie mogli sprawować funkcji kierowniczych, należeć do organizacji społeczno-politycznych i poruszać się poza miejscem zamieszkania. Zesłańcom nie wydawano dowodów tożsamości. Podobnie jak niewolnik, zesłaniec mógł założyć rodzinę, ale musiał być świadom tego, że jego dzieci zostaną zesłańcami. Życie zesłańców różniło się od życia więźniów tym, że nie mieszkali za drutami, ale dach nad głową



przydzielali im także władze, zwykle w byle jakim baraku.

Niemki, z którymi pracowałem w kopalni, otrzymywały część wynagrodzenia w naturze — były to, zależne od wykonania norm, porcje chleba i posiłki wydawane w osiedlowej stołówce — a część w formie pieniężnej. Za miesiąc pracy dostawały czterysta — pięćset rubli. Kilogram chleba na wolnym rynku kosztował w tym czasie trzydzieści rubli, a kilogram masła sześćset rubli.

Po zakończeniu wojny sytuacja żywnościowa w Związku Radzieckim wyglądała tragicznie. Sprzedaż żywności bez kartek prowadziły tylko nieliczne sklepy w dużych miastach — po cenach komercyjnych, które odpowiadały cenom na czarnym rynku.

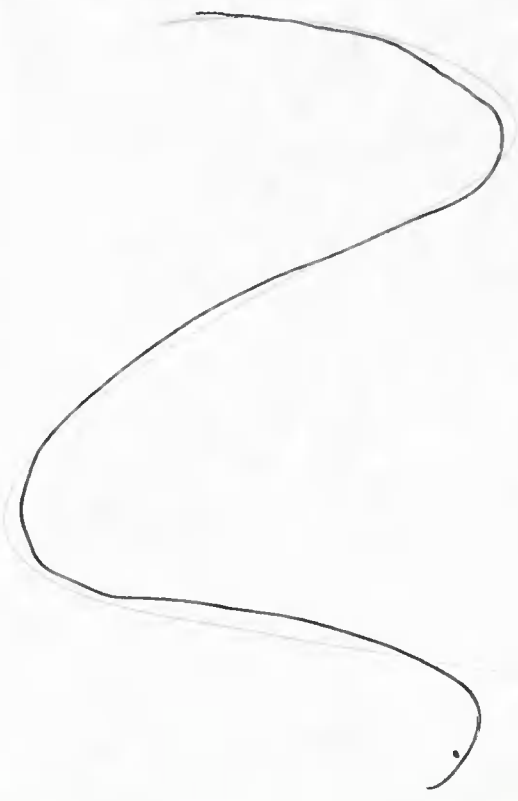
Mocno współczułem skazanym na niewolnicze życie i katorżniczą pracę dziewczętom. Odwzajemniały mi się podobnym współczuciem. Nie mogliśmy sobie w niczym pomóc. Przychodziły do pracy zabiedzone, smutne, zmęczone... Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek uśmiechały.

W obozie przy Kopalni numer 3 przebywało około dwustu kobiet. Mieszkały w oddzielnym baraku i pracowały jako sprzętaczkі w magazynach, warsztatach, biurach i łaźni. Większość stanowiły Rosjanki, Ukrainki i Białorusinki. Polek wśród nich nie było.

Chociaż mężczyźni nie mogli wchodzić do żeńskiego baraku, wiele kobiet zachodziło w ciążę. Nawiązywali z nimi kontakty mężczyźni zatrudnieni w obozowej administracji, kucharze, magazynierzy — w większości kryminaliści. Każda, nawet najbardziej szanująca się kobieta, musiała mieć swojego adoratora. Jeśli go nie miała, była narażona na ataki ze strony różnego rodzaju zboczeńców i wykolejeńców. W obozie kobiety nie oddawały się z miłości. Zmuszały je do tego obozowe warunki. Od szewca mogły dostać lepsze buty, od magazyniera — lepszą kurtkę, od kucharza — dodatkową porcję kaszy... Najważniejsze jednak było to, że zachodząc w ciążę ratowały życie. Ciężarne więźniarki zwalniano od obowiązku pracy i przewożono do specjalnego obozu, gdzie miały opiekę medyczną i lepsze warunki bytu. Przebywały tam do sześciu miesięcy po porodzie. W sumie — kobieta ciężarna na ponad rok uciekała od koszmarnego życia w zwykłym łagrze.

Po pół roku od urodzenia dziecka, matka musiała się z nim rozstać na zawsze. Zabierano je do domu dziecka, a ona wracała na stare miejsce. Dzieci urodzone w obozie traktowano jako własność państwa. Ono było dla nich "matką" — aż do osiągnięcia pełnoletności. Władzom najwyraźniej odpowiadało, że tak dużo kobiet zachodzi w ciążę. Te kobiety sprowadzono do roli "fabryki dzieci", które państwo, bez żadnych przeszkód, wychowywało na stuprocentowych ludzi radzieckich. Dzieci z domów dziecka były pod każdym względem uprzywilejowane. Miały prawo pierwszeństwa do nauki w akademiach wojskowych i innych uczelniach, a później do najważniejszych stanowisk.

28/28





Oprócz Niemców w Kopalni nr 3 pracowali byli żołnierze z armii generała Własowa. Mieszkali także w pobliskim ośrodku i byli na prawach zesłańców. Dziwne, że nie oskarżono ich o zdradę ojczyzny, chociaż w swoim czasie przeszli na stronę wroga. Powracających do kraju jeńców skazywano na dwadzieścia pięć lat, a własowców tylko na zesłanie.

W rejonie Uchty i w całej Republice Komi było bardzo mało ludzi wolnych, korzystających ze wszystkich praw obywatelskich. Byli to głównie funkcjonariusze i żołnierze z resortu MGB, pracownicy aparatu partyjnego, funkcjonariusze milicji i niewielki odsetek ludności tubylczej. Później przekonałem się, że od Uralu do Władywostoku minimum osiemdziesiąt procent ludności stanowili zesłańcy i więźniowie. Inaczej było w dużych miastach, położonych wzdłuż transsyberyjskiej linii kolejowej i w miastach portowych Dalekiego Wschodu.

Wśród więźniów i zesłańców najczęściej było Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Po nich szli Litwini, Łotysze, Estończycy, Polacy, Czesi, Czeczeni, Gruzini, Uzbeki, Finowie, Rumuni. W łagrach i na zesłaniu spotykałem wielu Chińczyków, Koreańczyków, Niemców (z obu stref okupacyjnych), Węgrów, Żydów, Afgańczyków, a nawet Francuzów.

W obozie przy kopalni mieliśmy około stu Polaków. Ponad trzydzieści procent więźniów stanowili kryminaliści. Od połowy 1946 roku więźniów politycznych zakwaterowano w oddzielnych barakach. Było więcej spokoju, poprawiła się atmosfera, było czystiej. W naszych barakach nie dochodziło do bijatyk, nie używano ordynarnych wyrażań i rzadko zdarzały się kradzieże. Wybierani przez nas *chiewalni* nie wpuszczali więźniów z innych baraków. Ten kto przychodził w odwiedziny, musiał powołać się na odwiedzanego.

Wśród kryminalistów spotykaliśmy różnych ludzi. Jedni nie uznawali żadnych norm. Bez najmniejszego powodu mogli człowieka zabić. Najczęściej nie pracowali. Byli syści i dobrze ubrani. Mieli nawet swoje obozowe "żony". Wszystko, co posiadali, poza żonami, pochodziło z kradzieży. Sami nie kradli, używali do tego pomocników. Budzili powszechny strach. Bali się ich więźniowie i pracownicy dozoru. A oni uważali się za prawdziwych ludzi sowieckich, na każdym kroku podkreślali wierność Stalinowi i Leninowi. Na piersiach nosili wytatuowanych wodzów rewolucji lub pięcioramienną gwiazdę. Z kuchni obozowej korzystali według potrzeb. Nie było kucharza, który odważyłby się odmówić im pozaprzydziałowych posiłków. Napychali się też produktami ze zrabowanych paczek.

Drobni złodzieje również uważali się za nie splamionych żadną skazą ludzi radzieckich. Do więźniów politycznych odnosili się z pogardą. Często prowokowali zaczepki i napadali na pojedyncze osoby. Bicie i okradanie więźniów politycznych było dla nich rozrywką, uważali to za obowiązek każdego radzieckiego człowieka. Nazywali nas faszystami i wrogami ludu.

Obozowe *naczelstwo* traktowało ich bardzo ulgowo, ponieważ nie zagrażali sowieckiej władzy. Uważano ich za pełnowartościowych obywateli, którym "pośliznęła się noga"... Przedstawiciele *naczelstwa* wyznawali pogląd, że wszyscy ludzie, poza nieżyjącymi lub wiecznie żywym Leninem i Stalinem, posiadają mniejsze lub większe wady albo słabości. Taka jest ludzka natura. Jeden coś ukradnie, inny w nerwach czy po kielichu kogoś pobije... W ten sposób każdy "sowiecki człowiek" może znaleźć się w łagrze. Co innego więźniowie polityczni. Ci ośmielili się podnieść rękę na największą świętość — na władzę radziecką. Nie może być dla nich żadnego współczucia. Niektórzy otwarcie solidaryzowali się z kryminalistami i mówili, że powinno się nas rozstrzelać.

Wśród kryminalistów zdarzali się też ludzie zacni i uczciwi. Wywodzili się ze środowiska robotniczego i chłopskiego, bardzo rzadko — spośród inteligencji. Do obozów zaprowadził ich niejednokrotnie głód. Biedę odczuwali wszyscy, a najbardziej ludzie utrzymujący się z uczciwej pracy. Niedożywienie było zjawiskiem masowym. Masowe więc stały się kradzieże w miejscach pracy. Kołchoźnicy kradli ziarno, robotnicy wszystko, co się dało ukraść w fabryce. Pracująca matka brała tylko tyle, by nakarmić głodne dzieci. To samo robił ojciec. W świetle radzieckiego ustawodawstwa, tego rodzaju kradzieże uchodziły za przestępstwa szczególnie niebezpieczne, ponieważ "przestępcy" kradli każdego dnia i przy każdej okazji. Głód i trudne warunki życiowe nie łagodziły wynoków. Większość oskarżonych bała się zresztą w ten sposób usprawiedliwiać,

bo mogło to być przyjęte za antyradziecką propagandę. Ze zwykłej, drobnej kradzieży mogła się zrodzić sprawa polityczna, za którą groziło minimum dziesięć lat łągrów.

Więźniów politycznych władze obozowe dzieliły na tak zwanych "swoich", którzy byli obywatelami radzieckimi do 17 września 1939 roku i "obcych" albo "nieradzieckich", którzy do radzieckiego państwa zostali włączeni po nastaniu drugiej wojny światowej. Obie grupy wyraźnie się różniły. Więźniowie polityczni z grupy radzieckiej sprawiali wrażenie pozbawionych własnej osobowości i poczucia ludzkiej godności. Brakowało im zwykłej kultury. Nie widzieli przed sobą żadnego celu, byli całkowicie obojętni. Przede wszystkim brakowało im wiary w Boga. Wszczepiony od dziecka prymitywny materialistyczny światopogląd pozbawił ich wrażliwości na sprawy duchowe, na przejawy szlachetności w ludzkich postawach. Zostali skazani za zdradę radzieckiej ojczyzny, antyradziecką propagandę, sabotaż, dywersję. Rekrutowali się przeważnie spośród jeńców wojennych i żołnierzy, którzy przez Polskę, Rumunię, Węgry i inne kraje szli za cofającą się armią niemiecką, albo z wywiezionych na roboty do Niemiec cywili.

Tych, którzy pracowali w fabrykach i u bauerów najczęściej sądzono za antyradziecką propagandę, bo po powrocie do kraju opowiadali jak żyją ludzie w innych krajach. W ten sposób narazili się władzy, która głosiła, że jedynym wolnym i szczęśliwym człowiekiem na Ziemi jest człowiek radziecki.

Obywatel radziecki nie miał prawa narzekać. Za antyradziecką propagandę skazywano na łągry również tysiące skarżących się na ciężkie życie robotników i chłopów. Władzy radzieckiej można było narazić się nawet milczeniem. Ten, kto chciał być bezpieczny, musiał ją chwalić. Najlepiej prosperowali ci, którzy przestawali myśleć i powtarzali wszystko za partyjnymi agitatorami. Około osiemdziesięciu procent więźniów politycznych stanowili chłopci i robotnicy. Właśnie te pozbawione politycznej wyobraźni masy sądzono za politykę.

W grupie więźniów politycznych zaliczanych do ludzi nieradzieckich przeważali Litwini, Estończycy, Łotysze, Ukraińcy i Polacy. Litwinów, Estończyków, Łotyszy i Ukraińców skazywano za współpracę z Niemcami. Znaczną część Ukraińców skazano za przynależność do Ukraińskiej Armii Powstańczej, określanej w skrócie UPA.

\*

Praca w kopalni pożerała resztkę moich sił. Z każdym dniem słabłem. Któregoś dnia poszedłem do ośrodka zdrowia. Liczyłem na parę dni zwolnienia od pracy. Ciasną poczekalnię wypełniali pacjenci. W rogu, przy stoliku siedział mężczyzna, który rejestrował pacjentów. Oparłem się o ścianę i czekałem na wezwanie. Wywołano mnie niespodziewanie szybko, choć przyszedłem jako jeden z ostatnich.

Za biurkiem siedział starszy pan w białym kitlu, z charakterystycznymi długimi, podkreślonymi nieco do góry, wąsami. Przywitałem się. Starszy pan przez chwilę przyglądał mi się, po czym odczytał wypisane na kartotece imię i nazwisko.

— Pan jest Polakiem? — spytał po polsku.

— Tak — odpowiedziałem.

— Siadaj synu! Jestem Tumalewicz, pochodzę z Łucka — oznajmił. — Co ci dolega?

Odpowiedziałem, że jestem bardzo osłabiony.

— Dlaczego do mnie nie przyszedłeś wcześniej?

Badając mnie pytał, skąd pochodzę, interesował się moimi rodzicami, całym życiorysem. Opowiadałem mu o wszystkim.

— Więcej dać nie mogę — oświadczył na koniec, dając mi trzy dni zwolnienia. — Parę dni popracujesz i przyjdiesz po nowe. Głowa do góry! Zrobię wszystko, żebyś nie pracował w kopalni, ale muszę mieć na to trochę czasu.

Od tej pory połowę czasu spędzałem na zwolnieniach lekarskich. Doktor Tumalewicz, który był również akowcem, otworzył dla mnie fikcyjną kartę choroby.

— Gdyby ktokolwiek pytał, na co chorujesz — pouczał — mów, że odczuwasz bóle w klatce piersiowej, że masz ciężki kaszel i plujesz krwią.

Pewnego popołudnia na placu między barakami spotkałem Zbyszka Konopackiego, który powiedział mi, żebym natychmiast zgłosił się do doktora.



— Wygraliśmy! — wykrzyknął doktor na mój widok. — Naczelnik służby zdrowia zatwierdził wniosek o przeniesienie cię do lżejszej pracy. 60

Potem oznajmił, że sam zajął mi pracę w laboratorium. 28/30

— Kierownikiem laboratorium jest mój przyjaciel, Estończyk, Samuil Kachro, świetny chemik i wspaniały człowiek. Dużo się od niego nauczysz. Jutro musisz pójść w tej sprawie do Charatonienki, naczelnika obozu.

Tylko Charatonienko mógł wyrazić zgodę na przeniesienie więźnia do innej pracy. Czynił to bardzo rzadko i niechętnie. Myślę, że Charatonienko nie uwierzył w moją chorobę. Gdy zgłosiłem się do niego, spytał dlaczego nie chcę pracować w kopalni. Powiedziałem o chorobie.

— Do kopalni — dodałem — zgłosiłem się na ochotnika, nie można mi więc zarzucać braku chęci. Nie moja wina, że zachorowałem.

Rozmowa z naczelnikiem zakończyła się zapewnieniem, że wkrótce do niego wrócę.

Następnego dnia udałem się do laboratorium, znajdującego się na *szachtpolu*, czyli na terenie kopalni. Przyjął mnie starszy, łysawy pan, obok którego siedziała szczupła, elegancka kobieta. Przedstawiłem się i powołałem na doktora Tumalewicza.

— Czekaliśmy na pana. Jestem Kachro. Nazywają mnie Samuil Johanowicz. A to — wskazał na kobietę — Ksienia Pietrowna Isakowa. Kobieta wyciągnęła delikatną, smukłą dłoń.

— Sporo o panu wiemy od doktora — mówił Kachro — ale chcielibyśmy dowiedzieć się jeszcze więcej.

Estończyk miał dużo sympatii dla Polaków. Pierwszy raz zetknął się z nimi w 1919 roku jako młody oficer armii estońskiej walczącej o niepodległość. Imponował mu polski patriotyzm.

— Byłem prawie we wszystkich krajach Europy, przejechałem pół Afryki... Widziałem różnych ludzi. Zewsząd wywoziłem wiele wspomnień, ale najmilsze jest dla mnie wspomnienie z nad Dźwiny. Podziwiałem miłość do Ojczyzny Legionistów i ich wiarę w zwycięstwo. Nienawidzili Moskali.

Spojrzał na Ksienię Pietrowną i powtórzył:

— Tak, Moskali.

Pani Isakowa uśmiechnęła się. Jak się później przekonałem — lubiła kierownika między innymi za szczerość.

— Ale nie dlatego, że byli Moskalami. Nienawidzili ich jako despotów i tyranów, którzy przemocą i gwałtem pozbawili innych wolności. Moskale uczynili Rosję więzieniem narodów. Polacy, Ksienio Pietrowna, odczuli to więzienie w największym stopniu.

— I w największym stopniu, Samuile Johanowiczu — uzupełniła — przyczynili się do jego upadku. Dla mnie Polska jest krajem o wspaniałej historii i wysokiej europejskiej kulturze. Kocham Sienkiewicza,łowackiego, Norwida... Genialny jest Mickiewicz, ale nie zgadzam się z waszą oceną Rosjan.

— Moskale to ludzie charakteryzujący się ślepyim posłuszeństwem wobec władzy tyranów. Na nich opierały się krwawe rządy carów i na nich opiera się jeszcze krwawszy reżim Stalina. Za kilka błyskotek wykonują każdy rozkaz, będą mordować nawet swoich braci. Rosjan, prawdziwych Rosjan, Ksieniu Pietrowna, pozostało niewiele. Większość znajduje się w łagrach i na zesłaniu. Wątpię, czy kiedykolwiek zmieni się u was na lepsze. Proszę wybaczyć, że powiedziałem, co myślę. Nie chciałem pani urazić...

Pan Kachro trafił do łagrów w 1941 roku. Skazano go na dziesięć lat łagrów za walkę przeciwko władzy radzieckiej w 1919 roku. Zarzucano mu także kontrrewolucyjną postawę w latach 1940 i 1941, czemu w czasie śledztwa nie zaprzeczał.

— Powiedziałem, że jestem człowiekiem wolnym i mam prawo do własnego światopoglądu — wspominał z dumą. — Wszelkie zdarzenia i zjawiska zachodzące w świecie potrafię ocenić samodzielnie. Możecie zrobić ze mną wszystko, co chcecie, ale nie zmienicie moich przekonań. Oskarżać człowieka o to, że walczył o wolność i niepodległość Ojczyzny mogą tylko ludzie, którzy nienawidzą wolności.

Pierwszy obóz, do którego trafił Kachro, mieścił się niedaleko miejscowości Suchobiezwodnoje. Pracował tam przy wyrębie lasu. Ludzie umierali



masowo. Na miejsce zmarłych przywożono nowe partie więźniów. Kachro zastanawiał się, skąd ich biorą. Wiedział, że takich obozów były tysiące i wszędzie warunki były podobne. Ale niezliczone szeregi uczącej się młodzieży, chłopów, robotników, żołnierzy i inteligencji, stanowiły niewyczerpane źródło. Kachro stracił w obozie wszystkie siły i na dodatek zachorował na tyfus brzuszny. Opiekę nad chorymi sprawowali obozowi sanitariusze. "Pomoc" ograniczano do mierzenia temperatury. Do zdrowia powracali tylko nieliczni. Przed śmiercią uratował Kachra fakt, że "Koncern NKWD" potrzebował właśnie wysokiej klasy specjalisty-chemika. Bliskiej śmierci przewieziono do więziennego szpitala. Po wyleczeniu trafił do Kopalni Ropy Naftowej numer 3, gdzie został kierownikiem laboratorium. Zaczął opracowywać nowe metody oczyszczania ropy. Stworzył także projekt oszczędniejszego sposobu jej wydobywania.

Ksienią Pietrowną również była chemikiem. Przyjechała do Jangi z Moskwy z matką po skazaniu za działalność kontrrewolucyjną męża, inżyniera-mechanika, na dziesięć lat łagrów. Pracując w laboratorium mogła pomagać uwięzionemu mężowi. Po dziesięciu latach Isakow wyszedł "na wolność" i zamieszkał z żoną w osiedlu, z którego nie miał prawa nigdzie się oddalać. Jako dobry fachowiec pracował w kopalni na stanowisku głównego mechanika.

W laboratorium zostałem do 1948 roku. Byłem jednym z nielicznych szczęśliwców, którzy nie musieli pracować ponad siły i nie cierpieli głodu. Dokuczalo niedożywienie, polegające na braku owoców, warzyw, tłuszczów, nabiału, mięsa, ale nie miałem już wечно pustego żołądka. W laboratorium, oprócz analiz ropy naftowej i kopalnianego powietrza, robiliśmy analizy produktów żywnościowych. Dostarczała ich regularnie Ksienią Pietrowną z magazynów osiedla. Próbkę były tak duże, że mogliśmy się najeść. Niezależnie od tego, dość często Ksienią Pietrowną przynosiła żywność, którą zdobywała sama. Dzięki niej i żonie głównego geologa, którą poznałem wkrótce, miałem też zupełnie przyzwoite i czyste ubranie. Jedną przyniosła mi z domu spodnie, drugą polskiego kroju mundur wojskowy. Dzięki Ksieni Pietrownie utrzymywałem także stały kontakt z babcią w Nowej Wilejce. Rodzice w 1945 roku wyjechali do Polski. Ksienią brała ode mnie listy do babci i wrzucała je do skrzynek pocztowych w Uchcie. Na kopertach wpisywała siebie jako nadawcę.

Babcia pozostała w Nowej Wilejce tylko ze względu na mnie. Rodzice powierzyli jej rolę łącznika. W listach pisała im o mnie. Więźniowie nie mogli bowiem prowadzić bezpośredniej korespondencji z zagranicą.

Pisałem również do znajomych. Z czasem było ich coraz mniej, bo wyjeżdżali do Polski albo byli wywożeni na Syberię.

\*

W każdą sobotę do Kachra przychodzili jego przyjaciele: doktor Tumalewicz, Iwan Iwanowicz Sobolew i Pawłowicz. Kierownik zapraszał ich na herbatkę, której dostarczała Ksienią Pietrowną. Do mnie należały czynności kelnerskie. Potem siadałem do stołu i przysłuchiwałem się rozmowom.

Obaj Rosjanie byli demokratami. Iwan Iwanowicz, geolog, przebywał w łagrze dziesięć rok. Do końca pozostawało mu tylko kilka miesięcy. Pawłowicz miał już poza sobą dziesięcioletni wyrok. Podobnie jak Isakow, był człowiekiem wolnym, bez prawa oddalenia się od ośrodka. Pracował w kopalni jako planista. Obaj kochali Rosję i nienawidzili stalinowskiego reżimu. Stalina utożsamiali z Hitlerem. Z całego serca pragnęli, by ich kraj stał się krajem ludzi wolnych. Byli przeciwni zniewalaniu i uciskowi innych narodów.

Z wieczornych dyskusji wyniosłem dużo korzyści. Poznałem przedstawicieli nielicznej już, ale odpornej na terror, wspaniałej rosyjskiej inteligencji. Byli to ludzie bardzo wrażliwi na wszelkie przejawy zła, na niesprawiedliwość, cierpienia... Imponująca była ich kultura i głęboka wiedza.

W 1947 roku przeniesiono laboratorium do nowego murowanego budynku. Przybyli nowi pracownicy: inżynier-chemik i czterech laborantów. Wśród nich — żona głównego geologa. Była to młoda kobieta, która przyjechała z Moskwy; do kopalni skierowano wcześniej jej męża. Początkowo nie chciała jechać, bo w Moskwie mówiono, że w

całej Republice Komi pełno jest faszystów i zbrodniarzy. Mąż był partyjny, a ona była komsomolką. Gdy zdecydowała się na wyjazd, znajomi ostrzegali ją, by uważała na siebie i unikała tych ludzi z obozu. Kontakty z więźniami w nowym miejscu zamieszkania były jednak nieuniknione. Wkrótce zorientowała się, kim są naprawdę ci ludzie. Była przerażona, że w łagrach przebywa tylu niewinnych. Współczuła nam i pomagała w miarę możliwości.

Pozostali laboranci byli więźniami.

Nowego inżyniera-chemika skazano na dwadzieścia pięć lat łagrów za zdradę ojczyzny i próbę nielegalnego przekroczenia granicy. W 1941 roku powołano go do wojska. Na pół roku dostał się do niewoli. Przebywał w obozach jenieckich na wyzwolonym przez sojuszników terenie Niemiec. Na Zachodzie ujrzał inny świat i nie chciał wrócić do kraju. Zrozumiał, że władcy z Kremla wszystkich oszukują. Pojął, że chłopci w jego kraju są niewolnikami. Każdy robotnik po kilku latach pracy może żyć lepiej niż najzdolniejszy naukowiec w Związku Radzieckim. Inżynier zachwycał się zachodnią kulturą, poziomem techniki, a przede wszystkim trudną do pojęcia dla mieszkańców ZSRR wolnością.

30/31

— Mogłem tam robić to, co chciałem i nikt nie narzucał mi jakiegokolwiek światopoglądu — wspominał.

W 1946 roku zaangażował się do pracy w firmie amerykańskiej, która budowała w Turcji obiekty wojskowe. Nigdy nie znalazłby się na terenie ZSRR, gdyby nie tęsknota za żoną. Cały czas utrzymywał z nią korespondencję. W listach prosiła, żeby jak najszybciej wrócił do Lenińgradu. Wpadł na pomysł, by dotrzeć do niej przekraczając "zieloną granicę". Załatwił sobie urlop i szczęśliwie przekroczył granicę. Po paru dniach był w Lenińgradzie. Namawiał żonę do ucieczki. Nielegalny pobyt w ZSRR łączył się z ogromnym niebezpieczeństwem dla niego i dla żony, więc niebawem wrócił do Turcji. Uzgodnił z żoną, że przyjedzie po nią gdy napisze, że jest już gotowa. Po paru miesiącach żona napisała, że wyjeżdża do znajomych w Batumi i jest gotowa do dalszej drogi. Druga wyprawa niestety się nie powiodła. Inżyniera zatrzymano na granicy.

Jeden z nowych laborantów był Ukraińcem. Pochodził z Kijowa, nazywał się Krochmal. Jego również skazano na dwadzieścia pięć lat. Należał do tajnej organizacji ukraińskiej.

Drugi był Estończykiem. Posadzili go za udzielanie pomocy "kontrewolucyjnym bandom" i "antyradziecką propagandę".

Trzeci — Litwin — opuścił kraj z wycofującymi się wojskami niemieckimi. Tam przeszkolili go w zakresie sabotażu i dywersji i przenieśli na Litwę, gdzie nawiązał kontakt z antyradzieckim podziemiem. Przez dwa lata był dowódcą dywersyjnego oddziału, za co również dostał dwadzieścia pięć lat. Niezwykle było to, że nie robił z tego wcale tragedii.

— Gdybym był na ich miejscu — mówił — na takiego jak ja wydliby wyrok śmierci. Z mojej ręki zginęło kilkunastu funkcjonariuszy MGB. Moi ludzie zlikwidowali ich dużo więcej. Rozstrzeliwaliśmy zdrajców i donosicieli.

Szczycił się swoją działalnością i mówił, że gdyby wiedział co go spotka zrobiłby to samo.

— Ja przynajmniej wiem, za co siedzę.

Dowiedziałem się od niego, że na tak zwanej Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainie oraz Litwie, Łotwie i Estonii działały w tym czasie liczne oddziały partyzanckie. Litewskie podziemie współdziałało z łotewskim, a łotewskie z estońskim. Wiedział także o istnieniu podziemia poakowskiego, ale nie miał z nim żadnego kontaktu. Aresztowani w tym samym czasie Polacy twierdzili, że na Wileńszczyźnie, w Nowogródzkim i na Grodzieńszczyźnie działają zbrojne oddziały polskie. Masowe repatriacje Polaków z tych ziem pogarszały warunki ich działania. Na miejsce repatriantów przyjeżdżały z Rosji rodziny rosyjskie. Sowieci byli groźniejsi w zwalczaniu podziemia od Niemców. Podczas akcji przeciwko "białopolskim bandom" nie pomijali żadnej wsi i żadnego zaścianka. Przeszukiwali wszystkie lasy i zagajniki. Często występowali w roli żołnierzy podziemia. Przychodzili w polskich mundurach, z

VW



biało-czerwonymi opaskami, w orłami na czapkach. Pytali o posterunki milicji, o miejsca stacjonowania wojsk sowieckich, o donosicieli. Udzielających tego rodzaju informacji aresztowano w tym samym dniu lub ~~1~~ parę dni później, wtrącano do więzień i ~~szaroną~~ na dwadzieścia pięć lat łagrów.

63

M zasądano

Na kresach wschodnich Rzeczypospolitej, na Litwie, Łotwie i w Estonii aresztowania były tak samo masowe jak w latach 1940 i 1941. Niektórzy jednak twierdzą, że w latach 1944-1950 osadzono w łagrach więcej ludzi.

Wszystkie tego rodzaju informacje były dla żołnierzy AK bardzo ważne. Doszliśmy do wniosku, że nie możemy liczyć na kraje zachodnie i zaczęliśmy realnie oceniać naszą sytuację. Zdaliśmy sobie ~~dobrą~~ sprawę, że nikt nas z łagrów nie wybawi. Chcąc przeżyć, trzeba było przystosować się do obozowych warunków.

Gdy zacząłem pracować w laboratorium, w obozie przenieśli mnie do innego baraku, w którym mieszkali tak zwani pridurkowie, czyli więźniowie zatrudnieni na ciepłych, łączących się z wieloma osobistymi korzyściami stanowiskach. Pridurkowie pracowali w różnych działach obozowej administracji, w dziale głównego geologa i w innych.

pridurkowie

VC

W obozie przy kopalni zakwaterowanie więźniów zależało od miejsca pracy. Swoją barak mieli ślusarze i mechanicy, a także kucharze, więźniowie obsługujący łaźnię i pralnię, dziesiętnicy i technicy, górnicy i więźniowie zatrudnieni na różnego rodzaju budowach. W nowym baraku były lepsze warunki i panowała lepsza atmosfera, nie byliśmy wyczerpani ciężką pracą i nie cierpieliśmy głodu.

Spałem wówczas na jednej pryczy z księdzem Janochą. On spał na dole, ja na górze. Obok siebie miałem inżyniera Sosińskiego. W łagrze prycze służyły nie tylko do spania. Więzień miał na pryczy własny kąt. Na niej jadł, gromadził osobiste rzeczy i przyjmował znajomych.

Ksiądz pracował w dziale głównego geologa. O tym, kim jest, dowiedziałem się któregoś dnia w drodze do pracy.

Spytałem go o zawód. Pamiętam, że uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem:

— Jak myślisz? — zapytał. Na kogo wyglądam?

Odparłem, że na nauczyciela.

— Jesteś bliski prawdy — powiedział.

— Mój zawód ma wiele cech wspólnych z nauczycielskim.

Ksiądz Janocha należał do Zakonu Ojców Kapucynów. Pochodził z wielodzietnej rodziny z Krosna. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1936 roku. Potem studiował w Rzymie. Na wieść o napaści Niemiec na Polskę powrócił do kraju. Wojska niemieckie były już pod Krakowem. Krakowianie masowo uciekali na wschód. On także nie chciał pozostać w mieście, które niebawem zajmą wojska

Aresztowano go wiosną 1940 roku. Sędzia śledczy nalegał, by przyznał się do szpiegostwa. Zarzucano mu również nielegalne przekroczenie granicy sowiecko-niemieckiej, podczas gdy z Krakowa na Wołyń udał się drogą legalną i nie przekroczył żadnej granicy. Z więzienia, bez sądu, trafił do obozu należącego do Uż-Łagu, w pobliżu miejscowości Suchobieżwodnoje. Najbliższym większym miastem było Gorkij. Dopiero tam poinformowano go, że Osoboję Sowieszczanię — to specjalny organ NKWD, do którego prowadzący śledztwo kierowali część spraw politycznych. Organ ten wymierzał niższe wyroki, ale nikogo nie uniewinniał. Zaoczne decyzje tego dziwnego i najprawdopodobniej jedyne w swoim rodzaju na świecie organu wymiaru sprawiedliwości były bezapelacyjne.

Po ogłoszeniu w 1941 roku amnestii dla Polaków ksiądz Janocha znalazł się na wolności. Z rozsianych po całym kraju łagrów zwolniono wtedy dziesiątki tysięcy rodaków. Amnestia uratowała ich przed głodową śmiercią. Masa ludzi zmarła wcześniej w więzieniach i łagrach.

Wiadomość o amnestii, która była zasługą generała Władysława Sikorskiego, wstrząsnęła całym Związkiem Radzieckim. Było to pierwsze ustępstwo Stalina.

— Stalin zwalnia więźniów — mówili ludzie. To niebawem! Kim jest ten Sikorski?

Po wyjściu z obozu ksiądz Janocha wyjechał na południe, gdzie formowano wojsko polskie. Zgłosił się do polskich władz i został wojskowym kapelanem. Gdy armia generała Andersa wyjechała na Bliski Wschód, pozostał na miejscu, by prowadzić pracę duszpasterską wśród ludności cywilnej. Został kierownikiem polskiej placówki w Turkiestanie i opiekował się zamieszkałymi tam Polakami. W



64  
marcu 1943 roku został ponownie aresztowany. Siedział — oskarżony o szpiegostwo — w moskiewskim więzieniu na Łubiance, a potem na Butyrkach. Materiał obciążający stanowiły dwa listy wysłane do polskiej ambasady, w których informował o naruszaniu przez miejscowe władze prawa nietykalności polskich placówek. Pisał, że funkcjonariusze służby bezpieczeństwa wchodzą na teren placówek, przeprowadzają rewizje i aresztują pracowników. Wysocy funkcjonariusze z Ministerstwa Bezpieczeństwa domagali się, by ksiądz zwierzył się z charakteru pracy szpiegowskiej, ujawnił punkty kontaktowe, hasła i sposób zbierania oraz przekazywania informacji dla obcego wywiadu. Pewnego razu został dotkliwie pobity podczas śledztwa. Nie przyznał się do niczego. Mimo braków dowodów winy, skazano go na osiem lat łagrów.

Innym moim ciekawym sąsiadem z pryczy był Rosjanin, Aleksander Kislicyn. Za zdradę ojczyzny dostał dziesięć lat. Cichy i bardzo grzeczny, wyróżniał się rzadko spotykaną wśród Rosjan subtelnością i wysoką kulturą. Przed wojną niemiecko-sowiecką był *politrukiem* w armii. W 1940 roku jednostka, w której służył trafiła na Litwę. Po napaści Niemiec nie wycofał się z wojskiem. Zaopiekowali się nim zamieszkali na wsi Rosjanie. Mieli ładny kawał ziemi i dobrze zorganizowane gospodarstwo. Kislicyn pod ich wpływem wstąpił do seminarium duchownego. Po dwóch latach został popem i ożenił się z córką gospodarza. Po "wyzwoleniu" Litwy został aresztowany. Za zmianę światopoglądu uznano go za zdrajcę. Jako *politruk* Kislicyn należał do grona ludzi radzieckich, których partia obdarzyła największym zaufaniem. Miał czuć nad ideologiczną czystością szeregow, a tymczasem zamiast świecić przykładem — pozostał na tyłach wroga, ożenił się z córką kułaka i na dodatek został popem. To, że Kislicyn odnosił się do Niemców z największą pogardą i niejednokrotnie się im narażał, nie miało dla sprawy żadnego znaczenia. Zdradził partię, złamał żołnierską przysięgę i za to musiał ponieść karę.

31  
32  
\*

W łagrze przy kopalni często spotykałem się z kolegami z Nowej Wilejki. Spędzałem z nimi wolny czas po pracy. Rozmawialiśmy o starych czasach, o naszych bliskich i wspominaliśmy służbę w AK.

Wiosną 1948 roku otrzymałem paczkę żywnościową z Polski. Nadawcą była mama. Miałem przy tej okazji sporo kłopotów, bo dwukrotnie wzywał mnie do siebie pełnomocnik MGB. Rozpytywał, w jaki sposób udało mi się powiadomić rodziców o miejscu, w którym przebywam. Nalegał, żeby zdradził kto mi pomagał. Tłumaczyłem, że pisałem do nich legalne listy z łagru i stąd znają mój adres. Pełnomocnik osobiście asystował mi przy odbiorze paczki i sprawdzał jej zawartość. Mięsne konserwy przekładał na papier, łamał suchary. W tym samym czasie przyszła paczka ze Stanów Zjednoczonych dla mojego kolegi Berndowskiego. Miał jeszcze większe kłopoty niż ja. Z trudnością przekonał pełnomocnika, że nie nawiązywał z obozu żadnych kontaktów z Ameryką. Pełnomocnik wydawał zawartość paczki na raty i wszystko dokładnie sprawdzał. Byliśmy jedynymi w całym obozie, którzy dostali paczki z zagranicy.

Wiosną 1948 roku, na wniosek naczelnika Charatonienki, kazano mi zgłosić się do pracy w kopalni. Ksienia Pietrowna interweniowała w mojej obronie u naczelnika kopalni i obozu, starszego lejtnanta MGB Stiepanienki, który uchylił decyzję obozowej administracji. Pan Kachro i Ksienia Pietrowna przez cały czas mojego pobytu w łagrze traktowali mnie jak syna, za co byłem im ogromnie wdzięczny.

Wiosną 1948 roku wyczytaliśmy z sowieckiej prasy, że Cyrankiewicz podpisał w Moskwie porozumienie o prawie powrotu do kraju obywateli polskich, którzy w czasie wojny znaleźli się na terytorium radzieckim. Nie przypuszczaliśmy, że porozumienie obejmie także więźniów. Ale pewnego dnia rozeszła się po obozie wiadomość: Polacy jadą do Polski! Okazało się, że naczelnik Stiepanienko otrzymał z Moskwy imienne wykazy więźniów narodowości polskiej, których należało natychmiast odesłać do Uchty, do obozu rozdzielczego. Jeszcze tego samego dnia kazano ściągnąć tych ludzi do biura naczelnika obozu.

Wyszukiwano ich w ogromnym pośpiechu w barakach, na placu, w miejscach pracy... Zebrani w biurze Stiepanienki rodacy dowiedzieli się, że wracają do Polski. Wiadomość wstrząsnęła całym obozem.

— Polacy mają drugą amnestię! — mówili Rosjanie. — Już po raz drugi wyciągają ich z niewoli! Ich przywódcy załatwiają to z samym Stalinem. Nikt nie troszczy się o swoich ludzi tak jak oni.

Ubolewali przy tym, że o nich nigdy się nikt nie upomni i pozostaną niewolnikami aż do śmierci.

Tego samego dnia dwudziestopięciorobową grupę Polaków odwieziono na *pieresyikę*, gdzie kompletowano większe grupy i odprawiano je pod eskortą do Brześcia. Po paru tygodniach odprawiono drugą grupę Polaków. *Nadzieratiele* i całe obozowe *naczelstwo* stało się w stosunku do nas grzeczniejsze. Twierdzili oficjalnie, że wszystkich nas odeślą do Polski. Powoływali się na wydane zarządzenie władz centralnych. Z godziny na godzinę i z dnia na dzień czekaliśmy na wywołanie naszych nazwisk. Niektórzy nawet popakowali swoje rzeczy. Pamiętam inżyniera Sosińskiego, który trzymał pod siennikiem spakowany do drogi plecak. Pojechał w trzeciej grupie z moim przyjacielem, Władkiem Bujkiem i doktorem Tumalewiczem.

Władek szalał z radości. Przybiegł do mnie spocony, by podzielić się cudowną wiadomością i pożegnać się. Starał się mnie pocieszyć.

— Niczym nie różnisz się ode mnie. Zostaliśmy skazani za tę samą sprawę i otrzymaliśmy takie same wyroki. Jutro, pojutrze wywołają ciebie. Spotkamy się na *pieresyice* albo za parę tygodni w kraju.

Cieężko nam było się rozstawać, byliśmy przyjaciółmi i bawiliśmy się razem, razem pracowaliśmy w czasie niemieckiej okupacji, razem postanowiliśmy uciec z Wierzbawa i pójść do partyzantki. Jego aresztowali w nocy, a mnie nazajutrz. Spotykaliśmy się ze sobą w więziennych celach, by w końcu trafić do tego samego łagru.

Odjeżdżając spod bramy specjalnym samochodem Władek długo machał do mnie obozową czapką. Poczulem straszny smutek, gdy odjeżdżał, ale wiedziałem, że w kraju odszuka moich rodziców i opowie im o mnie.

Zwalnianie Polaków z sowieckich łagrów trwało przez całe lato 1948 roku. Potem nastąpiła przerwa. Tłumaczono ją "zakorkowaniem" więźniami sowiecko-polskiej granicy. My uzasadnialiśmy ją również tym, że przed przekazaniem rodaków polskim władzom Rosjanie chcą ich trochę podkarmić, co wymagało pewnego czasu.

Pod koniec 1948 roku, na polecenie ministra bezpieczeństwa, dla więźniów politycznych utworzono wydzielone obozy zwane *spec-łagrami* i przeprowadzono olbrzymią akcję przemieszczania tam więźniów.

Część więźniów politycznych z naszego obozu przerzucono pod Intę, część do Workuty, a część do Belchasz. Musiałem pożegnać się z panem Kachro i Ksienią Pietrowną. Przed odjazdem wpadłem do laboratorium. W oczach Ksieni Pietrowny błyszczały łzy. Tym razem nie mogła mi pomóc. Prosiła, bym zapamiętał jej adres.

— Nie jesteśmy bogaci, Henryku, ale w razie potrzeby zawsze pomożemy.

Wcisnęła mi do kieszeni pięćset rubli.

— Nie dziękuj. Pamiętaj, że są Rosjanie o sercach takich samych jak wasze. Życzę wiary i nadziei. Nie wolno jej tracić...

Dołączyłem do kolumny więźniów przed bramą. Stałem w jednej piątce z księdzem Janochą. Za bramą czekały samochody ciężarowe i żołnierze z eskorty. Cel podróży, jak zawsze, był nieznany.

W obozie, który opuszczałem, miałem ostatnio znośne warunki, ale dla olbrzymiej większości więźniów był on męczarnią. Pamiętam Medka Kozłowskiego, wychudzonego do ostateczności, z długą jak patyk szyją i tracącego nadzieję na życie Edka Noniewicz. Były wśród nas setki żywych ludzkich szkieletów. Przez cały czas mojego pobytu w łagrze przed obozową bramą wywożono zwłoki zmarłych z głodu. Żołnierze z wartowni podnosili osadzone na długich trzonkach metalowe młotki i uderzali nieboszczyków w skroń, żeby zamiast trupa nie wywieziono z obozu żywego więźnia.

## 82 83 SOBŁ K OBOZY W BALCHASZU I SPASSKU

Z Uchty wyjechaliśmy w połowie listopada. Przez parę tygodni



byliśmy na *pienesylice*, do której zwożono więźniów politycznych z różnych obozów *Ucht-Iżym-Lagu*. Nasz transport liczył około trzech tysięcy osób. Jechaliśmy, jak zawsze, w towarowych wagonach. W czasie jazdy byliśmy zanknięci i pozbawieni swobody ruchu. Otrzymywaliśmy gorsze niż w obozie jedzenie i nie mieliśmy dostatecznej ilości wody. Dostawaliśmy porcję chleba na dobę i pół litra zupy. Jak na złość, co parę dni obdarzano nas mocno soloną rybą, po której wariowaliśmy z pragnienia.

Jechałem w jednym wagonie z księdzem i kilkoma poznanymi na *pienesylice* rodakami. Wśród nich był Czesiek Stanikiewicz, Peter, Korkor i Nowaczek. Przez zakratowane okienko obserwowaliśmy ciągnące się dziesiątkami kilometrów lasy i bagna. Im dalej na południe, tym częściej pojawiały się pokryte śniegiem pola i nędzne zabudowania kolchozów. Rozpoznawaliśmy też znajome ogrodzenia z wieżami wartowniczymi, na których stali żołnierze otuleni w kożuchy. Przez Moskwę przejechaliśmy w nocy. Po kilku dniach przebijaliśmy się przez maszynę Uralu, oddzielającego Europę od Azji. Wciąż nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Najbardziej baliśmy się Kołymy, kiedy więc od Pietropawłowska pociąg skierował się na południe, odetchnęliśmy. Ktoś krzyknął, że jedziemy do Karagandy. Byliśmy pewni, że wpakują nas do kopalni węgla i tam wykończą. Przez nieszczęsne ściany nieopalanego wagonu wdzierał się chłód. Na dworze był mróz. Silne wiatry ze śniegiem powodowały zamiecie. Na domiar złego, od dwóch dni nie dostawaliśmy jedzenia. Między Akmoleńskiem i Karagandą zachorowałem. Trząsałem się z zimna i ciało miałem mokre od potu. Musiałem mieć wysoką temperaturę. Ojciec Albin, czyli ksiądz Janocha i kolega Nowaczek okrywali mnie swoimi waciakami. Marzyliśmy o ciepłych barakach i zaległych porcjach chleba.

Pod koniec listopada dotarliśmy do Bałchaszu, dużego przemysłowego miasta w Republice Kazachskiej, położonego nad jezioro o tej samej nazwie. Na zachód i północ od miasta rozciągają się bezludne stepy. Jego budowę rozpoczęto w 1937 roku równoległe z budową, bazującą na miejscowych złożach, olbrzymiej huty miedzi. Hutę i miasto zbudowali więźniowie.

Nowy obóz w niczym nie przypominał poprzednich. Stepowa ziemia była twarda jak kamień, kamienne baraki, wszystkie pomalowane na biało, przypominały osiedla arabskie.

Przed nami w bałchaskim obozie przebywali jeńcy japońscy. Musieli niedawno odjechać. Na ścianach wisiały różnego rodzaju tablice z informacjami w języku japońskim. W zakamarkach baraków ochależliśmy zapisane kartki papieru. Odczytywali je nam i tłumaczyli więźniowie Japończycy. Zdarzały się karteczki pisane po francusku, angielsku i niemiecku. Dowiedzieliśmy się z nich, że jeńcy pracowali na budowie. Władze obozu starały się upodobić życie jeńców do życia więźniów. Wielkość porcji żywnościowych próbano uzależnić od stopnia wykonania norm. Próby te nie powiodły się. Oficerowie i żołnierze jedli ze wspólnego kotła. W zapiskach wspominali o częstych przesłuchaniach jeńców przez oficerów służby bezpieczeństwa oraz o próbach werbowania donosicieli.

Po paru tygodniach naszego pobytu w Bałchaszu część więźniów odprowadzono do pobliskiego Kaurradu i Dżezkazganu, gdzie były kopalnie miedzi. Miałem szczęście, że zostałem w Bałchaszu. Górniczy kopalni miedzi, a szczególnie głodni i niedożywieni więźniowie często zapadali na nieuleczalną chorobę, którą Rosjanie nazywali *pulikozem*. Jej przyczyną był osadzający się na płucach pył, w wyniku czego płuca kamieniały.

Pierwsze miesiące w bałchaskim łagrze były bardzo trudne. W kilka dni po męczącej podróży zagoniono nas do katorżniczej pracy. Pracowaliśmy w mieście przy budowie obiektów, które pozostawili Japończycy.

Obóz ten znajdował się osiem kilometrów za miastem. Do pracy i z powrotem chodziliśmy pieszo. Na budowie kopaliśmy głębokie rowy pod fundamenty budynków. Twarda jak kamień ziemia nie ustępowała łomom i kilofom. Musieliśmy ją rozбивać ciężkimi, dziesięciokilogramowymi młotami za pomocą stalowych klinów. Pracowaliśmy przez dziesięć godzin dziennie, a karmiono nas skąpych porcjami zepsutej lub



zmróżonej kapusty, buraków i marchwi. Przez kilka miesięcy na drugie danie obiadu nie dawano nic zbożowego.

W obozie zapanował głód. Ludzie szybko tracili siły i podupadali na zdrowiu. Przez pewien czas zakupywaliśmy żywność poza obozem. Dogadywaliśmy się z żołnierzami z eskorty. Dawaliśmy im pieniądze, a oni kupowali nam chleb. Niekiedy jeszcze musieliśmy płacić za usługę. Na świadczenie tego rodzaju usług godzili się tylko niektórzy żołnierze, i to w tajemnicy przed kolegami, bo za kontaktowanie się z więźniami mogli trafić do łagrów.

Nie wszyscy więźniowie mieli pieniądze, bo za pracę nie otrzymywaliśmy wynagrodzenia. Posiadali je tylko ci, którzy w swoim czasie sprzedali coś z odzieży lub obuwia.

Na ogół, zwłaszcza w pierwszej fazie naszego pobytu w obozie, bałchascy żołnierze byli dużo lepsi od tych, z którymi mieliśmy do czynienia w Uchoie. Wykonywali niechętnie swoje obowiązki, dając nam nieraz do zrozumienia, że robią to z musu. Do nas odnosił się poprawnie. Do dzisiaj pamiętam żołnierza, dzięki któremu najadłem się świetnego domowego barszczu ze świeżymi ziemniakami bez łupin. Zanosilem właśnie, na polecenie brygadzysty, trochę odpadów z drewna do wygasającego ogniska, przy którym siedział żołnierz z eskorty. Był duży mróz. Przy wszystkich otaczających obiekt posterunkach więźniowie rozpalali ogniska, by żołnierze mogli się ogrzać. Żołnierz kazał mi usiąść.

— Robota nie wilk — powiedział. — Odpocznij, pogrzej się trochę.

Gdy usiadłem, urwał kawał gazety i nasypał tytoń.

— Masz, zapal!... Jak długo jesteś w łagrze? Czemu milczysz? Nie musisz się mnie bać. Chcę z tobą porozmawiać.

Kiedy odpowiedziałem na pytanie, rozgadał się.

— Służę w wojsku już tyle, co ty jesteś w łagrze i czort wie, kiedy wrócę do domu.

Pytał też, za co siedzę. Nie mógł zrozumieć, że zostałem skazany tylko za to, że byłem w partyzantce. Nie przyjmował argumentu władz, że polska partyzantka podlegała rządowi, z którym Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne. Narzekał też na nędzne warunki w armii i na paskudne posiłki.

— Karmią nas niewiele lepiej niż was. Ale ty przynajmniej wiesz, że do końca masz sześć lat, a ja nie wiem ile jeszcze będę chodzić z tą pukawką. Już trzy lata po wojnie i nie chcą puścić do domu. Do dupy z taką służbą.

W pewnej chwili wskazał na składzik, który przylegał do bloku mieszkalnego i rzekł:

— Ja odwrócę się, a ty biegnij do składziku. Zastaniesz tam kobietę, która cię nakarmi. To biedny człowiek — pewnie wdowa, ma dwoje małych dzieci. Mąż poszedł na wojnę i do tej pory nie ma o nim żadnych wiadomości. Idź! Nie bój się! Przecież jesteś głodny...

Rozejrzałem się wkoło i pobiegłem. W składziku zastałem młodą kobietę. Przywitałem się po rosyjsku. Odpowiedziała uśmiechem, ale w jej oczach widziałem strach. Nic dziwnego — za spotkanie z więźniem mogła zarobić dwadzieścia pięć lat łagrów. Tak samo narażał się żołnierz. Powiedziałem, że przysłał mnie wartownik.

Przed pracą trzeba się posilić — powiedziała i przyniosła pełny gar gorącego barszczu, miche ziemniaków i bochen chleba. Najadłem się za wszystkie czasy. Po posiłku pomogłem jej napiłować i porąbać drzewo. Była wyraźnie zadowolona, ale bała się. Jeszcze raz pobiegła do mieszkania i przyniosła dwa bochenki chleba.

— Chciałabym dać więcej, ale nie mam.

Podziękowałem. Gdy na pożegnanie chciałem ucałować jej rękę, zrobiła wielkie oczy.

— Co wy? Nie trzeba — powiedziała zdziwiona.

Wróciłem za druty obwieszone tabliczkami z napisem *запретная зона* \* i podziękowałem żołnierzowi.

\* Teren zakazany.

Był odwrócony tyłem, ale widział jak biegnę.

— Pokuszał? — spytał, nie zmieniając pozycji. —  
Dowolen?... Ja też dowolent\*.

\*

Bałchaski obóz był obozem specjalnym. Przebywali w nim tylko więźniowie polityczni. Od poprzednich różnił się ostrzejszym regulaminem i różnego rodzaju zakazami. Mocno ograniczał uprawnienia więźniów. Od dziesiątej wieczorem do piątej rano byliśmy zamknięci w barakach. Okna były zakratowane. Drzwi zamykane na żelazne sztaby. Oprócz karceru na terenie obozu było więzienie. W urzędowym języku określano je w skrócie *BUR-em* (*Barak Usilernego Reżima*)\*\*. W *spec-lagrach* więźniom ograniczano także korespondencję z bliskimi. Mogliśmy wysyłać tylko dwa listy w roku. Pisanie listów do bliskich za granicą było zakazane. Na kurtkach, spodniach i czapkach nosiliśmy więzienną numery. Za brak numeru groził karcer lub *BUR*. Skazani do *BUR-u* nie pracowali, ale mieli zmniejszone racje żywnościowe.

Pełnomocnicy Ministerstwa Bezpieczeństwa, którzy znajdowali się w obozie, nie podlegali obozowemu *naczalstwu*. Mieli za zadanie badać nastroje, światopogląd i przekonania polityczne więźniów. Starali się wyławić osoby, które mogły mieć szkodliwy wpływ na otoczenie. Próbowali też przy pomocy donosicieli dowiedzieć się o sprawach, których nie ujawniono w czasie śledztwa. Interesowali się nielegalnymi kontaktami z więźniami w innych obozach i kontaktami z ludźmi wolnymi. Donosiciele werbowali za lżejszą pracę, dodatkową łyżkę kaszy czy miskę zupy albo za obietnice wcześniejszego zwolnienia z łagru.

Podjadłeś? Jesteś zadowolony? I ja jestem zadowolony.

\*\* Barak Zaostrożonego Rygoru.

W wielonarodowej grupie więźniów tworzyły się nieformalne grupy narodowościowe. Przewodzili im ludzie o najwyższym autorytecie. Nikt ich nie wybierał, skupiano się wokół nich spontanicznie. Stosunki między więźniami różnych narodowości układały się różnie. Polacy utrzymywali poprawne stosunki ze wszystkimi, którzy w czasie okupacji walczyli przeciwko Niemcom. Nie cierpieli wywodzących się z UPA Ukraińców, byłych funkcjonariuszy policji, agentów gestapo. Byłych żołnierzy z armii generała Własowa traktowaliśmy podobnie. Pełną sympatią darzyliśmy wszystkie ofiary stalinowskiego reżimu.

Pełnomocnicy MGB dość dobrze orientowali się co więźniów łączy i co dzieli i wykorzystywali to do werbowania donosicieli. Wzywaniem na rozmowy Polakom proponowano podsłuchiwanie rozmów w środowisku ukraińskim i litewskim. Ukraińców werbowali do szpiegowania środowiska polskiego i rosyjskiego. Gdy donosiciel zdawał egzamin, zmuszano go do szpiegowania środowiska własnego.

W ciągu dziewięciu lat więziennego i obozowego życia spotkałem się cztery razy z pełnomocnikami MGB: raz w kopalni przy odbiorze paczki żywnościowej z Polski, dwa razy w Bałchaszu i raz w Omsku. Wszyscy więźniowie bali się tych ludzi, bo zdawali sobie sprawę, że posiadają nieograniczoną władzę. Każdy z nich mógł występować o dodatkowe wyroki.

W czasie pierwszego spotkania pełnomocnik w stopniu majora interesował się, o dziwo, moim zdrowiem, warunkami pracy i kontaktami z rodziną. Pytał, czy nie narzekam na słabe odżywianie. Interesował się też moją przeszłością i "serdecznie współczuł" mojemu losowi. Chyba niepotrzebnie powiedziałem, że czuję się niewinny. Zaraz to podchwycił i proponował mi pomoc.

— Skoro walczyliście przeciwko Niemcom — oznajmił — powinni was zwolnić. Mogę wam w tym pomóc. Możemy wspólnie napisać podanie do odpowiednich władz. Nie powinniście dłużej przebywać ze zdrajcami, przestępcami i zbrodniarzami. Potem zmienił temat. Był ciekaw, z kim się spędzam wolny czas... W końcu zapytał o Ojca Albina.

33/34

— Co możecie powiedzieć o swoim koledze, Janosze?

— To nie jest kolega — odparłem — to ksiądz.

— Ale mieszkacie w tym samym baraku i jesteście w tej samej



brygadzie. Wiem, że łączy was wielka przyjaźń...

Teraz wiedziałem, po co mnie wezwał. Oświadczyłem, że Janocha jest takim samym więźniem jak inni.

— To prawda, że łączy nas przyjaźń. Bardzo go szanuję. To bardzo dobry człowiek. Inni go również szanują — nie tylko Polacy i nie tylko dlatego, że jest księdzem. Ten człowiek, podobnie jak wszyscy Polacy, cierpi niewinnie.

— Powiedzcie mi, jaki jest stosunek księdza do naszej władzy i do obecnych władz w Polsce? Pytam was, bo mam do was zaufanie. Z byle kim na ten temat nie rozmawiam. I mogę was zapewnić, że o naszej rozmowie nikt się nie dowie.

Chciałem już powiedzieć, że nie mamy o czym mówić, ale byłem ciekaw, czego ten człowiek chce od księdza. Po chwili namysłu powiedziałem, że wiem od aresztowanych w Polsce więźniów, iż są tam czynne wszystkie kościoły i że obsługują je tacy, jak ksiądz Janocha, którzy pragną, by na ziemi zapanowała "jedna owczarnia i jeden pasterz".

— A pamiętasz — przerwał major — waszą rozmowę na temat marszałka Rokossowskiego?

Przypomniałem sobie scenę sprzed kilku dni. Staliśmy po pracy przed barakiem, ksiądz Janocha i kilku Polaków. Ktoś przyniósł wiadomość o wielkodusznej zgodzie Kremla na przekazanie Polsce marszałka Rokossowskiego, który przyjął w Warszawie tekę ministra obrony narodowej. Zareagowaliśmy na to wielkim śmiechem.

— Brakowało nam tylko sowieckiego marszałka — powiedział Nowaczek.

Ktoś inny dodał: — Teraz, panowie, niepodległość Polski nie powinna budzić żadnych wątpliwości...

— Stalin chce mieć w Warszawie swego namiestnika — wtrącił Bogdankiewicz — To drugi Wielki Książę Konstanty.

Pełnomocnik czekał na odpowiedź.

— W prasie podają, że marszałek jest Polakiem, a Wielki Książę Konstanty był synem cara... — powiedziałem.

Major nie był zadowolony z odpowiedzi. Na zakończenie radził mi, żebym wszystko sobie przypomniał. W tej samej sprawie wzywał jeszcze do siebie Czeska Stankiwicza, Szamreja, Jastrzemskiego i innych. Powtórzyłem Ojcu Albinowi i wszystkim kolegom treść rozmowy z pełnomocnikiem. Zastanawialiśmy się, kto mógł donieść i doszliśmy do wniosku, że jakiś Ukraińiec.

\*

W bałchaskim obozie najgorsza do przeżycia była pierwsza zima. Silnym mrozom towarzyszyły porywiste wiatry. Coraz więcej było wśród nas wycieńczonych. Jedynym ratunkiem mogła być pomoc z domu. Pisaliśmy do bliskich i znajomych prosząc o żywność. Prosililiśmy o suchary i trochę tłuszczu. Ojciec Albin nie dostawał dotąd paczek, bo nigdy o nie nie prosił. Pierwszy raz poprosił o pomoc w Bałchaszu. Nie troszczył się o siebie, lecz o skrajnie osłabionych z głodu rodaków. Moje listy do babci szły bardzo długo, paczki od niej — jeszcze dłużej.

Mimo tych nieludzkich warunków, przeżyłem w bałchaskim obozie jedną z najpiękniejszych w moim życiu wigilii świąt Bożego Narodzenia. Nie zawsze dotąd mogliśmy się zgrupować, by wspólnie uczcić ten święty wieczór. Wigilia tego roku, w pełnej smutku i rozpaczliwej rzeczywistości, była cudem... W dzień wigilijny mnie i paru kolegom udało się dołączyć do sortujących zamrożone i psujące się warzywa. Włóciliśmy do baraku obładowani marchwią i kapustą. Nie zauważył tego nikt z obozowego nadzoru. Byliśmy głodni, jak syberyjskie wilki zimą, ale tego dnia swoje dzienne porcje chleba zachowaliśmy do wieczora.

Wzdłuż ścian baraku stały piętrowe prycze, między nimi długi, zбиты z desek stół i ławy. Gdy na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, zasiedliśmy do wieczerzy. Było nas — Polaków — około czterdziestu. Rolę gospodarza powierzyliśmy księdzu. Wieczerzę rozpoczęliśmy od wspólnego "Ojciec nasz...". Po modlitwie Ojciec Albin



mówił o zbawiennym znaczeniu narodzin i życia Jezusa Chrystusa dla całej ludzkości. Potem nawiązał do przeszłości — do świąt, które spędziliśmy na wolności, w rodzinnym kraju, wśród najdroższych osób. Przypomniiał świąteczne choinki i wigilijne stoły w naszych domach. Słuchaliśmy go w takim skupieniu, jak dzisiaj słucha się chyba tylko Ojca Świętego. Myślami przenosiliśmy się do domów, do rodzin, do kolorowych świeczek, zimnych ogni, "do czasów bajecznych"... Wspomnienia, radość świąt i gorzka rzeczywistość, która nas otaczała sprawiły, że do oczu napłynęły nam łzy. Nie uszło to uwagi Ojca Albina, zaraz też padły słowa pocieszenia:

— Pan jest Wszechmocny... trzeba Mu ufać.

Sięgnął po kromkę obozowego chleba i uczynił nad nią znak Krzyża Świętego, po czym powtórzył znak nad resztą Bożych darów.

— Panie! — zawołał, wznosząc oczy ku niebu — Ty nas widzisz... Oddalonych o tysiące kilometrów od Ojczyzny, oderwanych od rodzin, odgradzonych od świata drutami. Pomóż przetrwać i spraw, byśmy przyszłe święta narodzin Twojego Syna mogli spędzić w Polsce.

Ponieważ nie mieliśmy opłatka, Ojciec Albin podszedł do najstarszego wiekiem rodaka, złożył mu życzenia dzieląc się z nim kromką chleba. Potem podchodził do wszystkich.

Wszyscy dzieliliśmy się chlebem i składaliśmy sobie życzenia. Później zasiedliśmy do misek z ugotowaną marchwią i kapustą. W baraku panowała zupełna cisza. Przerwaliśmy ją koledą "Wśród nocnej ciszy...". Potem zaśpiewaliśmy "Bóg się rodzi, moc truchleje...".

Nie zawsze dostrzegamy, ile w tych słowach mocy, wiary, nadziei, ile cudownego, duchowego pokarmu... Kiedy zaśpiewaliśmy: "Podnieś rączkę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą. W dobrych radach, w dobrym bycie, wspieraj Jej siłę swą siłą...", pomyślałem: — A jeśli z Twojej woli mamy tutaj umrzeć — spraw Panie, by w kraju pozostała o nas pamięć — dobra pamięć. Ty wiesz, dlaczego cierpimy...!

Po koledach dzieliliśmy się wspomnieniami ze świąt spędzonych na wolności — w rodzinnych domach, w szeregach Armii Krajowej.

Bóg i Ojczyzna — to słowa wielkie i święte. W niczym nie przesadzę, jeśli powiem, że ci, którzy przeszli przez obozowe piekło poznali — jak mało kto — cenę utraty Ojczyzny.

\*

Jeszcze jedną z nowości Bałchasa było to, że stopień wykonania norm pracy nie miał wpływu na wyżywienie. Wszyscy więźniowie dostawali jednakowe porcje. Stołówka, do której chodziliśmy — trzydziesto- i czterdziestoosobowymi brygadami — była zaopatrzona tylko w aluminiowe miski; łyżek tam nie było. Robiliśmy je sami z drewna lub wytapialiśmy je z aluminiowego drutu. Widelców także nigdy nam nie wydawano, natomiast za posiadanie noża groził kancer lub *BUR*.

Naczelnikiem bałchaskiego obozu był kapitan Ostapienko. *y* Bali się go nie tylko więźniowie, lecz i cała obozowa administracja. Gdziekolwiek się pojawił, sypały się kary dyscyplinarne. Więzień, który widząc naczelnika nie stanął na baczność, szedł z miejsca do karceru. Ostapienko oficjalnie mówił, że gdyby to od niego zależało, kazałby rozstrzelać wszystkich więźniów politycznych. Przed każdą spodziewaną wizytą naczelnika wszędzie czyniono generalne porządki. Do obozu wchodził w otoczeniu świty obozowego *naczelstwa* i *naczieratieli*.

Przeciwnieństwem Ostapienki był jego zastępca. Mocno otyły, starszy pan, w stopniu pułkownika. Nie pamiętam już jego nazwiska. Chodził podpierając się laseczką, bez żadnej asysty. W obozie zjawiał się niespodziewanie. Lubił rozmawiać z więźniami bez świadków.

Pewnego dnia wpadł do baraku, gdy pisaliśmy "nielegalne" listy. Na jego widok gwałtownie staraliśmy się schować zapisane już kartki.

— Po co chowacie? Piszcie — powiedział — Dwa listy w ciągu roku to strasznie mało. Jeszcze na dodatek cenzura... Do domu trzeba pisać. Na waszym miejscu robiłbym to samo. Dobrze, że są jeszcze

ludzie, dzięki którym wasze listy dochodzą do rodzin.

Po czym rozejrzał się wkoło i dodał:

— Ale bądźcie ostrożni, by nie złapali was *nadzieratiele*.

Od czasu nowego naczelnika mimo regulaminowych ograniczeń i częstych ~~kar~~ kary pisaaliśmy do bliskich tyle listów, ile chcieliśmy... Wychodząc do pracy oddawaliśmy je wolnym ludziom, którzy wrzucali je do miejskich skrzynek pocztowych. Ilekroć na teren, gdzie przebywaliśmy przyjeżdżały samochody z materiałami budowlanymi, kierowcy i pracownicy nadzoru technicznego brali od nas listy, chociaż groził im za to łagier.

Pewnego razu — było to w czasie zbiórki na obozowym placu — pułkownik przechadzał się wzdłuż szeregów więźniów. Zatrzymał się przy więźniu, który był tak osłabiony, że ledwie stał na nogach.

— Czemu tak źle wyglądasz? — spytał.

— Bo doprowadziliście mnie do takiego stanu — odparł więzień.

— Gdzie pracujesz?

— Tam, gdzie wszyscy.

— Jaki dali ci wyrok?

— Dziesiątkę.

— Ty *ruskij*? ...

— Nie. Titowiec.

— Nie znam takiej *nacji*.

— Nie znacie Tito? Jeszcze niedawno stał na moskiewskim lotnisku, sialiście mu pod nogi dywan, a teraz mówicie, że go nie znacie...

— Ach, Tito! — Pułkownik roześmiał się od ucha do ucha. — Rozumiem...

— Dlaczego "Titowiec" chodzi w takiej podartej odzieży? — zwrócił się następnie do asystujących mu oficerów. — Jeszcze dzisiaj wydacie mu nowe ubranie. A jutro nie pójdzie do pracy, zostanie *chiewalnym*.

W połowie 1949 roku zaczęły do nas docierać paczki żywnościowe. Dostawał paczki między innymi ksiądz Janocha i rozdawał je rodakom. Od tej pory przestaliśmy głodować. Ja także dostałem paczkę od babci. Zawsze dzieliliśmy się żywnością z tymi, którzy nie mieli kontaktu z rodzinami.

Pod koniec 1949 roku w obozie otwarto sklepik, w którym mogliśmy kupić chleb, wędliny gorszego gatunku, papierosy i inne artykuły. Znacznej poprawie uległy obozowe posiłki. Zupy były ~~porządziej~~ gęściejsze i treściwsze.

Któregoś dnia po raz drugi zostałem wezwany do pułkownika MGB. Nazwał mnie "wyródnym synem".

— Jak mogłeś dopuścić do tego, by rodzice poszukiwali cię za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża!? — krzyczał. — Dlaczego do nich nie piszesz?

Powiedziałem spokojnie, że zgodnie z regulaminem nie możemy wysyłać listów za granicę.

— Dla chcącego nic trudnego. Trzeba było przyjść do mnie... Bierz pióro i pisz — podał mi poliniowany blarkiet.

— Pisz na tym papierze. Na drugą stronę nie odwracaj. Tamta strona nie jest dla ciebie. Będiesz pisał pod moje dyktando i po rosyjsku. A więc zaczynamy: "Kochani Rodzice! Jestem żywy i zdrowy. Pracuję i na nic nie narzekam. Pozdrawiam was serdecznie i całuję. Wasz syn — Henryk *Wot i wsio*". Jesteś zadowolony?

Wiedziałem, że jest to jedyna sposobność, żeby otrzymali bezpośrednio ode mnie jakąkolwiek wiadomość, więc musiałem być zadowolony.

\* To wszystko.

\*

Przez parę miesięcy w Balchaszu pracowałem w cegielni. Brygadzystą był Żyd Kirkon, który pochodził z Polski. Chwalił się, że przed wojną był oficerem, ale nikt w to nie wierzył. Praca w cegielni była bardzo ciężka. Cegłę formowano taśmowo, więc pracowaliśmy bez odpoczynku. Do mnie należało zdejmowanie mokrych cegieł z taśmy i



72

układanie ich na wielopółkowych wózkach, którymi odwożono je do wypalania. Po dziesięciu godzinach pracy tak mocno bolały mnie wszystkie mięśnie i ścięgna, że nie mogłem się zgiąć. Przedtem pracował na tym stanowisku Czesiek Starkiewicz, ale nie dawał sobie rady, był za słaby. Zastąpiłem go, bo chciałem mu pomóc.

Potem pracowaliśmy przy budowie "szpitalnego miasteczka". Była to nieco lżejsza praca. Budowaliśmy wielopiętrowe budynki. Któregoś dnia spadłem przez nieuwagę z trzeciego piętra i przez trzy tygodnie leżałem w obozowym szpitalu z dotkliwymi potłuczeniami i zwichniętą nogą. Po wyjściu ze szpitala znów wróciłem na budowę, choć noga mocno mnie bolała i nie mogłem zgiąć kolana.

Do pracy i z powrotem wożono nas otwartymi samochodami. W czasie jazdy obowiązywała pozycja siedząca, co wymagało zgięcia kolana. Ponieważ dokuczał mi ból, często się wierciłem, by zająć dogodniejszą pozycję. Żołnierze stojący przy szoferce kilkakrotnie zwracali mi uwagę, że za dużo się kręcę, a jeden z nich nazwał mnie faszystą. Groził, że się ze mną policzy. Przed bramą strzeżonego terenu budowy kazał mi wystąpić z kolumny i wejść na ciągnący się wzdłuż ogrodzenia pas *zapretnej zony*. Wiedziałem, że gdyby się ktoś tam znalazł, żołnierze mieli obowiązek użycia broni. Uratowało mnie solidarne stanowisko kilkuset więźniów, którzy odmówili wejścia na budowę i przystąpienia do pracy, jeśli żołnierze nie zostawią mnie w spokoju. Po ostrej wymianie słów żołnierze ustąpili.

Z opowiadań starych więźniów wiedziałem, że strażnicy nierzadko wysyłali więźniów na pasy *zapretnych zon*, a potem strzelali do nich. Pracującym w lesie proponowali wyjście po jagody. Gdy więzień znalazł się poza drutem, oddawali strzały. Potem zgłaszali, że więzień uciekał. Za uniemożliwienie ucieczki dostawali kilka dni urlopu i mogli pojechać do swoich rodzin. Musieliśmy zawsze o tym pamiętać.

Przez kilka miesięcy pracowaliśmy przy budowie dużego miejskiego domu kultury — budowę rozpoczęli Japończycy. Pewnego dnia, pracując przy wykopach, zauważyliśmy zbliżającego się do drucianego ogrodzenia mężczyznę. Szedł z gołą głową, w rozpiętym wojskowym płaszczu. Wyglądał na około trzydziestu lat. Stojący na strażnicy żołnierz kazał mu natychmiast zawrócić, ale mężczyzna nie reagował. Zbliżył się do drutów i na naszą stronę przerzucił dość duży pakunek. Wartownik oddał strzał alarmowy. Kiedy przybył dowódca eskorty, mężczyzna zmierzał już w kierunku zabudowań. Dowódca eskorty kazał go zatrzymać i żołnierz pobiegł za oddalającym się. Gdy odległość zmalała do paru metrów, mężczyzna odwrócił się i podniósł rękę do góry, w której coś błysnęło. W tym momencie padł strzał i mężczyzna upadł. Natychmiast wokół zgromadzili się ludzie, grozili żołnierzowi pięściami, wymyślali. Koledzy z eskorty przybyli mu do pomocy. Po kwadransie przyjechał samochód z dwoma oficerami milicji i dwoma cywilami i karetka. Mężczyzna zmarł w drodze do szpitala.

W przerzuconym przez druty pakunku znaleźliśmy dziesięć paczek papierosów "Siewier". Po zakończeniu pracy, gdy wsiadaliśmy do samochodów, przed bramą zgromadził się tłum mieszkańców z Balchaszu. Żołnierze próbowali rozpedzić ludzi, straszili ich użyciem broni. Złościли się, że za wolno wsiadamy.

— Szybciej, faszyci! — krzyknął jakiś żołnierz. Wtedy z tłumu posypały się protesty.

Kto ci powiedział, że to faszyci, młokosie? — wołał jakiś starzec. — Twoją rzeczą stać z pukawką i pilnować. Nie masz prawa ich obrażać!...

Ludzie poparli starca. Kiedy do sporu włączył się dowódca eskorty, jakiś mężczyzna rzucił w niego kamieniem. Doszło do szarpaniny. Mężczyzna wyrwał się, wsiadł na rower i odjechał. Posypały się z nim strzały z pistoletu maszynowego.

— Bandyci! — wołali ludzie.

Wystraszony rowerzysta zatrzymał się, a dowódca zabrał go do swego samochodu.

Na początku naszego pobytu w Balchaszu mieszkańcy odnosili się do nas pogardliwie. Często spotykali się z więźniami, ale nigdy dotąd nie widzieli noszących numery. Na zakładowych zebraniach



przedstawiciele władz tłumaczyli ludziom, że nasze numery oznaczają ilość zamordowanych przez danego więźnia radzieckich obywateli. (Nosilem wówczas numer "L-868", a więc miałem zamordować 868 osób!). W stosunkowo krótkim czasie ludzie dowiedzieli się prawdy. Nie spoglądali na nas bokiem i często do przechodzących ulicami numerowanych więźniów rzucali chlebem.

Funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa tymczasem panicznie bali się jakichkolwiek kontaktów ludności z "wrogami ludu". Nie mieli zaufania nawet do eskortujących nas żołnierzy i wymieniali ich co kilka miesięcy.

Gdy budowaliśmy miejski dom kultury, natrafiliśmy na zakopane w ziemi pneumatyczne młoty, kilofy, łopaty i inne narzędzia. Ustaliliśmy, że zakopali je Japończycy. Postanowiliśmy zrobić to samo. Przed zakończeniem pracy część narzędzi odnosiliśmy do magazynu, a część zakopywaliśmy lub zalewaliśmy betonem.

35  
150

Latem 1949 roku zachorowałem i poszedłem do lekarza. Miałem ponad czterdzieści stopni temperatury. Lekarz skierował mnie do szpitala, którym zarządzał więzień nazwiskiem Sierodkin, Rosjanin. Krążyła o nim pogłoska, że na wolności był jednym z lekarzy kremłowskich. Był to świetny chirurg. Skazano go na dwadzieścia pięć lat. Jego pracę w szpitalu nadzorowali lekarze wojskowi z aparatu bezpieczeństwa. Zdecydowanie przewyższał ich wiedzą i doświadczeniem. Sierodkin zainteresował się mną przy pierwszym obchodzie chorych. Odtąd przynosił mi do czytania książki rosyjskich klasyków i pocieszał, że na pewno wróćę do kraju. W wolnych chwilach zapraszał mnie do swego gabinetu na pogaduszki. Zawsze mówił, że muszę się oszczędzać i unikać ciężkiej pracy, która niszczy zdrowie bardziej niż niedożywienie.

— Jesteś, Henryku, młody — powiedział — i masz szansę przeżyć to piekło. Czasy muszą się zmienić. Na dłuższą metę tak być nie może. Ja tego mogę nie dożyć, ale tacy jak ty będą potrzebni.

Pewnego dnia postanowił przenieść mnie na oddział gruźlików.

— Nie bój się, położymy cię z chorymi, którzy nie prątkują. Nie mogę cię trzymać dłużej na oddziale chorób wewnętrznych, a chciałbym byś jeszcze odpoczął. Chcę zrobić z ciebie inwalidę — to zapewniłoby ci lżejszą pracę.

Zgodziłem się i zostałem w szpitalu prawie do końca roku. W grudniu komisja, składająca się z wojskowych lekarzy, uznała mnie za inwalidę. A mnie nic wówczas nie dolegało. Ważyłem ponad siedemdziesiąt kilogramów. W jaki sposób Sierodkin oszukał komisję? Nie wiem do dziś.

Przed końcem roku obozowe naczalstwo postanowiło odesłać inwalidów do inwalidzkiego łagru w Spassku. Z samego rana kazali mi spakować rzeczy i przygotować się do wyjazdu. Było mroźno i wiał silny wiatr. Przed bramą obozu czekały trzy samochody ciężarowe. Załadowano do nich sześćdziesiąt osób. Wśród inwalidów przeważali Ukraińcy, ale byli też Litwini, Estończycy, Łotysze i Rosjanie. Przy samochodach stali uzbrojeni żołnierze ubrani w długie, białe kożuchy. Mieliśmy przed sobą osiem godzin jazdy. Do samochodu, w którym zająłem miejsce wprowadzono pięć młodych kobiet z sąsiedniego obozu. Żeński obóz, z którym sąsiadowaliśmy w Balchaszu, odgródzony był od naszego wysokim murem, zakończonym kolczastymi drutami. Jedną z kobiet była Litwinka, pozostałe Ukrainkami. Miały na piersiach i plecach obozowe numery. Wszystkie dobrze mówiły po polsku. Żołnierze byli dla nas dość tolerancyjni. Pozwalali rozmawiać, nawet żartowali.

— Jeśli chcesz — powiedział sierżant — możesz jedną z nich pocałować. Wybierz, która ci się podoba. Takiej okazji więcej nie będzie.

Od naszych towarzyszek podróży dowiedziałem się, że w żeńskim obozie było ponad dwa tysiące kobiet. Większość stanowiły Ukrainki, Litwinki, Łotyszki i Estorki. Dużo było także Rosjanek, Azjatek i około setki Polek.

Już po kilku kilometrach jazdy byliśmy porządnie zmrznięci. Ciężarowy samochód był otwarty, a my siedzieliśmy na mrozie. Ale człowiek to stworzenie, które znosi więcej niż może się komuś wydawać.

Po południu dojechaliśmy do Karagandy. Żołnierze zrobili przerwę

74

w podróży. Musieli się rozgrzać i dlatego zawieźli nas do więzienia. Wprowadzili nas do dużej sali. Przynieśli dwa wiadra gorącej wody i kubki. Ogrzani wyruszyliśmy w dalszą drogę. Mijaliśmy charakterystyczne dla Karagandy hałdy węgla i po godzinie jazdy byliśmy w Spassku.

Kobiety powędrowały do obozu żeńskiego, my — do męskiego.

Pierwsze dni w nowym obozie zapowiadały się niedobrze. Ponad trzymiesięczny pobyt w bałchaskim szpitalu mógł pójść na marne. W spasskim obozie inwalidów dzielono na nadających się i nie nadających do pracy.

Zaledwie po paru dniach pobytu w obozie kazano mi stawić się na komisję lekarską, która orzekła, że jestem zdrowy i skierowała mnie do pracy w kamieniołomach. Do nie nadających się do pracy zaliczano tych, którzy nie poruszali się o własnych siłach. Mieszkali oni w oddzielnych barakach, do których z kuchni dowożono posiłki. Nikt się nimi nie opiekował i nikt ich nie leczył. Wyglądali potwornie, byli straszliwie wychudzeni. Kompletnie załamani psychicznie i pozbawieni jakiegokolwiek nadziei, czekali na śmierć.

Nowi sąsiedzi straszili mnie, że po kilku miesiącach pracy w kamieniołomach będę wyglądał tak samo jak oni.

Wśród inwalidów było dużo kalek — ludzi bez nóg i rąk. Więźniowie bez nóg pracowali w pracowniach krawieckich i szewskich. Więźniów bez jednej ręki, którzy nie skarżyli się na inne dolegliwości nie zaliczano do inwalidów. Pracowali w kamieniołomach jako noszowi. Do nosz dobierano po dwóch więźniów bez lewej ręki i po dwóch bez prawej. Codziennie przez dziesięć godzin nosili połupane przez innych więźniów kamienie na sterty. Więzień bez ręki posiadał tylko jeden przywilej — nie mógł pracować poza terenem obozu.

Trafiłem do zatrudnionej w kamieniołomach trzydziestoosobowej brygady Makarewa. Wszyscy w niej, poza Afgańczykiem, Niemcem, dwoma Japończykami i mną, byli Ukraińcami. Niemiec służył w czasie wojny w Wehrmachcie. Trafił do sowieckiej niewoli i przez parę lat przebywał w obozie jenieckim. Potem osadzili go w więzieniu i skazali na dziesięć lat łagrów. Często śmiał się, że skazali go za zdradę ojczyzny. Opowiadał nam, że w obozach jenieckich bez przerwy urzędowali oficerowie MGB. Dniami i nocami wzywali jeńców na przesłuchania. Przy okazji werbowali donosicieli, którzy pomagali wylawiać maskujących się wśród żołnierzy oficerów, pracowników wywiadu, esesmanów... Donosicieli ludzono możliwością wcześniejszego powrotu do kraju. Zdemaskowanych oficerów wywożono w nieznanym kierunku. Część z nich znalazła się w łagrach, część prawdopodobnie stracono. Żołnierz niemiecki twierdził, że skazano go za wysadzenie mostu na Dnieprze. Nie pomogły tłumaczenia, że miał taki rozkaz.

— Gdybyś był solidnym człowiekiem — mówił oficer śledczy — nie wykonałbyś rozkazu. Dobrze wiesz, ile nasi ludzie włożyli pracy, by ten most zbudować...

Japończycy byli oficerami lotnictwa. Zostali zestrzeleni w czasie lotu nad terytorium sowieckim. Uratowali się skacząc na spadochronach. Próbowali przedostać się do swoich przez linię frontu, ale próba się nie udała. Zamiast do obozu jenieckiego trafili do więzienia. Oba oskarżono o szpiegostwo i skazano na dziesięć lat łagrów. Zapamiętałem ich jako ludzi inteligentnych i uczciwych. Mówili dobrze po francusku i po angielsku. Rosyjskiego nauczyli się w łagrze. Do Polaków mieli dużo sympatii, natomiast — o dziwo — nie lubili Niemców. Z wehrmachtowcem nie chcieli rozmawiać. Tak się złożyło, że przeze mnie trafili do karceru na pięć dni.

Pewnego dnia, po powrocie z kamieniołomu, zgłosiliśmy się z Japończykami do pracy w magazynie żywnościowym. Liczyliśmy, że uda się tam coś zjeść. Układaliśmy worki z kaszą jęczmienną. Z głodu jedliśmy ją na surowo, ale niewiele mogliśmy zjeść. Przed zakończeniem pracy wypchaliśmy nią kieszenie i podwiązane sznurkiem nogawki spodni. Przed bramą obozu zrobiono nam rewizję i po odkryciu kaszy ukarano karcerem. Miałem na sumieniu Japończyków, bo nie chcieli brać kaszy do obozu i kosztowało mnie wiele trudu, żeby dali się namówić. W karcerze miałem z nimi niezłą zabawę. Nie mogli sobie darować, że siedzą za złodziejstwo, mówili, że w Japonii złodziej jest człowiekiem straconym



na całe życie. Bali się, że po powrocie do kraju będą potępieni. Długo im tłumaczyłem, że to, cośmy zrobili, nie jest kradzieżą.

— Nie my, lecz oni są złodziejami, bo okradli nas z wolności, pozbawili ojczyzny, rodzin, uczynili niewolnikami i do tego męczą głodem.

Afgańczyk truchlił się przemytem złota, które po wojnie w ZSRR można było kupić prawie za darmo. Przemyczał je do Indii. Wiele razy przekraczał granicę, aż w końcu wpadł. Sąd uznał, że Afgańczyk przekroczył granicę w celach szpiegowskich i oczywiście skazał go na dziesięć lat.

Wszyscy Ukraińcy w brygadzie dostali po dwadzieścia pięć lat za działalność w UPA.

Z żachym z rodaków w spasskim obozie, a prawie wszyscy należeli do wielotysięcznej grupy inwalidów, nie udało mi się zaprzyjaźnić. Byli tak załamani, że nie chcieli z nikim rozmawiać. Nie chcieli wracać do przeszłości, a tym bardziej mówić o przyszłości. Twierdzili, że są straceni, że ten obóz jest ich ostatnim etapem. Z bólem w sercu odwiedzałem te chodzące jeszcze, z dużym wysiłkiem, szkielety. Dręczyli mnie zapewnieniami, że po kilku miesiącach będę wyglądał tak jak oni. Nie potrafiłem im pomóc.

— Nie widzisz — pytali — ilu nas tu umiera? Codziennie za zonę wywożą kilkanaście trupów.

W Spassku spotkałem się z największą śmiertelnością wśród więźniów. Pewnej nocy zmarł Niemiec skazany za wysadzenie mostu. Dostał ataku serca. Próżno kolataliśmy do zamkniętych od zewnątrz drzwi baraku i zakratowanych okien. Zmarły leżał w baraku do rana.

35/5 7 Wobec braku przyjaciół wśród rodaków, czułem się w Spassku osamotniony, ale nie traciłem wiary. Do końca wyroku miałem tylko cztery i pół roku. Dzięki Bogu byłem zdrow i miałem dość sił by się nie poddać. W obozowych warunkach zdrowie i siła fizyczna liczą się najbardziej. Zdrowy i silny człowiek jest szanowany przez wszystkich. Jedni szanują go ze strachu, drudzy z kalkulacji. Ludzie słabi często szukają w nim oparcia. Liczą, że silny zawsze może pomóc, że nie pozwoli skrzywdzić...

Mój brygadzysta w kamieniolomach, Makarew, był Ukraińcem. Od początku odnosił się do mnie poprawnie. Chętnie rozmawiał ze mną po polsku. Wiedział, że byłem żołnierzem AK, a jego sądzono za przynależność do UPA. Gdy opowiedziałem mu o akowskiej przeszłości, zakasał wysoko rękaw koszuli i pokazał mi trzy duże blizny na prawej ręce.

— To kule akowców — powiedział z uśmiechem. — Mało brakowało, a pozostałbym bez ręki. Po bitwie nasi się wycofali i trafiłem do ręk akowskich. Uratowała mnie ich sanitariuszka, moja koleżanka z gimnazjum we Lwowie. Czuliśmy do siebie sympatię, było w tym coś więcej... Dziewczyna interweniowała u swego dowódcy i dlatego żyję. Po opatrzeniu ran odwieźli mnie do Lwowa, do domu rodziców. Nasi nigdy by tak nie postąpili. Zostałbym rozstrzelany, gdybym wstawił się za jakimś żołnierzem z AK.

Praca w kamieniolomach była cięższa od wszystkich, jakie kiedykolwiek wykonywałem w łagrach. Rozbijaliśmy kamienie za pomocą stalowych klinów i ciężkich młotów. Pracowaliśmy dwójkami — jeden trzymał klin, a drugi walił w niego młotem. Z czasem nauczyłem się łupać kamienie bez klina. Wystarczyło uważnie popatrzeć, a już wiedziało się w jakie miejsce uderzyć, żeby kamień pękł.

Część więźniów zajmowała się wydobywaniem i łupaniem kamieni, a część przenoszeniem ich i układaniem. Były też grupy, które ładowały je na samochody. Nikt nie troszczył się o bezpieczeństwo pracy i nikt nie przejmował się dużą liczbą wypadków.

Makarew traktował mnie lepiej niż swoich ziomków. Często przychodził na pogaduszki i pomagał łupać kamienie. Później zlecił mi lekką pracę — przy pomiarach wydobytych kamieni. Dość często dawał mi też wolne dni. Brygada wychodziła do pracy, a ja siedziałem w baraku. Gdy zwróciłem mu uwagę, że faworyzując moją osobę naraża się swoim, powiedział, że nie muszę się o nich martwić. Twierdził, że będąc w UPA nikogo nie zamordował, ale dużo opowiadał mi o rzezi Polaków dokonywanej przez innych.



W połowie 1950 roku dostałem paczkę od babci; podzieliłem się nią z Makarowem i Japończykami.

76

\*

Mimo tych przyjacielskich stosunków z kilkoma współwięźniami, ze spasskiego obozu pozostały mi na ogół bardzo przykre wspomnienia. Ponad połowę więźniów stanowili tam plujący krwią gruźlicy. Nikt ich nie leczył. Nie mieli nawet lepszego wyżywienia. Mieszkali w barakach gorszych niż zdrowi i musieli ciężko pracować. Krążyli między barakami jak cienie. Wyglądali okropnie — jak żywe szkielety — głębokie zapadnięte oczy, wystające kości policzkowe...

Kiedyś w Spassku miałem także przygodę z *sukami*. Stałem kiedyś w kolejce po obiad. Gdy znalazłem się przed okienkiem, weszli przede mną czterej więźniowie — dwaj Czeczeni i dwaj Rosjanie. Nie stali w kolejce, więc zacząłem się z nimi spierać.

— Widziałeś go? ... — oburzył się jeden z Czeczenów — *Kto ty takoj — wor ili frajer?* \*

┌ \* Jesteś złodziejem czy frajerem?

Nie odpowiedziałem, ale już się zorientowałem z ich zabójczych spojrzeń, że mogą przysporzyć sobie kłopotów, podałem kucharzowi naczynie i nie wpuściłem ich przed siebie. Dopadli mnie, kiedy wracałem do baraku. Zaczęli mnie bić i kopać. Kopali mnie jeszcze kiedy upadłem.

— Będziesz miał, frajerze, nauczkę — krzyczał Czeczen.

— Jeśli jeszcze raz wejdiesz nam w paradę, zabijemy — wołał inny.

Gdy się podniosłem, podszedł nieznamy Rosjanin.

— Człowieku! To przecież Misza — Czeczen, watażka suk. Nigdy nie próbuj ich zaczepiać. Trzeba im schodzić z drogi z daleka.

*Sukami* nazywano złodziei współpracujących z obozową administracją. *Naczalstwo* tolerowało ich. Mogli zabić człowieka i nikt ich nie karał.

\*

Ze Spasska wyjechałem jesienią 1951 roku, z grupą liczącą ponad tysiąc osób.

← KŁ. OLŻERAS

Tym razem zostaliśmy zawiezieni do górniczego osiedla w *Kiemierowskiej obłasti* — do Olżerasu, w rejonie Stalińska. Były tam dwa *spec-lagry* z więźniami politycznymi. W obozie zamiast baraków stały duże, zbudowane z cegły, dwupiętrowe budynki. Od strony wartowni mieliśmy widok na osiedle, a z przeciwnej strony — na malownicze wzgórze, pokryte iglastym lasem. Z lewej strony był drugi obóz, a z prawej ciągnąca się wzdłuż pagórków dolina.

W nowym obozie przeważali młodzi, skazani na dwadzieścia pięć lat, Ukraińcy. Podobnie jak w poprzednich *lagrach*, dużo było Litwinów, Łotyszy, Estończyków i Rosjan oraz kilkudziesięciu Polaków. Szybko się zawiązały nowe przyjaźnie. Najbardziej żyłem się z Czeskim Juchniewiczem, Jankiem Ciulewiczem, Bronkiem Żelińskim i Antkiem Borowskim.

Czesiek pochodził z Lidy, Janek — z Grodna, Broniek — z Turgiel, a Antek — spod Grodna. Bronka skazali na dwadzieścia pięć lat za współdziałanie z ukrywającymi się po lasach akowcami. Czeska zabrali z domu razem z rodzicami związanymi z polskim podziemiem, kiedy miał zaledwie trzynaście lat. Męczyli go w śledztwie kilka miesięcy. Któregoś dnia oficer śledczy wyszedł do sąsiedniego pokoju, Czesiek zajrzał do szafy i zobaczył tam zawieszoną *pepeszkę*. Bez namysłu sięgnął po broń. Miała wypełniony amunicją bębenek.

— Pomyślałem, że taka okazja może się już nie zdarzyć — mówił Czesiek. — Powiem, że zabiłem oficera za rodziców, za krewnych, sąsiadów, za

wszystkich aresztowanych. Stałem przy drzwiach i gdy wszedł, nacisnąłem spust i wpakowałem w niego całą serię... Ze strachu wyskoczyłem przez okno z trzeciego piętra. Dopiero w szpitalu odzyskałem pamięć.

Po wyleczeniu Czesiek dostał za zabicie kapitana dziesięć lat. Przez pięć lat trzymali go w obozie dla niepełnoletnich, a gdy ukończył 18 lat — przywieźli do Olżerasu.

Janek Ciulewicz był łącznikiem w sieci podziemia. Jego także skazano na dziesięć lat i, podobnie jak Czesiek, przeszedł przez obóz dla niepełnoletnich, ponieważ w chwili zapadnięcia wyroku miał 14 lat.

Antek za przynależność do "białopolskiej bandy" zarobił dwadzieścia pięć lat.

\*

W 1952 roku w olżerskim obozie doszło do buntu więźniów. Któregos dnia po pracy — było to późną jesienią — siedząc w budynku

usłyszałem serię strzałów, a po nich krzyki więźniów

— Bandyty! Mordercy! Czerwoni faszyci!

Do budynku wpadli podnieceni młodzi ludzie.

— Wychodźcie! Szybciej! Strzelają do nas...

Okazało się, że są już zabici i ranni.

Po chwili znalazłem się na wypełnionym tłumem placu. Część więźniów zachowywała się biernie, a część była zajęta poszukiwaniem *naczierateli*. Odhalezionych wyganiano za bramę. Jeśli któryś opierał się, dostawał po kościach. Z tłumu żywiłowo wylaniali się przywódcy, z których utworzono samorząd. W jego skład weszli przedstawiciele wszystkich narodowości. Powołano też własną straż porządkową. Po godzinie na wartowni i przed bramą zgromadziło się obozowe *naczelstwo* i dowództwo *ściągniętych* dla ochrony łagru jednostek wojskowych, a obóz otoczyły gęste szpalery żołnierzy MGB.

Przywódcy więźniów ostrzegali, by żaden z nich nie odważył się wejść na teren obozu. Żądali przybycia generalnego prokuratora i ukarania winnych. Oficerowie wzywali tymczasem więźniów do rozejścia się.

Przez kilka godzin obie strony nie chciały ustąpić, ale nagle żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe przekroczyli bramę i zajęli stanowiska przy ruchomej barierce. Oficerowie nadal wzywali do rozejścia się, grożąc użyciem siły

— Zabierzcie żołnierzy! — wołali więźniowie. — Jeśli nie zabierzecie — wygonimy siłą.

Tłum więźniów zbliżał się do bramy. Byłem w czołówce. Mieliśmy do bramy nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Na żołnierzy sypały się najgorsze epitety. Wyzywaliśmy ich od morderców, bandytów, katyńskich oprawców i krwawych gołąbków pokoju. Ktoś z tłumu krzyknął:

— Wyrzucimy ich!

Tłum ruszył do przodu. Na wartownię i żołnierzy posypały się kamienie. Po kilku sekundach rozległy się serie strzałów z pistoletów maszynowych. Odruchowo schroniłem się w przydrożnym rowie. Gdy strzały umilkły, na drodze do wartowni leżeli zabici. Wyskoczyłem z rowu i ukryłem się za najbliższym budynkiem. W budynku opatrywano rannych. Okazało się, że strzały padły nie tylko przed wartownią, ale również z wież wartowniczych. Strzelano także do okien, kule odhajdywaliśmy potem na pryzkach. Postanowiliśmy pozostawić zabitych na miejscu zbrodni. Ostrzegliśmy obozowe *naczelstwo* i dowództwo wojskowe, nikogo nie wpuszczamy na teren obozu. Na znak protestu ogłosiliśmy głodówkę. Zbliżała się godzina dziesiąta wieczorem, pora, kiedy zamykano budynki. Teraz były otwarte i puste, a wszyscy więźniowie byli na placu. Po chwili na teren obozu wszedł naczelnik służby zdrowia, major. Na spotkanie wyszło mu kilkudziesięciu więźniów. Byłem jednym z nich.

— Z czym przychodzicie, majorze? — spytał członek samorządu.

Major milczał.

— Nie bójcie się! Nic wam nie grozi.

— Przyszedłem z rozkazu dowództwa. Kazano mi przekazać, że niezwłocznie powinniście się rozejść do budynków. Jutro przybędzie z Moskwy komisja, która zbada przyczyny i przebieg dzisiejszych zdarzeń,



będzie w niej przedstawiciel generalnego prokuratora.

— Za dobrze was znamy — padła odpowiedź. — Chcielibyście nas zanknąć i pozacierać ślady zbrodni. Nie mamy do was zaufania! Jesteście lekarzem, ale nosicie mundur zbrodniczej instytucji.

Po godzinie major oznajmił nam, że naczelnik obozu i dowódca zgodzili się pozostawić budynki otwarte na noc.

Bunt — jak dowiedziałem się niebawem — rozpoczął się od incydentu z dwoma *nadzierateli*. W jednym z budynków Ukraińcy śpiewali ludowe piosenki, a *nadzieratele* kazali natychmiast przerwać śpiew. Doszło do ostrej wymiany słów, na *nadzierateli* posypały się obelżywe epitety. Dotknięci tym usiłowali zabrać kilku więźniów do kanceru, doszło do szarpaniny, która zakończyła się wypędzeniem *nadzierateli* z budynku. Jeden z nich, widząc goniących za nim więźniów, zawołał: "raturku". Wówczas żołnierze z otaczających wież strażniczych otworzyli ogień.

Przez całą noc na placu czuwała więzienna straż. Z rana nie wyszliśmy na *rozwod*. Czekaliśmy na przybycie komisji. Około godziny dziesiątej na teren obozu weszła duża grupa oficerów z mężczyzną w skórzanym płaszczu. Otoczyły ją setki więźniów.

Mężczyzna w skórzanym płaszczu na nasze żądanie pokazał legitymację. Nie był generalnym prokuratorem, ale działał z jego upoważnienia. Zapewnił, że komisja powołana do zbadania wczorajszych wydarzeń będzie działać obiektywnie. Zaczęto przesłuchiwać świadków, oglądać zwłoki, robić zdjęcia i dokonywać pomiarów odległości śladów kul do stanowisk ogniowych.

Więźniowie żądali ukarania naczelnika obozu, dowódcy jednostki wojskowej i dwóch *nadzierateli*, którzy doprowadzili do krwawych zajść. Przedstawiciel prokuratury tłumaczył, że zebrane materiały przekaże prokuratorowi generalnemu, który podejmie odpowiednie decyzje. Nie otrzymaliśmy żadnych zapewnień o ukaraniu winnych, ale po kilku dniach dokonano zmiany na stanowisku naczelnika obozu i wymieniono dwóch *nadzierateli*.

\*

W Olżerasie pracowaliśmy przy budowie fabryki wzbogacającej węgiel. Oddano ją do eksploatacji pod koniec 1952 roku. W prasie ukazały się artykuły, w których pisano, że zbudowali ją dzielni komsomołcy. Pokazaliśmy jedną z takich gazet obozowej służbie dozoru.

— Od kiedy — pytaliśmy — zostaliśmy przyjęci do komsomołu? Kwitowano pytania głupim uśmiechem. Tylko jeden *nadzieratel* usiłował dowieść, że prasa nie kłamie.

— Przecież na budowie pracowali również wolni inżynierowie i technicy, którzy niewątpliwie należeli do komsomołu. Zapomniał, że było ich około dwudziestu, a więźniów — ponad tysiąc.

Kiedy byłem w Olżerasie, obozem wstrząsnęła wieść o śmierci Stalina. Miliony mieszkańców olbrzymiego kraju uważały tego człowieka za Boga, porównywały go z życiodajnym słońcem... Wydawał się nieśmiertelny. Nie wyobrażano sobie bez niego dalszego życia. Pogrążeni w ciemności po jego śmierci upodobniali się do pozostawionych bez opieki ślepców. On o wszystkim wiedział, kierował nimi, myślał za nich.

Dla milionów innych mieszkańców tego samego kraju był on najpotworniejszym tyranem i zbrodniarzem.

W całym kraju ogłoszono żałobę. Wszystkich obywateli radzieckich nie wyłączając więźniów, obowiązywał zarządzony odgórnie smutek. Nikt w tym czasie nie śmiał uśmiechać się, żartować... Jeden uśmiech mógł drogo kosztować. W dniach powszechnej żałoby, zdaniem władz, cieszyć się mogli tylko najgorsi wrogowie narodu.

Stalin zmarł późnym wieczorem 5 marca. O jego śmierci dowiedzieliśmy się z rana, gdy na jednym z urzędowych budynków pojawił się ogromny, obramowany czernią portret generalissimusa. Na wszystkich budynkach powiewały żałobne flagi. Patrząc na przyodziane w żałobną czerń więziennie osiedle zapłakałem z radości. Nie żył oprawca najpotworniejszych ludzkich tragedii, nie żył jeden z największych zbrodniarzy od początku świata. Wielu więźniów nie ukrywało



nadości, bo skazanym na dwadzieścia pięć lat łagrów nic nie groziło.

Podczas pogrzebu w całym kraju zarządzono chwilę ciszy. Na gwizd syren każdy obywatel musiał odwrócić się twarzą w stronę Moskwy i stanąć na baczność. Zamarł ruch. Zatrzymały się samochody, tramwaje, trolejbusy i pociągi. W tym czasie wracaliśmy z pracy. Na rozkaz dowódcy eskorty zatrzymaliśmy się i odwróciliśmy się twarzą do stolicy. Przy kolumnie więźniów zatrzymał się akurat samochód-wywrotka, z którego wyszedł kierowca odziany w brudny kombinezon. Zamiast stanąć na baczność, oparł się plecami o szoferkę i zapalił papierosa. W parę sekund po ustaniu wycia syren żołnierze z eskorty zatrzymali go. Później dowiedzieliśmy się, że dostał dziesięć lat łagrów.

Na szczęście były to już ostatnie ofiary stalinizmu. Postrachem był jeszcze Beria, w którym upatrzone najpoważniejszego kandydata na miejsce Stalina. Stalin darzył go największym zaufaniem. Za jego życia był szefem MGB — instytucji, na której opierał się stalinowski reżim. Gdyby doszedł do władzy, zamknąłby Rosję i pół Europy w jeden wielki łagier.

Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że pierwszym sekretarzem KPZR został Nikita Chruszczow, przewodniczącym Rady Najwyższej — Kliment Woroszyłow, a premierem rządu — Georgij Malenkow. Niedopuszczenie okrutnego Berii do najwyższej władzy zwiastowało nadejście nowej ery.

W kilka dni po śmierci Stalina część więźniów przetrzucono do sąsiedniego łagru. Byłem jednym z nich. W tym obozie poznałem nowych rodaków, między innymi Iwanowskiego, Bocheńskiego i Korczyca — brata znanego w Polsce Ludowej generała, Władysława Korczyca, który trafił do polskiej armii podobnie jak Rokossowski i podobnie jak on musiał się z nią pożegnać.

Pewnego dnia w obozie zjawili się dwaj wysocy funkcjonariusze MGB. Przyjechali z Moskwy w sprawie Korczyca. Powiedzieli mu, że przybyli w związku z interwencją brata, szefa sztabu generalnego polskiej armii, który zabiega w Moskwie o jego uwolnienie, a nowy minister odniósł się do sprawy pozytywnie.

— Twój brat ponęczył za ciebie. Musisz mu być wdzięczny. Biorąc pod uwagę jego zasługi władza radziecka zgadza się, byś powrócił do Polski. Jutro możesz być w Warszawie.

Korczyca wysłuchał panów z ministerstwa i oznajmił, że nie ma brata. Panowie z Moskwy nie uwierzyli w pomyłkę. Pokazali kilka zdjęć Władysława z czasów młodości i w mundurze generała, ale nic nie wskórali. Korczyca nie przyznał się do brata.

Pytaliśmy go potem, dlaczego nie skorzystał z okazji. Odpowiedział, że nie ma zamiaru korzystać z łaski człowieka, który jest zdrajcą ojczyzny.

Uciekł z kraju i poszedł na służbę obcego państwa. Do Polski powrócił na rozkaz Kremla jako moskiewski agent... — powiedział Korczyca, który w czasie okupacji był oficerem Armii Krajowej.

38  
— 39

\*

W pierwszym olżeraskim obozie Ukraińcy utworzyli silną i dobrze działającą tajną organizację. Kierował nią były major z dywizji "Haliczyna", Beudin, wraz z kilkoma unickimi księżmi. Organizacja starała się opanować wszystkie obsadzone więźniami kluczowe stanowiska. Przede wszystkim miała na uwadze kuchnię, magazyny, ośrodek zdrowia, łaźnię, pralnię, *chlebobezkę*, stanowisko *nariadczyka*, dział gospodarczy i KWCh\*. Większość tych stanowisk obozowe *naczalstwo* obsadzało więźniami, którzy byli na usługach pełnomocnika MGB. Na tym tle w obozie rozegrała się walka. Ukraiński sztab tajnej organizacji wydawał wyroki śmierci. Wykonywali je w nocy młodzi banderowcy. Skazanych zarzynali wykonanymi w czasie pracy nożami. Mimo szczegółowych rewizji, przemycali je do łagru. Po każdej egzekucji *radzieratiele* robili w barakach rewizje, szukali ostrych narzędzi i śladów krwi. Rozbierali do naga więźniów, przeszukiwali prycze, pościel i wszystkie zakamarki. Więźnia, u którego na odzieży, pościeli lub pryczy znaleziono ślady krwi, zabierano do więzienia i oddawano pod sąd. Oskarżony o zabójstwo dostawał nowy dwudziestopięcioletni

wyrok, który liczył się od dnia przestępstwa, przez co tracił tylko czas, który już odsiedział. W olżeraskim obozie skazano tylko dwóch więźniów, a zabójstw było kilkadziesiąt.

↳\* Dział Kulturalno-Wychowawczy.

Nie wszyscy więźniowie wiedzieli o co idzie w tej walce. Panowała atmosfera strachu. Głośno mówiło się, że Ukraińcy chcą opanować łagier, że pragną zgarnąć dla siebie wszystkie atrakcyjne stanowiska i chcą żyć kosztem innych narodowości... Tego rodzaju pogłoski rozpowszechniali *naczieratiele* i obozowi szpicle. Niektórzy więźniowie wzywali do zorganizowania obrony. Na szczęście nie doszło do tego, wzajemne mordowanie się nikomu nie było potrzebne.

Z szefem tajnej ukraińskiej organizacji, Beudinem, byłem w jednej brygadzie. O tym, kim jest, dowiedziałem się od brygadzysty ze Spasska, Makanewa, który znał Beudina ze Lwowa. Nie wiem, jakie były ich powiązania w obozie. Makanew zdradził mi tę tajemnicę, gdy zwierzyłem mu się z zamiaru przejścia do brygady, w której większość stanowili Rosjanie. Wiedziałem już dość dużo o ukraińskich zbrodniach w południowo-wschodniej Polsce. — Skoro tam mordowali, kierując się przede wszystkim nienawiścią — myślałem — to pewnie z tego samego powodu mordują tutaj.

— Tamto było zupełnie co innego — mówił Makanew. Walka Ukraińców o narodowe prawa była słuszną, ale jej metody — paskudne. Tutaj wchodzi w grę sowieccy kolaboranci, którzy rozpychają sobie brzuchy naszym kosztem. Poza tym są dla nas niebezpieczni, bo gdy doniosą na człowieka, grozi mu karcer, *BUR* lub dodatkowy wyrok. Stanowiska, które oni zajmują, powinni zajmować nasi ludzie. Ukraińcy nie chcą ich wyłącznie dla siebie. Naszym zdaniem wszystkie grupy narodowościowe powinny utworzyć własne przedstawicielstwa, powinniśmy działać wspólnie.

Po pewnym czasie rzeczywiście powstały takie przedstawicielstwa, ale więźniowie innych narodowości nigdy nie włączyli się do mordowania szpicli. Pozostawiono to Ukraińcom. Przedstawicielstwa decydowały tylko o obsadzie obozowych stanowisk.

Byłem kiedyś świadkiem wykonania wyroku śmierci. Rano poszedłem do zbiorowej ubikacji. Było jeszcze ciemno. Nagle usłyszałem tupot wbiegających więźniów i przeraźliwy krzyk kogoś siedzącego o parę kroków ode mnie. Po chwili ktoś krzyknął, że zabili człowieka. Nad jednym z otworów w kałuży krwi leżał trup. Przyjrzałem mu się bliżej i rozpoznałem starego znajomego — Miszę-Czeczena, watażkę suk. Zabito go wykradzioną z kuchni siekierą.

↳ KWI. OSTATNI OBOZ

W połowie maja 1953 roku odbywałem podróż na zachód wśród trzech tysięcy więźniów. Wieźli nas, jak zawsze, w zakratowanych towarowych wagonach, w których było duszno, bo byliśmy stłoczeni i jak na złość co dzień dostawaliśmy po kawałku bardzo słonej ryby, a wodę tylko raz na dobę, po pół litra na osobę. Podróż trwała kilka dni. Przed Omskiem pociąg przez dłuższy czas stał na niewielkiej stacji, a my przyglądaliśmy się nieznanemu miejscu. Przed naszym wagonem zatrzymali się dwaj podchmieleni oficerowie wojsk pancernych. Obaj byli kapitanami. Domyśliłem się, że musieli być na wojnie, bo mieli piersi pełne medali. Dowiedzieliśmy się od nich o aresztowaniu Berii. Na interwencje żołnierzy z eskorty, którzy kazali im się oddalić od pociągu, zareagowali śmiechem:

— Kazali ci stać z tą pukawką, beriowski odlanek, to stój. A do nas się nie wtrącaj — powiedział kapitan.

— Tam nasi bracia, tam *russkij narod* — uzupełnił kolega.

— W tym pociągu wieziemy faszystów — poinformował żołnierz.

— Faszyci — to wy i wasz Beria — odparł kapitan. — A poza tym, gdy mówisz ze mną, masz stanąć na baczność...

Następnie oficerowie poczęstowali nas papierosami i zapytali, za



co zostaliśmy skazani. Wtedy jeden z eskortujących pociąg żołnierzy pobiegł po dowódcę i po chwili zjawili się trzej oficerowie z KGB. Czołgiści zbywali ich kpinami.

— Chcecie nas wyrzucić z peronu? Zabraniacie z nimi rozmawiać? Może macie zamiar mnie aresztować? Spróbujcie! Będzie okazja do sprawdzenia pistoletów... Umiecie tylko straszyć bezbronnych. Ten transport — to również wasze dzieło. Zapełniliście ludźmi więzienia i lagry.

Drugi kapitan kupił w tym czasie w dworcowym kiosku dziesięć paczek papierosów i spokojnie podawał je wyglądającym przez zakratowane okienka więźniom. Obaj rozmawiali z nami aż do odjazdu pociągu.

— Do góry głowy! — wołali na pożegnanie — Beria pójdzie pod sąd. Wkrótce policzymy się z całą jego bandą...

100

W Omsku byliśmy już u celu podróży. Omsk — to jedno ze starych miast syberyjskich. W 1953 roku miał ponad pół miliona mieszkańców. Dziś jest jednym z największych ośrodków przemysłowych Syberii. W tamtych czasach rozwijający się w Omsku przemysł maszynowy i chemiczny potrzebował dużo rąk do pracy. Dostarczały ich miejscowe i okoliczne lagry. W samym mieście było ich kilkanaście. W jednych przebywali więźniowie kryminalni, w innych polityczni. W sumie pracowało w Omsku kilkadziesiąt tysięcy więźniów. Stacjonowały tu także jednostki wojsk lotniczych, pancernych i MGB.

101

Znaleźliśmy się w nowo zbudowanym lagrze i przez rok zbudowaliśmy dzielnicę fińskich domków dla rodzin oficerów służby bezpieczeństwa. W naszym obozie zagnieździły się w tym czasie miliony pluskiew. W żaden sposób nie mogliśmy ich wytępić. Wrzątek, którym co parę tygodni oblewaliśmy prycze i ściany, pomagał tylko na parę dni. Przed wyjściem do pracy napełnialiśmy pluskwami pudełka od zapalek albo małe własnej roboty woreczki z papieru i wysypywaliśmy je w fińskich domkach. Chcieliśmy, by popiły również krwi funkcjonariuszom bezpieczeństwa.

W Omsku poznałem kilku nowych rodaków, wśród których wyróżniał się Jurek Styczyński. Wsadzili go do więzienia, gdy miał czternaście lat. Pochodził z Brześcia. Jego ojciec, kapitan wojsk pancernych, zginął w Katyniu. Matkę, za przynależność do akowskiego podziemia, skazano na dziesięć lat łagrów. Przed aresztowaniem Jurek mieszkał u cioci w Brześciu i chodził do dziesięciolatki. Większość uczniów stanowili tam Polacy. Jurek był znany jako autor patriotycznych wierszy. Jego poezja potępiała popełniane na naszym narodzie zbrodnie i gloryfikowała pełną poświęceń i bohaterstwa walkę z dwoma agresorami. Wiersze Jurka kursowały po całym Brześciu, rozpowszechniane przez jego kolegów ze szkoły. Jurka aresztowano w 1947 roku. Za pisanie wierszy dostał dwadzieścia pięć lat. Jego koledzy — których wkrótce także aresztowano — za rozpowszechnianie wierszy dostali po "dziesiątce".

W omskim obozie Jurek nie tylko pisał wiersze, ale i malował, między innymi serię obrazów przedstawiających tragedię wrześniową i ilustracje do "Trylogii" Sienkiewicza. Farby dostarczali mu ludzie wolni, z którymi stykaliśmy się w czasie pracy. Podziwialiśmy ich poświęcenie i odwagę, bo za kontakty z więźniami narażali się na obóz. Nie byliśmy dla nich "wrogami ludu", lecz ofiarami znienawidzonego przez lud reżimu. Bywało, że zwierzali się namy ze swoich poglądów.

— Żyjemy w państwie — mówili — w którym terror i zbrodnie grożą prawie wszystkim i dlatego musimy sobie pomagać.

Większość mieszkańców Omska stanowili zesłańcy, byli skazani lub byli zesłańcy z czasów carskich i stalinowskich. Wszyscy Rosjanie, z którymi stykaliśmy się w pracy, podkreślali, że rewolucja październikowa miała przynieść inną rzeczywistość.

— Władzę miał sprawować lud... A dzisiaj jesteśmy niewolnikami. Jedni żyją za kratami i za drutami, innych pozbawiono wszelkich ludzkich praw, a wrawia się im, że są wolni. Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy tylko siłą roboczą.

Nawet funkcjonariusze MGB nie ukrywali, że w Związku Radzieckim nie ma sensu upominać się o ludzkie prawa. To od nich wyszło znane w



całym kraju powiedzenie: *U nas sąd jej tajga, a prokuratorom —  
miedwiedź\**

miedwiedź\*

\* U nas sędzią jest tajga, a prokuratorem niedźwiedź.

101

102

Na Syberii spotkałem wielu Polaków żyjących na wolności.

Pamiętam inżyniera z budowy fabryki wzbogacającej węgiel, który nosił moje nazwisko. Wywodził się z rodziny zesłańców z czasów carskich. Rozmawiałem z nim wiele razy. Podczas pierwszej rozmowy staraliśmy się doszukać pokrewieństwa, bo pochodził z Kijowa, gdzie po pierwszej wojnie światowej został mój dziadek. Nie zdążył opuścić Kijowa z polskim wojskiem w 1920 roku i najprawdopodobniej w tym czasie zginął.

Głęboko utkwił mi w pamięci jeden z eskortujących nas, przy budowie fińskich domków, żołnierzy. Zjawił się obok nagle, gdy z kolegą mieszałem cementowy roztwór. Poczęstował nas papierosami. Początkowo mówił o pogodzie i podziwiał jakość naszej pracy. Twierdził, że budujemy szybciej i lepiej niż ludzie wolni. W pewnej chwili spytał, czy jesteśmy Polakami. Okazało się, że przyszedł do nas, bo pełniąc na pobliskiej wieży wartę, słyszał jak rozmawialiśmy po polsku. Z pewnym wstydem oznajmił, że mówi bardzo słabo po polsku, ale wszystko rozumie. Opowiedział nam o swoich przodkach. Jego pradziada skazano na Sybir za udział w powstaniu. Jego żona wyjechała za nim, zabierając dzieci. Rodziców stracił, gdy był małym dzieckiem. Oboje mówili jeszcze bardzo dobrze po polsku.

— Nie macie pojęcia, jak chciałbym chociaż raz pojechać do Polski — powiedział.

Żegnając się z nami zostawił nam wszystkie papierosy i życzył szybkiego powrotu do kraju.

— Wy możecie tam kiedyś powrócić, ale ja Polski nie zobaczę nigdy — dodał jeszcze na koniec.

Polubiłem Sybiraków za ich uczciwość i serdeczność. Podziwiałem ich wrażliwość na ludzkie krzywdy i bezinteresowną życzliwość. Cechy te posiadali nawet ludzie na wysokich stanowiskach, które były dostępne tylko dla zaufanych partyjnych.

\*

W omskim obozie poprawiły się warunki bytowe. Pod koniec 1953 roku dostawaliśmy pieniądze za pracę — pod warunkiem wykonania normy. Wykonanie norm w 100 procentach przez całą brygadę było jednak bardzo trudne i wynagrodzenie dostawało zaledwie dwadzieścia do trzydziestu procent więźniów. Były to grosze — parędziesiąt rubli, ale dla więźniów miało i tak ogromne znaczenie. W obozie mieliśmy sklepik, gdzie mogliśmy kupić chleb, bułki, smalec, masło, kielbasę i owoce. Poprawiła się też jakość posiłków w obozowej kuchni. Po raz pierwszy wprowadzono trzeci posiłek — kolację. Był to pierwszy obóz, w którym nie odczuwaliśmy dotkliwego braku chleba, ale w dalszym ciągu cierpieliśmy na brak tłuszczów, owoców i artykułów mlecznych. Na omskim wycieńczeni nie wracali do sił.

Poprawę naszych warunków traktowaliśmy jako wynik zmian po śmierci Stalina i skazaniu Berii. Razem z Berią aresztowano jego współpracowników. Fale aresztów objęły wszystkie szczeble resortu. Krążyły pogłoski o przygotowywanej przez władze centralne amnestii i weryfikacji wyroków; przynosili je głównie ludzie wolni, ale powtarzali je także funkcjonariusze obozowej administracji. Po skazaniu Berii i wykonaniu na nim wyroku śmierci, ludzie cieszyli się podobnie jak po zakończeniu wojny. Wszyscy mieli nadzieję na ostateczny koniec bezprawia, terroru i masowych zbrodni. [Miał to być początek procesu przeciwko zniechęconej instytucji, która była filarem niewolniczego państwa. Kiedy instytucję tę rozwiązano, a na jej miejsce utworzono podporządkowany ministrowi spraw wewnętrznych Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Państwowego, funkcjonariusze MGB w Omsku bali się samotnie wychodzić do miasta. Na każdym kroku

102

103

spotykali się z zaczepkami przechodniów. Niejednego mocno pobito.

Z prasy i radia wiedzieliśmy, że Berię skazano jako "agenta imperializmu". Ogłoszono go zdrajcą, który w perfidny sposób likwidował najlepszych ludzi radzieckich. W jego znowę z imperializmem wierzyli tylko naiwni. Reżimowi zależało, by w tę bajeczkę uwierzyli wszyscy. Nowi przywódcy starali się skierować oburzenie na jednego człowieka, ale machina, w której przez wiele lat zajmowali wysokie stanowiska, działała nadal. Ludzie widzieli zbrodniarzy we wszystkich funkcjonariuszach aparatu bezpieczeństwa i domagali się ukarania winnych, którzy na to zasłużyli. Pod wpływem opinii publicznej dokonano ograniczonej czystki w całym resorcie, a KGB poddano kontroli partii.

Mimo tych zmian, obozowe *naczelstwo* i pracownicy dozoru więźniów nadal uważali nas za "wrogów ludu". Spotykając się z powszechną nienawiścią w miejscach zamieszkania i na ulicach miasta, przychodzili do pracy wściekli. Czepiali się więźniów za rzekomy brak porządku, za źle przyszyte lub brudne numery, za źle posłane prycze, zbyt długie włosy... Żołnierze z eskorty po staremu wyzywali nas od "faszystów", "hitlerowców" i "zdrajców", i podkreślali dobroć i wielkoduszność władzy radzieckiej, która pozwoliła nam żyć.

Kiedyś przyczepili się nas, w drodze do pracy, że za wolno idziemy. Dowódca eskorty kazał, by czoło długiej kolumny przyspieszyło krok. Ponieważ nie było reakcji, zaczął przestawiać do tyłu więźniów, którzy szli z przodu. Niczego to nie zmieniło, choć straszył nas użyciem broni i wyzywał od faszystów. W końcu wydał komendę "padnij!". Licząca kilkaset więźniów kolumna wykonała rozkaz, podczas gdy on zapewniał, że nauczy nas maszerować. Wtórowali mu żołnierze. Po kwadransie *naczelnik karwoja* — jak nazywano dowódcę eskorty — kazał powstać i maszerować, ale nikt nie powstał. Dowódca zaczął szaleć, dalej straszył nas użyciem broni, wyzywał od hitlerowców... Kiedy się przekonał, że to wszystko na nic, kazał, by część żołnierzy oddała broń kolegom i przystąpiła do podnoszenia więźniów. Podnosili nas siłą. Gdy jednych podnieśli i zajmowali się innymi, tamci kładli się <sup>na</sup> nowo. Wielu więźniów przy tym pobito.

Około stu metrów przed kolumną było skrzyżowanie ulic, przez które prowadzono kolumnę więźniów z innego łagru. Widząc, co żołnierze z nami wyprawiają, więźniowie z tamtej kolumny legli plackiem i zablokowali skrzyżowanie.

— Jesteśmy z wami! — wołali, — Niech sukinsyny nie myślą, że im wszystko wolno! Czasy Berii minęły!...

Oznajmiliśmy dowódcy eskorty, że nie wstaniemy, dopóki nie sprowadzi prokuratora. Na chochikach gromadzili się ludzie. Oklaskiwano nas, podczas gdy pod adresem żołnierzy sypały się wyzwiska. Stanęły samochody.

— Co z nimi wyprawiacie?! — wołali ludzie — Kto wam na to pozwolił?! Zablokowaliście ruch!

— Trzeba zatelefonować do komendanta milicji albo sprowadzić prokuratora...

Ludzie wygrażali żołnierzom pięściami. Wystraszony oficer zatelefonował do *naczelnika obozu*.

Po pół godzinie przyjechał samochód z oficerami KGB. Wstaliśmy na prośbę *naczelnika*. Dopiero za naszym przykładem powstała kolumna blokująca skrzyżowanie ulic. Zrelacjonowaliśmy przebieg wydarzeń i zażądaliśmy usunięcia dowódcy eskorty. Dowódcę natychmiast odwołano. Tego dnia jego funkcję objął zastępca. Gdy ruszyliśmy naprzód, ludzie bili brawo.

103  
104

\*

Pewnego dnia, pracując przy budowie fińskich donków, dostałem list od nieznajomej Polki. Nasz kolega, Ukrainiec, dostał go od wożącego cement kierowcy, Jaszy, który prosił, by oddać komuś z Polaków. Autorka, jak się potem okazało, była więźniarką, która chodziła do pracy bez eskorty. Skazano ją za nadużycia gospodarcze w spółdzielni, gdzie pracowała jako główna księgowa. Nie była w stanie zapobiec tym nadużyciom.

W liście pisała: "Codziennie chodzę koło was do pracy i z pracy. Jestem pewna, że tam jesteście. Chciałabym być w czymś pomocna. Mogę przydać się do



nawiązania kontaktów z waszymi rodzinami... Chciałabym was zobaczyć przez oddzielające nas druty. Odpiszcie! Kartkę oddajcie temu samemu kierowcy. To dobry i pewny człowiek. Niech Matka Najświętsza — Królowa Polski, ma was w opiece!" Pokazałem ten list mojemu koledze Antkowi. Byliśmy nim wzruszeni. Pragnęliśmy zobaczyć Marysię Bukowską — bo tak się nazywała — z za drutów i podziękować za list. Jak się później dowiedziałem, pochodziła z Korca. Natychmiast napisałem odpowiedź na papierze z cementowego worka. Dziękowałem za propozycję pomocy i prosiłem, by pozdrowiała od nas wszystkie Polki znajdujące się w kobiecym łagrze. Pisałem też o sobie i kolegach — że mimo ciężkich warunków trzymamy się i nie tracimy nadziei.

Na drugi dzień otrzymaliśmy od Marysi drugi list. Potem trzeci, czwarty... Po kilku dniach przekazała nam przez kierowcę chleb i paczkę papierosów. Potem kupowała farby Jurkowi i Bronkowi Żelińskiemu, który także malował. W swoim i naszym imieniu pisała do naszych bliskich. Za jej pośrednictwem korespondowaliśmy z Polkami z kobiecego łagru. Staraliśmy się podtrzymać je na duchu. Pisaliśmy o obozowym życiu i akowskiej przeszłości. Od nich także dostawaliśmy listy.

40  
41

Dzięki Marysi w 1954 roku dostałem dwie paczki żywnościowe, którymi podzieliłem się z kolegami. Nadawczynią była Anna Dynakowska z Równego. Nigdy jej nie poznałem. Dowiedziałem się od Marysi, że była nieuleczalnie chora. Opiekował się nią pewien ksiądz, którego Marysia знаła z wolności. To on był fundatorem moich paczek. Nie występował jako nadawca, by nie narażać się funkcjonariuszom z KGB. Annie, ze względu na jej chorobę, nic nie groziło.

Księża katolicy w Związku Radzieckim byli uważani za element wrogi i niebezpieczny. Nieustannie ich śledzono, jeden nierozważny krok mógł ich zaprowadzić do łagru. Większość katolickiego duchowieństwa przebywała w obozach i na zesłaniu. Za kontakty z więźniami politycznymi i okazywanie im pomocy groziło minimum dziesięć lat łagrów.

Od czasu poznania Marysi szybciej biegły tygodnie. Do pracy chodziłem chętnie, zawsze z myślą, że ją ujrzę. Widywałem ją przez kolczaste druty. Przechodziła ścieżką przy ogrodzeniu i kierowała ku nam ciepłe spojrzenie i pełen dobroci uśmiech.

Pewnego wieczora, już po zamknięciu baraków, pisałem listy do Marysi i jej koleżanek. Nie zauważyłem, że do baraku weszli *naczieratiele*

A04

— Co piszesz? Dawaj no tutaj te papierki! — przede mną stali *naczieratiele*.

A05

Oddać listy — znaczyło wsypać adresatki i kolegów, a pisałem również w ich imieniu. W listach do dziewcząt wyrażaliśmy swoje poglądy. Groziły za to nawet nowe wyroki. Niepoprawni więźniowie mogli przebywać w łagrach bardzo długo, wychowywano ich aż do skutku. Państwo nic na tym nie traciło, bo miało najtańszą siłę roboczą, a oni, będąc za drutami, nie "demoralizowali" innych. Im dłużej przebywali w łagrach, tym bardziej podupadali na zdrowiu i tym wcześniej odchodzili ze świata. Państwołożyło na nich niewiele, a zyski miało ogromne. Szkoda, że nikt nie jest w stanie sporządzić wykazu zbudowanych przez więźniów miast, fabryk, dróg, kolei, kanałów, kopalni, pałaców kultury, szpitali, kin, teatrów, przeliczyć wydobytych ton węgla, rud, kamieni z kamieniołomów, metrów sześciennych wyrąbanych lasów... Gdyby to wreszcie ujawniono mielibyśmy pełniejszy obraz sowieckich osiągnięć. Mało kto wie, że linię kolejową do Ulan Bator, stolicy Mongolii, budowali radzieccy więźniowie, wśród których byli polityczni. Spotkałem Rosjanina, który tam był. Przy budowie Kanału Białomorskiego, w wyniku głodu, chorób i katorżniczej pracy, około miliona więźniów zmarło. To wszystko może się wydawać nieprawdopodobne, jeśli nie zobaczy się tego na własne oczy i nie usłyszy wspomnień tych, którzy zostali przy życiu.

Świadom konsekwencji, nie oddałem listów. Zmiałem papier i błyskawicznie wrzuciłem do rozpalonego pieca.

— Patrzcie, jaki *gieroj!*... — powiedział *naczieratiel*, — Teraz pójdziesz z nami.

Znalazłem się w karcerze. Nazajutrz zaprowadzili mnie do pełnomocnika KGB.



— Do końca wyroku macie zaledwie trzy miesiące... Do kogo pisaliście? Do jakiego skrzydła ci ludzie należą?

Powiedziałem, że nie rozumiem pytania.

— Nie udawaj głupka. Chodzi o twoich adresatów... Gdyby treść listów była niewinna, nie wrzucałbyś do pieca.

Po namyśle przyznałem się. Powiedziałem, że pisałem listy do koleżanek z innego łagru i spaliłem je ze strachu przed karczerem, choć nie pisałem tam nic złego.

— Jesteśmy stęsknieni za dziewczynami. Pisały, że chcą poznać chłopaków...

Pełnomocnik nie przyjął moich wyjaśnień i poszedłem do BUR-u. Siedziałem tam z dwoma Rosjanami, których "za wiarę" ukarano dwudziestoma pięcioma latami łagrów. Byli starobrzędowcami. Dużo się modlili. Mieli około pięćdziesiątki. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Polubili mnie, bo rano i wieczorem także odmawiałem modlitwy. Często prosili, bym im po cichu zaśpiewał "coś religijnego". Najczęściej śpiewałem "Serdeczna Matko...", "Pod Twoją obronę..." i "Święty Boże, Święty Mocny...". Słuchali z wielką uwagą i zadowoleniem.

— Wiemy, że w Polsce Bożą Matkę uważacie za swoją Królową — mówili. Kto z Bożą Matką, ten z Bogiem...

Ubolewali nad opętaną przez szatana Rosją i dużo opowiadali o sobie. Zostali skazani za odprawianie w domu zbiorowych modlitw. Podczas śledztwa często ich bito, ale oni nigdy nie narzekali na zły los. Martwili się o innych, szczególnie o tych, którzy odstąpili od wiary.

— Boże, wybacz im! — prosili. — To nie ich wina. Wszystkiemu winien jest panoszący się szatan. Każ, by opuścił te biedne dusze. Nie pozwól, by zostali straceni...

W czasie modlitwy zamieniali się w posągi. Nie było siły, która mogłaby ich od niej oderwać. Pewnego dnia zostali pobici przez *nadzierateli* za głośne modlitwy. Bito ich w mojej obecności. Po posadzce płynęła krew. Żaden z nich nawet nie jęknął.

— Wybacz im, Boże — wołali — bo nie wiedzą, co czynią.

Jeden z czulszych na ludzką krzywdę *nadzierateli* doradzał im potem, by modlili się po cichu, w duszy.

— Sami sobie szkodzicie, marnujecie zdrowie, skróćcie sobie życie... — perswadował.

Starobrzędowcy byli innego zdania. Uważali, że cicha modlitwa to żadna modlitwa. Człowiek prawdziwie wierzący powinien modlić się jawnie i otwarcie. Żadne warunki nie powinny go kępować.

— Modlitwy nie można się wstydzić, a tym bardziej bać się groźących konsekwencji.

W BUR-ze dostawialiśmy tylko 450 gramów chleba i kubek gorącej zupy na śniadanie, na obiad pół litra zupy i na kolację kubek wrzątku. Spaliśmy na betonowej posadzce.

Po dwóch miesiącach wróciłem do baraku. Koledzy ucieszyli się i urządzili serdeczne powitanie, a potem przez wiele dni starali się mnie podkarmić.

W Omsku spotkałem dwóch Polaków, z Polskiej Armii na Zachodzie. Obaj byli żołnierzami kresowej dywizji, walczyli pod Monte Cassino i przeszli przez całe Włochy. Po wojnie wrócili do swoich rodzin, na tzw. Zachodniej Białorusi. Po dwóch tygodniach obu aresztowano i skazano na piętnaście lat łagrów. Sąd uznał ich za zdrajców "radzieckiej ojczyzny", ponieważ dobrowolnie wstąpili do "białopolskiej faszystowskiej armii na Zachodzie".

\*

Do końca wyroku pozostał mi tylko miesiąc. Marzyłem o powrocie do kraju i połączeniu się z rodziną. Po drodze chciałem odwiedzić Wilno, wstąpić do babci i podziękować jej za pomoc. Wiedziałem jednak, że w tym kraju koniec wyroku nie oznacza wolności. Więźniów politycznych po odbyciu kary czekały różne niespodzianki. Drogę do pełnej wolności mieli zamkniętą. Sfabrykowane w czasie śledztwa piętno wrogów ludu nosili do końca życia.

6 czerwca 1954 roku *nadzierateli* kazał mi zgłosić się do

105

106

specczasti\*. Urzędujący tam oficer KGB oznajmił, że moja kara dobiegła końca. Kazał mi zdać do magazynu obozowe rzeczy i pobrać na drogę suchy prowiant.

89

↓\* Oddział specjalny.

~~106~~  
~~107~~

Spakowałem swoje drobiazgi, pożegnałem się z kolegami i w ich towarzystwie poszedłem na wartownię. Tam jeszcze raz ucałowaliśmy się — nigdy więcej już ich nie widziałem.

Bardzo przeżyłem to pożegnanie. Mocno połączyła nas wspólna niedola i wspólna przeszłość. Przede mną otwierał się świat nadziei, oni musieli żyć za drutami przez wiele lat, bo większość skazano na ćwierć wieku. Widziałem w ich oczach łzy. Prosił, bym pamiętał...

— Powiedz wszystkim, że jesteśmy tutaj — prosił Broniek. — Powiedz, że jest nas dużo, bardzo dużo.

106  
107

Przed wartownią czekał więzienny samochód, przy którym kręcili się dwaj uzbrojeni żołnierze.

— Tym samochodem pojedziecie na wolność — oświadczył oficer.

Zaprotestowałem: — Przecież powiedzieliście mi, że moja kara dobiegła końca, jestem więc człowiekiem wolnym. Powinniście wydać mi jakiś dokument. Chcę pojechać do Wilna, a stamtąd do Polski.

— Wykonuję polecenie moich zwierzchników — odparł. — Kazali mi odwiedzić was do pociągu tym samochodem. Mogę was tylko poinformować, że pojedziecie do Krasnojarska — to decyzja Moskwy.

Nie liczyłem na powrót do kraju, ale miałem nadzieję, że pozwolą mi wrócić do Wilna. Chciałem pojechać do matki ojca, której byłem mocno zobowiązany, bo przez dziesięć lat mi pomagała. Teraz wszystkie nadzieje przepadły. Słyszałem wiele o zesłaniu, ale co innego słyszeć, a co innego samemu je przeżywać.

nie ma poprawnie

Oficer ze *specczasti* życzył mi pomyślności "na nowej drodze życia". To, że tę nową drogę zaczynam w ciemnym pudle więziennego samochodu, pod lufami gotowych do strzału pistoletów maszynowych, uważał za rzecz zupełnie normalną.

41  
42

← DROGA NA ZESŁANIE

Czarnyj woron zawiózł mnie pod omskie więzienie. W rozgrzanej od słońca metalowej skrzyni było duszno. Od jazdy po "kocich łbach" przewracały się wnętrzności i zacząłem wymiotować.

Przed więzieniem żołnierze kazali mi wyjść z samochodu. Jeden z nich wszedł do pudła i coś sprawdzał. Wyskoczył po chwili pełen gniewu i kazał mi sprzątnąć. Gdy odmówiłem, zaczął wymyślać i straszył, że w każdej chwili mogę wrócić do łagru. Mimo gróźb, nie uległem.

Pociąg do Krasnojarska odchodził dopiero za parę godzin i żołnierze ulokowali mnie w więzieniu. Przed wpuszczeniem do celi przeszedłem dokładną rewizję.

— Na wolność? — pytali życzliwie strażnicy. — Musisz się cieszyć...

Wcale ich nie dziwiło, że zwolniony z łagru błękał się jeszcze po więzieniach. Trafiłem do celi, w której siedzieli ludzie po odbytych wyrokach — tak samo wolni, jak ja. Po paru godzinach ci sami żołnierze wpakowali wszystkich do więziennego samochodu i zawieźli na dworzec. Za kilka minut nadjechał pociąg i żołnierze z eskorty przekazali nas kolegom z wagonu stołypinowskiego\*, przystosowanego do przewożenia więźniów. Przedziały przerobiono na więzienne cele. Wszystkie okna i drzwi były zakratowane i zamykane na zewnątrz na grube metalowe zasuwki z zamkami. Po korytarzu chodzili uzbrojeni żołnierze KGB.

↓\* Wagon stołypinowski wprowadził do użytku minister sprawiedliwości i spraw wewnętrznych carskiej Rosji, Piotr Stołypin.

Na peronie w Krasnojarsku czekał znów *czarnyj woron*, który zawiózł mnie do więzienia. Podobnie jak w Omsku, przeszedłem osobistą rewizję.



90  
107

W celi, do której trafiłem, siedziało dwudziestu mężczyzn. Przywitałem się po rosyjsku i usiadłem pod pustą ścianą. Jedyne wyposażenie celi stanowił duży metalowy kibel. Mężczyźni rozmawiali po ukraińsku. Wszyscy po odbytych wyrokach.

108

A ja zatonąłem w rozmyślaniach o moich bliskich i o pozostawionych w łagrze rodakach. Niepokoiłem się o Ojca Albina, którego wyrok kończył się w 1950 roku, ale bałem się, że mogli mu dołożyć. Pełnomocnik MGB wyraźnie szukał pretekstu. Na Boże Narodzenie w 1949 roku wtrącił go do BUR-u tylko dlatego, że po wspólnej Wigilii śpiewaliśmy kolędy...

Zastanawiałem się też, gdzie może być "Ronin", co się dzieje z "Lupaszka", z komendantem okręgu. Potem przeglądałem zachowane z domu listy i rodzinne zdjęcia. Dużo myślałem o Polsce. Przed wojną i w czasie okupacji poza Wileńszczyzną i Wierzbiałowem nigdzie się nie ruszałem. Polskę na zachód od Niemna znałem tylko z podręczników historii, filmów i opowiadań. Tak pragnąłem tam dotrzeć. O nowej "ludowej" Polsce miałem małe pojęcie. Wiedziałem tylko, że jest okrojona od wschodu i ma dość daleko wysuniętą granicę na zachodzie, że rządzą w niej komuniści i że ich władzy strzegą wojska sowieckie. Nic nie wiedziałem o jej przywódcach i o ich zakresie niezależności. Choć nie była taka, o jaką walczyliśmy, nikt i nic nie mogło jej zastąpić.

W pewnej chwili podszedł do mnie ponad siedemdziesięcioletni staruszek. Szczupły, białogłowy, średniego wzrostu. Uśmiechnął się i przeprosił, że zakłóca moje rozmyślania.

— Przyglądałem się wam jak oglądaliście zdjęcia — pewnie rodzinne... Ja nie mam już nikogo z rodziny i nie zostały mi żadne pamiątki. Gdzie twój mieszkają?

Gdy powiedziałem, że w Polsce, poprosił, żebym pozwolił mu koło siebie przysiąc i zasypał mnie pytaniami.

Opowiedziałem mu, za co trafiłem do łagrów, gdzie mieszkałem przed wojną i czym zajmowali się rodzice. Dziwił się, że w tak młodym wieku byłem partyzantem i że dostałem za to dziesięć lat.

— Coś niebywałego! — mówił. — Siedemnastoletni wróg ludu...

Gdy spytałem o jego przeszłość, uśmiechnął się i spytał, czy znam Lenina. Odpowiedziałem, że wiem, kim był.

— A ja znałem Lenina i pracowałem z nim. Kierowałem rewolucją z Leninem i innymi towarzyszami. Może słyszałeś o Tuchaczewskim? Aresztowali mnie zaraz po nim i do tej pory ciągnęli po różnych więzieniach i łagrach — to będzie już siedemnaście lat. Nie miałem sądu i żadnego wyroku. Teraz czeka mnie zesłanie. Ciebie najprawdopodobniej wywiozą gdzieś na północ, a mnie skierują do jakiegoś kolchozu. Do pracy fizycznej się nie nadaję, a innej mi nie powierzą. Liczę na dobrych ludzi i mam nadzieję, że nie zginę z głodu. Pytasz, co tam będę robił? Zajmę się pisaniem. Dotąd nie miałem do tego warunków. Napiszę wszystko co widziałem przez siedemnaście lat i co o tym myślę i wyślę im do Moskwy. Niech poczytają!

Po tygodniu staruszka zabrali, a po dziewięciu dniach przyszła kolej na pozostałych.

Załadowani do samochodów ciężarowych, pod eskortą, pojechaliśmy na lotnisko. Czekał tam na nas jakiś cywil. Zamienił kilka słów z oficerem z eskorty i podszedł do nas.

— Jestem Michalkin, dyrektor jednego z przedsiębiorstw w Turze. Do Krasnojarska przyjechałem jako kupiec. Kupuję od nich — wskazał na oficera — ludzi do pracy. Zrobił przy tym taką minę, że nie mogliśmy się zorientować, czy mówi poważnie, czy żartuje.

— Od tej chwili — kontynuował — należycie do mnie. Ci z pukawkami niedługo nas zostawią. Polecimy samolotem. Bilety już mam.

Ktoś zwrócił się do Michalkina z pytaniem, per *naczalnik*.

— *Naczalniki* to oni — zareagował gniewnie, wskazując na żołnierzy i oficera. — Ja jestem po prostu — *towariszcz*.

Dowiedzieliśmy się od niego, że Tura leży nad Dolną Tanguzką — dopływem Jenisieju. Zima miała tam trwać przez dziewięć miesięcy.

— Reszta roku — powiedział Michalkin — to lato, lato i lato. Temperatury są niskie, ale za to nie ma wiatrów. Mamy zdrowe powietrze i piękne zdrowe dziewczyny. Żyjemy dużo lepiej niż oni w Krasnojarsku.

Mieliśmy przed sobą prawie dwa tysiące kilometrów. W Turochańsku



miała być przesiadka.

W samolocie po raz pierwszy od dziesięciu lat usiadłem w wygodnym miękkim fotelu. Samolot zatoczył nad miastem łuk i ustawił się na północ. Pod nami uciekało, przecięte wstęgą Jenisieju, miasto znane mi tylko z więzienia. Wkrótce zastąpiła je bezludna tajga. Cały czas lecieliśmy nad Jenisiejem. Podczas trzech godzin lotu widziałem tylko kilka położonych nad brzegiem rzeki osiedli. Pod koniec naszej trasy tajga stawała się coraz biedniejsza, zbliżaliśmy się do tundry.

W Turochańsku musieliśmy czekać aż obniży się poziom wody w Dolnej Tunguzce. Położone na rzecznej wyspie lotnisko w Turze było zalane i samoloty nie mogły tam lądować.

Czułem się bardzo dziwnie. Co chwilę się oglądałem, nie mogłem uwierzyć, że nikt mnie nie pilnuje, że mogę iść dokąd chcę, że mam prawo biegać, skakać...

Michalkin dał nam po dziesięć rubli i zakwaterował nas w pobliskim hotelu. Pokoje brudne i ciasne, wyposażone tylko w metalowe łóżka i nocne szafki, przypominały wewnątrz zaniedbanego robotniczego baraku.

Ukraińcy poszli spać, a ja wybrałem się do lasu. Mizerne, drobne drzewa w niczym nie przypominały pięknych lasów wileńskich, ale i tak nie mogłem się nimi nacieszyć. Szedłem prosto przed siebie i łapczywie wchłaniałem pachnące powietrze, a potem zacząłem śpiewać partyzanckie piosenki. Śpiewałem coraz głośniej i wsłuchiwałem się w echo. To wtedy wreszcie przekonałem się, że zesłanie lepsze jest od łagrów. Można chodzić i śpiewać — wszystko co się chce, bez obawy, że wsadzą do karceru lub BUR-u.

Do hotelu wróciłem późno. Odmówiłem modlitwę, ale długo nie mogłem zasnąć. Gdy przebudziłem się, słońce było wysoko. Pobiegłem na brzeg Jenisieju, umyłem się i wybrałem do osiedla. Zaskoczyły mnie puste ulice. Osiedle wyglądało na wymarłe. Przeszedłem je wzdłuż i wszerz i nie spotkałem żadnego człowieka. Zagadkę wyjaśnił zegar, który stał w jednym z mieszkań na parapecie. Było na nim dziesięć po trzeciej. Przypomniałem sobie, że jestem blisko koła podbiegunowego, gdzie są białe noce. Drugi raz wybrałem się do osiedla około siódmej rano. Po drodze spotkałem starszą kobietę. Przedstawiłem się po rosyjsku i spytałem czy w osiedlu mieszkają Polacy.

— A gdzie ich nie ma — odpowiedziała. — Są wszędzie. Pójdiesz, synku, tą dróżką nad brzegiem Jenisieju, zejdziesz ze skarpy drewnianymi schodkami i zobaczysz biały domek. Tam znajdziesz swoich...

43

Po kilku minutach stałem już na progu białego domku. Otworzyła mi młoda kobieta. Zaniemówiła, gdy odezwałem się po polsku. Po chwili zaprosiła mnie do środka. Była bardzo wzruszona.

— Pan pewnie z łagru? Ja też siedziałam — pięć lat; mój mąż siedział i Józek Kozera, nasz lokator. Pochodzi z kieleckiego, był w Armii Krajowej u "Ponurego". Mój mąż jest Mondwinem. Nie miałam szczęścia wyjść za swojego, ale to dobry człowiek. Nauczyłam go mówić po polsku. Jest tutaj kierownikiem fryzjermi...

109  
110

Przez cały czas tej opowieści krzątała się po pokoju, stawiała coś na stół i co pewien czas zaglądała do kuchni. Gdy wszystko miała gotowe, poprosiła do jedzenia.

— Wódki nie mam — rzekła z uśmiechem — ale jak przyjdzie Józek z Wasią, to na pewno coś znajdą. Proszę jeść. Jak będzie mało, dolożę. Nie jestem biedna. Mam dwóch chłopów. Na jedną babę zarobią... Mamy chleb, ziemniaki, rybę i nie jemy nigdy bez tłuszczu. W sklepie można kupić wszystko, nawet mięso i kielbasę.

Moja gospodyni miała na imię Marysia i pochodziła z Baranowicz. Opowiedziała mi także historię swojego męża.

— Zaczęło się od tego, że posadzili jego brata. Biedak wrócił z niemieckiej niewoli, a oni zamiast do sanatorium wpakowali go na dwadzieścia lat do łagrów. Męża, który był nauczycielem, zwolnili wtedy z pracy. Doszli do wniosku, że brat wroga narodu nie może uczyć i wychowywać dzieci. Mąż zdenerwował się i przy wszystkich powiedział, że w ten sposób nie zbudujemy socjalizmu. Ktoś doniósł, a dalej już wiadomo...

Po rozmowie i posiłku zostałem zaproszony na obiad. Obiecałem przyjść punktualnie o czwartej po południu.

Wracając do hotelu spotkałem dwóch Ukraińców. Dowiedziałem się od nich, że ktoś na mnie czeka. Przed drzwiami stał wysoki, przystojny brunet w polskim wojskowym mundurze. Przedstawił się jako Wacław Bołtromun. Pochodził spod Grodna. W czasie okupacji — jak mi niebawem opowiedział — należał do AK, a po zajęciu Grodna przez sowieckie wojska wstąpił do armii Berlinga. W 1946 roku został zdemobilizowany i powrócił do domu. W tym samym roku ożenił się i po kilku tygodniach został aresztowany. Za Armię Krajową musiał odpokutować dziesięć lat w łagrach. Gdy siedział jeszcze w więzieniu, żona urodziła syna. W 1948 roku posadzili również i ją, skazaną na dwadzieścia pięć lat łagrów. Była zwykłą wiejską kobietą, nie należała do żadnej organizacji. Oskarżono ją o kontakty z leśnymi bandami. Do chłopów w tamtych czasach przychodzili uzbrojeni ludzie. Trzeba było ich nakarmić albo przyjąć na noc. Jedni mieli na czapkach czerwone gwiazdy, a inni orzełki. Trudno było się zorientować, kim są w rzeczywistości. Przyszli do niej pewnego wieczoru, kazali dać jeść i po posiłku odeszli. Po trzech dniach znalazła się w areszcie. Podczas śledztwa dowiedziała się, że nie dopełniła obowiązku zgłoszenia o wizycie "bandytów" w najbliższym posterunku milicji.

— Twój mąż — mówił ~~śledczy~~ **śledowatiel** — należał do białych.

*śledowatiel*

Dlatego ich wspomogasz.

Władze sowieckie wszystkich Polaków w tamtych stronach uważały za ludzi niepewnych i starały się ich izolować.

Po południu wybraliśmy się razem z Wackiem do Marysi. Zastaliśmy tam Józka i Wasię, który dobrze mówił po polsku. Przez kilka godzin opowiadaliśmy sobie o swoich przeżyciach i snuliśmy prognozy na najbliższą przyszłość. Na stole były różne zakąski i "kropelki". Na zakończenie Wasia podziękował za odwiedzin:

— Sprawiliście ~~nam~~ <sup>nam</sup> ogromną radość, szczególnie mojej żonie.

*✓ nam*

Wiem, że wolalaby wyjść za Polaka, ale i mnie, prawdę mówiąc, do Polaka niewiele już brakuje. Mówię po polsku, śpiewam wasze piosenki, znam wasze krzywdy i rozumiem wasze problemy. Interesuję się polską historią, literaturą. W tym domu witam was jak braci. Chciałbym, by te cztery ściany były także waszym domem. Odwiedzajcie nas codziennie.

*110  
111*

Przez dwa tygodnie wracaliśmy do hotelu tylko na noc. Od Michalkina co parę dni dostawialiśmy skromne diety, za które kupowaliśmy alkohol i słodycze dla naszych przyjaciół z domku nad Jenisiejem. Na pierwszą niedzielę Wasia zaprosił gości. Pozналиśmy małżeństwo Gruzinów, którzy pracowali z Wasią we fryzjerni, kierowniczkę apteki, Żydówkę ze Lwowa. Żydówkę deportowano wiosną 1941 roku. Nie skarżyła się na zły los, wiedziała co spotkało Żydów pod okupacją niemiecką.

— Deportacji zawdzięczam życie, ale na Sybir przywieźli nas jako wrogów ludu.

Gruzini nienawidzili panującego reżimu. Pragnęli bliżej nieokreślonych zmian. Lubili się bawić, beznadziejność życia starali się tłumić żartami i śpiewem... O przyszłości starali się nie myśleć...

W tamtą niedzielę dużo śpiewaliśmy. Kierowniczką apteki znała wszystkie piosenki legionowe. Urozmaicaliśmy je piosenkami partyzanckimi. Śpiewaliśmy także pieśni ludowe po rosyjsku. Były to piękne pieśni: o niedoli włóczęgi, który z workiem na plecach przemierzał zabajkalskie stepy, o podarku dońskiego kozaka dla matki-Wołgi, o matce staruszce, która przyszła pod więzienną bramę z żywnością dla syna i której pękło serce, gdy dowiedziała się, że z rana został rozstrzelany.

Nasi gospodarze i ich goście zawsze byli dla nas mili i serdeczni. Chodziliśmy razem na spacery wzdłuż Jenisiejju i do lasu. Szczerze zaprzyjaźniliśmy się.

*KTY* NA ZESŁANIU

Wacek przyjechał do Turochańska z inną grupą zwolnionych



więźniów, głównie Ukraińców. Po wyroku przez dwa tygodnie siedział w krasnojarskim więzieniu.

Z Turochańska odbyliśmy podróż do Tury hydroplanem. Wylądowaliśmy na Dolnej Tunguzce. Na brzegu oczekiwali nas funkcjonariusze MGB, którzy zaprowadzili nas na plac przyległy do budynku urzędu bezpieczeństwa. Powitał nas naczelnik okręgowego MGB, pułkownik Czuprasow. Pogratulował powrotu "na wolność" i oznajmił, że od tej pory będziemy mieszkańcami Tury — stolicy Ewenkijskiego Okręgu Narodowego, w którym partia i rząd powierzyły mu czuwanie nad bezpieczeństwem państwa.

— Każdy z was — powiedział — otrzyma pracę i mieszkanie. Luksusów nie mamy. Zamieszkacie w barakach, w pokojach dwu i kilkuosobowych. Przyszedł ją kierownicy zakładów pracy. Jeśli ktoś zechce sprowadzić do Tury rodzinę, może liczyć na moje poparcie.

Wśród przysługujących nam praw wymienił prawo do zawarcia związku małżeńskiego i założenia rodziny. Oznajmił też, że bez jego zezwolenia nie możemy opuścić Tury.

— Za samowolne oddalenie się od osiedla grozi sąd i powrót do łagrów.

Na pytanie Wacka o dowody tożsamości oświadczył, że żadne dokumenty nie będą nam na razie potrzebne. Dostaniemy je po zwolnieniu z zesłania. Kiedy to nastąpi — nie wiadomo.

— Wierzę, że przyzwyczajacie się do Tury i będziecie się tutaj czuli jak w domu — dodał na zakończenie.

Musieliśmy jeszcze podpisać druki oświadczeń, z których wynikało, że zostaliśmy zapoznani z zakazem oddalania się od Tury: "Jestem świadom, że za naruszenie zakazu grozi mi dwadzieścia pięć lat katorżniczej pracy, co potwierdzam własnoręcznym podpisem".

Tura leży nad ujściem Koczeczumu do Dolnej Tunguzki. Była wówczas niedużą, liczącą zaledwie trzy tysiące mieszkańców, stolicą olbrzymiego Ewenkijskiego Okręgu Narodowego, obejmującego 745 tysięcy kilometrów kwadratowych. Od północy i wschodu otaczały ją liczne iglaste lasy, od południa i zachodu — piękne, malownicze wzgórza. Ponad dwa i pół tysiąca jej mieszkańców stanowili zesłańcy i byli więźniowie. Miejscowych, podobnych do Eskimosów Ewenków, było niewiele. Prawie wszyscy prowadzili życie koczownicze. Mieszkali w czumach — namiotach ze skóry reniferowej — i żyli z myślistwa. W Turze zbywali ustrzeloną zwierzynę i zaopatrywali się w podstawowe artykuły spożywcze. Nie lubili Rosjan.

— *Russkij czelowiek* — mówili — *niechoroszyj czelowiek. Nie choczet rabotat<sup>1</sup>, a choczet mnogo kuszat<sup>1</sup>. Lubit worowat<sup>2</sup>\**.

<sup>1</sup> Rosyjski człowiek to niedobry człowiek. Nie chce pracować, a chce dużo jeść. Lubi kraść.

Jesienią 1941 roku zapelniono Turę Niemcami deportowanymi z Północy i z Ukrainy. Pozbawiono ich praw obywatelskich, pozabierano im dowody tożsamości i zakazano opuszczać osiedle. Poza Niemcami i nielicznymi Ewenkami w Turze mieszkali Rosjanie, Łotysze, Litwini, Estończycy, Ukraińcy, Gruzini, Chińczycy, Cyganie, Żydzi, Finowie. Spotkaliśmy tylko trzech Polaków. Finowie pochodzili z Karelii, którą po włączeniu do ZSRR zasiedlono Rosjanami. Litwinów, Łotyszów i Estończyków deportowano w latach 1940-1941 i po roku 1944. Większość Rosjan trafiła do Tury podczas czystek stalinowskich.

Mieszkalem w Turze osiemnaście miesięcy. Nigdy nie spotkałem tam człowieka, który osiedlił się z własnej woli. Nawet przedstawiciele władzy byli z nakazu.

Pracę otrzymałem w *Rej-Prom-Kombinacie*. Poznałem tam pewnego Polaka, Mariana, który mieszkał w Turze od pięciu lat. Ożenił się z Niemką i miał z nią dwoje dzieci. Pełnił funkcję dziesiętnika. Dzięki niemu dostałem lżejszą pracę — palacza w kotłowni. Zimy były bardzo mroźne. W grudniu i styczniu temperatura spadała do minus pięćdziesięciu, a nawet do minus sześćdziesięciu stopni. Pod koniec września były już śnieżyce. Wiosna zaczynała się dopiero na początku czerwca.

Wackowi się nie powiodło, pracował w przedsiębiorstwie budowlanym przy rozbiórce tratw i zawsze wracał do domu zziębnięty i mokry. Na szczęście w połowie października poznaliśmy drugiego rodaka — Staśka Juchniewicza. Pochodził z Grodna i w Turze ożenił się z Łotyszką. Stasiak dobrze znał

dykt b  
SO 101-111

sol 3

od 44  
101-111

dodać  
znak  
związkowy  
3x

111  
112



94

pierwszego sekretarza partii na szczeblu okręgu. Poznał go na zakładowej zabawie. Rosjanin czuł do Polaków sympatię. W czasie wojny był oficerem w sztabie generała Rokossowskiego. Stasiak wiedział, że tylko ten człowiek może Wackowi pomóc.

— Najwyżej stracimy pół litra, bo sekretarz lubi wypić — żartował.

Mieszkałem wówczas z Wackiem w małym pokoiku w starym baraku. Mieliśmy tam piecyk i mogliśmy sobie coś ugotować. Z zakładu pracy dostałem deski, z których zrobiliśmy stół. Stasiak podarował nam składane metalowe łóżko i dwa taborety. Potem dorobiliśmy się krzesel, naczyń i innych drobiazgów. Cieszyliśmy się, że mamy własne cztery ściany. W sąsiednim pokoju mieszkaly dwie komsomolki. Skierowano je do Tury, gdy skończyły szkołę handlową. Pochodziły z Krasnojarska. Często śpiewaliśmy z Wackiem piosenki partyzanckie, a one śpiewały swoje — rosyjskie. W ten sposób zawarliśmy znajomość. Gdy dowiedziały się, że jesteśmy Polakami i byliśmy w partyzantce, zaczęły nas darzyć szacunkiem. Od czasu do czasu przychodziły w odwiedziny, ale bały się, by ktoś nie zameldował do KGB, że kontaktują się z nami.

— Gdyby się dowiedzieli — mówiły — wyrzuciliby nas z Komsomolu, miałybyśmy krechę na całe życie.

Pewnego popołudnia wybraliśmy się ze Staśkiem do pierwszego sekretarza, z którym byliśmy umówieni. Kupiliśmy dwie butelki spirytusu i punktualnie o piątej zapukaliśmy do drzwi. Sekretarz mieszkał naprzeciwko urzędu bezpieczeństwa. Otwierając, spytał Staśka — dla zachowania pozorów — czy jesteśmy tymi, których oczekuje. Dopiero w pokoju się z nami przywitał.

Po chwili pojawiła się jego żona. Przywitała się i spytała, co byśmy chcieli na zakąskę. Na stole stały już butelki.

— Mam boczek, jajka, rybę...

— Zrób coś na gorąco — powiedział sekretarz, — *Nam wsio rawno*, byle szybciej.

Nalał po lampce i oznajmił, że dużo o nas słyszał od Staśka.

— Byliście w Armii Krajowej... Znam akowców, spotkałem się z nimi w Polsce. Dzielni chłopcy, nienawidzili Niemców. Byli romantykami. Wolność i niepodległość — to piękne słowa, ale waszą sprawę przesądziło wśród wielkich mocarstw. Szkoda poniesionych ofiar, krwi, cierpień, które trwają do dziś. Za co odsiedzieliście dziesięć lat? Za co dalej pokutujecie w tej zasranej Turze? Wasze miejsce jest w Polsce. Gdybym mógł, zaraz kazałbym was zwolnić.

Potem opowiedział, jak kiedyś przyprowadzili do niego dwóch schwytych z bronią chłopców.

— Nie mieli jeszcze dwudziestu lat. Spytałem, co robią w lesie. Mówię, że Niemców już nie ma... "Przeciwko komu walczyacie? Związku Radzieckiego tymi pukawkami nie pokonacie. Zamiast wałęsać się po lasach powinniście chodzić do szkoły. Mogę oddać was w ręce MGB — oni wywiozą was na białe niedźwiedzie... Ale szkoda mi was, bo sam mam dzieci. Puszczę, ale jeśli nie wrócicie do domów, skrzywdzicie sami siebie..."

Wstał nagle z krzesła i zasłonił okno, które wychodziło na budynek MGB.

— Wolę — powiedział — by ta swółocz nas nie widziała. Nie boję się ich, ale nie muszą wszystkiego widzieć.

Gospodyni przyniosła zakąski i herbatę. Była miła, ale nie włączała się do dyskusji na tematy akowskie.

Sprawę Wacka sekretarz załatwił jeszcze przy nas. Zatelefonował do jego dyrektora i oznajmił, że Bołtromun od jutra będzie pracować w piekarni.

— Ludzie narzekają na złą jakość chleba, a on jest piekarzem... Jutro rozlicz Bołtromuna i daj mu przeniesienie...

Potem opowiadaliśmy mu o partyzantce na Wileńszczyźnie i w grodzieńskim. Słuchał z dużą uwagą. Na pożegnanie życzył szybkiego powrotu do kraju.

\*

W październiku wysłałem skargę do generalnego prokuratora Związku Radzieckiego. Napisałem, że zostałem bezpodstawnie skazany na dziesięć lat łagrów i bez żadnego uzasadnienia przebywałem na zesłaniu. Prosiłem o ponowne rozpatrzenie mojej sprawy i o uniewinnienie. W skardze wspomniałem też, że pisałem do najwyższych władz państwowych z łagru w latach 1945 i 1946, i że do tej pory nie otrzymałem odpowiedzi. Prosiłem o uchylene decyzji MGB o bezterminowym zesłaniu oraz o zezwolenie na wyjazd do Polski. Po paru miesiącach w urzędzie bezpieczeństwa wręczono mi pismo z generalnej

113  
114

a<sub>2</sub>

prokuratury, w którym informowano, że moją skargę przekazano do rozpatrzenia naczelnemu prokuratorowi Bałtyckiego Okręgu Wojennego. Ucieszyłem się, że wreszcie zaczęło się coś dziać.

Z biegiem czasu przyzwyczailiśmy się z Wackiem do nowych warunków. Nasz pokój stawał się coraz bogatszy. Kupiliśmy pościel, firanki, zasłony. Spaliśmy w jednym łóżku, bo na drugie nie było pieniędzy ani miejsca.

Na ścianie powiesiliśmy podarowany mi przez Jurka Styczyńskiego obrazek z kobietą na tle pięknego orła, która miała skute łańcuchem ręce i symbolizowała Polskę.

Wacka ciągnęło tymczasem do gospodarstwa. Jeszcze jesienią namówił mnie do zbudowania ziemianki.

— Będziemy w niej hodować prosiaka i kury — entuzjazmował się. — Wiesz jak to dobrze mieć własne mięso, świeże jaja?!... Prosiaka kupimy na fermie świr. Rozmawiałem już z Wanią-Kitajcem.

Kierownikiem fermy był Chińczyk, którego wszyscy nazywali Wanią-Kitajcem. Wacek poznał go w piekarni. Dość często przychodził do nas pogadać. Nie znosił Rosjan. Twierdził, że Rosja to jedno wielkie więzienie.

— Najgorsze jest to, że naczelnicy tego największego więzienia na świecie narzucają swoje porządki innym krajom. Po co wtrącają się do spraw polskich czy chińskich?...

Uważał, że Rosjanie są zarażeni manią panowania nad światem.

— Potępiają despotyzm, a sami są superdespotami. W Moskwie widzą pępek świata. Każą nam nazywać ich "starszym bratem" — w tym tkwi ich maniacka logika. "Skoro jestem starszym bratem — rozumuje przeciętny Rusek — mam prawo i obowiązek pouczać młodszych, nieposłusznych przywołać do porządku, wymierzać kary... W rodzinie musi być dyscyplina..." Nieposłuszni — to my, wy i inni.

Wkrótce kupiliśmy prosiaka. Od Wani-Kitajca dostawaliśmy dla niego karmę i witaminy.

— Musimy sobie pomagać — powiadał. — Chcą nas zgnębić, ale nie damy się.

Zesłańców na północy łączyła wielka solidarność. Nie gonili za bogactwem. Pomagali sobie w pracy i w życiu prywatnym. Często zdarzało się, że przychodził do mnie któryś z sąsiadów ze świeżą rybą albo kawałkiem mięsa i mówił: "Dzisiaj złowiłem...", albo "Dzisiaj dostałem...", dla mnie tego za dużo..."

44/45

\*

588

Ziemiankę zbudowaliśmy w ciągu trzech dni. Do prosiaka dokupiliśmy jeszcze trzy kury i jednego koguta. Kury karmiliśmy kaszą, a prosiaka zmiotkami mąki z piekarni i karmą od Wani. Kiedy zabiliśmy prosiaka, podzieliliśmy się nim z sąsiadami.

Od grudnia zmieniłem zawód palacza na drwala. Ciężko pracowałem, ale więcej zarabiałem. Do pracy miałem osiem kilometrów. Dzienna norma wynosiła osiem metrów sześciennych. Można ją było wykonać z łatwością. Przy wykonaniu normy w stu procentach miesięczny zarobek wynosił około pięciuset rubli. Kilogram masła, mięsa i kielbasy kosztował trzydzieści rubli. Musieliśmy też opłacić mieszkanie, światło i ubierać trochę grosza na ciepłe ubranie. Potrzeby mieliśmy znaczne, więc musiałem wysoko przekraczać normę. Wyrabiałem ją przeciętnie w dwustu pięćdziesięciu procentach. Jednego dnia stawiałem sześć metrów sześciennych, a drugiego dziewięć. W ten sposób zarabiałem tysiąc dwieście rubli miesięcznie. Przy temperaturach poniżej minus czterdziestu stopni robotnicy zatrudnieni pod gołym niebem otrzymywali wynagrodzenie o czterdzieści procent wyższe. Z tym dodatkiem udawało mi się zarobić tysiąc czterysta, a nawet tysiąc sześćset rubli.

Do pracy wychodziłem o siódmej albo później, bo zimą świtało dopiero o dziesiątej. Z powodu ciemności kończyłem pracę o godzinie piętnastej. Przez pięć godzin machałem ciężkim toporem i nosiłem trzymetrowe kloce do sztapli, robiąc tylko dwie krótkie przerwy na papierosa.

Pracę zaczynałem od podcinania pnia i obalenia drzewa. Potem usuwałem gałęzie i sęki. Cwiartowałem drzewo na kawałki o wymaganej długości i układałem je w sztaple. Wszystkie operacje, poza układaniem, wykonywałem siekierą.

Ku mojemu zdziwieniu zostałem awansowany na brygadzystę. Początkowo nie chciałem się zgodzić, tłumaczyłem się brakiem doświadczenia i nieznaną tajemnicą.



W drugiej połowie stycznia wraz z pięcioma drwalami wysłano mnie, jako brygadzystę, na zagotówkę lesa (czyli akcję zaopatrzenia Tury w drewno). Przed wyjazdem musiałem zgłosić się do naczelnika KGB, Czuprasowa. Przyjął mnie z judaszowskim uśmiechem:

— Pojedziecie w tajgę z trzema Ukraińcami i dwoma Niemcami. Jesteście Polakiem i dlatego mamy do was zaufanie. Ukraińcy — to banderowcy, Niemcy — podobny element. Jako brygadzysta musicie na nich uważać. W dniu wyjazdu otrzymacie dwie dubeltówki i jeden karabin. W tajdze są niedźwiedzie, wilki i jak świat światem nikt nie zapuszczał się w nią bez broni. Nie możemy wysłać ludzi na stracenie... Broń i amunicję powierzamy wam, nikt nie może z niej skorzystać bez waszej zgody. Szczególnie musicie uważać na karabin. Gdyby coś się stało postarajcie się jak najszybciej dotrzeć do fermy lisiej. Jest w odległości pięćdziesięciu kilometrów od miejsca zagotówki lesa. Tam mają radiostację.

Wieczorem powtórzyłem obu Niemcom treść rozmowy z Czuprasowem. Byli to bardzo porządni i uczynni ludzie. Jeden nazywał się Brandt, a drugi Kufelt. Rok temu brygadzystą był Brandt. Jego również wzywał Czuprasow i plótł mu o zaufaniu...

— Dają broń — powiedział Brandt — bo bez niej nikt w tajgę nie wyruszy. Dawali nawet w czasie wojny, ale wtedy mieliśmy tylko jedną dubeltówkę na całą grupę.

Zaprzyjaźniłem się z obu Niemcami. Często u nich bywałem, zapraszali mnie na imieniny, urodziny i z okazji świąt kościelnych. Łączył nas wspólny los i jedna wiara — Niemcy byli katolikami. Interesowali się życiem w przedwojennej Polsce i wydarzeniami z ostatniej wojny. Opowiadałem im o zbrodniach niemieckich i sowieckich. Niemieccy zesłańcy w Turze w ogóle stanowili najliczniejszą grupę narodowościową. Żaden Niemiec nie mówił poprawnie po rosyjsku. Między sobą rozmawiali tylko po niemiecku.

Przed wojną Kufeltowie i Brandtowie mieszkali na Ukrainie. Pracowali w kolchozie, w którym większość stanowili Niemcy. Twierdzili, że żyło im się tam zupełnie dobrze. W sąsiednich kolchozach ukraińsko-rosyjskich ludzie cierpieli biedę, nawet głód. Niemcy twierdzili, że w zakresie organizacji i zarządzania gospodarką, Rosjanie należą do największych antytalentów na świecie.

— Jeśli do antytalentu dodać urodzone lenistwo i brak uczciwości — mówili — to nie należy się dziwić, że ich gospodarka leży.

Po napaści Niemiec na Związek Radziecki niemieckie kolchozy otoczyły wojska NKWD. Wszystkim mieszkańcom w ciągu pół godziny kazano spakować najniezbędniejsze rzeczy i przygotować się do drogi.

— Powyrzucali nas z domów — mówił Kufelt. Do Krasnojarska jechaliśmy w zakratowanych wagonach, a potem statkiem. Ludzie, których spotykaliśmy wyzywali nas od faszystów i hitlerowców, obrzucali kamieniami, opluwali... Nikt nie wie, cośmy przeżyli. Do dzisiaj pytamy: Za jakie grzechy? — i nie możemy znaleźć odpowiedzi. Nasi dziadkowie, a nawet pradziadkowie, nie mówiąc o rodzicach, urodzili się i mieszkali na Ukrainie. Po Niemczech zachowaliśmy tylko mowę i narodowe tradycje. Czy narodowość może być grzechem?... W Turze od początku pracowaliśmy w lesie. Najtrudniejsze były zimy, bo nie mieliśmy ciepłej odzieży. To, co przywieźliśmy z Ukrainy, szybko się zużyło. O kupieniu nowego ubrania i obuwia w czasie wojny nie mogliśmy marzyć. Cierpieliśmy głód. Zimą, przy pięćdziesięciu stopniowych mrozach chodziliśmy do pracy bez obuwia. Próbowaliśmy obwiązywać nogi starymi szmatami, ale często ich brakowało.

Rodzinę Kufeltów spotkało w końcu szczęście. Jedną z córek udało się urządzić u wysoko postawionego partyjniaka jako służącą, za co dostawała kartki żywnościowe, a u swoich "państwa" miała pełne wyżywienie, więc z kartek korzystali pozostali członkowie rodziny. Kartki niepotrzebne były partyjnym dygnitarzom. Wystarczył telefon do sklepu lub magazynu i przynosili im to, co chcieli, w wielu przypadkach za darmo.

\*

Brandt i Kufeltem sami zadeklarowali mi pomoc: na zagotówku lesa jeździli rokrocznie i mieli duże doświadczenie.

W dniu wyjazdu na pokrytej grubą taflą lodu rzece oczekiwał nas samolot zaopatrzony w podwozie z nart. Załadowaliśmy prowiant, namiot, śpiwory, narzędzia pracy i spirytus. Dostaliśmy po pięć butelek na osobę jako lekarstwo na wypadek przeziębienia. Po godzinnym locie wylądowaliśmy w korycie tej samej



rzeki, w miejscowości Zwiero-Ferma. Od razu otoczyli nas jej odcięci od świata mieszkańcy. Pomogli wyładować żywność i cały bagaż, ściągnęli sanie z końmi i wszystko przewieźli do osiedla. Samolot odleciał do Tury.

Brandt i Kufelt znali tutaj wszystkich. Zostaliśmy zaproszeni do jednej z rodzin. Byłem zaskoczony gościnnością. Przyjęli nas jak najbliższych członków rodziny lub przyjaciół. Pragnęli usłyszeć jak najwięcej wiadomości z miasta. Gdy dowiedzieli się, że jestem z Polski posypały się pytania. Na stole pojawił się spirytus i zakąski.

Opowiadałem o czasach przedwojennych, o wojnie, o okupacji, o naszej walce i o wyzwoleniu Wilna. Tłumaczyłem, za co zostałem aresztowany i za co dziesięć lat odsiedziałem w lagrach. Po paru godzinach cała Zwiero-Ferma mówiła, że w grupie robotników jest polski partyzant. Do mieszkania, w którym gościliśmy, zaczęli przychodzić sąsiedzi. Wszyscy zapraszali do siebie. Do wieczora "obkoładowaliśmy" pół osiedla.

Mieszkańcy Zwiero-Fermy pracowali w fermie srebrnych lisów. Kierownik fermy, Rosjanin, oprowadził mnie po niej. Nie znalazłem się na lisach i oglądałem je jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym. Mieli ich tam całą masę. Ferma zajmowała powierzchnię kilku hektarów tajgi. Warunki hodowli były zbliżone do naturalnych.

— Dajemy państwu duże dochody — mówił kierownik. Koszty utrzymania fermy są niewielkie. Mięsa nie sprowadzamy, bo mamy dziczyznę. Ryby są w rzece. Przez pół godziny można nałowić tyle, że starczy na cały dzień. Najważniejszym problemem są płace robotników. Wszystko, co zarobimy, przepijamy. Kupujemy tylko cukier, sól, pieprz, artykuły mączne i chleb.

Gdy wróciliśmy z fermy, czekał na nas zastawiony stół w domu kierownika. Przed każdym nakryciem stały duże puste szklanki. Gospodarz napełnił je po brzegi spirytusem i życząc zdrowia opróżnił szklankę. Inni uczynili to samo. Po wypiciu nie mogłem złapać tchu. Powąchałem kromkę chleba, zakąsiłem i — o dziwo, stwierdziłem że nie jestem pijany. Po pierwszym rozlaniu butelki były próżne. Więcej już nie piliśmy. Po wyjściu na dwór nie czułem zimna, chociaż mróz był potężny.

Nazajutrz o świcie dostaliśmy od kierownika dwoje sań z końmi, owies, siano i po załadowaniu swego bagażu wyruszyliśmy w drogę. Do miejsca *zagotowki lesa* mieliśmy pięćdziesiąt kilometrów. Pięć kilometrów przemierzaliśmy korytem rzeki. Łódź był tak gruby, że można by jeździć po nim czolgami. Potem rzeka zataczała prawie stukilometrowy łuk. Ewentualnie przetarli krótszą drogę przez tajgę. Sknęliśmy na tę drogę, ale brnęliśmy po kolana w śniegu i konie nie chciały ciągnąć sań. Dwie osoby powoziły końmi, a cztery przed nimi ubijały śnieg nogami.

Koniec pliku  
45



45  
46

Mimo dużego mrozu wszyscy byliśmy spoceni. Z koni buchała para. Co kilkaset metrów kładliśmy się na śniegu, by trochę odpocząć. Pragnienie gasiliśmy śniegiem. Wyruszając ze Zwierofermi liczyliśmy, że przed zmierzchem dotrzemy do koryta rzeki, ale zrobiliśmy tylko połowę drogi. Noc spędziliśmy w tajdze. Wyprzęgliśmy zmęczone konie, ścięliśmy kilka suchostajek, zdarliśmy z drzew trochę brzozonej kory i rozpaliliśmy ognisko. Konie napoiiliśmy wodą z roztopionego śniegu. O spaniu nie mogło być mowy. Wiedzieliśmy, że zimą w tajdze niejedynemu podróżnik stracił w ten sposób życie. Z ogniska buchało przyjemne ciepło, ale od tyłu wiało chłodem. Przez całą noc nikt nie zmrugał oka. Gdy zaczynał drzemać, zaraz go budziliśmy.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Po kilku godzinach marszu, do reszty wyczerpani, dotarliśmy do Dolnej Tunguzki, skąd do celu mieliśmy około sześciu kilometrów. Zanim się ściemniło, rozwinęliśmy duży wojskowy namiot. Wnieśliśmy do niego żelazny piecyk i zrobiliśmy prycze. Przy namiocie wybudowaliśmy szałas dla koni. Po rozpaleniu piecyka w namiocie było cieplej niż w mieszkaniu. Po kolacji powłaziliśmy do reniferowych śpiworów i zapadliśmy w upragniony sen.

Nazajutrz zaczęliśmy ścinać sosny i świerki. Wybieraliśmy najwyższe, najprostsze i najgrubsze. Po usunięciu gałęzi pilowaliśmy je na sześciometrowe kawałki i zwoziliśmy na brzeg rzeki. Robota była pod wieloma względami lepsza niż w Turze. Las mieliśmy na miejscu, odpadały długie marsze do pracy i z pracy. W namiocie w każdej chwili mogliśmy się zagrzać i wypić gorącą herbatę. Najgorsze było wstawanie, bo z rana temperatura w namiocie była taka sama jak na dworze. Na każdy dzień wyznaczaliśmy dyżurnego, który po kolacji przynosił do namiotu suche kawałki drewna i brzożową korę. Przed spaniem drewno i korę wkładał do piecyka i w pobliżu zostawiał zapalki. Z rana wychodził ze śpiwora, zapalał korę i natychmiast wracał z powrotem. Po dwudziestu minutach piecyk był czerwony, a w namiocie — ciepło jak w łaźni. Wtedy dopiero dyżurny szedł do rzeki po wodę. Tam rąbał lód łomem i siekierą, bo w nocy wczorajszy otwór zamarzał. Do obowiązków dyżurnego należało też pojenie i karmienie koni oraz przygotowanie posiłków. Śniadanie składało się ze świeżych mącznych

lepioszek, zbożowej kawy lub herbaty i smażonej ryby albo gotowanego mięsa.

Wieczorami opowiadaliśmy sobie o naszych przeżyciach, o przeczytanych książkach i oglądanych filmach. W ten sposób mijały dni, tygodnie i miesiące. W namiocie raz w tygodniu robiliśmy pranie bielizny i pościeli oraz kąpiel. Pod koniec kwietnia zorientowaliśmy się, że mamy za małe zapasy żywności. Widocznie za dużo jedliśmy albo za mało dostaliśmy. Pewnego dnia zajechali do nas, podróżujący korytem rzeki, Ewenkowie. Za spirytus dali kilka kilogramów mięsa. Zapasy jednak kurczyły się i wkrótce stanęliśmy przed groźbą głodu. Trzeba było natychmiast skontaktować się z Turą. Ktoś musiał wybrać się do Zwierofermi, gdzie była radiostacja. Ponieważ nie było chętnych, musiałem wyruszyć w drogę sam.

Było to w pierwszą lub w drugą sobotę maja. Zarzuciłem na ramię karabin, za pas włożyłem długi ostry bagnet i poszedłem. Pogoda dopisywała. Mroz niewielki — około dwudziestu stopni, nie było wiatru.

Drogę korytem rzeki przeszedłem szybko, ale gdy zagłębiłem się w tajgę, zaczął padać gęsty śnieg i pogarszała się widoczność. Po godzinie brnąłem w śniegu po kolana. Był świeży i sypki, ale z każdym kilometrem odczuwałem coraz większe zmęczenie. Szedłem coraz wolniej. Wielokrotnie gubiłem zasypaną śniegiem, wąską, półtorametrową drogę. Wpadałem w śnieg po pas. Zaczął zapadać zmrok. Staralem się nie poddać lękowi, bo wówczas zablądzić jeszcze łatwiej. Bacznie wpatrywałem się w wierzchołki drzew, wśród których z trudem dostrzegałem, odpowiadające szerokości drogi, długie pasmo ciemniejszego nieba, które mi wskazywało kierunek marszu.

Głucha leśna cisza i ciemność nocy, przy opadających z godziny na godzinę siłach, wzmagaly lęk. Od czasu do czasu ciszę przerywał trzask suchych gałęzi. Odruchowo zatrzymywałem się i rozglądałem wkoło. Po trzaskach rozlegał się najczęściej łopot skrzydeł spłoszonych ptaków. Ale nie zawsze musiały to być ptaki. Niedźwiedzie już czuły zbliżającą się wiosną i sen ich nie był tak twardy. Nie wykluczałem więc spotkania z jakimś wypłoszonym przez ptactwo lub zwierzynę misiem. Największe niebezpieczeństwo groziło jednak ze strony głodnych syberyjskich wilków.

Po wielogodzinnym marszu dotarłem do koryta rzeki Tunguzki. Miałem przed sobą tylko pięć kilometrów. Marzyłem o ciepłym mieszkaniu i odpoczynku. Byłem pewien, że w ciągu godziny będę w Zwierofermie, ale na ostatnie kilometry zużyłem prawie trzy godziny. W ciemności nocy zgubiłem ujeżdżoną przez

przygotowanie



Ewenków drogie. Wierzchnia skorupa śniegu załamywała się i część drogi odbyłem czołgając się. Bałem się, że zabraknie mi sił. Chciałem już strzelać, by zaalarmować mieszkańców Zwierofermi, ale w pewnej chwili usłyszałem szczenie psów. Resztkami sił powlokłem się do przodu. W kilku mieszkaniach paliło się światło. Wszedłem do najbliższego. Byłem cały ośnieżony, spocony i wymazany krwią od rąk pokaleczonych o ostrą skorupę śniegu, którymi ocierałem z twarzy pot.

Domowników zbudziło ujadanie psów. Bali się wygłodniałych wilków podkradających się do osiedla. Gospośia szybko zrobiła gorącą herbatę i podała jedzenie. Gospodarz przyniósł półlitrowy kubek napoju.

— Pij! — powiedział — to brażka, rozgrzejesz się...

Oboje nawymyślali mi za samotny nocny marsz.

— Znamy tutejsze lasy jak własną kieszeń, ale na noc w tajgę nikt samotnie się nie wybiera. Jak mogłeś wpaść na taki pomysł?! W taką pogodę może człowieka zasypać śniegiem...

W mieszkaniu gospodarzy były tylko dwa łóżka. W jednym spała dwójka dzieci, w drugim oni. Gospodyni zmieniła pościel i kazała mi położyć się na ich łożu. Małżonkowie usłali sobie na podłodze. Nie chciałem się na to zgodzić, ale nie zwracali uwagi na moje gadanie.

W niedzielę zawiadomiłem Turę o braku żywności przez kierownika Zwierofermi i postanowiłem wrócić do namiotu, choć mieszkańcy uważali, że muszę parę dni odpocząć.

Pogoda poprawiła się. Mróz był trochę silniejszy, ale nie padało. W połowie drogi opadłem z sił. Coraz częściej robiłem odpoczynki. Zbliżał się zmierzch. Ciągnął sen. Niejednokrotnie rozglądałem się za miejscem, w którym mógłbym się trochę zdrzemnąć, ale rozum ostrzegał, że zamrzniębym na zawsze. Mróz się wzmagał. Wyciąłem kij do podpierania się. Potem wyrzuciłem go, bo był za ciężki. Czulem, jak załamują się pode mną nogi. Co jakiś czas opierałem się o drzewo i kładłem się na przydnożnych jałowcach. Próbowałem się modlić. Modlitwa uspokajała mnie, ale z kolei spokój wzmagał senność. Do koryta rzeki dobrnąłem w zupełnej ciemności. Teraz już wiedziałem, że dojdę. Parę kilometrów przed namiotem zaśpiewałem "Rozszumiały się wierzby płaczące...". Pieśń odbiła się echem po tajdze. Usłyszeli ją koledzy w namiocie i wyszli na spotkanie.

Mieli przygotowaną kolację. Z wilczym apetytem zjadłem świeże *lepioszki*.

Po trzech dniach otrzymaliśmy żywność. Przywieźli ją Ewenkowie podróżujący korytem rzeki.

Do Tury wróciliśmy między 10 a 15 czerwca. Płynęliśmy na długich, dwutaśmowych tratwach. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że zdobędę też zawód flisaka. Spławianie tratw nie jest łatwym rzemiosłem. Między Zwierofermą i Turą Tunguzka przecina skaliste wzgórza i posiada wiele progów, spadzistych progów skalnych. Jednocześnie w miejscach zwężenia koryta rzeki szybkość płynących wód dochodzi do dwudziestu kilometrów na godzinę. Wystające podwodne skały groziły rozbiciem tratwy. Jeszcze groźniejsze były skały ukryte tuż pod powierzchnią wody. Rozpoznawaliśmy je po silnych wirach.

Prowadzenie tratwy w takich warunkach wymagało umiejętności, siły, opanowania nerwów i odwagi. Cechy te posiadali obaj Niemcy. Górowali nad nami przede wszystkim spokojem, chociaż nie umieli pływać. Dzięki nim dotarliśmy cało do Tury.

\*

W Turze nadal pracowałem w lesie. Byłem już zmęczony monotonością życia. Jedyną przyjemnością sprawiały listy od babci i rodziców z Polski. Od czasu do czasu urządzaliśmy towarzyskie spotkania. Chodziliśmy do Staśka i Mariana. Kilka razy gościliśmy Wanię-Kitajca, Wanię-Kryminalistę i Witka Wasilewskiego.

Przez osiemnaście miesięcy zesłania byłem tylko trzy razy w kinie. Na ogół wyświetlano w nim wyjątkową szmirę. Z przyjemnością obejrzałem, razem z Wackiem, Marianem i Staśkiem, tylko jeden film. Był to polski film Andrzeja Wajdy "Kanał".

— Co za paradoks?! — mówiliśmy sobie. — My, skazani na zagładę akowcy, oglądamy na zesłaniu film o akowcach.

Pomyślałem wtedy, że jednak w kraju nie jest tak źle. Ta komunistyczna czy socjalistyczna władza jest irna od sowieckiej. Polska, mimo zależności od



Kremla, tchnie polskością. Ale skoro tamtych uważa się za bohaterów, dlaczego nikt się w Polsce nie upomina o nas? Przecież każdy rząd powinien troszczyć się o obywateli, którzy znajdują się w innych krajach. Może Rosjanie ich oszukują? Może informują Warszawę, że przyjęliśmy nadzieckie obywatelstwo? Zachęcaliśmy się domysłami; rzeczywistość wyciąganie wniosków o sytuacji w kraju na podstawie jednego filmu mogło tylko pomieszać w głowach.

Latem 1955 roku przez kilka tygodni byłem w miejscu *zagotowki-lesa* i odwiedziłem Zwierz-Fermę. Tym razem brygadę w tym samym składzie skierowano do koszenia siana. W okolicy Tury nie było dobrej trawy, więc sprowadzano ją z brzegów Dółnej Tunguzki. Trzeba było ją skosić, wysuszyć, załadować na przygotowane do transportu tratwy i przewieźć do Tury.

Mieszkaliśmy w ułożonym z siana szałasie nad rzeką. Latem tajga nie jest groźna. W lesie mieliśmy pełno jagód, które zbieraliśmy wiadrami. Do wyboru mieliśmy maliny, czarną i czerwoną porzeczkę, wszystko w ogromnych ilościach. Słońce świeciło przez całą dobę.

W chwilach wolnych od zajęć polowaliśmy na dzikie kaczkę. Było ich bez mała tyle, co jagód, ale najwięcej mieliśmy komarów. Nie dawały spokoju przez całą dobę. Odpędzaliśmy je w ten sposób, że dookoła szałasów rozpalaliśmy niewielkie ogniska, na które kładliśmy mokrą trawę i mieliśmy zasłonę dymną przed komarami.

Po powrocie z tajgi dowiedziałem się, że Wacek był wzywany przez zastępcę naczelnika KGB, majora Chramowa i przesłuchiwany tak samo jak w czasie śledztwa przed dziesięcioma laty. Pytania dotyczyły jego działalności akowskiej. Byliśmy tym mocno zaniepokojeni. Walkowanie tej samej sprawy, gdy człowiek swoje odsiedział, stanowiło zagadkę... Po kilku tygodniach Wacka zrehabilitowano. Otrzymał sowiecki dowód osobisty i został pełnoprawnym obywatelem nadzieckim.

— Polskie obywatelstwo wymaga udokumentowania — powiedział Chramow.

Wacek nie mógł go udokumentować, bo urodził się w okolicy Grodno i za Niemnem nie posiadał rodziny. Po kilku dniach wyjechał do Turochańska.

Później zrehabilitowano Witka Wasilewskiego. Witek był zagadkową postacią, ni to Polak, ni Litwin... Nigdy nie mówił, za co go skazano. Prawdopodobnie trafił do łagrów za służbę na rzecz okupanta. W Olsztynie miał rodzinę i dzięki niej wyjechał do Polski.

Zostałem sam w pokoju. Z rehabilitacją Wacka wiązałem własne nadzieje, ale prokurator Bałtyckiego Okręgu Wojennego nie odpowiadał na skargę. Doszedłem do wniosku, że nie mam szczęścia: Władek i wielu innych kolegów wyjechali do kraju w roku 1948, teraz uniewinnili Wacka i Witka...

\*

Od pierwszego września zapisałem się do wieczorowej szkoły dla młodzieży pracującej. Zostałem przyjęty do ósmej klasy. Nie miałem trudności z nauką. Po kilku tygodniach ja, jedyny zesłaniec w całej szkole, byłem najlepszym uczniem w klasie. Pozostali uczniowie rekrutowali się spośród urzędników państwowych, którym kazano uzupełnić wymagane wykształcenie.

W szkole byłem traktowany na równi z wolnymi, a nawet z pewną sympatią. Kiedyś wychowawczyni wpisała do dziennika jednemu z komsomolców dwóję za nieochodzenie lekcji. Ganiąc go powiedziała, że mogłaby wybaczyć komuś takiemu jak ja, bo widzi, jak codziennie maszeruję z toporem do lasu.

— Ten człowiek ciężko pracuje. Wychodzi do pracy kiedy jest ciemno i po ciemku wraca. On ma prawo być zmęczony. Wy siedzicie za biurkiem i mówicie, że nie macie czasu...

Od tej pory nie nudziłem się. Wieczory spędzałem nad książkami.

Wiedziałem, że rodzice starają się, bym mógł wyjechać do Polski.

Strasznie tęskniłem za nimi. Nadzieja i poczucie beznadziejności wracające zmiennymi falami, okrutnie mnie męczyły.

\*

Ciekawą postacią Tury był Wania-Kryminalista. W latach dziecięcych kilka razy karany był poprawczakiem. Dziesięć lat odsiedział w łagrach za złodziejstwo. Należał do złodziei *zakonnych*, których obowiązywały określone zasady. Nigdy nie okradali ludzi należących do świata pracy. Oczyszczali natomiast dokładnie mieszkania i kieszenie "czerwonej burżuazji". Obrabiali także bez skrupułów kasy sklepów, restauracje oraz instytucje państwowe i

Dolnej

rehabilitowano

spółdzielcze. Każdy złodziej *zakorny* po udanej kradzieży musiał podzielić się łupem z kolegami. Gromadzenie kapitału pochodzącego z kradzieży było zakazane. Jeśli po podziale łupu pozostawały nadwyżki ponad bieżące potrzeby, oddawano je ludziom biednym. Złodzieje *zakorni* nie odkładali pieniędzy na jutro i pojutrze. To, co zdobyli dzisiaj, wydawali tego samego dnia albo rozdawali. Potem zabierali się do nowych skoków.

Kiedyś widziałem, jak Wania w sklepie z artykułami przemysłowymi wyciągnął portfel z kieszeni kapitana KGB. On także wiedział, że zauważyłem tę kradzież. Wieczorem przyszedł do mnie z krążkiem kiełbasy i butelką wódki.

— Zarobiłem, Giena — tak mnie nazywał — 500 rubli. Musimy to opić. Trzeba obrabiać tych bydlaków. Tyle ludzi przez nich cierpi. Widziałeś, jak to robiłem? Brzytwą poszerzyłem kieszeń i portfel sam wylazł...

Za naruszenie złodziejskich zasad złodziejom *zakornym* groziła śmierć. Sędziami i wykonawcami byli koledzy. Mówiono, że taki złodziej *zszczył się*, czyli upodlił się jak suka. Świat złodziejski w Związku Radzieckim dzielił się na złodziei *zakornych* i na *suki*. Trwała między nimi nieustająca wojna. Z *sukami* współpracowała milicja i funkcjonariusze KGB.

W Turze złodziei zaliczanych do *suk* nie było, a złodziei *zakornych* mieliśmy około dziesięciu. W stosunku do mnie i Wacka byli sympatyczni, kulturalni i uczynni.

\*

18 grudnia jak zawsze poszedłem po pracy do szkoły. W połowie pierwszej lekcji poczułem lekkie stuknięcie w plecy. Stał za mną Siergowancew.

ch

— Gienny <sup>ch</sup>Michajłowicz — szepnął — proszę was, byście w czasie przerwy zostali w klasie. Mam dla was ważną wiadomość. Przez całą lekcję myślałem tylko o tym, czego może ode mnie chcieć mój "anioł stróż", oficer służby bezpieczeństwa, do którego dwa razy w miesiącu chodziłem się meldować. On także uczył się z nami. Po dzwonce uczniowie wyszli na korytarz, gdzie można było palić. Siergowancew oznajmił mi, że jutro mam nie iść do pracy.

— Rano przyjdziecie do mojego biura. Dzisiaj z Moskwy przyszła do nas poczta. Piszą, że z racji polskiego obywatelstwa możecie wyjechać do Polski... Uznano was za niewinnego.

Oszlupiałem z wrażenia. Myślałem, że śnię.

Siergowancew potrząsnął moim ramieniem.

— Towarzyszu Sobolewski, powiedziałem prawdę. Teraz wiemy, że cierpieliście za nic. Władze nasze masowo rozpatrują sprawy skazanych. Niewinnych są tysiące.

Zamiast pójść do domu, przesiedziałem w szkole do ostatniej lekcji. Przez całą noc nie spałem. Nie mogłem uwierzyć, że za kilka godzin będę wolny i wkrótce zobaczę się z rodzicami. Bałem się też potwornie, że możliwość wyjazdu do Polski znów okaże się fikcją.

Przed dziewiątą byłem u Siergowancewa i razem poszliśmy do pułkownika Czuprasowa. Przyjął mnie wyjątkowo uprzejmie. Uścisnął mi rękę i w imieniu rządu pogratulował uniewinnienia oraz przeprosił za wyrządzone krzywdy.

Jest mi z tego powodu niezmiernie przykro, ale wiecie, że winnych ukarano. Sądzę, że nie macie do mnie żalu. Od tej chwili jesteście wolni, macie takie same prawa jak ja.

Sekretarka przyniosła herbatę, a Siergowancew wrócił do swego pokoju.

— Jestem zobowiązany poinformować was — kontynuował Czuprasow — że nasze władze uznają was za obywatela polskiego i w związku z tym nie stawiamy żadnych przeszkód w sprawie waszego wyjazdu do Polski. Ale możecie też zostać u nas. W każdej chwili jesteśmy gotowi przyznać wam radzieckie obywatelstwo. Możecie zostać w Turze lub wyjechać. Do wyboru macie cały kraj. Trzeba tylko spełnić jeden warunek — złożyć pisemne oświadczenie na okoliczność zrzeczenia się polskiego obywatelstwa. Decyzję musicie podjąć w tej chwili.

— Co byście zrobili na moim miejscu? — spytałem — Jaka byłaby wasza odpowiedź na tyle lat niewoli w obcym kraju?

— Wróciłbym do swoich — odparł.

Po chwili zatelefonował do mojego dyrektora.

14 7/4 8

— Macie zaraz wypłacić Sobolewskiemu wszystkie należności za pracę i rozwiązać z nim umowę.

— Dzisiaj uporządkujcie swoje sprawy — zwrócił się do mnie — i przygotujcie się do odjazdu. Samolot odlatuje jutro o jedenastej przed południem.



Od szefa bezpieki poszedłem prosto do dyrektora Michalkina. Był wystraszony.

— Co się stało? Czego oni od was chcą?

Uspokoił się, kiedy mu opowiedziałem o wszystkim i pogratulował mi uniewinnienia.

Otrzymałem wypłatę, a także sumę potrąconą z wypłaty z tytułu zaciągniętej przez państwo pożyczki. W sumie — ponad tysiąc rubli.

Wieczorem pożegnałem się ze Staśkiem, Marianem i sąsiadami. Domowe graty rozdałem sąsiadom. Było już późno, gdy do drzwi zapukał Michalkin. Przyniósł butelkę wódki i krążek kiełbasy.

— Rosjanie — powiedział — wiatają chlebem i solą, a żegnają butelką. Prosił, żebym z Polski do niego napisał.

— Tylko jeden list! Choć wiedzieć, że naprawdę dojechaliście, bo u nas często mówią jedno, a robią coś innego.

Michalkin był dobrym człowiekiem. Często mówił mi, że dla niego wszyscy ludzie są jednakowi.

— To oni dzielą nas na zesłańców i wolnych. Mnie nie interesują te podziały. Odróżniam tylko uczciwych i dobrych od zwykłej *swoločy*.

Na Święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc zawsze miałem od Michalkina dni wolne od pracy.

— Skoro macie święto to trzeba świętować — mówił ~~X~~ i życzył mi przyjemnych świąt.

O dziesiątej rano następnego dnia byłem na lotnisku. Po chwili zjawił się Siergowancew i okazało się, że do Krasnojarska polecimy razem. Twierdził, że ma tam do załatwienia pilną sprawę służbową. Domyśliłem się, że to ja byłem tą pilną sprawą.

Czuprasow nie wydał mi żadnych dokumentów — nawet zaświadczenia, z którego wynikałoby, że zostałem uniewinniony i że jadę do Polski. Miałem ze sobą tylko świadectwo szkolne z ocenami za pierwsze półrocze z ósmej klasy i tak zwaną książkę pracy, którą wydał mi Michalkin. Osobiście wpisał do niej dwie pochwały — za bardzo dobrą pracę i dwa pomysły racjonalizatorskie, chociaż żadnych pomysłów nie składałem. Widocznie uważał, że może mi się to przydać w Polsce. Wiedziałem, że przekroczenie granicy z takimi dokumentami jest niemożliwe. Nikt nie odważyłby się nawet wyruszyć z nimi w podróż po kraju, gdzie w każdej chwili mógł zostać zatrzymany przez milicję. Dlatego właśnie Czuprasow powierzył Siergowancewowi rolę strażnika.

W Turochańsku, gdzie byliśmy po trzech godzinach lotu mieliśmy ponad siedmiogodzinną przerwę — samolot do Krasnojarska odlatywał dopiero o północy.

Powiedziałem Siergowancewowi, że choć odwiedzić Wacka. Zgodził się, ale oznajmił mi, że pójdzie ze mną. Wacek ucieszył się, że jadę do Polski. Kiedy wypiliśmy sznapsa na pożegnanie skarżył się, że zrobili z niego obywatela radzieckiego i stracił prawo wyjazdu do kraju. Prosił, bym pomógł mu udokumentować ~~W~~ polskie obywatelstwo. Dałem słowo, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Dotrzymałem słowa i Wacek w 1957 roku przyjechał do Gdańska.

### ~~K~~ POWROT DO KRAJU

Na krasnojarskim lotnisku wylądowaliśmy 21 grudnia przed czwartą rano.

Siergowancew zaproponował, byśmy pojechali do jego siostry, która miała w Krasnojarsku nieduże, obwieszone ikonami, mieszkanie. Była właśnie sama, mąż wyjechał na delegację. Ucieszyła się z odwiedzin. Po śniadaniu, zaproponowała żebyśmy się położyli i odpoczęli. Ale gdy dowiedziała się, że o ósmej musimy być w KGB, zaczęła krzątać się po kuchni. Uzupełniła stół zakąskami i postawiła butelkę wódki. Kiedy powiedziałem jej, że jestem Polakiem, że byłem w łagrach i na zesłaniu, wybuchnęła pod adresem brata:

— Mój Boże! Ile to ludzi cierpi niewinnie! A ty dalej siedzisz na tej wstrętnej posadzce. Ile razy mówiłam ci, żebyś rzucił tę pracę. Wiem, że przykro ci tego słuchać. Żaden z was nie lubi prawdy. Mój brat — wyjaśniła mi — jest dobrym człowiekiem. Nie wiem, dlaczego wlaź w to bagno.

Siergowancew usiłował tłumaczyć, że po usunięciu Berii zachodzą duże zmiany, że władze starannie rozpatrują wszystkie sprawy i zwalniają niewinnych.

Po śniadaniu pojechaliśmy do KGB, gdzie przyjęli nas dwaj oficerowie:



jeden zaopiekował się Siergowancewem, drugi zaprowadził mnie do zastępcy naczelnika. Czekał na mnie w gabinecie, był w randze pułkownika. Potraktował mnie bardzo uprzejmie. Podobnie jak Czuprasow, przeprosił za krzywdy.

— Wiem, coście przeżyli i wycierpieli — powiedział. — Wy wiecie więcej... Za kilka dni będziecie w kraju. Spotkacie się z rodziną, bliskimi, przyjaciółmi... Będą was pytać i wy, co zupełnie naturalne, będziecie im opowiadać... Macie do tego pełne prawo. Nie mogę i nie chcę tego prawa ograniczać, ale mam jedną prośbę: mówcie prawdę. Opowiadając o cierpieniach i krzywdach, pamiętajcie o ludziach, którzy wam pomagali. Nie zapominajcie o zmianach, jakie u nas zachodzą.

Gdy skończył, poprosiłem o akt uniewinnienia.

— Wszyscy mówicie o uniewinnieniu, a ja na tę okoliczność nie mam żadnego dokumentu — odparł pułkownik. — Ale na dworcu w Krasnojarsku stoi już pociąg specjalny, którym pojedziecie do Polski. Zwozimy do niego Polaków rozsianych po całym Krasnojarskim Kraju. Przedstawiciele naszego resortu pojedą z wami, żeby przekazać was władzom polskim. Oni posiadają wasze dokumenty. Wyobrażacie sobie chyba, co by było, gdyby ktoś z was zagubił dokumenty po drodze?...

Przed budynkiem czekał już na nas służbowy samochód z kierowcą. Koło samochodu kręcił się Siergowancew. Gdy wsiedliśmy, wręczył mi trzysta rubli "na drobne wydatki".

Na peronie był duży ruch i wszędzie słyszało się polski język. W towarzystwie pułkownika i Siergowancewa wszedłem do wagonu służbowego. Przywitał nas inny pułkownik, otoczony oficerami. Zastępca naczelnika krasnojarskiego KGB przekazał mu tekturową teczkę, a on powiedział, że mam szczęście, iż zdążyłem na pociąg, który niebawem odjedzie. Zdziwił się, że mój cały bagaż stanowią zapasowe spochie i "Matka" Gorkiego.

— Chyba krótko byliście w Turze i nie zdążyliście się dorobić... — powiedział. Inni Polacy mieli spore bagaże.

Na pożegnanie pułkownik z krasnojarskiego KGB i Siergowancew życzyli mi przyjemnej podróży i pomyślności. Trafiłem do przedziału, w którym siedziały dwie panie i mężczyzna. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że jestem oto w normalnym pociągu, którym dojadę do Polski, że nie jestem więźniem. Panie zapytały, czy nie jestem głodny i zaproponowały, żebym skorzystał z darmowego obiadu, który można dostać na dworcu.

Stanąłem na końcu niedużej kolejki i rozglądałem się po peronie, gdy nagle ujrzałem znajomą postać: księdza Janochę! Uściskaliśmy się z radością. Nie widziałem go prawie sześć lat. Ksiądz zaofiarował mi miejsce w swoim wagonie.

Podczas drogi opowiadaliśmy sobie o wszystkim, co przeżyliśmy. Ojciec Albin był ostatnio na zesłaniu w Tasiejewskim Rejonie Krasnojarskiego Kraju. W przedziale jechał z nami także pewien leśniczy i lekarz, który był niezwykle wesołym człowiekiem. Na każdej stacji wysyłał mnie do bufetu po napoje chłodzące i coś mocniejszego. Wciąż też kusił do picia księdza.

Na jakiejś stacji w górach Uralu spotkałem Heńka Tomkiewicza, którego nie widziałem od 1948 roku i innych znajomych z Bałchasza. Wspólnie święciliśmy w pociągu ostatnią na obcej ziemi Wigilię Świąt Bożego Narodzenia. Przypominaliśmy Wigilię z Bałchasza, kiedy ksiądz życzył wszystkim powrotu do kraju, a wtedy nie wierzyliśmy, że to kiedyś nastąpi. Do mnie wróciły z nieprawdopodobną siłą wspomnienia z Wielkiego Piątku 1949 roku. Byliśmy wtedy bardzo wyголоśdzeni, a Ojciec Albin oddał mi swoją porcję chleba. Nie chciałem jej przyjąć.

— Jeśli tego nie weźmiesz, Heńku — powiedział — oddam komuś innemu. Chcę dać tobie, bo jesteś mi najbliższy. Boli mnie żołądek i dzisiaj postanowiłem nie jeść.

Wiedziałem, że nie cienił na żołądek, ale chciał złożyć Chrystusowi Wielkopiątkową ofiarę... *43 u 9*

Od Uralu do Lwowa dzieliło nas tylko kilka dni jazdy. Był późny wieczór, kiedy dotarliśmy do miasta. Zapowiedziano, że pociąg będzie stał dwie godziny. Było już jednak za późno na zwiedzanie Lwowa. Doktor zaprowadził nas do dworcowej reatauracji, gdzie zjedliśmy dobrze zakrapianą kolację. Zaczęliśmy śpiewać przy stoliku "Kamień na kamieniu...", a potem inne piosenki — legionowe i partyzanckie. Na dworcu było pełno milicji i funkcjonariuszy KGB, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Pociąg ruszył po północy. W Żurawicy powitał nas *5* pełnomocnik polskiego rządu do spraw repatriacji.

— W kraju na was czekają. Ojczyzna wita was z otwartymi ramionami. Dodał też, że rząd udziela repatriantom dużej pomocy i są oni ludźmi uprzywilejowanymi.

Gdy zbliżaliśmy się do granicy, żołnierze ze służby granicznej pozamykali wszystkie drzwi i ustawili się na stopniach wagonów. Pociąg jechał bardzo wolno. Po kilku minutach ujrzelśmy słupy graniczne. Wjeżdżaliśmy na ziemię niczyją. W całym pociągu zapanowała grobowa cisza. Wiedzieliśmy, że za chwilę żołnierze z czerwonymi gwiazdami znikną nam z oczu. Przez dwanaście lat mieliśmy ich na co dzień. W każdej chwili gotowi byli oddać do nas strzały z karabinów, cały czas grozili ostrzami bagnatów. Mieliśmy ich dosyć, tak jak dosyć mieliśmy tego kraju, w którym przez tyle lat byliśmy więźniami i gdzie tylu rodaków straciło życie.

Na środku ziemi niczyjej pociąg się zatrzymał i żołnierze opuścili wagony. Granicę przekroczyliśmy bez kontroli celnej. Oficerowie straży granicznej byli nienaganni, pytali tylko o sowieckie pieniądze i dokumenty.

Żołnierze polscy, jacy pojawili się zaraz po odejściu Rosjan, witali nas z radością w oczach. Zanim pociąg ruszył w stronę Medyki do naszego wagonu wszedł kapitan z podoficerem. Obaj pięknie zasalutowali i przywitali się, a my zaśpiewaliśmy "Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...". Staliśmy na baczność, po wszystkich twarzach płynęły łzy.

Kiedy wjechaliśmy na polską ziemię i zobaczyliśmy polskie flagi, polskie napisy, usłyszeliśmy polską mowę, przeżyliśmy szczęście, jakiego nikt nie może sobie nawet wyobrazić.

Nazywano nas repatriantami, ale nikt z nas nie poczuwał się do tego. Przecież nie wyemigrowaliśmy z kraju. Zostaliśmy skazani na powolne umieranie na obcej ziemi. Uratował nas cud. Najwłaściwszym określeniem byłoby więc słowo "zmarłychwstańcy".

W Przemyślu część z nas, między innymi naszą piątkę, przewieziono do tamtejszego punktu repatriacyjnego. Pozostali pojechali tym samym pociągiem do Giżycka.

Na peronie w Przemyślu zauważyłem polskiego oficera. Nie mogłem powstrzymać się przed chęcią rozmowy z nim i zagadnąłem go o godzinę, zwracając się z przyzwyczajenia per "towarzysz".

— Pan chyba przyjechał stamtąd? Proszę się nie gniewać za uwagę, ale radzę panu nie używać tego zwrotu. W Polsce ludzie tego nie lubią, używają go tylko partyjni.

W punkcie repatriacyjnym byłem tylko dwa dni. Lekarz z komisji lekarskiej proponował mi sanatorium, ale spieszyłem się do rodziców. Otrzymałem tysiąc złotych zapomogi, bezpłatny bilet kolejowy i ruszyłem w drogę trzydziestego grudnia wieczorem — przez Włocław. W porze obiadowej następnego dnia dojechałem do Góry Śląskiej...

W oknach mieszkań zobaczyłem pięknie wystrojone choinki. Na zesłaniu mieliśmy z Wackiem choinkę, ale kto by się odważył ozdobić ją szopką, aniołkami i śpiewać przy niej kolędy? Ludzie bali się sąsiadów...

Wystarczyło pobyc w kraju parę dni, żeby dostrzec, że podporządkowana Moskwie Polska zmieniła się tylko zewnątrz. Mówiło mi o tym zachowanie kapitana i podoficera straży granicznej, także oficera na peronie w Przemyślu i gałązka choinki z Matką Boską Częstochowską ozdobiona kolorowymi lampkami w autobusie, którym jechałem na punkt repatriacyjny. Kierowca umocował gałązkę na przednim oknie. W Związku Radzieckim kierowca z Matką Boską nie przejechałby nawet jednego kilometra i przy okazji zarobiłby minimum dziesięć lat łagru.

Także pierwsze spostrzeżenia w Górze Śląskiej cieszyły serce. Na ulicy Osadniczej serce biło mi coraz mocniej. Stałem przy bramce przed willowym budynkiem. Jeszcze dwa tygodnie temu byłem w Turze i nie przychodziło mi na myśl, że w ostatni dzień starego roku będę razem z nimi... Co teraz robią? Może myślami przenoszą się do Tury?... Pchnąłem bramkę. Na ganku ukazała się starsza kobieta. Czyżby mama? Nie, to nie ona. Przywitałem się i zapytałem o Sobolewskich. Kobieta przez chwilę przyglądała mi się.

— Pan chyba z Rosji? Czyżby był pan synem?

Kiedy przytaknąłem, zawołała:

— Ależ to będzie radość!... Rodziców na razie nie ma w domu, ale proszę do mnie.

Starsza pani była lokatorką rodziców. W Katyniu straciła męża. Zaraz przyniosła herbatę i świąteczne ciasto.

— Pan wrócił po tylu latach! Mój mąż został tam na zawsze.



Rozmawialiśmy, a ona co chwilę zaglądała do okna. Wreszcie zobaczyła wchodzącą do domu mamę.

— Co mam jej powiedzieć? Ma słabe serce. Powiem, że czeka u mnie pewien pan.

Zaskrzypiały drzwi. Czekalem na upragnione spotkanie w ogromnym napięciu.

Kiedyś czytałem życiorysy skazanych na Sybir powstańców. Znałem także życiorys Piłsudskiego. Siedział w carskich więzieniach i był skazany na pięć lat zsyłki. Wtedy nie mieściło mi się w głowie, że ludzie mogli tak długo cierpieć. Do głębi przeżywałem ich rozłąkę z krajem i najbliższymi. Pamiętam zamieszczony w przedwojennym czasopiśmie "Wiarus" "List z Syberii": "...piszę do Ciebie ten list. Czy go czytać będziesz, nie wiem. Czy dojdzie? — nie wiem. Chciałbym spytać, jak to się u nas wróży kwiatka płatków zwaniem, ale kwiatki umarły pod śniegu posłaniem i o losie tej kartki żaden mi nie powie. Jaki to żal — żal okropny..."

Moje listy z tej samej, budzącej strach ziemi, nie były tak poetyckie, lecz tak samo pełne tęsknoty i wyniesionej z domu miłości. "Kochana Mamusiu! — pisałem w jednym z nich — Tyś nas nauczyła kochać to, co szlachetne i nienawidzić, co złe. Nauczyłaś nas miłości do narodu i Ojczyzny. Będziemy nią syci na całe życie. Imię Matki — Polski, najdroższe imię każdego Polaka, zawsze niosłaś wysoko. Za to ci, Kochana, dziękuję i tutaj — na Syberii i proszę Boga, by dał Polsce takich matek więcej. Moi kochani! Czy pamiętacie, jak w dniu imienin Mamusi budził nas z rana Tato? Czy pamiętacie, jak biegliśmy na łąki po bukiety kwiatów, a potem spotykaliśmy się z wdzięcznym, łaskawym, ciepłym, pełnym dobroci uśmiechem Kochanej... Tylko Ona umiała się tak uśmiechać. Przyjmij, Mamo, ode mnie te parę kwiatków. Kładę je do koperty. Uschną, zanim ten list do Ciebie dojdzie, ale moja miłość do Ciebie zawsze będzie trwać..."

Za chwilę miałem Ją zobaczyć. Jak Ona wygląda? Jakie będzie nasze spotkanie?

— Pani Mario! — usłyszałem głos lokatorki — Proszę wstąpić do mnie. Przyjechał ktoś do pani.

— Zaraz idę — poznałem Jej głos...

Po paru minutach ujrzałem Ją przed sobą. Powstałem z krzesła i ucałowałem wyciągniętą dłoń.

— Jestem Sobolewska.

Coś ścisnęło mi serce.

— Pani nie poznaje? — szepnęła lokatorka.

Mama przyjrzała mi się dokładniej. Spodziewałem się, że zaraz padnie słowo "tak".

— Nie — odparła.

Miałem już pełne oczy łez

— Mamusiu! Mama mnie nie poznaje? To ja — Heniek...

— Heniek? — powtórzyła z niedowierzaniem — Mój syn?...

I nagle zachwiała się. Podtrzymałem Ją, by nie upadła i ułożyłem na tapczanie.

Po chwili doszła do siebie. Z kochanych oczu płynęły łzy. Usiadła i wyciągnęła ręce do powitania. Przytuliła do siebie, ucałowała raz, drugi i dziesiąty.

— Jak mogłam cię nie poznać? ... O Boże! Tyle lat prosiłam... Dziękuję, żeś mnie wysłuchał...

To prawda, że mogłem oszczędzić jej ogromnego wstrząsu wysyłając z Rosji list lub telegram, ale woląłem nie pisać, bo zawsze było ryzyko. Bałem się, że tylko ją rozczaruję. "U nas — mówił Michalkin — nigdy nic nie wiadomo. Mogli człowieka zawrócić nawet z granicy. Słyszałem o wielu takich przypadkach" ))

W końcu zjawił się ojciec. Podobnie jak mama przedstawił się nazwiskiem. Gdy dowiedział się kim jestem, zapłakał z radości.

— Marysiu! — zwrócił się do mamy — Teraz czuję, że wojna się skończyła.

48  
1950

\*

Minęło od tamtej chwili wiele lat. W 1957 roku wyjechałem do Gdańska. Tutaj się ożeniłem i tutaj Bóg dał nam dwóch synów i wnuków.

Często wracam pamięcią do czasów okupacji, łagnów i zesłania.



Wspominam biednych, ale bardzo dobrych ludzi, dzięki którym przeżyłem najtrudniejsze chwile.

Kilka lat temu, wracając pamięcią do tamtych czasów, napisałem wiersz pt. "Nad morzem".

Patrzę na twe, morze, fale  
i myślę...  
W świecie tyle różnych fal,  
które prują przestrzeń, dale  
I silniejsze są niż stal.

Fale wiatrów, fale mrozów,  
Fale ciepła, fale wód...  
Fale wspomnień z ich obozów,  
Co zimniejsze są niż lód —

Które w żyłach krew mi mrożą,  
Przerywają błogi sen,  
Włosy jeżą, serce trwożą...  
Z których powstał wierszyk ten.

Oto jedna z nich się wzdyma,  
Rośnie, piętrzy, śmiernią grzmi...  
Wnet poznaję — to Kołyma,  
Bo śmierć niosąc, złotem lśni.

Za nią druga pędzi cwałem,  
Czarna, jakby węglem skuta,  
Toczy się olbrzymim wałem...  
Też poznaję — to Workuta.

Pędzą trzecia, czwarta, piąta,  
Najeżone bagnietami,  
Szósta, siódma i dziesiąta...  
Straszą, dzwonią kajdanami.

I te również są znajome —  
Te ze stepów Kazachstanu.  
Ta — z Bałchasz. Tak — to one,  
A ta obok — z Dżezkazganu.

Tam przeżyłem lata długie,  
Lata męk, niewoli, głodu...  
Ogłoszony wobec świata  
Jako podły wróg narodu.

Widzę trupy, słyszę strzały,  
Jęki rannych, krzyk, hałasy...  
Krwia zbryzgany obóz cały  
W fali prącej z Olżerasu.

Pędzi fal tych coraz więcej:  
Z Oriska, Spasska, Kaunnada...  
Całe setki i tysiące —  
Nie ma końca ich parada.

Nieraz słyszę gdzieś z daleka  
Jakiś głos z tych fal przyboju:  
Ludzie, bróńcie praw człowieka,  
Jeśli chcecie żyć w pokoju.

Przez lagry i zsyłkę przeszły setki tysięcy Polaków. Gdyby każdy z nich napisał własne wspomnienia, świat doznałby wstrząsu większego niż kiedykolwiek w swej historii.

# Spis treści treści

<del>Wstęp</del>	3
I. Wresień 1939 na Wileńszczyźnie	4
II. Okupacja sowiecka	6
III. Rządły Śmietanowskiej Litwy	8
IV. Rok władzy radzieckiej	12
V. Atak Hitlera na ZSRR	14
VI. Okupacja niemiecka	21
VII. Pierwszi partyzanci	25
VIII. Zbrodnia katyńska	26
IX. Partyzantka polska	27
X. Pierwsze aresztowania	47
XI. Kuliszki	58
XII. W nieznane	63
XIII. Pięresytka i pierwszy obóz	64
XIV. Obóz przy kopalni kopalni wapiennej numer 3	71
XV. Obawy w Braniewie i Spassku	83
XVI. Obieros	95
XVII. Ostatni obóz	100
XVIII. Droga na zastanie	107
XIX. Na zastaniu	111
XX. Powrót do kraju	123

~~Podpis 1. Wykaz nazw aresztowanych~~  
~~Podpis 2. Wykaz osób, z którymi autor zetknął się w okresie obywatela~~  
 wspomnianych

Wesołiki  
 na koniu

Uwaga: Wykaz po tekście  
 w aneksie A mapa ze wskazówkami (wskazy)

- 1) Strona tyt.
- 2) Strona tyt.
- 3) Tekst
- 4) Zdjęcia + podpis
- 5) Wykaz nazwisk
- 6) Wykaz nazw osób
- 7) Mapa (nie jest)
- 8) Wykaz stron

II/1937

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W ciągu ostatnich dwu lat ukazało się już co najmniej

kilkanaście książek o tematyce łagrowej. Stan naszej wiedzy i świadomości jest nieporównywalny nawet z początkiem lat 80-tych. Jeszcze 15 lat temu słowo "Gulag" było czymś obcym ~~które~~ przygniatająca większość Polaków nie umiała zlokalizować na mapie takich miejsc jak Kołyma czy Workuta; nie mówiąc o takim np. Norylsku bo ta nazwa nie była prawie znana.

Dzisiaj oczekujemy czegoś więcej. Już "nie" podstawowego zrębu faktów", ale summy wiedzy, syntezy, pogłębionej analizy. Nie też nie zastąpi świadectwa pojedynczego <sup>ludzkiego</sup> losu. Drobne wydarzenia, zapisany strzęp rozmowy czy utrwalona w ludzkiej pamięci wrażenie chwili potrafią nam powiedzieć czasem więcej i "głębiej" o tym, co może być zmuszony przeżyć człowiek. Wspomnienia Henryka Sobolewskiego mają tę zaletę. Autor potrafił przekazać czytelnikowi niezliczoną ilość drobnych zdarzeń i opisów ludzkich losów, które wprowadzają nas w klimat tamtego, "łagrowego" Doświadczenia. Pamiętnik Sobolewskiego ma i inne zalety - daje szeroką panoramę obozowego losu Polaków w Związku <sup>Radzieckim</sup>. Autorowi dane było przeżyć prawie wszystko - obóz na Północy, obóz w Kazachstanie, zesłanie na Syberii. A do tego dochodzą

Tekst nieaktualny (Wstęp do Sobolewskiego)



wcześniejsze wątki - życie codzienne po 1939 roku, rządy radzieckie i litewskie, partyzantka, śledztwo, "etapy".

Sobolewski padziwia swoją pamięcią. Wszak pisze swój pamiętnik po latach. A jednak każdy szczegół jest prawdziwy, co wydawcy sprawdzili konfrontując tekst z wspomnieniami innych byłych więźniów obozów radzieckich.

Pamiętnik Henryka Sobolewskiego nie jest pisany przez ~~historika~~ historyka, nie jest pisany dla historyków. I nie ma takich ambicji. Nie jest to żadna wada. W końcu, w perspektywie tego, co musiał przeżyć i o czym pisze organizacyjne szczegóły mają charakter drugorzędny. Autor koncentruje się na tym, jak widział "to" i przeżywał więzień. Inną sprawą są ambicje autora umieszczenia swojej opowieści w kontekście ogólniejszym. Stąd pojawiają się tu obszerne passusy nazywające pewne ogólniejsze zjawiska, charakteryzujące wydarzenia itp. Oczywiście z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy historycznej są one uproszczone lub niepełne ale ich wartością jest to, że odtwarzają one stan wiedzy potocznej. A ~~dzisiejszym czytelnikowi~~ <sup>dzisiejszemu</sup> przypominają kontekst w którym dzieje się ta dwudziestowieczna podróż Polaków przez piekło.

Pamiętnik Henryka Sobolewskiego <sup>jest</sup> ~~sz~~ cennym zapisem "sybi-  
rackiego" fragmentu polskiego losu w dziejach najnowszych  
i byłoby stratą, gdyby pozostał na półce archiwalnej.

A.K.

( tylko taki podpis )

## Subclauzi

- 1) Derivă
- 2) Radici aleptu prin grupare.
- 3) via pepruiri interfeuligi (mp. simboluigi se), sporo puzunilor  
do pepruiri  
mp. s. 66 - ~~6~~ 6
- 4) Zvoni uvag na nazvy mijecevei i nazvulu (mp. s. 22 i in)
- 5) S, C, M itp.
- 6) Kiedy konig se grupis, to stauris se krepis.
- 7) Medek - Medard (dobne)



II/937

© ARCHIWUM WARSZAWY

Indeks nazwisk

- "Alfons", ps., strz. - 37  
Anders Władysław, gen. - 14, 22, 80  
Audycka Bronisława /ps. "Bronka"/ - 47  
Araszkiewicz - 9
- Bartkus - 27  
Berdowski - 70, 81  
Beria Lawrientij P. - 16, 60, 98, 100, 102-103, 123  
Berling Zygmunt, gen. - 45-46, 48, 110  
Bendin, mjr - 99  
Beynar Wacław /ps. "Orszak"/ - 31  
"Blok", ps. zob. Feliks Marynowski  
Bocheński - 98  
Bogdankiewicz - 87  
"Behun", ps., por. - 32  
Bołtroman Wacław - 110-114, 119-121, 123, 126  
Borowski Antoni - 95-96, 104  
Brandt - 115-116  
"Bronka", ps. zob. Bronisława Audycka  
"Brzoza", ps. zob. Jagoda  
"Brzózka", ps. zob. Franciszek Szurpicki  
Budionny Siemion M. - 56  
Bujko Władysław /ps. "Lotnik"/ - 24, 27-28, 48-49, 59, 63, 82, 120  
Bujkowa - 48  
Bukowska Maria - 104  
✓ "Bury", ps. zob. Rajs  
Burzyńska Halina - 35  
Burzyński Antoni /ps. "Kmicic"/, ppor. - 30-32, 34-35, 45

- Cetys Teodor, kpt. - 35, 45  
Charatonienko - 76, 81  
Chramow - 120  
Chruszczow Nikita S. - 98  
Ciulewicz Jan - 95-96  
Cyrankiewicz Józef - 81  
Czerniachowski Iwan, gen. - 45  
Czuprasow - 111, 115, 122-124
- Dobrzański Jerzy - 33  
Dokurno - 67  
Dreszcz Edward /ps. "Hrabia"/ - 31  
Dynakowska Anna - 104
- Fedorowicz Zygmunt - 48  
"Flip", ps., kapral - 36-38, 58-59  
Fróg Gracjan /ps. "Szozerbiec"/, kpt. - 40, 43, 46, 48, 52
- Gaładyk Janusz, ppłk - 10  
Gałuniatte - 9  
Giedymn, książę - 43-44  
Głantmajer Zygmunt /ps. "Zyga"/, pchor. - 28  
Gładyszew, gen. - 44  
Głowacki Bartosz - 31-32  
Gorki Maksym /właśc. Aleksiej M. Pieszko/ - 124  
Grombaczewski Czesław /ps. "Jurand"/, por. - 44  
Grzesik-Czarny Józef /ps. "Kmita"/, kpt. - 43



"Hans", ps. zob. Jan Tyryło

Hitler Adolf - 6-7, 15, 18, 22, 27-28, 34, 39, 53, 78

"Hrabia", ps. zob. Edward Dreszcz

Huszczowie - 26

Huszczówna Halina - 26

"Inka", ps. zob. Stanisława Popławska

Isakow - 77

Isakowa Ksienią Pietrowna - 76-77, 81-82

Iwanowski - 98

Jagoda /ps. "Brzoza"/, por. - 52-53

Janocha Franciszek /ojciec Albin/ - 71, 79-80, 82-83, 86-89,  
108, 124-125

✓ Jantys N. - 15

Jasiński Henryk - 52

"Jastrząb", ps., strz. - 38

Jastrzemski - 87

Jasza - 104

Juchniewicz Czesław - 95-96

Juchniewicz Stanisław - 112-113, 119, 122

"Jurand", ps. zob. Czesław Gromboczewski

Kachro Samuël Johanowicz - 75-77, 81-82

Kamiński Władysław, mjr - 16

Kislicyn Aleksander - 80-81

"Kitek", ps. - 32, 40

"Kmicic", ps. zob. Antoni Burzyński

"Kmita", ps. zob. Józef Grzesik-Czarny

Kola - 15

"Kolt", ps. - 42



- Konopacki Zbigniew - 75
- Konstanty Mikołajewicz, książę - 87
- Korozyo - 98-99
- Korczyo Władysław, gen. - 98-99
- Kórkor - 83, 90
- "Korsarz", ps. zob. Jan Lisowski
- Kosicka Wilhelmina /ps. "Wila"/ - 47
- Kościuszkowski Tadeusz - 31
- "Kotwicz", ps., mjr - 48
- Kozera Józef - 109-110
- Kozłowski Medard - 49, 63, 82
- Krochmal - 78
- Krupa Stanisław - 20
- "Krzyś", ps. - 48
- Krzyżanowska Olga - 46
- Krzyżanowski Aleksander /ps. "Wilk"/, gen. - 10, 16, 30, 35,  
43-47, 49-50, 53
- ✓ Kucharski Kazimierz /ps. "Szymon"/ - 16
- Kudykin - 54-57, 59
- Kufelt - 115-116
- Kurpis - 52-53
- Lenin Włodzimierz I. - 6-7, 22, 74, 108
- Lisowski Jan /ps. "Korsarz"/, por. - 36, 38-40, 42, 48, 57, 59
- "Lotnik", ps. zob. Władysław Bujko
- "Łupaszko", ps. zob. Zygmunt Szendzielarz
- Lygo - 69
- Machińscy - 49
- Mackiewiczówna Wilhelmina /nazw. panieńskie/ zob. Wilhelmina  
Kosicka

Makarew - 93-94, 99-100

"Maks", ps. zob. Antoni Rymsza

Malenkow Georgij M. - 98

Manachow - 35

Marian - 112, 119, 122

Markow Fiodor - 30-31, 35

Marks Karol - 6

Marynowski Feliks /ps. "Blok"/, sierż. - 28, 37, 49-50, 59

Marysia - 110

Michałkin - 108-109, 111, 122-123, 127

Mickiewicz Adam - 76

Misza - 100

Mołotow Wiaczesław M. - 11, 21

Mościcki Ignacy - 3

Mroczkowski Wincenty, /ps. "Zapora"/, kpt. - 31-32

"Mrówka", ps. zob. Witold Stabrowski

Murawjow Michaił N. - 14

"Niemen", ps. zob. Konstanty Szuszkiewicz

Noniewicz Edward - 49, 63, 83

Norwid Cyprian Kamil - 76

Nowaczek - 83, 87

Nowosilcow Nikołaj N. - 14

Oberlejtnerowa - 6

Ojciec Albin zob. Franciszek Janocha

Orłowski Paweł - 49, 63

"Orszak", ps. zob. Wacław Beyner

Ostapienko - 88



- Pawłowicz - 77
- ✓ Połczyński, plut. - 5
- Peter - 83
- ↓ Pietrzak Marek, sierż. - 3
- Piłsudski Józef Klemens - 14, 56, 126
- ✓ Pisarczyk Franciszek, ppor. - 19
- Plechavicius, gen. - 33, 40-41
- "Poker", ps. - 41
- "Ponury", ps. - 109
- Popławska Stanisława /ps. "Inka"/ - 46
- Potocki Mieczysław /ps. "Węgielny"/, mjr - 33, 36, 44
- Poznański - 68
- Putrament Jerzy - 46
- Raczewski Franciszek - 49-50
- ✓ Rajs /ps. "Bury"/, kapral - 17-18
- "Rakoczy", ps., por. - 38
- ✓ Regino, Wincenty - 19
- "Rekin", ps. - 36
- Ribbentrop Joachim von - 21
- Rokossowski Konstanty - 86-87, 98, 112
- "Ronin", ps. zob. Longin Wojciechowski
- Rymsza Antoni /ps. "Maks"/ - 35
- Rymsza, Aldona - 19
- Sawicki Bronisław - 49
- Sienkiewicz Henryk - 76, 101
- Siergowancew - 121-124
- Sierodkin - 91
- Sikorski Władysław, gen. - 7, 57, 80



- Siwicki Bronisław - 63  
Słowacki Juliusz - 76  
Smetona Antanas - 13  
"Sobol", ps. zob. Henryk Sobolewski  
Sobolew Iwan Iwanowicz - 77  
Sobolewscy - 126  
Sobolewska Maria - 127  
Sobolewski - 102  
Sobolewski Henryk /ps. "Sobol"/ - 28, 55-56, 61, 68, 122  
Sołowjow - 52  
Sosiński - 79, 82  
Stabrowski Witold /ps. "Mrówka"/ - 38  
Stahel, gen.- 44  
Stalin Józef - 13, 17-18, 20-22, 39, 57, 74, 76, 78, 80, 82, 87,  
98, 102  
~~Stankiewicz Czesław - 83~~  
Stankiewicz Czesław - 87, 90, 83  
Stiepanienko - 81  
Stołypin Piotr A. - 107  
Styczyński Jerzy - 101, 104, 114  
✓ Sulik Nikodem, ppłk - 10, 15-16  
"Sulina", ps. zob. Stefan Świechowski  
~~"Sulina", ps. zob. Stefan Świeckowski~~  
Szamrej - 87  
"Szczerbiec", ps. zob. Gracjan Fróg  
Szurpicki Franciszek /ps. "Brzózka"/ - 31  
Szuszkiewicz Konstanty /ps. "Niemen"/ - 28  
Szuszkiewicz Waldemar - 63  
"Szymon", ps. zob. Kazimierz Kucharski  
Szczęśliwiarz Zygmunt /ps. "Lupaszk"/, por. - 29, 31-32, 34-36,  
38, 48, 108

Świechowski Stefan /ps. "Sulima"/, mjr <sup>30,</sup> - 32

~~Świeckowski Stefan /ps. "Sulima"/, mjr - 30~~

Świerczyński - 52

"Świt", ps. zob. Rudolf Wyszomirski

"Tareza", ps. - 42

Tito /właśc. Josip Broz/ - 89

Tokarzewski-Karaszewicz Michał, gen. - 10

Tomkiewicz Henryk - 48, 63, 124

Tuchaczewski Michał N. - 56, 108

Tumalewicz - 75-77, 82

Turyło Jan /ps. "Hans"/ - 38, 40-41

Wajda Andrzej - 119

Wania-Kitajec - 114, 119

Wania-Kryminalista - 119, 121

Wasia - 110-111

Wasilewski Witold - 119-120

Wesołowski - 70

"Węgielny", ps. zob. Mieczysław Potocki

"Wila", ps. zob. Wilhelmina Kosicka

"Wilk", ps. zob. Aleksander Krzyżanowski

Wiśniewski - 52-53

Witkowska - 24

Własow Andrzej, gen. - 73, 86

Wojciechowski Longin /ps. "Ronin"/, por. - 32, 35-36, 39, 47, 108

Wołosnoj - 35

Woroszyłow Kliment J. - 98

Wysocki Henryk - 49

Wyszomirski Rudolf /ps. "Świt"/ - 41-42, 49



"Zapora", ps. zob. Wincenty Mroczkowski

"Zyga", ps. zob. Zygmunt ~~G~~yntmajer

"Żaba", ps. - 37

Żeliński Bronisław - 95, 104, 106



II/1937

Podpisy pod zdjęciami do księżki

ARCHIWUM WARSZAWY

H. Sobolewski. Treba je przepisać na maszynie, a potem zmontować pod zdjęciami.

---

- Fot. 1. Zdjęcie autora wykonane ~~pod~~<sup>na</sup> restauracji w Turku
- Fot. 2. Pałac Kultury w Bałchaszu, przy którym budował autor pracował razem z współpracownikami politycznymi rosyjskiej narodowości (fot. Antoni ~~Yastremski~~ Yastremski w 1956 r., po zwolnieniu z łagrow)
- Fot. 3. Grupa Polaków „zwolnionych” z bałchaskiego łagru. Z prawej strony przed wielbłądem nie idący obecnie Antoni Yastremski. Kobiety na zdjęciu to same Polki, które za przynależności do AK odsiadwały po 10 lat łagrow. Zdjęcie wykonane w stepie pod miastem. Z lewej strony widoczne są miejskie bloki Bałchassa

II/937

© ARCHIWUM Wschodnie

## Indeks nazw geograficznych

- Afryka - 76  
Akmoleńsk - 83  
Aleszczyki - 5  
Ameryka - 14, 81  
Anglia - 3-4, 7, 10, 15, 22  
Atlantyk - 15  
Azja - 83
- Bałchasz - 82-84, 86-88, 90-92, 124, 128  
Bałkański, Półwysep - 11  
Baranowicze - 110  
Batumi - 78  
Belgia - 15  
Berezwech - 18, 20  
Berlin - 4, 16  
Diałomorski Kanał - 105  
Białystok - 7  
Bibki - 29  
Bliski Wschód - 22, 80  
Bogusze - 45  
Bołosza - 36  
Borowe - 35  
Brasławszczyzna, region - 40  
Brześć - 7, 82, 101  
Bug, rzeka - 8, 42
- Cwicin - 5  
Czarna Góra - 5  
Czerany - 28, 34  
Czerwony Bór - 59

- Daleki Wschód - 73  
Dania - 15  
Dniepr, rzeka - 93  
Dolna Tunguzka, rzeka - 109, 111-112, 117, 120  
Druja - 63  
Dunilowioze - 30  
Dzisa - 20  
Dżekazgan - 84, 128  
Dźwina, rzeka - 5, 76  
Dźwińsk - 37
- Estonia - 11-12, 24, 52, 79  
Europa - 15, 27, 76, 83, 98  
Ewenkijski Okręg Narodowy - 111-112
- Finlandia - 11-12, 52-53  
Francja - 3-4, 6-7, 14-15
- Gdańsk - 6, 37, 123, 127  
Gibraltar - 15  
Giżycko - 125  
Gorki /Gorkij/ - 80  
Góra /Śląska/ - 126  
Granżyszki - 40  
Grecja - 15  
Grodno - 23, 95, 110, 112, 120  
Grodzieńszczyzna - 79, 113
- Indie - 93  
Int-Lag, okręg obozowy - 70  
Inta - 70, 82  
Iżma - 64



- Janiszki - 38
- Japonia - 67, 93
- Jarga - 72, 77
- Jazno - 20
- Jenisiej, rzeka - 109, 111
- Jugosławia - 15
  
- Kalin ~~o~~ - 46-47
- Kaluga - 45-46
- Kamienny Wóz - 5
- Karaganda - 83, 92
- Karelia, ASRR - 112
- Kereło-Fińska Republika Radziecka - 11
- Kasuta - 18-20
- Katyń - 27, 45, 101, 126
- Kaukaz - 11, 72
- Kaunrad - 84, 128
- Kazachstan - 3, 70, 83, 128
- Kemerowski Obwód /Kiemierowskaja Obłast'/ - 95
- Kieleckie - 109
- Kiemieliżki - 39, 42
- Kijów - 56, 70, 78, 102
- Klamele - 44
- Kluszczany - 38-39
- Koczeczum, rzeka - 112
- Kołym-Lag, okręg obozowy - 70
- Kołymska, Nizina - 70, 83, 128
- ←Komi, ASRR - 64, 70, 73, 78
- Kopciów - 5
- Korc - 104

- Kotlas - 64, 67  
Kowno - 8, 10-11, 13, 38  
Kozielec - 17  
Kraków - 80  
Krasnojarsk - 107-109, 112, 116, 123-124  
Krasnojarski, Kraj - 70, 124  
Krawczuny - 44, 47  
Kresy Wschodnie, prowincja - 6, 17, 25, 32, 34, 79-80  
Kreta - 15  
Krosno - 80  
Królewszczyzna - 26  
Krym - 72  
Kujbyszew - 16  
  
Leningrad - 11, 70, 78  
Lida - 95  
Litwa - 6-12, 14, 16, 26-27, 38, 41, 45, 48, 50-51, 53, 58, 61,  
69, 79, 81  
Litwa Kowieńska - 33, 40  
Londyn - 11, 61  
Luksemburg - 15  
Lwów - 64, 94, 99, 111, 125  
  
Łokelany - 39-40  
Łotwa - 11-12, 23, 39, 42, 52, 63, 79  
Luok - 75  
Łużki - 20  
Łyntupy - 25, 39  
  
Malaty - 32  
Medyka - 125



- Mejszagoła - 44
- Międzybóże - 19-20, 30-31, 34, 39
- Michaliszki - 34, 36
- Miedniki Królewskie - 45
- Miedniki - 46
- Mińsk - 22
- Mongolia - 105
- Monte Cassino - 106
- Moskwa - 5, 7-12, 15-16, 18, 21-22, 27, 32, 41, 44-46, 70-71,  
77-78, 81, 83-84, 97-99, 107-108, 114, 122, 126
- Murowana Oszmianka - 40
- Nalibocka, Puszcza - 32
- Narocz - 34
- Narocz, jezioro - 30-31
- Niemcy - 3-11, 13, 15-18, 21-22, 27, 32-33, 39, 52-53, 58, 64,  
72, 74, 78, 80-81, 86, 116
- Niemenozyn  
Niemenozyn - 36, 59
- Niemen, rzeka - 108, 120
- Niestaniszki - 26
- Norwegia - 15
- Nowa Wilejka - 4, 11, 15-16, 18, 22, 24, 28, 41, 47, 56, 58,  
62-63, 65, 71, 77, 31
- Nowogródyczna, region, -40, 79
- ✓ Nowosiółki - 44
- Olżeras - 95-98, 128
- Omsk - 86, 100-101, 103, 106-107, 123
- Osinówka - 36
- Ostaszów - 17



Paryż - 11

Peczora, rzeka - 3

Pietropawłowsk - 83

~~Podbródziany - 40~~

Podbrodzie - 4, 36-37, 41

Pchulanka - 37-38

Polska - 3, 5-11, 13-17, 21-23, 25, 27, 29, 32-34, 39, 41-43,  
46-47, 50, 55-57, 61, 63-64, 67, 74, 76-77, 80-82, 86-88, 90,  
99, 102, 107-108, 113-116, 119-127,

Ponary - 23, 50, 58

Porubanek - 11, 20

Powolże, kraina - 72, 112

Poznań - 41

Prusy Wschodnie, prowincja - 27

Przemysł - 125-126

Punzany - 28

Raduń - 48

Radziusze - 29-30, 33, 35

~~Radziuszki - 28, 35~~

Riazań - 46, 48

Rosochy - 19

Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka - 61

Równe - 104

Rudnicka, Puszcza - 34, 45

Rumunia - 7, 74

Rzym - 80

San, rzeka - 8

Satuguciewo - 35

Santoka - 41

Siecienięta - 26

Spassk - 83, 92, 94-95, 99, 128

Stalinsk - 95

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej - 81

Stara Wilejka - 18-20

Stare Święciany - 25, 53

Starobielsk - 17

Streczanka, rzeka - 29

Suchobieżwodnoje - 77, 80

Surkonty - 48

Syberia - 3, 7, 14, 16-18, 20, 45, 57, 59, 67, 70, 72, 77,  
101-102, 111, 126-127

Syrowatki - 32, 35

Szwecja - 52

~~Świder~~ - 35

Święciany - 25, 28

Świr - 30

Tasiejewski Rejon/Krasnojarski Kraj/ - 124

Tunguzka, rzeka - 118-119

Tura - 108-109, 111-113, 115-122, 124, 126

Turecja - 78

Turgiele - 40, 44, 95

Turkiestan, kraina - 80

Turochańsk - 109, 111, 120, 123

Ucht-Iżym-Lag, krąg obozowy - 64, 70, 83

Uchta - 64-65, 69-70, 72-73, 77, 81, 83-84

Ukraina - 56, 72, 112, 115-116 zob. także Zachodnia Ukraina

Ulan Bator - 105



Unz-Lag, okręg obozowy - 80

Ural - 14, 26, 73, 83, 124-125

Warszawa - 7, 10, 24, 56, 61, 87, 99, 120

Warta, rzeka - 42

Węgry - 7, 74

Wierzbakowo - 27-28, 82, 108

Wileńszczyzna - 3-5, 7-8, 12, 14, 16, 18, 24-27, 32-33, 40, 42, 47-48, 54, 60-61, 64, 79, 108, 113 - zob. także Zachodnia Wileńszczyzna

Wilnia, rzeka - 4, 28, 42, 44

Wilno - 4, 6-8, 10, 14, 18, 20-21, 23, 25-27, 30, 33, 35-38, 41, 43-45, 47-50, 52-53, 55, 58-59, 61, 63, 67, 106-107, 118

Wilno, województwo - 20, 33-34

Wisła, rzeka - 8, 42

Wiszniew - 34-36

Wiszniew, jezioro - 35

Władystok - 73

Włochy - 106

Wołga, rzeka - 111

Wołyń - 80

Workut-Lag, okręg obozowy - 70

Workata - 67, 70, 82, 128

Worziany - 28-29

Wrocław - 14, 126

Zachodnia Białoruś, prowincja - 8-9, 54, 61, 79, 106

Zachodnia Ukraina, prowincja - 8-9, 54, 61, 79

Zachodnia Wileńszczyzna, prowincja - 20

Zachód - 42, 78, 106

Знамен социалистических Республик Советских - 1, 5-6, 9, .



Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich - 3, 5-6, 9, 11-12,  
14-18, 20-22, 26-27, 31-32, 39, 46, 50, 52, 54, 57, 60-61, 67,  
70, 72, 76, 78-80, 93, 98, 101, 104-105, 107, 112-114, 116,  
121, 126-127

Zwiero-Ferma - 116-120

Żodziszki - 30

Żukojnie - 34, 38

Żurawica - 125

Autor

1/1937

~~Data wydania: 13 listopada 1926 r. w Wilnie~~

s. 45-46 Wierzbaków czy Wierzbaków? (czy 2 wersje), s. 135, 180

s. 51 w mod. PZL - dec czy pułpiś (młody)

s. 52-58, 80! Łuparsko czy Łupanka (krytyka D. Filuska)

s. 52 i nast. } maścisko Śliadziot czy Śliadziot?  
- s. 56

~~s. 46-47 Śliadziot~~ ~~Wielanicki~~ czy

s. 115 Berdakow czy Bierdjakow? } ~~rob. rec.~~

s. 102 ementarz na Rossach czy na Rossie? - ogólnie ma być drugie

~~s. 104~~ ~~bród~~ s. 14 bród

s. 138 2 kaunrad (nie znajduje na mapie) w Rep. Wassachidnyj

s. 150 bród: Torkestan (nie ma na mapie - może chodzi o Turkistan)

s. 134/135 - porównanie - 1948) czy 1949 - w bród jest tal i tal

Prośba do autora o inny tytuł. Proponuje się  
różne:

- 1) Wileński las
- 2) 2/3 nowej wilejki przez świąt Gulagu
- 3) 2 wilejskiej do Tagoru

albo jeszcze innej (a może w tytule uwidocznić, że chodzi o lasy urodzajowe partypantki Łuparski?)

~~it gdzie ich, sypan, nie ma~~

s. 42 Śięcienista - edm. Śięcieniat

s. 46 Punizany czy Punizany?

s. 81 bery wileński - czy to nie, czy określenie?

s. 152 Surodhen czy Sierodhen?







## Henryk Sabolewski

Wspomnienia H. S. kwalifikują się do druku ze względu na wspaniałe, szczegółowe i interesujące napisane opisy przyć autorstwa zarówno przed aresztowaniem (tworzenie codziennego po 39n, partyzantka, utworzenie rep. litewskiej), „współdziałaniu” partyzantki polskiej i sowieckiej itp.), jak i w obozad. Dużo informacji o współtowarzyszach z obozów i z resztańca. Dodatkową „aktacją” jest trasa jego przebiegu autorstwa: Uchta - Bałchan (Karadżent) - Spassk - Omsk - Tuwa. W związku z tym wydaje się konieczne załączenie mapy do książki.

### Uwagi szczegółowe:

- ✓ - W pierwszych rozdziałach zbyt dużo uogólnień i twierdzeń, które odbijają się wytkniętym faktycznym (p. uwagi w tekście).
- ✓ - Należy wydrukować usunięte przez redaktorów wiersze (prozę), gdyż ilustrują one „ducha” i wartości tamtych czasów i są wartościowe dla „tamtych” ludzi.
- ✓ - str. 7 - błędny cytat z Lurina
- ✓ - str. 12 - sprawdzić cytat Kholowa
- ✓ - str. 133/134 - nie wszędzie były słoty dla zarządców - trzeba chyba dać notkę lub podkreślić, że to było tylko dla Niemców - jeśli tak było.
- ✓ - str. 150 - chodzi chyba o Turkiestan?
- ✓ - str. 152/153 - sprawdzić: czy 1945 czy 1948 r.

### Uwagi dotyczące redakcji:

- wydaje się, że mechaniczne, choć poprawne gramatycznie zmiany stylu zdania i zdania zawsze są słusne, gdyż często zmieniają akcent treściowy i nie oddają specyfiki języka autora lub osób zaangażowanych w dialogów;
- czy trzeba rozwijać skróty: mjr, ptk, m (melny) itp. ? - są one powszechnie znane i zrozumiałe.

Małgorzata G. . . .

II/1937

ABCHUM HOUBNIE

Szanowna Pani!

Przesyłam Pani mapkę odniesioną z samochodowego etykietu z "str." potłok - niżej - wchodnie cz. Karchedon, na której widnieje Batschesz, Konrad i Dürckergan.

Konrad (tak odnotowane jest na mapie drogowej tego etykietu) znajduje się 12 km na północ od Batschesza.

Konrad składa się z potłoków obok siebie dwóch innych gospodarstw obywateli. Konradskij i Wostozno-Konradskij. Były tam dwie kopalnie miedzi, które przerobiono i Batscheszskij kopalni.

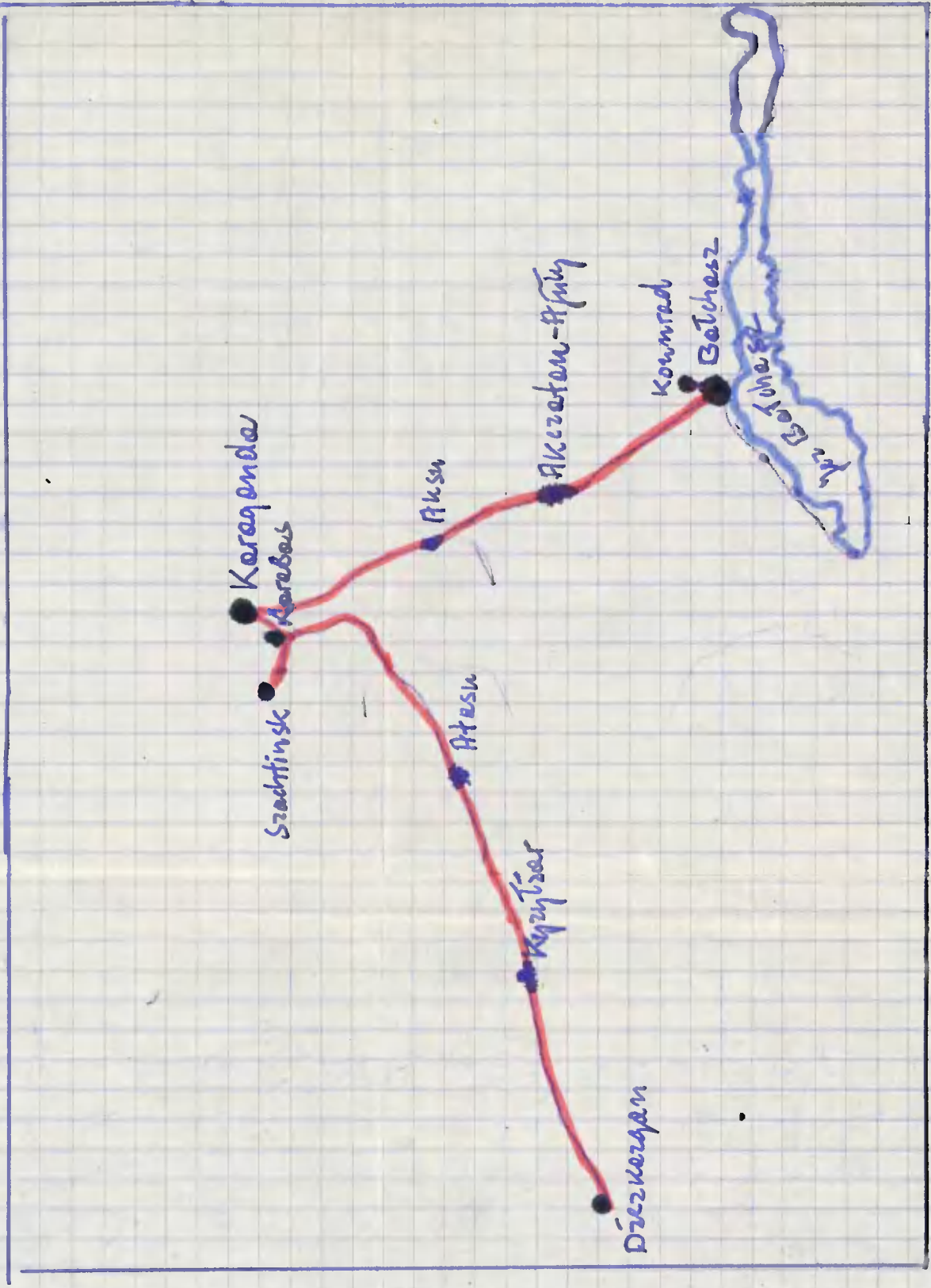
W obu otuladach były Tęgny - Odnośnie tychże księgi proponuję zamieścić z Nowej Wilejki - co rozważam o nich na otuladkach niżej. Wskazuję z Siermi Wilejskiej przez Siermi Batscheszskij.

Bzdolę celuje na dalsze szczegóły.

Z poważaniem H. Sobolewski

P.S. Duszko - na odwrocie.







II/937  
ARCHIWUM WARSZAWY ©

Szanowna i Droga Pani  
Barbaro!

Oba indeksy sprawdzitem i  
w obu dokonalem poprawek.  
Aby uniknac wadzliwosci popraw-  
ki dokonane w obu indeksach  
tzn w nazwiskach i nazwach  
geograficznych wypisalem popraw-  
ni na oddzielnych kartkach.

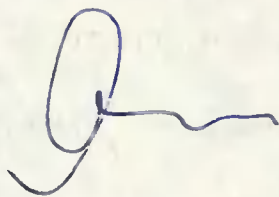
"Podbrodzie", "Radziuski" i  
Swider prosze z indeksu usunac,  
bo sa to pomylki. Powinno  
byc: Podbrozie, Radziusze i  
Swir, ktore w indeksie figuruja.

Serdecznie dziekuje, ze zyer-  
nie nowoczesne i przedrownie.  
Pani w Nowym Roku rowniez zy-

ere pomysłowości, zdrowie  
i jęh największej radości, bez  
której życie człowieka jest  
byłoby jałowe.

Henryk Jablonski  
Gd-4, 601.19901

Ps. Jesteście razem ze wszystkimi  
serdecznie pozami drugimi.  
Tenże będzie ciekawie na nmo-  
we.



Poprawki do „Indeksu nazwisk“

- ✓ Audycka Bronistasa
  - ✓ Bendin
  - ✓ Beymar
  - ✓ „Bronka“ - Audycka
  - ✓ „Brózka“
  - ✓ „Flip“
  - ✓ Gruntmajer
  - ✓ Frög
  - ✓ „Hans“ - Tynko
  - ✓ Kirkor
  - ✓ Łupaszko - Zygmunt Szendzielarz
  - ✓ Regina Wincenty.
  - ✓ Rymaszka Aldona
  - ✓ „Szeszki“ - Gracjan Frög
  - ✓ Szendzielarz Zygmunt
  - ✓ „Zyga“ - Zygmunt Gruntmajer
  - ✓ Tynko
-



Czy to są te same osoby:

~~Sawicki Bronisław~~

✓ Siwicki Bronisław

~~Stanikiewicz Czesław~~

✓ Stankiewicz Czesław

✓ Świechowski Stefan

~~Świeckowski Stefan~~

Tak, to są te same osoby i  
dlatego porostwień poprawne Brzkuwici  
nowiśk. Napoprawne Skerstem

Jan

Arceji =

✓ Str. 2. par. 1. city s Teodor, byt kepratenem, ale pred opuvajet  
, Oble Breme "avertoromy na majstvi, Pora bym  
Pit on ofukim diplomovym. Proby zotav-  
iti by am na vstadi k' spravde, pili to  
Pit p'srat mošive.

✓ Str 7 par 1 do 6 - to Srendular, a me.  
Syndikular.

Poprawki do „Indeksu nazw geograficznych”.

- ✓ Ćwicin
- ✓ Grauzyski
- ✓ Kalin
- ✓ Miedniki Królewskie
- ✓ Niemenyż.
- ✓ Podbrodziany – proszę z indeksu wykreślić, bo dotyczy Podbrodzie (miasto Podbrodzie)
- ✓ Porubanek
- ✓ Radziński – proszę z indeksu wykreślić, bo dotyczy Radzińsz (wsie Radzińsz)
- ✓ Sangraciewo
- ✓ Świer – proszę z indeksu wykreślić, bo dotyczy Świer (miasteczko Świer).
- ✓ Miedniki Królewskie (45) i Miedniki (46) – to ta sama nazwa wódcy
- ✓ str. 5 Nowosiółki



Szanowno Pami,

Ozyskałi re listy. Trasa moia dojeżdżi  
namistomę na kontrowe mapę pnie Pami  
Jelgoroty popiawitem i mapieturtem.

Na list Pami Jelgoroty napisatem dlugę  
6-stronicową odpowiedź. Chciałbym, by  
Pami rozprawała się z tym tematem.

Wysłalam też 3 zdjecia z tamtych miejsc,  
które opisałem w liście do Pami Jelgoroty.

Ktoś z pań rozumie się mi, mi wam.  
Proszym, po ewentualnym wykopaniu, re-  
berniacy się zwrot, bo to zdjęcie tego  
rodzaju wolno mieć.

Odnownie Pami pytam w sprawie 3 wersji  
w numerach 1 i 2 w sprawie =

Kamrad - to zagłębie miastowe, za-  
opatrzone w mody Betchaszki kuty miast.  
Jest ono podobne na potrawę od miasta  
Betchasz. W zagłębiu tym były zagłę-  
~~miastowe~~ z wsiadkami politycznymi,  
które pracowały w Kopalniach przy wydo-  
bawaniu mody miast.

Były też osiedla, w których mieszkali  
ludnie wolni i pół on iwarci wolni.  
Jedno z nich - to Komradski, a drugie -  
- Wostoczno-Komradski.

Zagłębia rozmiarkowane były przez osiedla -

mi na styl z kopalnicami.

Imenij mowa za nowo Tazny jeli osidla  
znajdowaty sy w konnradskim, reglebin mi-  
drowym, ktore potocznie okretano tam  
Konnradem.

P.S.

W Batlesem mial mi mowit, ze ktos  
tam mieszka cy prawni albo sidet i  
Tazne w Konnradskim cy wotoczno-Konn-  
radskim ten w Konnradie cyli i tam-  
kijzym reglebin miidkowym.

Tak wac Konnrad jist pojciem serszym  
na Konnradskij cy wotoczno-konnradskij,  
bo okreta pewen obszar.

Keide z tyh 3 mierz okreta w innego  
i w sytki 3 sa prawidlowe.

Sedre, to sprazet wyrobustem wyterena-  
tawo.

Idem do Parisi proby. Pominut jist  
Paris w kontekstie z wydawca proby mpreznie  
(o te jist to mowiac), bym po ukoreniu sy  
kretis mizelium od przewidzianych dla  
arkota 'exemplary' mogt od wydawcy kupit  
przyjemnij do sztyh. Chodit mi a zate-  
rowaniu tej ilosci do mery dyspozycji  
mizelium od tego, co Arzyumem serpletud.

Jeszcze raz ze wszystkim dziekuj.

Z powrotem  
Golowki 21.10.88,

fr. Soboluski  
Juni

Prócz rozmowy! był puz tyh 3 fotografii mi i miedobij sy  
nowy i kretis...



## Szanowna Pani!

Dziękuję za list z konturową mapką.  
Zgodnie z Pani życzeniem naniosłem na  
mój plan pewne poprawki i uzupełnienia.  
Trasę moich "dojazdów" po ZSRR należałoby  
podzielić na 8 etapów.

Etap I - to wyjazd z Wilna (pociągami) przez  
Dziwińsk, Połock, Wulka Żuki, Bologoje,  
Jarostaw, Wologdę i Kottbas do Michy.

Tam byłbym na "przebiegu" i z Michy trójścianem  
do oddalony od niej około 40 km obwód  
przy kopalniach ropy naftowej - Kopalnia Nr 2  
i Nr 3. Kopalnia Nr 3 znajduje się w  
pobliżu osiedla Jaroga - na północ od Michy.

Etap II - to trasa z Michy do Betchasze.

Wzieli nas do Betchasze<sup>2</sup> przez Kottbas  
(z Michy do Perum nie ma bezpośredniej linii  
kolejowej), Jarostaw, Moskwa, Świdłowsk,  
Kurgan, Północny Ural, Kokeretaw, Arkun-  
liński (obecny Alinoznowy) i Keregendę.  
Dlatego wzięli przez moskiewską ziemię z  
z Kottbasu skrócić na północno-wschód,  
nie wiem, ale jestem w 100% pewien, że  
przejdziecie przez Moskwy. Pociąg szedł  
tam na stacyach towarowych. Był to wózek  
po północy. Postój trwał między z  
pewnością w sąsiedztwie na stacji.



Wobec tego wytknomy przez pania odesski tury  
z mioty przez permy do Gwardowskie nalezy  
z moim dojezdz wyznaci.

Etap III - Batschasz, przez Karagandy do Spasska.

Pani pyta czy na mapie kontrowe - dobrze  
oznaczony jest Spassk, w którym bytem.  
Niestety - tu nie jest ten Spassk. Za bytem  
w inwazyjnym obozie w Spassku podobnym  
o parokrotnie kilometry od Karagandy.  
W swoim czasie był w tym obozie Filipulaj, Gutzaj  
Sotimaj, który między innymi opisał ten  
obóz. Na pani rację, że w zstęz Spasskowi  
nie odnaleźć na żadnej mapie i nie  
drzewo do jura myskim i ruskim Tagym  
dla wiatru pływaj, nie było tam żad-  
nych budynków mieszkalnych.

Za cała na tym odległości był zniszczony  
klasztor, który potem przemianowano na  
2 Tagym. Mówiono że nazwano go Spasskim  
od słowa "spaset" (ratować). Wobit  
wstępowały do tego odległego od oboje  
klasztoru, by ratować (spaset) swoje dusze.

Etap IV Ze Spasska samodzielnymi do-  
wieszno nas do Karagandy, a Stambol  
przez Akumolnisk (Lisnograd), Pan Dolar,  
Barnant, Stelnisk (obecnie Nowo-Ukrainki)  
i Mirdunierisk do osiedla Olzetas,  
którego na mapach również nie ma.

Tagym

osiedle  
OLZETAS

OLZETAS

odmiejci. Odrzes - to duze osiedle. Kto wie  
czy nie zmienił nam nazwy. Wism, że jest nie-  
dodatkowo murowana, bo widać nies stamtąd  
samochodów. Pamiętaj, że odrzes były między  
rukami USA, i Tomem - w tzw. murowanej (dus-  
dyrecy).

*oboz wolska*  
Etap V z Odrzesa przez Stalish (Novo-  
Kunich) i Nowosibirsk do Omska.

*koronacja*  
Etap VI - to droga na reszcie - z Omska  
przez Nowosibirsk do Krasnojarska, gdzie  
przez podjed tych przebieg w Wojnie.

*X tuż zsyła*  
Etap VII - Samolotem z Krasnojarska  
przez Tundraski do Turu. Przejecha - w  
Tundrasku.

Etap VIII - Wymiar samolotem z Turu przez  
Tundraski do Krasnojarska i dalej  
pociągami przez Nowosibirsk, Omsk, Preto-  
wowski, Kurgan, Culebink, Kif, Kuf-  
byszew, Seretow, Wornier, Charkow, Wpów  
i Lwow do Przemysla.  
Z Turu w tamtym czasie mi było bezpod-  
stawnie lotniczo z Krasnojarskiem.  
Liczne loty przebiegły z Krasnojarska  
przez Tundraski do Nowosib, z Tundraska  
do Turu z uwagi na brak w Turu odpowied-  
niego lotniczego lotu tylko były samoloty.  
Dlatego musimy przyjąć odmiejci



bezpośredniego lotu z Gruzji do Krasnojarska  
należy także wyznaczyć.

Do wyznaczenia z ramienia przez państwa  
trasy są, pierwsze 2 odcinki: na rejon od  
Duske i z Moskwy do polskiej granicy,  
bo do kraju jechać przez Kijów i Lódź  
- linie bieżąca bardzo na południe.

A teraz odpowiedź na państwa pytanie =  
- Na pytanie pierwsze w sprawie Spasska  
już odpowiedziałem. W sprawie koło Tasz-  
tegoty nigdy mi byłem, chociaż tamten  
rejon mi jest mi obecny ze względu na  
potrochy koło dziedzicznosci obżer.

Pytanie 2 - w swojej mapie podać  
cały szereg miejscowości z korespondencją  
tylko orientacyjnie dla państwa cywilnego,  
które pyta mnie o Kowale - rejon  
miejscowości koło Betlasza. Wspominałem  
w swojej pracy. Państwa cywilna mi mogła  
go odnieść na mapie.

O wyznaczeniu i wyznaczeniu był miejsc-  
owości na mapie z trasą między wojezd-  
niemi myślałem. Wzajemnie to, podobnie  
jak państwa, ze zbytkiem.

- Pytanie 3 - Trasa podobna wiodła tak  
jak jest nakreślona. -- przez Kijów i Lódź.  
Przed chwilą spotkałem, że należy wyznaczyć  
pierwszą jeden ramienia państwa przez państwa od-



esnek tnesy (ze Spasske kolb Tschegotn do  
Krasnojarske), k kton usqdy mi jidnetem.  
8 wnyuikowuzd praze mui etepow tnesy  
"woepedy" po ZSRR upetem chowologesku.  
Do Krasnojarske jidnetem mi z Krimacki-  
go zagrabie w egloego (z Olzines), len z Om-  
she, do ktonigo tneskem z Olzines.

Propozicij, Pam' wzawidc cy mi prosit  
bydoby usqdy tnesy moio woepedy po ZSRR  
chowologesku wnyuikowuzm prazemni  
etepami, k ktonigo od uski etepow w ksuu  
probitj up: I Wilno - Mchke.

- " Mchke - Batschasz
- " Batschasz - Karaganda
- " Karaganda - Olzines
- " Olzines - Omsh
- " Omsh - Krasnojarsk
- " Krasnojarsk - Tundzinsk - Ture
- " Ture - Tundzinsk - Krasno -
- " Krasno - Palska (puz Krasno - dno).

Prosz te propozicje wzawidc. Diczisj proste-  
wiam Pam'.

Juzhd muez mi muez, ale mam propo-  
zicisj i prosbe. Z materialem podwodzice  
z tamtych czasow z fotografi.

Jedna przedstawia z ondowny puz mas - wio-  
mion Palac Kultury w Batschasz. Pny budo-  
wa tego Palacu piewnetem z kulturaln wfi-  
mami politycznyj kotuzhd ne wodorosj.  
Fotografij dostatem w przenie od

w spódnicy Sup. P. Antoniego Jastrzebskiego,  
z którym przebywałem w Tagne w Batchesen.  
Wykonał ją Pan Antoni będąc na restamie  
(po wielkim z Regon) w 1956 r.

Na drugiej fotografii jest grupa, zwalczony  
z bateszskiego Tagu w dół. Wśród  
nich z prawej strony przed wiatrakami - Sup. An-  
toni Jastrzebski. Z drugiej wykonał w ste-  
pie przed miastem. Z lewej strony (u góry)  
widoczny są murki białe Batchesa.

Na trzecim zdjęciu jestem ja. Wyko-  
nałem je będąc na restamie w Turie  
i wystawem w domu do rodzin w Polsce.

Wróciłem do zdjęć w dół w ste-  
pie przez podkier, z widokiem na wsch  
wobu - to same polki, które z  
AK oddzieliły to lat Regon.

Bardzo proszę o zwrócić uwagę  
po ewentualnym wykonaniu.

Byłoby najlepiej, gdyby widzieliście one  
do Paris (czyżby).

Serdecnie dziękuję Panu za zają-  
cie się w moim sprawie

Z tym zwrócić i przywrócić  
i szlachetnym dnie.

Z poważaniem H. Jastrzebski

Gdańsk, dn. 21.10.81

P.S. Proszę zwrócić uwagę na  
murałki w kwaterze.  
P  
był z fotografii nie należałby być

- Fot. 1. Zdjęcie autora wykonane ~~podczas~~ <sup>na</sup> ~~zestawie~~ <sup>AR</sup> w ~~Warszawie~~ <sup>Feerze</sup>
- Fot. 2. Pałac Kultury w Bałchaszu, <sup>my którego budowę autor pracował</sup> ~~wzniesionym przez~~  
~~razem z~~ <sup>mi</sup> ~~urzędnikami~~ politycznymi ~~z~~ <sup>mi</sup> różnych narodowości (fot.  
Anton Jastrzemski w 1956 r. po uwolnieniu z łagrow)
- Fot. 3. Grupa Polaków „wolnionych” z bałchaskiego łagru.  
Z prawej strony przed wiełbłędem nie sążony obecnie  
~~Anton~~ <sup>Anton</sup> Jastrzemski. Kobiety na zdjęciu to same Polki,  
które za ~~II~~ <sup>II</sup> przynależały do ~~AK~~ <sup>AK</sup> odsiedziały po 10 lat  
Łagru. Zdjęcie wykonane w stepie pod miastem. Z lewej  
strony widoczne są miejskie bloki Bałchasz.

Zdjęcia do

Podpisy pod zdjęciami do książki H. Sobolewskiego.  
Trzeba je najpierw na maszynie, a potem zmontować  
razem ze zdjęciami.